

Poruszająca książka, która wykracza daleko poza piłkę nożną.
The Guardian

ROBERT ENKE

*Życie wypuszczone
z rąk*

RONALD RENG

Utrata córeczki.

Paraliżująca presja.

Samobójstwo, które wstrząsnęło światem.



EQN
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

ROBERT ENKE

*Życie wypuszczone
z rąk*

RONALD RENG

tłumaczenie
MICHAŁ JEZIorny

KRAKÓW 2015

Ulotna siła poezji

– Chciałabym dostać wiersz – powiedziała Teresa, gdy nagle w całym domu, na sekundę, która wydawała się trwać wieczność, zrobiło się cicho.

Robert Enke ze zdziwieniem patrzy na swoją żonę, zastanawiając się równocześnie, czy nie jest to żart. Prezentem urodzinowym ma być wiersz?

– Fajnie by było – rzuciła Teresa mimochodem i już po chwili zapomniała o całej sytuacji.

Jemu jednak ten pomysł utkwiał w głowie na dobre.

Minęło już kilka lat od chwili, gdy przeczytał ostatni wiersz, nie wspominając już o napisaniu czegokolwiek. Stara się wszystko sobie przypomnieć. Uważa, że wiersz musi posiadać rymy, a ładny wiersz jest jego zdaniem jak uśmiech, z delikatnym humorem wyczuwalnym między wersami. Mając właśnie takie wyobrażenie o poezji, Robert Enke postanawia rozpocząć pisanie.

Czasami zdarza mu się okłamać Teresę, gdy mówi, że idzie na chwilę do swojego biura układać dokumenty podatkowe bądź dokonać przelewów. Tak naprawdę siada z długopisem w rękę przed kartką, spoglądając na ogród za oknem, które całą swoją powierzchnią tworzy tylną ścianę pomieszczenia. Promienie słoneczne, wpadające tamtędy wiosenną porą, wywołują prawdziwie błogie odczucia, ale teraz, zimą, nie jest już tak przyjemnie. Nawet ogrzewanie w tym pomieszczeniu nie jest najlepsze.

Ich dom w Empede, położony w płaskiej dolnosaksońskiej dolinie, to zaadaptowane stare gospodarstwo rolne. Biuro Roberta zajęło miejsce dawnej stajni.

Zapisywane słowa wyglądają na niezdarne i twarde. Jego drogocenne palce są nienawykłe do pisania, jednak w jego głowie rymy układają się coraz szybciej. Wypełnia go radość, która jest inna niż ta, gdy broni trudną piłkę na linii bramkowej. Radość ta jest raczej delikatna, ale mimo to na tyle intensywna, że napędza go do dalszego pisania – w biurze, w hotelu, na wieczór przed meczem w Bundeslidze. Pisze na wszystkim – karteczkach, paragonach, a gdy nie ma pod ręką żadnego papieru, to jako notatnik służy mu komórka. 18 lutego 2009 roku nadszedł wielki dzień, a gotowy wiersz ma już 104 wersy.

Robert jeszcze w łóżku złożył życzenia Teresie, a gdy ta poszła do łazienki, on udał się do sieni i czym prędzej wypuścił psy na podwórze. Zwierzęta te Teresa przygarnęła podczas pobytu w południowej Europie. Państwo Enke byli posiadaczami w sumie dziewięciu psów i dwóch kotów, a gdyby Robert wziął na poważnie

poprzednie życzenie urodzinowe żony, to do gromadki dołączyłaby świnka domowa.

Robert zapalił świece w salonie.

– Z prezentami poczekajmy do wieczora, kiedy będziemy mieli więcej spokoju – powiedziała Teresa po wejściu do pomieszczenia.

On pokiwał głową i już po chwili poprosił ją, aby zajęła miejsce przy starym wiejskim stole. Chwycił ją za ramiona i delikatnie przycisnął do oparcia, a następnie udał się na przeciwległy koniec stołu. Nie przestawał się uśmiechać.

Położył wiersz przed sobą na stole, lecz zaczął recytować z pamięci:

Jaki dać prezent w tym dniu uroczystym?

Może diament: duży i czysty?

A może zegarek od jubilera?

Bielert nie nadweręży portfela.

Może świnka? Nowy pupil domowy.

Robert mówi jednak: „Nie, nie ma mowy”.

Konie, psy i koty,

to zwiastuje kłopoty.

Musi być coś innego,

Zupełnie wyjątkowego.

Teresa chce poezji!

Sztuki, literatury, finezji.

Prezent nieduży, tani,

Ode mnie – specjalnie dla niej.

Teresa zaniemówiła. Zwrotka po zwrotce Robert rysuje przed nią połowę jej życia, przeprowadzkę do Empede, miłość do zwierząt oraz śmierć ich córki Lary, która przyszła na świat z wadą serca, a w wieku dwóch i pół roku umarła po kolejnej operacji.

I przyszła na świat Lara z wadą serduszka.

Nie odchodziliśmy od jej łóżka.

Myśleliśmy, że przez życie przejdzie z siłą i wdziękiem,

Nic dziwnego – wszak nazywała się Enke.

Gdy Robert kończy recytować swój utwór, wzruszona Teresa wybucha płaczem i mówi:

– Proszę, przeczytaj jeszcze raz.

I Robert czyta – 26 zwrotek, 104 wersy, z których ostatnie brzmią:

Chcesz wiedzieć, co się wydarzy dalej?

Nie myślę o tym niemal wcale.

Sprzedamy samochód, albo i nie.

Przeprowadzimy się? Kto to wie.

*Nie martwię się, co przyniesie czas,
odchodzi dziś, jutro wita nas.*

Jednego jestem jednak pewien:

Nie mogę, nie umiem żyć bez ciebie.

Robert Enke ma 31 lat, jest bramkarzem reprezentacji Niemiec. Jest silny, odważny i szczęśliwy. To jednak ostatnie urodziny, które świętuje wspólnie z Teresą.

We wtorek 10 listopada 2009 roku wita się w kuchni z gosposią:

– Cześć, Ela!

Daje całusa Leili, swojej dziesięciomiesięcznej córce, i żegna się z Teresą. Na notesie przypiętym do lodówki zanotował sobie mazakiem wszystko, co pozostało mu do zrobienia – załatwić cztery bilety na mecz z Bayernem. Wychodzi następnie z domu. Dziś czekają go dwa treningi indywidualne – rano z trenerem fitness, a po południu z trenerem bramkarzy Hannoveru 96. W domu ma być tradycyjnie koło 18.00, tak jak obiecał Teresie.

Jednak tego dnia nie ma umówionych treningów.

Chwilę po wpół do pierwszej udaje mi się do niego dodzwonić. Akurat prowadzi. Przekazuję mu dwie sprawy – zaprzyjaźniony angielski dziennikarz chce z nim przeprowadzić wywiad, a Niemiecka Olimpijska Biblioteka Sportowa chciałaby, aby podczas dorocznego styczniowego zebrania wygłosił przemówienie. Pół żartem, pół serio chciałbym mu teraz powiedzieć, że jestem jego sekretarką. Jednak jego głos brzmi oschle. Zapewne jedzie z jednego treningu na drugi – pomyślałem – pewnie jak zwykle zaraz się zatrzyma na obiad w Espada czy w Heimweh.

– Zadzwoń do ciebie wieczorem, Ronnie. Może być? – powiedział, a ja dziś już nie jestem w stanie sobie przypomnieć, jak się ze mną pożegnał.

Wieczorem zadzwoniło do mnie wiele innych osób, ale nie Robert.

Jego samobójstwo w ten jesienny wieczór zjednoczyło nie tylko jego bliskich, ale również tych, którzy go wcześniej nie znali. Zjednoczyło ich uczucie pustki, rozerwania duszy na strzępy. Podczas następnych dni wybuchła prawdziwa histeria. W Londynie „Times” poświęcił Robertowi Enke połowę strony tytułowej, w Chinach mówiono o nim w głównych wiadomościach państwowej telewizji. Agencja prasowa informacje o liczbie osób uczestniczących w pogrzebie ogłaszała jak rekordy

(„W Niemczech od czasu śmierci kanclerza Konrada Adenauera w ceremonii pogrzebowej nie uczestniczyło tyle osób”). Taką reakcję można wytłumaczyć tylko tym, że w dzisiejszych czasach wszystko, nawet śmierć, staje się wydarzeniem medialnym. W środku pozostaje jednak autentyczny ból oraz głęboka bezsilność. Śmierć Roberta Enke pokazała większości z nas, jak mało wiemy o depresji. Dla pozostałych, a była to zastraszająco duża grupa, stało się jasne, jak trudno rozmawiać o tej chorobie. Podobnie jak Robert Enke zawsze uważaliśmy, że naszą chorobę, czy też chorobę kogoś bliskiego, należy zataić.

Informacje, które regularnie ukazują się w mediach, mówią jednak same za siebie: rocznie więcej osób popełnia samobójstwo za sprawą depresji niż ginie w wypadkach drogowych. Liczby te nie dają niczego więcej niż niejasne wyobrażenie, jak dla niektórych ludzi smutek jest trudny do zniesienia. Jednak gdy nagłówki dotyczą śmierci osób tak znanych jak Marilyn Monroe czy Ernest Hemingway, wydaje się – chociaż nikt nie powie tego głośno – że ludzie uważają to za niejako naturalne: bo przecież po artystach można się tego spodziewać. Czy depresja jest w takim razie nieodzowną częścią sztuki?

Robert Enke był w niemieckiej kadrze numerem jeden. Bramkarz to zawsze ostatnia podpora drużyny. Zachowuje spokój i opanowanie w najtrudniejszych sytuacjach. Potrafi kontrolować stres i strach w najbardziej ekstremalnych chwilach. Profesjonalni sportowcy, tacy jak on, co tydzień wzmacniają w nas to przekonanie. Wszystko jest możliwe, a Robert Enke jeszcze bardziej niż większość piłkarzy utwierdzał publiczność w przekonaniu, że każda przeszkoda może zostać pokonana. W wieku 29 lat trafił do reprezentacji Niemiec, a przecież cztery lata wcześniej przez depresję stał się bezrobotnym, po czym wylądował w drużynie drugoligowej. On i jego żona nauczyli się żyć po stracie córki w 2006 roku. Trzy lata później, w chwili, gdy w naszym postrzeganiu znów odnalazł szczęście, gdy miał rodzinę, nowe dziecko oraz perspektywy gry podczas mistrzostw świata w RPA, jego depresja była silniejsza niż kiedykolwiek.

Jaką siłą musi dysponować ta choroba, aby ktoś taki jak Robert Enke zyskał pewność, że najlepszym rozwiązaniem będzie śmierć? Jaki mrok musi otaczać człowieka, żeby ktoś zdolny do tak wielkiej empatii jak Robert nie był świadomy, jak po jego śmierci cierpieć będą jego bliscy? A także maszynista, pod którego pociąg rzucił się w ten straszny listopadowy wieczór?

Jak wygląda życie z depresją bądź przeświadczeniem, że może ona w każdej chwili powrócić? Jak wygląda życie ze strachem przed strachem?

Odpowiedzi na to pytanie chętnie udzieliliby sam Enke.

To on chciał napisać książkę, a nie ja.

Poznaliśmy się w 2002 roku. Pisałem o nim okazjonalnie do różnych gazet, aż nagle zamieszkaliśmy w tym samym mieście – Barcelonie. Spotykaliśmy się coraz

częściej. Zacząłem odczuwać, że dla nas obu w życiu ważne są podobne sprawy – uprzejmość, spokój i rękawice bramkarskie. Pewnego dnia powiedział:

– Czytałem twoją książkę, jest świetna!

Zarumieniłem się i czym prędzej postanowiłem skierować rozmowę na inne tory.

– Pewnego dnia wspólnie napiszemy książkę o tobie.

Wkrótce ze zdziwieniem zauważyłem, że ze spontanicznej wypowiedzi rodzi się poważna propozycja.

W późniejszym czasie co rusz przypominał mi o naszym wspólnym projekcie. „Robiłem notatki, żeby o niczym nie zapomnieć”, mawiał. Dziś już wiem, czemu tak ważna była dla niego biografia: po zakończeniu kariery w końcu mógłby opowiedzieć o swojej chorobie. Bramkarz, ostatnia podpora, nie może w naszym społeczeństwie borykać się z depresją. I Robert Enke zużywał naprawdę wiele energii na ukrywanie choroby. Zamykał się we własnym cierpieniu.

Muszę więc opowiedzieć jego historię bez niego.

Trudno jest mi sobie wyobrazić, że ponownie spotkam w swoim życiu partnera do wywiadów, który byłby tak otwarty jak Robert. Tymczasem po jego śmierci jego przyjaciele zaczęli nagle zwierzać się ze swoich czarnych myśli. Jego konkurenci w bramce, którzy zgodnie z prawami profesjonalnego sportu nakładali maskę niezłomności, nagle zaczęli mówić o swoich lękach i wątpliwościach.

Śmierć ukochanej osoby wyzwala w nas wolę bycia szczerym, zrobienia czegoś dobrego, wprowadzenia zmian. Jednak publiczna śmierć ujawnia jedną rzecz: zwykłą ludzką bezsilność.

Nie wiedzieliśmy nawet, jak powinna wyglądać nasza żałoba. W kraju wrzały dyskusje, czy ceremonia na stadionie Hannoveru odbywa się z należyтым pietyzmem, czy też przeradza się w wydarzenie medialne. Matka Roberta nie chciała, aby jego trumna została otwarta.

– Pomyślałam sobie: Boże, przecież to nie jest Lenin! – powiedziała mi Gisela Enke, gdy rozmawialiśmy razem w jej kuchni w Jenie. Na jednym z wielu zdjęć w jej domu widać ją obejmującą syna, który ma na sobie elegancki niebieski sweter z wycięciem w serek. Postawa tej kobiety jest niesamowita – jest serdeczna i wszystkich nas uczy pokory: zrozumiała, że absurdalnie jest kłócić się o to, jak udana była uroczystość pogrzebowa. Swój spokój odnalazła w przekonaniu, że wszyscy chcieli jak najlepiej, że kiedy w dobrej wierze chcemy dobrego, często postępujemy inaczej, niż powinniśmy.

Wielu źle zrozumiało jego śmierć: popełnił samobójstwo, bo nie mógł już znieść własnego życia. Znaleźli się naśladowcy, którzy błędnie założyli, że targając się na własne życie, staną się tacy jak on, że się do niego zbliżą. To tragiczne nieporozumienie. Większość osób cierpiących na depresję nie chce umierać. Chce,

aby mrok sterujący ich myśleniem w końcu zniknął. U Roberta Enke zapewne nie było inaczej.

– Gdybyś przez pół godziny siedziała w mojej głowie, zrozumiałabyś, czemu ogarnia mnie obłęd – powiedział raz Teresie.

Nie ma znaczenia, ile takich wytłumaczeń znajduję. Na pytania, które co rusz sobie zadaję, nie czeka żadna odpowiedź.

Może stało się coś w jego dzieciństwie? Może to sprawiło, że stał się podatny na depresję? Co myślał, gdy w tamten listopadowy wieczór krążył przez osiem godzin po ulicach miasta, a następnie rzucił się na tory?

Pytania te powracają nieubłagane. Nie inaczej jest w dniu 34. urodzin Teresy, pierwszych spędzonych bez Roberta. Siedzimy w kuchni, a Leila zajmuje się ulubioną zabawą wszystkich rocznych dzieci – opróżnia szafki.

Urodziny dzień wcześniej były całkiem znośne. Nowym wyznacznikiem Teresy stał się właśnie podział „znośnie / nieznośnie”. Odwiedziło ją wielu sąsiadów wraz z dziećmi, przynosząc ciasta własnego wypieku, kwiaty, składając życzenia. Ani Teresa, ani nikt inny nie powiedział im, co jest grane. W kuchni zasiadło kilkunastu znajomych. Otrzymane kartki z życzeniami wdowa po Robertcie wolała przeczytać później. Na chwilę zapadła cisza. Jak fałszywie mogą brzmieć słowa: „Wszystkiego najlepszego”.

Teraz, następnego ranka, nie ma już gości. Wszyscy wyjechali. Na nowo wyczuwalna jest pustka, absolutna nieobecność. Teresa mimowolnie myśli o poprzednich, 33. urodzinach i o prezencie od Roberta – wierszu. Dla niej były to w pewnym sensie ostatnie urodziny.

Teresa wierzyła w siłę poezji, gdy późnym latem 2009 roku jej męża ponownie dopadła depresja.

– Napisz mi kolejny wiersz – powiedziała mu przez telefon pewnego sierpniowego dnia, gdy wraz z reprezentacją spędzał czas w Kolonii, a zasypiając, odczuwał strach przed kolejnym dniem, bał się, że ktoś znów będzie czegoś od niego wymagał, że coś nie pozwoli mu wstać z łóżka.

Wieczorem wystawił krzesło na balkon. W tle widniała katedra, a Robert Enke znów zaczął pisać:

*Siedzę na balkonie,
Głowę mam jak balon
jest ciężka jak ołów i kamienie
tak nie może być*

Nie czuł już radości, którą potrafiły obudzić słowa. Nie czuł zadowolenia, że uda mu

się wyrazić własne myśli. Wiersz był mu obojętny.

Również w pamiętniku, który prowadził podczas depresji, zapiski stawały się tym krótsze, im mocniejsze były napady choroby. Na ostatniej stronie wielkimi literami zapisane zostało pojedyncze zdanie. Prawdopodobnie miało ono być ostrzeżeniem dla niego samego, jednak dziś można je odczytać jako wezwanie dla każdego z nas: „Nie zapomnij tego dnia”.

Dziecko szczęścia – tak jakby

Pewnego niedzielnego popołudnia Robert Enke udał się na dworzec zachodni w Jenie. Nadjechał pociąg dalekobieżny z Norymbergii, pasażerowie wysiedli, a on sam nie dał po sobie poznać rozczarowania, gdy wszyscy minęli go, idąc wzdłuż torów. Czekał dalej. Dwie godziny później nadjechał wieczorny pociąg z południa. Robert po raz kolejny umiejętnie minął przyjezdnych. To było zimą 1995 roku, a siedzenie pół dnia na dworcu kolejowym było nieszczerze komfortowe o tej porze roku. Zdecydował się, aby do przyjazdu następnego pociągu spędzić czas w kinie. W dalszym ciągu mieszkał z mamą w bloku z wielkiej płyty przy ulicy Liselotte-Hermann. Cztery miesiące wcześniej skończył 18 lat. Jest to wiek, który pozwoli usprawiedliwić prawie każde samowolne działanie i w którym wszyscy oprócz nas samych zachowują się dziwnie.

Teresa zawsze wracała ostatnim pociągiem z Bad Windsheim do gimnazjum w Jenie. Nawet będąc w drugiej klasie, co weekend jeździła do rodziców we Frankonii. Przyspieszyła krok, aby jak najszybciej opuścić chłodny dworzec, gdy nagle zauważyła jego. W szkole siedziała obok Roberta w ławce. Gdy półtora roku wcześniej trafiła z obcej Bawarii do 12. klasy gimnazjum sportowego, miała do wyboru tylko dwa miejsca do siedzenia – samotne w ostatniej ławce lub obok Roberta. Dogadywali się dobrze, zmieniałaby w nim jedynie fryzurę. Od czasu, gdy zaczął trenować z drużyną Carl Zeiss Jena, obcinał swoje blond włosy krótko na bokach i długo na górze. „Jakby nosił na głowie gniazdo”.

– Halo, a co ty tu robisz? – zapytała go na peronie. Wybiła godzina 22.00.



Robert z Teresą i swoją rodziną po meczu gimnazjum sportowego Jena przeciwko reprezentacji Turynii

– Czekam na kogoś.

– Ach tak. No to życzę ci miłego wieczoru.

Uśmiechnęła się do niego i szybko się oddaliła.

– Hej! – krzyknął. – Czekam przecież na ciebie!

W pubie French wyznał jej, że czekał na nią ponad pięć godzin.

Nie mówił nikomu, że po prostu zaczeka na Teresę na dworcu – swoje uczucia oraz najważniejsze życiowe decyzje pozostawiał dla siebie. Przez te tygodnie, gdy on i Teresa stawali się sobie bliscy, nie mówił o tym nikomu. Nie było jednak dla nikogo zaskoczeniem, że stali się parą oraz że również i to udało się Robertowi Enke.

„Często o tym rozmawiamy – opowiada Torsten Ziegner, kolega bramkarza z lat młodości. – Naszym zdaniem Robert był prawdziwym dzieckiem szczęścia, któremu wszystko się udawało i którego nic nie mogło zawrócić z obranej drogi. Zawsze był w dobrym nastroju”. Thorsten okręca swoją szklankę wody, aby cisza nie trwała zbyt długo. Każdy, kto siedzi w tym czasie w pokoju jego przyjaciela z młodości, Andy’ego Meyera, myśli o tym samym. Jak dziwnie jest, gdy myśli się dziś o Robertcie jako o dziecku szczęścia.

Oślepiające światło słoneczne odbija się od śniegu i wpada przez okno domu

w Jenie-Zwätzen, wybudowanego na nowym osiedlu domków jednorodzinnych na obrzeżach miasta. Mamy godzinę 13.00, a Andy właśnie wstał. W jego oczach da się zauważyć resztki zmęczenia. Jest on pielęgniarzem, a minionej nocy pełnił dyżur. Torsten ubrany jest w luźne dzinsy i kurtkę w drobną kratkę z postawionym kołnierzem – jego strój przypadłby do gustu wokaliście Oasis. Ma 32 lata i jest piłkarzem w trzecioligowym klubie FC Carl Zeiss Jena. Gdy słucha się Andy’ego i Torstena, człowiekowi szybko udziela się ciepła, pełna humoru atmosfera. „Od razu poczuliśmy, że mamy te same zainteresowania, czy też: nie interesujemy się podobnymi rzeczami”, mówi Torsten. Andy dodaje: „Śmialiśmy się więcej niż inni”.

Zawsze trzymali się we czterech: Mario Kanopa – który wylądował pod granicą holenderską, aby tam spełniać się w roli nauczyciela – Torsten Ziegner, Andy Meyer oraz Robert Enke, którego nazywali Enkus, którego wciąż nazywają Enkus tylko dlatego, że w ich pamięci dalej jest tym samym chłopakiem z tamtych lat. „Mimo wszystko – Andy odzywa się, aby przełamać ciszę – wciąż myślę, że Enkus był dzieckiem szczęścia”.

Wychował się pomiędzy drążkami do prania. Spotykali się na dziedzińcu i grali w grę, którą na swoim osiedlu nazywali „nad drążkiem”. Jedna osoba stała w bramce, czyli między dwoma prętami, kolejna lobowała nad bramkarzem, a następna strzelała z woleja w jego stronę.

To był jego dom – Lobeda, miasto trabantów widoczne jako pierwsze w Jenie. Miało tam zamieszkać 40 tysięcy osób, ale koniec końców osiedliła się tylko niespełna połowa – 17 tysięcy. Pomiędzy 15-piętrowymi blokami z wielkiej płyty, pośród komunistycznych bulwarów, w bocznych uliczkach znajdują się niskie kamienice, nieróżniące się wcale od tych w Frankfurt-Schwanheim czy Dortmund-Nordstadt. Podczas gdy obydwa państwa niemieckie ciągle kłóciły się na temat wzajemnych różnic, życie nastolatków z lat 80. pomiędzy kamienicami na Zachodzie i na Wschodzie nie różniło się znacznie. Drążki na pranie niepodzielnie rządziły w świecie pomiędzy Jeną-Lobeda a Frankfurt-Schwanheim.

Jak mówi Andy Meyer, o kłopotach ludzi dorosłych usłyszeli dopiero po upadku NRD. Możliwe jednak, że gdy byli dziećmi, sytuacja społeczno-polityczna w kraju wydawała im się po prostu nudna, więc ją ignorowali. Nie obchodziło ich, że ojciec Andy’ego nie mógł zostać nauczycielem, bo nie chciał dołączyć do partii, że ojciec Roberta pod koniec lat 60. został – jako biegacz na 400 metrów przez płotki – wyrzucony z grupy wsparcia sportowców wyczynowych, ponieważ wymieniał się pocztówkami ze swoim bratem, który uciekł na Zachód.

Grę w piłkę na dziedzińcu przerywali jedynie w sytuacjach szczególnych, takich jak na przykład trening. Andy Meyer, który mieszkał zaledwie kilka bloków dalej, szybko został odkryty przez największy klub w mieście – FC Carl Zeiss Jena. Miał

wówczas siedem lat i od tamtej pory zwycięstwa, które odnosił ze swoją drużyną, wydawały mu się czymś oczywistym. To sprawiło, że w pamięci utkwiała mu szczególnie jedna porażka. Na nierównym boisku kompleksu sportowego Am Jenzig, u podnóża góry Hausberg, drużyna FC Carl Zeiss uległa 1:3 w meczu z SV Jenapharm. Wielkie kluby mają w zwyczaju nie pozwalać sobie na takie wpadki – nawet jeśli mowa o drużynach dziecięcych. Helmut Müller, trener Carl Zeiss Jena, zaraz po zakończeniu meczu podszedł do rodziców napastnika z Jenapharm, który strzelił w tym spotkaniu hattricka, i zaprosił ich syna do gry w swoim klubie. Piłkarzem tym był Robert Enke.



Robert Enke (po lewej) podczas karnawału

Podczas lektury każdej biografii sportowej nadchodzi chwila, w której jedni czytelnicy powiedzą: „Co za przypadek!”. Inni jednak pomyślą: „Tak właśnie wygląda przeznaczenie”. Muhammad Ali miał 12 lat, gdy ukradziono mu rower, a policjant, który spisywał jego zeznania, poradził chłopcu, żeby nie płakał, lecz zaczął trenować boks. Robert Enke grał w orlikach młodszych w ataku, gdzie radził sobie przyzwoicie. Jednak gdy ojciec Thomasa – bramkarza drużyny – został skierowany na delegację do Moskwy, zespół potrzebował nowego numeru jeden. „Trener nie miał pomysłu – wspomina Andy Meyer – więc każdy z nas na próbę stawał w bramce. W moim przypadku temat szybko został zamknięty. Nasze dziecko szczęścia zostało dwukrotnie trafione piłką i od tej pory zajęło miejsce między

słupkami”.

Nie mając pojęcia, jak powinien się zachowywać, z miejsca robił wszystko jak należy – imponował mocnym wyskokiem, rozstawianiem kciuków na boki podczas łapania piłki oraz umiejętnością podjęcia decyzji, czy w przypadku dośrodkowania łapać piłkę, czy też pozwolić jej opuścić boisko.

Odkrył nowe, upajające odczucie. Gdy leciał w powietrzu, gdy czuł siłę uderzonej piłki w rękach, wiedział, czym jest szczęście.

Nie przeszkadzało mu nawet to, że – jak opowiada ojciec Roberta – „przez większość czasu nic nie robił. Carl Zeiss miała tak silny zespół dziecięcy, że ich bramkarz praktycznie nic nie musiał robić. Jednak jemu to pasowało”. Gdy mówi te słowa, wracają wspomnienia i na jego ustach pojawia się delikatny uśmiech, na kilka sekund pozbawiony bólu. „Nie musiał wtedy za dużo biegać”.

Dirk Enke ma ten sam uśmiech co jego syn. Dziwnie spowolniony, jak gdyby za chwilę miał zniknąć. Ojciec bramkarza opowiada, że bał się momentu, w którym miał się wypowiadać na potrzeby jego biografii. Obawiał się, że wspomnienia nabiorą zbyt wielkiej mocy. Dlatego też w jego mieszkaniu na rynku, wysoko nad dachami domów w Jenie, postanawia początkowo oddać inicjatywę slajdom. Niedawno – Dirk Enke używa słów: „Po tym” – ktoś podarował mu projektor, aby jeszcze raz mógł obejrzyć ujęcia Roberta z dzieciństwa spędzonego w NRD. Oglądamy trójkę jego dzieci – Anję, Gunnara i Roberta juniora, młodszego o dziewięć lat od siostry i siedem lat od brata – podczas urlopu spędzonego pod namiotami nad Bałtykiem. „W NRD pozwolenie na rozstawienie namiotu dostawało się właściwie dopiero, gdy miało się czwórkę dzieci”, wspomina Dirk. Jednak nawet w państwie z takim dozorem były miejsca niepilnowane. „Po prostu podawaliśmy, że mamy czwórkę dzieci, i nikt tego nie sprawdzał”. Slajdy przeskakują, aż w końcu widzimy obraz Roberta z jego przyszywaną babcią. „Moją prawdziwą babcią”, tak nazywał on panią Käthe, emerytkę z naprzeciwka, która często go pilnowała i której bliskości potrzebował, nawet będąc nastolatkiem. Jako dziecko zawsze wyliczał: „Mam grubą babcię, chudą babcię i prawdziwą babcię”.

Pokaz slajdów dobiegł końca. Pewnego dnia nawet w życiu dziecka szczęścia zaczyna brakować radosnych obrazów.

Pewnego dnia, gdy Robert miał 11 lat, po powrocie ze szkoły mieszczącej się przy ulicy Liselotte-Herrmann, w drzwiach natknął się na ojca. Dirk trzymał jakąś torbę.

– Tato, gdzie ty idziesz?

Dirk Enke nie był w stanie odpowiedzieć na pytanie syna. Bez słów i ze łzami w oczach oddalił się do auta.

– Co się stało?

Matka przełknęła ślinę i powiedziała:

– Trochę się pokłóciliśmy. Twój tata na jakiś czas przeprowadza się do domu na

Cospeda.

W życiu ojca pojawiła się inna kobieta.

Przez długie tygodnie Robert pytał swoją mamę: „Jak się czujesz?”. Gisela Enke widziała po jego oczach, jak bardzo chłopiec obawiał się smutnej odpowiedzi.

Rodzice Roberta mimo wszystko nie chcieli uwierzyć, że ich małżeństwo dobiega końca, i spróbowali do siebie wrócić. „Nie zrobiliśmy tego tylko ze względu na dzieci – wspomina matka bramkarza. – Byłam z Dirkiem od 30 lat”. Latem wspólnie udali się na urlop nad Balaton. Robert siedział na tylnym siedzeniu i mówił głośno, ale mimochodem, jakby nie zwracał się do nikogo szczególnego:

– No, jeśli ma to pomóc w pogodzeniu się, to na urlop pojedziemy nad Balaton.

W jego głosie nie było słycać radości – raczej wielką nadzieję.

Gdy wrócili do kraju, znów jako pełna rodzina, czekała na nich niespodzianka i jeszcze większe ponowne zjednoczenie. „Przyłączenie NRD do RFN zjednoczyło nas jeszcze bardziej”, wspomina Gisela. Ożywienie towarzyszące poniedziałkowym demonstracjom i poruszenie przed zbliżającymi się zmianami przyczyniły się do odbudowania więzi. Dirk Enke znów zamieszkał z rodziną, a z okazji srebrnych godów zorganizowali wycieczkę rowerową wzdłuż Renu niedaleko Koblenz.

Rodzina Enke należała do tej grupy społecznej, która nie obawiała się ponownego zjednoczenia Niemiec. Ojciec większą część swoich bliskich miał za zachodnią granicą. „Myślałem sobie: w końcu!” Chłopaki grające przy trzepaku w piłkę miały wówczas po 12, 13 lat. Są oni ostatnim pokoleniem, które ma w pamięci zarówno stary, jak i nowy porządek, oraz pierwszym, które wychowywało się równolegle w starym, jak i nowym państwie. Andy Meyer wciąż pamięta, jak pewnego dnia musiał wraz z Robertem i drużyną młodzieżową FC Carl Zeiss Jena maszerować tam i z powrotem na Löbdergraben, specjalnie na cześć prezydenta NRD Ericha Honeckera. „Najfajniejsze dla nas było to, że na koniec dostaliśmy kartki na parówki”, wspomina.

Również w nowych czasach uczestniczyli jakby mimochodem. Po prostu grali dalej, nie zważając na zmiany. Nawet nie zrobili 15-minutowej przerwy meczowej, aby pomyśleć o ponownym zjednoczeniu. „Dla nas, dzieci, żadne z tamtych wydarzeń nie miało szczególnej rangi – opowiada. Śmieje się, coś mu się przypomniało – przecież trening trwał dalej”.

W Lobedzie, gdzie realizowane było socjalistyczne marzenie o pięknych mieszkaniach, krystalizował się jednak nowy proletariatus. I jeśli chodzi o tę kwestię, zaangażowanie dzieci było już jak najbardziej wymagane. Z zachodnich Niemiec przybyli Turcy, którzy krążąc od drzwi do drzwi, próbowali sprzedać mieszkańcom dywany. Spowodowało to, że grupki młodzieżowe rodem z miasta trabanta zaczęły zbierać się w paczki, tworzyć bandy i nazywać się skrajną prawicą.

– Nikogo nie wpuszczajcie – upominała matka Roberta, który często po szkole

zostawał sam w domu, bo oboje z mężem pracowali: ona jako nauczycielka rosyjskiego i wychowania fizycznego, on jako psychoterapeuta w miejskiej klinice.

Gdy dzwonił dzwonek, Robert zawsze otwierał drzwi z niepewnością. Pewnego razu przyszedł dziadek cioteczny, który był profesorem języka łacińskiego na uniwersytecie.

– Dzień dobry, czy zastałem rodziców?

Chłopiec spojrział na niego z przymrużonymi oczyma.

– Nie poznajesz mnie, Robercie? Jestem bratem twojego dziadka, nazywam się Rudi.

Robert odparł:

– Każdy może tak powiedzieć. – Po czym zatrzasnął drzwi.

Pewnego dnia, gdy wracał ze szkoły, na ulicy czekało na niego kilku chuliganów. Zanim zdążyli go pobić, jeden z nich go rozpoznał.

– Przestańcie, to jest przecież Robert Enke – powiedział.

Przyszły bramkarz reprezentacji Niemiec miał wtedy dopiero 12 lat, a jego pozycja na boisku w lokalnym klubie już sprawiała, że stał się sławny. Dzięki temu napastnicy pozwolili mu odejść.

Mały Robert się bał. Bardzo chciał mieć jakąś osłonę. Wręcz błagał mamę, aby kupiła mu kurtkę zwaną flekiem, żeby chuligani omyłkowo brali go za jednego ze swoich. „Byłam zrozpaczona, że tak chce się im poddać – wspomina Gisela – pomyślałam jednak, że jeśli to zapewni mu spokój, to niech mu będzie. Tę kurtkę i tak nosił tylko przez kilka tygodni”.

W 1994 roku, gdy w zjednoczonych Niemczech minęła początkowa euforia, państwu Enke zabrakło sił, by dalej przy sobie trwać.

W pewną niedzielę cała rodzina zasiadła w salonie. Dirk zaczął:

– Muszę wam coś powiedzieć.

Matka Roberta wiedziała już, o co chodzi. Ta druga kobieta w jego życiu nigdy tak naprawdę nie zniknęła.

– Rozstajemy się z Giselą. Wyprowadzam się.

Robert wstał z sofy i wybiegł z domu.

– Gunnar, biegnij, sprowadź go z powrotem! – krzyczała mama.

Brat znalazł Roberta siedzącego na ulicy. Nie miał zamiaru rozmawiać.

Nikt nie miał po nim tego poznać. Przyzwyczyił się, że ze smutkami radzi sobie w samotności.

Swoim trzem przyjaciółom wydawał się promienny i niezmordowany. „Enkus przewrócił szklanekę wody i wszyscy wokół byli mokrzy z wyjątkiem niego samego. Zawsze tak było”, wspomina Andy.

Pewnego razu nauczycielka biologii przyłapała Roberta na ściąganiu podczas klasówki. Dostał ocenę niedostateczną, jednak na świadectwie miał już trójkę. Wszyscy widzieli, jakim był pomocnym człowiekiem, jaki cechował go rozsądek i jak wielki miał talent bramkarski. Połączenie tych cech sprawiało, że nauczyciele traktowali go ulgowo.

Był świadomy, że w szkole może sobie nieźle radzić, nie wkładając w to zbyt wiele pracy. Taki stan mu pasował i nawet nie myślał o lepszym świadectwie.

Wraz z przyjaciółmi często odwiedzał Mario Kanopę oraz Torstena Ziegnera mieszkających w internacie. Obaj trafili do gimnazjum sportowego ze wsi. Mieli wówczas 14 lat. Nazwa klubu, w którym dotychczas grał Mario, mówiła sama za siebie: BSG Traktor Fraunprießnitz. Torsten z kolei przyjechał z BSG Mikroelektronik Nauhaus/Rennweg. W ich pokoju wiele razy się sprzeczali, jako że Torsten był człowiekiem, który od razu reagował, gdy tylko coś mu nie pasowało. To jednak denerwowało Mario. Enkus z kolei dogadywał się wyśmienicie zarówno z jednym, jak i z drugim. Gdy spędzali czas wspólnie, prawie nigdy się nie kłócili.



Młodzieżowa drużyna klubu CZ Jena podczas podróży do Tunezji. Robert Enke siedzi drugi od lewej. Drugi od prawej to jego przyjaciel Mario Kanopa

Przy wejściu na szkolną salę gimnastyczną często wywieszano artykuły z gazet, w których opisywano ich osiągnięcia. W 1993 roku Robert Enke, Torsten Ziegner oraz Mario Kanopa zostali wybrani do reprezentacji Turynii. Wraz z drużyną wyruszyli do Duisburga, gdzie wzięli udział w tradycyjnym pucharze landów juniorów młodszych. W tamtym czasie na trybunach zasiadało wielu skautów profesjonalnych klubów. Coroczny turniej odbywał się w szkole sportowej w Wedau.

W oczach działaczy klubowych wśród 15-letnich chłopców byli również przyszli profesjonalni piłkarze. Torsten Ziegner wspomina, że na początku powtarzalność meczów była czymś śmiesznym, jednak „na koniec pokładaliśmy się ze śmiechu”. Na murawie prezentowali się jako słabsza ekipa, która mimo to nigdy nie przegrywa. Torsten opowiada: „To było tak, jakby Robert Enke grał w pojedynkę”. Z meczu na mecz stawał się lepszy. Rósł w oczach wszystkich, gdy raz za razem bronił strzałów pojawiających się przed nim napastników. Osiągnął najwyższy stan duchowy, jaki może osiągnąć bramkarz: nagle ogarnia cię całkowity spokój, mimo że na boisku panuje kompletny chaos. Nieważne, jak mocno kopali piłkę przeciwnicy, bo i tak na koniec Robert trzymał ją w dłoniach, wiedząc, że należy ona tylko do niego. Wypełniał go wszechpotężny spokój, sprawiając, że dodatkowo rósł w oczach innych zawodników. W Duisburgu padły następujące wyniki: 0:0, 0:0, 1:0 oraz 4:0. Strzelenie mu gola okazało się niemożliwe.

Tego samego roku juniorzy młodszy FC Carl Zeiss Jena dotarli do finału mistrzostw Niemiec, czego w kolejnych 15 latach nie dokonał żaden zespół o porównywalnych możliwościach. Prezydent klubu zaprosił chłopaków do baru o nazwie Sockenschuss na kolejną coli. W finale ulegli niestety Borussia Dortmund 1:5, jednak nawet „Frankfurter Allgemeine Zeitung” wysłała na miejsce swojego reportera, który miał opisać ten młody, ponadprzeciętnie zdolny zespół. Kierowniczka internatu opowiadała o swoich piłkarzach następująco: „Nie pilnują szczególnie porządku, jedzą wszystko, prawie zawsze pokazują się jako zwarta drużyna i charakteryzują się wyjątkową pewnością siebie”.

Przyszłe życiorysy czwórki przyjaciół ukazują w zasadzie wszystkie możliwe scenariusze kariery młodego piłkarza: Robert Enke zostanie bramkarzem reprezentacji Niemiec. Torsten będzie lokalnym bohaterem, kapitanem oraz rozgrywającym w drugo- i trzecioligowym Carl Zeiss Jena. Mario w wieku 22 lat dozna ciężkiej kontuzji, co zakończy jego karierę, podczas której zagrał jeden mecz w drugiej lidze, zdobywając jedyne goła. Andy już w wieku 15 lat usłyszał od swojego klubu Carl Zeiss Jena, że jest im przykro, ale nie będzie on już z nimi współpracował, bo jest po prostu za słaby. Od tej chwili gra jedynie dla przyjemności, w malutkich klubach.

Robert Enke, Torsten Ziegner oraz Mario Kanopa zagraли na słynnym stadionie Wembley w młodzieżowej reprezentacji Niemiec, występując przed 30 tysiącami uczniów. Mieli wówczas po 15 lat, a ulubiony angielski dziennik Margaret Thatcher, „Daily Telegraph”, tak opisał owo spotkanie, które zakończyło się bezbramkowym remisem: „Połączenie fantastycznych parad bramkarza z mizernymi strzałami udaremniło zwycięstwo Anglii”. Mowa była oczywiście o Robertcie Enke.

Leżąc na ziemi – po odbiciu potężnego strzału Stephena Clemence’a – obronił dobitkę Jaya Curtisa. Wyskoczył i machnął ręką tak szybko, że publiczność nawet nie

zdołała tego zauważyć. Nawet ten strzał udało mu się wybronić.

W ten sposób został odkryty. Wybrano go młodzieżowym piłkarzem miesiąca, co zapewniło mu cały artykuł w magazynie „Kicker”. Gazeta „Stern” opisała go w wydaniu specjalnym „Die 16-jährigen” („Szesnastolatki”) jako protagonistę swojego pokolenia. „Nierzęsto myślę o świecie – mówił Enke w rozmowie z dziennikarzem pisma – ale czasem mam wrażenie, jakby miał się skończyć”.

Na trybunach, wśród rodziców młodych piłkarzy, zasiadł Dirk Enke. Piłka nożna stała się pomostem łączącym go z dzieckiem. Od chwili wyprowadzki starał się pojawiać na każdym meczu syna. Tego dnia obserwował, jak inni rodzice krzyczeli na swoje pociechy przy najdrobniejszym błędzie oraz jak dopingowali je po udanej akcji. Dirk Enke przyglądał im się w milczeniu. „Był świetnym ojcem – wspomina Gisela. – Jednak po naszym rozstaniu nie było mu łatwo dogadać się z dziećmi”.

Po meczu Dirk porozmawiał z synem.

– Nieźle wybronione.

– Dziękuję.

– Jak wyciągnąłeś tę piłkę strzeloną z rogu?

– Mało brakowało, a bym tego nie obronił! Strzał był tak mocny, że wygięło mi palec.

– No i Torsten, znów ten Ziege, niesamowite!

– Przecież wiesz, jaki on jest.

– Na koniec pomyślałem: „Człowieku, Ziege, czy ty jesteś szalony?!”. Jeden z przeciwników chce go minąć, a on biegnie wprost na niego i po prostu przewraca. Zrobił tak trzy razy! Przecież normalnie to powinien trzy razy dostać czerwoną kartkę.

– Tato, muszę iść do szatni.

Uśmiechają się do siebie, intensywnie starając się, podobnie jak inni ojcowie i synowie, zbliżyć się poprzez sport. Rozmowy o piłce mają zrekompensować nadszarpnięte relacje. „Dirk i Robert za rzadko rozmawiali ze sobą na poważnie – wspomina Gisela. – Ja też nie byłam w stanie na oczach rodziny kłócić się, mówić o czymś przykrym, i wydaje mi się, że Robert także. W naszej rodzinie zawsze panowała zasada uprzejmego nieukazywania uczuć”.

Podczas gdy Dirkowi brakowało słów, to na pewno nie zabrakło mu spostrzegawczości. Pewnego razu Gisela przez wiele dni wierzyła starszemu synowi Gunnarowi, że zostawił swoją gitarę u kolegi, jednak on od razu zorientował się, że coś jest nie tak. Dowiedział się, że Gunnar ją sprzedał.

Ojciec dostrzegł zaszczucie na twarzy Roberta, gdy ten, jako 16-latek, pierwszy raz miał zagrać w drużynie juniorów starszych, w skład której wchodziłi chłopcy starsi od niego o dwa lata. Trener przeniósł go do wyższej grupy wiekowej, aby mógł rywalizować na odpowiednim dla siebie poziomie, bo dla rówieśników był po prostu

za dobry. W nowym zespole radził sobie znakomicie, sam jednak miał na ten temat inne zdanie.

Dla 16-letniego chłopaka dwa lata starsi koledzy są tymi dużymi. Większość młodszych bramkarzy boi się grać w wyższej grupie wiekowej. Stojąc w bramce, przyjmuje rolę ostatniego bastionu. Fakt ten sprawia, że ocena gry dokonywana jest przez pryzmat błędów. Ale jak nie popełniać błędów w obliczu tak silnych fizycznie i tak wysokich przeciwników? Jak ci silni i wysocy piłkarze z jego własnej drużyny będą go postrzegali, jeśli zdarzy mu się pomyłka?

Po rozegranym meczu Robert Enke popłakał się w obecności ojca i powiedział, że nie chce już więcej grać w tym zespole.

– Tato, nie miałbyś mi tego za złe, jeśli przestałbym grać w piłkę?

Przyjaciele nie znają tego oblicza Roberta. „W drużynach młodzieżowych zawsze trafiali się wariaci, którzy atakowali najsłabszych. Enkus z całą pewnością nieraz musiał sobie radzić z taką sytuacją – opowiada Torsten – jednak jego nie dało się stłamsić: wręcz przeciwnie! Wtedy mieliśmy wrażenie, że Enkusa nic nie może wyprowadzić z równowagi. Mając zaledwie 17 lat, tak bronił, miał taką pewność siebie, jakiej niejednokrotnie nie mają bramkarze z dziesięcioletnim doświadczeniem w grze zawodowej”.

Podczas trwania przygody Roberta z juniorami starszymi jego matka odbierała jego postawę w całkiem inny sposób niż ojciec. „Pamiętam, jak raz podczas kolacji wstał od stołu i powiedział: »Mamo, musimy sobie coś wyjaśnić«. Wsiadł w tramwaj i ruszył na boisko imienia Ernsta Abbe, aby przekazać Ronaldowi Prause, że nie ma zamiaru grać w juniorach starszych i chce wrócić do swoich rówieśników. Jako 16-latek miał wystarczającą pewność siebie, aby odważyć się na wytłumaczenie autorytarnemu trenerowi, czego tak naprawdę chce”.

Dirk Enke, psychoterapeuta, patrzy na sprawę inaczej. Gisela wspomina, że w domu nieraz zdarzyło jej się krzyknąć: „Przeklęci psychologowie!”, gdy w odwiedziny przychodził szwagier ze szwagierką, również terapeuci. „W trójkę chcieli mi tłumaczyć, jaka jestem naprawdę. Jednak Dirk rzeczywiście miał nosa”.

Gdy jemy obiad na rynku, ojciec Roberta odkłada sztucę, a następnie pociera płaskie dłonie. Po chwili mówi: „Pomyślałem wtedy: »Co się właściwie dzieje? Czy ma problemy z kolegami z drużyny? Nie«. Szybko uświadomiłem sobie, że chodzi o coś innego. To strach przed błędami zakorzenił w nim ten sposób myślenia: jeśli nie jestem najlepszy, to jestem najsłabszy. Początki jego wewnętrznej męki sięgają czasów, gdy jako junior młodszy trafił do juniorów starszych”. I choć ta sytuacja była jednorazowa i Robert nie podejmował później podobnych decyzji, Dirk podkreśla: „Dusza zawsze pamięta sytuacje ekstremalne”.

W wieku 17 lat, posiadając specjalne zezwolenie Niemieckiego Związku Piłki Nożnej, Robert Enke podpisał swój pierwszy profesjonalny kontrakt z klubem Carl Zeiss Jena, grającym wówczas w drugiej lidze. W biurze towarzyszyli mu rodzice. Prezes Ernst Schmidt oraz trener Hans Meyer już na nich oczekiwali. Specyficzny styl bycia tego ostatniego, polegający na dominowaniu w rozmowie za sprawą wesołych wypowiedzi, sprawiłby, że Meyer w przyszłości mógłby stać się wodzirejem w Bundeslidze. Tego dnia miał powiedzieć Robertowi o mitycznym bramkarzu z Jeny z lat 50.: „Harald Fritzsche przez dziesięć lat nie ponosił winy za żadną straconą bramkę. Przynajmniej według niego”.

Dirk nadstawił ucha. Czy Meyer wiedział o wyrzutach, jakie robił sobie Robert po straconych bramkach? Czy chciał mu przekazać jakąś wiadomość? Czy nie mówił mu właśnie: „Nie wpędzaj się w obłąd”?

Robert Enke podzielił swoje życie. W szkole miał nauczanie indywidualne, aby przed południem móc trenować z drużyną jako drugi bramkarz – był wszak profesjonalnym piłkarzem, wraz z resztą drużyny odpowiadał za jej utrzymanie się w lidze. W tym właśnie czasie zaczął się spotykać z Teresą.

Przekonywał ją, gdy leżeli wspólnie na materacu w salonie w mieszkaniu jego matki, że musi się uczyć do matury. Wieczorami czasem wspólnie wychodzili – on pił piwo z lemoniadą, „a ja tańczyłam na stołach”, wspomina Teresa, choć nie należy odbierać tego dosłownie. Robert czuł, że jego dziewczyna potrafi lepiej i pełniej pokazać swoją radość z życia.

Wszystko przychodziło jej tak lekko – cała serdeczność, ciekawość świata oraz swoboda podejmowania decyzji. Wydawało mu się, że jest o wiele silniejsza od niego. „Nigdy nie nauczyłem się tak świętować jak ty”, mawiał, jakby chcąc się usprawiedliwić. Jej podobała się właśnie jego powściągliwość i delikatny urok. Miał twarz wiecznie miłego chłopca.

Teresa wychowała się wraz z dwoma starszymi braćmi na wsi we Frankonii. Ojciec przekazał jej swoją pasję dla nowoczesnego pięcioboju, pływania, szermierki, jazdy konnej, strzelania i biegania. W pokoju, który zajmowała z rodzeństwem, ona i jeden z braci po kryjomu strzelali z wiatrówki na ludziki *play mobile*. („Patrz, jeśli trafisz je w klatkę piersiową, to rozpadną się na tysiąc elementów”, opowiadał dumnie brat o swoim odkryciu). Oficjalnie Teresa trafiła do gimnazjum w Jenie za sprawą sportu. Głównie jednak chodziło o program nauczania – w regionie, z którego pochodziła, młodzież uczyła się łaciny, a ona za wszelką cenę chciała przed tym uciec.

– Nie wkładaj markowych ciuchów, żeby nie wyjść na kapryśne dziecko z Zachodu – radzili jej koledzy z rodzinnej wioski.

„Tymczasem już pierwszego dnia w szkole zauważyłam, że wszyscy noszą same markowe ciuchy”.

Wschód i Zachód, przeciwieństwa, które swego czasu tak wielu chciało widzieć, nie były tematem dla młodych ludzi, a jedynie niekiedy wywoływały u nich śmiech. Gdy Robert spędził u rodziny Teresy Wigilię, ze względu na ateistyczne wychowanie w NRD, wyszły pewne braki w jego wiedzy o Bożym Narodzeniu. Siedząc przy stole, zapytał:

– Kim był ten cały Józef?

Teresę nie bardzo interesowała ta cała piłka nożna. Była dla niej synonimem nudnych sobotnich popołudni, „gdy chciałam oglądać *Beverly Hills*, a nie mogłam, bo mój brat za wszelką cenę musiał zobaczyć wiadomości sportowe”.

Również dlatego początkowo Robert wcale nie opowiadał jej o swoich meczach w pierwszej drużynie. Robił to dopiero później, gdy sama go o nie pytała. Uważał, że sam z siebie nie powinien o tym wspominać, ponieważ byłby wtedy szpanerem.

W rundzie jesiennej sezonu 1995/96 Carl Zeiss Jena radziła sobie wyjątkowo dobrze. W pomocy w oczy rzucał się właściwie jeden elegancko grający 21-latek – Bernd Schneider, który kilka lat później miał uchodzić za najlepszego technicznie gracza w Niemczech. Jedenastka wylądowała w przedniej części tabeli, jednak jesienią doszło do dwóch wysokich porażek – 1:4 z Duisburgiem oraz 0:4 z VfL Bochum. Bramkarz Mario Neumann miał już lepsze dni. 11 listopada 1995 roku Jena grała z Hannoverem 96. Mówi się, że dobry bramkarz potrzebuje przede wszystkim doświadczenia, a Robert Enke miał zaledwie 18 lat. Mimo to trener Eberhard Vogel wystawił go w bramce.

Najbardziej niesamowita była pustka na stadionie. Sześć tysięcy kibiców zasiadło na trybunach mogących pomieścić 56 tysięcy widzów. Jeszcze bardziej rzucały się w oczy dziwne maszty oświetleniowe – niczym gigantyczne szczotki do zębów sięgające samego nieba. Było to w czasach, gdy ważny mecz nie był jeszcze traktowany jak wielka ogólnonarodowa impreza.

Pojedynek trwał, a Robert Enke czekał. Walka o piłkę rozgrywała się na połowie boiska, a on koncentrował się, bo przeciwnik w każdej chwili mógł pojawić się w jego polu karnym, a następnie gra mogła się przenieść na drugą stronę murawy. Wówczas nagle, po upływie półgodziny, głową strzelił Reinhild Daschner z Hannoveru. Robert Enke stał dokładnie tam, gdzie leciała piłka, i zdołał ją pewnie złapać.

Nie minęły nawet dwie minuty od jego pierwszej interwencji, a już stracił swojego pierwszego gola. „Ostthüringer Zeitung” pisała: „Przy голу na 1:0 dla Hannoveru zasłużył się obrońca Jeny Dejan Raičković, ale z całą pewnością nie Robert Enke”.

Podczas tego meczu Robert wybił jeszcze kilka rzutów różnych i precyzyjnie wykopał kilka autów. Raz udało mu się nawet udaremnić potencjalny wybuch radości na trybunach: rzucił się na piłkę uderzoną przez Kreso Kovaceca i przykrył ją

własnym ciałem. Mecz zakończył się wynikiem 1:1 i kibice zaczęli o nim zapominać już w momencie, gdy opuszczali stadion. Młody uradowany bramkarz przeżył jednak chwilę grozy, gdy schodził do szatni. Nagle rozbrzmiał hałas, dudnienie szyby z pleksi. Okazało się, że z bariery trybuny zwisał ojciec Roberta, który dumny z syna uderzał ręką w dach i krzyczał:

– Człowieku, to było niesamowite!

W następną sobotę Gisela wyjechała wraz z przyjaciółką w góry. Włączyła radio. „Zrobiło mi się niedobrze”, wspomina.

– Lübeck ma prawym skrzydle – krzyczał reporter – dośrodkowanie Behnerta, Enke wybiega i łapie piłkę, która wyslizguje mu się z rąk! Bramka dla Lubeki! Klasyczny błąd bramkarza!

To po takich chwilach jak ta Andy Meyer utwierdzał się w przekonaniu, że Enkus był dzieckiem szczęścia. Jeśli zdarzyło mu się popełnić błąd, co było rzadkością, jego drużyna i tak zdołała wygrać, dzięki czemu nikt nie pamiętał o drobnej bramkowej wpadce.

Jena pokonała wówczas Lubekę 3:1.

Gdy Robert się starał, to mógł zauważyć, o co chodzi Andy’emu: jego błąd był bez znaczenia. Jednak w późniejszym czasie, po upływie kilku lat, przyznał, jak odbierał takie sytuacje jako młody chłopak: „Nie mogłem sobie wybaczyć błędów”. Koledzy z drużyny mówili, że nic się nie stało, trener powtarzał, że takie sytuacje zdarzają się każdemu. „Ja jednak miałem ten błąd przez cały następny tydzień przed oczami. Nie mogłem go wymazać z pamięci”.

Przez cały tydzień potrafił nie chodzić do szkoły, mówiąc, że jest chory.

Tortura profesjonalisty: wymagać od siebie bycia bezbłędnym i wciąż myśleć o swoich pomyłkach. Jednak bramkarz musi umieć sobie z tym radzić. W przeciwnym razie podczas kolejnego meczu wszystko się zawali.

Carl Zeiss czekał mecz derbowy w Lipsku. Ojciec Roberta spotkał się na trybunach ze starą znajomą z czasów, gdy uprawiał lekkoatletykę. Usiedli obok siebie. Była za VfB, ale w trzeciej minucie spotkania nawet ona wydawała się współczuć Robertowi:



Robert w bramce CZ Jena podczas mistrzostw Niemiec B-młodzików

– Och, nie! – krzyczała rozemocjonowana.

Robert Enke przepuścił pod brzuchem piłkę strzeloną z niedużą siłą wprost do

bramki.

Bramkarz w takiej sytuacji musi udawać, że nic się nie stało.

W 34. minucie samotnie wybiegł w jego stronę Ronny Kujat, napastnik Lipska. W takich chwilach wydaje się, że mecz rozgrywany jest w zwolnionym tempie. Bramkarz śledzi każdy ruch stopy atakującego, a kibice zamierają z otwartymi ustami. Bramkarz czeka nieruchomo na napastnika. Nie może drgnąć. Ten, kto pierwszy się ruszy – on ręką bądź atakujący nogą – zazwyczaj przegrywa, bo przeciwnik wyczuje ruch. Kujat strzelił. Robert Enke poszybował i złapał piłkę. To była jego najlepsza interwencja w jego, krótkiej jeszcze, profesjonalnej karierze. Mimo to nie cieszył się z niej szczególnie. W przerwie powiedział zrozpaczony trenerowi:

– Proszę, niech mnie pan zmieni.

„Żeby w ogóle na coś takiego wpaść!”, dziwi się Dirk. Przecież profesjonalista nie robi takich rzeczy. Profesjonalista nie zna słabości.

Eberhard Vogel, trener Jeny, odpowiedział wówczas Robertowi, aby nie gadał głupot, i kazał mu grać w drugiej połowie. Po tym dniu już go nie wystawił w bramce.

Gisela zauważyła, że w domu syn praktycznie cały czas milczy, a posiłki je samotnie w swoim pokoju. „Znałam jednak to zachowanie. Dirk też tak robił, jak nie udawał mu się bieg przez płotki”.

Po tygodniu Robert Enke stopniowo zaczął odżywać. Z uśmiechem na twarzy udał się na dworzec zachodni. Podczas pozostałych sześciu miesięcy sezonu, gdy nikt od niego, jako bramkarza rezerwowego, niczego nie oczekiwał, znów był spokojny i radosny. Może przeszło mu przez myśl, że jest to zasługa Teresy.

Bezpośrednio po tamtym meczu w Lipsku trener Vogel tak skomentował incydent z udziałem Roberta: „Chłopakowi brakuje teraz pewności siebie. Chciał, żebym podczas przerwy ściągnął go z boiska. To nie jest jednak takie proste”.

Dziesięć lat później takie zachowanie mogłoby oznaczać koniec dla bramkarza: popełnił błąd typowy dla początkującego i błagał, aby podczas przerwy móc się ulotnić. Informacja ta trafiłaby do internetu i kanałów sportowych. Bramkarzowi przypięto by łątkę niestabilnego. Wtedy jednak wieści o zachowaniu Roberta utknęły w 16-wersowej depeszy „Ostthüringer Zeitung”.

Kluby z pierwszej Bundesligi, które wypatrzyły go podczas imponujących meczów reprezentacji młodzieżowej, interesowały się nim nieustannie, państwa Enke odwiedziło kilku skautów. Wśród nich był pewien jegomość z Bayeru Leverkusen. Przedstawił się jako Reiner Calmund, a następnie zaczął terkotać z prędkością karabinu maszynowego: nawijał przez 40 sekund niemal bez przerw na oddech. Najlepsze wrażenie pozostawili jednak delegowani z Borussia Mönchengladbach. W przeciwieństwie do Bayeru Leverkusen czy VfB Stuttgart wysłali nie tylko dyrektora sportowego, lecz także trenera bramkarzy.

Rodzice Roberta od razu zapowiedzieli, że przed maturą nigdzie go nie puszcza, jednak wielkimi krokami zbliżało się lato 1996 roku, oznaczające koniec szkoły.

Teresa zastanawiała się, jaki uniwersytet mogliby wspólnie wybrać; sama myślała nad specjalizacją nauczycielską bądź weterynarią.

– Co myślisz o Wurzburgu?

– No tak, ale ja gram przecież jeszcze w piłkę.

– Czy to takie ważne? No dobra, niech ci będzie. W Wurzburgu też mają jakąś drużynę piłkarską.

– Nie, mam na myśli profesjonalną piłkę. Przecież mamy kilka konkretnych propozycji.

– No i?

– Oferują mi nie najgorsze wynagrodzenie. W Mönchengladbach mógłbym zarabiać 12 tysięcy marek na miesiąc!

Teresa przyznała sama przed sobą, że dotąd nie doceniała pasji ukochanego i wykazywała się ignorancją względem futbolu.

Kilka dni po tym, jak Robert wraz z ojcem spotkali się po raz pierwszy z władzami Mönchengladbach, Dirk odebrał telefon od niejakiego Pflippena. Podawał się za doradcę, którego klientami byli Günter Netzer, Lothar Matthäus, Stefan Effenberg oraz Mehmet Scholl.

– Mógłbym pomóc pana synowi – zapewnił.

Zazwyczaj agenci piłkarscy najpierw brali pod swoje skrzydła piłkarza, a dopiero później szukali mu klubu. W tamtych czasach garstka ludzi rządzących tym biznesem miała wygodniej. Dzięki swoim informatorom w klubach dowiadywali się, gdy ktoś zatrudniał piłkarza bez doradcy. To sprawiało, że w trybie ekspresowym oferowali młodemu zawodnikom swoje usługi. W latach 80. i 90. Norbert Pflippen oraz Borussia Mönchengladbach dobijali targu nie raz i nie dwa.

Pflippen, Flippi, miał pewną zasadniczą przewagę: był jednym z pierwszych w tym biznesie. To sprawiło, że przez dziesięciolecia uznawany był za jednego z najlepszych.

Flippi odwiedził rodzinę Enke w Jenie. Był mężczyzną z mocno zbudowanymi przedramionami, miał swobodny styl bycia i nie szczędził anegdotek – opowiadał na przykład o dopięciu transferu Günthera Netzera do Realu Madryt czy Lothara Matthäusa do Interu Mediolan. To był czas, w którym rzadko który młody piłkarz miał swojego doradcę. Tym bardziej szczególnie był fakt, że Robertowi Enke swoje usługi zaproponował człowiek obracający się w takich sferach. W pewnym sensie było to dla rodziny zaszczytem. Flippi ze swoim wesołym stylem bycia był sympatycznym człowiekiem. To ich początkowo zmyliło, bo na koniec stał się dość ociężały.

– Jeśli zaczniemy współpracować – powiedział Dirkowi – dam panu faks połączony z telefonem. A ty – przeniósł spojrzenie na Roberta – dostaniesz ode mnie samochód.

W maju 1996 roku, jeszcze przed ustną maturą z geografii – tematem były skały – Robert Enke podpisał trzyletni kontrakt z pierwszoligową Borusią Mönchengladbach, który wynegocjował dla niego Norbert Pflippen.

Niewiele wcześniej, gdy jechał z Dortmundu autostradą A2, w jego małym peugeocie zapalił się silnik, przez co spod maski zaczął się wydobywać dym. Jazda takim autem była niebezpieczna dla życia. Nie było oleju, zabrakło wody w chłodnicy, przewody były zapchane – taką diagnozę postawił serwisant ADAC. W samochodzie byli również Torsten Ziegner oraz Mario Kanopa, wracali oni razem z rodziną Roberta z młodzieżowego meczu reprezentacji, który rozgrywany był w Bocholt.

Flippi utrzymywał, że nic nie mógł poradzić na stan używanego samochodu, który podarował Robertowi.

Huk

Leżał na ziemi z głową przyciśniętą do brązowej już miejscami murawy. Podniósł wzrok i trzy metry dalej, na wysokości trawy, napotkał spojrzenie pary niebieskoszarych oczu. Zdawało się ono mówić: „No chodź, już my ci pokazemy”.

Mieli się wzajemnie rozgrzewać. Wspólnie leżeli w polu karnym i rzucali sobie piłkę, a następnie łapali ją w obydwie dłonie. Ich ciała wyglądały jak huśtawki, które rytmicznie unosiły się i opuszczały, wydając jedynie – podczas kontaktu piłki z gąbczastym materiałem rękawiczek – dźwięk podobny do kłaśnięcia. „Chyba już wystarczy – pomyślał Robert Enke po kilku minutach. – Przecież to tylko rozgrzewka”.

Potrzebował tygodnia w Mönchengladbach, aby się przekonać, że Uwe Kamps nigdy nie ma dość. Chciał, aby Enke, nowy rezerwowy i potencjalny rywal, poddał się. Chciał go pokonać nawet w najdrobniejszych elementach codziennego treningu.

Kamps rozegrał dla Borussia Mönchengladbach ponad 300 meczów w Bundeslidze. Miał 32 lata i należał do ulubieńców kibiców. Według trenera był właściwie nie do przejścia. Robert Enke miał 19 lat, był trzecim bramkarzem i po prostu młodym chłopakiem. Podczas pierwszych sezonów miał się uczyć od Kamps, a pewnego dnia dojrzeć do bycia numerem jeden. Tak mówił Dirk Heyne, trener bramkarzy, dzięki któremu Enke zdecydował się przejść do Borussia i który sprawiał wrażenie sympatycznego i kompetentnego.

Robert spozrywał na Heyne. Trener milczał, mimo że widział, co Kamps właśnie zrobił!

– OK – powiedział w końcu – teraz kopcie do siebie piłkę na wysokości klatki piersiowej.

Kamps strzelał coraz mocniej i szybciej, z coraz większą siłą. Chciał zobaczyć, jak Enke wypuszcza piłkę.

Wieczorem, już z pewnym dystansem do treningu, Robert uśmiechał się do siebie, wspominając wydarzenia minionego dnia. Nie brakowało mu sympatii wobec Kamps. Bo co to był za typ! Następnego dnia, w drodze na trening, sprawa na nowo nabrała dla niego powagi. Zadał sobie pytanie, czy bramkarz Bundesligi musi być taki jak Kamps i przede wszystkim czy on sam kiedykolwiek mógłby się taki stać.

Głównym celem Bundesligi lat 90. było tworzenie presji. Musieli ją wywierać wszyscy: trener na piłkarzach, rezerwowi na trenerze za pośrednictwem prasy, rezerwowi bramkarz na podstawowym, podstawowy na rezerwowym, a dyrektor siłą rzeczy na wszystkich. Jediną osobą, która wywierała presję na Robercie Enke

w Jenie, był on sam.

W Mönchengladbach, po treningu, czasami wybierał się na siłownię, ponieważ mówiono mu, że to ważne. Tak zresztą robiła większość kolegów z drużyny. Wcześniej praktycznie nie siadał do sprzętu siłowego. Nie musiał dodatkowo trenować, wystarczał mu talent. W siłowni nie było żadnych okien. Kamps zazwyczaj był już na miejscu z trenerem przygotowania fizycznego Jörgiem Neblungiem. Obydwaj mierzyli się w wyciskaniu na ławeczce. Neblung, były dziesięcioboista, ze względu na swoje długie nogi raczej nie miał szans z małym i krępymp Kampssem, jednak duch sportowy w nim nie umierał. Wyciskał, starał się, aż podniósł upragnione 120 kilo, jednak Kamps zawsze wyrównywał. Za każdym razem koniecznie chciał go przebić. Robert Enke zachowywał się, jakby nie widział całej tej rywalizacji.

– To jak, mam ściągnąć ciężarki? – spytał Kamps, gdy zobaczył, że Enke podszedł do hantli. – Najlepiej, jeśli podniesiesz sam drążek, bo się przeciążysz.

Zarechotał jak z najlepszego dowcipu. Według niego tak właśnie powinny wyglądać stosunki pomiędzy bramkarzami: po sportowemu uczciwe i po przyjacielsku szorstkie.

„Uwe uwielbiał ze wszystkiego robić zawody – opowiada Neblung. – Miał bardzo profesjonalne nastawienie i zawsze kończył trening jako ostatni. Tylko ktoś z takim stosunkiem do pracy mógł osiągnąć sukces. Byliśmy tego pewni”. Tą mrówczą pracą podczas treningów Kamps pokonał swoje wrodzone wady. Mając 180 centymetrów wzrostu, był właściwie za niski na bramkarza, jednak od dekady nieprzerwanie zajmował miejsce między słupkami Borussia.

Trener przygotowania fizycznego próbował nakłonić nowego bramkarza do podobnych zawodów jak te, które urządzał ze starym. Enke miał szerokie plecy, ale dłonie i nogi chude jak niewytrenowany nastolatek. „Drzemał w nim atleta”, opowiada Neblung. Trener przygotowania fizycznego jako były lekkoatleta nie miał na początku zbyt łatwo wśród zawodników – przecież lekkoatletą zostaje się, gdy nie potrafi się obchodzić z piłką! Mimo to z biegiem czasu zyskał ich zaufanie.

– Jörg, musimy się rozciągnąć.

– Ej, Neblung, chcę poprawić swoją szybkość.

Po trzech latach pracy w Borussia połowicznie udało mu się w końcu wdrożyć do drużyny, więc nawet nie nalegał, gdy Robert Enke twardo odmawiał udziału w ukierunkowanym treningu fizycznym. Przecież był on jedynie trzecim bramkarzem. „On tak naprawdę nie rzucał się w oczy”, wspomina Neblung.

Jako uczeń wychodził wszystkim naprzeciw, jednak jako trzeci bramkarz był obserwatorem.

Borussia Mönchengladbach rok wcześniej zdobyła Puchar Niemiec – pierwszy tytuł od 16 lat. Bohaterowie finału otrzymali nowe kontrakty. Finansowo było to

odważnym posunięciem, ale menedżer Rolf Rüssmann w pierwszej kolejności myślał o możliwych korzyściach sportowych, a nie o modelu spłacania kredytów. Pojawiły się oczekiwania, że powróci tradycja lat 70., gdy klub radził sobie znakomicie. Mając w kadrze długowłosych piłkarzy, których myśl piłkarska była wolna od ograniczeń, Borussia zdobywała mistrzostwa seriami. Teraz, dzięki Stefanowi Effenbergowi, Martinowi Dahlinowi czy Christianowi Hochstätterowi, znów miała szansę odzyskać dawną potęgę.

W drodze powrotnej autobusem z placu treningowego w Rönneten na stadion w Bökelberg Robert Enke musiał stać. Zabrakło miejsc siedzących. Najmłodszy musiał pozostać w przejściu, gdyż starsi uważali, że najpierw powinni się wykazać na boisku.

Gdy autobus skręcał ostro z ulicy Kaldenkirchener w Bökelber, Robert Enke zderzył się z innym stojącym chłopakiem, Marco Villą, drobnym 18-latką. Gdy trener Bernd Krauss, ze względu na słabe wyniki innych, postanowił go wystawić, ten w swoich pierwszych siedmiu meczach zdobył trzy gole. Czegoś takiego nie było w 33-letniej historii Bundesligi! Patrząc na Villę, Robert Enke zdał sobie sprawę, że młody wiek nie przeszkadza w osiągnięciu sukcesu.

Villa, kiedy jego starsi koledzy brali prysznic, wcierał im mydło w slipki, budząc tym ogólną wesołość.

Nie robił tego, aby się popisać – po prostu chciał się dobrze bawić. „Nie myślałem zbyt wiele – wspomina dziś Marco Villa. – W zasadzie chciałem, żeby starsi i ułożeni piłkarze w zespole, jak na przykład Effenberg czy Kalle Pflipsen, mnie zaakceptowali. Chciałem być taki jak oni”.

Gdy pewnego dnia Kamps zbeształ Villę po całoci, ten odpowiedział:

– Wiesz co, Uwe, są piłkarze, których się szanuje, ale są też tacy, którzy chcą być szanowani. Ty należysz do tych drugich.

– Ojoj! – krzyknął Christian Hochstätter, 33-latek, który chętnie odgrywał rolę najstarszego w zespole.

Villa pozwolił sobie na zachowanie, które nie było dotychczas zwyczajne dla nikogo w Borussii. U starszych piłkarzy wywołało to uśmiechy. Effenberg podszedł nawet do Marco i poklepał go po ramieniu. Villa strzelał gole, a poza tym są ludzie, których lubi się, nie wiedząc nawet czemu. Villa był właśnie kimś takim.

Robert Enke nigdy nie wkładał mydła w slipki kolegów i nie robił podobnych psikusów. Był jednak we wspaniałym i lekkim sposobie szczęśliwy, gdy ktoś w jego towarzystwie robił sobie żarty.

Do szatni wszedł menedżer Rolf Rüssmann.

– Czy ma ktoś krem do twarzy? Mam strasznie wysuszoną skórę.

– Tutaj – powiedział boczny obrońca Stephan Passlack.

Pięć minut później twarz Rüssmanna była jak wciśnięta w maskę przeciwgazową.

Passlack nie dał mu kremu, a żel do włosów.

Po treningu Robert Enke szybko wracał z Bökelbergu do swojego mieszkania w Loosenweg. Nie zostawał dłużej, gdy reszta piłkarzy szła na obiad. Myślał, że jako młodziak i trzeci bramkarz powinien się ulotnić.

W Loosenweg stoją w szeregu trzy i czteropiętrowe bloki pokryte elewacją z klinkieru w kolorze ochry. To tam kończy się miasto. Dziś we wspólnotowych ogródkach powiewają niemieckie flagi – wtedy jako ozdoby porcelanowe gąski z kokardkami wokół szyi.

Mimo że Robert już wtedy należał do dobrze sytuowanej klasy społecznej, rodzice Teresy co miesiąc płacili za połowę ich czynszu. Uważali, że tak należy czynić, gdy ich córka jest studentką.

Teresa każdego dnia przejeżdżała 30 kilometrów do Düsseldorfu, gdzie znajdował się jej uniwersytet. Przygotowywała się do zawodu nauczyciela ze specjalnością „wykształcenie fizyczne oraz język niemiecki”. Po wykładach zawsze jechała prosto do domu. Chciała być przy Robertcie, zresztą jej mieszkający na stacjach koledzy i koleżanki tworzyli raczej zamknięte kręgi. Tak naprawdę nie wiedziała, jak ma się z nimi zintegrować. Na plakatach wyczytała o imprezie organizowanej na stołówce, więc pomyślała, że uda się tam z Robertem – większość czasu spędzali przecież tylko we dwoje.

Pomyślała o dawnej koleżance ze szkoły średniej, Chris, z Bad Windsheim i wysłała jej nostalgicznego SMS-a: „Pamiętasz, gdy miałyśmy po 13 lat i w Café Ritter gdybałyśmy na temat życia studenckiego? Jak codziennie zadawałyśmy sobie pytanie: idziemy na wykład czy do kawiarni?”.

Pierwotne wyobrażenie o studiowaniu sprawdziło się tylko w przypadku dorywczej pracy – pomiędzy wykładami Teresa dorabiała w sklepie z butami. „Niestety miałam 30 procent zniżki, więc zarobione pieniądze wydawałam w sklepie”.

Robert dziwił się, że można tak lekką ręką roztrwaniać zarobione pieniądze na buty. Sam miał opory przed kupowaniem drogich rzeczy. Na swoje zarobki, jak sam mówił, musi uważać.

– Przepraszam – powiedział pracownik banku, gdy pewnego dnia Teresa pobierała pieniądze ze wspólnego konta. Przy państwa stanie konta dobrym rozwiązaniem byłoby założenie lokaty.

Pensja Roberta Enke wędrowała na jego konto oszczędnościowo-rozliczeniowe, a on jego nie ruszał. Zamienił używanego peugeota od Flippiego na malutkie audi, dwa razy do roku, podczas wyprzedaży, kupował sobie ubrania, a poza tym nie miał zbyt wielu życzeń, które mógłby spełnić za pomocą pieniędzy. Najchętniej leżałby razem z Teresą na sofie.

Podczas gdy jego dziewczyna była na zajęciach, on przerzucał kanały lub czytał gazetę albo jakiś kryminał. W ten sposób czekał, aż wróci z uczelni.

Gdy ponad dekadę później, już po jego śmierci, zaczęto publicznie mówić o jego depresji, wielu ujrzało w Teresie tę silną kobietę, która stoi za każdym silnym mężczyzną. Jednak ich przyjaciele zawsze przeczuwali, że ona i Robert są dla siebie wzajemnym wsparciem. W Mönchengladbach, podczas pierwszego wspólnego pobytu w nowym mieście, powstała między nimi całkowicie nowa więź. „Faceci czasami wychodzą gdzieś we własnym gronie – opowiada Torsten Ziegner. – Tymczasem Enkus nie. Jeśli umawiałeś się z Robertem, to automatycznie umawiałeś się również z Teresą”.

Byli szczęśliwi, mogąc uniezależnić się od rodziców i dzieląc wszystkie doświadczenia typowe w tej fazie życia, które z czasem będą ich trochę zawstydzają: niekontrolowane obijanie się, używanie suszarki na pranie jako wieszaka, pierwsze samodzielnie kupione wycieraczki... Mimo wszystko miłość i poczucie wolności nie wystarczyły, by całkowicie pozbyć się uczucia obcości. „Byliśmy dwojgiem 19-latków, którzy tak naprawdę powinni mieszkać na stacji. Zaledwie rok wcześniej mieliśmy w Jenie paczkę przyjaciół – mówi Teresa. – Nagle rzucono nas do małego miasteczka, w którym nie było społeczności studenckiej, gdzie nie mieliśmy nikogo bliskiego i gdzie niełatwo było nam znaleźć nowych znajomych”. Czasami zadawała sobie pytanie: czy właśnie tak wygląda dorosłe życie?

Co szósty piątek Teresa wraz z Robertem czyścili klatkę schodową. Pozostała piątka najemców postanowiła zaoszczędzić 20 marek na sprzątacze. Pewnego dnia Teresa późno wróciła z uczelni. Robert był w drodze na mecz z rezerwami Borussii. Pomyślała, że posprzątają w sobotę. Niewiele później ktoś zadzwonił do drzwi.

– Schody nie są sprzątnięte! – upomniała sąsiadka Corinna, osoba niezwykle dbająca o porządek.

– Wiem. Nie ma Robbiego, a ja jestem padnięta po powrocie z uczelni. Sprzątnę jutro z samego rana.

– Schody muszą być sprzątnięte w piątek!

Corinna dzwoniła coraz częściej. Miała pretensje, że w kątach jest niewystarczająco czysto lub że ktoś w brudnych butach przebiegł po mokrych jeszcze stopniach.

Robert starał się traktować sąsiadkę z powściągliwą uprzejmością. Kilka tygodni później, w piątek, zastraszona Teresa ściągnęła przed wejściem do bloku buty i wbiegła na trzecie piętro w samych skarpetkach.

Pewnego razu odwiedził ich Marco Villa. Robert znał go od trzech lat, jednak nie byli szczególnie blisko, po prostu razem grali w młodzieżowych reprezentacjach.

Marco Villa pochodził z Neuss, Robert Enke z Jeny. Zdaniem Marco ich pierwszy

wspólny trener w młodzieżówce kładł nacisk na myślenie w kategoriach wschód – zachód, przez co już podczas samej rozgrzewki doszło do podziału na dwie grupy: „wschodnią” i „zachodnią”.

Gdy Marco przyszedł do Roberta na obiad, ten siedział w czerwonym skórzanym fotelu i czytał książkę. Marco szybko spojrział na okładkę: *100 zawodów z przyszłością* Claudii Schumacher i Stefana Schwartza.

– Co ty czytasz? – zdziwił się. – Szukasz nowej pracy czy co?

– Chciałem zobaczyć, co można robić poza piłką nożną.

– Chyba cię pogięło, jesteś przecież piłkarzem Bundesligi!

– U ciebie, Marco, sprawa wygląda inaczej niż u mnie. Ty grasz i strzelasz bramki. Ja nie załamuję się nawet na ławkę. Trenuję, jednak gdy zaczyna się robić poważnie, to albo jestem w domu, albo na trybunie. Jestem bezużyteczny!

– Masz 19 lat, Robbi! Jesteś tu pierwszy rok. Za kilka lat będziesz grał w pierwszym składzie, nie zadrećzaj się.

Nie zagłębiali się w ten temat. Gdy kilka lat później Marco wspominał tę rozmowę, Robert obruszał się: „O czym ty mówisz? Nie pamiętam, abym kiedykolwiek miał taką książkę”. Jednak do dziś stoi ona w jego biurze w Empede, a obok niej wisi srebrny medal zdobyty w 2008 roku podczas mistrzostw Europy. Książkę tę Enke otrzymał od ojca Teresy.

– Zerknij – zachęcił przyszły teść – może zainteresuje cię inny zawód.

Jakby gra w piłkę była mało przyszłościowa...

Robert nie chciał już brać udziału w treningu. To było zimą, w styczniu 1997 roku, gdy o 16.30 zrobiło się ciemno, a on sam siedział w tym małym miasteczku, z którym nic go nie łączyło, w domu, w którym miłsze były dla niego krasnale ogrodowe niż sąsiedzi. A wszystko to po to, by być trzecim bramkarzem, by grać z rezerwami przed 120 widzami i by każdego dnia znosić stres na treningu.

Napięcie w szatni było duże. Trenera Berndta Kraussa co sobotę od dymisji dzieliło 90 minut, a w grudniu właśnie nadszedł ten moment. Zdobywca Pucharu Niemiec, wzmocniony, aby zaatakować czołówkę Bundesligi, utknął w środku stawki. W meczu towarzyskim przeciwko drugoligowej Fortunie Köln Robert dostał szansę gry od pierwszych minut, a Borussia przegrała 1:4.

Ponownie poczuł gorącą, nerwową presję. Strach z czasów gry w juniorach starszych znów powrócił. Bał się, że nigdy nie stanie się kimś takim jak Kamps – kimś, kto wywiera presję na innych i radzi sobie z tą wywieraną na niego. Wydawało mu się, że nikogo nie interesuje, co robi trzeci bramkarz, że jest niewidoczny. Równocześnie obawiał się, że ewentualne błędy mogłyby ściągnąć na niego gniew starszych kolegów. Jedno zaprzeczało drugiemu, jednak strach sam w sobie był paradoksem.

Dla Teresy był to nowy Robbi. Dziwiło ją, skąd ten strach się wziął, bo wcześniej go u niego nie dostrzegą. Z drugiej strony sama też czuła rozczarowanie, ponieważ wraz z pójściem na studia sama poniekąd stała się anonimowa. Może więc Robbiego, tak samo jak ją, dręczyła tęsknota za beztroskim życiem wśród przyjaciół, w Jenie. A może mieli po prostu gorszy czas.

Minął tydzień. Każdy kolejny poranek wyglądał jak poprzedni.

– Nie chcę iść na trening.

– Robbi, to przecież nic strasznego.

– Nie chcę iść i już, nie rozumiesz? Po prostu nie chcę.

– Marco też tam jest. Zobaczysz, jak już tam pojedziesz, będzie lżej.

Gdy wyszedł, zadzwoniła do jego ojca.

Dirk Enke pojawił się już w następnym weekend. Widział ten strach u innych pacjentów.

– Niech pani zrozumie – powiedział Teresie – ojciec nie może być jednocześnie terapeutą.

Mógł jedynie poradzić synowi, aby każdy jego dzień miał stały, ukształtowany przebieg.

Podczas swoich odwiedzin już o 7.00 zerwał go z łóżka i kazał wyznaczyć jasne cele na najbliższe kilkanaście godzin. Nawet jeśli byłby to jedynie spacer, to i on mógłby dać mu uczucie, że coś udało mu się zrobić.

Wyjeżdżając, na pożegnanie powiedział krótko:

– Idź do lekarza.

Roberta czekał zimowy obóz przygotowawczy. Strach stał się paniczny. Był zdania, że nie może tam jechać i spędzić całego tygodnia wyłącznie z piłkarzami, którzy go nie dostrzegają i którzy podczas treningu dokładnie zapamiętają każdy z jego błędów.

Poszedł do Heriberta Ditzela, lekarza klubowego.

Lekarze w klubie są pod olbrzymią presją ze strony trenerów. Co tydzień wbrew kodeksowi etycznemu medycyny zmuszani są podawać piłkarzom leki przeciwbólowe i wysyłać ich do boju.

Tym razem jednak myślał tylko o człowieku, który przed nim stał, nie o klubie. Lubił tego powściągliwego chłopaka. Wypisał mu zwolnienie z powodu grypy, tak by nie musiał jechać na obóz treningowy.

Gdy drużyna wróciła, Robert Enke dostał nową ksywkę. Od tej pory był on nazywany Cyrusem – tak jak bohater *Lotu skazańców*, „Wirus” Cyrus. Nikt nie miał wątpliwości co do tego, że rzeczywiście miał grypę. Nowa ksywka sprawiła, że mógł się w duchu śmiać. Jego strach minął po czterech tygodniach.

Starał się uczyć od Kampsa. Jeśli Uwe potrzebował, aby postrzegano go jako rywala,

to Robert postanowił, że zacznie się od niego uczyć. Obserwował starszego kolegę kątem oka. Podczas strzałów, trochę spekulując, rzucał się w jedną stronę, a podczas dośrodkowań piąstkował, chociaż tak naprawdę mógł złapać piłkę. Robert przyznał później, prawie z zażenowaniem: „Trochę kopiowałem styl Uwe”.

Kilku niemieckich bramkarzy, takich jak Uwe Kamps, po udanej paradzie turlało się jeszcze z piłką kilka razy przed wiwatującymi kibicami. Pobierali nauki u idoli z lat 80., takich jak Toni Schumacher. Jeśli pojawiał się przed nimi sam napastnik, to z całej siły rzucali mu się pod nogi. Jeśli skierowali piłkę nad poprzeczkę, to podczas skoku podciągali kolana do góry, aby każdy zauważył dramaturgię tej sytuacji. Niemcy uważali, że ich bramkarze są najlepsi na świecie.

Nikogo więc nie dziwiło, że pod koniec lat 90. wyśmienici bramkarze, tacy jak Andreas Köpke, Stefan Klos czy też młody chłopak z Karlsruhe, Oliver Kahn, grają w głębi własnego pola karnego, blisko linii bramkowej, podczas gdy Argentyńcy, Hiszpanie czy Holendrzy spełniają rolę rezerwowego libero. Ich bramkarz wybiegał do przodu, przez co uniemożliwiał wysokie dośrodkowania, a jego gra z obroną, dla której stał się odbiorcą podań, niszczyła pressing przeciwnika. Jednym z proroków ofensywnej gry bramkarskiej stał się Edwin van der Sar z Ajaxu Amsterdam. Robert Enke widział go w telewizji, na treningu zaś obserwował Uwe Kamps. Porównywał obydwu i bliższy był mu model niemiecki: spektakularna obrona zamiast skupiania się na przeciwdziałaniu.

Po dziewięciu miesiącach gry w Mönchengladbach po raz pierwszy otrzymał pochwałę.

– Borussia może się uważać za szczęśliwca, że ma tego młodego człowieka – powiedział trener Hannes Bongartz gazecie »Rheinische Post«. – Do niego należy przyszłość.

Podczas pierwszych miesięcy gry w Borussii Robert nauczył się, że piłka nożna to nie zabawa, a walka. Piłkarze osiągają swoje cele poprzez wywieranie na sobie samych presji i na przyjmowaniu jej od osób trzecich. Jednak słowa Bongarta uskrzydlały go i były skuteczniejsze niż jakakolwiek presja.

Z przyjęcia kończącego sezon – Borussia nie świętowała jednak swego 11. miejsca, a raczej fakt, że długi sezon wreszcie dobiegł końca – Robert chciał wrócić do domu około północy, ale Teresie zależało, by zostali jeszcze trochę.

Była ciekawa tego aspektu życia Bundesligi, poza tym w końcu trafiła jej się impreza, jakiej oczekiwała po życiu studenckim. Siedzieli w szklarni dużego sklepu z kwiatami, który specjalnie z tej okazji został przerobiony na salę bankietową.

– To ty zostań, a ja pójdę do domu – powiedział Robert i pożegnał się.

Została tylko garstka piłkarzy. Gdy zrobiło się naprawdę późno, Stefan Effenberg wykrzyknął:

– No, to gdzie teraz idziemy?

Effenberg jako piłkarz już od dawna był zbyt wielki dla Borussia i często musiał to sobie jakoś odbijać.

– Możemy iść do nas – zaproponowała Teresa, tak jakby chodziło o znajomych z uczelni.

– Nie, darujmy sobie – powiedziała żona Effenberga, ucinając temat.

Teresa opowiedziała Robertowi o całej sytuacji już następnego poranka, a on stwierdził:

– Jeślibyście tu przyszli, to wywaliłbym ich i ciebie razem z nimi.

Powaga w jego głosie wystraszyła ją.

Trudno jej było zrozumieć, dlaczego gdy wszyscy głośno świętowali, on stał się cichy i wycofany. „Dziś jestem z niego dumna, że już wtedy miał taki silny charakter – mówi w rozmowie ze mną. – Powiedział mi: »Nie imprezuję chętnie, więc nie chodzę na przyjęcia czy dyskoteki, nawet jeśli inni mnie naciskają«”.

Doceniał Effenberga za jego sposób bycia oraz za to, jak traktował młodszych piłkarzy, był dla nich bowiem niczym starszy brat. Gdy ktoś taki jak Marco Villa, 18-latek, grał jak natchniony, Effenberg nie tylko okazywał mu szacunek, ale i zapewniał ochronę. Jednak w przeciwieństwie do Willi Enke nie miał ochoty na poznanie świata Effenberga i Kampsa poza Böckelbergiem. Wyobrażał sobie ich życie wśród świateł neonów i był zdania, że do nich nie pasuje.

Robertowi Enke okazyjnie trafiały się dni wolne od anonimowej codzienności rezerwowego bramkarza. W dalszym ciągu otrzymywał powołania na mecze młodzieżówki, podczas których był numerem jeden. W Belfaście grali przeciwko Irlandii Północnej, a on dzielił pokój w hotelu z Marco. Znali przyzwyczajenia trenera juniorów Hannesa Löhra, który w przeddzień meczu odwiedzał pokoje piłkarzy i zagrzewał ich do walki. Po roku znali już na pamięć jego powiedzonka w rodzaju: „Jutro musimy koniecznie wygrać. To bardzo ważny mecz”.

– Dziś nie mam na to ochoty – stwierdził Robert pewnego dnia.

Przesunęli telewizor prosto przed drzwi. Zgodnie z oczekiwaniami o wpół do dziewiątej usłyszeli pukanie.

– Kto tam?

– Trener.



Robert w koszulce młodzieżowej reprezentacji Niemiec

– Ach, trenerze, chwila. Teraz nie bardzo jest jak wejść, niech pan uważa! O nie, trenerze, proszę chwilę poczekać!

– Marco, co się u was dzieje?

Cały czas rozmawiali przez zamknięte drzwi.

– Telewizor stoi przed drzwiami i najpierw musimy go przestawić, a nie wiem, czy mi się to uda. Kurde, ale on jest ciężki! – krzyknął Marco, spokojnie siedząc na krześle.

– Dobra, chłopaki nieważne, darujmy sobie – westchnął Löhr i odszedł.

Dla kolegów z drużyny wyglądało to tak, jakby Marco wygłupiał się, a Robert po prostu mu towarzyszył. Robert był przekonany, że to on wraz z Marco robił psikusy. „Teresa często mówiła: »Wy dwaj razem jesteście nieznośnie śmieszni« – wspomina Marco. – W chwilach, gdy się śmialiśmy, Robbi był najszczęśliwszy”.

Jak na człowieka, który był przyzwyczajony, że jego życie kręci się tylko wokół sportu, Robert Enke otrzymał w 1997 roku niezbyt korzystną dla siebie wiadomość: musiał iść do wojska.

Chciał odbyć służbę zastępczą, jednak jego podejście do życia i swego rodzaju wygodnictwo okazały się silniejsze niż przekonanie, że nigdy nie weźmie do ręki broni. Na odbycie służby cywilnej musiałby poświęcić 13 miesięcy. Jako profesjonalny sportowiec poszedł do wojska na trzy, w przerwie letniej. Po odbyciu służby zasadniczej pozostały czas w wojsku miał mu zostać odpuszczony.

Razem z nim zmobilizowano Marco Villę. Trafili do koszar w Köln-Longerich,

znajdujących się pomiędzy autostradą A1 a okręgiem przemysłowym Bilderstöckchen. Przydzielono ich do łączności.

– Odlicz! – darł się starszy stopniem żołnierz podczas powitania, a następnie podszedł bardzo blisko do Roberta i prawie dotykając go nosem w nos, powiedział: – No, panie supersportowcu.

– Ile zarabiasz, ile ja zarabiam, ile zarabiasz, ile ja zarabiam – mruczał pod nosem Enke, gdy wojskowy był już wystarczająco daleko, by go nie usłyszeć. Marco wybuchł śmiechem.

– Z czego się śmiejesz?! – wydarł się mimo to wojskowy.

– Łącznościowiec Enke! – krzyknął innym razem w kierunku poborowych zgromadzonych na dziedzińcu koszarów. Sam stał przy oknie. – Ubiór, łącznościowcu Enke!

– Tak, ubiór – burknął pod nosem Robert, gdy szedł dziedzińcem do stołówki.

– Niech pan na siebie spojrzy!

Zapomniał o furażerze oraz pasie. Musiał napisać czterostronicowe wypracowanie o znaczeniu ubioru w wojsku.

Następnego dnia podczas wykonywania pompek wysunęła mu się koszula ze spodni.

– Łącznościowcu Enke, ubiór!

– Tak, słucham, co z ubiorem? – wycedził.

Za karę musiał raz sprintem przebiec wokół bloku.

On jednak truchtał.

– Powiedziałem sprintem, łącznościowcu Enke!

Wojskowy kazał mu przebiec jeszcze jedno kółko, a Robert dalej truchtał. Tym razem miał być jak Uwe Kamps. Nigdy nie zamierzał się poddawać. Aż kipiał ze złości. Jeśli czegoś nie znosił, to było to niesprawiedliwe traktowanie.

Po 11 kółkach wojskowy zrezygnował.

– Odmaszerować, łącznościowcu Enke.

Marco Villi wydawało się, że Robert przyciąga nieszczęścia. Gdy grali wspólnie w Borussii i mieszkali w hotelu, to Marco ze śniadania specjalnie szedł złą drogą, a Robert grzecznie za nim dreptał, aż zamiast przed windą, stawał przed pomieszczeniem gospodarczym i rozglądał się bezradnie. „On miał najgorszy zmysł orientacji na świecie – wspomina Marco, dodając: – Za każdym razem doprowadzał mnie do śmiechu, gdy krzyczał: »Gdzie właściwie jesteśmy?«”.

Marco twierdzi, że ma w zanadrzu mnóstwo historyjek z wojska czy boiska, ale ich magii osoby postronne by nie zrozumiały. Przyznaje też, że dla niego i Roberta trzy miesiące spędzone w Köln-Longerich okazały się bezcenne. To prawda – Robert znalazł tam przyjaciela, który był przy nim do końca jego życia.

Dziś Marco mieszka wraz z żoną i dwójką dzieci we Włoszech, skąd pochodzi jego ojciec i gdzie wciąż profesjonalnie gra w piłkę. Włoski wpływ na jego karierę jest nie do przecenienia.

Marco zapuścił włosy, grzeczną uczniowską fryzurkę z czasów gry w Mönchengladach zmienił na modne obecnie uczesanie. Siedzi w Roseto nad Adriatykiem, popijając poranną kawę w Pasticceria Ferretti, i opowiada o tekstach piosenek Vasco Rossiego. „Ciebie bardziej interesuje szkoła – śpiewa Rossi – ale później kto wie, jak dobry się okażesz w życiu”. „Coś w tym jest”, mówi Marco. Rozpoznaje sam siebie, gdy zmienia słowo szkoła na piłka nożna.

Gdy Marco zaczyna opowiadać, wszyscy chętnie go słuchają. Robert Enke miał przede wszystkim poczucie, że Marco go rozumie.

W sierpniu 1997 roku dla Roberta zaczął się pierwszy sezon po odbyciu służby wojskowej. Marco Villa miał podczas treningu strzeleckiego wielką chęć pokonania Uwe Kamps: napawał się każdą chwilą, gdy ten wychodził z siebie. „Żeby nikt mnie źle nie zrozumiał: w gruncie rzeczy Uwe był bardzo miły”, wspomina. Jednak bez konkretnych rozmów na ten temat Marco przeczuwał, że Robert w środku cieszy się ze zdenerwowania Kamps. Ta myśl dodawała mu sił i sprawiała, że był szczęśliwy.

W drugim sezonie gry w Bundeslidze Robert Enke dokonał najmniejszego z możliwych przeskoków, stając się bramkarzem numer dwa. Drugi bramkarz też nigdy nie grał, jednak dla niego był to osobisty awans. W końcu należał do zespołu. Rezerwowy bramkarz jeździł na wszystkie mecze.

Dotychczas jedynie słyszał historie Marco. Kiedy rok wcześniej drużyna jechała autobusem do Freiburga, Effenberg oraz Hochstätter siedzieli jak zawsze w drugim rzędzie, zaraz za trenerem. Marco usiadł całkiem z tyłu z Karlheinzem Pflipsenem i kilkoma innymi chłopakami, aby zagrać w karty. Nagle zrobiło się ciepło.

– Włączcie klimatyzację! – krzyczeli pasażerowie.

Za Karlsruhe temperatura stała się nieznośna. Gdy autobus dotarł do Freiburga, piłkarze z tylnych siedzeń siedzieli jedynie w slipkach, bo inaczej nie dało się wytrzymać.

Później dowiedzieli się, co się stało. Za sprawą hałasu wytwarzanego przez silnik kierowca nie usłyszał, czego chce siedzący w ostatnim rzędzie Marco Villa, więc zwrócił się do Effenberga:

– Czego oni chcą?

– Zimno im – odparł Effenberg bez mrugnięcia.

– Co takiego? – zdziwił się. – Przecież ustawiłem im już klimatyzację na 26 stopni.

– To podkreć jeszcze trochę – poprosił Effenberg.

Teraz był wraz z nimi Robert Enke. Przekomarzał się z Kampsem, do którego

ambicji zdążył się przyzwyczaić. Od czasu, gdy jako rezerwowy bramkarz zdobył uwagę kolegów, ekstremalna potrzeba rywalizacji Kampsa nie była dla niego już taka nieznosna.

Przed meczami w lidze zajmował pokój z Marco. Pewnego dnia wielki Effenberg zapukał do ich drzwi – chciał z Marco zagrać w wyścigi na playstation. Stawką jednego wyścigu miało być 100 marek i po zaledwie kilku minutach Marco wzbogacił się o tysiąc marek. Effenberg wyzywał go na kolejne pojedynki, choć wiedział, że nigdy z nim nie wygra.

Robert siedział w głębi pokoju i w milczeniu przyglądał się tej scenie.

Pewnego dnia Teresa przyznała, że chciałyby mieć psa. Robert zdziwił się: jak to psa?

Gdy będąc dzieckiem, Teresa wyobrażała sobie dorosłe życie, przed oczami miała domek na wsi z wieloma zwierzętami. Pytała Roberta o jego pomysły na przyszłość, jednak on takich nie miał. Jego marzenia dotyczyły wyłącznie futbolu.

– Pies byłby przecież bardzo fajnym pomysłem – przekonywała pewna swego Teresa.

Zawahał się. Nie chciał w domu zwierząt, lecz po namyśle stwierdził, że nie ma nic przeciwko. Tym, co sprawiało mu radość, było sprawianie radości innym, a przede wszystkim Teresie. Niech więc będzie i pies.

Nazwali go Bo. Nie mieli pojęcia, jak należy wychować psa.

Bo był u nich pierwszy dzień. Musieli iść na zakupy. Pies spał spokojnie, a Teresa nie chciała go obudzić.

– Chodź, wyjdziemy po cichu, nawet nie zauważy – powiedziała Teresa. Za kilka minut mieli przecież wrócić.

„Gdy wróciliśmy pies oczywiście szalał – opowiada dziś Teresa ze śmiechem. – Udało nam się popełnić wszystkie możliwe błędy. Po kilku tygodniach czuliśmy się jak zatroskani rodzice przy pierwszym dziecku. Do kina chodziliśmy tylko oddzielnie, żeby Bo nie siedział sam w domu i nie szczekał.

Pies był idealnym pretekstem do zdenerwowania sąsiadów – Corinna krzyczała, że zawsze biega po świeżo umytej podłodze. Dla Teresy i Roberta obecność zwierzaka w domu stanowiła kolejny powód, aby w końcu się wyprowadzić. Kierowca Borussii, Markus Breuer, mieszkał 50 kilometrów na południe od Mönchengladbach. Powiedział Robertowi, że mieszkanie na jego poddaszu jest wolne.

Teresa cyknęła ostatnie zdjęcia w Loosenweg porcelanowym gąskom w ogrodzie i pod koniec 1997 roku opróżnili mieszkanie. Corinna upominała ich, że taki hałas o godzinie 22.00 to bezczelność. Wtedy Robert po raz pierwszy jej odszczeknął:

– Chyba jest już dobrze, w końcu się wyprowadzamy. Jeszcze kilka minut i już nas pani więcej nie zobaczy, niech przynajmniej teraz da nam pani spokój!

Trasa prowadzi drogą lokalną przez Wey, przez pola buraków i pszenicy. Niektóre odcinki przypominają polną drogę. Za Hoppers pojawia się Gierath.

W ciągu trzech ostatnich dekad to miasto znacząco się rozrosło, a nowo wybudowane osiedle góruje nad starym centrum wioski, która dziś liczy 1500 mieszkańców.

Robert Enke szybko się z nimi zintegrował dzięki Markusowi Breuerowi.

Na parterze domu na Schulstraße kierowca Borussii prowadził sklep sportowy. Pewnego razu musiał na chwilę wyjść, a jego żona była z dzieckiem u lekarza. Markus zadzwonił więc do mieszkania na poddaszu.

– Robert, czy mógłbyś zejść na pół godziny do sklepu?

Niebawem pojawił się klient, który chciał kupić rękawice bramkarskie.

– Czy ma pan o tym pojęcie? – zapytał.

– Jako takie... – odparł Robert.

Wy tłumaczył dokładnie bramkarzowi z ligi okręgowej, na czym polega różnica pomiędzy rękawicami z pięcio- i sześciomilimetrowym okładem oraz pomiędzy pianką typu titanium a naturalnym lateksem. Gdy Markus Breuer wrócił, klient właśnie wychodził.

– Kim jest ten nowy sprzedawca, którego zatrudniłeś? – zapytał. – Jest przemiły i w dodatku kompetentny.

Breuer przedstawił Robertowi i Teresie Huberta Roßkampa, myśliwego, który zaoferował, że czasem może zająć się ich psami – mieli już dwa. Po południu, po treningu, Robert często spacerował z nim i psami po polach. „Nie można było po nim poznać, kim był, bo był tak skromny i tak normalnie wychowany”, powiedział mi Hubert Roßkamp, który dziś ma 73 lata. Pracował w biurze w przedsiębiorstwie Rheinmetall w Düsseldorfie. Swój pokój przekształcił w prywatne muzeum – wszędzie wiszą koszulki Roberta z napisem „dla mojego przyjaciela Huberta”, na regale w kuchni stoi zdjęcie z wesela Roberta i Teresy, za nim umieścił kolejne, na którym jest jego rodzina. Na jednej fotografii ma rozpuszczone długie włosy, a ubrany jest adekwatnie do wyniosłości dnia w czarną koszulę, czarny krawat oraz biały garnitur. Dwa lata temu kupił sobie samochód sportowy – mazdę MX5. W wieku 71 lat spełnił w ten sposób swoje marzenie z dzieciństwa. Przedmioty jednak niewiele mówią o ludziach, i nie tyczy się to tylko piłkarzy, ale i emerytów: skromność to jedna z najbardziej rozpoznawalnych cech Huberta.



Robert Enke z Hubertem Roßkampem przed jego domem w Gierath

Podczas popołudniowych spacerów Hubert zadawał Robertowi pytania:

– Powiedz, proszę, jak to jest, gdy wybijasz się tak wysoko? Nie boisz się, gdy podbiegają napastnicy?

– Bramkarz rzucający się na piłkę zawsze wysuwa dolną dłoń trochę dalej niż górną, ale stara się trzymać ręce równoległe – tłumaczy Robert.

– Boisz się?

– Nie, absolutnie. Zdrowa ilość nerwów jest w porządku, jednak nie ma niczego więcej.

Gdy kilka dni po 24 sierpnia 1998 roku na swym tarasie w Gierath Robert świętował spóźnione 21. urodziny, jednym z gości był Hubert. Nie zabrakło również innych sąsiadów – kierowcy Markusa Breuera i jego żony Eriki oraz przyjaciółki Teresy, pracującej na bramce w dyskotecie Christiane. Z Borussii obecni byli Marco Villa oraz Jörg Neblung, trener przygotowania fizycznego, którego Robert w pierwszym sezonie tak bardzo unikał. W lipcu 1998 roku Borussia po czterech latach współpracy nie przedłużyła z nim umowy. Neblung przeszedł więc do agencji doradcy Roberta, Norberta Pflippena.

Był szampan, Christiane upiekła pizzę, a Hubert jak zawsze przyniósł Robertowi ciasto truskawkowe. Wówczas Marco nie rzuciło się w oczy, że oprócz niego nie było żadnego rówieśnika solenizanta, nie było też żadnych bliskich przyjaciół. „To było przyjemne przyjęcie z masą miłych, uprzejmych ludzi – wspomina – a Robbi był szczęśliwy”. Miało to też w pewnym sensie związek z piłką.

Nagle, chwilę przed swymi 21. urodzinami, Robert Enke znalazł się na ustach wszystkich. 7 sierpnia 1998 roku Borussia trenowała na boisku obok stadionu Böckelberg. Bramkarze ćwiczyli osobno. Dirk Heyne bił dośrodkowania, a Enke wraz z Kampsem na przemian wyskakiwali do piłki. Rozległ się trzask, który usłyszeli nawet piłkarze po drugiej stronie boiska. Dźwięk towarzyszący zerwaniu ścięgna Achillesa przypomina uderzenia pejcza. Uwe Kamps leżał na ziemi. Padł nie za sprawą bólu w prawej pięcie, a właśnie tego trzasku.

Jeszcze tego samego dnia przeszedł operację w klinice w Duisburgu. Chirurg prognozował, że jego przerwa potrwa cztery miesiące. Za osiem dni rozpoczynały się rozgrywki Bundesligi.

Następnego dnia w Jenie Andy Meyer prędko spojrzął na gazetę. Choć był sam w pokoju, roześmiał się. „Niepodważalny numer jeden w bramce doznał kontuzji bezpośrednio przed rozpoczęciem rozgrywek – podsumowuje Andy. – I kto na tym zyskał? Oczywiście Enkus”.

W odczuciu Teresy te osiem dni minęło błyskawicznie, jednak z drugiej strony wydawały się nie mieć końca. Przez ten czas myślała sobie: „W końcu!”, po czym dopadały ją rozterki: „A jeśli zawini przy straconej bramce?”.

Z dnia na dzień Borussia Mönchengladbach straciła doświadczonego bramkarza, który rozegrał 389 spotkań w Bundeslidze. Tylko jeden piłkarz grał więcej meczów od niego – Berti Vogts. Tymczasem miejsce Kampsza zajął bramkarz, który nie grał jeszcze w żadnym meczu Bundesligi i który był najmłodszym numerem jeden w całej lidze.

– Robert ma nasze pełne zaufanie – obwieścił Friedel Rausch, który był już czwartym trenerem Enke podczas trzyletniego pobytu w klubie.

„Co innego miał Rausch powiedzieć – mówił Jörg Neblung. – Idę o zakład, że w rzeczywistości nie czuł się z tym dobrze. Rutyniarz doznał kontuzji, a jego miejsce miał zająć złotodziób.

Marco Villa postrzegał to inaczej. „Wielu piłkarzy – na przykład nasz libero Patrik Andersson – już wtedy uważało, że Robbi jest lepszy od Kampsza. Naprawdę się nie obawialiśmy”.

Prawdopodobnie wszyscy powiązani z tą sytuacją myśleli trochę jak Jörg, a trochę jak Marco. Podobnie jak Teresa odczuwali jednocześnie radość i obawy.

Sam Robert Enke pozostał spokojny. Wytworzył w sobie mechanizm, który pozwalał mu nie okazywać zdenerwowania. Ten mechanizm rzadko zawodził. Nagle jednak zawładnął nim strach – taki sam jak trzy lata temu podczas meczu drugiej ligi w barwach Carl Zeiss Jena w Lipsku oraz taki sam jak podczas pierwszej zimy w Mönchengladbach. Starał się, jak wiele razy wcześniej, pozostawać opanowany i skoncentrowany.

Na dzień przed rozpoczęciem rozgrywek „Westdeutsche Allgemeine Zeitung” napisała: „Ten 20-latek prezentuje się niewiarygodnie dojrzałe. Sprawia wrażenie rozsądnego i wyważonego”. Robert powiedział gazecie: „Nikogo nie stawiam sobie za wzór. Szczególnie teraz”.

Ojciec piłkarza przyjechał z Jeny, a z Würzburga przybył z kolei jeden z braci Teresy. Gisela Enke była na urlopie na Słowacji. „Na pierwszy mecz Roberta w Bundeslidze wybierzemy się wspólnie” – obiecali sobie z Dirkiem Enke po rozstaniu. Teraz się to nie udało. Przeciwnikiem na Bökelbergu była ekipa Schalke 04. „Naszą nerwowością wykańczaliśmy się na trybunach nawzajem”, wspomina Teresa.

W poprzednim sezonie Borussia uniknęła spadku dopiero w ostatniej kolejce, a po zakończeniu rozgrywek wielki Effenberg przeszedł za osiem i pół miliona marek do Bayernu Monachium. W Mönchengladbach oczekiwano po sezonie 1998/99 co najwyżej lekkiej wygody. Chciano zagrzać miejsce w połowie stawki, by uniknąć goniłwy podczas walki o utrzymanie.

Na stadionie zasiadł komplet widzów, 34 tysiące. Było słonecznie. Trybuny z miejscami stojącymi, znajdujące się bezpośrednio za bramkami, są na stadionie Bökelberg bardziej strome niż gdziekolwiek indziej. Gdy bramkarz bezpośrednio przed pierwszym gwizdkiem wybiega w stronę bramki, to na trybunie doping staje się bardziej entuzjastyczny z każdym jego krokiem. Gdy dociera na linię piątego metra, czuje się, jakby stanął przed przepaścią.

Strój bramkarski Roberta Enke był cały czarny, tak samo jak w przypadku jego wielkich poprzedników na tej pozycji – Lwa Jaszyna, Gyuli Grosicsa i Ricardo Zamory.

Rozpoczął się mecz. Jeden z napastników Borussii z miejsca przedarł się prawym skrzydłem, omijając dwóch obrońców, a następnie płasko i z dużą siłą dośrodkował na linię piątego metra, wprost w rewir bramkarza. Obrońca nie interweniował, bo był przekonany, że to bramkarz zajmie się tą piłką. Jednak ten się zawahał. W czasie, w którym żaden człowiek nie jest w stanie dokończyć myśli, bramkarz jest zmuszony do podjęcia decyzji, czy wybiegnie, czy też pozostanie na miejscu. Tym razem było już za późno.

Robert Enke przyglądał się, jak nowy napastnik Borussii Toni Polster wykorzystuje niepewność bramkarza Schalke Frode Grodåsa i zdobywa gola na 1:0. To była dopiero 120. sekunda meczu, a już dziesięć minut później Mönchengladbach zwiększyło prowadzenie na 2:0.

Pojedynek stracił na dramaturgii, zanim Robert został wystawiony na poważną próbę.

Publiczność odbierała go jedynie przez pryzmat prowadzenia. Przy wyniku 2:0 wszystko wydawało się dziecinnie proste. Niewielka liczba ruchów oraz brak

jakiegokolwiek zdenerwowania w mowie ciała dały obraz bramkarza, którym nic nie może wstrząsnąć.

Borussia skupiła się na obronie i szybkich kontrach. Piłkarze Schalke dwa razy trafiali w poprzeczkę, a kilka strzałów nogą czy też głową Robert wybronił. Na dziesięć minut przed końcem padł gol na 3:0. Na tym był koniec.

– Tak właściwie to myślałem, że będę zdenerwowany – powiedział Robert Enke dziennikarzom w tunelu stadionu. Z ledwie wyczuwalnym entuzjazmem opowiadał o dośrodkowaniach, które dochodziły do bramki ostrzej niż jakiegokolwiek bite na treningach czy podczas meczów rezerw. Jak często gdy miał dobry humor, odpowiadał na pochwały z autoironią: – Piłka leciała tak szybko, że czasem nie miałem pojęcia, w którym momencie mam do niej wybiec. Jednak jakimś cudem zawsze trafiała w moje ręce.

Po meczu mało kto rozmawiał o bramkarzu – w nagłówkach gazet królowało nazwisko nowego napastnika, Toniego Polstera. „Rheinische Post” opublikowała na rozkładówce artykuł zatytułowany: *Po raz pierwszy od dziesięciu lat Borussia znalazła się na czele tabeli*. Wyczyn ten nie był jednak niczym szczególnym, jako że minęła dopiero jedna kolejka.

Po powrocie do domu Robert wyszorował pod prysznicem rękawiczki szamponem do włosów, a następnie rozłożył je do suszenia i wygładził ich piankową powierzchnię.

Porażki to jego zwycięstwo

Morderca w pewnym tonącym w deszczu amerykańskim miasteczku miał na swoim sumieniu już pięć zabójstw, gdy pewnej nocy dostrzegł na ulicy leżące psie zwłoki. „Tym razem to nie ja”, pomyślał chłodno. Podczas tej sceny w *Siedem* Robert Enke za każdym razem musiał się śmiać. Tak właściwie to gardził przemocą i był pewien, co by uczynił w chwili zagrożenia – uciekłby. Mimo wszystko obejrzał pięć czy sześć razy film Finchera, w którym nie brakowało drastycznych scen. Produkcja z Morganem Freemanem i Bradem Pittem w rolach głównych zapewniała mu coś, co od czasów gry w Borussia Mönchengladbach było dla niego coraz trudniejsze do odnalezienia. Film był tak ciekawy, że na 127 minut zapominał o wszystkim wokół. Na co dzień relaks był dla niego najtrudniejszym zadaniem.

Jego wewnętrzny film trwał nieprzerwanie. Wszystko było nowe, ciekawe, ekscytujące, ale jednocześnie profesjonalny sport nabrał cech rutyny. Tydzień w tydzień rozgrywał mecz, a jego fragmenty co rusz odtwarzał sobie w myślach – na przykład rzut wolny Martina Wagnera z Kaiserslautern, który zauważył dopiero, gdy był o jeden obrót oddalony od rogu bramki, czy też strzał z 25 metrów Chena Yanga z Frankfurtu, po którym piłka wpadła pod samą poprzeczkę. Bramkarza debiutanta nie obchodzi, że nie dało się żadnej z tych sytuacji wybronić. Po każdym puszczonego golu zastanawiał się, co mógł zrobić lepiej.

W wypożyczalni kaset znano go po zaledwie kilku tygodniach.

Od inauguracji sezonu w meczu z Schalke minęły już dwa miesiące. Z kolejnych ośmiu meczów Borussia Mönchengladbach nie wygrała żadnego. Robert Enke w całej tej fatalnej sytuacji był tylko jednym niewiele znaczącym elementem, jednak jego nazwisko regularnie padało w relacjach pomeczowych. Po porażce 1:2 z VfL Bochum Borussia znalazła się na ostatnim miejscu w tabeli.

Marco Villa podarował środkowemu napastnikowi Toniemu Polsterowi jedwabne slipki z nadrukiem Myszki Miki, które były odznaczeniem za najgorszy ubiór spośród wszystkich piłkarzy w drużynie. Polster z zadowoleniem założył wręczoną bieliznę. Jednak ogólna sytuacja w klubie nie wyglądała wesoło.

Gdy trzy lata temu Robert Enke zdecydował się na transfer do Borussia Mönchengladbach, klub był na czwartym miejscu w tabeli, a na horyzoncie rysował się przełom. Teraz ze względu na presję finansową sprzedani zostali dwaj najlepsi piłkarze – Stefan Effenberg oraz napastnik Martin Dahlin. Z pozostałymi piłkarzami

można było osiągnąć przyzwoity ligowy poziom. Jednak piłka nożna to czysta dynamika i w tym aspekcie rzeczywistość jest taka jak życie: to dynamika i zdolność przystosowania do zastanej sytuacji decydują o naszych poczynaniach w większym stopniu niż wszelkie poczynione plany i odgrywają większą rolę niż każde założenie taktyczne. W meczu z TSV 1860 Monachium, kilka sekund po wybronionym przez Roberta Enke rzucie karnym, Borussia straciła gola na 1:0. W Duisburgu w ostatnich sekundach roztrwoiła przewagę po голу samobójczym. Piłkarze nawet się nie spostrzegli, że zaczynają popełniać coraz więcej błędów. Jeden pociągał za sobą kolejny, co spowodowało, że z czasem cała drużyna wydawała się wielkim nieporozumieniem. Rok wcześniej Dahlin stosował wysoki pressing – teraz przeciwnik nie miał problemów z rozgrywaniem, bo Toni Polster nie był zbyt chętny do biegania. Rok wcześniej pressing Dahlina pomagał wywierać presję na przeciwniku – dziś Jörg Pettersson kipiał ze złości na Polstera, który grał w piłkę, jakby siedział przy kawie. Złość ta spowodowała, że nie cofał się do pomocy, aby wspierać kolegów z drużyny, choć przecież nie było innego wyjścia, bo przyszłość klubu malowała się w czarnych barwach.

Wobec drużyny trener tylko częściowo sprawiał wrażenie, że jest w stanie zapanować nad sytuacją. Friedel Rausch wygrał niegdyś Puchar UEFA z Eintrachtem Frankfurt. Od tego czasu minęło 18 lat. Podczas jednego z pierwszych treningów zwrócił się do pomocnika Valantisa Anagnostoua:

– Panie Ballandi, czy pan – trener przeciągnął słowo „paaaaan” i pokazał na Anagnostoua – mnie – tu poklepał się w pierś – zrozumieć?

– Tak, trenerze – odparł Anagnostou – urodziłem i wychowałem się w Düsseldorfie. Nazywam się Anagnostou, a nie Ballandi.

– Aha – stwierdził Friedel Rausch i zwrócił się do Villi: – A kim ty jesteś?

– Marco Villa.

– Aha, Markus.

Przez wiele lat Rausch, etatowy trener w Bundeslidze, był wyśmienitym taktykiem i wesołym motywatorem. Co prawda piłkarzy bawiła jego niezdarność, ale tak naprawdę dlatego większość go lubiła. Rausch zawsze był sobą. Jednak drużyna, która zbyt często przegrywa, widzi jedynie wady trenera. Metody treningowe uchodzące przed laty za innowacyjne wydają się żalotne. Friedel Rausch lubił, gdy piłkarze, jak to mawiał: „trenowali na całej długości boiska”. Centrum treningowe w Rönneten składało się z kilku sąsiadujących ze sobą boisk, przez co mecze treningowe rozciągały się czasami nawet na długość 240 metrów. Robert Enke śmiał się z tego wiele lat później, jednak wówczas sytuacja ta była skrajnie irytująca.

Gdy Borussia zsunęła się na ostatnią pozycję w tabeli, trener przekonał kierownictwo, aby zwolnić bezterminowo dwóch piłkarzy: Karlheinz Pflipsena oraz

Marcela Witeczka. W świecie profesjonalnej piłki nożnej nazywa się to: dać sygnał. Trzeba wprowadzić zmiany, jakiegokolwiek. Kierownictwo przekazało wskazanym piłkarzom odpowiednią wiadomość. Gdy trener spostrzegł, że większą część drużyny oburzyła jego decyzja, postanowił zmienić front. Powiedział więc swoim piłkarzom, że na życzenie władz klubu Pflipsen oraz Witeczek muszą znaleźć sobie nowych pracodawców, jednak on sam na to nie pozwoli! Na następny mecz przeciwko Bayerowi Leverkusen rozgrywany 8 października 1998 roku nominował Pflipsena na drugiego kapitana.

Był to dzień, podczas którego Robert Enke stał się znany w całym kraju.

W dziesiątej minucie spotkania kontuzji kolana doznał Marco Villa – doszło do zerwania więzadła pobocznego piszczelowego. Podszedł do niego lekarz klubowy i zaczął go badać na skraju boiska, a w międzyczasie padł gol na 0:1. Po zmianie Marco Villa, utykając, przeszedł do siedziby władz klubu, aby stamtąd, z kolaniem obłożonym lodem, obserwować mecz przed telewizorem. Gdy tylko włączył odbiornik, na tablicy widniał już wynik 0:2, a boisko opuścił z kontuzją organizator obrony Borussii Patrik Andersson.

Robert Enke siedział na ziemi z kolanami podciągniętymi pod brodę. Jego ręce zwisały bezwładnie, a na jego twarzy malowało się głębokie niezrozumienie. Wkrótce ta postawa stała się jego znakiem rozpoznawczym – gol po голу siadał z niedowierzaniem na ziemi w tej pozycji. Mönchengladbach przegrało z Leverkusen aż 2:8.

„Karnawał w Gladbach”, rozśpiewywali się kibice, a reporterzy sportowi mówili o największej klęsce od 30 lat. Jednak gdyby nie młody bramkarz, byłoby jeszcze gorzej!

„Niech następna sobota i następny mecz nadejdą szybko”, życzył sobie Robert, który chciał zapomnieć o tym upokarzającym widowisku.

Tydzień po meczu z Leverkusen Borussię czekał pojedynek z Wolfsburgiem. Teresa spotkała się z kilkoma żonami piłkarzy w barze w Mönchengladbach, aby obejrzeć transmisję spotkania. Po 53 minutach dziewczyna Uwe Kampsy powiedziała do niej:

– Boże, podczas jednego meczu Uwe stracił najwyżej cztery bramki i mimo to był załamany. Co dziś wieczorem będzie musiało się dziać u was...?

Brian O’Neil strzelił na 5:1 dla Wolfsburga. Kibice śpiewali: „Jeszcze trzy, jeszcze tylko trzy!”. Gdyby tak się stało, to powtórzyłyby się festiwal strzelecki z Leverkusen. Mecz zakończył się wynikiem 7:1.

Robert Enke stał się sławny. Nigdy dotąd w historii Bundesligi żaden bramkarz nie wyciągał w dwóch meczach z rzędu piłki z siatki aż 15 razy.

Wśród wszystkich straconych goli tylko jeden był dla bramkarza do obrony – strzał z dystansu O’Neila.

Przed wejściem do szatni czekali na niego dziennikarze, którzy z minami pełnymi współczucia pytali go, jak się czuje.

– Ach – odparł Robert – praktykę w wyciąganiu piłki z siatki zdobyłem już tydzień wcześniej.

Dzień po meczu poszedł wraz z Teresą i psami na spacer. Było to – bez znaczenia czy odniósł zwycięstwo, czy też poniósł porażkę – ich niedzielnym zwyczajem. Dziewczyna Uwe Kampsza zastanawiała się, co się u nich dzieje.

– No, strzelniczo Enke – powiedziała Teresa, a on, człowiek, którego zadreślała każda stracona bramka, mógł w obliczu swojego zdruzgotania serdecznie się roześmiać.

„Byliśmy bardzo beztroscy – wspomina dziś Teresa. – Najważniejsze było to, że nie ponosił winy za bramki, bo wtedy nie mogliśmy robić sobie z tego żartów”.

Po tamtych pamiętnych porażkach Robert musiał jednak pomagać sobie różnymi sztuczkami, aby zachować luz. „Wmówiłem sobie, że drużyna pozostawiła mnie na pastwę losu. To mnie uspokoiło”.

Bardzo często obwinał siebie jako bramkarza – za bramki, przy których był bezradny, czy też za rozczarowanie swoich kolegów z zespołu, podczas gdy żaden z nich w rzeczywistości nie czuł się rozczarowany. Nigdy go nie przepaszali tak bardzo jak wtedy, gdy stracił te 15 bramek.

– Brońcie tylko tego młodego bramkarza, bo on nie jest tu winny! – słyszała Teresa w barze z ust komentatora, gdy realizator po raz ostatni skierował kamerę na zdruzgotanego Roberta, wbijającego wzrok w ziemię.

Podczas gdy ze wszystkich stron chwalono jego imponujący spokój w obliczu klęski, wyróżniający się na tle popłochu, w jaki wpadli pozostali zawodnicy, on sam zapomniał, że raz sparaliżował go strach – trzy lata wcześniej w Jenie podczas meczu w Lipsku i na początku gry w Gladbach. „Nie jestem tak słaby psychicznie, żebym miał pełne gacie przed kolejnym meczem – powiedział w rozmowie z jednym z dziennikarzy. – Nie trzeba się obawiać, że poniosę jakieś trwałe szkody”.

Im bardziej chwalono go za spokój i pewność, tym rozważniej bronił, nawet nie zauważając tej zmiany. Dekadę później przeszedł w barwach Hannoveru 96 analizę motywacyjną metodą Stevena Reissa, której celem jest ustalenie osobowości i motywacji pracownika. Gdy poznał wyniki testu, zdziwiony powiedział Teresie, że dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak podstawowe znaczenie mają dla niego uwagi innych. Ona już w Mönchengladbach zauważyła, że „gdy czuł, że inni w niego wątpią, zaczynał mniej w siebie wierzyć. Gdy czuł, że ciąży na nim presja, zaczynał tracić pewność siebie. Gdy otrzymywał wsparcie, stawał się niezwykle silnym bramkarzem”.

W Hamburgu już po 30 minutach było 2:0 dla przeciwnika. W pole karne

dochodziło dośrodkowanie, napastnik HSV Anthony Yeboah, który był piekielnie szybki i miał niesamowitą koordynację, a dodatkowo już widział, jak wpada bramka, po raz kolejny był jeden krok przed obrońcą z Mönchengladbach Thomasem Eichinem. Robert Enke znów nie miał szczęścia – strzał Yeboaha przeleciał pomiędzy jego nogami. Takiego precyzyjnego uderzenia tunelem nie da się obronić, bo nikt nie jest w stanie złączyć nóg z taką prędkością, szczególnie że chcąc obstawić obydwu rogi, bramkarz musi mieć je szeroko rozstawione. Ten rodzaj wykończenia akcji zawsze sprawia, że broniący wygląda żałośnie, bo dodatkowo po nieudanej interwencji niezdarne ląduje na tyłku. Ma pewne jak w banku, że publiczność go wyśmiewa. Gdy Robert Enke podniósł się po tej sytuacji, skumulowana w nim złość aż wrzała. Czuł, że zostawiono go na pastwę losu, upokorzono. Wina leżała po stronie Eichina, ale ludzie śmiali się z niego. Najchętniej wykrzyczałby złość, ale uważał, że bramkarz, który traci spokój, jest na przegranej pozycji. Zmagał się ze złością, a świadomość, że tak wiele osób chwaliło go za jego spokój, pomagała mu. Ludzie mawiali, że był tym opanowanym, więc takim też pragnął pozostać. Sekundy po bramce Yeboaha na jego twarzy nie można było odczytać zdenerwowania.

Z biegiem czasu coraz częściej udawało mu się wyłączać w głowie niemy film, który nieustannie opowiadał o golach i dośrodkowaniach. Wieczorami często wraz z Teresą jeździł do Rheydt do babci Fridy. Była ona czwartą babcią w jego życiu. Starsza gospodyni wiejska przerobiła swoje gospodarstwo na mieszkania pod wynajem. Mieszkał u niej Jörg Neblung wraz ze swoją dziewczyną Dörthe. Siedząc we czworo, rozmawiali o wszystkim i o niczym. Tylko gdy w telewizji leciała piłka nożna, Robert wstawał, by obejrzeć mecz.

Jörg siadał na sofie obok niego. Podczas gdy żywo komentował poczynania na boisku, Robert wypowiadał się krótko i analitycznie, a przez większość czasu milczał. Z jednej strony oglądał piłkę, zamykając się w sobie, studiując w skupieniu kolegów oraz szukając mechanizmów sterujących grą. Z drugiej zaś strony piłka nożna pokazywana w telewizji była dla niego środkiem uspokajającym – dzięki temu nie musiał myśleć o granii.

Pewnego dnia większość towarzystwa chciała gdzieś wyjść. W powietrzu wisiała kłótnia.

– Przecież można czasami ruszyć się z domu – powiedziała Teresa.

– Można też zostać w domu – odparł Robert.

Jak często dochodziło do podobnych utarczek słownych?

Gdy odwiedzali Dörthe oraz Jörga, przegrywał w głosowaniu w stosunku 1:3 i ulegał. Gdy w dyskotecie DJ puszczał Bon Jovi, to nawet zdarzało mu się zatańczyć.

Jednak kolejnym razem miał równie mało chęci na obcowanie z życiem nocnym

jak poprzednio. Wpadł mu do głowy pewien pomysł, a wiedział, że pozostali znów będą chcieli wyjść.

– Chodź, pojedziemy jeszcze do Gebläsehalle – zaproponował Jörg.

– Nie da rady – odrzekł Robert. Próbował nie okazywać satysfakcji. – Przez przypadek założyłem trampki. Bramkarz na dyskotece mnie nie wpuści.

Jörg Neblung miał się o niego troszczyć.

– Nie mógłbyś zrobić czegoś z tym chłopakiem? Przecież on nie ma żadnych znajomych – powiedział Norbert Pflippen ówczesnemu trenerowi przygotowania fizycznego podczas drugiego sezonu gry Roberta w Mönchengladbach.

Już wkrótce Jörg Neblung miał „coś zrobić” na pełen etat, gdy Borussia nie przedłużyła jego kontraktu i Flippi zatrudnił go w roli opiekuna. W żargonie właśnie tak nazywane są osoby, które mają pomagać profesjonalnym sportowcom podczas ich życia codziennego.

Tak właściwie chciał zostać projektantem przemysłowym. Podczas egzaminu wstępnego do wyższej szkoły zawodowej w Hanowerze patrzył przez okno, szukając inspiracji. Ujrzał tramwaje w jaskrawozielonym kolorze, które przejeżdżały obok miejskich ogrodów. Zapamiętał rysował kolejne projekty, nie zapewniły mu jednak one miejsca na uczelni. Postanowił robić coś zupełnie innego: rozpoczął studia na akademii wychowania fizycznego, a jednym z jego wykładowców był prezydent Borussia Mönchengladbach, Karl-Heinz Drygalsky. Gdy w 1994 roku zatrudnił go jako trenera przygotowania fizycznego, w całej Bundeslidze funkcja ta była znana tylko Bayernowi Monachium.

Jörg Neblung myślał, że praca w zawodowej piłce nożnej nie różni się zbyt od tej w lekkiej atletyce, w której rywalizował jako dziesięcioboista. Wychodził z założenia, że sztab medyczny drużyny z Bundesligi pracuje jak jeden organizm, a pierwszy trener interesuje się indywidualnym rozwojem każdego z zawodników.

Pewnego razu zobaczył, jak trener Bernd Krauss, wbrew wszelkim prawdom treningowym, każe swoim piłkarzom biegać na wytrzymałość, co podobno miało wzmacniać ich wolę. Widział również, jak fizjoterapeuta z Borussia obgadywał go przed całym sztabem trenerskim, aby tylko sobie przypisać powrót do dyspozycji meczowej kilku zawodników. „W tym klubie wszyscy członkowie sztabu nieustannie ubiegali się o przychylność trenera i piłkarzy – wspomina. – Żeby im się przypodobać, często działali nawet wbrew własnej woli”.

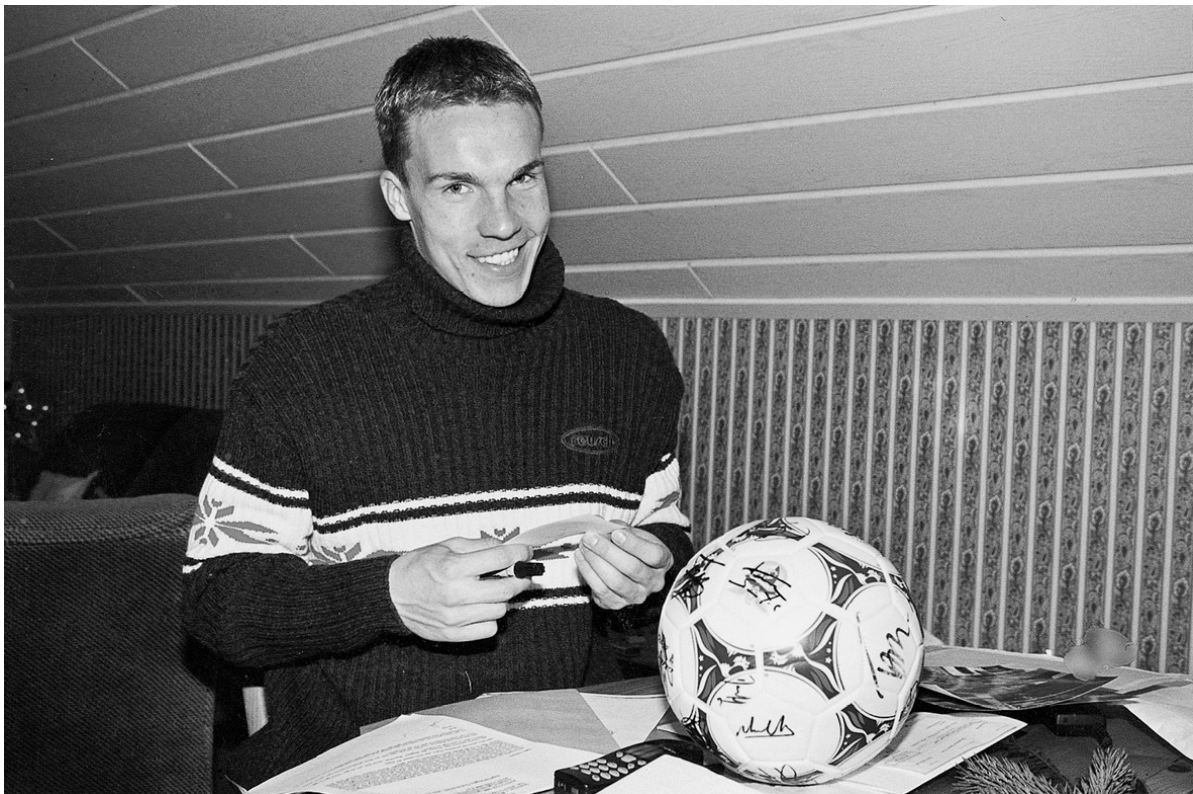
Na korytarzu przed jego chłodnym pokojem, znajdującym się na trzecim piętrze starego fabrycznego budynku przy Kölner Lichtstraße, rozbrzmiał dźwięk dzwonka, jakby ktoś przyjechał na rowerze. Była to sprzedawczyni kanapek. Pojawiała się każdego dnia. Pracownicy nie mają czasu na przerwę obiadową.

Jörg Neblung jest blondynem, pochodzi z północnych Niemiec. Mimo

skończonych 43 lat w dalszym ciągu ma sylwetkę dziesięcioboisty i dziś prowadzi własną agencję piłkarską. Podczas rozmowy często się odwraca, przez co sprawia wrażenie, jakby rozmawiał z regałem. Właśnie na nim ustawił rękawice bramkarskie i zdjęcie Roberta. Obok stoi świeczka.

Istnieje wiele rodzajów przyjaźni, a ta, która połączyła w 1998 roku Roberta Enke i Jörga Neblunga, była szczególna z jednego powodu – Jörg zawsze opiekował się Robertem. Chęć dążenia do wspólnych celów potrafi łączyć bardziej niż najgorętsze uczucie.

Jörg Neblung był w stanie zrozumieć, że w trudnych dla niego chwilach Robert chciał być sam i samemu uporać się z problemem. „Też tak mam”, przyznaje.



1998 rok. Robert za czasów gry w Mönchengladbach

Gdy jesienią 1998 roku Borussia Mönchengladbach ponosiła porażkę za porażką i w ciągu sześciu tygodni przegrała siedem meczów z rzędu, Robert przeobraził się w sportowca indywidualnego. Samotność bramkarza, często literacko nadmuchana, wywołuje współczucie, jednak gdy drużyna zmierza na samo dno, to dla niego staje się ona błogosławieństwem. Gra swój własny mecz i w porażkach odnajduje zwycięstwa. Wynik 0:2 przeciwko Bayernowi Monachium oznaczał dla niego, że obronił pięć wyjątkowo trudnych strzałów. W wypowiedziach ekspertów i dziennikarzy często padało stwierdzenie, że przynajmniej on jakoś to trzyma.

„Podczas gdy w Gladbach króluje chaos, on zachowuje spokój”, pisał „Express”

z Düsseldorfu.

„Spokój, luz, wyważenie, klasa”, komplementował mistrzowski trener Jupp Heynckes, który pół roku wcześniej wygrał z Realem Madryt Ligę Mistrzów, a obecnie zrobił sobie przerwę, podczas której często oglądał mecze Borussia w swojej ojczyźnie.

„Od zawsze był o krok dalej niż my, zarówno w myślach, jak i w czynach i w mowie – mówił pomocnik Borussia Marcel Ketelaer, który razem z Robertem wychowywał się w młodzieżowych reprezentacjach Niemiec. – Zawsze był bardziej dojrzały niż my”.

Kiedy rozpoczął się romans sportu z psychologią, modnym określeniem stała się „siła mentalna”, a Enke został uznany za sportowca nowych czasów. Przymrużano oko, gdy okazyjnie podczas dośrodkowań nie wybiegał z bramki czy też wybijając piłkę, umożliwił Hercie BSC zdobycie gola. Mało co potrafi tak poruszyć kibiców jak młody bramkarz pośród twardzieli. Jego interwencje są chwalone, mimo że w przypadku doświadczonych graczy nie są niczym niezwykłym. W pełni dotarło to do Roberta dopiero dekadę później, gdy grał w reprezentacji, a jego rywalami byli młodzi zawodnicy.

W obliczu bezprecedensowego upadku drużyna z Mönchengladbach próbowała oszukać samą siebie. W szatni zawsze przynajmniej jedna osoba stroiła sobie żarty. Przy akompaniamencie śmiechów nikt nie słyszał, że piłkarze chętniej się nawzajem obgadywali, niż ze sobą rozmawiali. Jörg Pettersson wdał się w konflikt z partnerem z ataku Tonim Polsterem i postanowił się do niego nie odzywać. Nikt jednak nie miał nic do zarzucenia Robertowi. Brał udział w rozmowach o taktyce w roli słuchacza, do prawie wszystkich nastawiony był uprzejmie, śmiał się, gdy inni obgadywali trenera, i nikt poza Marco Villą nie poznał go bliżej.

Trener zapewnił piłkarzom jeszcze jedną okazję do śmiechu, gdy „po raz kolejny zrobił Friedela Rauscha”, jak Jörg Neblung mawiał o wybuchach trenera.

– Jeśli wystawię Martina Schneidera w jego obecnej formie, ludzie pomyślą, że jestem pedałem czy coś? – powiedział jak za najlepszych czasów podczas konferencji.

W listopadzie doszło do jego dymisji – i nie tylko jego. Szef rady nadzorczej Michael Viehof zawyrokował:

– Tym razem dymisja trenera to za mało.

Zwolniony został więc również menedżer Rolf Rüssmann.

Przez pierwsze 22 lata występów w Bundeslidze Borussia Mönchengladbach prowadzona była przez trzech trenerów. Robert Enke był świadkiem, jak klub w ciągu roku zmienił trenera czterokrotnie.

Święta Bożego Narodzenia Robert spędził z Teresą i jej rodziną w Bad Windsheim. Jego ojca to zabolalo. Syn wolał spędzić czas z teściami niż z nim? Nie odważył się

jednak porozmawiać z nim na ten temat.

Dla ojca święta rodzinne miały wielkie znaczenie. Oczekiwał, że członkowie rozbitej rodziny mimo wszystko będą pielęgnowali łączące ich więzi. Mimo to Robert często zapominał nawet o urodzinach swoich bliskich. Czasami ratowała go matka. Zapobiegawczo dzwoniła do niego, mówiąc, że tego dnia urodziny ma ojciec czy też bratanica.

„Żałowałem, że komunikacja pomiędzy nami była tak ograniczona”, opowiada Dirk, który zawsze czekał na zaproszenie do Mönchengladbach. Gdy nie nadarzała się żadna okazja, zaczynał szukać pretekstów do odwiedzin syna. Chętnie zobaczyłby mecz przeciwko Bayernowi, bo w pobliżu, w Detmold, mieszkał jego brat.

Robert nie myślał o tym, że należy zaprosić rodziców bądź rodzeństwo – jeśli mieliby ochotę wpaść, toby przyjechali. Boże Narodzenie postanowił spędzić z rodzicami Teresy z jednego prostego powodu – święta spędzało się tam bardziej tradycyjnie.

Bad Windsheim leży pośród pól i lasów. Ostatniego dnia 1998 roku Robert Enke postanowił tam pobiegać.

– Wyjdę z tobą i psami, pospaceruję – powiedziała Teresa.

– Nie, nie musisz. Zostań w domu z rodzicami.

Mimo to zdecydowała się pójść.

Pojechali na odludzie, na pola za Galgenbuck, by psy mogły się wybiegać. Teresa życzyła Robertowi powodzenia, a on się oddalił.

Wrócił po dziesięciu minutach. Oczy miał podpuchnięte, bez przerwy kichał, a oddychając, świszcział.

– Nie mogę złapać powietrza!

Szybko wrócili do domu. W łazience Teresa znalazła spray na astmę. Robert porwał go i próbował użyć, jednak preparat nie mógł dostać się do płuc, ponieważ jego gardło straszliwie spuchło.

Ojciec Teresy zawiózł go do szpitala Stiftsklinik. Świst z gardła Roberta był głośniejszy niż nawet odgłos silnika.

Ojciec wbiegł do budynku jako pierwszy, otwierając z impetem drzwi do izby przyjęć. W recepcji nie było nikogo. Minęło pół minuty... a może trzy? Wreszcie pojawiło się dwóch ratowników medycznych. Robert na noszach przetransportowany został na OIOM. Miał zamknięte oczy. Podczas gdy koncentrował się na wdychaniu i wydechaniu powietrza przez zwężoną tchawicę, słyszał, jak ratownicy rozmawiają:

– To chyba ten bramkarz z Gladbach, któremu zawsze nawciskają goli.

Jego stan się ustabilizował. Leżał w łóżku z rurką w nosie umożliwiającą mu oddychanie. Nie mógł jeszcze otworzyć napuchniętych oczu, gdy pielęgniarka zapytała go:

– Panie Enke, czy chce pan coś do poczytania?

Mógł tylko się uśmiechnąć.

Sylwestra on i Teresa spędzili na oddziale ogólnym. Lekarze orzekli, że prawdopodobnie ma alergię na seler i jabłka. Każdy z tych produktów może bez problemu spożywać oddzielnie, jednak gdy, powiedzmy, jednego dnia zje zupę z selerem, a następnego dnia rano jabłko, to możliwe, że dostanie ataku. Zdał sobie sprawę, że zapewne by nie przeżył, gdyby Teresa nie pojechała z nim na jogging, ponieważ nie dotarłby do domu.

Kilka tygodni później atak alergii przerodził się w anegdotę, o której z chęcią opowiadał: „Zgadnij, co mi powiedział ratownik, gdy leżałem na łóżku!”. Teresa i Robert nie zastanawiali się już głębiej nad tym, jakie przypadki decydują o życiu bądź śmierci.

Podczas obozu treningowego w styczniu 1999 roku Marco Villa przygotowywał się na tradycyjny wybuch złości Roberta. Podczas trzeciego dnia obozu przygotowawczego wszystko zaczynało mu nagle przeszkadzać. Nigdy nie trwało to dłużej niż jeden dzień. Marco nazywał ten czas „tymi dniami Robbiego”.

– Jaki głośny ten telewizor!

– Robbi, tylko powiedz, a ściszę.

Robert bez słów udał się do łazienki.

– Używałeś mojego ręcznika! – krzyknął.

– Wziąłem pierwszy lepszy. W szafce jest jeszcze jeden nieużywany.

– Dlaczego sedes znów jest brudny! Tyle razy ci mówiłem, żebyś nie sikał na stojąco!

– Wszystko jasne, Robbi – powiedział Marco, który cały czas oglądał telewizję i czekał, aż miną te dni Roberta.

Do uczestników obozu treningowego dotarły nowinki: Uwe Kamps po raz kolejny przeszedł operację ścięgna Achillesa i w tym sezonie miał już nie zagrać. Do końca rozgrywek Robert był bez konkurenta w Borussii. Nasuwało się pytanie, co będzie później. Jego kontrakt wygasał w lipcu. Kierownictwo klubu sprawiało wrażenie, jakby o tym zapomniało.

Od chwili gdy w listopadzie zwolniono menedżera Rüssmanna, nikt nie zastanawiał się nad przyszłością, a kierownictwo klubu przerastały nawet sprawy bieżące. Prezydent Wilfried Jacobs podsumował swoją kadencję równie zwięźle co sprawiedliwie: „Przez 20 miesięcy miałem tego pecha, że nie przeżyłem ani jednej miłej sekundy”.

Runda wiosenna okazała się powtórką z jesiennej. W kwietniu 1999 roku, gdy przed zawodnikami pozostała do rozegrania jeszcze jedna trzecia sezonu, Borussia zajmowała ostatnie miejsce w tabeli i już wówczas mówiono o ostatniej szansie na utrzymanie.

W sobotę czekał ją mecz z Norymbergą, który musiała wygrać.

Dwa dni przed spotkaniem trener Rainer Bonhof poprosił Roberta do swojego biura.

Nadszedł czas na planowanie nowego sezonu, więc musiał wiedzieć, na czym stoi. Czy mógł liczyć na Enke?

– Jeszcze nie wiem.

– Robert, proszę. Potrzebuję jasnej sytuacji.

Robert Enke chciał się zachować stosownie.

– No dobrze. Odejdę.

Nie miał zamiaru grać w słabo zorganizowanym drugoligowym zespole, bo takim właśnie byłaby Borussia w przyszłym sezonie.

Trenerowi wyjawiał tylko małą część całej prawdy: odchodził, bo tak naprawdę nie wiedział, jaką rolę miałby pełnić po powrocie Kamps.

Trener stwierdził, że skoro Robert jest tak pewny swego, to najlepiej ogłosić decyzję o jego odejściu podczas najbliższej konferencji prasowej.

Zirykowało to Roberta. Po co? Przed decydującym meczem o utrzymanie wywołałoby to tylko zbędne zamieszanie.

Nie, lepiej, jeśli sprawy mają się jasno.

Nie był w stanie zrozumieć Bonhofa. Trener znał sytuację i mógł teraz poszukiwać nowego bramkarza.

– Myślę, że lepiej byłoby, gdybyśmy nie mówili tego publicznie.

Robert Enke wypowiedział te słowa ostrożnie i bardzo uprzejmie.

Mimo to po treningu Rainer Bonhof zajął miejsce w pomieszczeniu prasowym stadionu Bökelberg. Nalał sobie wody do szklanki i oznajmił, zanim jeszcze padło pierwsze pytanie, że ma do przekazania przykrą wiadomość: Robert Enke opuści Borussię z końcem sezonu.

W sobotę Teresa wraz z rodzicami wybrała się na Frankenstadion. Bad Windsheim jest oddalony od Norymbergii o jedynie 70 kilometrów. Bardzo szybko dostrzegli rozwieszone prześcieradło, które powiewało na balustradzie reklamowej przed blokiem kibiców z Gładbach. Widniał na nim napis: „Borussen: Kamps Frontzeck Eberl”, oraz zaraz obok – „Zdrajcy: Enke Feldhoff”.

Robert Enke był ulubionym piłkarzem Borussii w tym sezonie. Teraz jego klub grał, jak sam to określił, mecz ostatniej szansy, a kibice wykrzykiwali z trybun: „Enke, ty świnię ze Stasi!” albo „Robert Enke najemnik i zdrajca!”, czy też po prostu „Uwe Kamps, Uwe Kamps, Uwe Kamps – Uuuuwe Kamps!”.

Mönchengladbach przegrało 2:0 przeciwko drużynie, która również walczyła o utrzymanie i której trenerem od kilku kolejek był niejaki Friedel Rausch.

Dziennikarze sportowi czekali już koło przejścia z szatni za przenośnymi kratami, a Robert dokładnie wiedział, o co zostanie zapytany.

– Robert, co sądzisz o dzisiejszych okrzykach kibiców?

Postanowił, że nie da po sobie niczego poznać.

– Krzyki nie były zbyt fajne, jednak w pewnym sensie należało się ich spodziewać – odparł krótko.

– Czy denerwowałeś się, gdy trener wyjawiał publicznie twoją decyzję o opuszczeniu Borussii?

– Powiedziałem trenerowi o moich obawach. Jednak chyba nie wystarczająco przekonująco.

W jego głosie słychać było niewiarygodną rzeczowość. W takich chwilach, gdy starał się zachować spokój, zdaniem jego mamy „jego twarz dzieliła się na dwie części”. Jako dowód pokazuje kilka zdjęć: usta Roberta układają się w uśmiech, ale oczy pozostają niewzruszone.

Po zmarnowanym meczu ostatniej szansy piłkarze zawsze powtarzają: następny mecz musimy wygrać, to będzie nasza ostatnia szansa.

Następnym przeciwnikiem Borussii było VfL Bochum. Kilka minut przed pierwszym gwizdkiem porządkowi na stadionie Bökelberg w pośpiechu sprząтали otoczenie bramki, w której miejsce zająć miał Robert Enke. Obok niego leżały rolki papieru toaletowego, petardy i kubki po piwie. Za jego plecami miejsce zajęli kibice Borussii.

– Patrzcie, to tam stoi ten najemnik i zdrajca!

Nie zareagował.

W chwili gdy bez problemu obronił płaski strzał Kaia Mchalke z Bochum, kibice zaczęli głośno gwizdać. Kilkaset fanów miało zamiar wygwizdać bramkarza przy każdym jego kontakcie z piłką.

W ostatniej minucie meczu Borussia strzeliła gola na 2:1. Bochum błyskawicznie wyrównało na 2:2, a Robert Enke był w tej sytuacji bez szans.

– Świnia ze Stasi, świnia ze Stasi!

Teresa w popłochu pobiegła do pawilonu namiotowego, w którym piłkarze mogli się spotykać ze swoimi bliskimi.

– To przecież chore, co oni z tobą robią!

– To część tego zawodu.

Wcześniej, przed meczem, ze spokojem w głosie powiedział Teresie, żeby nie pokazywała się na stadionie podczas ostatniego meczu tego sezonu, żeby oszczędzić sobie nerwów. Zszokowana, odmówiła. Zaskoczył ją jego kategoryczny ton.

„Dziwiłem się tylko – wspomina Jörg Neblung – jaki on jest wyważony psychicznie!”

Powoli zbliżał się czas na podjęcie decyzji odnośnie do klubu, w którym miał

w przyszłości grać. Kilka było zainteresowanych jego angażem – mówiło się o Hercie Berlin oraz AS Romie. Istniały jednak dwie gotowe oferty – z TSV 1860 Monachium oraz z Benfiki Lizbona. Ulubiony klub piłkarski Portugalii od przyszłego sezonu miał być objęty przez Jupp Heynckesa. Zdaniem Norberta Pfippena, jeśli istniały już tak konkretne i dobre oferty, to agent nie musiał szukać już innych. Poza tym bardzo chciał znaleźć nowy klub dla 19-letniego pomocnika Borussia Mönchengladbach – Sebastiana Deislera. Mówiono, że od 1972 roku i od czasów Güntera Netzera Niemcy nie ujrzali tak wielkiego talentu.

Żeby było szybciej, powiedział Flippi, on zdecydowałby się na Benficę. Oferuje przecież niesamowity kontrakt, będzie grać w Lidze Mistrzów, a trenerem zostanie tam jego rodak Jupp Heynckes, którego zna już od 30 lat i o którym ma jak najlepsze zdanie. Robert stwierdził, że musi się nad tym zastanowić.

W następną sobotę Borussia czekał mecz przeciwko Leverkusen – jej ostatnia szansa.

Gdy podjechali autobusem na stadion Ulricha-Haberlanda, kilku kibiców przywitało ich oklaskami. Przed meczem wiwatowali, a po meczu im grozili.

– Co za absurd – powiedział Marco stojący obok Roberta, a następnie im odmachnął i wykrzyczał coś, czego nikt nie mógł usłyszeć przez podwójną szybę autobusu: – Witajcie, głupki, witajcie!

„Oczywiście nie mówiłem tego do nikogo konkretnie. Chciałem tylko stworzyć jakąś barierę, która oddzielałaby mnie od tej nienawiści, jaką później miano na nas wylać”.

– Dawaj, Robbi, pomóż mi – zachęcał Marco.

Robert wahał się.

– No dawaj, Robbi.

– Witajcie, głupki, witajcie! – Gdy wypowiedział to po raz pierwszy, zrobiło mu się lżej. Dobrze było trochę poprzeklinać.

Borussia przegrała w Leverkusen 1:4.

– Bez Enke znów awansujemy! – śpiewali kibice Mönchengladbach.

– Bez Enke spadniecie jeszcze raz – odśpiewywali kibice Leverkusen.

Jeszcze przez pół godziny wielbiciele Borussia wiwatowali na trybunach na cześć swoich piłkarzy, których ogarnęła melancholia.

– Chylę czoła przed tymi kibicami – powiedział trener Bonhof. Nie wspomniał jednak słowa na temat trwających od kilku tygodni szykan wobec Roberta Enke.

Dziennikarze już czekali.

– Robert, co sądzisz o twoim trenerze?

– Mam do niego trochę żalu, że powiedział o moim odejściu w samym środku walki o utrzymanie. Powinienem wyrazić moje wątpliwości bardziej zdecydowanie. Żaden z nas nie liczył się z tak ostrymi atakami.

Był zdania, że zawsze należy starać się zrozumieć punkt widzenia innych. Trener zachował się po prostu niezręcznie. Było przecież logiczne, że po takim sezonie kibice będą szukać winnych.

Był zdania, że bramkarz na początku powinien szukać winy u siebie.

Mieli obejrzeć Lizbonę. Robert powiedział jednak Teresie, że nie może w samym środku sezonu ligowego wyruszyć do Portugalii, nawet jeśli uczyniłby to w dni wolne od treningów. Co by się stało, gdyby ludzie dowiedzieli się również o tym? Teresa miała więc zwiedzić miasto za dwoje. Pojechała razem ze swoją mamą.

Jupp Heynckes poleciał do Portugalii z końcem kwietnia, aby uzgodnić ostatnie szczegóły swojego kontraktu. Towarzyszyli mu Flippi oraz Jörg Neblung. Heynckes miał powiedzieć prezydentowi Benfiki, że zatrudnienie Enke jest jednym z warunków jego angażu.

Gdy weszli do hali przylotów w Aeroporto da Portela, Jörg Neblung zorientował się, że po raz pierwszy świadomie słyszy, jak ludzie rozmawiają po portugalsku. Wydawało mu się, że język ten przypomina hiszpański, nagle jednak uświadomił sobie, jak odległa jest Portugalia.

Benfica wysłała po Teresę tłumaczkę, która przywitała ją nieskazitelnym niemieckim, pytając, jak minął lot. Podczas podróży do miasta dziewczyna Roberta zagadnęła ją, gdzie w Lizbonie jest najładniejsze osiedle.

– Czy może pani powtórzyć pytanie? – poprosiła tłumaczka.

– Czy może pani polecić jakieś miejsce w Lizbonie, w którym dobrze by się mieszkało.

– Co pani powiedziała? – Tłumaczka uśmiechnęła się. Teresa uświadomiła sobie, że na to i na inne pytania będzie jednak musiała odpowiedzieć sobie sama.

Zrozumiała jeszcze jedno: jeśli przenieśliby się do Portugalii, musiałyby zrezygnować ze studiów.

Gdy spacerowała z mamą po mozaikowym chodniku Praça Rossio i wchodziła na wzgórze Bairro Alto z widokiem od Tejo aż po Atlantyk, uświadomiła sobie, jak bardzo oddalone jest to miasto od świata, który znała. Jednak wieczorem, siedząc na tarasie restauracji umiejscowionej na terenie wystawy EXPO, spojrzała na rozświetlony most Vasco-da-Gama i stwierdziła, że ta odległość jest również pociągająca.

– Wiesz, tam jest pięknie – powiedziała Robertowi. – Jeśli o mnie chodzi, to możemy tam się przenieść.

– Aha – odparł.

Kilka dni później Flippi odmówił 1860 Monachium. Po tym jak Heynckes wytłumaczył mu swój pomysł, Enke też opowiedział się za Lizboną.

– Mimo wszystko powinieneś pojechać, zobaczyć, jak tam jest – naciskała Teresa.

Robert stwierdził, że nie ma teraz na to czasu.

We Freiburgu musieli wygrać, bo była to ostatnia z ostatnich szans. Przegrali 1:2 i Borussia Mönchengladbach po raz pierwszy w 34-letniej historii Bundesligi spadła o klasę niżej, co odebrane zostało po części jako wybawienie. Zapowiedź spadku towarzyszyła piłkarzom od wielu tygodni, w każdą sobotę. W końcu mieli pewność.

Z mizernymi czterema zwycięstwami w 34 meczach zakończyli sezon na ostatnim miejscu, które okupowali już od dziewiątej kolejki. Nawet 16. ekipa, również zdegradowana i prowadzona przez Friedela Rauscha Norymberga, miała nad nimi 16 punktów przewagi. Robert Enke puścił 73 gole. Mimo to nagłówki gazet brzmiały: *Niesamowity Enke, Na Enke zawsze można polegać, Enke nadzieją.*

Na Böckelbergu, w ostatnim meczu sezonu przeciwko Dortmundowi, Robert dał sobie wbić ostatnie z tych 73 goli. Po raz ostatni musiał wysłuchać krzyków kibiców: „Patrzcie, tam stoi ten najemnik i zdrajca”.

– Może zabrzmiało to głupio, ale gra w Bundeslidze sprawiała mi radość – powiedział dziennikarzom podczas pożegnania.

Niczego nie dał po sobie poznać.

Sześć lat później Robert uniósł prawą rękę, aby przywitać kibiców Borussii podczas pożegnalnego meczu Uwe Kamps. Odchodził idol, a atmosfera była wyśmienita. Wielu kibiców gwizdało na widok gestu Roberta.

Było mu obojętne, czy jego przyjaciele coś po nim poznawali. Po sześciu latach w swoim stylu dał upust złości na dokuczających mu fanów z Mönchengladbach. „W Gladbach przecież bez przerwy leje”, cedził przez zęby, gdy Marco Villa zaczynał mówić o Borussii.

„Oczywiście, że ataki w Mönchengladbach bardzo go dotknęły – twierdzi Jörg Neblung. – Tu chodziło o człowieka, który został skrajnie źle zrozumiany: sądził, że zachowa się w porządku wobec klubu, jeśli powie, że z końcem sezonu odejdzie. Będą wówczas mieli czas na znalezienie następcy. Chciał się zachować przyzwoicie, a zapłatą za to okazała się nienawiść”.

W lipcu 1999 roku kontrakt z Benficą Lizbona był gotowy, brakowało jedynie podpisu.

W samolocie Robert siedział z książką do nauki języka portugalskiego i próbował ułożyć swoje pierwsze zdanie w obcym języku: *É bom estar aqui* – „dobrze jest tu być”.

Chciał zaskoczyć dziennikarzy podczas prezentacji.

Na popołudnie 4 lipca, bezpośrednio po lądowaniu, zaplanowano złożenie przez niego podpisu na umowie. Oficjalna prezentacja miała nastąpić następnego dnia na

stadionie. Robert postanowił lecieć na ostatnią chwilę. Nie ciągnęło go do zwiedzania miasta.

Na Aeroporto da Portela czekał samochód służbowy. Jörg Neblung miał na sobie jasny letni garnitur, zupełnie jak Pierce Brosnan w filmie *Krawiec z Panamy*. Flippi był zdania, że Robert i Teresa poradzą sobie sami, więc nie wyruszył z nimi. Enke ubrany był w niebieską koszulę i szary garnitur, ale bez krawata, wszak był sportowcem. Gdy wyjeżdżali z podziemnego garażu lotniska, Teresa zauważyła fotografa, który ukrył się za filarem.

– Zerknij w tamtą stronę – powiedziała zdziwiona bez zastanowienia.

Robert obrócił się i oślepiło go światło flesza. Oburzony spojrzał na nią, jakby to ona robiła zdjęcie.

– Przepraszam, skąd miałam wiedzieć, że ten paparazzo będzie czekał akurat na nas?

Dojechali w końcu do kancelarii adwokackiej prezydenta Benfiki João Vale e Azevedo.

Zamieniono wypowiedziane nerwowo słowa powitania, po czym Robert Enke zasiadł w fotelu z aksamitnym obiciem. Przed nim leżał na stole kontrakt.

Obrócił się.

– Czy ja mam to podpisać?

Teresa przełknęła ślinę. Spojrzała mu w oczy i starając się brzmieć spokojnie, powiedziała:

– Podpisz.

Panowie podali sobie dłonie, a ta Vale e Azevedo okazała się ciepła i miękka. Profil twarzy prezydenta wyglądał jak u wiecznie młodego intelektualisty, jednak patrząc na niego od przodu, dostrzegało się przede wszystkim wysokie czoło z prześwitami oraz przesadnie uśmiechnięte oczy, zupełnie jak u lokalnego polityka, który chce uchodzić za mądrego. Przeszli do pomieszczenia, w którym czekali na nich fotografowie. Vale e Azevedo położył dłoń na ramieniu Roberta, a wtedy rozbłysły flesze aparatów. Następnego dnia jedno ze zdjęć znalazło się na stronie tytułowej gazety „Record”. Ogromny nagłówek głosił: *Enke podpisał*.

Na zdjęciu wyglądał na w pełni szczęśliwego.

Godzinę po podpisaniu kontraktu Robert, Teresa oraz Jörg udali się do hotelu Praça Marques da Pombal, aby odpocząć. Jörg leżał w swoim garniturze na łóżku. Ręce założył za głowę. Usłyszał pukanie do drzwi.

Stała tam Teresa.

– Jörg, Robbi nie zostanie w Lizbonie.

Strach

Jörg Neblung nawet nie drgnął. Spokojnie leżał dalej w łóżku otoczony srebrnoszarymi poduszkami w kwieciste wzory, których, jak to zwykle bywa w dobrych hotelach, jest o wiele za dużo i które nie wiadomo gdzie wcisnąć. Powoli analizował słowa Teresy.

– Co znaczy: Robbi nie zostanie w Lizbonie?

– On chce natychmiast wracać.

Jörg wstał. Swoje zdziwienie maskował uśmiechem. Jego milczenie sprowokowało Teresę, aby opowiedzieć mu o tym dalekim świecie, w którym Robert momentalnie znalazł się w chwili podpisania kontraktu.

Przed kancelarią adwokacką, zaraz po złożeniu podpisu, Teresa zaproponowała Robertowi, aby wyjść na wystawę EXPO i poszwendać się po mieście.

Auta na Avenida da Liberdade jadą powoli, właśnie rozpoczęła się godzina szczytu – lizbończycy wracali z pracy. Palmy, wyższe od budynków, stoją wzdłuż bulwaru wyłożonego kostką brukową startą przez miliony stóp, która podczas spaceru wydaje się miękka i śliska. Światło słoneczne odbijające się w witrynach sklepowych jest intensywniejsze i bardziej lśniące niż w Niemczech. Kilku pieszych spogląda na Roberta kątem oka, nawet nie zwalniając kroku. Nie chcą sprawiać wrażenia ciekawskich, jednak z chęcią dowiedzieliby się, dla kogo specjalnie pojawili się tu fotografowie. Czarny kolor ich włosów jest tak samo wyraźny jak promienie słoneczne: bardziej intensywny i bardziej lśniący niż Robert widział u kogokolwiek. Enke nie jest w stanie określić, co tak naprawdę sprawia, że czuje się tu obco.

Wsiadają do taksówki.

Pawilon EXPO składa się z osiedla rozrywkowego z akwariem, butikami oraz restauracjami. Postanowili zajrzeć do centrum handlowego. Teresa spogląda na Roberta i stara się go sprowokować, pytając, czy nie zajrzeliby do sklepu z butami.

On przekrzywia głowę w charakterystyczny sposób – zupełnie tak samo jak podczas pierwszej zimy w Mönchengladbach, kiedy pozwolił, by ogarnął go strach. Siedział przy stole w jadalni w Loosenweg i mówił zrozpaczony, że nie chce iść na trening, a następnie milczał z przekrzywioną głową, tak jakby chciał ją oprzeć na ramieniu.

Teraz stoi w pawilonie EXPO, a Teresa zauważa w jego oczach łzy.

Robert czuje, jak wzrok Teresy na nim zawisł.

– Skoczę do łazienki – mówi i obraca się w mgnieniu oka, jakby musiał gdzieś

pobiec.

- Co się dzieje? – pyta Jörg.
- Wydaje mi się, że Robbi nie czuje się zbyt dobrze.
- Poważnie?

Mija kilka minut, w końcu wraca.

- Jedziemy z powrotem do hotelu? – pyta Teresa, chcąc wyjść mu naprzeciw.
- Mówi, że boli go głowa.

Jörg przygląda się Robertowi i nie zauważa, aby cokolwiek mu dolegało. W taksówce Teresa rozpoczyna rozmowę, aby przedłużające się milczenie Roberta nie rzucało się w oczy. Jörg siedzi z przodu. Nie widzi, jak Robert bezwiednie przekrzywia głowę, wyglądając przez okno.

Jadą windą 15-piętrowego hotelu, w którym zajmują pokoje z widokiem na morze, i Teresa mówi, że pójdą się na godzinę położyć.

- Do zobaczenia, Jörg.

Gdy zamyka drzwi do pokoju, Robert rzuca się na łóżko, chowa głowę pomiędzy poduszki i zaczyna rozpaczliwie płakać, zanosząc się szlochem. Teresa zaczyna głaskać go po karku, chcąc, by się uspokoił.

- Robbi...
- Nie mogę tu zostać, nie da rady.
- Ale przecież pół godziny temu podpisałeś kontrakt.
- Co ja mam robić w tym obcym mieście?

Podnosi twarz znad poduszek, a jego płacz staje się coraz cichszy.

– Dobra – mówi w końcu Teresa. – Ty się stąd nie ruszasz, a ja idę dać znać Jörgowi. Musimy mu o tym powiedzieć.

Puka do drzwi Jörga. Gdy wchodzi, zastaje go na łóżku, z uśmiechem na twarzy, jakby właśnie przyśniło mu się coś miłego.

Jörg poszedł po szarym dywanie korytarza hotelowego za Teresą. W dalszym ciągu nie ochłonął z emocji towarzyszących bezproblemowemu podpisaniu kontraktu. Gdy weszli do pokoju, Robbi wciąż leżał na łóżku.

- Nie mogę tu zostać.
- Ale przecież podpisałeś kontrakt.
- Nie da rady.

Wydawało się, że Jörg dał za wygraną. Po całym sezonie gry w Bundeslidze wykształcił się w jego głowie jasny obraz Roberta Enke, osoby o wysokiej odporności na stres i wyważonej, obraz młodego, rozsądnego człowieka.

Spojrzał na niego i w jednej chwili ujrzał siebie samego w wieku 16 lat, kiedy jego rodzice, nauczyciele, spytali go, czy nie chciałby wyjechać na roczną wymianę uczniowską do Stanów Zjednoczonych. Odczuł wówczas dziwne połączenie strachu

z samotnością: „Ameryka, o Boże, jak to daleko!”. Jörg spontanicznie odrzucił propozycję rodziców. Teraz był więc w stanie zrozumieć strach Roberta. „Miał dopiero 21 lat. Wyjechał w nieznaną i inność zagranicy go przytłoczyła”.

Empatia nie pomogła mu jednak rozwiązać problemu. Namawiał Roberta, by przespał się z tą decyzją, poczekał, aż nerwy przestaną brać nad nim górę.

Enke energicznie potrząsnął głową. Musiał stąd uciec, musiał natychmiast wyjechać. Na jego ustach pojawiły się czerwone plamki.

Jörg zadzwonił do Flippiego, był bowiem tylko pracownikiem agencji i nie mógł podejmować poważnych decyzji bez zgody szefa. Flippi miał jednoznaczną propozycję:

– Daj mu po mordzie.

I Jörg zrozumiał, że musi radzić sobie sam.

Zaproszenia dla dziennikarzy na jutrzejszą prezentację Roberta Enke na Stadionie Światła zostały dawno rozesłane.

Teresa siedziała na łóżku Roberta, a Jörg zajął miejsce na szarym fotelu. Na biurku stał bukiet białych róż.

– Może powiemy, że to Teresa źle się czuje i dlatego musimy wyjechać?

Teresie pomysł się podobał.

Jörg zaoferował, że wszystkim się zajmie. Musiał jednak powiedzieć prawdę trenerowi – Jupp Heynckes załatwił Robertowi podpisanie kontraktu z Benficą i przyzwoitość nakazywała, by być z nim szczerym. Nieważne, co miałyby się stać później.

Jörg Neblung wyszedł na ulicę. Łatwiej prowadziło mu się trudne rozmowy, gdy był w ruchu. Maszerował Rua Castilho i wybrał numer biura prezydenta klubu. Lakonicznie poinformował jego pracowników o konieczności przesunięcia jutrzejszej konferencji ze względu na stan żony bramkarza i konieczność powrotu do Niemiec. Co za ulga, że sekretarki powstrzymały się przed zadawaniem wścibskich pytań! Pozostał jeszcze Jupp Heynckes.

Jörg zawrócił. Ulica prowadziła teraz lekko pod górę, lecz było mu to na rękę – zmęczenie fizyczne pozwalało zapomnieć o rosnącym zdenerwowaniu.

Jupp Heynckes odebrał. Jörg chciał mieć z głowy tę rozmowę, więc zaczął terkotać, nie dając dojść do głosu trenerowi. Robert czuje się źle, boi się zagranicy, wszystko nagle na niego spadło, jest młodym chłopakiem, czyli mówiąc krótko, musieli szybko wyjechać, nie było wyjścia. Jeśli mowa o przyszłości, to czas pokaże, ale żeby być szczerym, to transfer Roberta do Benfiki wydaje się wątpliwy.

– Panie Neblung, jest pan niewyobrażalnie arogancki.

– Tak. Bardzo za to przepraszam. Inaczej się jednak nie da.

Gdy się rozłączył i stanął w miejscu, zauważył, że teraz znów schodził w dół ulicy.

„Heynckes znający zwyczaje panujące w profesjonalnej piłce musiał sobie pomyśleć, że nagle dostaliśmy lepszą ofertę i z głupimi wymówkami staramy się wykręcić od gry w Benfice. Dlatego też rozumiałem, dlaczego myślał o mnie źle w tamtej chwili. Doradcy są również od tego, aby zbierać cięgi za piłkarzy. Dobrze, że mogłem dać się ochrzanić Heynckesowi”.

Wieczorem zostali w hotelu. Jörg zamówił bilety na jutrzejszy samolot do Niemiec. Robert wcześniej położył się spać.

Następnego dnia Jörg kupił gazetę „Record” z nagłówkiem *Enke podpisał kontrakt*. Robert zauważył, jak serdecznie uśmiecha się na zdjęciu. Teraz jednak miał tylko jeden cel: uciec z Lizbony. Był zbyt wyczerpany strachem, aby sobie uświadomić, że każdy, kto ucieka, w końcu dokądś dociera i musi żyć dalej.

On i Teresa postanowili udać się na urlop. Kawalek za ciągnącą się kilometrami plażą Domburga rozpościerały się wydmy gęsto porośnięte krzewami. Na południu Holandii chmury wisiały tak nisko, że sprawiały wrażenie, jakby odpoczywały na piaszczystych pagórkach. Robert Enke przyglądał się swoim psom biegającym po wydmach.

Ani on, ani Teresa nie poruszali tematu Lizbony, ale mimo to nie wydawali się spięci podczas odpoczynku. Wydawało się, że problem ten nie był tu obecny. Do rozpoczęcia treningów w Benfice pozostawały cztery tygodnie. Przez ten czas mogło się wydarzyć wszystko.

W agencji Norberta Pflippena rozmawiano w tym czasie o przyszłości. Flippi jeszcze raz zadzwonił do Edgara Geenena, dyrektora sportowego TSV 1860 Monachium. Może Robertowi uda się jeszcze tam trafić? Jednak Geenen nie był zainteresowany piłkarzem, który jeszcze dwa miesiące temu nie chciał dla nich grać, a następnie podpisał kontrakt z inną drużyną. Jedynym wyjściem było namówienie Roberta, żeby ten jednak przeszedł do Benfiki Lizbona.

Flippi zadzwonił do Juppa Heynckesa.

– Ludzie kochani, wy chyba nie mówicie na poważnie! – krzyknął trener.

– Komu ty to mówisz! Jupp, przecież cię rozumiem. Jestem po twojej stronie. Chłopak trochę się zmieszał i paparazzi w Lizbonie go spłoszyli. Takie powitanie go przerosło.

– Czy wy w ogóle widzicie, jak to wygląda? Dostał wyśmienity kontrakt, i to dlatego, że to ja za niego poręczyłem!

– Wiem, Jupp, to samo mówię chłopakowi. Postaram się to ułożyć. Daj mi trochę czasu.

Heynckes powiedział jednak, że czasu nie ma, bo musi zacząć planować nowy sezon. Jego głos był taki jak u trenera, którego drużyna w pierwszej połowie przegrywa 4:0.

Chwilę później dotarła informacja z Portugalii: Jupp Heynckes zatrudnił nowego bramkarza.

Internet dopiero raczkował, ale Jörg wpisał nazwisko nowego piłkarza w wyszukiwarce: Carlos Bossio.

Był cztery lata starszy od Roberta, zdobył z Argentyną srebrny medal podczas igrzysk olimpijskich w 1996 roku, a w pierwszej lidze argentyńskiej rozegrał 146 spotkań dla Estudiantes.

Resztę historii dopowiedziały zdjęcia w internecie. „Wielki chłop, 194 centymetry wzrostu, szczeka jak u Sylvestra Stallone’a – opowiada Neblung. – To był materiał na bramkarza numer jeden”. Benfica Lizbona tak naprawdę nie wierzyła w Roberta, a po przedwczesnym wyjeździe ufała mu jeszcze mniej. Tak to mniej więcej wyglądało.

Jörg przekazał wieści Robertowi w taki sposób, jakby była to doskonała nowina.

– Lizbona w ogóle cię nie naciska. Ściągnęli bramkarza z Argentyny, który pogra trochę na początku sezonu. To niezły pomysł, będziesz mieć czas na spokojną aklimatyzację.

Z urlopu Robert wrócił z piękną brązową opalenizną. Wypowiadał się rozsądnie: mówił, że rozumie, iż w Lizbonie podpisał wiążący kontrakt, dlatego wybiera się do Portugalii.

Teresa zorganizowała przeprowadzkę z Gierath. Dzień przed wylotem do Lizbony patrzyli, jak ekipa znosi z poddasza kartony z ich rzeczami. W kuchni leżały torby i walizki. Ciężarówka z całym ich dobytkiem odjechała i Teresa jeszcze raz obejrzała puste mieszkanie, aby sprawdzić, czy niczego nie zapomniała. To była sobota, a szkoła podstawowa znajdująca się naprzeciwko była zamknięta. Cisza panująca tego dnia w wiosce zgrywała się z tą w mieszkaniu. Robert stanął przed Teresą.

– Nie jadę z tobą.

– Co?

– Nie jadę z tobą. Gdzie są klucze od samochodu?

Zadzwoiła do niego na komórkę, on jednak ją wyłączył. Wybrała więc numer jego rodziców.

– Jeśli zgłosi się do was wasz syn, to pomyślcie, jak go uspokoić, bo właśnie uciekł.

W dalszym ciągu nie udawało się jej być tak stanowczą, jak by tego chciała. Jego zachowanie było zbyt nieprawdopodobne.

Pojechała do Rheydt, do Jörga i Dörthe. Niedaleko starego gospodarstwa babci Fridy zauważyła, jak Jörg ubrany w strój do biegania znika w lesie. „Niech sobie pobiega – pomyślała. – Wystarczy, jak pozna wieści za godzinę”.

Trzy kwadranse później, z przyjemnym uczuciem zmęczenia, Jörg wrócił do domu. Przywitał się z Teresą i mimochodem spytał, gdzie jest Robert.

- Uciekł.
- Gadasz głupoty.
- Nie no, naprawdę. On uciekł.

Teresa, Dörthe i Jörg wiedzieli dokładnie, że absolutnie nieprzyzwoicie byłoby wybuchać śmiechem, więc uczynili jedyną rzecz, którą uczynić mogli: roześmiali się.

Co kilka minut wybierali jego numer na komórce. Telefon był jednak cały czas wyłączony. Wysyłali mu SMS-y. Pozostało im tylko czekać.

Nadszedł wieczór. Gdy zadzwonił telefon, od zniknięcia Roberta minęło siedem godzin. Teresa pobiegła do drzwi i ujrzała go stojącego na najniższym stopniu stromych schodów. Spojrzał na nią przelotnie, a następnie znów opuścił wzrok.

- Boże, Robbi, gdzie ty byłeś!?
- Daleko.

Teresa nigdy nie dowiedziała się, gdzie się wtedy podziewał. Wówczas postanowiła nie naciskać. Miała poczucie, że znów wrócił do równowagi i że w żadnym wypadku nie można jej zburzyć.

– No, to dziś ruszamy do Lizbony – powiedziała następnego ranka, starając się użyć tonu, który nie będzie przypominał ani pytania, ani rozkazu.

Kiwnął głową. Nikt nie był w stanie rozpoznać jego uczuć.

Miasto światła

Zajęli pokój w hotelu przy lotnisku, czyli tam, skąd ludzie chcą jak najszybciej uciekać. Mały park w okolicy hotelu nazywa się doliną ciszy. Od tego miejsca dawna wystawa EXPO oddalona była o pięć minut. Wystawa światowa była jedynym miejscem w obcym mieście, w którym mogli się jakoś odnaleźć.

Podczas gdy Teresa spoglądała z tarasu restauracji na Tejo, owiewał ich delikatny podmuch wiatru. Była ciepła lipcowa noc. Światła miasta odbijały się od lustra rzeki, a u stóp mostu Vasco-da-Gama powiewały na masztach flagi wszystkich narodów.

– Czyż nie jest tu pięknie, Robbi?

Ukroił kolejny kawałek steka.

– Słyszę jedynie, jak skrzypią maszty z flagami – powiedział.

Teresa nie jest pewna, czy miał wówczas przechyloną głowę, nie wie też, czy bez słów wypuściła z rąk sztucce. Dziś jednak właśnie tak wspomina tamten moment.

Podczas codziennej drogi na trening towarzyszyła mu, jakby odprowadzała go do szpitala. Podwoziła go na stadion, a sama szła do centrum handlowego lub kafejki naprzeciwko. Sprawiała wrażenie osoby czekającej przed salą operacyjną, która w stresie stara się nie stukać palcami w stół. Musiał stać naprzeciwko trenera, którego o mały włos nie zawiódł.

Pierwszym, co Robert widział, wchodząc na teren stadionu, był orzeł widniejący na godle klubowym Benfiki. Nie wiedział, o czym rozmawiali jego koledzy z zespołu, jednak rozumiał ich śmiech, który był taki sam jak



Robert Enke w roku 2000. W tle widoczna Lizbona

u chłopaków z Gladbach po żartach Marco. Był tu obcy, jednak w pewnym sensie wrócił do domu.

Trener przedstawił się drużynie, a następnie poprosił wszystkich na Campo Numero 3 – boisko treningowe. Robert Enke cały czas kręcił się wokół nowych piłkarzy, Jupp Heynckes nie miał więc okazji, aby porozmawiać z nim w cztery oczy. Trener bramkarzy Walter Junghans sprawiał wrażenie, jakby nawet nie wiedział o atakach paniki Roberta.

Było czterech golkiperów, czyli po zatrudnieniu Carlosa Bossio o jednego za dużo. Junghans starał się każdego traktować tak samo. Jeszcze za czasów aktywnej kariery miał okazję samemu doświadczyć huśtawki emocji – zanim zdobył mistrzostwo Niemiec z Bayernem Monachium, był niechcianym rezerwowym, potem kapitanem Schalke, aż w końcu stał się zawodnikiem drugiej ligi. „Gra na tej pozycji wiąże się zarówno z euforią, jak i z ogromnym cierpieniem. Bramkarz nieustannie musi liczyć się z tym, że zaraz zostanie uznany za debila – mówi. – Trener bramkarzy powinien być wobec tego bardziej wyrozumiały niż koledzy w rywalizacji o miejsce między słupkami”.

Podczas treningu przy każdym ćwiczeniu Robert stawał w bramce jako pierwszy. Nie było innego wyjścia – Bossio znał tylko hiszpański, Siergiej Owczinnikow, któremu groziło zostanie bramkarzem numer cztery, mówił po rosyjsku i portugalsku, a Walter Junghans znał jedynie niemiecki i angielski. Robert zawsze musiał pokazywać ćwiczenia jako pierwszy, aby reszta wiedziała, o co chodzi. Poza tym porozumiewali się na migi i wymieniali uśmiechy.

Trawa, która została polana wodą chwilę przed treningiem, w dalszym ciągu jest

wspaniale wilgotna, a piłka idealnie leży w rękawiczkach. Robert Enke przygląda się konkurentom. Bossio wszystko ma wielkie – ramiona, dłonie, nawet brodę – dodatkowo wyśmienicie skacze. Uwagę Roberta przykuwa w nim jedna rzecz – serdeczny uśmiech. Wobec tego sam także się do niego uśmiecha.

Już nie musi myśleć o strachu.

Jego chęć bycia idealnym, poradzenia sobie z każdym wyzwaniem, obudziła się z wielką siłą na boisku treningowym Benfiki. Po tym, jak pozostali piłkarze rozchodzili się do domów, Robert zostawał na siłowni. Na początku przygody z Gladbach ćwiczenia z hantlami, kiedy obserwował go Kamps, były dla niego mało komfortowe. Teraz samodzielnie i dobrowolnie zasiadał do wyciskania. Towarzyszył mu Walter Junghans, 41-letni były sportowiec, który starał się walczyć z nieuchronnie rosnącym brzuszkiem. Dziś, po wielu latach wysiłku, gardzi wszelką fizyczną aktywnością.

Pewnego dnia koło ćwiczących stanął Jupp Heynckes. Odczekał, aż Robert zrobił sobie przerwę pomiędzy seriami wyciskania ciężarów nogami, i zaczął opowiadać o pierwszych wrażeniach z pobytu w Lizbonie: mówił o życzliwości Portugalczyków i o tym, że na południu Europy powietrze jest o wiele czystsze niż w Niemczech. W pewnej chwili zwrócił się do Enke:

– Widzisz, Robert, nie jesteś tu sam. Wiem, jakim krokiem dla 21-latka jest przeprowadzka za granicę, jednak nie musisz się bać. To ja cię tu ściągnąłem i to ja ci pomogę. Walter, ty i ja jesteście tu wspólnie i razem sobie z tym poradzimy.

Nikt już nie pamięta, co odpowiedział Robert. Nadszedł czas na kolejną serię. Położył stopy na maszynę, kolana przywarł do klatki piersiowej, a następnie zwarł usta, przygotowując się do podjęcia wysiłku. Obciążniki lekko wędrowały w górę i dół, jakby ważyły tyle co nic.

„Od początku lubiłem Roberta. Wiosną spotkaliśmy się przecież dwukrotnie w moim domu nad Spielbergiem w Mönchengladbach, gdy chciałem go ściągnąć do Benfiki. Był niesamowicie otwarty i sympatyczny, ale i pewny siebie. Nie przestałem go lubić, mimo że na początku, gdy postanowił uciec z Lizbony, byłem naprawdę wściekły. Od chwili, gdy spotkaliśmy się na siłowni, sprawa z atakami paniki wydawała się należeć do przeszłości. Przypomniałem sobie o nich dopiero cztery lata później”.

Robert Enke nie mógł tak łatwo zapomnieć o swej przypadłości. Gdy tylko opuścił kompleks treningowy, powróciło przekonanie, że powinien się bać. Nie miał jednak powodów, by odczuwać niepokój, co w żadnym wypadku nie pomagało mu zapomnieć o strachu. Hotel koło lotniska stał się twierdzą. Zaszył się w nim.

– Robbi, trzymaj głowę prosto! – krzyknęła Teresa. Oglądał telewizję i czegoś się wystraszył przed telewizorem. Wyprostował się, a po kwadransie zabawa zaczęła się od nowa.

Pewnego popołudnia zadzwoniła Tina, ich wspólna przyjaciółka z Jeny. W tym czasie Robert miał trening.

– Co tam robisz?

– A co mam robić? Chętnie gdzieś bym wyszła, może na starówkę czy coś, jednak Robbi źle się czuje. Cały czas siedzi przybity w pokoju.

– To może wyjdź gdzieś sama. Nawet samotnie poczytać książkę w kawiarni. Nie możesz przecież cały czas robić wszystkiego pod Robbiego.

Jednak Teresa nie wierzyła, że może poczuć się dobrze, jeśli Robert będzie w takim stanie.

Piłka nożna była tym, co pozwalało mu na chwilę uciec przed strachem. Podczas obozu przygotowawczego Benfiki pozwolono mu wyruszyć z reprezentacją Niemiec na Puchar Konfederacji w Meksyku. Było to jego pierwsze powołanie do seniorów, jednak okoliczności temu towarzyszące nie były specjalnie dobre. Pod względem sportowym turniej był wątpliwej jakości. Zorganizowanie rozgrywek pod koniec lipca, czyli przed samym startem ligi, zakrawało na żart. Z tego powodu swój udział odwołali Oliver Kahn oraz Hans-Jörg Butt. Robert Enke został powołany dodatkowo w roli rezerwowego. Nikt w Niemczech nie wiedział, jaką wewnętrzną walkę obecnie prowadzi. Wielu uważało, że jego nominacja jest naturalnym krokiem: oto ściągnięto bramkarza przyszłościowego.

Bez rozegrania chociażby jednego meczu spędził w Meksyku 14 wyjątkowo gorących dni. Wysoka temperatura nocą oraz różnica czasu nie pozwalały mu normalnie spać. Za dnia z kolei musiał się przyglądać, jak mało zmotywowana reprezentacja Niemiec ulega 0:4 Brazylii, a następnie 0:2 USA. Jego sytuacja w Benfice też szczególnie się nie polepszyła, bo tak naprawdę stracił dwa tygodnie przygotowań. Mimo to widział plusy tego wyjazdu: podczas tych 14 dni w Meksyku dane mu było spędzić czas z niemieckim zespołem i poczuć się jak w domu.

Po powrocie do Lizbony nie mógł już uciec przed rzeczywistością. Właśnie tam był teraz jego dom. Postanowił wraz z Teresą poszukać mieszkania. Pracownik biura nieruchomości pokazał im nawet Paláciodos Marqueses de la Frontiera, pałac znajdujący się na skraju parku Monsanto, z dala od miejskiego zgiełku. Robert powiedział tylko: „Aha”, po czym uśmiechnął się na samą myśl, że mógłby zamieszkać w tym miejscu. Makler nie pozwolił im jednak zostać tam dłużej, bo w zanadrzu miał więcej spektakularnych ofert. Żeby obejrzeć wszystkie domy, potrzebowaliby ładnych kilku dni.

10 sierpnia 1999 roku Benfica rozegrała na Stadionie Światła mecz testowy przeciwko Bayernowi Monachium. Portugalczycy nazywają ten stadion również A Luz, czyli „światło”. Nowy zespół, Benfica Juppą Heynckesa, zaprezentował się przed kompletem 60 tysięcy widzów. W piłce nożnej nic nie olśniewa bardziej niż co

roku powracająca perspektywa nowego, lepszego sezonu. Trener tego dnia po raz pierwszy miał wypuścić na boisko swoją wymarzoną jedenastkę – z Nuno Gomesem w ataku, Karelem Poborským na skrzydle oraz z rozgrywającym João Pinto, który pięknie panował nad piłką. W bramce miejsce zajął Carlos Bossio. Walter Junghans powiedział, że „miał on być numerem jeden”.

Bayern wygrał 2:1. Mieniące się światło oślepiło Bossio, a 60 tysięcy kibiców wygwizdało go niemiłosiernie. Puszczając obydwie bramki, wygładał wręcz fatalnie.

Był to jedynie mecz testowy, którego wynik stracił znaczenie wraz z końcowym gwizdkiem. Gdy wieczorami piłkarze rozmawiali o swoich minionych karierach, nikt nawet nie pamiętał o takich meczach, bo przecież tak nieistotne epizody nie decydują o przebiegu kariery.

Dziesięć dni później, na chwilę przed rozpoczęciem sezonu, FIFA tymczasowo odebrała Bossio prawa do gry dla Benfiki. Jego były klub, Estudiantes de la Plata, złożył donos na Benficę – Portugalczycy rzekomo nie zapłacili zaległej sumy odstępnego.

Jak przyznaje Heynckes, do dziś świat nie poznał całej prawdy: „Po nieszczęśliwym meczu przeciwko Bayernowi kierownictwo klubu stwierdziło, że Bossio jako bramkarz jest za słaby. Podobno Benfica specjalnie zwlekała z wpłatą”.

Carlos Bossio został zawieszony, Nuno Santos doznał kontuzji, a Siergiej Owczinnikow postanowił odejść do pierwszoligowego klubu z przedmieścia FC Alverca. Nikt prócz Roberta Enke nie był w stanie zagrać.

Wiadomość o tym przekazał Teresie mimochodem, tak jak najchętniej robił to z nowinkami. Czerpał wielką radość z tego, że mógł wówczas obserwować napięcie malujące się na jej twarzy.

– Aha, a tak przy okazji, to w sobotę ja będę grał.

Siedzieli razem w basenie pod palmami, skąd rozpościerał się widok na ogród przypominający włoskie ogrody renesansowe: królowały w nim krzewy przycięte w figury geometryczne. Niewiele wcześniej wprowadzili się do domu gościnnego Palácio Frontiera.

Teraz, w mieście, którego nazwy zapominał podczas pobytu na stadionie, gdzie zamiast trybun za bramką znajdowała się porośnięta trawą skarpa, Robert Enke musiał udowodnić, że zdołał pokonać strach. Benfica rozpoczęła sezon meczem w pierwszej lidze przeciwko FC Rio Ave, klubowi z małego miasta Vila da Conde, leżącego gdzieś na odludziu, za Porto. Stadion mieścił jedynie 12 tysięcy widzów, co w przeliczeniu dawało 60 procent populacji całego miasta. Na skarpie za bramką roilo się od dzieciaków, których głosy kumulowały dźwięk podobny do pisku, bardzo nieprzyjemny dla ucha.

Jörg Neblung przebywał w tym czasie w Niemczech. Flippi uznał, że nie ma potrzeby wysyłać nikogo z agencji na mecz rozgrywany na skraju Europy. „Patrząc

na to z dzisiejszej perspektywy, trzeba powiedzieć, że było to bardzo lekkomyślne, biorąc pod uwagę stan Roberta”, mówi Neblung. W telewizji satelitarnej można było co prawda oglądać mecze snookera czy też mistrzostwa w rzutkach, ale nie było możliwości oglądania meczów piłkarskich z Portugalii. Informacje o pojedynku dotarły do Niemiec w postaci SMS-a od Teresy: „Koniec, 1:1. Dobrze bronił”.

Jörg odetchnął z ulgą.

A tydzień później, po pierwszej połowie pierwszego meczu Benfiki u siebie, nagłówki gazet sportowych zostały zdominowane przez Roberta. *Voa Enke! Enke lata!* – brzmiał ten zdobiący najbardziej poczytną gazetę w Portugalii, „A Bola”.

W jednej chwili, gdy bramkarz zazwyczaj nie wie, jak ma się zachować, Robert wyskoczył i wybronil silny strzał głową z pięciu metrów. Tego typu parady bramkarskie przeżywał niczym w zwolnionym tempie. Wówczas w mgnieniu oka jego zmysły wyostrzyły się: jego wzrok stał się ostry jak u sokoła, przez co błyskawicznie ujrzał kolor koszulki, a następnie odczytał ruch napastnika. Normalni ludzie podobnie reagują w ekstremalnych sytuacjach, jak na przykład podczas wypadku, gdy nagle hamują bądź zeskakują z roweru. Gdy bramkarzowi raz udaje się pokonać tego typu zagrożenie, natychmiast staje się uzależniony od piękna dramatyizmu takich chwil. Pod koniec wspomnianego meczu Robert wypiąstkował piłkę obok słupka, co uratowało zwycięstwo Benfiki 1:0 nad Salgueiros. A Luz, czyli światło, wypełniło się blaskiem. Niemieckie agencje prasowe, dla których nigdy nie jest za wcześnie, podawały: „Enke już stał się ulubieńcem kibiców w Lizbonie”.

Dziennikarze sportowi chcieli wiedzieć, czy Benfica z jednym tylko bramkarzem w kadrze nie ma problemów. To dotyczyło się też Roberta, który pozbawiony rywali nie miał nikogo, kto motywowałby go do pracy podczas treningu. Wydaje się, że wywieranie i odbieranie presji to również dobra metoda również w Portugalii.

– Mnie się ta sytuacja podoba – odpowiedział Enke. – Nie potrzebuję konkurencji.

Jego nowym kolegą na treningach i zarazem zmiennikiem został 17-letni José Moreira z drużyny rezerw. „Pierwszą rzeczą, która rzuciła mi się w oczy, była jego twarz – opowiada Moreira. – Gdy grał, była taka sama jak u Olivera Kahna! Nie poruszał się żaden mięsień, tak jakby najdrobniejsza zmiana wyrazu twarzy miała pozbawić go koncentracji”.

Robert Enke zauważył, że Moreira chłonie każdy jego ruch, że zaczyna go w każdej kwestii kopiować. „Gdy spojrzysz na moją grę – powiedział 11 lat później Moreira, z trudem ukrywając dumę – to zauważysz wiele cech gry Roberta”.

W katedrze piwa, jak zwyczajowo nazywany jest obszar na Stadionie Światła, w którym przyjmowani są szczególnie ważni goście, na taborecie kołysze się Moreira. Przed nim jedzą biznesmeni w garniturach i krawatach, a on sam ubrany jest w niebieskie dżinsy oraz niechlujny czarny T-shirt. Wcale nie przeszkadza mu, że ściąga na siebie wzrok wszystkich zgromadzonych. Kuca, prawie robi szpagat,

prostuje prawą nogę, przyciąga lewe kolano, tułów prostuje, a ręce rozkłada na boki, rozstawiając palce. „Tak właśnie ustawiał się Robert w sytuacji jeden na jednego, gdy pojawiał się przed nim napastnik – mówi z entuzjazmem. – Był przy tym taki szybki i ruchliwy. Tę pozycję potrafił przyjąć momentalnie i równie szybko zrobić szpagat. Żaden inny bramkarz nie potrafił się tak ustawiać”.

Moreira zapytał Enke, dlaczego ten przyjmuje właśnie taką pozę, dlaczego nie wybiega za często przy dośrodkowaniach i dlaczego jego rękawiczki nawet od wewnątrz są lateksowe. Robert Enke – który zawsze sobie wmawiał, że jest mu obojętne, co inni o nim myślą – nagle rozkwitł, bo zauważył, że nie ma obok siebie bramkarza, z którym musi konkurować, a młodego, podziwiającego go i głodnego wiedzy ucznia.

Wieczorami przed meczem zajmowali wspólny pokój. Rozmawiali ze sobą własną mieszkanką portugalskiego z hiszpańskim.

– Moreira, za trzy miesiące chcę znać portugalski i ty zostajesz teraz moim nauczycielem. Jak należy wymawiać *aipohortense*?

– Robert, w słowie *hortense* jest R, a u ciebie tego nie słychać. Wymawiasz to, jakbyś trzymał w ustach gorącego ziemniaka.

– Oj, nieważne, za trzy miesiące będę to umiał. Ty musisz jednak nauczyć się niemieckiego. *Bring mir das Wasser!* Przynieś mi wodę. To jest najważniejsze zdanie, jakie musisz rozumieć, będąc rezerwowym bramkarzem. Rozumiesz? *Bring mir das Wasser!*

Moreira do dziś rozumie to zdanie, podobnie jak kilka innych, o czym mogłem się przekonać podczas naszego spotkania na Stadionie Światła – Moreira przywitał mnie słowami: „Gute Nacht”, czyli „dobranoc”...

– Moreira, teraz będziemy oglądać Bundesligę w niemieckiej telewizji – zarządził Robert w pewien sobotni wieczór, gdy siedzieli w pokoju hotelowym.

– Możemy przecież też oglądać bramki na Eurosporcie z angielskim komentarzem. Wtedy cokolwiek zrozumiem.

– Nie, nie, lepiej będzie, jak pooglądamy to po niemiecku.

– Lepiej?

– No jasne. O, a potem jeszcze będzie film z Eddym Murphym na ZDF.

– Przecież tam nie ma nawet napisów! – zauważył Moreira, gdy tylko zaczął się film. – Eddie Murphy mówi po niemiecku!

– No i co? Tak jest dobrze.

– Ale możemy przecież oglądać portugalską telewizję! Puszczają tam angielskie filmy z portugalskimi napisami.

„Zawsze udawało mu się wygrać – mówi Moreira z podziwem. – No i nigdy nie spałem tak wiele jak za czasów spędzonych w hotelu z Robertem, bo te niemieckie filmy były nieskończenie nudne...”.

Dziś José Moreira ma 28 lat, włosy sięgają mu do ramion, tworząc ramkę wokół twarzy o łagodnych rysach, która podobnie jak u innych bramkarzy naznaczona została licznymi śladami zderzeń z przeciwnikami na boisku – pod jego prawym okiem widnieje blizna. Od 11 lat pozostaje wierny Benfice, mimo że klub traktuje go raczej jako element inwentarza.



Robert Enke i jego młodszy bramkarski brat José Moreira

Czasem zdarza mu się zagrać, chociaż zazwyczaj w bramce staje ktoś inny. Klub woli stawiać na zakupionych za horrendalne sumy bramkarzy, których – bardzo błędnie – uważa za lepszych*.

– Widziałeś, jak ostatnio grał Moreira? – Takie pytanie zadawał mi Robert Enke za każdym razem w późniejszych latach, gdy nasza rozmowa schodziła na wielkich bramkarzy.

– Robbi, przecież ja nie oglądam portugalskiej piłki!

– Musisz zobaczyć Moreirę.

Oczy Roberta aż śmiały się, gdy zaczął rozmawiać o Moreirze, o bramkarzu, który od niego się uczył, który dawał mu nieznaną dotąd luz i który był jego towarzyszem, a nie rywalem.

W Pałacu Frontiera, mimo że mieszkał w domku dla gości, mógł się czuć jak markiz. Było tam więcej łazienek niż w mieszkaniu w Mönchengladbach pokoi – w sumie sześć. Ściana w ogrodzie wyłożona została niebiesko-białymi *azulejos*, przedstawiającymi walczących rycerzy i trąbiące mały.

Robert i Teresa z przyjemnością toczyli z bliskimi dzwoniącymi z Niemiec rozmowy w rodzaju:

– U nas znowu leje!

– Naprawdę? My siedzimy w ogrodzie w samych T-shirtach.

Zwiedzali miasto: twierdzą San Jorge, muzeum Gulbenkian, wpadali do kawiarni Elevenoraz Blues Café, nawiązywali znajomości z piłkarzami Benfiki. Czasami siedzieli w ogrodzie i podziwiali światło w Lizbonie – złote po południu, a mleczne podczas zmierzchu.

Teresy nie dręczyły już wyrzuty sumienia z powodu przerywania studiów. „Szczerze mówiąc, świadomość, że nie muszę pracować ani się uczyć, sprawiała mi radość. Gdy Robert był na treningu, ja leżałam w ogrodzie i czytałam kryminały”. Akapity z opisami omijała – w książce przede wszystkim musiało coś się dziać.

Pewnego przedpołudnia wklejała do albumu zdjęcia z urlopu na południu Holandii. Na jednym z nich Robert miał na głowie słomiany kapelusz i z uśmiechem na ustach stał pomiędzy wydmami. Podpisała je: „Przed nami czarne chwile”. Jak łatwo przyszło jej pisanie tego zdania i jak odległy wydawał się tamten czas!

– Wydaje mi się, że Robert już nigdy nie dostanie napadu strachu – powiedziała jego ojcu, gdy ten przyjechał do Lizbony na urlop.

– Nie byłbym tego taki pewien – odparł.

Teresa przeraziła się na chwilę i spróbowała czym prędzej oddalić od siebie tę myśl.

Robert Enke w dalszym ciągu latał. Gdy pod koniec października Benfica pokonała 2:0 FC Gil Vicente, przedłużyła serię meczów bez porażki do siedmiu. Gdy w pierwszej kolejce Robert puścił gola w meczu zakończonym 1:1 z Rio Ave, to w kolejnych sześciu nie poniósł już żadnej porażki. „Enke jest egzorcystą”, pisał „Record”.

Odwiedziny gości z Niemiec stawały się coraz częstsze. Następna w kolejce była matka Teresy. W dniu jej przyjazdu jesienne światło sprawiało, że ogród wydawał się jaśniejszy, łagodniejszy.

– Jak tu jest cudownie – powiedziała.

– No, a ja znam taką jedną osobę, która nie chciała jechać do Lizbony – krzyknął Robert z basenu, a następnie z uśmiechem na ustach skierował wzrok na Teresę i spytał: – Dlaczego tak naprawdę nie chciałaś jechać do Lizbony?

Szczyście

Gdy o pewnej godzinie w nocy dzwoni telefon, znaczy to, że właśnie chce z tobą rozmawiać zakochana w tobie kobieta albo stało się coś bardzo niedobrego. 25 listopada 1999 roku, kilka minut przed północą, taki nocny telefon odebrał Marco Villa. Dzwonił Robert Enke.

Po spadku Borussii Marco przeszedł do klubu z Austrii. Słowo „prowincja” nabrało dla niego nowego znaczenia. Grał w pierwszej lidze w szeregach SV Ried, a jego nowa miejscowość liczyła 11 tysięcy mieszkańców i leżała w dolinie pomiędzy Salzburgiem a Linz. W roku 1998 SV wygrało Puchar Austrii. Stadion tego klubu nazywa się Keine Sorgen Arena („stadion bez zmartwień”). Marco udzieliła się beztroska Ried. Przez okres pięciu miesięcy zdobył już osiem goli.

Odebrał telefon.

– Robbi?

– Czy ty wiesz, co właśnie się stało?

Marco poczuł, że chyba nie chce wiedzieć.

– Znowu wcisnęli mi siedem bramek.

Otworzyły się wszystkie stare rany – 1:7 w Wolfsburgu, 2:8 w Leverkusen. „O cholera”.

Robert Enke roześmiał się, jakby 0:7 z Benficą w Pucharze UEFA przeciwko Celcie Vigo go nie podłamało, a wydawało się jedynie niewiarygodne.

Benfica rozpoczęła mecz z planem agresywnej i zwartej obrony. To miał być pierwszy mecz w fazie pucharowej, klasyczny pojedynek o utrzymanie wyniku. Jednak już po kwadransie Celta Vigo zdobyła gola na 1:0. I coś pękło. Benfica, chwalebny obraz przeszłości portugalskiej piłki, drużyna, która pod wodzą Juppą Heynckesa tak wspaniale rozpoczęła sezon ligowy, wydawała się kompletnie zagubiona. Przyjechała do Vigo jedynie się bronić, tymczasem teraz zmuszona była ostro atakować. Piłkarze pogubili się w ustawieniu, otwierając pole gry gospodarzom, którzy wówczas mieli jedną z najlepszych ekip w Europie – z Claude’em Makélélé jako przecinakiem w pomocy oraz z Rosjanami Aleksandrem Mostowojem oraz Walerijem Karpinem tworzącymi wyśmienity i genialny atak. Ich podania wyglądały niczym wir. Makélélé wyskoczył samotnie przed Robertem, Mario Turdó z pełnym spokojem go przelobował. Po 42 minutach na tablicy widniał wynik 4:0. W przerwie wściekły Heynckes wytłumaczył zawodnikom, co powinni zrobić lepiej, jednak po upływie kolejnych 16 minut, gdy piłkarze mieli za sobą dwie trzecie meczu, było już 7:0. „Tamten mecz można było zatytułować *Robert przeciwko jedenastu* – mówi

Moreira. – Przy każdej bramce był bez szans”.

Gdy Robert schodził z murawy, spojrział na trybunę zajmowaną przez osiem tysięcy fanów Benfiki. Ten przejmujący widok – kwintesencja smutku i rozczarowania – pozostał mu w pamięci na zawsze. „Osiem tysięcy ludzi i nikt nie powiedział nawet słowa”.

Prezydent João Vale e Azevedo wbiegł do szatni, przeklinając i krzycząc. Trzy tysiące fanów czekających na drużynę o 2.00 w nocy na lotnisku też przypomniało sobie, jak należy krzyczeć. Robert Enke powiedział dziennikarzom ze spokojem:

– Przecież wiem jak to jest stracić siedem goli.

Trener Walter Junghans stwierdził:

– Dla bramkarza porażka poniesiona w meczu, w którym nie miał większych szans, jest inna niż w zwykłym spotkaniu.

Dwa dni później, przed pojedynkiem u siebie przeciwko Campomaiorense, Robert ponownie był w pokoju hotelowym z Moreirą. Młodszy kompan nie pojechał do Vigo ze względu na kontuzję.

– Raz mnie zabrakło, a ty już puszczasz siedem goli – zażartował.

– Moreira, *bring mir Wasser!*

W telewizorze leciała niemiecka stacja.

– Dlaczego w tym kraju na mecz ligowy przychodzi tylko tysiąc kibiców, podczas gdy w nocy na lotnisku jest ich trzy razy więcej? Stoją i krzyczą na nas. Moreira, ja tego kraju nie rozumiem!

– To normalne, Robert, przecież jesteś w Portugalii.

– No a dlaczego nikt nie mówi tu po angielsku? Czy w Portugalii nie ma szkół?

– Angielski jest obowiązkowy do ósmej klasy. Później wszyscy o nim zapominają. To jest normalne, jesteś w Portugalii.

– Tu są ograniczenia na autostradzie do 120 kilometrów na godzinę, jednak wszyscy pędzą 190!

– To też jest normalne. Wszyscy w Portugalii są szaleni.

– W takim razie dlaczego tak lubię ten kraj?

– Tego, Robert, nie mogę ci wytłumaczyć.

Przez cztery miesiące od przeprowadzki do pałacu Teresa i Robert doświadczyli czegoś typowego dla Portugalii. Nigdzie bowiem nie można tak zmarznąć jak w ciepłych krajach południowej Europy.

Podobnie jak wiele domów w południowych Włoszech, Hiszpanii czy Portugalii, tak samo dom gościnny w Palácio Fronteira pozbawiony był ogrzewania. Teresa i Robert nie zwrócili na to uwagi, gdy wprowadzali się tam w sierpniu. „W każdym pokoju był kominek. W XVII wieku pewnie zatrudniano z pięciu pracowników, których zadaniem było pilnowanie ognia”, opowiada Teresa.

Wilgotne zimno przenikało przez ściany. W kuchni mogła zobaczyć swój oddech. Ubrania w szafie zaczęły śmierdzieć stęchlizną. Kupiła dwie farelki i stwierdziła, że czas się przenieść do głównej części rezydencji. Gdy miał ich odwiedzić Hubert Roßkamp, myśliwy z Gierath, poprosiła:

– Przywieź nam koce elektryczne!

Odtąd włączała je pół godziny przed pójściem spać. „Najgorzej było, gdy zapominało się czegoś z łazienki. Wtedy trzeba było znów wychodzić spod kołdry”.

Robert miał lepiej – mógł brać prysznic na stadionie. Po pewnym czasie zaczął nawet tam myć zęby.

Goście, którzy odwiedzali pałac w okresie zimowym, nie byli tak zachwyceni jak ci, którzy przyjeżdżali latem.

– Jest to pierwsza lodówka na świecie, do której można wejść – orzekł Florian, brat Teresy.

Pewnego ranka Teresa zauważyła, jak jej brat bez ruchu, ze złączonymi rękoma i zamkniętymi oczami, stoi przed drzwiami i wykręca głowę w stronę słońca.

– Flo, co ty tam robisz?! – krzyknęła do niego.

– Wygrzewam się!

Dla Floriana Lizbona zaczęła się stawać irytująca. Lubił Roberta, lubił z nim rozmawiać, nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego nigdy nie interesował się jego sprawami. Dlaczego mąż jego siostry nigdy nie zadawał żadnych pytań, podczas gdy on opowiadał o swoim życiu nauczyciela w Monachium?

To swego rodzaju choroba piłkarska. Profesjonalni gracze są przyzwyczajeni, że ciągle zadaje się im pytania i że tylko o nich wszyscy chcą słuchać. To sprawia, że wielu zapomina, że należy się również interesować innymi.

W przeciwieństwie do Floriana Hubert nie zauważył u Roberta choroby „nie-wie-jak-zadać-pytanie”, nie oczekiwał również, że inni będą go o cokolwiek wypytywać – jeśli chciał o czymś opowiedzieć, po prostu to robił. W Lizbonie nie nosił swojego białego garnituru à la John Travolta, a dres młodzieżowej reprezentacji Niemiec, który otrzymał od Marco. Na Stadionie Światła Robert przedstawił mu legendę światowej piłki – Eusebio. Nikt nie grał tak jak on.

– Eusebio, to jest Hubert.

Eusebio podniósł kciuk do góry.

Teresa i Robert pokazali Hubertowi miasto, wieżę w Belém, widok na Atlantyki. Hubert nie mógł uwierzyć, z jakim spokojem zajmują się nim jego młodzi przyjaciele.

Marco przyjechał wraz z Christiane chwilę przed Bożym Narodzeniem. Również on wyjechał z Niemiec – jeden z 25 największych klubów Europy, Panathinaikos Ateny, zauważył jego wyczyny strzeleckie i niezwłocznie postanowił go zatrudnić. Już po świętach Villa miał się przenieść do Grecji.

Nawet tego nie zauważywszy, Robert Enke i Marco Villa stali się przedstawicielami nowych czasów. Profesjonalna piłka zademonstrowała światu, jak działa globalizacja. Na przykład w roku 1992 w lidze angielskiej grało łącznie 11 obcokrajowców, a siedem lat później piłkarze z zagranicy stanowili już jedną trzecią spośród wszystkich 500 piłkarzy. Chłopaki jak Marco Villa czy Robert Enke stały się nowoczesnymi nośnikami reklam. Gdyby urodzili się dziesięć lat wcześniej, może przeszliby z Mönchengladbach do Bremy czy Frankfurtu i na tym by się skończyło. Nikt ich nie przygotowywał na taki rozwój wydarzeń.

W lodowym pałacu Roberta i Teresy farelki niestrudzenie ogrzewały jedyny nadający się do zamieszkania pokój. Teresa i Christiane siedziały na sofie, a Robert z Marco na podłodze. Grali przeciwko sobie w „państwa i miasta”.

– E – powiedział Marco.

– Jaką rzekę podałyście? – spytał Robert.

– Ems – odparła Teresa.

– O, my też – stwierdził Robert.

– N – rzuciła Christiane.

– Jaką rzekę podałyście? – spytał Robert.

– Nacker – odpowiedziała Christiane.

– O, my także!

W pewnej chwili kobiety zorientowały się, że ich mężczyźni nie znają żadnych rzek i jedynie podkradają ich wybory.

„Podejrzenia spadły na mnie, bo ja oczywiście byłem zawsze tym, który płatał figle – opowiada Marco. – Jednak tym razem to nie ja kręciłem i byłem tak samo zdumiony jak one”. Robert, który za nic w świecie nie chciał przegrać, po prostu oszukiwał!

Na śniadanie Teresa podała między innymi same białka, bez żółtek. Ostatnio eksperymentowała z dietą rozdzielną.

– Co to jest? – spytał rozbawiony Marco, a następnie spojrzał podejrzliwie na Roberta, podniósł brwi, uśmiechnął się i kiwnięciem głowy wskazał na Teresę. Robert zignorował go opryskliwym kiwnięciem głowy. Nie robił sobie żartów ze swojej dziewczyny.

W południe Robert i Marco udali się do najlepszej ich zdaniem restauracji na świecie – do fast-foodu. Stali przed kasą, gdy Marco nagle zorientował się, że gdzieś zza ich pleców dobiega dziwne buczenie i brzęczenie. Obrócili się. Za szybą lokalu stało mnóstwo dzieci. Pierwsze weszły już do środka i ani się spostrzegli, a wokół nich zebrało się około 200 Portugalczyków.

– Uenk! Uenk!

Po półrocznym pobycie w Portugalii Robert wiedział, co te słowa znaczą: „Enke”. Portugalczycy wymawiają je właśnie tak: *Uenk*.

– Co tu się dzieje? Pomylili cię z jakąś gwiazdą czy co? – spytał Marco.

Robert roześmiał się, ale Marco widział, że rozpiera go duma. „To był paradoks: Robbi był powściągliwy, chciał mieć spokój, ale dobrze czuł się w roli gwiazdy”.

Dla Portugalczyków był kimś więcej niż dobrym bramkarzem. Często z nostalgią wspominają oni czasy, gdy byli potęgą kolonialną i bardzo dokładnie wychwytyują drobne gesty obcokrajowców wobec ich kraju. Podczas gdy biznesmeni czy sportowcy często po wielu latach spędzonych w Lizbonie oczekiwali, że wszyscy zrozumieją, gdy mówią po angielsku czy hiszpańsku, Robert Enke już po czterech miesiącach udzielił swojej pierwszej konferencji prasowej po portugalsku.

– I widzisz, wcale nie po trzech miesiącach, jak początkowo planowałeś – podpuszczał go Moreira.

Materiał prasowy dla całego kraju wyprodukowany został już podczas jego drugiej konferencji prasowej. Następnego dnia w gazetach królowało „Fodes!”. Stacje telewizyjne bez końca powtarzały tę scenę, kiedy Robert siedział za mikrofonem i miał problem z dobraniem słowa, wycedził więc przez zęby, zakrywając twarz dłońmi:

– *Fodes!*

Ludzie śmiali się i cieszyli.

„Fodes” można przetłumaczyć jako „cholera”. Dla Portugalczyków jasne było, że jeśli ktoś klnie w ich języku, to znaczy, że jest jednym z nich.

Benfica nie potrafiła sobie poradzić z przegraną 0:7 z Celtą Vigo. Wspomnienia tego meczu zamroziły klub. Kibice z irytacją reagowali na każdy błąd zespołu, co skutkowało tym, że piłkarze popełniali ich jeszcze więcej. W dalszym ciągu obrażony prezydent klubu kazał czekać na wypłatę tydzień dłużej tym piłkarzom, którzy popełniają błędy. Jednak zawodnicy muszą się martwić o swój byt i wcale nie grali lepiej. Presja raz jest sojusznikiem, a raz wrogiem piłkarza i tym razem pociągnęła Benficę na dno. Jedenastka, która dokonała prawdziwego wzlotu między grudniem 1999 roku a styczniem 2000, teraz wygrała jeden z czterech meczów – 3:2 przeciwko União Leiria. Benfica spadła w tabeli na trzecie miejsce, plasując się za Porto oraz Sportingiem.

Trener trafił pod obserwację. Przed jego domem w Mönchengladbach 3 stycznia koczowali portugalscy dziennikarze, którzy z lornetkami przy twarzach próbowali zajrzeć przez okna. Chcieli się upewnić, czy Jupp Heynckes rzeczywiście leży w łóżku.

Na sylwestra zaprosił go Uli Hoeneß, menedżer Bayernu Monachium, jednak dopadła go wysoka gorączka. Ostatnią noc tego roku spędził w hotelu, a następnego dnia, zamiast udać się na trening, wrócił do domu, aby się wykurować. 4 stycznia Benfica miała się zmierzyć w długo oczekiwanych derbach ze Sportingiem.

Portugalskie media podejrzewały Heynckesa o wymyślenie objawów grypy, aby ten mógł tylko spędzić kilka dodatkowych dni w ojczyźnie. Każdy, kto zna etos pracy Heynckesa, może mieć niezły ubaw z tych, którzy myślą, że miał ochotę na wagary. Benfice nie było jednak do śmiechu.

Jupp Heynckes wrócił z gorączką do Lizbony, jednak za namową lekarza nie udał się na stadion, a sam mecz obejrzał w domu przed telewizorem. Spotkanie zakończyło się bezbramkowym remisem, a najlepszym piłkarzem Benfiki okazał się Robert Enke. Dziennikarze wyrazili swe oburzenie – ich zdaniem bez względu na stan zdrowia trener zawsze powinien być przy drużynie. „Dziennikarstwo portugalskie jest jeszcze gorsze od portugalskiej piłki nożnej”, tłumaczył poproszony o zdanie Jupp Heynckes, który dopiero co wrócił do zdrowia. Tymczasem prezydent klubu gotował się z wściekłości – publicznie odstąpił od wspierania trenera i przestał mu wręczać wynagrodzenie.

Benfica od wielu miesięcy prowadziła podobne gierki z Bossio, bramkarzem, który w meczu towarzyskim popadł w niełaskę. Był już zbędny, więc kazano mu czekać na wynagrodzenie. Kwotę odstępnego oraz sprawy papierkowe klub uregulował dopiero pół roku po rozpoczęciu sezonu.

Biorąc pod uwagę sposób, w jaki go traktowano, Bossio zachowywał się niezwykle spokojnie. Bez narzekań przyjął rolę trzeciego bramkarza, za Enke i Moreirą. Jako że pozostawał w cieniu Roberta, fani o nim zapomnieli. Junghans zauważył, że „Robert Enke jest na najlepszej drodze do zostania wielkim bramkarzem”. Bramkarz numer jeden oraz bramkarz numer trzy prezentowali dwie skrajne różnice jakości. Jednak gdyby nie ten jeden gorszy dzień Argentyńczyka podczas przygotowań do sezonu, to sytuacja mogłaby wyglądać zupełnie odwrotnie. Na przykład podczas treningów zdarzały się rzeczy, których bohater publiczności uczył się od zdegradowanego kolegi.

Robert zauważył, że wszyscy bramkarze Benfiki, czy to Moreira, Bossio, czy też Nunu Santos, ustawiają się w polu karnym zdecydowanie wyżej niż on, Kamps, Kahn oraz inni niemieccy bramkarze. W ten sposób wyłapywali więcej wysokich wrzutek i dośrodkowań.

– Lepiej być bramkarzem, który wybiega tylko przy sześciu dośrodkowaniach i wszystkie wyłapuje, niż takim, co wybiega przy dziesięciu i nie wyłapuje dwóch najtrudniejszych – tłumaczył Enke Moreirze i naprawdę wierzył we własne słowa.

Najlepszym bramkarzem nie był ten, który radził sobie w najtrudniejszych sytuacjach, ale ten, który popełniał najmniej błędów. Po cichu jednak podpatrywał Moreirę oraz Bossio. Gdy przeciwnik wbiegał w pole karne Benfiki, Robert Enke ustawiał się na siódmym metrze, podczas gdy w Borussii stawał na piątym.

Wyjście dalsze niż na te dwa metry było dla niego wycieczką w nieznane. Dla bramkarza kluczowe jest poczucie bezpieczeństwa, a Robert Enke znalazł się

w miejscu, którego dotąd nie znał. Zrezygnował ze zdobytej podczas wielu lat treningów pewności, dzięki której wiedział, ile pozostało mu kroków na powrót do bramki oraz pod jakim kątem stoi w stosunku do linii końcowej. Instynktownie wracał na dawną pozycję. I za każdym razem zmuszał się, aby wyjść do przodu.

„Roberta nie trzeba było naciskać. Miał w sobie sporo samokrytyki i chciał się nieustannie rozwijać – wspomina Jupp Heynckes. – Trenowałem w życiu wielu piłkarzy, a z niektórymi dobrze się rozumiesz w każdym zespole. Jednak gdy po 30 latach kariery trenerskiej ktoś mnie pytał o wzór profesjonalizmu, to zawsze wskazywałem Fernando Redondo oraz Roberta Enke. Obydwaj byli nie tylko szczególnymi piłkarzami, ale i wyjątkowymi ludźmi, inteligentnymi, pełnymi szacunku i wyczucia”.

Za każdym razem, gdy po treningu piłkarze udawali się pod prysznic, a następnie zgodnie ze starą piłkarską tradycją opuszczali stadion z mokrymi włosami, trener wybierał się na siłownię. Tam ciężary taszczyli już Robert Enke oraz Walter Junghans, a od pewnego czasu także Moreira. „To były najpiękniejsze momenty”, wspomina Heynckes. Wówczas spływało z niego całe napięcie. Po trudach związanych z porozumiewaniem się w obcym języku cudownie było móc rozmawiać po niemiecku. Trener czekał, aż jego asystent i bramkarz zrobią sobie przerwę, po czym zaczynał z nimi rozmawiać: „o polityce, piłce nożnej, o życiu codziennym”. Później robili kolejne serie, a gdy skończyli, gawędzili o kinie, jedzeniu czy psach. „Te rozmowy trzech Niemców na obczyźnie – mówi Heynckes – były prawie jak modlitwa”.

W swej lodowej twierdzy Teresa wraz z Robertem marzyli o lecie. Następnej jesieni planowali opuścić Palácio Frontiera, bo nie byliby w stanie wytrzymać tu kolejnej zimy. Teraz musieli przetrwać, aby móc się rozkoszować jeszcze jednym latem w pałacu.

18 lutego 2000 roku, w dniu swych 24. urodzin, Teresa rozpakowała prezent od Roberta. Wyczuła przez papier ozdobny jakiś rodzaj materiału.

– Aha, czyli koszulka – powiedziała, starając się nie okazywać irytacji.

– Po prostu ją włoż – odparł Robert wzruszająco niedbale, jak często czynił to poza boiskiem, gdy nie szło po jego myśli.

Teresa włożyła czarną koszulkę Benfiki.

– OK? – spytała.

Koszulka sięgała jej aż do kolan.

– Zanim zaczniesz narzekać, ustaw się najpierw plecami do lustra.

To oznaczało wycieczkę na biegun północny, czyli do łazienki.



Rok 2000. Zdjęcie ślubne Roberta i Teresy

W lustrze Teresa spojrzała na swoje plecy i dostrzegła nadruk: „TERESA ENKE”, a pod nim, w miejscu gdzie zazwyczaj znajdował się numer 1, naklejony znak

zapytania.

I Teresa powiedziała „tak”.

Wesele wyprawili podczas wakacji, w zamku w Mönchengladbach. Koleżanka Teresy, Christiane, kręcąc głową, uwieczniła na zdjęciu jej turkusowe buty ślubne.

Teresa znalazła sobie nowego towarzysza. Z ciężkim sercem zostawić musiała w Niemczech u rodziców jednego z psów i teraz, gdy tylko miała możliwość, brała do siebie psa zarządcy pałacu, aby ten nie musiał przebywać na łańcuchu.

– Moreira – zagadnął Robert towarzysza w pokoju hotelowym – jak to możliwe, że zwierzęta są tu tak źle traktowane? Wszędzie widzę błąkające się lub uwięzione na łańcuchach psy.

– Już ci przecież mówiłem tyle razy: jesteś teraz w Portugalii.

– Tym psom trzeba pomóc.

Jednak na ten pomysł wpadł tylko on i Teresa.

Jesienią wyprowadzili się z Palácio do domu z ogrodem i – co najważniejsze – ogrzewaniem. Mieścił się w Sasseiros i położony był nieopodal plaży. Teresa odkupiła od zarządczyni psa, aby ten nie musiał się męczyć na łańcuchu. Jakiś czas później postanowiła przygarnąć wychudzonego kundelka, którego zauważyła w parku. Ludzie zaczęli dostrzegać, że bramkarz i jego żona lubią zwierzęta. I tak ktoś wrzucił im psa przez płot, a ktoś inny przypiął im do latarni pudła. Pewnego dnia jedna z kobiet z kierownictwa klubu wezwała do siebie Roberta i powiedziała, że ktoś zostawił mu dobermana, którego obroża stała się za ciasna.

– Kochanie, czasem nienawidzę cię za to, że nie potrafisz przejść obojętnie obok chorego zwierzęcia – powiedział Robert Teresie.

Nagle okazało się, że mają siedem psów, a zajmowanie się wszystkimi wymaga zaawansowanej logistyki. Joker nie potrafił dogadać się z Alamo, więc trafił do domu w ogrodzie. Teresa chodziła do niego z komórką w ręku. Gdy w domu Robert utrzymał Alamo, dzwonił do niej i mówił: „OK, teraz możesz wyjść z Jokerem”.

Wkrótce, mimo całej swej miłości wobec zwierząt, stwierdzili, że sytuacja zaczyna ich przytłaczać. Oddali więc Jokera do schroniska w Sintra. Roberta czasem irytowało, że zaangażowanie Teresy nie zna granic, wszak nie byli w stanie uratować każdego psa w Portugalii. Mimo to codziennie jeździł do schroniska, aby przez pół godziny pospacerować z Jokerem.

„Nawet ja o tym pomyślałam: czy naprawdę musi to robić codziennie?”, wspomina Teresa.

Drugi sezon gry Roberta w Benfice rozpoczął się rozstaniem. We wrześniu 2000 roku trener podał się, po zaledwie czterech kolejkach, do dymisji.

– Nie wytrzymam tu jeszcze jednego lata – oznajmił.

Pierwszy sezon z Robertem Enke w bramce Benfica zakończyła na trzecim

miejscu w tabeli. Miała, jak to podkreślał Heynckes, 15 punktów więcej niż rok wcześniej, jednak byli dwie lokaty za Sportingiem i nie załapali się do kwalifikacji do Ligi Mistrzów, co zirytowało fanów i media. Heynckes od dziewięciu miesięcy nie otrzymywał wynagrodzenia.

Dla Roberta Enke odejście człowieka, który najbardziej go wspierał, nie oznaczało degradacji. Po roku spędzonym w Lizbonie ugruntował swą pozycję również jako bramkarz.

Pojawił się nowy trener, nie udało się jednak przełamać złej passy. Wynagrodzenie zawodników trafiało na ich konta często z miesięcznym lub nawet dwumiesięcznym poślizgiem, a jakby tego było mało, prezydent João Vale e Azevedo został zatrzymany pod zarzutem dokonania oszustwa. O sytuacji w Benfice debatował portugalski parlament. Ministerstwo Finansów obwieściło, że klub ma dług w wysokości 200 milionów marek, i wspomniało o „kryminalnych działaniach” jego prezydenta. Ludzie nie oceniali jednak drużyny poprzez pryzmat tych doniesień, a poprzez chwalebna przeszłość. Bezpośrednio po rozstaniu z Heynckesem Benfica przegrała najpierw 0:1 z Boavistą, a następnie zremisowała 2:2 z Bragą.

Po tych meczach Robert siedział w domu z Teresą i nie potrafił nawiązać normalnej rozmowy. Jego myśli nieustannie dryfowały w kierunku utraconych bramek, choć za ich przepuszczenie nie ponosił żadnej winy.

– Dobra, wystarczy! Wychodzimy – zarządziła Teresa z przekonaniem. – Nie możesz cieszyć się życiem jedynie w chwilach, gdy wygrywacie.

Pojechali do Belém. Robert zgodził się na to bez entuzjazmu.

Ludzie na ulicy zatrzymywali go i pytali:

– Uenk, co się dzieje z Benficą?

– Uenk, czemu już nie wygrywacie?

Uśmiechał się wówczas i udzielał jakiejś wymijającej odpowiedzi, po czym kontynuował spacer. Po jakimś czasie się odprężył.

Nauczył się w końcu nie myśleć o pewnych sprawach? Czy w ogóle było to możliwe?

Nowy trener miał 37 lat i jeszcze nigdy nie był odpowiedzialny za pierwszą drużynę. Nazywał się José Mourinho. Po latach, gdy pracował z Chelsea czy Interem Mediolan już jako The Special One, raz za razem potwierdzał swoją klasę, a dziennikarze rozpisywali się na temat jego arogancji. Robert Enke w tamtym czasie z zachwytem przyglądał się, z jaką precyzją i z jaką zaraźliwą euforią Mourinho rozmawiał z piłkarzami. „To był najlepszy trener, z jakim współpracowałem podczas mojej kariery”, powiedział. Mimo to po czterech miesiącach Mourinho odszedł z klubu. Gryzło go, że mimo serii czterech zwycięstw – w tym 3:0 nad Sportingiem – władarze klubu postanowili nie przedłużyć z nim umowy. Portugalczyk zdecydował się odejść. Żegnając się z piłkarzami, miał łzy w oczach.

Nadeszła jesień i trzeba było włączyć ogrzewanie. Wreszcie można było to zrobić! Gdy kolega Roberta z zespołu, Paulo Madeira, zaprosił do siebie jego i Teresę, ci od razu poczuli się lepiej: inni mieszkańcy Lizbony też marzli w słabo ocieplonych domach.

W szatni Robert znalazł sobie grupkę znajomych, do której obok Moreiry oraz Madeiry należeli Pierre van Hooijdonk oraz Fernando Meira. „To mi zostaje w pamięci po Robercie: mówił do piłkarzy uprzejmie *Bom dia!*, ale tak naprawdę utrzymywał kontakt z niewielką grupką, nawet gdy został kapitanem drużyny”.

Benfica dalej radziła sobie gorzej niż w przeszłości. W drugim sezonie gry Roberta w Portugalii jego klub wyładował na szóstej lokacie. Bezbarwne występy drużyny sprawiały, że parady bramkarza wyglądały jeszcze bardziej spektakularnie. „Mimo że często byłem w Lizbonie, to w pamięci nie pozostały mi żadne sytuacje związane z piłką – mówi Jörg Neblung. – Może to dziwne, a może i nie. Piłka jakoś się kręciła, ale prawdziwie piękne życie oferowało samo miasto”.

W ogrodzie w Sasseiros rosły drzewa cytrynowe. Jedna cytryna leżała na ziemi, a Jörg i Robert spontanicznie zaczęli grać w piłkę na bosaka. Grali tak długo, aż cytryna utknęła Jörgowi na dużym palcu. Jörg nie chciał u nich wychodzić spod prysznic: „To był najlepszy prysznic na świecie, z wielką deszczownią, pod którą czuleś się, jakbyś stał pod najwspanialszą chmurką”.

– Dokąd pójdziemy? – spytał Robert po południu.

– Może odwiedzimy Marca?

Poszli więc do sklepu muzycznego przyjaciela i słuchali muzyki, póki nie zrobiło się ciemno.

– Chodź, pójdziemy jeszcze do Blues Café.

W niedzielę przed meczami Benfiki nad Stadionem Światła latał orzeł klubowy, któremu z euforią wiwatowało 60 tysięcy kibiców. W sylwestra w odwiedzinę przyjechała matka Roberta. Świętowali w Montemar, restauracji



Portugalia. Robert Enke z Walterem Junghansem (po lewej) oraz Pierre'em van Hooijdonkiem

znajdującej się w Cascais. Z tarasu widać było, jak błękit oceanu miesza się z czernią nocy. Goście ubrani byli w stroje od Prady, w suknie od Gucciego i rozmawiali zduszonym głosem. Po północy matka rozpoczęła poloneza, aby przywitać Nowy Rok. Teresa dołączyła jako pierwsza, a już po chwili podążał za nimi cały korowód.

– Chodź z nami! – krzyknęła matka do Roberta, który w dalszym ciągu siedział na krześle.

– Mamo, proszę...

– W czym problem? Przecież nikt mnie tu nie zna.

– Mnie jednak znają!

„To były drobne momenty o dużym znaczeniu – mówi Jörg Neblung. – To był czas, który po latach określa się najpiękniejszymi chwilami w życiu”.

Pewnego razu Benfica poprosiła Roberta, aby odwiedził klinikę dla dzieci chorych na raka. Towarzyszyła mu Teresa. Gdy weszli do budynku, od razu podszedł do nich jeden z chłopców.

– Jest wielkim fanem Benfiki – wyjaśniła pielęgniarka.

Robert Enke trzykrotnie próbował porozmawiać z chłopakiem, aż w końcu wydusił z niego odpowiedź. Chłopiec jednak uparcie w dalszym ciągu spoglądał na ścianę. Nie mógł znieść, że jego idol odwiedził go w szpitalu i ogląda, gdy jest bez włosów i cierpi.

Po tej wizycie Teresa i Robert pojechali na plażę, aby chwilę pospacerować. Napięcie powstałe w tym czasie z trudem ich opuszczało. W końcu Teresa postanowiła przerwać milczenie.

– Biedne dzieci – powiedziała Teresa.

– I biedni rodzice – odparł Robert.

Ta myśl nasza ich praktycznie w tym samym momencie.

– Jakie my mamy w życiu szczęście!

Coraz wyżej, coraz dalej

Robert podpisał z Teresą umowę: „Niniejszym oświadczam, że nie będę oglądać telewizji La Ola, chyba że a) Teresy nie ma w domu, b) Teresa śpi, c) Teresa mi na to jednoznacznie pozwoli”.

Tym porozumieniem próbowała humorystycznie złagodzić sytuację, jaka miała miejsce podczas trzeciego sezonu gry w Benfice i która wydawała się prowadzić do konfliktu. Znowu oglądał wyjątkowo dużo piłki nożnej. Nawet w poniedziałki włączał La Ola, by prześledzić doniesienia na temat włoskiej czy greckiej ligi.

„Nie wiedziałam, że ogląda te mecze po to, aby się uczyć jako bramkarz. Nigdy się nie zastanawiałam, czy oglądanie meczów sprawia, że nie myślał o własnej grze – wspomina Teresa. – Byłam po prostu zirytowana, bo nagle miał mniejszą ochotę na spacer czy wspólne wieczorne siedzenie przy stole kuchennym”.

Wraz z końcem sezonu, w czerwcu 2002 roku, wygasł jego kontrakt z Benficą. Robert Enke zastanawiał się, do jakiego klubu ma przejść. Nie było możliwości, aby został w Lizbonie, choć czuł się tam bardzo dobrze.

– Nadszedł czas na kolejny krok – orzekł Jörg Neblung.

Manchester United, superpotęga światowej piłki, chciała go zatrudnić już latem 2001 roku. Trener United Alex Ferguson zadzwonił do niego osobiście i mimo swojego ciężkiego szkockiego akcentu starał się brzmieć zrozumiale. Benfica sugerowała Robertowi, że nie miałyby nic przeciwko, jeśliby odszedł. Pilnie potrzebowała tych dziesięciu milionów marek (około pięciu milionów euro), które oferował klub z Anglii. Mimo to Robert Enke odmówił Fergusonowi.

„Tak, niektórzy piłkarze naprawdę odrzucają oferty Manchesteru United!”, powiedział Ferguson. Robert Enke, według zapewnień trenera, miał rozegrać w sezonie 10 do 15 meczów w United, jako rezerwowy francuskiego mistrza świata Fabiena Bartheza, „a za dwa–trzy lata miał zająć jego miejsce między słupkami. Taki miałem plan”.

Robert Enke nigdy i nigdzie nie chciał być już rezerwowym.

„Kierował się głową”, twierdzi jego były trener Jupp Heynckes.

Dziewięć miesięcy po rozmowie telefonicznej z Fergusonem, gdy siedzieliśmy, patrząc na morze, w La Villa, portugalskiej restauracji nadmorskiej serwującej kuchnię japońską, Robert Enke przyznał:

– Możliwe, że przed tym sezonem popełniłem błąd.

Wypowiedział to zdanie, które wisiało w powietrzu, jakby wypowiedział je wytworny lektor, który uwielbia, gdy jego słuchacze wstrzymują oddech. W końcu

wytłumaczył, że chodzi mu o odrzuconą ofertę Manchesteru United.

– Gdy widzę, że Barthez gra w tej chwili nie za specjalnie... – Nie dokończył. W następnej chwili wydawało się, że nie rozmawia już ani ze mną, ani z Teresą, a z sobą samym. – Było, minęło. Teraz muszę podjąć odpowiednią decyzję w kwestii dalszej przyszłości.

To był dzień, w którym się poznaliśmy.

Zobaczyłem, jak biegnie w moją stronę przez hol Estádio da Luz. Wciąż miał na sobie czerwony strój treningowy Benfiki. Podał mi dłoń. Pomyślałem, że nieczęsto piłkarze tak ochoczo wybiegają do mnie na wywiad, jednak on nawet się nie zatrzymał, a jedynie ruszył dalej i wybiegł ze stadionu.

– Niewiarygodne – krzyknął w moją stronę – dali mój czek innemu piłkarzowi! Zaraz wracam, ale najpierw muszę odzyskać swoje pieniądze.

Dwie godziny później, siedząc w La Villa przy sushi i zielonej herbacie, wciąż nie odzyskaliśmy co prawda jego pieniędzy, ale mogliśmy się śmiać z tej pomyłki. Pracownik w biurze Benfiki nie przyjrzał się dokładnie piłkarzowi i wcisnął czek z wypłatą pierwszemu lepszemu blondynowi – Szwedowi Andersowi Anderssonowi, który po prostu włożył kopertę do kieszeni i udał się do domu.

– Fajnie, gdy ktoś mnie tu nie rozpoznaje – powiedział Robert – ale czy musi to być od razu osoba z kierownictwa, która rozdaje czeki?

Podczas naszego pierwszego spotkania – miał wówczas 24 lata – sprawiał wrażenie człowieka, który postrzega sprawy z głową i jest całkowicie pozbawiony cynizmu. Mieszkał w obcym mieście i czuł się tam jak wśród swoich, można było pomyśleć, że dokładnie wie, jak wygląda szczęśliwe życie. Jednak w pamięci najbardziej pozostał mi obraz profesjonalnego sportowca, który opętany jest przeświadczeniem, że musi iść coraz dalej i piąć się coraz wyżej.

Po obiedzie w La Villa poszliśmy na spacer wzdłuż plaży, wciąż rozmawiając.

– Opłacało mi się przejść do Benfiki. Kto w moim wieku otrzymuje szansę na grę przez trzy lata w pierwszym składzie tak wielkiego klubu? Jednak czas zwijać żagle.

– Dlaczego?

– Jestem tu od dwóch i pół roku i już mam najdłuższy staż ze wszystkich piłkarzy. Grało ze mną tylu zawodników, że niektórych już nawet nie pamiętam. W ten sposób nie można zbudować zwycięskiej drużyny. W tym roku zostałem nawet kapitanem, co mnie bardzo cieszy, jednak powiedzmy sobie szczerze: kapitanem zostaje 24-letni obcokrajowiec. Innymi słowy: wszyscy inni czołowi piłkarze zostali sprzedani. To pokazuje, że w tym klubie coś nie gra.

Wrażenie to można odnieść również, gdy spojrzy się na sposób obchodzenia się z czekami dla zawodników...

– Jeśli w drodze powrotnej spotkasz w samolocie niskiego Szweda w czarnych okularach i wielką walizką, to zatrzymaj go: to Anders Andersson, który wywozi

moje pieniądze za granicę.

Na naszej drodze zatrzymał się spacerowicz. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak ekshibicjonista: ubrany był w długi płaszcz i szeroko rozkładał ramiona. Nagle okazało się, że człowiek ten chciał tylko naśladować bramkarza Benfiki podczas parady... Roześmiałem się. Robert Enke usilnie starał się na niego nie patrzeć, a następnie go minąć.

– Mam tu trenera bramkarzy, który doprowadza mnie do szału. Przy jego treningu mam problem z utrzymaniem formy.

Zastanawiałem się, dlaczego zmienił temat. Wtedy Robert zaczął opowiadać o Samirze Shakerze, nowym trenerze bramkarzy w Benfice, i wtedy zrozumiałem: człowiek wyginający się na plaży przypominał mu Shakera.

Bramkarze w Benfice myśleli, że ich dotychczasowy trener ma wszystko, czego od niego wymagają, a czasem nawet i więcej. Moreira opowiada, że „pewnego razu strzelił tak, że połamał krzeselko za bramką. Miał najsilniejszy strzał ze wszystkich trenerów bramkarzy w mojej karierze”. Mimo to klub, swoim zwyczajem, po dwóch latach skłonił Waltera Junghansa do odejścia. Wypłacano mu wyraźnie niższe wynagrodzenie niż początkowo ustalono.

Niedługo później zawodnikom przedstawiono nowego trenera bramkarzy. Samir Shaker, mężczyzna o lśniących białych włosach, przybył z Iraku. Nikt nie miał pojęcia, jak trafił do Portugalii oraz jak rozpoczął karierę trenerską w Nacional Funchal w pierwszej lidze. Bramkarze nie mogli mu zadawać pytań. „Samir nie mówił po angielsku, a po portugalsku znał może ze trzy słowa – ocenia Moreira. – *Amigo, bola, vamos!* – Przyjacielu, piłka, do dzieła!”. Moreira mówi też, że „był on sympatycznym i miłym człowiekiem”.

Podczas rozgrzewki Samir krzychał: „Do dzieła, przyjaciele!”, a następnie demonstrował Robertowi ćwiczenia – fikołki.

Fikołki!

– Przyjaciele! – krzychał Samir Shaker, po czym pokazywał kolejne ćwiczenie: schylony bramkarz powinien się ustawić z rozstawionymi nogami, a drugi bramkarz miał do niego podbiec i okręcić się na jego plecach. – Do dzieła!

– Moreira, powiedz mi, że to nie dzieje się naprawdę.

Moreira roześmiał się i wzruszył ramionami. Robert Enke niewinnie uśmiechnął się do trenera i gestami wytłumaczył mu, że ze względu na ból pleców nie wykona tego ćwiczenia.

Podczas kolejnego treningu Samir Shaker przywiązał bramkarzy do bramki bandażami elastycznymi. Mieli biec sprintem do ich maksymalnego naciągnięcia.

– Samir, to jest niebezpieczne, bo gdy skończymy biec, zadziała siła oporu i rzuci nas do tyłu wprost na słupek.

Więc przy następnym treningu Samir Shaker zabezpieczył słupki materacami.

Przed meczem przeciwko Maritimo na Maderze mieli ustawić obok siebie wiadro z wodą i po każdym strzale zanurzać w nim piłki.

– Co to znowu ma być?

– *Chuva* – powiedział Shaker. Deszcz. – Na Maderze często pada, więc piłkarze muszą być na to przygotowani.

– Aha – powiedział Robert Enke. – A nie byłoby lepiej, gdyby całe pole karne było w wodzie?

Samir Shaker uśmiechnął się, bo nie zrozumiał słów Roberta.

W sobotę wieczorem Robert Enke i José Moreira jak zawsze siedzieli w pokoju hotelowym.

– Nie mogę w to uwierzyć – westchnął Robert. – To miły człowiek, ale żaden z niego trener bramkarzy. Klub musi go zwolnić.

– A ja patrzę na to pozytywnie: możemy nauczyć się od niego czegoś nowego.

– Przecież to przypomina cyrk!

– Na początku mieliśmy niemiecką szkołę bramkarską z Walterem, a teraz iracką z Samirem.

– Czy widziałeś kiedykolwiek dobrego irackiego bramkarza?

Moreira przez dwa lata zdążył poznać Roberta jako absolutnego profesjonalistę, który jest również serdecznym i wyważonym człowiekiem. Nie mógł sobie wyobrazić, że ciąży mu dziwne podejście trenera bramkarzy. Gdy zobaczył, jak Robert denerwuje się podczas treningu na Shakera, pomyślał: „Robert tylko udaje tę złość, walczy ze sobą, żeby się nie roześmiać. Nie chce być nieuprzejmy i nie chce się śmiać z Samira, i właśnie dlatego odgrywa rolę rozżłoszczonego”.

Teresa wiedziała jednak, że tak nie jest. Gdy pewnego dnia stracił w meczu z S.C. Beira Mar trzy bramki, a Benfica przegrała po tym dwa mecze z rzędu, w domu, gdy oglądał telewizję, wpadł w szal.

Nowy trener bramkarzy ograbił go z formy.

Nic, a w szczególności prawda, nie mogły wpłynąć na zmianę tego przekonania. W rzeczywistości podczas trzeciego sezonu gry w Benfice zaczął się stawać bramkarzem kompletnym. Jego ciało bardzo się zmieniło od momentu, gdy wyjechał z Mönchengladbach: ręce i nogi były teraz proporcjonalne względem imponujących wielkością ramion, siła wyskoku i szybkość reakcji stały się wprost niewiarygodne. Zamiast piąstkować dośrodkowania, wszystkie wyłapywał. Gdy przeciwnik biegł w stronę pola karnego, Robert wychodził na siódmy metr, bez konieczności szybkiego powrotu do pola bramkowego, przez co utrudniał przeciwnikom dogrywanie wysokich podań. Wyostrzony instynkt zachowawczy i możliwość przewidywania pomagały mu kreować naprawdę spektakularne akcje.

Jedynie on sam, zestresowany przez Samira Shakera oraz niepowodzenia Benfiki,

nie zauważał swojej jakości.

Teresa postanowiła pozostać odporna na jego humory. Chciała, by jej mąż był odporny zarówno na porażki, jak i na zachowanie Samira.

– Dlaczego dziś znów grałeś u przeciwnika? – pytała lekko, gdy w meczu kilka jego wybić lądowało pod nogami piłkarzy drużyny przeciwnej.

A gdy wieczorem po meczu leżał na kanapie i oglądał, jak w zwolnionym tempie pokazywano jego niesamowitą obronę, mówiła:

– Czy ty te interwencje znasz na pamięć?

– A czy ty w ogóle widziałas moją świetną obronę?

– Przynajmniej słyszałam, jak komentator w ciągu godziny 27 razy krzyknął: „Uenk! Uenk!”.

– Przecież jesteś żoną piłkarza. Przeczytaj choć raz „A Bola”.

Ludzie, którzy znali państwa Enke jedynie powierzchownie, często płoszyli się, słysząc ich pozornie szorstkie rozmowy. Teresa tłumaczy: „Uwielbialiśmy się przekomarzać”.

Pewnego zimowego dnia, podczas popołudniowego spaceru wzdłuż plaży w towarzystwie zgrai ich psów, zaczęła opowiadać o swoich pomysłach na przyszłość:

– Wiesz, najchętniej powróciłabym do Niemiec.

„W głębi serca rozumieliśmy – powiedziała osiem lat później, wchodząc na Lange Berg w Empedzie – że musimy wrócić do Niemiec. Pomyślałam, że tak byłoby najlepiej, bo byłabym blisko znajomych”.

Pierwsza propozycja, jaką otrzymał Robert w okresie swojej gry w Portugalii, padła w styczniu 2002 roku, na pół roku przed zakończeniem jego współpracy z Benficą. I porządnie go przestraszyła.

Chciało go zatrudnić FC Porto.

Piłkarzowi nie wolno zrobić kilku rzeczy: przejść z FC Barcelony do Realu Madryt, przejść z Celticu Glasgow do Rangersów oraz przejść z Benfiki Lizbona do FC Porto. Walka pomiędzy tymi klubami to ostatnia w cywilizowanej Europie możliwość, by dać upust nienawiści. Najwyraźniej w dalszym ciągu setki tysięcy ludzi odczuwają taką potrzebę. Podczas derbów uprzedzenia przestają być niedorzeczne i zajmują centralną rolę w ataku przeciwnika. „Porto pracuje, a Lizbona roztrwania pieniądze”, powiadają w północnej Portugalii.

– Jestem benfiquistą. Nie mogę przejść do Porto – powiedział Robert Enke.

Oferta była jednak nie do odrzucenia i zmuszała go do przenosin – za trzy lata gry miał otrzymać dziesięć milionów euro. Netto.

Jorge Pinto da Costa lubił dręczyć piłkarzy Benfiki nieprzyzwoicie wysokimi

ofertami. Był on prezydentem klubu od 20 lat. Ukończył szkołę jezuicką, uchodził za człowieka o nienagannyh manierach, a FC Porto prowadził niczym zarządca ziemski. Gdy rozstał się ze swoją partnerką, ta napisała książkę, w której zarzuciła mu wydawanie pieniędzy na damską biżuterię, napaść na przeciwników oraz na łapówki dla sędziów piłkarskich. Jorge Pinto da Costa przed sądem określił jednak te doniesienia jako „znacząco błędne”.

Pomysł ściągnięcia Enke do FC Porto wyszedł od trenera zespołu – José Mourinho.

– Nie mogę tego zrobić – podkreślił ponownie Robert Enke.

– Dziesięć milionów euro to kosmiczna suma. Po podpisaniu tego kontraktu nie będziesz później musiał już nigdy pracować – przekonywał go Jörg Neblung.

Byli zgodni co do jednego – powinni przynajmniej raz spotkać się z Pinto da Costą.

Rok wcześniej dzwonił do niego Alex Ferguson, który chciał go ściągnąć do Manchesteru United. Tak bezpośrednie podejście trafia się jednak rzadko podczas transferów – w szczególności na południu Europy. Tam w polityce transferowej kluczową rolę odgrywają *intermediarios*, pośrednicy. Pinto da Costa miał swojego osobistego *intermediario*, agenta piłkarskiego, który w FC Porto nie zajmował żadnego stanowiska, ale mimo to zawsze był wysyłany do pilotowania ewentualnego transferu nowego piłkarza.

Pośrednik przekazał Enke i Neblungowi, że Pinto da Costa będzie na nich czekał w swej rezydencji letniej w Cascais, która zimą pozostaje pusta.

Gdy Jörg Neblung i Robert Enke wjeżdżali swoim oplem na teren posesji, brama otworzyła się automatycznie. Fani często powtarzali Robertowi, że powinien kupić większe auto, bo w końcu jest gwiazdą. Ten jednak nie rozumiał, dlaczego miałby sam kupować sobie samochód, skoro sponsor sam mu go oferuje. Po raz pierwszy pomyślał, że dobrze się stało, że jeździ tak nierzucającym się w oczy autem. Dobrze bowiem wiedział, że gdy kapitan Benfiki spotka się z prezydentem FC Porto, to kolejnego dnia nie będzie miał czego szukać na treningu.

Drzwi otworzył im pośrednik. Prezydent, stateczny mężczyzna w okularach bez oprawek i w ciemnym garniturze, siedział w fotelu obitym pluszem. Gościom nie zaproponowano niczego do picia, nawet szklanki wody. Palila się lampa, a rolety zostały opuszczone.

Jörg Neblung zapamiętał, że nie wymieniono żadnych uprzejmości – obyło się nawet bez bliższego poznania. „Możliwe, że w willi zostaliśmy 20, a może 30 minut – wspomina – ale wydawało się, że nasz pobyt tam trwał najwyżej pięć minut. Poczuję się, jakbym brał udział w transakcji narkotykowej”.

– Dziękujemy za państwa zainteresowanie – powiedział Jörg Neblung. – To normalne, że musimy porozmawiać, jeśli w grę wchodzi taka suma. Dziesięć

milionów euro netto za trzy sezony gry to poważna oferta.

Robert Enke przetłumaczył.

Pinto da Costa odpowiedział, jednak Robert Enke nie musiał tłumaczyć. Wszystko można było odczytać z gestów prezydenta.

– W jaki sposób doszedł pan do takiej sumy? Przecież nie było o tym mowy. Nie zostały podane żadne konkrety.

Pośrednik, który dwa tygodnie wcześniej podał taką propozycję pensji, siedział obok z niewzruszoną miną.

Robert Enke oraz Jörg Neblung wymienili spojrzenia, by się upewnić, czy myślą o tym samym. Robertowi złożono fikcyjną propozycję, aby w ogóle rozpocząć negocjacje.

– Naprawdę jesteśmy bardzo zainteresowani Robertem Enke.

– My jednak pojawiliśmy się z założeniem, że rozmawiamy o dziesięciu milionach euro. Przecież pan wie, że dla benfiquisty takiego jak Robert praktycznie niemożliwe jest, aby przejść do FC Porto. Dla nas oczywiste staje się, że taki krok musi nieść ze sobą rekompensatę finansową. Można odnieść wrażenie, że zaprosili nas państwo przy błędnych założeniach.

– Proszę, nie kłóćmy się teraz. Przedłożymy Robertowi ofertę, która go wysoce usatysfakcjonuje, mimo że nie wyniesie ona dziesięć milionów euro netto za trzy sezony gry.

– Przykro nam, nie jesteśmy w stanie prowadzić dalszych negocjacji.

Robert Enke i Jörg Neblung wstali i uprzejmie podali dłoń prezydentowi i pośrednikowi. Jorge Pinto da Costa powiedział jeszcze coś Robertowi po portugalsku.

– Jeśli przejdziesz do FC Porto, to do zakończenia sezonu utrzymamy to w tajemnicy, a podczas prezentacji drużyny na Stadionie Smoka po prostu pojawisz się jako niespodzianka.

W decydujących momentach często wystarczało, jeśli Jörg i Robert tylko przelotnie spojrzeli sobie w oczy. Spojrzenie wymienili również w chwili, gdy otwierała się przed nimi brama rezydencji prezydenta Porto. Mówiło jedno: „Na tym koniec. Porto możemy sobie podarować”.

Kilka dni później wpłynęła pisemna oferta z FC Porto. Nie było nawet mowy o dziesięciu milionach euro, ale oferta i tak była najbardziej lukratywną w karierze piłkarza.

– Za te pieniądze nie zdradzę Benfiki. Wolę zagrać gdzie indziej za mniejszą kwotę – starał się wmówić sam sobie.

Zimą 2002 roku Teresa notowała w czarnym kalendarzu kieszonkowym wydarzenia i sytuacje związane z mężem, które wydawały jej się istotne.

5 lutego. Balou gryzł się na plaży z obcym psem. Robbi okazuje mi zniecierpliwienie.

10 lutego. Porto gra z Benficą. Brema przyjeżdża oglądać grę Robbiego. Ciekawe.

11 lutego. Chce go ściągnąć Kaiserslautern!

To był czas, w którym kluby piłkarskie nie chciały uzależniać od szczęścia znalezienia wartościowego piłkarza. Zatrudniały skautów, którzy od Buenos Aires po Belgrad wyszukiwali talenty i skrupulatnie prowadzili statystyki opisujące ich osiągnięcia. Jednym kliknięciem można wyszukać na przykład 16 prawych obrońców z pełnym opisem ich umiejętności. Mimo to koniec końców trenerzy częściej bazowali jednak na szczęściu i osobistych kontaktach niż na tabelce z opisem umiejętności.

Werder Brema zatrudniał dwóch skautów, Hune Fazlica – najlepszego szperacza w lidze – oraz Mirko Votavę, który dostał tę posadę przede wszystkim dzięki wcześniejszej grze w Werderze. To właśnie on przyjechał do Porto. Benfica przegrała 2:3. Votava analizował grę niczym poczciwy sąsiad:

– W stronę Enke oddano trzy strzały i trzy razy nie obronił. Co mam powiedzieć?

Werder Brema przekazał Jörgowi Neblungowi, że nie są zainteresowani zatrudnieniem Roberta Enke.

W Kaiserslautern nikt nie oglądał meczów z jego udziałem. Trener tego klubu, Andreas Brehme, tylko raz zadzwonił do Juppa Heynckesa, aby usłyszeć jego zdanie.

25 lutego. Robbi rozmawiał z Brehme. Jörg spotka się z Kaiserslautern. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

W tym czasie w Lizbonie wrzało od plotek: Robert Enke odchodzi z Benfiki! Robert Enke przechodzi do FC Porto!

Po złych doświadczeniach zebranych w Mönchengladbach miał nadzieję, że tym razem do samego końca sezonu utrzyma w tajemnicy swoje odejście.

– Nie mam pojęcia, jakim cudem ludzie, których nie znam, decydują się mówić w telewizji o tym, że niby podpisałem umowę z FC Porto. To kłamstwo! – powiedział Robert, ujawniając jedynie połowę prawdy.

– *Fica, Enke!* – krzyczeli fani.

Fica, Enke! – takie hasła widniały na samodzielnie przygotowanych banerach na Stadionie Światła. „Zostań, Enke!”. Stacja telewizyjna przekazała mu kilka kaset wideo z wypowiedziami kibiców. *Fica, Enke!*

To go poruszyło. Musiał jednak iść coraz dalej, podążać coraz wyżej.

Odrzucił propozycję przedłużenia kontraktu z Benficą Lizbona. Wówczas najbardziej jednoznacznie i niespodziewanie uwidoczniły się jego plany przeprowadzki.

4 marca. Robbi został zdjęty z bramki. Gra Moreira.

Gdy dziennikarze sportowi zobaczyli, że na trzy miesiące przed zakończeniem

kontraktu bez poważnej przyczyny zasiadł na ławce, wywnioskowanie reszty nie było już trudnym zadaniem. Robert Enke musiał zwołać konferencję prasową.

– Odchodzę z Benfiki – zakomunikował.

Poinformowały o tym wiadomości w państwowej stacji RTP.

Trener Jesualdo Ferreira oznajmił, że Robert miał już nie zagrać w pozostałych dziewięciu spotkaniach.

„Jeden raz zasiadł na ławce, w meczu z Gil Vicente, a później do końca sezonu miał kontuzję – wspomina Moreira. – Podejrzywałem, że wykorzystał to jako pretekst, aby nie dać się poniżyć, a ja byłbym chyba ostatnią osobą, która by go w tej sytuacji nie rozumiała. Robert przeżył w Benfice trudne chwile. Wówczas klub zmagał się z dużą, naprawdę dużą liczbą problemów i pewnego dnia Enke stwierdził, że po prostu ma dość. Zawsze jednak był obok mnie. Doradzał mi nawet wówczas, gdy nie grał”.

Teresa nie może sobie przypomnieć, czy rzeczywiście miał kontuzję, czy tylko udawał. Nie próbuje się migać od odpowiedzi: naprawdę tego nie pamięta. Wtedy wydawało się to mało istotne.

11 marca. Kaiserslautern odmówiło Jörgowi. Szczęście nie jest po naszej stronie. Czekamy, aż wróci słońce.

„Boże! – krzyknęła Teresa, a następnie otwartą dłonią uderzyła się w czoło, czytając po ośmiu latach wpis w kalendarzu. – Widzisz, jak życie nas rozpieściło, skoro już wtedy myśleliśmy, że to straszne, skoro Kaiserslautern nam odmawia?”.

Po tym jak Jörg przekazał im złą wiadomość z Palatynatu, pojechali z psami na plażę.

– Nagle zaczęło padać – wspominał Robert w rozmowie ze mną. Po chwili dodał: – I wtedy depresja była już całkowita.

Tęsknota Roberta Enke za takimi miejscami jak Kaiserslautern czy Brema rosła proporcjonalnie do liczby odrzuconych ofert klubów z Bundesligi. Siedział w domu w Sassoeiros i oglądał mecze ligi niemieckiej. Bolało go, że tylko on może oglądać niemiecką piłkę, a Bundesliga nie może oglądać jego. „Pewnie, że fajnie by było, gdyby ktoś w Niemczech zauważył, że Enke nie leżał te trzy lata na plaży”. Był pożądany przez wielkie kluby świata jak Manchester United. W Portugalii był gwiazdą, a w Niemczech niezauważalnym bramkarzem klasy światowej – suwerenem bez własnego kraju. Nie było to jego winą, a raczej winą położenia geograficznego Portugalii, na krańcu Europy. W porównaniu z innymi ligami tę portugalską można przypisać do klasy 1b, przez co w Niemczech była ignorowana. Jednym z domniemanych powodów przenosin Roberta w 1999 roku do Lizbony była możliwość gry w Lidze Mistrzów, jednak ani razu nie udało mu się tam zakwalifikować – nawet w trzecim sezonie gry jego klub zajął czwarte miejsce.

Benfica 27 razy zdobywała mistrzostwo kraju, jednak ostatni raz udało jej się to w 1994 roku. Robert Enke w niemieckich mediach tylko okazyjnie pojawiał się w roli przewodnika po Portugalii. Wtedy mógł mówić: „Tu nie pije się wody gazowanej, bo za bardzo rozdyma brzuch” czy też: „W Lizbonie nie wolno się spieszyć, robiąc zakupy w markecie”. Jednak przez trzy sezony jego pobytu w Benfice meczu z jego udziałem nie obejrzał ani jeden niemiecki dziennikarz.

W ogrodzie Sasseiros Robert Enke chodził w koszulce Werderu Brema. Otrzymał ją od kolegi Marca. Przywiózł mu ją z Niemiec.

Jörg Neblung nagle przestał rozumieć zamięłowanie Roberta i Teresy do spokojnych niemieckich miasteczek. „Robert czuł się jak zaginiony syn Bundesligi, ale ja niestrudzenie go przekonywałem: »Przecież w Anglii i Hiszpanii jesteś wysoce ceniony, a ich ligi są najsilniejsze. Nie musisz tak walczyć o swoje względy jak w Bundeslidze«”.

Miał propozycje z Alavés oraz Espanyolu Barcelona z hiszpańskiej Primera División, czyli klubów ze środka stawki. Czy jednak miał przejść do FC Porto?

Kilka miesięcy wcześniej Jörg Neblung usamodzielniał się na stanowisku agenta sportowego. Obok Roberta Enke początkowo do jego klientów należeli bramkarz Alexander Bade, rezerwowym w klubie 1 FC Köln, oraz lekkoatletka Heike Drechsler. „Wiedziałem jednak, że najważniejszy w mojej karierze jest transfer Roberta”.

Zainteresował się wszystkimi najlepszymi klubami Europy. FC Barcelonie, obrońcy pięknej gry, mógłby przydać się nowy bramkarz. Jej trener w ostatnim czasie stawiał w bramce na przemian na Roberto Bonano oraz Pepe Reinę. Znaczyło to, że jest niezadowolony. Jednak jak powiedział Jörg Neblung, „do Barcelony nie może przecież zadzwonić jakiś Jörg Neblung, świeżak z Kolonii”.

Potrzebował pośrednika.

Zaledwie w kilka dni znalazł dwóch.

Bernd Schuster, blond anioł z lat 80., którego dośrodkowania z linii pomocy zapierały kibicom dech w piersiach i pozwalały im zrozumieć piękno futbolu, jako jedyny Niemiec grał w FC Barcelonie. Szczególną atrakcją w tamtych czasach była jego żona Gaby. W rozmowie z Neblungiem przedstawiła się jako menedżerka. Z chęcią wykonywała telefon do swoich starych znajomych, gdy tylko mogło jej to zapewnić jakąś prowizję. Powiedziała dyrektorowi sportowemu Barcelony Antonowi Parerze, że w Portugalii dostępny jest utalentowany młody bramkarz, któremu właśnie kończy się kontrakt i którego chciał zatrudnić Manchester United.

W klubie takim jak Barcelona, gdzie zarząd liczy 20 członków – z których każdy najchętniej działałby po swojemu – niczego nie można utrzymać w tajemnicy. Ktoś z kręgu Barcy poinformował portugalskiego agenta José Veiga: „Nasz prezydent interesuje się bramkarzem Benfiki, więc może uda się coś uskubać na tym transferze”. Chwilę później zadzwonił telefon Jörga Neblunga. Veiga mógł mu pomóc w otwarciu

kilku drzwi. Był tym człowiekiem, który współtworzył jeden z największych transferów w historii – ściągnięcie do Realu Madryt Luísa Figo. Jörg powierzył mu rolę drugiego pośrednika.

Jeśli transfer doszedłby do skutku, to agenci mieliby do podziału ponad pół miliona euro. Veiga zaaranżował Neblungowi spotkanie z Parerą. Dyrektor sportowy wspominał, że są zainteresowani Enke. „To mogło znaczyć wszystko i nic”, wspomina Jörg Neblung.

W kolejnych tygodniach regularnie otrzymywał telefony od pośredników, którzy jak jeden mąż opowiadali o swoich wyśmienitych kontaktach z prezydentem oraz kierownictwem FC Barcelony. W profesjonalnej piłce istnieje cała masa pośredników, którzy nie reprezentują ani jednego piłkarza, ale starają się proponować klubom wszystkich. Sprawdzają na przykład, jaki klub potrzebuje bramkarza, a następnie dzwonią do wszystkich możliwych piłkarzy, twierdząc, że mogą załatwić przeniesienie właśnie im, a w najlepszym wypadku są jedynie łącznikami. Jörg Neblung nie miał tego typu telefonów z jednego miejsca – FC Barcelony.

Sezon dobiegł końca. Teresa i Robert wypowiedzieli już umowę najmu i nie wiedzieli, dokąd mają teraz się udać.

W gazetach pisano, że Barcelona potrzebuje nowego bramkarza, Francuza Ulricha Ramé z Girondins Bordeaux.

Robert wyruszył z Jörgiem do Vitorii, aby obejrzeć tamtejszy klub Alavés. Klub był taki sam jak północnohiszpańskie miasto: kuszący, ale mały. Może jednak lepiej będzie, jeśli przejdzie do Porto?

Teresa i Robert wzięli kamerę i wybrali się na ostatni spacer po Lizbonie. Odwiedzili wszystkie miejsca, które coś dla nich znaczyły – plaże w Estoril, La Villa, sklep z płytami Marca, park Monsanto... Ustawiali się w każdym miejscu i z uśmiechem na ustach machali na pożegnanie, mówiąc: „Adeus, Lisboa!”.

Nie opuszczali stolicy Portugalii z ciężkim sercem. Po pięknym czasie, który tam spędzili, byli przekonani, że wszędzie będzie im dobrze.

Poprzedniego lata na urlop wyruszyli samochodem. Drogę do Niemiec, trzy tysiące kilometrów, pokonali w dwa dni. Teraz zastanawiali się, w jaki sposób mogliby przetransportować psy. Zdecydowali się je zostawić u Marca i polecili samolotem do Frankfurtu. Przecież ich urlop miał być krótki, a po nim mieli wyruszyć gdziekolwiek. Jörg Neblung udał się na sesję zdjęciową z Heike Drechsler na Majorkę. Stamtąd chciał wyruszyć na rozmowy na temat kontraktu z Espanyolem Barcelona w Katalonii. Najodpowiedniejszym terminem był 28 maja. Dzień czy dwa dni wcześniej odebrał telefon z Barcelony. Chciał się z nim zobaczyć Anton Parera, dyrektor sportowy Barcy.

28 maja, będąc w drodze na rozmowy z przedstawicielami katalońskiego klubu,

Jörg Neblung uświadomił sobie, że leci do Barcelony z biletem, który zakupiony został przez ich odwiecznego wroga – Espanyol.

Stopy

W Barcelonie można stać 300 metrów przed Camp Nou i mimo to nie dostrzec stadionu. Stoi on w środku miasta i otoczony jest blokami, przez co nie ma się pojęcia, jaki jest ogromny. Po zajęciu miejsca na trybunach człowiek nagle, niczym rażony gromem, zaczyna pojmować wspaniałość tego stadionu.

Ze swym owalnym kształtem i gigantycznymi rozmiarami przypomina raczej Koloseum, nie stadion. Trybuny wznoszą się tak stromo, że sprawiają wrażenie, jakby łączyły się z niebem. Gdy zasiada na nich 100 tysięcy kibiców, człowiek zaczyna dostrzegać własną kruchość. Piłkarze znajdujący się na murawie sprawiają wrażenie malutkich i łamliwych. Gdy zaś przebywa się na pustym stadionie, na trybunach panuje cisza: ozywają nigdy niewidziane bitwy, które nagle wydają się nieskończenie realistyczne. Przy akompaniamencie 100 tysięcy gardeł i tysiącu uniesionych pięści widzimy Kubalę na skrzydle, Zubizarretę w powietrzu oraz Goikoetxeę, który w akcie zemsty zostaje powalony na ziemię przez anioła Schustera.

W świecie piłki nożnej Camp Nou jest ostoją prawdy, dobra i piękna. Po łamiącej serce porażce Brazylii podczas mistrzostw świata w 1982 roku świat wokół Barcelony uznał *juengo bonito*, piękną grę, za element przeszłości. W piłce dominowało teraz podejście pragmatyczne: zwarta obrona i nastawienie na błyskawiczne przejście do ofensywy. Tylko Barcelona wzbraniała się przed takim podejściem. Jej przedstawiciele niczym fundamentaliści hołdowali urokliwej, lekkiej grze i upierali się, aby w dalszym ciągu grać tak samo, atakować upajającymi krótkimi podaniami.

Ludzie mają swoje teorie, tłumaczące, dlaczego Barça tak uparcie obstawała przy walorach estetycznych futbolu. Mówiono, że to dlatego, iż jej odwieczny rywal, Real Madryt, odnosił więcej zwycięstw i Barça szukała swego rodzaju pocieszenia. Na zasadzie: przecież gramy ładniej! Możliwe też, że Katalończycy chcieli dzięki temu wyrazić swój styl, swoją odmiennność i niezależność. Prawda jest jednak znacznie mniej skomplikowana: perpetuum mobile bazujące na podaniach sprawiło, że w roku 1992 FC Barcelona pod wodzą Johana Cruyffa po raz pierwszy wygrała Puchar Europy. I klub uwierzył: taka gra to jedyna droga do sukcesu.

Codziennosc w roku 2002 nie była tak niesamowita. Luís Figo, ucieleśnienie Barcelony, którego dryblingi miały swoją własną melodię, dwa lata wcześniej zdezerterował za rekordową sumę do Realu. Trauma pozostała. Prezydent Joan Gaspart, człowiek o chaotycznych gestach i kipiący entuzjazmem, starał się z przesadną chęcią kierować klubem. Neurotyczne środowisko nie było szczególnie pomocne.

Jednak mit Barcelony okazał się o wiele silniejszy niż niesprzyjające okoliczności.

28 maja Jörg Neblung wyszedł z biura dyrektora sportowego Antona Parery z radością, którą koniecznie musiał się z kimś podzielić. Barça chciała zatrudnić Roberta Enke!

Podczas wielu tygodni całkowitego milczenia Barcelona skrupulatnie sprawdzała piłkarza. Trener bramkarzy Barcy, Frans Hoek, rozłożył na czynniki pierwsze grę Roberta uchwyconą na taśmie. „Miał niesamowity refleks – mówi Hoek. – To było kuriozalne, bo równocześnie nie był typem muskularnie zbudowanego niemieckiego bramkarza, jak Kahn, Köpke czy Schumacher. Nie ograniczał się tylko do stania na linii. Jeśliby tak robił, to Barça by go skreśliła. W tym klubie bramkarz musi współtworzyć grę”. Dla pewności Hoek zadzwonił do swojego znajomego z Portugalii, który znał się na rzeczy. Tym kimś był José Mourinho.

Swego czasu Mourinho szkolił się w Barcelonie. Jako trener Porto w dalszym ciągu miał nadzieję na zatrudnienie Enke. Podczas przyjaznej rozmowy z Hoekiem chwalił jednak Enke tak szczerze, że Barça postanowiła go zatrudnić i sprzątnąć go sprzed nosa FC Porto.

Dyrektor sportowy od razu doszedł do porozumienia z Jörgiem Neblungiem w sprawie wynagrodzenia. Prezydent klubu miał się jeszcze zapoznać z treścią kontraktu, co było zaledwie formalnością, jednak obecnie przebywał w Madrycie, skąd wrócić miał dnia następnego. Jörg powiedział Robertowi przez telefon:

– Mógłbyś w czwartek przylecieć do Barcelony i podpisać umowę.

Ale Teresa w rozmowie z mężem stwierdziła:

– Tak naprawdę to ja nie chcę jechać do Barcelony.

Jej głos brzmiał poważnie. Nie zmienił się do dziś, gdy o tym opowiada.

„Właśnie teraz, gdy po trzech latach spędzonych w Lizbonie udało nam się biegle nauczyć portugalskiego, perspektywa podróży do obcego kraju wydawała mi się odstręczająca. Szczególnie że przy ofercie Porto mogliśmy zostać w Portugalii. Mogliśmy też wrócić do Niemiec”.

– Droga Tereso, przepraszam, ale tym razem nie mogę wziąć twojej strony – powiedział Jörg Neblung. – Jeśli chce cię Barça, to idziesz do Barcy.

Nazajutrz ponownie rozmawiał przez telefon z dyrektorem sportowym. Umowa jest przygotowana. Najlepiej byłoby, gdyby Robert przyjechał złożyć podpis już następnego dnia.

„Enke porozumiał się z FC Barceloną”, podała gazeta „A Bola” z Lizbony. Wieści rozeszły się błyskawicznie.

Do Jörga Neblunga zadzwonili przedstawiciele banku szwajcarskiego. Proponowali, że zapłacą ryczałtem jemu i Robertowi Enke sześć milionów euro.

W zamian agent i piłkarz mieli im przekazać wszelkie prawa, zadatki, prowizje oraz dochody z Barcelony.

– Proszę się nad tym zastanowić: pan oraz piłkarz mielibyście zapewnione te sześć milionów i niczym więcej nie musielibyście się przejmować. Dogranie szczegółów umowy i wszelkie negocjacje byłyby po naszej stronie.

– Interesujące – powiedział Jörg Neblung. Pomyślał natomiast: „Mam znakomitą anegdotę do opowiadania w przyszłości”.

Prezydent Espanyolu, Daniel Sánchez, który kupił Jörgowi bilety lotnicze, a następnie nigdy go nie spotkał, nie był specjalnie szczęśliwy. „Miałem tego po dziurki w nosie. Odwalamy tu kawał dobrej roboty, nasz dyrektor sportowy odkrył Enke przed dwoma miesiącami i nagle wkracza inny klub, kopiując nasz pomysł. Czuję, że przedstawiciele Enke zrobili mnie w konia”.

Teresa i Robert wylądowali w Barcelonie. Przed budynkiem kierownictwa Barcy, wyglądającym jak instytucja państwowa, stały maszty, na których powiewały flagi klubu, miasta oraz Katalonii. W przedsionku pokoju dyrektora miejsce zajął Jörg Neblung. Nie było pośredników.

Zamiast spodziewanej miłej blondynki w charakterze sekretarki przywitał go młody ciemnowłosy mężczyzna, który skrupulatnie pilnował, żeby golić się nie częściej niż co trzy dni. Gaby Schuster wysłała jedynie swojego asystenta, Wima Vogela, natomiast José Veiga, drugi pośrednik, zadzwonił do Jörga, by powiedzieć, że utknął na lotnisku w Rzymie i że jest mu bardzo przykro. Podczas podpisywania umów to pośrednicy pojawiali się zazwyczaj najszybciej. To właśnie w tym momencie dzielono pieniądze.

Przybył prezydent Barcelony, a dyrektor sportowy zaprosił ich do siebie. Teresa zajęła miejsce w przedsionku. Gdy pół godziny później otworzyły się drzwi, Teresa nadaremnie szukała kontaktu wzrokowego z Robertem. Jego oczy wbite były w podłogę. Spojrzała na Jörga, a ten tylko pokiwał głową.

Nagle agent zauważył, że w kontrakcie zamiast kwoty netto pojawiła się kwota brutto. Dłuższą chwilę przyglądał się cyfrom i nagle zrozumiał, czemu nie pojawiła się ani Gaby Schuster, ani Veiga. Przeczuliwali, że negocjacje nie zakończą się jednego dnia, i to bez próby obniżenia stawki przez klub.

– To nie jest gaża, na którą przedwczoraj wstępnie się zgodziliśmy. To nieuczciwe – powiedział. Dyrektor sportowy uśmiechnął się uprzejmie, Jörg spojrzał na Roberta i dobrze wiedział, o czym ten myśli.

Jeszcze tego samego dnia polecili do Niemiec.

„A Bola” napisała: „Transfer Enke upadł”.

„Barça chce ściągnąć na bramkę Fabiána Carini z Juventusu”, pisało Tuttosport.

„Czy Barça postąpi z Enke tak jak z Köpke?”, pytała gazeta „Bild”.

Andreas Köpke, w latach 90. bramkarz numer jeden reprezentacji Niemiec, do

dnia dzisiejszego ma w jednym ze swoich segregatorów gotową do podpisania umowę z FC Barceloną. Gdy w 1996 roku miał już tylko złożyć podpis, nagle okazało się, że Barça zatrudniła numer jeden reprezentacji Portugalii – Vítorą Baię.

Podczas lotu do Niemiec Robert i Teresa prawie ze sobą nie rozmawiali.

Dwa dni po zniewadze na Camp Nou Robert Enke stwierdził, że są bramkarze, którzy mają zdecydowanie gorzej niż on. W Bad Windsheim, u rodziców Teresy, znów oglądał w telewizji Mohammeda Al-Deayea, grającego w barwach Arabii Saudyjskiej. Przegrał 0:8 przeciwko Niemcom. Właśnie rozpoczęły się mistrzostwa świata w Japonii i Korei Południowej.

Podczas mistrzostw świata w 2006 roku, rozgrywanych w Niemczech, ogromnie chciał wziąć w nich udział. Teraz nie wiedział nawet, gdzie zagra za miesiąc. Był zdenerwowany, ale nie zły. Gdy Barça z kimś pogrywała, należało być cicho i mieć nadzieję, że wszystko się ułoży.

Jörg Neblung rozmawiał przez telefon z dyrektorem sportowym Barcy. Parera powiedział, że oczywiście klub dalej jest zainteresowany Robertem Enke. Należy jedynie ponownie porozmawiać.

Juventus Turyn podał, że Barça chciała na najbliższy sezon wypożyczyć ich bramkarza, Cariniego.

– Zadzwoń do trenera – powiedział Jörg Robertowi.

Gdy zbliżały się rozmowy w sprawie kontraktu, poprosili dyrektora sportowego o numer do Louisa van Gaala. Holenderski trener od kilku tygodni pracował z Barceloną, a Robert chciał się dowiedzieć, czy w jego planach jest pierwszym, czy też drugim bramkarzem. Teraz chciał uzyskać inną informację: czy van Gaal go w ogóle chce.

Dodzwonił się do trenera, gdy ten był na urlopie na Arubie.

– Tak, to bardzo mądrze z pana strony, panie Enke, że pan do mnie dzwoni. Bardzo mądrze. Tylko ja sam decyduję, kto będzie grał w Barsie.

Tymczasem Robert dzwonił tylko po to, aby się dowiedzieć, czy Van Gaal widzi go w szeregach FC Barcelony.

– Tak więc to nie ja jestem tym, który chce pana zatrudnić! Pana chce zatrudnić dyrektor sportowy. Ja nawet pana nie znam. Jednak u mnie każdy z trzech bramkarzy podczas przygotowań otrzymuje tę samą szansę. Tak samo będzie z panem, jeśli podpisze pan z nami kontrakt.

Po odłożeniu słuchawki Robert Enke powiedział Jörgowi, że rozmowa między nimi była pozytywna. Van Gaal przynajmniej akceptuje możliwość jego zatrudnienia i będzie go traktował *fair*.

Gdy kilka lat później Robert opowiadał mi o rozmowie telefonicznej z van Gaalem, podkreślał, że ten od razu przyznał: „Ja nawet pana nie znam”.

Cztery dni po wstrzymaniu negocjacji Robert ponownie był w drodze do

Barcelony. Miał na sobie dżinsy oraz swój ulubiony szaro-niebieski prążkowany sweter – bynajmniej nie był to strój galowy... On i Teresa wylądowali o 19.00. Jörg już na nich czekał.

Nauczyli się trochę o hiszpańskich zwyczajach. Na przykład tego, że w Hiszpanii 19.00 to wciąż popołudnie. W budynku kierownictwa klubu przy Camp Nou w dalszym ciągu pracowano.

Jörg Neblung postanowił się przygotować na ewentualne rozczarowanie. Przywiózł ze sobą własną umowę, tę z FC Porto. Była ona już podpisana przez prezydenta klubu Pinto da Costę i przesłana faksem. Jeśli Barcelona dalej grałaby w swoje gierki, to Robert na miejscu podpisałby umowę z Porto.

Jörg Neblung samemu poszedł do FC Barcelony: „Serce mi strasznie waliło”, przyznał.

Teresa i Robert mieli czekać w hotelu Avenida Diagonal do momentu, aż na umowie pojawi się pierwotna i właściwa gaża bądź też do powrotu Jörga z pustymi rękoma.

Robert Enke nigdy nie pił dużo alkoholu. Ale tego dnia Teresa otworzyła butelkę z szampanem z minibaru. Później piwo. W telewizji nieustannie powtarzali ujęcie, w którym najlepszy piłkarz świata z roku 1999 przykładą dłonie do twarzy i z krzykiem pada na murawę. Turecki piłkarz Hakan Ünsal podczas przerwy w grze kopnął piłkę do Brazylijczyka i trafił go w udo. Sędzia dał się nabrać i pokazał Turkowi czerwoną kartkę. To było najważniejszym wydarzeniem mistrzostw świata podczas tego dnia. Minęła godzina 21.00, potem 22.00, a Neblung wciąż nie wracał.

Gdy wreszcie zabrzączał telefon, Robert wiedział, kto dzwoni. Było już po 23.00.

– Możesz przyjechać – powiedział Jörg.

W 103-letniej historii FC Barcelony tylko dwóch niemieckich piłkarzy trafiło do tego klubu – Robert Enke oraz Bernd Schuster^{**}. Minęła północ, a Robert został otoczony na Camp Nou dziennikarzami radiowymi, którzy na żywo postanowili przekazać pierwsze słowa ich nowego bramkarza. Mówił po portugalsku – tak jakby w niemieckich mediach wypowiadał się Holender. W hiszpańskim radiu sportowym, w którym pewna ekscentryczność stanowi chleb powszedni, niewiele to przeszkadzało. W radiu Cadena Ser, najpopularniejszej stacji w Hiszpanii, reporterzy lubili sami wyśpiewywać treść reklam. O północy, czyli w chwili, gdy prawie wszyscy powinni spać bądź robić inne rzeczy, miliony Hiszpanów słuchało radia. Od piłkarzy oczekiwano, że nawet o tej porze można do nich zadzwonić, by przeprowadzić wywiad.

Przyzwoite powitanie Roberta Enke w Hiszpanii nastąpiło kolejnego dnia, a uczynił to trener FC Porto – José Mourinho. „Robert dla Barcy jest jak z góry wygrany zakład. Też chcieliśmy go ściągnąć, jednak w pewnej chwili do gry weszła Barcelona – mówił w rozmowie z »El Mundo Deportivo«. – Robert to wyśmienity wybór, zarówno jako człowiek, jak i jako sportowiec”. Ponieważ wielu barcelończyków jako typowego Niemca wyobrażało sobie kogoś w rodzaju Bernda Schustera, postanowił dodać: „Robert nie jest klasycznym Niemcem. Nie jest introwertykiem z ciężkim charakterem – wręcz przeciwnie”.

Robertowi Enke pozostał jeszcze miesiąc urlopu. Potem miał rozpocząć przygodę z Barcą. Nie mógł się doczekać. Gdy odwiedził Marco Villę, który przeszedł do FC Norymbergii, wspólnie udali się na boisko.

– Chico, wpadnę dziś z Robertem Enke, chcielibyśmy się troszeczkę poruszać.

– Robert Enke? Kto to taki? – spytał dozorca boiska Norymbergii.

Można było się tylko śmiać, że nie jest znany we własnym kraju. „W Niemczech na pewno są ludzie, którzy zadają sobie pytanie: »Co? Barcelona zatrudniła Enke? Do rezerw, prawda?«”, spekulował. Gdy czuł się szczęśliwy, często żartował z samego siebie.

Kilka tygodni później po raz pierwszy zaszedł do ulicznej kawiarni mieszczącej się w jednej z gotyckich kamienic barcelońskiej starówki. Dostrzegł, że z lewej strony nadciąga niebezpieczeństwo, jednak zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, obok Teresy pojawił się pies obronny należący do kogoś, kto siedział przy stoliku obok.

– Niech idzie! – krzyknął Robert w stronę żony. Wcale nie bał się, że zwierzę ugryzie Teresę. Po prostu obawiał się, że zabierze psa ze sobą do domu...

Przechylił się na krześle, tak by promienie słońca nadal padały na jego twarz. Roześmiał się serdecznie:

– Jeszcze kilka tygodni wcześniej myśleliśmy, że czeka nas koniec świata, bo nie zatrudniło mnie Kaiserslautern! Wyobraź sobie, że by mnie tam chcieli. Pewnie od razu bym się zgodził. Jaką miałbym minę, gdyby kilka tygodni później Jörg mi powiedział: „Aha, w sumie do Barcelony też mógłbyś przejść”.

Spytał, czy mógłbym mu polecić jakiegoś nauczyciela hiszpańskiego. Wieczorem, po powrocie do ich nowego domu w Sant Cugat, za zielonymi górami Collserola, planował od razu zadzwonić do korepetytora. Pewnie po pierwszej lekcji spontanicznie podarował mu bilety na mecz Barcy...

– Nie wiem czemu, ale obecnie wszystko wydaje się świetne: miasto, klub, życie – powiedział, gdy siedzieliśmy w kawiarni, przy placu otoczonym przez pięciopiętrowe domy. Nie było słychać żadnego hałasu samochodów. Kolorowy asortyment lodziarni naprzeciwko odbijał się w szklanych drzwiach wejściowych. –

Jestem tu dopiero od trzech tygodni, a już mam poczucie, że chciałbym tu zostać dłużej.

Pomiędzy gośćmi kawiarni przeszedł bezdomny, prosząc o pieniądze. Był on pierwszą osobą, która rozpoznała tego dnia Roberta.

– *Enke, el numero uno!*

Robert odpowiedział mu po portugalsku:

– Czy jest pan benfiquista?

Nie mieściło mu się w głowie, że w Barcelonie ktoś może go rozpoznawać.

Przed oficjalną prezentacją prezydent klubu Joan Gaspart poprosił Roberta Enke, aby powiedział zdanie po katalońsku. Stali na podeście w pomieszczeniu prasowym w towarzystwie trenera van Gaala. Na ścianach gęsto, jeden przy drugim, wisiały portrety w ciemnobrązowych ramkach, prezentujące wszystkich reprezentantów kraju, którzy służyli Barcelonie. Van Gaal ubrany był w sztywną białą koszulę i krawat, przez co jego wielka szyja sprawiała wrażenie jeszcze większej. Robert Enke miał na sobie czerwoną koszulę z krótkim rękawem. Fryzjer, który miał tendencję do przesadnego skracania włosów, właśnie sprawił mu króciutką fryzurę. Dzięki temu, stojąc obok Holendra, wyglądał na jeszcze młodszego.

Specjalnie na prezentację w Lizbonie złożył zdanie po portugalsku:

– *É bom estar aqui.*

Wypowiedzenie go sprawiło mu radość. W Barcelonie mówił tylko po angielsku i deklarował: „Nauczę się hiszpańskiego i może z czasem uda mi się nawet opanować kataloński”. W Katalonii politycy używali języka jako broni w sporze o autonomię. Jeśli użyłby katalońskiego, to jego zdaniem zabrzmiałoby to na siłę grzecznie, z podtekstem i nieprawdziwie. Zwłaszcza że zażądał tego od niego prezydent klubu.

Van Gaal powiedział:

– Trzech bramkarzy, Enke, Bonano i Valdés, zaczyna od zera, przy czym dwóch pierwszych ma większe szanse. Jednak wszystko może ulec zmianie. Bo u mnie nikt nie może być pewny miejsca w składzie.

Zabrzmiało to jak groźba. Robert Enke był nowy w Barcelonie, ale już zdążył się przyzwyczaić, że trener swój bezpardonowy ton wypowiedzi uważał za przejaw szczerości.

Louis van Gaal już przed czterema laty pracował w Barsie. Wygrał z drużyną mistrzostwo Hiszpanii i Puchar Króla, uformował drużynę, w której wspaniale współgrały wolny duch oraz znakomita organizacja, jednak swoim szorstkim podejściem zniechęcił do siebie wielu piłkarzy i kibiców, którzy życzyli mu odejścia.

Miałem okazję rozmawiać z van Gaalem, gdy pracował jeszcze dla Ajaxu Amsterdam. Człapał wówczas w klapkach po kompleksie treningowym. Wszystko było w nim gigantyczne – brzuch, szyja, głowa. „Dzień dobry, panie van Gaal,

przeprowadzałem już z panem wywiad”, powiedziałem. „Nie! – wydarł się. – Umówił się pan z Davidem Endtem!” Rozmowę zaaranżował rzecznik prasowy Ajaxu. Po tym wybuchu Louis van Gaal grzecznie zaprosił mnie do swojego biura. Dziesięć dni później, rano, w dniu, w którym jego drużyna miała grać z Bayernem Monachium w półfinale Ligi Mistrzów, zadzwonił do redakcji gazety. Był lekko podziębiony. Stwierdził, że przeczytał mój reportaż o Ajaxie, po czym dodał: „Nie używał pan wielu moich wypowiedzi!”.

Początkowo pojedynk o miejsce w bramce, z Roberto Bonano, Enke rozgrywał bez rywala, bo Bonano był jeszcze na urlopie. Jako rezerwowy bramkarz Argentyny podczas mistrzostw świata w Japonii i Korei Południowej mógł wrócić do treningów z klubem kilka tygodni później.

Frans Hoek, trener bramkarzy, przedstawił Robertowi trzeciego bramkarza, młodego mężczyznę w gęstych czarnych włosach, który właśnie przeszedł z rezerw klubu. „Robert wyglądał na chłodnego, ale sprawiał wrażenie dobrego człowieka”, wspomina Victor Valdés. Rozpoczął się pierwszy trening. Słaby hiszpański Roberta i niespecjalny angielski Victora pozwoliły im unikać rozmów. Trener postanowił rozegrać luźny mecz, aby sprawdzić kondycję piłkarzy po urlopie. Z zapalem młodego chłopaka, który pierwszy raz mógł grać z drużyną pierwszoligową, Valdés zaczął obserwować ruchy Enke. Miał nadzieję rozpoznać w Niemcu ruchy swego idola.

Sześć lat wcześniej, gdy Robert Enke uczył się w Mönchengladbach od Uwe Kamps latania, Bayern Monachium grał w półfinale Pucharu UEFA z Barceloną. Za bramką Bayernu stał 14-letni chłopiec od podawania piłek, bramkarz, który bronił w trampkarzach starszych FC Barcelony. Był to właśnie Valdés. Widział, jak mężczyzna przed nim w ciągu zaledwie kilku minut wybronił za sprawą potężnych skoków i niewiarygodnego refleksu strzał Kodro oraz rzut wolny Popescu. Valdés powiedział, że była to miłość od pierwszego wejrzenia. „Stałem z otwartą buzią. Pomyślałem: »Wow!« i byłem pewien: to mój bramkarz. Od tej chwili Kahn był moim idolem”.

Victor Valdés siedzi w centrum rekreacyjnym miasteczka sportowego FC Barcelony. Pomieszczenie, w którym rozmawiamy, jest kuriozalnym połączeniem kontenera budowlanego i – za sprawą sof w brązowej skóry – nowoczesnego designerskiego wnętrza. Victor, niegdyś zapatrzony w wielkich piłkarzy 14-latek, dziś jest postawnym mężczyzną z wielkimi dłońmi i szerokimi ramionami. Tego dnia włożył koszulkę z orłem na piersi, który ma zaciśnięte szpony i jest w rzeczywistej wielkości, co tylko potęguje potężną posturę bramkarza. „Wiesz – mówi Valdés – w dniu, w którym zobaczyłem Kahna, zacząłem podziwiać niemiecką szkołę bramkarską. Niemieccy bramkarze upadają po paradzie o wiele ładniej niż

hiszpańscy”.

To znaczy?

Stara się to wytłumaczyć, lecz nagle wstaje. „My, Hiszpanie, spadamy na ziemię jak kamień, bum. – Kładzie się na podłodze. – A Niemcy się turlają”. Okręcił się trzy razy – jedynie rękoma, nie całym ciałem.

Gdy w 2002 roku Robert Enke trafił do Barcelony, zdystansował się wewnętrznie od klasycznego niemieckiego modelu bramkarskiego. W Lizbonie nauczył się, aby grać odrobinę bardziej ofensywnie i przede wszystkim bardziej rzeczowo. Teraz podziwiał go Victor Valdés, chłopak, który właśnie przeszedł z rezerw. Podziwiał go za to, o czym Robert chciał zapomnieć.

– Robert też turlał się tak artystycznie.

To niemożliwe. Bardzo się starał, aby ze swoich parad nie robić *show*.

„Naprawdę tak było! – Victorowi Valdésowi aż świecą się oczy. Właśnie przypomniał mu się pierwszy trening z Robertem Enke. – Robert był niesamowity. Pokazał trzy czy cztery wspaniałe parady. Widziałem dopiero pierwszy mecz testowy i już potrafiłem zauważyć, jak znakomitą jakość prezentuje”.

W szatni, po pierwszym treningu, do Roberta Enke podszedł Gerard López.

– *Man of the match, man of the match!* – krzyczał w kółko. Tylko tyle umiał po angielsku.

Roberto Bonano, konkurent oraz numer jeden Barcy w poprzednim sezonie, dołączył do zespołu podczas obozu treningowego w Szwajcarii. Teraz wzrok Roberta był taki sam jak uprzednio Victora Valdésa. Większość bramkarzy na boisku sprawia wrażenie jeszcze większych niż na co dzień, w swym zwyczajnym ubraniu. Bonano był w tym gronie wyjątkiem: w bluzie dresowej jego przeogromna klatka piersiowa wyglądała na jeszcze większą. Mimo to grał zaskakująco słabo. Szybko dało się zauważyć, że nie jest w formie.

Rozczarowany, że podczas mistrzostw świata był dla Argentyńczyków jedynie rezerwowym i że odpadł z nimi już w fazie grupowej, Bonano postanowił podczas urlopu nawet nie myśleć o sporcie. Teraz za to płacił.

Za trzy tygodnie rozpoczynała się liga, a Robert miał dobre przecucia.

– Stoisz za głęboko! – krzyknął do Enke trener bramkarzy.

– Tę piłkę powinieneś przyjąć lewą nogą! – zawołał innym razem.

– Robert, twoje podanie znów było niecelne – stwierdził. – Skoncentruj się lepiej na grze nogami!

Frans Hoek, z starannie zaczesanymi na bok włosami, mówił i myślał jak szef van Gaal. Uważał, że bramkarz powinien być 11. piłkarzem z pola na boisku. Podaniem bramkarza rozpoczyna się atak, tak więc musiał on grać odpowiednio precyzyjnie

i różnorodnie, a także umieć przewidzieć następny ruch przeciwnika. Dodatkowo obrona Barcelony ustawiała się o wiele wyżej niż obrona innych drużyn, aby móc rozpocząć szlachetny atak. To zmuszało bramkarza, aby wychodził dalej niż kiedykolwiek, bo w przeciwnym razie przeciwnik miałby zbyt dużo przestrzeni na kontrę. W Benfice z trudem się nauczył, aby swoją podstawową pozycję na boisku przesunąć do siódmego metra. Teraz znów ma się przesunąć? Starał się, mimo że nie czuł się z tym dobrze. Trener wciąż krzyczał:

– Jeszcze dalej, Robert, chcę, żebyś grał jak van der Sar.

Bonano wspomina: „Trener nieustannie wspominał o van der Sarze: van der Sar to, van der Sar tamto”. Gdy podczas mistrzostw Europy w 1996 roku van der Sar wyłapał dośrodkowanie w meczu ze Szwajcarią, a następnie wybił piłkę w stronę Dennisa Bergkampa – który zdobył dzięki temu gola – w jednej chwili stworzył tak zwanego nowoczesnego bramkarza: był aktywny – zapobiegał zagrożeniu, zanim to nawet się pojawiło, a następnie inicjował atak.

Robert Enke uważał, że trenerzy mieli rację, gdy zwracali mu uwagę na grę nogami. „Nie jestem Maradoną. Mam braki w graniu nogami”, podsumował. Chciał się tego jednak nauczyć. Wiedział, że trenerzy chcą dla niego dobrze. Przepęłniała go taka radość, że trudno mu było dostrzec minusy jakiegokolwiek sytuacji. Barcelona była niesamowita, a w obliczu nieustannej dyskusji o formie Bonano sezon miał rozpocząć jako numer jeden.

„Szybko zauważyliśmy, że Robert ma niesamowite nastawienie – wspomina Frans Hoek. – Wykazywał się wielką wolą pracy. Był otwarty na krytykę i wskazówki”.

Podczas turnieju w Amsterdamie, będącym próbą generalną przed sezonem, Bonano oraz Enke rozegrali po jednym meczu. Podczas przegranego 3:4 pojedynku z Ajaxem Bonano sprawiał wrażenie niepewnego. Nie wyłapywał dośrodkowań, jeden ze strzałów skierował na róg, chociaż i tak nie trafiłby w światło bramki. Z kolei Robert Enke podczas wygranego 4:2 meczu z AC Parmą przy pierwszym straconym голу wyraźnie zbyt późno wyszedł z bramki naprzeciw Marco Di Vaio.

„W meczach treningowych, rozgrywanych w wolniejszym tempie, dobrze radził sobie z dystansem pomiędzy obroną a bramkarzem Barçy – wspomina Hoek. – Jednak w meczach sparingowych, charakteryzujących się szybszym tempem, można było poznać, że ma problemy z grą pozycyjną w naszym wyjątkowym systemie. To, że władał niesamowitym refleksem na linii bramkowej, można było zauważyć od początku. Jednak pytanie, na które nikt nie mógł odpowiedzieć, brzmiało: ile czasu potrzebowałby, aby przestawić się na grę Barcelony?”

Van Gaal zapowiedział, że podczas następnego meczu towarzyskiego zagra Victor Valdés.

„Robbi stał się wówczas nerwowy – mówi Teresa. – Czemu nagle miał zastąpić go Victor?”

Pewnego popołudnia bawili się w ogrodzie z psami, gdy zadzwonił dzwonek ich drzwi. Nie czekali ani na fachowca, ani na korepetytora, a poza tym nie znali praktycznie nikogo, kto miałby powód, by ich odwiedzić. Teresa otworzyła. Przed nią stała szczupła kobieta, której krótka fryzura dodatkowo podkreślała sylwetkę. Powiedziała po niemiecku:

– Dzień dobry, jestem Frauke.

Psy Roberta i Teresy stały się w okolicy znane szybciej niż sam bramkarz...

Frauke powiedziała, że obito jej się o uszy, że przyjęli pod dach siedem psów. Sama miała dwa kundelki i angażowała się w pomoc zwierzętom. Pomyślała, że może zadzwoni i się przedstawi, bo właśnie była z wizytą u sąsiadów.

Jej mąż pracował w niemieckim konsulacie. Zaprosiła Roberta i Teresę na przyjęcie.

Teresa pamięta, że zwróciła się do niej słowami:

– Ty jesteś tą kobietą z siedmioma psami. Prawda?

– Dlaczego pytasz? Czuć to?

Właśnie tak zaczyna się przyjaźń.

W Mönchengladbach i Lizbonie Teresa i Robert żyli we własnym świecie, otoczeni pojedynczymi znajomymi. Przybyli do Barcelony z przeświadczeniem, że w profesjonalnej piłce chyba tak to właśnie wygląda. Robert zadawał sobie pytanie, jak ma znaleźć przyjaciół oraz jak ma się dowiedzieć, czy doceniają jego oraz jego status. Próbując zdystansować się od tych, którzy szukają czyjegoś towarzystwa jedynie dlatego, że jest sławny, zdystansował się od wszystkich. Jednak, jak mówi Teresa, „w Barcelonie od początku było inaczej”.

Susane, młoda kobieta zadająca bezpośrednio pytania, także była obecna na przyjęciu w konsulacie. Zaprosiła ich do stajni. Teresa spędziła połowę dzieciństwa na końskim grzbiecie. Ani ona, ani Robert tym razem nie zastanawiali się nad motywami kierującymi nowo poznaną osobą. I już wkrótce stali się częścią małej niemieckiej społeczności. Sant Cugat, gdzie mieszkali, znajduje się w pobliżu niemieckiej szkoły w Barcelonie. Dzięki temu w tym samym miejscu zebrała się grupka Niemców, w skład której wchodziło: niemiecka nauczycielka, pracownik wydawnictwa, terapeutka zwierzęca i korespondentka zagraniczna. Połączył ich fakt przebywania na obczyźnie. Dzięki temu bramkarz FC Barcelony stał się jedynie kolejnym członkiem społeczności.

Robert co rusz spoglądał na jednego z koni. Sierść zwierzęcia była matowa, a jego oczy puste. Był stary, ale w dalszym ciągu służył nowicjuszom, którzy nieporadnie podrygiwali na jego grzbiecie.

Postanowił go kupić.

Dwa dni przed pierwszym meczem w sezonie, w spotkaniu eliminacyjnym do Ligi Mistrzów przeciwko Legii Warszawa, Enke szykował się do opuszczenia Sant Cugat. Szedł pełną drogą, aby nie płacić dwa euro za przejazd tunelem przed Vallvidrera.

„Czy chcesz wiedzieć, kto będzie grał? – zagadnął mnie Robert i nie czekając nawet na odpowiedź, stwierdził: – W środę w bramce stanie Victor”.

Zirykowało go to. Victor Valdés był jeszcze chłopcem, nie miał doświadczenia gracza pierwszoligowego i wcale nie wyglądał na rozwiniętego atletycznie.

„Wydawało się, że Victor – w tym konkretnym momencie – z całej trójki kandydatów najlepiej potrafił zrozumieć styl gry Barcy”, wspomina Hoek.

Profesjonalni sportowcy zazwyczaj widzą siebie, siebie i tylko siebie. Wielu uważa, że jest to konieczne w zawodzie, w którym konkurentów należy zawsze spychać na margines i pokonywać. Robert zmuszał się, aby ocenić swoją sytuację z punktu widzenia trenera.

– To odważny krok van Gaala, to trzeba przyznać – powiedział mi przez telefon. – Mógł pójść na łatwiznę i postawić na mnie bądź Bonano. Wybrał jednak niedoświadczonego wychowanka i na pewno dobrze to przemyślał.

Tak racjonalnie mógł to przedstawiać jedynie w rozmowie z osobami trzecimi. W domu nieustannie dumał: „Dlaczego Victor?”.

Po południu on i Teresa pojechali do miasta. Musieli kupić meble do domu. Był sierpień, czyli czas, kiedy ze względu na okres urlopowy zamknięte są nie tylko pojedyncze sklepy, ale praktycznie całe miasta wydają się wymarłe. Rozzłoszczeni maszerowali od jednego salonu meblowego do drugiego. Teresa nawet się cieszyła, że w całym tym zamieszaniu Robert nie myśli o piłce.

W dniu meczu udała się na stadion, mimo że wiedziała, iż Robert jedynie zasiądzie na ławce. Uważała, że główna trybuna, na której zajmowali miejsca wpływowi mężczyźni i milczące kobiety, jest fascynująca. Często i chętnie żartowała sama z siebie, powołując się na stereotyp żony piłkarza: „Robbi, nie musisz oszczędzać tych dwóch euro za przejazd tunelem, bo twoja żona i tak je wyda”. Wcześniej wśród jej znajomych były również żony piłkarzy. Teraz, w Barcelonie, gdyby tylko się trochę postarała, na pewno również nawiązałyby kontakt z partnerkami zawodników. Gdy na stadionie jedna z kobiet zapytała ją, czy po meczu nie chciałyby gdzieś wyjść, zgodziła się, jednak nieznajoma nie pociągnęła tematu.

Na trybunie Camp Nou kobiety zachowywały się, jakby to one tworzyły drużynę i jakby musiały rywalizować o status gwiazd. Teresa była tylko żoną rezerwowego bramkarza.

Na murawie Victor Valdés pokazał swoją klasę – zaprezentował zarówno niesamowity talent, jak i nadgorliwość młodego adepta zawodu. Przeciwko Legii z wielkim sercem przeciwstawiał się niepilnowanemu Cezaremu Kucharskiemu.

Jednak podczas meczu otwarcia ligi przeciwko Atlético Madryt pochopnie wybiegł z bramki, tak że przeleciała pod nim piłka, która właściwie miała być dośrodkowaniem.

Do Roberta dotarły plotki, że Victor Valdés będzie faworyzowany ze względu na swe katalońskie pochodzenie. Poza tym van Gaal miał wyraźną słabość do młodych graczy. Chodziły słuchy, że niczym opętany raz za razem stara się potwierdzać swoją opinię odkrywcy talentów, faworyzując ich bez względu na koszty. Robert uznał, że to czcza gadanina, jednak trudno było o tym nie myśleć. Jak to możliwe, że Victor pozostaje w bramce mimo takich błędów, publiczność euforycznie wiwatuje mu przy każdej, nawet najprostszej paradzie, a jego wciąż ruga, krzycząc: „Van der Sar by wybiegł! Dogrywaj piłkę wewnętrzną częścią stopy, jak van der Sar!”. Na treningu widział przecież, że dłońmi grał lepiej niż Victor Valdés. „Ręce!”, a nie nogi były najważniejsze.

Swojego nowego pupila nazwali Dickens. Robert postanowił go kupić raczej ze względu na żonę, sam nie chciał zbliżyć się do koni. Jednak inni jeźdźcy nieustannie go zagadywali, a ich uprzejmość była dla niego mile zaskakująca. Powtarzał sobie, że nie powinien nieustannie rozmyślać o piłce, jednak Victor Valdés nie chciał mu wyjść z głowy.

Van Gaal zapowiedział, że w następnym meczu – rozgrywanym w ramach Pucharu Króla – w którym przeciwnikiem Barcelony będzie trzecioligowiec, wystawi kilku rezerwowych piłkarzy. Jego głos jak zwykle brzmiał surowo. Ponieważ często krzyczał lub mówił w emocjach, nawet podczas neutralnej wypowiedzi zachowywał swój agresywny ton. Zwrócił się do Enke słowami:

– Wtedy otrzymasz szansę.

Dla Roberta te słowa były jak groźba. Brzmiały jak: „Wtedy będziesz mógł pokazać, czy rzeczywiście coś potrafisz”.

Przeciwnikiem była FC Novelda, ostatnia ekipa trzeciej ligi. Boisko Noveldy – La Magdalena – ma trzy wejścia, a na zielonej stalowej bramie widnieją graffiti o treści: „Revolution Che” oraz „Anna, jesteś piękna. To mówi twój chłopak”. Zawodnicy FC Barcelony nocowali w Elche w hotelu z palmami, 15 kilometrów od Noveldy. Po drodze zwracały uwagę brzydota magazynów i piękno jałowych gór. Najlepsze restauracje w okolicy znajdowały się poza miastem, wzdłuż głównych dróg.

Jak zwykle przed meczem Robert zadzwonił jeszcze do Teresy. Zamienili kilka zdań na temat ogólnego samopoczucia, spacerów z psami, po czym zapewnił, że zobaczą się w nocy. Zabronił jej życzyć mu szczęścia.

Novelda

Ulica Sergeant-Navarro przed stadionem została zablokowana. Toni Madrigal, który już przez całe popołudnie był zbyt zdenerwowany, by czytać książkę, zostawił samochód w domu i poszedł na piechotę. Mieszkał jedynie dziesięć minut drogi od stadionu. Miał spory zapas czasu, bo przed meczem planował się spotkać z kilkoma kolegami z Walencji.

Novelda liczy 27 tysięcy mieszkańców. Żyją oni na przyzwoitym poziomie dzięki wydobyciu marmuru oraz uprawie winogron. Miasto przypomina cebulę – posiada coś na kształt warstw. W samym jego sercu mieszczą się lśniące kasyno i ratusz pochodzące z czasów książęcych. Centrum otoczone jest blokami z lat 50., które z kolei otaczają magazyny i wielkie supermarkety. Madrigal, który tego dnia jadł na obiad jedynie makaron z oliwą, ale bez sosu, przechadzał się na skraju „drugiej warstwy”. Ubrany był w zielono-biały dres. Po ulicach poruszało się więcej ludzi niż zazwyczaj. Niektórzy machali do niego i unosili kciuki. Rozpoznawali dres, ale nie jego samego.

Gdy podszedł do bramek wokół stadionu, zatrzymali go ochroniarze.

– A ty czego tu chcesz? – spytał jeden z nich.

– Jestem napastnikiem – powiedział Madrigal. – Dziś będę grał.

Ochroniarz spojrział na dres, kiwnął głową. Wpuścił go wejściem dla kibiców.

Madrigal zaczął wypatrywać kolegów, żadnego jednak nie dostrzegł. Do meczu zostały niespełna dwie godziny.

Robert Enke siedział w autobusie klubowym, który jechał z Elche do Noveldy. Mieli do pokonania 15 kilometrów, a przed nimi podążał radiowóz na sygnale. Obok Enke siedział Roberto Bonano – człowiek, który prywatnie wymyślał bajki na dobranoc dla swoich dzieci i zaczytywał się w Borgesie i Cortázarze. Jego żona pracowała jako psycholog. Robert instynktownie do niego lgnął. „Podczas całego sezonu praktycznie ze sobą nie rozmawialiśmy, mimo że dzieliliśmy jeden pokój – wspomina Bonano. – Gdy konkurujesz o miejsce w bramce takiego klubu jak Barça, to pomiędzy tobą a innymi bramkarzami zawsze powstaje nić porozumienia”. W autobusie klubowym Enke i Bonano milczeli. Kilku piłkarzy słuchało muzyki na słuchawkach, ale Robert nie miał odtwarzacza CD. Uważał, że jeśli ktoś lubi muzykę, to przecież może słuchać radia. W pewnej chwili trener nakazał zawodnikom wyłączyć sprzęt, tak by mogli się skoncentrować. Jechali właśnie drogą krajową i mijali wioski o nazwie Tres Hermana, trzy siostry. Za nimi rozciągały się strome góry żółtego koloru. Wystarczyło przymknąć oczy, by sobie wyobrazić, że za chwilę

wyjedzie stamtąd Don Kiszot.

Autobus był klimatyzowany, ale Robertowi było gorąco. Miał na sobie koszulkę polo z krótkim rękawem i emblematem Barcy nad sercem. Jak bardzo by się nie starał, koniec końców i tak w głowie miał tylko jedną myśl: jeśli wszystko pójdzie zgodnie z oczekiwaniami, to Barça wygra 3:0 bądź 4:0 i nikt nawet nie wspomni o bramkarzu. Jeśli przegra, będzie głównym winnym.

Jörg tłumaczył mu przez telefon, że ten sposób myślenia jest absurdalny. W rzeczywistości mecz ten był szansą! Gdyby drużyna Roberta wygrała, oczywiście nikt nie mówiłby, że wobec tego Enke musi zacząć regularnie bronić, bo oto zagrał dobrze przeciwko drużynie z trzeciej ligi. Jednak trener wiedziałby, że może na niego liczyć. Victor Valdés, który tym razem nie pojechał z drużyną, mógł w następnym meczu ligowym zagrać słabiej, a właśnie tego pewien był Jörg. Jego zdaniem młody Hiszpan nie był jeszcze gotowy na regularne poważne starcia, a wielki dzień Roberta w Barcelonie prędzej czy później musiał nadejść. Novelda miała się stać pierwszym krokiem na tej drodze.

Jednak ilekroć Robert próbował to sobie w ten sposób tłumaczyć, i tak nie mógł tego zrozumieć. W swoim przekonaniu mógł tylko przegrać.

„Od czasu gdy przed pierwszym meczem ligowym zaskoczyła go informacja, że to Valdés zostanie podstawowym bramkarzem, popadł w przygnębienie – mówi Jörg Neblung. – Pielęgnował w sobie przekonanie, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu”.

Małe pytania przerodziły się w ogromne wątpliwości co do własnej wartości. Teraz, pod presją meczu, wątpliwości te przerodziły się w strach, który nie miał niczego wspólnego z typowymi obawami bramkarza przed meczem. Strach ten był daleko bardziej mroczny.

Robert czuł, że jeśli w meczu z Noveldą mu się nie powiedzie, to straci szansę. A wtedy będzie po wszystkim.

„Mój Boże, w tym autobusie jest takie suche powietrze!”

Autobus klubowy zwolnił. Robert Enke wyjrzał przez okno i zobaczył wiwatujący tłum. Najwyraźniej dotarli na miejsce. Gdy wychodził z autobusu, ludzie za barierkami patrzyli na niego promiennym wzrokiem. Zacisnął usta i nie zważając na nic, szedł przed siebie.

W szatni FC Noveldy rozbrzmiewało radio. Drzwi były otwarte. Znajomi zaglądali do środka, życząc drużynie szczęścia. Madrigal, który chciał zaliczyć drzemkę i właśnie się obudził, usłyszał dobiegający z trybun hałas. „Było głośno jak podczas jakiejś demonstracji”.

Na jego głowie pojawiały się pierwsze siwe włosy. Miał 26 lat i był w najlepszym wieku dla piłkarza. Zadowolił się w trzeciej lidze. Gra zapewniała mu wystarczające

środku do życia – dwa tysiące euro miesięcznie netto, które przeliczał wciąż na pesety: cztery miliony rocznie. Mieszkanie przy Avenida de Elche w Noveldzie zajmował wraz z dwoma kolegami z zespołu. Bardzo lubił się uczyć – równolegle z rozwijaniem kariery piłkarskiej studiował i udało mu się zdobyć uprawnienia nauczycielskie. Swoją drużynę uważał za w pełni profesjonalną. „Trenujemy tak samo jak ekipy pierwszoligowe”, mawiał. Sądził, że ostatnie miejsce w tabeli było winą Barcy – myślami byli już przy meczu pucharowym, przez co w niedzielę przegrali z Burgos 0:3. „Dla piłkarzy takich jak my tego typu mecz trafia się tylko raz”.

Przebrali się. W szatni unosił się zapach olejku do masażu. Byli żądni walki, chcieli wybiec na boisko i się rozgrzewać, ale czekała ich jeszcze odprawa taktyczna. Ich trener Antoni Teixido rozpiął mazakiem na tablicy, kto kogo ma kryć podczas rzutów różnych. Powiedział, że mecz ten jest nagrodą za trudy poniesione w minionym sezonie i że jest to najpiękniejszy dzień w ich karierze. Mieli się nim napawać, nikomu nie zrobić krzywdy podczas ataków i grać jak zawsze. Całe przemówienie trwało zaledwie dwie minuty. Na tablicy nie rozpisano szczególnych zagrań, nie było żadnych wskazówek typu: „Rochemback zawsze atakuje prawą stroną, zmuszając się do gry lewą nogą”. Teixido wiedział, że jego piłkarze są aż za mocno zmotywowani. Każde kolejne słowo tylko by ich stresowało.

Robert Enke przebiegł prędko przez boisko do koszykówki i wszedł do szatni. Nad głównym wejściem wisiała stara i postrzępiona flaga Hiszpanii. Dzieci nosiły tam i z powrotem, pomiędzy salą gimnastyczną a szatnią, lśniące metalowe walizki z wyposażeniem Barcy. W samej szatni było na nie za mało miejsca. „Cały czas się zastanawiałem, jak piłkarze Barcelony się tam pomieścili – wspomina Aurelio Borghino, drugi bramkarz Noveldy. – To jest raczej szyb, a nie pomieszczenie. Jest tam tylko małe okno i panuje straszna ciasnota. Sufit osadzony jest nisko, a ściany przesiąknięte potem zawodników grających tam przez ostatnie lata”.

Robert Enke uważnie słuchał trenera, który przydzielał członkom drużyny zadania taktyczne. Van Gaal groźącym głosem opowiadał o pressingu, o natychmiastowym odzyskiwaniu piłki, o konieczności bycia agresywnym i o podawaniu piłki do obrony dopiero w ostatnich 30 minutach. Uważał, że dobry trener przygotowuje każdy, nawet najbardziej banalny mecz dokładnie i starannie, jakby był finałem Ligi Mistrzów. Myślał o sobie jako o jednym z najlepszych współczesnych trenerów.

Jeśli Novelda zdobyłaby piłkę, Robert Enke musiał się ustawiać osiem, dziewięć metrów przed bramką i nie mógł się cofać. Jeśli zagrałaby dalekie podanie, musiałby wybiec do piłki niczym van der Sar i przejąć ją, nawet jeśli byłoby to poza polem karnym. Cholera! Teraz zaczął nawet myśleć tak, jak mówił trener. Cholerny van der Sar.

Kibice klaskali, jakby już padł gol. Drużyna Noveldy właśnie wyszła z szatni, aby

przeprowadzić rozgrzewkę. „Wtedy zobaczyliśmy ich po raz pierwszy”, wspomina Madrigal, który wraz z dwoma kolegami z drużyny, swoimi współlokatorami, zastanawiał się, jaką jedenastkę wystawi Barça. „Nie było możliwości, aby się skoncentrować podczas rozgrzewki”, wspomina. Kątem oka widzieli tylko błyski fleszów aparatów fotograficznych, rozświetlających trybunę. Przebiegli kilka sprintów i rozciągali mięśnie zaraz obok band z reklamami. W ten sposób mogli się dokładnie przyjrzeć piłkarzom FC Barcelony.

Frans Hoek rozgrzewał Roberta Enke. „Takie mecze pucharowe są dla drugiego bramkarza najtrudniejsze – przyznaje. – Nie jesteś w rytmie meczowym, ale musisz udowodnić swoją wartość. Grasz pod ogromną presją”.

„Pochodzisz z obcego kraju. Masz zagrać w niezgranej drużynie zlepionej z rezerwowym. Biegasz po słabej murawie – mówi z kolei Victor Valdés. – Jejku, masz wtedy same wątpliwości, a twoje przecucia są jak najgorsze!”

„Można poznać, gdy na boisku jest bramkarz, na którym ciąży za duża presja”, uważa Bonano.

Drużyny ustawiły się w tunelu. Przejście było tak wąskie, że ledwie się obok siebie zmieściły. Toni Madrigal oraz Robert Enke mogli się niemal dotknąć. W całym życiu mieli nie zamienić ze sobą nawet słowa. W tamtym momencie stali tuż obok siebie, lecz każdy pochłonięty był własnymi myślami.

„Zobaczyłem sędziego, który na co dzień sędziuje tylko w meczach Primera División. Zobaczyłem jedenastkę Barçy z Riquelme, Frankiem de Boerem, Xavim – wspomina Madrigal. – Poczuję się, jakbym sam grał w pierwszej lidze”.

Stojąc na boisku, Robert wraz z drużyną pozował do zdjęć. Dochodziła 19.30, ale było widno jak za dnia. Stał w drugiej linii po lewej stronie. Obok niego był Thiago Motta, który wypiął pierś i energicznie objął bramkarza ramieniem. Lewa ręka i całe ramię Roberta zwisały bezwiednie, buzię i oczy miał otwarte. Na zdjęciu uwieczniono jego strach.

Był 11 września 2002 roku. Data symboliczna – pierwsza rocznica zamachu terrorystycznego w Nowym Jorku. A poza tym święto Katalonii.

Na małych trybunach stadionu, które w kilku miejscach liczyły tylko trzy rzędy, zasiedli rodzice, brat oraz wujek Madrigala.

Teresa miała oglądać mecz w telewizji. Siedziała przed odbiornikiem i zamiast głosu komentatora słyszała Robbiego, który z biegiem dni coraz bardziej popadał w rozpacz. „Tam mogę tylko przegrać”. Gdy rozpoczął się mecz, marzyła tylko o tym, by już się skończył.

Barça od razu przejęła piłkę w posiadanie i już jej nie oddała. Bordowo--granatowi podawali do siebie na luzie, wzdłuż i wszerz boiska, hołdując ideę pięknej gry. „Byli szybsi, lepsi, a my biegaliśmy za nimi – wspomina Madrigal. – Gdy my podchodziliśmy do piłki, oni myślami byli już przy kolejnym podaniu. Nikt nie mógł

odebrać piłki Románowi Riquelme, najdziwniejszemu piłkarzowi świata, którego ruchy są wybitnie wolne, bo myślał szybciej niż inni zawodnicy. Grał majestatycznie, z wyprostowanymi plecami, z podniesioną głową – w samym centrum”.

Cztery miesiące wcześniej, z Zidane’em, Figo oraz Raúlem w składzie, Real Madryt wygrał Ligę Mistrzów. Barcelona nie mogła już znieść nieustannych porównań z *galácticos*. Posiadała silną wolę ponownego zwycięstwa, a ściągnięty z Buenos Aires Riquelme miał być zbawcą. Po siedmiu minutach dograł takie podanie, jakiego oczekiwał po nim van Gaal. Jego piłka trafiła wprost na połowę przeciwnika, do Giovanniego, który zdobył gola na 1:0. Kibice Noveldy klaskali. Na pierwszy rzut oka sprawiali wrażenie, jakby ich jedyną rozrywką tego dnia było podziwianie FC Barcelony. Madrigal pomyślał: „Przecież oni wcisną nam z dziesięć bramek...”.

Teresa nie widziała Roberta. Na ekranie telewizora nie było dla niego miejsca, bo całość rozgrywała się na połowie przeciwnika. Van Gaal wystawił jedynie trzech obrońców. To ryzykowna taktyka, na którą nie odważyłby się chyba żaden trener, jednak w starciu z trzecioligowcem okazała się trafiona. Dzięki temu Barça dysponowała dodatkowym piłkarzem w ofensywie, w której miała nieustanną przewagę.

Madrigal czaił się, krążył. Stał plecami do bramki FC Barcelony, ale jego ramiona wskazywały już inny kierunek – do przodu, aby od razu mógł ruszyć na bramkę i zdobyć gola, który przywróci jego drużynę do życia. Robert Enke od razu cofał się w stronę linii bramkowej, gdy pomocnicy Noveldy dostawali piłkę, a zagrożenie wydawało się jeszcze odległe.

Madrigal stał plecami do bramkarza, jednak nie słyszał go. „Nie rozmawiali ze sobą”, zauważył. Sądził, że jest to atutem zawodników Barcy – najwyraźniej każdy z nich dobrze wiedział, co partner chce zrobić w danej chwili. Madrigalowi nie udało się w pełni skoncentrować na meczu. Nastrój był tak wyjątkowy! Spojrzał ponad bramkę. Tam, gdzie normalnie siada kilku chłopaków, dziś niezbędne było dostawienie dodatkowych trybun. Dźwigi z pobliskiej budowy w dalszym ciągu wyrastały z za murów stadionu. W kabinach widać było operatorów, którzy z zapartym tchem śledzili mecz. Widzów nie zabrakło nawet w oknach położonej nieopodal szkoły. Na samych trybunach zasiadło pięć tysięcy osób. Po blisko 30 minutach, gdy rezerwowi Barcy zaczęli kręcić się na ławce, Bonano wskazał na niebo, na którym widać było dwa krążące szybowce – ktoś najwyraźniej postanowił śledzić pojedynek z powietrza!

Boisko w Noveldzie jest jednym z najmniejszych w profesjonalnej hiszpańskiej piłce – ma 97 metrów długości i 63 szerokości, czyli jest krótsze o osiem metrów i węższe o pięć od tego na Camp Nou. Dziennikarze sportowi pisali, że jest to plus dla Enke w obliczu początkowych problemów, polegających na odnalezieniu poprawnej

wysokości wysuniętej pozycji bramkarza Barcelony. Dzięki temu obrońcy mieli być bliżej niego. Dziennikarze zwracali jednak uwagę, że za sprawą takich, a nie innych gabarytów boiska piłka dogrywana przez pomocników Noveldy jeszcze szybciej trafiała w pole karne przeciwnika. Zdania na temat plusów i minusów są więc podzielone, a Robertowi trudno było się tu odnaleźć. I jeszcze to światło jupiterów – jakby ktoś próbował oświetlić stadion zapalniczką. Jak mieli widzieć piłkę? Jak Robert miał przyzwoicie zagrać?

Gdy sędzia odgwizdał przerwę, zawodnicy poczuli ulgę. Barça – ponieważ zdominowała mecz. Novelda – ponieważ było tylko 1:0. Robert Enke – ponieważ przetrwał pierwszą połowę bez konieczności zmagania się z przeciwnikiem. Teresa wyszła do ogrodu zapalić papierosa. Czowała pulsowanie w skroniach.

W tunelu, gdy po przerwie gracze wychodzili z powrotem na boisko, bramkarz Noveldy spytał się Roberta, czy ten nie zamieni się z nim na koszulki. Robert się zgodził.

W drugiej połowie mecz przebiegał podobnie. Barça nieustannie podawała sobie piłkę i mało komu wadziło, że przeciwnicy nie wchodzą jej w paradę. Do sytuacji strzeleckich praktycznie nie dochodziło, a gospodarze mieli poczucie, że kontrolują mecz. Dziennikarze pisali: „W pierwszej połowie Novelda przeszła chrzest bojowy”. Cayetano Ros z gazety „El País” zanotował na swoim laptopie: „Barça myślała, że przeciwnik się poddał. Przez godzinę kazała biegać rywalom za piłką”. Wspomniana godzina prawie minęła, gdy nagle Novelda dostała rzut wolny na lewym skrzydle. Miguel Ángel Mullor, jeden z dwóch współlokatorów Madrigala, uderzył piłkę w górę z taką siłą, że zdawało się, iż zaraz świecą wpadnie na pole karne.

Robert musiał wyjść z bramki i złapać piłkę, jednak ona obniżyła swój lot i leciała coraz bardziej płasko. Zawahał się. Na wysokości drugiego słupka stał zupełnie niepilnowany przeciwnik. Robert kątem oka zobaczył jego białe spodni; umiejętność korzystania z tak zwanego wzroku peryferyjnego była jedną z jego najmocniejszych stron. Wiedział, że powinien zakrzyknąć: *Hosta, allí, el delantero!*, cokolwiek, aby obrońcy dostrzegli osamotnionego przeciwnika, jednak nie był w stanie.

Milczał. Ogarnięty paralizem pozostał na linii bramkowej.

Piłka leciała, jakby szukała prawej nogi Madrigala.

Michael Reiziger, reprezentant Holandii, powinien krzyć Madrigala, jednak pozwolił mu uciec. I Madrigal uderzył. Ryzykował, ale trafił po przekątnej w kierunku dalszego słupka bramki strzeżonej przez Enke. Było 1:1.

– Wygramy. Wygramy ten mecz! – krzyczeli zawodnicy Noveldy, gdy podbiegli do Madrigala.

– My? My wygramy z Barçą? – Wydawało się to niewiarygodne.

Robert stanął jak wryty.

Jedna bramka może zdziałać coś, co marzy się niejednemu zawodnikowi: zmienić wszystko za jednym zamachem.

W 58. minucie Madrigal przebił się pomiędzy obrońcami FC Barcelony. Jeden z nich, Reiziger, „niesamowicie szybko przechwytywał każdą piłkę”. Drugi, Frank de Boer, półfinalista mistrzostw świata w barwach Holandii, pełniący tego wieczoru funkcję kapitana Barcy, dysponował „wyśmienitą techniką”. Trzeci, Fernando Navarro, który sześć lat później został mistrzem Europy z Hiszpanią, pędził do kolegów już przy najmniejszym zagrożeniu. Nagle „Reiziger nie zamknął przestrzeni, Navarro się zdenerwował, a Frank zaczął wszystkich krytykować. Jakby wypadł z gry”. Madrigal zapomniał o wadze tego spotkania, o hałasie oraz potędze przeciwnika. W tej chwili istniała tylko piłka, boisko i bramka.

Gdy Barça atakowała, a piłka była daleko, Robert Enke zaczynał mieć problemy. Miał za dużo czasu, aby rozmyślać nad straconym golem. To Reiziger popełnił błąd, ale dlaczego nie wybiegł, aby wyłapać piłkę? Strzał skierowany był w jego bramkę, a on nie był na niego przygotowany. Starał się wyrwać z własnej rozpacz, instynktownie wyciągał ręce do góry, mimo że nie zdecydował, co powinien zrobić. Nieudolnie wybijał piłkę na środek pola karnego.

Tymczasem Novelda zaserwowała kolejne dośrodkowanie. Obronił, ale skierował piłkę za blisko. 20 metrów przed bramką walczyli o nią zawodnicy obu drużyn. Gdy wydawało się, że Rochemback ma nad nią panowanie, obrona Barcy ruszyła do przodu. Madrigal poczuł, że Mullor może zrobić więcej, niż tylko odebrać piłkę przeciwnikom. I rzeczywiście – Mullor bez zastanowienia dośrodkował, a podczas gdy obrońcy Barcy jeszcze biegli na połowę gospodarzy, Madrigal wybiegł w stronę bramki przyjezdnych. Jego przewaga nad przeciwnikami była minimalna. Za nim ruszył de Boer, który nie był jednak tak szybkim obrońcą jak Reiziger. Piłka szybowała w powietrzu, a Robert Enke stał na ziemi niczyjej, zajmowanej zazwyczaj przez bramkarza. Wiedział, że wybiegnięcie nie ma już sensu, bo Madrigal na pewno dotrze do piłki przed nim. Madrigal trafił do siatki z dwóch metrów. Na tablicy widniał wynik 2:1.

„Nie czułem, że stałem się sławny czy że coś mi się udało – wspomina Madrigal. – Byłem po prostu szczęśliwy”.

Trzy minuty później Riquelme strzelił z rzutu karnego na 2:2.

Malutki klub walczył brawurowo. Porwał publiczność i obudził w niej głód zwycięstwa. Jednak wielka Barça, 24-krotny zdobywca Pucharu Hiszpanii, wciąż mogłaby bezlitośnie zniszczyć wszelkie nadzieje za pomocą dwóch–trzech ciosów.

Oczywiście Madrigal był świadomy, że tak właśnie może się stać. Zadziwił go jednak pewien fakt: „Gol na 2:2 nie uspokoił Barcy. Rozmawiali ze sobą, ale bardzo negatywnie. De Boer wychodził z siebie, darł się na wszystkich, nawet na Roberta. Może zabrzmiał to nieelegancko z ust piłkarza trzeciej ligi, ale prawdą jest, że obrona

Barcelony popełniała ogromne błędy. Reiziger przy голу na 1:1 nie złapał mnie za ramię, ani razu nie korzystał z ciała, aby mnie powstrzymać. Nie wiem, czy grając w trzeciej lidze, nie przyzwyczaiłem się do większej przemocy, ale ich słaby opór fizyczny był dziwny”.

Rytm meczu uległ zachwianiu. To serca, a nie rozumu zawodników obu drużyn napędzały ich do gry, której tempo pozostawiło Roberta Enke w jego bramce. Czuł, że jest wolny.

Bramkarz, który uważa się za współwinnego straconej bramki, w czasie pozostałym do końcowego gwizdka przeżywa nieznośne połączenie obojętności i paniki. Dla niego wieczór już się zakończył. Dla niego był on już stracony bez względu na wynik końcowy. Mimo to jednocześnie pragnął wszystko naprawić. Choć bał się, że przy następnej próbie pogorszy sytuację.

Na połowie boiska, bliżej lewej strony, piłka trafiła pod nogi kapitana Noveldy, Cudiego. Madrigal dokładnie wiedział, co się zaraz stanie. Cudi zawsze dośrodkowywał na długi słupek. Madrigal wybiegł po przekątnej, aby mieć wystarczający pęd na uderzenie głową. Robert Enke kątem oka zauważył, że de Boer pilnuje Madrigala.

Dośrodkowanie nie było wyrefinowane, a piłka bez większej rotacji leciała w stronę linii piątego metra. Musiał wybiec, bo taka sytuacja stanowiła łatwy łup dla bramkarza jego pokroju.

Wystraszonych golkipierów można poznać po tym, jak reagują na dośrodkowania – zawsze wahają się o sekundę za długo. Robert Enke nie zrobił nawet kroku do przodu. De Boer nie podskoczył, po prostu stał w miejscu. Nikt nigdy nie dojdzie do tego, czemu tak się stało. Może wszystko potoczyło się za szybko, może bał się błędu, może chciał zrobić miejsce dla Enke? Za jego plecami przez lata spędzone w Ajaxie grał van der Sar.

Madrigal poczuł wielki spokój. Przeczekał, żeby wykonać przemyślany ruch. Nie uderzył piłki głową w bramkę. Stracił futbolówkę tak, że poleciała bezpośrednio przed Enke, odbijając się po trawie, tak że trudno było przewidzieć jej trajektorię. Madrigal widział ją w siatce, zanim jeszcze zdążyła dotknąć murawy.

Ławka rezerwowych Noveldy aż się trzęsła, ponieważ kibice na trybunie powyżej uderzali w przykrywający ją dach. Aurelio Borgchino, zaledwie 20-letni bramkarz rezerwowy, objął siedzących obok kompanów, po czym podniósł ręce, a wzrok utkwiał w jednym punkcie.

„De Boer wciąż stał w polu karnym. Zrugął Roberta Enke. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Takich rzeczy profesjonalista nie robi – nie poniża się na boisku kolegi z drużyny. Robert Enke zbladł. Spoglądał w ziemię i nie odzywał się ani słowem”.

Do ostatniego gwizdka pozostało 12 minut. Jednak dla niego mecz już się zakończył.

Dla Roberta Enke droga z boiska do szatni zdawała się nie mieć końca. Na murawę wbiegły setki kibiców. Śmiali się i krzyczeli:

– Pokonaliśmy FC Barcelonę!

Powtarzali te słowa, jakby sam fakt wygranej im nie wystarczył. Okrążyli Roberta Enke i prosili go o autografy, o rękawice bramkarskie. Nacierali na niego, blokując mu drogę. „Ludzie często są bezmyślni – mówi Madrigal. – Nie rozumieli, jakie znaczenie miała ta porażka dla piłkarzy Barcelony takich jak Robert”. Głośniki trzeszczały. Spiker na stadionie chwilę po końcowym gwizdku włączył hymn Ligi Mistrzów. Robert Enke wreszcie przebił się przez tłum. Wydawał się nieobecny. Bramkarzowi Noveldy wręczył swoją koszulkę, ale gdy ją zdejmował, robił to mechanicznie, jakby myślami był gdzieś zupełnie indziej. Z szatni, jak zwykle, zadzwonił do Teresy. Za ledwie minutę po skończonej rozmowie oboje nie byli w stanie powiedzieć, o czym rozmawiali.

Na co dzień Robert uwielbiał chwile spędzane po meczu w szatni, gdy schodziły z niego emocje. Miał swój rytuał: rozbierał się, skarpety zawsze ściągał na końcu. Często siedział na ławce, zanim wszedł pod natrysk, nago, jedynie w skarpetkach naciągniętych po kolana. Tymczasem w Noveldzie chyba żaden piłkarz nie wyszedł z szatni czysty tak szybko jak on.

Dziennikarzom odpowiedział tylko na dwa pytania:

– Robert, co się stało?

– Nie potrafię tego wytłumaczyć. Niełatwo jest wpuścić trzy gole w meczu z trzecioligowcem.

– Czy największą winę za porażkę ponosisz ty i obrońcy?

– Nie jest to dobry moment na szukanie winnych. Teraz każdy z osobna powinien przeanalizować swoją grę.

Wyrwał się do przodu. Wsiadł do autobusu i czekał na odjazd.

Toni Madrigal chciał się wymienić koszulkami z Riquelme, tak jak umówili się podczas przerwy, ale Argentyńczyk go zignorował. Przed drzwiami do szatni matka Madrigala walczyła za pomocą słów i gestów z ochroniarzami i obsługą, aby wejść do środka. Twardo obstawała przy swoim, aż wreszcie ktoś zawołał Madrigala, a on potwierdził, że ją zna.

– Za trzy czy cztery tygodnie nikt nie będzie o mnie pamiętał – powiedział reporterom. Nie był jednak pewien, czy sam powinien wierzyć we własne słowa.

Kilka metrów dalej pewien chłopiec prosił swojego ojca, aby już nie chwalić strzelca trzech goli przed dziennikarzami.

– Tato, bo jeszcze nam go podkupią – powiedział syn Juana Francisco Sáncheza, prezydenta klubu z Noveldy.

Wciąż świecił jeden z jupiterów, rzucając światło na białą, łuszczącą się ścianę

stadionu. Część reporterów zajęła miejsce na podłodze salki gimnastycznej, przerobionej na salę konferencyjną.

„Dał o sobie znać dawny problem, przede wszystkim niezrozumiała dziura w obronie stworzona przez de Boera i Reizigera. To pogrążyło Enke w jego debiucie”, napisała gazeta „El Mundo Deportivo”. „Enke podpisał wyrok”, skwitował „Sport”.

Frank de Boer – który jako kapitan drużyny został tego wieczoru wyznaczony do wzięcia udziału w konferencji – pojawił się na boisku do koszykówki, gdzie zasiadł za małą główną trybuną, na której czekali już dziennikarze. Był doświadczonym piłkarzem z rozegranymi 400 meczami w lidze i 100 w reprezentacji. Powiedział:

– Przy pierwszej bramce źle zaprezentował się Michael Reiziger, jednak Enke powinien był wybiec i wyłapać dośrodkowanie. Przecież znajdował się na wysokości piłki. – Co się zaś tyczy zwycięskiego gola na 3:2 dla Noveldy, podczas którego de Boer beczynnie stał obok Madrigala, przyznał: – Tę piłkę powinien wyłapać Enke.

W profesjonalnej piłce panuje pewna zasada: nigdy publicznie nie krytykuj kolegi z zespołu.

Piłkarze FC Barcelony czekali na lotnisku w Alicante, skąd wyczarowanym samolotem mieli się udać z powrotem do Katalonii. Każdy z piłkarzy był niczym na bezludnej wyspie – żaden nie miał potrzeby rozmowy i tym bardziej nie chciał czegokolwiek wysłuchiwać. Poruszeni dziennikarze szybko przekazali światu słowa de Boera. Piłkarz zachował się niewiarygodnie, czegoś takiego jeszcze nie było. Okazał się najsłabszym piłkarzem na boisku i dodatkowo – jako kapitan – obgadywał kolegę z zespołu. Nikt nie odważył się opowiedzieć o tym Robertowi Enke.

Gdy dotarł do domu w Sant Cugat, było po 1.00. Przeszedł do łazienki, gdzie jak zawsze umył rękawice szamponem, a następnie starannie wywiesił je do suszenia.

W Noveldzie, przy ulicy de Elche, Toni Madrigal usiadł przy stole kuchennym wraz ze swoimi współlokatorami – Miguelem Ángelem Mullorem, który dwukrotnie asystował mu przy golach, oraz z Tonim Martínezem, który miał kontuzję kolana i nie zagrał tego dnia. „Gdy wróciliśmy ze stadionu, było już późno, jakoś koło 23.00. W Noveldzie nie ma zbyt wielu lokali, które są otwarte o tej porze”, opowiada Madrigal. Dlatego piłkarze udali się bezpośrednio do domu. Żeby uczcić wieczór, zamówili sobie pizzę.

Następnego dnia Robert Enke wszedł do szatni na Camp Nou z poczuciem, że chętniej byłby teraz gdziekolwiek, byle nie tam. Jak każdego ranka czekało na niego śniadanie: świeże owoce, rogaliki. Gdy piłkarze zbierali się, by wspólnie napić się kawy z mlekiem, ich poczucie przynależności do drużyny automatycznie rosło. Tego

dnia Robert zignorował jedzenie. Tępo gapił się w ścianę. Usiadł obok Szweda Patrika Anderssona, z którym grał wspólnie już w Borussii Mönchengladbach. Ponieważ rozmawiali po niemiecku, chociaż trochę czuł się jak w domu.

– Słyszałeś, co o tobie mówił de Boer? – wyszeptał Andersson, który będąc w grupie, zachowywał się typowo po szwedzku i który konkurował o miejsce w składzie właśnie z de Boerem. – Nie możesz sobie na to pozwolić! Musisz się odegrać!

Robert był zbyt nieobecny, aby czuć złość, jednak z poczucia obowiązku wobec Patrika Anderssona podszedł do de Boera i zapytał, co to miało znaczyć.

De Boer odpowiedział mu, że dziennikarze błędnie go zacytowali. Przecież wszyscy wiedzą, że to się zdarza.

Robert Enke nie powiedział ani słowa. Uważał, że nie wypada kompromitować kolegów z zespołu, więc on sam również tego nie uczyni. Przede wszystkim jednak miał dość i de Boera, i całej drużyny. Jedyne, czego pragnął, to pobyć w samotności.

Luís Enrique, rzeczywisty kapitan i jeden z najstarszych piłkarzy w zespole, który nie pojechał do Noveldy, aby odpocząć, wziął de Boera w obroty. Trener van Gaal również go zrugął. Podkreślał, że tak nie zachowuje się prawdziwy profesjonalista, a w szczególności jeśli ma tak duże doświadczenie.

Nikt nie przejmował się Robertem Enke. Niby po co? Przecież był profesjonalistą. Van Gaal nie zamienił z nim słowa. („Przez cały rok nigdy ze mną nie porozmawiał”). Nikt nie stanął w jego obronie, gdy prasa grzmiała: *Gdzie właściwie był Enke?, Niemiecki bramkarz udowodnił, że jest zbyt zielony na grę w Barsie.*

Victor Valdés przyznał: „Pozostawiono go samego na pożarcie lwom”.

Robert Enke oraz Frank de Boer udali się wspólnie na konferencję prasową. Enke powiedział:

– Przez całe moje życie nigdy nie skrytykowałem innego piłkarza i dziś też tego nie zrobię. Przegrała cała drużyna.

De Boer stwierdził, że nikogo nie skrytykował, a jedynie tłumaczył, jak padły gole:

– Enke, tak samo jak ja, mógł zdziałać więcej przy tych bramkach. Przy trzeciej ja zawiodłem, ale uważam, że zagrałem dobry mecz.

„Ciekawi mnie tylko jedno – powiedział Victor Valdés osiem lat później. – Czy de Boer kiedykolwiek przeprosił Roberta?”

Nigdy.

Gdy to powiedziałem, z ust Victora wydobył się jedynie dziwny dźwięk – ni to przełknięcie śliny, ni to śmiech. Wyrażał zdziwienie, czy może pogardę?

Robert Enke nie przeczytał gazet z 12 września 2002 roku, ale mimo to dobrze

wiedział, o czym pisali dziennikarze. Profesjonalni piłkarze czują wibracje opinii publicznej. Jakiś znajomy szepnął coś przez telefon, a jakiś fan podczas treningu wciąż go pytał, co sądzi o artykułach na swój temat. W świecie, w którym losy ludzkie są redukowane do wielkości nagłówków w prasie, nagle stał się bramkarzem, któremu się nie powiodło. Czuł się wewnętrznie rozdarty.

Teresa ponownie zaczęła prowadzić dziennik. Notowała w swoim starym portugalskim kalendarzu, w którym wiosną zapisała tyle euforycznych zdań.

12.09.: Ten mecz jest na ustach wszystkich. Prasa ostro atakuje, cytując de Boera. Puszczają nam nerwy.

13.09.: Dzień jakoś minął. Dalej jesteśmy wykończeni.

Toni Madrigal jeszcze przez wiele dni czytał w gazetach, jaki oddźwięk miały jego trzy bramki strzelone FC Barcelonie. Jednak nigdy nie kupował gazet sportowych. Szybko stracił też zainteresowanie codziennym zamieszaniem produkowanym przez elitę piłkarską. Dla ludzi zawsze pozostanie tym napastnikiem, który wyrzucił z pucharu FC Barcelonę. Nigdy więcej nie oglądał tego meczu na wideo. „Po co mam oglądać mecz, którego wynik już znam?”

Dziś ma 34 lata i jest całkiem siwy. Biorąc pod uwagę fakt, że pracował jako profesjonalny piłkarz, powinien mieć twarz pokrytą zmarszczkami, jednak jego skóra jest nieskazitelnie gładka. Nie wiąże butów, a swojej ulubionej koszulki w kolorze khaki nigdy nie chowa do džinsów. Wygląda wątle jak na napastnika. Siedzi pośród palm w kawiarni w Elche, mieście, gdzie teraz mieszka. Zamówił sobie mocną kawę. Od ósmej rano się uczył – kształci się na trenera przygotowania fizycznego, co sprawia mu wielką przyjemność. Co za szczęście, jak sam mówi, że praca piłkarza pozostawia mu tyle czasu na naukę. Z Noveldy trafił do Levante B, potem do Sabadell oraz do Villajoyosy. Wszystkie te kluby występowały w trzeciej lidze. W wieku 33 lat powrócił do czwartoligowej wówczas Noveldy. „Po moich trzech bramkach strzelonych Barcelonie krążyły plotki, że chce mnie zatrudnić drugoligowe Elche – zaśmiał się. – W świecie piłkarskim nieustannie rodzą się plotki”.

Toni Madrigal nie sądzi, aby jeden mecz mógł zmienić karierę piłkarską. Jednak, jak podkreśla, myśląc o Robercie Enke, jeden wieczór może wyrzucić swoje piętno na całym życiu zawodnika.

Myśli nad basenem

Chętnie pogrzebałby swoją karierę. Ta myśl stawała się coraz silniejsza, coraz bardziej kusząca: „A gdybym po prostu przestał chodzić na treningi? Gdybym powiedział dyrektorowi sportowemu, żeby podarł moją umowę? Do widzenia, kończę z piłką nożną”. Schody zaczynały się, gdy myślał dalej. Bo niby co robiłby potem?

Skończył 25 lat, więc nie mógł ot tak rozpocząć studiów. A nawet jeśli by rozpoczął, to jaki wybrałby kierunek? Gdy sześć lat wcześniej czytał w Mönchengladbach książkę *100 zawodów z przyszłością*, nie odnalazł żadnego, który by go zainteresował i którego wymaganiom w swoim mniemaniu by podołał. Gdy po meczach rozgrywanych z drużynami młodzieżowymi reporterzy pytali go o plany na przyszłość w razie niepowodzenia z piłką, odpowiadał, że chętnie zostałby dziennikarzem sportowym. Jednak dziś już nim zostać nie mógł. Gdyby tak się stało, cały czas konfrontowałby nową pracę z dawnym niepowodzeniem.

– To był tylko jeden nieudany mecz, a poza tym wszyscy w drużynie zagrali słabo. Przecież Valdésowi też zdarzały się wpadki.

– To co innego. Victor jest ceniony przez trenerów. Ja miałem tylko tę jedną szansę. Zmarnowałem ją.

– Przecież jesteś bardzo dobrym bramkarzem. Patrząc długoterminowo, uda ci się przebić. Mocno w ciebie wierzę.

– To już koniec, Terri. To nie ma sensu. Najchętniej powiedziałbym dyrektorowi sportowemu, żeby rozwiązał ze mną kontrakt.

Teresa czuła, że nie zrobiłby tego, ale mimo to się wystraszyła. Jego smutek wydawał się ostateczny.

Siedzieli w ogrodzie nad basenem, ale ani im było w głowie, by wskoczyć do wody. Od przegranej z Noveldą minęły cztery dni.

Świat kręcił się dalej. Trzy dni po sensacyjnej porażce z trzecioligowcem Barça wygrała 2:0 z Bilbao. W bramce stał Victor Valdés, a Frank de Boer zajął oczywiście miejsce na środku obrony. Wracając do domu, trener van Gaal utknął w korku w tunelu Garraf. Stał „dwie i pół godziny”, jak sam opowiadał, a kierowcy sąsiadujących aut pokazywali mu uniesiony kciuk. Novelda zdobyła pierwszy punkt w trzeciej lidze, remisując 2:2 z Palamós. Madrigal strzelił tego dnia jednego gola. Tylko on pozostał. Tydzień później w derbach przeciwko Espanyolowi Barcelona w kadrze meczowej zabrakło Roberta Enke. Tamtego dnia, gdy przez długie godziny siedział z Teresą nad basenem, trzymał nogi w wodzie i w ten sposób nabawił się grypy.

Teresa zapisała w kalendarzu:

Długo spaliśmy. Psy tak samo. Robbi znów wpadł w depresję.

Dziś, gdyby przeżył dwie depresje kliniczne, napisałaby: znów wpadł w ciężki dołek psychiczny.

Rozpoczęła się turystyka ratunkowa: najpierw do Barcelony przyjechał Jörg Neblung, a następnie Dirk Enke. Zadzwoił Marco, a później matka Roberta, niepoprawna optymistka. Nie mogła zrozumieć, dlaczego jej syn nie jest taki jak ona. Gdy do Sant Cugat dotarł Jörg, nawet Teresa zachorowała – zaraziła się grypą.

„Była wielka różnica w stosunku Roberta i Teresy do mnie i do Marco – powiedział Jörg. – Z Marco łączyła ich beztroska przyjaźń. Ja byłem tylko doradcą. Istniały między nami konflikty, często się ścieraliśmy. Zdarzało się też, że byłem apodyktyczny”.

– Teraz idziesz na trening – zarządził Jörg.

Gdy Robert wrócił, poradził mu:

– Możesz czasem publicznie skontrować de Boera.

Robert odpowiedział tylko:

– A co to zmieni?



Robert Enke ze swoim przyjacielem i doradcą Jörgiem Neblungiem

Trzymał de Boera na dystans. Nie chciał żadnych konfliktów i tym bardziej wspominania porażki z Noveldy. Jakiś czas później przyznał:

– Jakby odebrało mi mowę. Byłem tak mocno skupiony na sobie, że zupełnie się w sobie zamknąłem.

Jörg i Teresa nie mieli wykształcenia psychologicznego. Dysponowali tylko swoim zdrowym, ludzkim rozsądkiem. I byli zdania, że smutne osoby trzeba czymś zajmować.

Okno w sypialni wychodziło na pole golfowe Sant Cugat. Jörg zaproponował:
– Chodź, idziemy pograć.

Nie byli nawet pewni, czy wyciągają z torby odpowiedni kij do danego uderzenia. Patrząc na miny innych graczy, można było wywnioskować, że za chwilę zrobią z siebie debili. Może i lepiej. Jörg nie musiał się starać być śmiesznym na siłę, sytuacja po prostu była komiczna.

Innym razem towarzyszyli Teresie podczas wypadu do stajni. Od czasu gdy zajęła się Dickensem, ten zaczął skakać i dobrze wyglądać. Zarówno jego sierść, jak i oczy znów zaczęły lśnić. Mimo to przez pół godziny koń miał powtórkę ze swych strasznych, starych czasów: na jego grzbiecie zasiadł Robert Enke, który poruszał się jak robot. Gdy zszedł, zaczął się uśmiechać. Jeśli spytamy ludzi, którzy go znali, jaki pozostał w ich pamięci, większość – na przykład Andreas Köpke, trener bramkarzy reprezentacji Niemiec – powie, że „był uśmiechnięty”. Mimo to zaledwie kilka minut po tym, jak zsiadł z grzbietu Dickensa, jego oczy znów miały matowy odcień osoby nieobecnej.

Przed odlotem do Kolonii Jörg powiedział Robertowi:

– Musisz iść do psychologa.

Odnalazł niemieckiego specjalistę w Barcelonie, doktora Heinricha Geldschlägera, dyplomowanego psychologa i psychoterapeutę. Robert podchodził jednak do tego pomysłu sceptycznie: przecież jego ojciec był psychoterapeutą.

– Idź do niego – naciskał Jörg.

Gabinet znajdował się w Eixample, gdzie modernistyczne budynki przywołują stare piękno Barcelony, a niezliczona ilość samochodów sprawia, że miasto jawi się jako nowoczesne piekło. Doktor Geldschläger powiedział Robertowi, że myślał o nim już od chwili, gdy usłyszał o przegranej z Noveldą.

Geldschläger nosił wąsy, a swe czarne włosy zaczesywał do tyłu. Patrząc badawczo na Roberta, wspomniawszy o pechowym w ostatnich czasach bramkarzu reprezentacji Anglii, Davidzie Seamanie. Jego diagnoza brzmiała: głębokie przygnębienie, które powstaje na przykład u ludzi podczas żałoby, po zwolnieniu z pracy bądź po przeżytych mobbingu. Jego zdaniem należało spróbować przetworzyć stany lękowe Roberta, w które popadał podczas meczu. Przyznał, że możliwe, iż pomoże mu relaksacja mięśni metodą Jacobsona, ponieważ spięcie mięśni często idzie w parze z napięciem psychicznym.

Robert zapoznał się z ćwiczeniami: przez pięć sekund należało zaciskać pięści i oczy, a następnie szybko je otwierać, zwracając uwagę na zmianę w napięciu. Był nastawiony sceptycznie do tego rodzaju terapii, ale mimo to przez długie tygodnie

chodził do doktora Geldschlāgera. Nie odważył się zrezygnować. Czuł, że musi coś zrobić.

Gdy do Barcelony przyjechał jego ojciec, już pierwszego dnia zabrał go z sobą na trening. FC Barcelona trenowała na boisku, na którego stan narzekałaby większość piłkarzy grających na co dzień w lidze okręgowej: było ono zdecydowanie krótsze i węższe od pełnowymiarowego, zawodnicy nie mogli ćwiczyć rzutów różnych, które były kluczowe dla większości zespołów.

Po rozgrzewce dziennikarze sportowi musieli opuścić teren, aby piłkarze bez zakłóceń mogli trenować. „Ja zostałem”, wspomina z dumą Dirk.

Z fascynacją obserwował niekończącą się serię podań. Jak wielu innych, którzy na Camp Nou znaleźli się po raz pierwszy, był oczarowany – oto dane mu było zobaczyć coś wyjątkowego: grę Barcy na żywo. „Jak oni grali! Ciach-ciach, bum-bum – a trener mimo to cały czas się darł. Uważam, że van Gaal jest przerażający”.

W przerwie pomiędzy ćwiczeniami trener zawołał do siebie zawodników, aby wytłumaczyć im kolejne polecenia. Robert stał poza okręgiem, dwa metry za kolegami.

– Dlaczego nie trzymasz się grupy, przecież jesteś jej częścią? – spytał ojciec podczas drogi powrotnej. Robert nie odpowiedział. – To tylko utrudnia sprawę. Trener też to widzi i myśli, że nie chcesz się integrować.

Ale Robert nie pociągnął tematu.

Coś się w nim blokowało, gdy podczas treningów członkowie drużyny gromadzili się w jednym miejscu. Jakby chciał pokazać, że czuje się wykluczony. Pragnął, aby ktoś w klubie w końcu zauważył, jak jest mu źle, jednak nie mówił o tym wprost.

Roberto Bonano opowiada: „Wciąż żartował ze mną podczas treningów”. „Robert był bardzo specyficzny – wspomina Victor Valdés. – Trudno było poznać, czy był wesoły, czy smutny. Zawsze wyglądał tak samo”.

Podczas treningów dochodziła do głosu także jego przekora: chciał wszystkim pokazać na co go stać.

Na boisko treningowe La Masía, gdzie nikt nie mógł się przyglądać piłkarzom, można było spojrzeć jedynie przez dziury w kurtynach. Za zielonymi nylonowymi płachtami materiału zbierali się dziennikarze i fani, zawsze gotowi na ucieczkę w razie interwencji ochroniarzy. W pewnej chwili ich oczom ukazał się Patrick Kluiwert, środkowy napastnik. Był on postawnym mężczyzną i poruszał się nader wyniośle. Słyszał z doskonałych nagłych strzałów z obrotu. Uderzona przez niego piłka opadała tak, jak chciał, na szóstym lub siódmym metrze, przez co dla bramkarza stawała się praktycznie nie do wyłapania. Robert Enke wyprężył się jeszcze mocniej. Na krótko przed tym, jak piłka miała wpaść do rogu bramki, zdążył ją pochwycić.

Nikt nie wiedział jak. Wśród fanów rozszedł się szum szeptów, kilku piłkarzy zaczęło śpiewać. Mimo to praktycznie po sekundzie wszyscy zapomnieli, czego właśnie byli świadkami – trening trwał nadal.

Barça zmagala się z innymi problemami niż opieka nad rezerwowym bramkarzem. Minęło sześć kolejek w lidze, a zespół zajmował nieznosne 11. miejsce. Drużyna składała się z zawodników, w których pokładano wielkie nadzieje, zakupionych za spore sumy, jednak brakowało jej wyjątkowych defensywnych pomocników i solidnej obrony. Szanowani na świecie gracze, jak Frank de Boer czy Gaizka Mendieta, nie mieli formy, Riquelme, niedawny kandydat na zbawcę, został przez trenera zdegradowany do roli rezerwowego. Dla drużyny z tak wielkimi problemami bezpardonowy styl bycia ich trenera Louisa van Gaala był ostatnim, czego potrzebowała. „Sprawy przybrały niekorzystny obrót – wspomina Bonano. – Atmosfera była nie do zniesienia, każdego dnia dochodziło do jakichś incydentów: raz trener był wściekły, innym razem któryś z piłkarzy został obrażony, jeszcze innym wyzywał się na nas jeden z działaczy. Staralem się chodzić do pracy z uśmiechem, ale nie było łatwo”.

Mając nadzieję na poprawę sytuacji, w październiku trener w końcu dokonał zmiany w bramce. Victor Valdés nie zdołał wyzbyć się wahań gry typowych dla debiutanta. Van Gaal postanowił go ściągnąć i postawił na Roberto Bonano.

Do tej chwili Roberto Bonano był trzecim, a Robert Enke drugim bramkarzem.

„Właśnie minęły trzy miesiące od chwili, gdy z taką pompą trafił do FC Barcelony – mówi Jörg Neblung – a znów zaczęto pisać, jak by było to oczywiste, że Barça zechce go sprzedać przy pierwszej okazji”.

Gdy po zakończonym treningu maszerował w stronę szatni, już 20 metrów od wejścia było słychać stukanie o asfalt jego korek. Droga ta zazwyczaj wystarczała, aby mógł dojść do siebie po ogromnym wysiłku. Świadomość, jak dobrze trenował, tylko utwierdzała go w przeświadczeniu, jak beznadziejna jest jego sytuacja.

Hoek, trener bramkarzy, czasem szedł z nim. Gdy mówił do niego, Robert zawsze odpowiadał mu uprzejmie, nierzadko z uśmiechem na twarzy. Jednak Enke sam do niego nie zagadywał. Trener bramkarzy nawet tego nie zauważył.

– Po treningu Hoek idzie prosto do swojego komputera i kupuje akcje czy coś takiego – powiedział mi Robert pewnego dnia. W jego głosie pobrzmiwało coś w rodzaju oburzenia. Potrzebowałem chwili, aby się zorientować, o co mu chodzi: Hoek nawet nie zdawał sobie sprawy, jak Robert tęskni za pytaniem o samopoczucie czy słowem pochwały.

„Bramkarz wystawiony jest na tak dużą presję zewnętrzną i wewnętrzną, że trener bramkarzy powinien być dla niego przyjacielem”, twierdzi Walter Junghans, mentor Roberta z Lizbony.

Sam Frans Hoek tak mówi o Robercie: „Był sympatycznym, dobrze wychowanym człowiekiem. Bramkarzowi takiemu jak on – żeby to należycie zobrazować – należy czasami wylać na głowę wiadro zimnej wody, aby się obudził i skonfrontował się z twardą rzeczywistością piłki nożnej”.

Esto no! – tak brzmiał wojskowy okrzyk Hoeka. Victor Valdés naśladował trenera bramkarzy z jego holenderskim akcentem i podniesionym głosem: *Estonooo!*, krzyczał nieustannie. „Nie to!” Hoek do dziś uważany jest za jednego z najbardziej kompetentnych i najbardziej innowacyjnych trenerów. Jego szkoła bramkarska nie przewiduje najwyraźniej troski o samopoczucie piłkarza. „Często powtarzałem Enke i Bonano, że są zbyt grzeczni – mówi Hoek. – Piłka nożna to twardy świat. Jako piłkarz musisz być w pewnych sytuacjach brutalny. Victor był jedynym, który miał trochę, jak to się mawia w Hiszpanii, *malaleche*: złego mleka w żyłach. W Niemczech powiedziano by, że ma cechy mentalności Olivera Kahna. Chciałem, aby ta trójka bardziej ze sobą rywalizowała”.

Robert Enke tęsknił za zrozumieniem, a Hoek krzyczał *Esto no!* Odbierał go osobiście: sądził, że Hoek go nie lubi, że nie traktuje go uczciwie i żywi do niego urazę, bo nie poradził sobie w Noveldzie. Nie zauważył, że Hoek był równie bezpardonowo szczery wobec pozostałych dwóch bramkarzy. „Mnie także Hoek często wykańczał, tego akurat możesz być pewien”, podsumował Bonano.

Frans Hoek do dziś żyje w przeświadczeniu, że jego stosunek do Roberta Enke był wysoce profesjonalny. Oczywiście zdarzały się spięcia, ale nie miały przecież charakteru osobistego.

Podczas pobytu w Barcelonie Robert często dzwonił do Waltera Junghansa.

Jörg, Teresa, Dirk Enke i Marco obgadywali Hoeka oraz narzekali na van Gaala, który podczas treningu chyba nie przyglądał się specjalnie zawodnikom. Przez krótką chwilę złość dobrze działała na przyjaciół i zdawała się pomagać Robertowi. Jednak przyczyna problemu, którą uważał za najważniejszą, szybko do niego wracała. On, tylko on sam był winny. Nie poradził sobie w Noveldzie. I zepsuł grę, nieodwracalnie – był tego pewien.

Teresa wciąż regularnie zapisywała po kilka zdań w swoim dzienniku. Robert też raz zanotował w swoim terminarzu. „Nie gra roli, czy to, w co wierzysz, jest prawdziwe. Ważne jest, czy ci to pomaga”.

Dlaczego nie mógł się dopasować do rzeczywistości, aby ta wydawała mu się łatwiejsza do zniesienia? Widział przecież, jak Victor Valdés popełnia błędy w meczach z Atlético, Betisem, Osasuną. Jednak Victor pozostawał wyluzowany. Wydawało się, że na twarzy nosi maskę, której nic nie może skruszyć. Dlaczego nie mógł też taki być?

– W Brugii ty zagrasz – powiedział mu nagle trener bramkarzy.

Po czterech z sześciu kolejek fazy grupowej Ligi Mistrzów Barcelonie udało się zakwalifikować do fazy pucharowej. Mecz rozgrywany 29 października 2002 roku przeciwko mistrzowi Belgii był więc nieistotny.

„Nie mam nic do stracenia”, myślał. I ze wszystkich sił starał się w to wierzyć.

Kilka godzin przed spotkaniem tradycyjnie zadzwonił do Teresy. „Naszą rozmowę przed meczem mogłeś nagrać na kasetę i później odtwarzać. Zawsze wyglądało to tak samo – opowiada. – Jak się czujesz, byliśmy na spacerze, teraz piję kawę, wszystko dobrze, zobaczymy się w nocy”.

Tym razem powiedział jednak:

– Proszę, życz mi szczęścia.

Przestraszyła się.

Nigdy nie pozwalał, aby życzyła mu szczęścia. Jego zdaniem przynosiło to pecha.

Nigdy nie odczuła mocniej, jak bardzo męczył go strach przed porażką. Nie mogła dla niego zrobić nic więcej, niż powiedzieć tych kilka słów, które z trudem przeszły jej przez gardło:

– Życzę ci dużo szczęścia.

Poczuła się, jakby nie wymawiała tych słów, tylko je wypluwała. „Aż zrobiło mi się niedobrze”.

Piłkarze FC Barcelony podczas wyjazdu do Brugii byli ubrani w dresy, a nie, jak to zazwyczaj bywa, w garnitury szyte na miarę przez firmę Grisby. W związku z niewielką rangą tego spotkania trener postanowił zostawić w Hiszpanii siedmiu zawodników z pierwszego składu i zabrać ze sobą sześciu młodzików z rezerw, którzy nie mieli klubowych garniturów. Reporterzy nazwali tego dnia zespół „Baby-Barça”. Kapitan FC Brügge Gert Verheyen powiedział, że hańbą byłoby, gdyby jego klub nie wygrał tego meczu. Brugia w dalszym ciągu liczyła się w walce o awans. Od porażki z Noveldą minęły blisko dwa miesiące, a Robert od siedmiu tygodni nie zagrał w żadnym meczu.

Jan-Breydel Stadion jest dla kibiców belgijskiej piłki nożnej niczym sanktuarium. Ta jedna z najpiękniejszych aren piłkarskich jest czterokątna i wąska. To tu w 2000 roku podczas mistrzostw Europy Francja i Hiszpania rozegrały jeden z najlepszych meczów dziesięciolecia. W chwili gdy na trybunach zasiada komplet widzów, wydaje się, że tłum zaraz wyleje się na murawę. Mecz z Barceloną został wyprzedany. Kibice ubrani byli w kurtki zimowe i szaliki, ale większość piłkarzy miała na sobie koszulki z krótkim rękawem.

Mecz nie był jednostronny. Baby-Barça trzymała piłkę. Jej grą kierował 18-letni debiutant z porcelanową skórą anioła, posiadający niebiańskie wyczucie piłki. „Jak on się nazywa?”, zadawali sobie pytanie kibice. Andreas Iniesta czy jakoś tak. Drużyna z Brugii w skupieniu pracowała nad tym, aby nie pozostawić Barsie wolnego miejsca.

Piłka praktycznie nie opuszczała pola karnego. Robert Enke miał więc aż nadto czasu na rozmyślanie i wspomnianie. Mecz wyglądał podobnie jak w Noveldzie.

Wtedy nagle, bo profesjonalna piłka zawsze obfituje w zwroty akcji, Sandy Martens z Brügge zbliżał się do bramki Barcelony, choć był jeszcze daleko. 20 metrów od celu pomyślał, że jego drużyna i tak nie przebije się bliżej, więc postanowił strzelać z dystansu. Robert poleciał. Jego styl skakania był niepowtarzalny. Zawsze zanim napastnik wykopał piłkę, on podskakiwał w miejscu i rozkładał ręce, jakby chciał nabrać siły na dalszy skok. Według czystej teorii było to bez sensu. Postawa ta była przejściowa, ale pomagała mu w koncentracji i spięciu ciała przed decydującym wyskokiem. Obronił gwałtowny strzał Martensa, a w 58. minucie również strzał Verheyena w róg. Właśnie takie obrony publiczność pamięta najdłużej.

Podczas meczu, w którym piłka raczej leniwie się toczyła, niż płynęła, zdegradowany z roli zbawcy do rezerwowego Riquelme zdobył w 65. minucie gola na 1:0. Od tej chwili Robert nieustannie się spinał, a jego koncentracja osiągała coraz wyższy poziom, ponieważ piłkarze Brügge nagle pojawili się w pobliżu. Nie musiał jednak interweniować, bo za każdym razem w ostatniej chwili przeciwnikom przeszkadzali obrońcy Barcelony. Mecz praktycznie dobiega końca, gdy Brügge wyprowadziła jeszcze jeden atak lewą flanką. Jedno podwójne podanie sprawiło, że w szeregi Baby-Barçy wkradł się chaos. Ristic wbiegł na 18. metr, w róg pola karnego, a następnie w środek. Mógł strzelać, ale wołał dośrodkować. Piłka poleciała ostro i wysoko na linię piątego metra. Zadaniem bramkarza było wyłapanie jej, jednak przed nim pojawiło się pięciu piłkarzy, rozjuszonych jak stado byków. Trzech piłkarzy Brügge przeciwko dwóm Barcelony – Robert nie chwycił piłki, a jedynie wybił ją przed siebie. Zrobił dwa kroki do przodu i zatrzymał się. Walkę w powietrzu wygrał Martins. Widzowie za bramką Enke już unosili ręce z radości. Zagranie głową było mocne i wręcz idealne. Robert Enke zmienił lot piłki w ostatniej chwili ruchem lewej ręki, dzięki czemu przeleciała nad poprzeczką. Kibice zamarli z otwartymi ze zdumienia ustami.

Następnego dnia na okładce „El Mundo Deportivo” można było przeczytać: *Riquelme rozstrzygnął losy meczu, w którym wyróżniali się Iniesta oraz Enke.*

Francisco Carrasco, zwany „Lobo”, wilk, zwycięzca Pucharu Europy w 1979 roku z Barçą, został analitykiem meczów dla „El Mundo Deportivo”. Napisał: „Występ Enke był wiadomością dla van Gaala: jeśli mnie potrzebujesz, oto jestem”. Wiecznie niezadowolony, wybuchowy trener tym razem zdobył się na serdeczny gest. Żaden człowiek nie jest emocjonalnie jednorodny – tyczy się to również van Gaala, który potrafił być wyrozumiały, jednak przychodziło mu to z trudem. Trener przyznał, że publicznie nigdy nie wypowiada się o pojedynczych piłkarzach, dla Roberta zrobił jednak wyjątek:

– Bramkarz jest samotnym graczem, dlatego dziś zasługuje na pochwałę: Enke zagrał świetnie, a na koniec uratował nasze zwycięstwo.

Teresa zanotowała w swoim kalendarzyku, że Robert nie chciał „przyznać, że rozegrał wyśmienite spotkanie”.

Wychodził z założenia, że jeden mecz niczego przecież nie zmieni. W dalszym ciągu pozostanie rezerwowym, a Bonano był obecnie solidnie grającym numerem jeden. Gdy bramkarz raz siądzie na ławce, bardzo trudno jest mu wrócić do składu. Bramkarz nie jest zawodnikiem, którego zmienia się ot tak. Trzy lata wcześniej jego sympatyczny konkurent Bossio już więcej w Benfice swojej szansy nie otrzymał. Raz pomylił się w meczu przedsezonowym z Bayernem Monachium, a Robert Enke wykorzystał swoją szansę. Jednak większość ludzi nie dostrzega, ile kiedyś miało szczęścia, gdy szala korzyści wydaje się przechylać na stronę konkurenta.

Krótką radość po meczu z FC Brügge szybko ustąpiła miejsca dobrze znanemu przekonaniu: że jego sytuacja jest absolutnie beznadziejna.

Robert był pierwszą osobą z Barcy, która zadzwoniła do Patrika Anderssona, aby dowiedzieć się, jak się czuje po operacji uda. Mocno identyfikował się z tymi, którym źle się wiodło.

Po obiedzie regularnie jeździł do Manresy, znajdującej się pół godziny jazdy na północ. Po lewej mijał górę Montserrat, symbol narodowy Katalonii. Teresa pracowała przedpołudniami w schronisku w Manresie. Gdy przyjeżdżał ją odwiedzać, wspólnie z psami udawali się na spacer. Najczęściej musieli brać tylko jednego pieska, bo w grupie zwierzęta się na siebie rzucały. Pewnego dnia przeszli już spory kawałek, kiedy Robert powiedział:

– Chodź, wrócimy po jeszcze jednego z klatki i pójdziemy dalej.

Wraz z nowymi przyjaciółmi z niemieckiej społeczności z Sant Cugat wybrali się na plażę w Sitges, aby grillować w ogrodzie. Robert wraz z innymi mężczyznami poszedł pobiegać, a następnie kibicował Teresie oraz Dickensowi podczas zawodów skoków jeździeckich. Kto by pomyślał, że stary koń potrafi wciąż tak skakać! Był listopad, a oni wciąż mogli cieszyć się promieniami słońca. Teresa uważała, że nowi przyjaciele niczego po nim nie poznają. Mógł się zapomnieć, przynajmniej na kilka godzin, i swobodnie spędzić czas wśród życzliwych mu osób. Nikt nie zwracał uwagi, jeśli nagle podczas jakiejś rozmowy i wspólnych żartów przez chwilę sprawiał wrażenie nieobecnego. Profesjonalny piłkarz, gwiazda, jest zawsze traktowany szczególnie nawet przez przyjaciół. Nie miało znaczenia, czy tego chciał, czy nie.

Pewnej niedzieli Robert zadzwonił do mnie.

– Słyszałeś, co zrobił Victor?

Victor Valdés, zaledwie 20-latek, dopiero od czterech miesięcy będący pierwszym

bramkarzem, przewrócił świat do góry nogami. Buntował się przeciwko van Gaalowi! Po tym jak przegrał walkę o miejsce w składzie z Bonano, trener wypędził go do drugiej drużyny, aby tam utrzymał rytm meczowy. Victor przyznał, że nie zamierza brać w tym udziału. „Moją drużyną jest pierwsza drużyna”, oznajmił. Nie pojawił się na meczu trzecioligowych rezerw z FC Reus. Wyłączył nawet swoją komórkę.

Louis van Gaal, który zawsze się wydzierał, teraz zaniemówił.

– Victor naprawdę nie wątpi we własne możliwości – powiedział Robert Enke. Wydzwięk tych słów budził zarówno podziw, jak i irytację. – Oczywiście zastanawiam się czasem, co by było, gdybym był taki jak on.

„Popełniam wiele grzechów typowych dla młodego wieku – mówi mi Victor Valdés, ubrany jest w koszulkę z wielkim orłem rozkładającym skrzydła. – Jednak musisz zrozumieć sytuację: przed tym sezonem miałem ofertę z FC Villarreal. Zadzwoiłem do van Gaala i powiedziałem mu: »Panie trenerze, mogę odejść do Villarrealu«. Van Gaal odpowiedział: »Nie, zostań, dam ci szansę na grę w pierwszej drużynie«. Gdy po 11 meczach nie tylko posadził mnie na ławce, ale i wydalil do drugiej drużyny, poczułem się zdradzony. Dziś już wiem, co chciał wskórać. Wtedy czułem, że mnie poniżono”.

Cztery dni po tym incydencie przyszedł czas na przeprosiny, jednak do Victora Valdésa bynajmniej nie dotarło, że postąpił źle. Znow został przyjęty do drużyny, van Gaal przyznał jednak, że „nic nie będzie tak jak kiedyś”. Valdés miał wziąć kilka dodatkowych treningów z trenerem bramkarzy, bo nikt nie chciał nawet mówić o karnym treningu. Oficjalne stanowisko głosiło, że musi nadrobić zaległości spowodowane nieobecnością. Drugi bramkarz rezerwowy też miał w nich uczestniczyć. Przecież mu to nie zaszkodzi.

W La Masii Robert był sam z Hoekiem i Valdésem. Trener bramkarzy krzycał swoje *esto no!* i krytykował Victora, że za bardzo kombinuje.

– Chcę, żebyś dłużej zaczekał przed strzałem, tak jak van der Sar – powtarzał.

Po kwadransie Victor w złości przerwał trening. „Źle się skończyło – wspomina. – Hoek i ja rzucaliśmy na siebie piłki”. Robert Enke stał obok, wątpiąc w siebie co najmniej tak bardzo jak Victor.

Jednak coś mi nie pasowało. Siedzący na designerskiej sofie w kontenerze budowlanym Victor coś ukrywał. Dzisiejszy Valdés jest swego rodzaju przeciwieństwem Victora z tamtych czasów. „Byłem wtedy bardzo zamknięty w sobie – mówi bez ogródek. – Nie oglądałem nawet piłki w telewizji, bo myślałem, że powinienem odgrodzić się od wszystkiego, co związane z grą”.

Victor przyznaje, że zmieniły go dwie rzeczy: ojcostwo i trener. Po latach został niekwestionowanym numerem jeden Barcy, zwycięzcą Ligi Mistrzów z lat 2006, 2009 oraz 2011, grającym równie niezawodnie co van der Sar. Jego syn Dylan tchnął w niego ogromną radość życia. Victor Valdés zastanawia się, jak można się

odgradzać od świata, jest przecież tyle rzeczy, z których należy się cieszyć, tyle rzeczy, które trzeba poznać. Jeszcze przed narodzinami Dylana doświadczył szczęścia, które dane było tylko nielicznym piłkarzom. W osobie Pepa Guardioli spotkał trenera, który wymagał więcej niż inni. Oczekiwał, że jego piłkarze będą kochać grę tak samo namiętnie jak on sam. Victor, mówił Pep Guardiola, jeśli będziesz dalej tak robił, to pewnego dnia zakończysz karierę i mimo że uprawiasz piękny zawód, ani jednego dnia nie będziesz szczęśliwy, ponieważ jesteś za bardzo spięty i myślisz tylko o tym, by osiągnąć sukces. Obejrzyj sobie mecz w telewizji, postaraj się przeanalizować grę: dlaczego napastnik ucieka w lewo, jakie podanie zagra pomocnik i tak dalej. Im lepiej zrozumiesz grę, tym bardziej ją pokochasz.

I dziś Victor przyznaje: „Pep całkowicie zmienił moje postrzeganie piłki nożnej”. Wcześniej przez cały mecz był spięty. Gdy teraz rozmawiamy, zaciska pięści i po chwili mówi: „Wcześniej mój styl gry działał na zasadzie siła-siła, wychodź-wychodź. Pep nauczył mnie, aby podczas meczu chwilami zmniejszyć intensywność i na chłodno przeanalizować sytuację na boisku, zamiast nieustannie się spinać i oczekiwać na podanie”.

Swoją stosunkowo niedawno wykształconą ciekawość świata i otwartość Victor Valdés w dalszym ciągu skrywa pod zimną jak lód maską bramkarza. Ściął swoje długie włosy i obecnie często goli się na łyso. Ubiera się na czarno, zazwyczaj nosi skórzaną kurtkę. Czy wrażenie Roberta, że nic go nie zaskoczy, że nie ma żadnych wątpliwości i że nie zna strachu, było słuszne? „Możliwe, że Robert więcej niż ja myślał o wypadkach. Wtedy niczym się nie przejmowałem. Doszedłem do takiego momentu, że nawet jeśli popełniałem błędy, to po prostu to po mnie spływało”.

Victor Valdés uśmiecha się i jest to uśmiech człowieka, który zachowuje taki spokój, że może bez emocji wspominać nawet najtrudniejsze chwile. „Wiesz co? Od momentu, w którym skończyłem osiem lat, do chwili, kiedy miałem 18, żyłem pod taką presją, że nie byłem w stanie odnaleźć spokoju”. Wszystko kręciło się wokół piłki, a „sama myśl o meczu w przyszłą niedzielę była dla mnie horrorem. Stanie w bramce – mówiąc delikatnie – było wyjątkowym cierpieniem”. Strach przed popełnieniem błędów, obawa przed zawiedzeniem innych – wszystko to bynajmniej nie jest obce Victorowi Valdésowi^{***}.

Robert Enke i Victor trzymali się do siebie na dystans. Byli w stosunku do siebie mili, ale ich rozmowy były powierzchowne, tworzyły fasadę. Robert Enke ze zdenerwowaniem przyglądał się rywalowi, który najwyraźniej był tak zuchwały, jak on sam chciałby być i jakim jego zdaniem musiał być bramkarz na najwyższym poziomie. Jak bardzo by mu pomogło, gdyby dowiedział się, że ten pozornie odporny na wszystko młodzik niegdyś przeżywał takie same lęki, z jakimi on zмага się obecnie!

„Czy wiesz, o czym marzyłem, będąc dzieckiem? – mówi Victor Valdés. – O tym, by zostać graczem z pola”.

Po treningach często spotykałem się z Robertem w przedsionku wejścia do szatni na Camp Nou. Na ścianach wisiały obrazy olejne przedstawiające dramatyczne bitwy morskie. Wspólnie siadaliśmy na skórzanej sofie. Wciąż dawał się wciągać w dyskusję o rękawicach bramkarskich, którą prowadziliśmy niczym filozofowie. Roztrząsaliśmy kwestie w rodzaju: dlaczego szew na kciuku musi być koniecznie po stronie wewnętrznej. Uwielbiał dywagować o przyszłości bramkarzy. Zauważał na przykład, że stary dobry Olli Kahn stał się wolniejszy. Ujawniało się też jego poczucie humoru, oparte na aluzjach i podtekstach:

– Nie jestem zaskoczony, że nie wiecie się drużynie – powiedział. Było to zaskakujące w obliczu jakości prezentowanej przez Barcę. Zaraz jednak dodał: – Przecież ja to znam. Drużyny, w których gram, nigdy nie spełniają pokładanych w nich nadziei.

Tym razem z jego twarzy nie można było wyczytać zrozumienia dla tej autoironii. Jego oczy pozostały niewzruszone. Wydawało się, że mówi, nawet nie otwierając buzi.

– Należy sobie nieustannie powtarzać, że istnieją jeszcze inne rzeczy, a nie tylko piłka nożna. Jednak... – Nie dokończył tego zdania. – Stałem się kapryśny.

Opowiadałem mu, co usłyszałem od agenta Roba Moore'a z RPA. Javier Pérez Farguell, członek zarządu FC Barcelony, polecił pośrednikom z międzynarodowymi kontaktami, w tym Moore'owi, żeby poszukali klubów dla siedmiu jego graczy. Wśród nich był też Robert Enke.

Nie odezwał się ani słowem. Jego twarz pozostała niewzruszona. Posłał mi spojrzenie mężczyzny, który szuka utraconego śmiechu.

Do Roberta zadzwonił Eike Immel, trener bramkarzy niemieckiego szkoleniowca Christopha Dauma z Austrii Wiedeń, która właśnie podjęła współpracę z potężnym sponsorem. Trener chciał wspólnie z Robertem zbudować coś wielkiego. Klub był nim zainteresowany.

Austria. Robert Enke właśnie stwierdził, że w wielkich klubach nie zawsze wszystko działa jak marzenie. Jednak spokojna liga austriacka to chyba druga skrajność.

Immel zadzwonił ponownie. Na początku w grę wchodziłoby wypożyczenie, na pół roku, aby ponownie nabrał rytmu meczowego i zaprezentował się przed czekającymi go wyzwaniem. Odpowiedź Roberta była jednoznaczna:

– W chwili obecnej nie myślę o transferze.

Barça rozpoczęła święta Bożego Narodzenia, okupując dziesiątą pozycję w tabeli.

Galaktyczny Real zebrał blisko dwa razy tyle punktów co klub z Katalonii. W kwestii rywalizacji była to niewyobrażalna przepaść.

– Czy wiesz, co dziś się tu dzieje? – powiedział Robert Marco, gdy rozmawiali przez telefon. – Van Gaal, przed całą drużyną, wszedł na stół do masażu i wydarł się na nas z góry.

Odległość od lat dzieliła Marco i Roberta: Lizbona, Barcelona, Ried, Ateny, Norymberga... Przenosili się z miejsca na miejsce, jednak jak daleko by od siebie nie byli, wciąż pozostawali w bliskim kontakcie. Mogli zobaczyć się raz czy dwa razy do roku, jednak Robert przyzwyczał się już do przyjaźni na odległość. Wierzył, że „w życiu spotyka się trzech, czterech prawdziwych przyjaciół”. I rzadko ma się szczęście, aby mieszkać w tym samym mieście co choćby jeden z nich. Marco i Christina postanowili spędzić sylwestra w Sant Cugat – była to swego rodzaju podróż poślubna, bo tuż przed Bożym Narodzeniem pobrali się. Ze względu na swój napięty terminarz Villa nie mógł sobie pozwolić na zarówno podróż poślubną, jak i odwiedziny u przyjaciół. Postanowili więc połączyć te dwie okazje.

Nowy rok przywitani na Plaça de Catalunya. O północy trzeba się spieszyć – wraz z każdym z 12 uderzeń dzwona oznajmujących nastanie nowego 2003 roku musieli połączyć jedno winogrono. To hiszpańska tradycja noworoczna: *las uvas de suerte*, winogrona szczęścia.

– Idziemy z Robbim do domu, jesteśmy zmęczeni – oznajmił chwilę później Marco.

Teresa spojrzała krytycznie na Roberta. Czyżby znów popadał w melancholię?

Ona, Christina i kilkoro znajomych z niemieckiej społeczności w Barcelonie poszli potańczyć. Robert i Marco położyli się tymczasem spać. Tak przynajmniej powiedzieli.

W domu w Sant Cugat otworzyli butelkę wina.

– Opowiedz jeszcze raz naszą historię z wojska – poprosił Robert.

Gdy Teresa i Christina wróciły o czwartej nad ranem do domu, usłyszały głośny śmiech dochodzący z salonu.

W ciągu kilku następnych dni Teresa znalazła okazję, by porozmawiać z Marco w cztery oczy.

– Jesteś jedną z nielicznych osób, przy których Robbi potrafi się otworzyć. Proszę, postaraj się mu pomóc.

Marco Villa zawsze widział siebie w roli klauna.

– Jeśli wymówiłabyś przy mnie, gdy miałem 19 lat, słowo „psychika”, to zapytałbym, co to jest.

Jednak jako sportowiec, człowiek nastawiony na osiągnięcie celów i żyjący pod znaczną presją, dobrze rozumiał Roberta i wiedział, że niechętnie opowiada o swoich wewnętrznych rozterkach. Mimo to zagadywał przyjaciela za każdym razem, gdy

widział, że coś jest nie tak: „Robert, nie brzmisz dziś za dobrze, wszystko OK?”. Pytał go też, jak się dogaduje z trenerem bramkarzy. Robert w swoich odpowiedziach najczęściej schodził na temat osób trzecich bądź też jakichkolwiek wydarzeń czy rzeczy znajdujących się w najbliższym otoczeniu, byle tylko nie mówić o samym sobie. Marco jednak cały czas pytał. Robert sam zadzwoniłby do niego, gdyby było mu źle, jednak zanim by to zrobił, musiałoby upłynąć wiele czasu.

Mieli po 15 lat, gdy podczas pucharu landów młodzików w Wedau Marco Villa samotnie nacierał na bramkę reprezentacji Turynгии. Widział przed sobą bramkarza. Znał już Roberta Enke z młodzieżowej reprezentacji Niemiec. Przeszło mu przez myśl, że takiemu bramkarzowi nie da się strzelić gola! Kopnął piłkę z impetem, a Robert obronił. Za plecami słyszał jęk rozpaczy swoich kolegów z zespołu, a sam opuścił głowę w poczuciu klęski. Bramkarz leżał na ziemi z tą cholerną piłką w dłoniach. Uśmiechnął się do niego i powiedział z pełnym zrozumieniem:

– Następnym razem strzelisz.

Takie sytuacje pamięta się do końca życia.

Borussia Mönchengladbach odkupiła Marco Villę z Uerdingen, gdy ten miał 17 lat. Był zawodnikiem drużyny młodzieżowej, jednak Borussia zapłaciła za niego pół miliona marek. Po pół roku jeden z asystentów trenera powiedział mu:

– Powinieneś trenować z drużyną z Bundesligi.

– Przecież ja się jeszcze uczę.

– Musisz więc przerwać naukę.

W sobotę Marco stał przy linii boiska jako chłopak od podawania piłek. Zdał sobie sprawę, że ogarnia go jakieś dziwne poczucie w chwili, gdy komentator wykrzyknął:

– Bramka dla Borussii. Strzelcem jest zawodnik z numerem 9, Martin Dahlin!

Wiwat kibiców rozchodził się po stadionie jak burza. „To było moim jedynym marzeniem – mówi po latach – chciałem, aby komentator na Böckelbergu choć raz wykrzyczał moje imię”. Półtora roku przed maturą zrezygnował ze szkoły.

W sierpniu 1996 roku komentator wykrzyczał do mikrofonu:

– Bramka dla Borussii. Strzelcem zawodnik z numerem 32, Marco Villa!

1:0 przeciwko Hamburger SV. Marco miał wtedy 18 lat i był najmłodszym piłkarzem Borussii, który kiedykolwiek strzelił gola w Bundeslidze. Po siedmiu spotkaniach ligowych miał na swoim koncie trzy gole. Był to wyczyn, którego jeszcze nikt w Niemczech nie dokonał. Jego kolega Kalle Pflipsen stwierdził, że wybuchła „villamania”.

– To trzeba uczcić piwem słodowym – powiedział jego ojciec przed kamerami. Telewizja przeprowadzała wywiady nawet z nim, bo myślała, że wszystko, co związane z Marco, jest ważne.

„No i wreszcie usłyszałem, jak komentator na stadionie krzyczy moje nazwisko –

wspomina Marco. – Nie miałem już innych marzeń”.

Siedzi w swojej małej toyocie i jedzie polną drogą, zaraz obok autostrady A14 pomiędzy Giulianovą a Roseto degli Abruzzi. Od siedmiu lat gra we Włoszech dla L’Aquila Calcio. Nieświadomie przejął pewne zwyczaje panujące w tym kraju. Tu, jeśli chce się zaoszczędzić na jeździe autostradą, jeździ się tylko polnymi drogami. Usłyszał w radiu piosenkę Andrei Bocellego. Ostatnimi czasy dokładnie wsłuchuje się w teksty i tym razem odgadnął refren: „Nikt mnie nie nauczył żyć życiem”.

Przed laty, w Borussii pewnego wieczoru, gdy wraz z Robertem odpoczywali w hotelowym pokoju podczas obozu przygotowawczego, powiedział przyjacielowi:

– Pójdę się przejść.

Robert przewrócił oczami. Marco puścił mu oko i znikł.

Wymknął się z hotelu przez garaż podziemny. Tymczasem wielki Effenberg wybrał klasyczną drogę, przez lobby hotelowe.

– Effe, a ty dokąd? – krzyknął trener.

– Potrzebuję zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Aha, w porządku.

Wspólnie z Effenbergiem i dwoma innymi kolegami Marco siedział do rana w klubie nocnym.

– Za pięć lat albo będziesz wielkim piłkarzem – powiedział mu Effenberg – albo nikt nie będzie o tobie pamiętał.

Marco odebrał to jako komplement.

Wtedy po raz pierwszy zerwał więzadła krzyżowe. W ciągu czterech lat spędzonych w Borussii rozegrał 24 spotkania, z czego tylko dwa w pełnym wymiarze czasu. Do tych trzech goli z początku doszedł jeszcze tylko jeden. Podczas meczu z Sankt Pauli obiegł bramkarza i kopnął piłkę na pustą bramkę. Już się cieszył ze strzelonego gola, kiedy nadbiegł obrońca przeciwników i wybił piłkę z linii. Po pewnym czasie Marco mógł naliczyć aż kilkanaście takich sytuacji. Nie mógł przestać o nich myśleć.

Ried, Ateny, Norymberga – trenerzy we wszystkich tych klubach dostrzegali jego talent, który objawił w Mönchengladbach, wszędzie jednak łapał kontuzje. W Norymberdze był już od 20 miesięcy, z czego przez 14 zmuszony był pauzować. Co rusz przytrafiało mu się coś nowego. Po zajęciach rehabilitacyjnych czasem chodził razem z trenerem bramkarzy Michaeliem Fuchsem na stołówkę uniwersytecką. Fuchs miał kartki na obiad.

– No, Marco, przyznaj, całkiem tu tanio – zagadnął go jakiś student, który go rozpoznał.

Marco podobało się to przekomarzanie. W końcu był klaunem.

W domu jego żona płakała.

– Co się właściwie z tobą dzieje?! – Rzuciła się na podłogę i uderzała w nią pięściami. – Tylko wtedy jesteś normalny, kiedy masz kontuzje!

– Głupoty gadasz – burknął Marco.

Akurat wtedy nie był kontuzjowany. Zbyt pochłaniało go jednak myślenie o wewnętrznej presji, aby miał czas się zastanowić, co z nim jest nie tak. Zamiast tego przez długie godziny myślał, czy tanie jedzenie za stołówki nie zaszkodziło jego formie.

Marco wspomina, że pierwszy raz zbystrzał chyba wiosną 2003 roku. Dotrzymał swojej obietnicy, że będzie z Robertem rozmawiał nie tylko o tym, co robią, ale i o tym, jak im się wiedzie. Sześć miesięcy po przegraną z Noveldą stan Roberta uległ poprawie. W tym czasie Louis van Gaal stracił posadę. Pod wodzą nowego trenera, Radomira Anticia, w dalszym ciągu bronił Bonano, „ale”, jak powiedział Robert w rozmowie z Villą, „czasami wierzę, że jestem szczęśliwszy, gdy siedzę na ławce, niż gdy gram”.

– Co? – zdziwił się Marco.

Enke odłożył słuchawkę. Tak naprawdę Villa czuł to samo.

Nastrój Roberta się poprawił, chociaż jego sytuacja w Barsie nie uległa zmianie. Czy czas leczył rany? Czy Enke nauczył się lepiej radzić sobie z porażkami? Czy rzeczywiście dobrze się czuł w roli rezerwowego, zawodnika, na którym nie ciąży odpowiedzialność? „Myślę, że chodziło głównie o to, że sezon dobiegał końca – mówi Jörg Neblung. – Robbi wiedział, że powinien zmienić klub, i nie brał już na poważnie tego co dzieje się w Barcelonie”.

Zrezygnował z sesji terapeutycznych z doktorem Geldschlägerem. Nie potrafił stwierdzić, czy rozmowy te rzeczywiście przynosiły skutek, jednak wiedział jedno: zakończenie wizyt mu pomogło. Nabrał przeświadczenia, że problemy ma już za sobą.

Jego matka oraz rodzice Teresy przyjechali do nich w odwiedziny w tym samym czasie. Rodzice Teresy odwiedzali muzea – Miró, Picassa i MACBA – a jego matka każdego dnia jeździła pociągiem do portu, przesiadywała w kafejkach i przyglądała się morzu. Kelner witał ją z uśmiechem. „Mama Teresy zna się na sztuce o wiele lepiej niż ja. Chodząc z nimi po tych muzeach, czułabym się dziwnie”, powiedziała Gisela Enke. Z rodzicami



Robert z rodziną Teresy

Teresy może rozmawiać o takich rzeczach bez skrępowania – rozumie się z nimi bardzo dobrze. W jej obecności Robert zdawał się tryskać humorem – jakby inspirowała go swoim entuzjazmem.

– No, to życzymy powodzenia – powiedzieli zjednoczeni rodzice, gdy wyjeżdżał na mecz Ligi Mistrzów przeciwko Bayerowi Leverkusen.

Teresa podrzuciła go na stadion. Poszedł do szatni i jak zawsze spojrział na drzwi, na których wisiała piłkarzy nominowanych na mecz.

Nie znalazł swojego nazwiska.

Nikt mu niczego nie mówił. Po cichu został skreślony nawet z ławki rezerwowych. W profesjonalnej piłce rozmawia się wiele o sobie, ale rzadko ze sobą. Takie działanie jest sposobem wymuszenia na piłkarzach odejścia z klubu.

Jak w transie opuścił stadion i stanął na parkingu. Sytuacja poruszyła go tak bardzo, że zapomniał o istnieniu taksówek czy komunikacji miejskiej i zastanawiał się, w jaki sposób wróci do domu.

Był niemal pewien, że wyeliminowanie go z meczu z Leverkusen – klubem z jego ojczyzny, po pojedynku z którym w Niemczech wiele będzie się pisać o tym, że nawet nie zasiadł na ławce – nie było przypadkiem. Upokorzenie miało być tak wielkie, jak to tylko możliwe. Radomir Antić był trenerem, który chcąc pokazać swoją siłę, atakował najsłabszych.

Gdy wrócił do domu, rodzice nie mieli pojęcia, jak powinni się zachować. Nie

chcieli przygnębiać go jeszcze bardziej. Jak mogli mu pomóc, aby znów nie popadł w rozpacz? Robert zrobił coś, co w sytuacjach stresowych robiła zazwyczaj Teresa: poszedł samotnie do ogrodu i zapalił papierosa. Nie poczuł się przez to lepiej, bolało go, ale mógł z tym żyć.

– Po co mam się jeszcze denerwować? – powiedział cicho bezbarwnym głosem. – Przecież w Barsie od dawna jestem martwy.

Niedługo później zadzwonił Eike Immel. Oferta z Wiednia nie wyglądała jednak już tak wspaniale. Immel razem z Christophem Daumem latem miał przejść do Fenerbahçe. Stambuł był szaleństwem – fani, zachwyty, ogromny potencjał i absolutnie niedoceniany klub. Sugerował Robertowi, żeby się spotkali, by porozmawiać, bo byli zainteresowani zabraniem go ze sobą.

Turcja. Słowo to brzmiało obco i egzotycznie. Przecież ten kraj musiał leżeć na rubieżach piłkarskiego świata.

– Jest za wcześnie na decyzję, ale dziękuję za propozycję – odparł Enke.

To będzie długie lato, oznajmił mu Jörg. Do tej pory otrzymał oferty tylko z Fenerbahçe, FC Kärnten oraz FC Brügge.

– To nic nadzwyczajnego, kiedy odchodzi się z Barcy – powiedział szczerze Jörg.

Kontrakt z FC Barceloną obowiązywał jeszcze przez dwa lata. Neblung ani razu nie zadzwonił do Péreza Farguella z kierownictwa, aby się upewnić, czy Robert ma odejść, czy też zostać. Pérez Farguell potrafił wiele powiedzieć bez słów. Barça wolała przekazywać swoje wiadomości w sposób symboliczny.

Klub pozwolił rozpocząć Robertowi Enke treningi do sezonu 2003/04, mimo że miał zostać ściągnięty nowy bramkarz, do zespołu miał też dołączyć jakiś młodziak z drużyny B. Na boisku treningowym zebrało się pięciu bramkarzy, czyli o dwóch za dużo. W dalszym ciągu wszyscy milczeli. Uważano, że tego wymaga szacunek – przecież Enke miał jeszcze ważny kontrakt i nikt nie chciał powiedzieć mu bezpośrednio, że powinien odejść. W szatni zawisła lista ze składem piłkarzy, którzy mieli się udać na obóz przygotowawczy do USA. Zabrakło na niej zarówno Roberta Enke, jak i Roberta Bonano, który jeszcze kilka miesięcy wcześniej był solidnym bramkarzem podczas meczów ćwierćfinałowych Ligi Mistrzów. Był lipiec, od przyścia Roberta do Barcelony minął rok, a czas w tym mieście dobiegał końca, zanim na dobre się rozpoczął.

Po zaledwie godzinie wspomnienia Roberta Enke oczy Victora Valdésa robią się szkliste. „Ludzie skreślili go już po Noveldzie. Często zdarza się w Barcelonie, że jeden błąd sprawia, że prasa cię skreśla, a kibice krzyczą: »Wywalić go«, szczególnie wtedy tak było. Po odejściu Zubizarrety mieliśmy za sobą dekadę, w której żaden bramkarz nie wydawał się wystarczająco dobry, by grać w Barsie. Te refleksje powróciły po meczu w Noveldzie: »Enke też nie jest wystarczająco dobry«. – Valdés

krzyżuje ręce na piersi. – Jednak widziałem Roberta codziennie podczas treningów i chciałbym wierzyć, że się nie mylę: on był wielkim bramkarzem”.

Robert Enke w Barcelonie rozegrał jedynie trzy i pół spotkania: dwa mecze w Lidze Mistrzów, gdy stawka była zerowa, oraz 20 minut w spotkaniu z Osasuną, gdy kontuzji doznał Bonano. No i w Noveldzie. Jednak czy rzeczywiście był słabszy niż Bonano oraz Valdés?

„Miał problemy z przestawieniem się na szczególny styl gry Barcelony. Jednak myślę, że jako bramkarz prezentował wyższy poziom niż ja – mówi Victor Valdés, który w następnym sezonie stał się nieodzownym numerem jeden w bramce FC Barcelony. – Gdyby nie Novelda, to Robert Enke zostałby odpowiednim bramkarzem Barcy”.

„Oczywiście, że czasem zadawałam sobie pytanie – mówi Teresa, która przebywa właśnie na wsi w odległych północnych Niemczech – jak potoczyłoby się dalej nasze życie, gdyby ten jeden mecz zakończyły się inaczej”. I sama znalazła odpowiedź. „Pewnie nic by się nie zmieniło. Pewnie zaliczyłby wpadki w następnych meczach. Wtedy nie był jeszcze gotowy radzić sobie z presją w takim klubie jak FC Barcelona”.

Siedzieliśmy w ogrodzie w Empede. Od przygody w Barcelonie minęły cztery lata. Było to latem, podczas urlopu. Jeśli chodzi o prace przy domu, Robert Enke miał, jak prawie wszyscy bramkarze, dwie lewe ręce. Powiedział z dumą:

– Doceniłeś już, że parasol słoneczny przykręciłem całkowicie samodzielnie?

To był dzień, w którym po raz pierwszy odważyłem się zapytać go o Novelde.

– Cały się spinam, gdy słyszę to słowo – odparł. – Wyobrażam sobie wyraz twarzy Patrika Anderssona z następnego dnia, gdy krzyczał ze złości: „Nie pozwalaj sobie na takie zachowanie de Boera!”. Myślę o duchocie klimatyzowanego autobusu klubowego przed meczem.

Mówiąc to, Enke wygląda, jakby pocił się od wewnątrz.

Po wyprowadzce z Hiszpanii Teresa kilkurotnie odwiedziła Barcelonę, by spotkać się z przyjaciółmi z Sant Cugat. Robert za każdym razem znajdował jakiś pretekst, aby z nią nie jechać.

W zwolnionym tempie

Na plac treningowy La Masí cięń rzucały potężne mury stadionu. Poranne słońce dopiero za jakąś godzinę otuli jasnym światłem całą murawę, jednak nadchodzący upał już jest odczuwalny. Cisza osacza Roberta Enke. Wszyscy go zostawili.

Drużyna FC Barcelony dzień wcześniej wyruszyła na letnie *tournée* po Stanach Zjednoczonych. Robert Enke, Roberto Bonano oraz napastnik Dani García musieli trenować samotnie. Pustka przypominała tej trójce o wszystkim, czego już nie było – o śmiechu drużyny, o rytmicznych odgłosach podawanych przez piłkarzy Barcy piłek oraz niezłomnym przeświadczeniu, że w tym sezonie wszystko będzie dobrze. Milczenie La Masí podpowiadało im, że nie są już potrzebni i że jak najszybciej mają szukać nowego klubu.

To był poniedziałek, tydzień dopiero się rozpoczął, ale lipiec dobiegał końca. W Niemczech i w Anglii za kilka dni rozpoczynały się rozgrywki. Robertowi wydawało się nieprawdopodobne, że otrzyma jeszcze odpowiednią ofertę.

– Nie mamy alternatywy dla Fenerbahçe – powiedział Jörg Neblung – a jeśli ocenimy to na chłodno, to musimy przyznać, że nie jest to najgorszy klub: mają pieniądze, a poza tym możesz tam zdobyć mistrzostwo i się zaprezentować.

– Damy radę – przekonywała Teresa. – To tylko rok.

Oboje powtarzali mu to od wielu dni.

Robert milczał. Liga turecka już wówczas uchodziła za przystań dla piłkarzy, których kariera właśnie się załamała. Turcja była dla niego synonimem jego porażki.

W połowie lipca byli w drodze powrotnej z Niemiec do Barcelony. Jadąc autem z psami, musieli pokonać 2000 kilometrów. Nie wiedzieli, co ich czeka. Robert odwiedził niemieckiego trenera bramkarzy Fenerbahçe w Bitburgu. Teresa z Jörgiem namawiali go, by spotkał się z nim chociaż raz.

Razem z Christophem Daumem, Eike Immelem i Teresą zjadł obiad na tarasie restauracji hotelowej. Daum wziął głęboki oddech i przemówił, jakby odgrywał rolę w teatrze. Immel był z natury bardzo sympatyczny. Dla rozrywki opowiadał anegdoty z dawnego życia piłkarskiego. Robert, którego pijanego Teresa widziała tylko raz – gdy miał 17 lat – ochoczo dolewał sobie czerwonego wina.

Ktoś wciąż doceniał go jako bramkarza. Przez cały wieczór napawał się tym faktem. Odprężył się, zadawał wiele pytań – jak prezentowała się obrona Fenerbahçe i czy w Stambule można się porozumieć po angielsku. Przyjemny i naturalny styl bycia Teresy oraz pewność siebie Enke spowodowały, że Immela olśniło. „Po

spotkaniu czuliśmy z Daumem euforię. Powiedzieliśmy sobie: »On musi do nas trafić«”.

Dwa tygodnie później Robert Enke po poniedziałkowym treningu pojechał przez tunel Vallvidrera do domu. Nie zważał na myto, które wynosiło dwa euro. Porozmawiał z Teresą, zadzwonił do Jörga i postanowił, że to zrobi: przejdzie do Fenerbahçe.

– Upiększyłem to sobie w głowie: niemiecki sztab trenerski, niezłe pieniądze... dlaczego nie?

Gdy Jörg Neblung dotarł do Stambułu, poczuł się, jakby znalazł się pośrodku słynnej sceny biblijnej: oto bowiem wody się przed nim rozstały, a on w towarzystwie Christopa Dauma opuszczał lotnisko imienia Atatürka. Setki fanów witały swojego trenera i jego świtę. Tłum kłębił się wokół nich, ale powolutku posuwali się do przodu. Trener przepychał się niestrudzenie. W Niemczech, po wielu ekscesach i wypłynięciu faktu, że brał kokainę, miał zniszczoną reputację. W Turcji był tym, który w połowie lat 90. zapewnił Besiktasowi tytuł mistrza oraz puchar kraju. W minionym sezonie Fenerbahçe zajęło jedynie szóste miejsce, co dla najpopularniejszego klubu w kraju było poniżające. Obecność Dauma stanowiła obietnicę, że wszystko będzie dobrze. Dla Roberta Enke był to znany scenariusz. Po Mönchengladbach, Benfice oraz Barsie był to jego czwarty klub, który nie sprostał porównaniom z dawną świetnością.

Robert dotarł z Barcelony do Stambułu sam, chwilę po Jörgu. Ustalili, że Teresa zostanie z psami w Sant Cugat i będzie mieszkać u znajomej, a jego regularnie odwiedzać. Przecież w Turcji miał pozostać tylko sezon. Fenerbahçe miało być tylko przystanią, a może za rok wróciliby nawet do Barcy, z którą jedynie zawiesił umowę? Wielokrotnie podkreślał, że w żadnym wypadku nie chce się przenieść do Stambułu na stałe. Chciał uniknąć przeświadczenia, że decyzja stała się nieodwołalna. Potrzebował pewności, że w każdej chwili może wrócić do Sant Cugat – nawet jeśli tylko na kilka dni. Jednak teraz po raz pierwszy w życiu był sam.

Tłum kibiców na lotnisku zmalował do pojedynczych grup. Kilka osób go rozpoznało i zaczęło coś do niego krzyczeć, ale nie był w stanie zrozumieć co. Sądząc po wyrazie twarzy, były to pewnie miłe słowa, ale czy mógł być tego pewien? Wiedział przecież, co piszą gazety.

Fenerbahçe sprzedała FC Barcelonie swojego idola, bramkarza reprezentacji Turcji, Rüstü Reçbera. Prezydent Aziz Yıldırım, który miał w zwyczaju wydawać decyzje za pomocą dekretów, marzył, aby jego następcą został Francuz Fabien Barthez. Daum jednak nalegał, aby ściągnąć jakiegoś Niemca, którego Yıldırım nawet nie znał i którego Barça już nie chciała! Turecka gazeta wydała swój wyrok jeszcze przed przybyciem Roberta Enke. Czego szuka w Fener rezerwowi bramkarz

Barcelony?

Musiał wejść na podium, przed którym zebrali się dziennikarze prasowi. Dwa guziki jego białej, nieschowanej w spodniach koszuli pozostały niezapięte. Był sierpień. Fotografowie gestami dawali mu do zrozumienia, że powinien ustawić się w pobliżu niebiesko-żółtej flagi klubu. Jedną dłoń położył na niej, a kciuk drugiej uniół do góry. W ten sposób chciał dać wszystkim do zrozumienia, że jest obecny, silny i że będzie grał dla Fenerbahçe. Jednak jego twarz mówiła co innego: był blady, oczy miał rozszerzone i niespokojne.

Jörg starał się zachowywać tak, jakby nie widział spięcia Roberta. Nie chciał pogarszać sytuacji, więc się do niego nie odzywał. Zamiast tego spytał się prezydenta Aziza Yildirima, czy ten nie zechciałby pozować do zdjęcia z Enke. Miał nadzieję, że to pomoże rozładować napięcie. Miało sprawić wrażenie, że prezydent docenia, albo przynajmniej toleruje, obecność nowego bramkarza. Yildirim zignorował jednak tę prośbę.

Jörg Neblung mimo to starał się uspokoić. Najważniejsze, że trener był po stronie Roberta.

Pojechali do hotelu zarezerwowanego przez klub. Charakteryzował się wysokim standardem i można go było określić jako urokliwy, chociaż położony był w gąszczu budowli w azjatyckiej części miasta. Pierre van Hooijdonk, przyjaciel Roberta z czasów gry w Lizbonie, w tym samym czasie został zatrudniony jako napastnik. Jego zakwaterowano w luksusowym hotelu w europejskiej części Stambułu, gdzie nieopodal zielonych parków miał piękny widok na Bosfor.

Robert Enke chciał zjeść kolację w hotelu i nie zamierzał nigdzie już nie wychodzić.

Jörg został z nim trzy dni. Postarał się, aby Robert przeprowadził się do hotelu van Hooijdonka, a następnie, zadowolony, wrócił do Niemiec, ponieważ „warunki do aklimatyzacji były dobre”. Stary kolega van Hooijdonk mieszkał blisko, w drużynie było dwóch czy trzech niemieckich Turków – na przykład Ali Günes z Freiburga – trenerem był Niemiec, a miasto, dzięki osiedlom takim jak Galata oraz Beyoğlu, na swój sposób kojarzyło się z Lizboną.

Robert codziennie wyruszał z Pierre'em van Hooijdonkiem na trening – 40 kilometrów prostą drogą i nawet nie wyjeżdżali poza obręb miasta. Ruch samochodowy na moście na Bosforze odbywa się zawsze powoli. Robert pomyślał, że całe szczęście, że jest z nim Pierre, bo dzięki temu ma chociaż trochę zabawy. Pierre pomyślał: „Co może się dziać z Robertem?”. Cały czas się denerwował: na ruch samochodowy, na nieskoncentrowanych kolegów z drużyny, na wszystko. Później przez długie minuty milczał.

Na polecenie klubu pośrednik nieruchomości pokazał zawodnikom mieszkania. Robert zgodził się na pierwsze, bez zastanowienia, aby mieć z głowy problem

z szukaniem.

Raz rozmawialiśmy przez telefon. Mimochodem wspomniałem, że idę z przyjacielem na sushi. Banalne słowo „sushi” coś w nim poruszyło.

– No, a ja siedzę w Stambule i tkwię w korku na tym cholernym moście! – Wydawał się tak wściekły albo zrozpaczony, że się przestraszyłem.

Tak właściwie sam był tylko przez trzy dni. Jörg odleciał, a zaraz po tym miała się pojawić Teresa. Podczas tych trzech dni Fenerbahçe grało mecz testowy z Kocaelispor. Pół godziny przed ostatnim gwizdkiem na boisku złożono ofiarę z owcy. Robert pomyślał: „Dobrze, że nie ma tu Teresy, oszalałaby ze swoją miłością do zwierząt”. Gdy w końcu wyleciała ze Stambułu, mierzył się ze świadomością, że nie zobaczy jej przez długie tygodnie.

Pokazał jej mieszkanie, które wybrał, a ona się przestraszyła. Do pokoju prawie nie docierało światło. Było popołudnie, lato, a w kuchni musiała włączyć lampy. Nagłe światło wystraszyło karaluchy.

– Robbi!

– Jak oglądałem to mieszkanie, to wydawało mi się w porządku.

– Przypomnij sobie Barcelonę. Kiedy tam mieszkaliśmy, wspominałeś, że co ci się najbardziej podoba?

Wzruszył ramionami.

„Teresa i ja też popełniliśmy wówczas błąd – mówi Jörg Neblung. – Ponieważ w ostatnim półroczu w Barcelonie był w niezłej formie, pomyśleliśmy, że w Stambule też da sobie radę, tak samo jak po wyprowadzce z Lizbony czy po porażce w Noveldzie”.

Teresa i Jörg postrzegali Roberta jako wrażliwego człowieka, który czasem, w sytuacjach ekstremalnych, potrafi stracić równowagę, a następnie dzięki niesamowitej samokontroli pokonać przygnębienie i stać się jeszcze silniejszym.

Teresa pomogła mu znaleźć nowe mieszkanie w Stambule i po czterech dniach, dzień przed startem ligi, wróciła do Barcelony. Odlatując, powiedziała, że na pewno sobie poradzi, a za dwa tygodnie przyleci Jörg. Za trzy tygodnie miała zresztą znów pojawić się w Turcji. Ona i Neblung byli zdania, że gdy pokona początkowy strach, wszystko zacznie prawidłowo funkcjonować, tak samo jak w Lizbonie. Musiał jedynie w pierwszych meczach sam się przekonać, jak dobrym jest bramkarzem. Oby tylko do tego czasu nic się nie stało...

Jörg Neblung wysłał do pokoju numer 1296 w Swissotelu, w którym mieszkał Robert, faks: „Cześć, Robbi, przekazuję Ci aktualne wiadomości. Wczoraj krótko rozmawiałem z Eike. Powiedział, że sprawiasz dobre wrażenie i wydajesz się pewny siebie... Fajnie to słyszeć! Nie ma żadnych wątpliwości co do twojego statusu

i twoich umiejętności – mam nadzieję, że jutro też sam wysłuchasz takich wypowiedzi!!! Poza tym wszystko kebab? Gülegüle, Jörg”.

W nocy przed inauguracją ligi drużyna Fenerbahçe została w szkole sportowej w Samandırze, znajdującej się daleko na wschodzie miasta, gdzie centrum jest jedynie oddalonym wspomnieniem. Robert zajął pokój jednoosobowy i chciał obejrzeć mecze Bundesligi: Werder – Gladbach oraz Hannover – Bayern, podobnie jak miał to w zwyczaju, gdy dzielił pokój z Moreirą w przeddzień meczu. W Stambule mógł oglądać tylko jeden niemiecki kanał – RTL, który nie posiadał praw do transmisji Bundesligi.

Moreira nie rozmawiał z Robertem od tygodni. Po odejściu Enke z Lizbony regularnie do siebie dzwonili. Robert zawsze oddzwaniał, gdy w telefonie wśród nieodebranych połączeń odnajdywał numer swojego młodszego brata z bramki. Teraz Robert milczał. „To ostatni raz, kiedy do mnie zadzwonił, o, z tego numeru”, mówi Moreira, a następnie pokazuje spis połączeń – 00 34-667630228, Hiszpania. Później Moreira rozmawiał z van Hooijdonkiem.

– Jak się wie o Robertowi? Byliście razem w Fenerbahçe? – spytał, oczekując szybkiej odpowiedzi.

– Robert jest już kimś całkiem innym – odparł van Hooijdonk. – Nic nie mówi, stał się dziwny.

Robert Enke siedział w swoim pokoju w szkole sportowej Fener, a godziny do meczu ciągnęły się w nieskończoność. Szukał kartki papieru, aż znalazł wydruk faksu od Jörga. Odwrócił go, napisał: „Pamiętnik. Stambuł” i zaczął notować.

10.08.2003. Jesteśmy na obozie treningowym w Samandırze. Dziś rozgrywany jest pierwszy mecz ligowy. Dość nudno tu.

Tak jak się spodziewaliśmy, czuję się dość słabo. To połączenie strachu, nerwowości i tęsknoty. Tęsknoty za Terri i psami. Terri wczoraj odleciała.

Często zadaję sobie pytanie, czemu zdecydowałem się na Fenerbahçe. Tęsknię za chwilą, przed którą podjąłem tę decyzję. Pewnie w Barcelonie z braku perspektyw też czułbym się źle, ale miałbym przy sobie Terri, przyjaciół i swoje otoczenie, w którym czułem się bezpiecznie.

Trochę rozczarował mnie sztab trenerski. Daum powinien zdecydowanie większą wagę kłaść na dyscyplinę. Nie mam kontaktu z drużyną.

W tym nastroju udał się na stadion.

Do stadionu Fenerbahçe – znajdującego się nieopodal Pałacu Topkapı, domu sułtanów, władców Imperium Osmańskiego – musiał pokonać 40 kilometrów, po raz kolejny przebić się przez korek i przejechać przez most. Na trybunach zasiadły 52 tysiące kibiców. Przeciwnikiem był Istanbulspor, o którym nawet nie warto

wspominać.

Robert miał na sobie lśniąca ciemnoniebieską koszulkę wyciętą w serek oraz spodenki, które były prawie tak szerokie jak u boksera. W nowym stroju bramkarskim prezentował się dobrze, potężnie, ale mimo to wyglądał na zwrotnego. Wyraz jego twarzy można było zobaczyć dopiero później, na zdjęciach.

W Barcelonie Teresa spędzała czas z Dickensem. Pojechała w stronę lasu, gdzie pozwoliła mu na galop. Prędkość zmusiła ją, aby się skoncentrowała i nie myślała, że w Stambule jej mąż właśnie rozgrywa mecz.

Przeciwnik, Istanbulspor stał u progu bankructwa, a na koniec sezonu przed spadkiem uchronił go jeden punkt. Fener starało się zdominować mecz, jednak Istanbulspor cofnął się do defensywy, co jest prawem młodych drużyn. Fener nie mogło się przebić i stawało się nerwowe. Nagle Istanbulspor dograł długie podanie na połowę przeciwnika. Była 18. minuta spotkania. Robert wybiegł do przodu i w ułamku sekundy zdał sobie sprawę, że nie dosięgnie piłki. Jedyne napastnik Istanbulsporu, Izraelczyk Pini Balili – który teraz uważa się za Turka i nazywa się Atakan Balili – przelobował Enke, który stał na linii 16. metra i rozpaczliwie zaczął biec z powrotem do bramki, z nadzieją, że jeszcze wybije piłkę. Już jednak wiedział, że będzie ją wyciągał z siatki.

Eike Immel był przekonany, że „nie mógł przy tej bramce nic zrobić. Tu chodziło o niesamowicie głupie, niecelne podanie Salçuka. Po nim poszła tak szybka kontra, że Robert nie był w stanie skorygować swojej pozycji”. On jednak głośno krzyczał na samego siebie, wykopując piłkę do środka boiska. Jego stopa zaplątała się w papier toaletowy, który rzucili w jego bramkę kibice.

Wydawało mu się, że ktoś odgrywa jego życie w zwolnionym tempie. Miał wrażenie, że porusza się niewiarygodnie wolno. Później powiedział Jörgowi:

– Wszystko otuliła mgła.

W trakcie drugiej połowy ktoś podał do tyłu, a piłka wylądowała przed jego nogami. Robert Enke nie próbował nic robić. Szum rozchodzący się na trybunach przechodził w ryk. Eike Immel poczuł, jak serce zaczyna mu bić coraz szybciej. „Wybij tę piłkę, człowieku!”, pomyślał. Przeciwnicy, którzy wcześniej nie starali się przeszkadzać bramkarzowi, zdziwili się. Jako pierwszy wybiegł do niego Balili. Enke w dalszym ciągu nie ruszał się, jakby zapomniał, jak należy wykonać proste podanie. Immel chciał krzyknąć, żeby wybił piłkę! Szybko!

Za późno.

Balili odebrał Enke piłkę. W polu karnym Fener zrobiło się zamieszanie. Z 52 tysięcy gardeł dobył się dziki ryk, tłumowi udzielił się chaos tej sytuacji. W końcu któryś z obrońców przerwał akcję. Eike Immel potrzebował chwili, aby dojść do siebie po szoku. „Robert całkowicie się wyłączył”, wspomina.

Po 57 minutach na tablicy widniał wynik 0:3. Monety, petardy oraz butelki leciały

w stronę boiska. Robert wiedział, że za bramką zajęli miejsce kibice jego klubu.

Tymczasem Teresa wróciła do domu. W telegazecie mogła odnaleźć wynik. Sama przed sobą szukała wymówek, aby nie włączać telewizora. Najpierw poszła pod prysznic.

Kwadrans później zadzwonił telefon.

– Halo, tu Gunnar.

W dzieciństwie Robert i jego przyjaciele uważali, że to fajne: mieć o sześć lat starszego brata, który opowiada o muzyce i dziewczynach. Gunnar w wieku 21 lat został ojcem. Od czasu gdy Robert rozpoczął swoje migracje po klubach piłkarskich, spotykali się tylko na kilka dni podczas urlopu i okazjnie do siebie dzwoniли.

– Tak, Gunnar? – powiedziała Teresa.

– Chciałem się tylko odezwać.

– Gunnar, jeśli coś wiesz, to powiedz mi od razu!

– Tak. 0:3.

– Wygrali czy przegrali?

– Przegrali.

Pod Teresą ugięły się nogi.

Co chwilę wybierała jego numer telefonu komórkowego. Nie odbierał. „Na dworze zrobiło się ciemno”, wspomina Jörg, który też próbował się z nim połączyć. W końcu Robert zadzwonił do Teresy. Znow stał w korku na moście.

Powiedział, że się poddał i że wraca do domu.

– Na litość boską! Robbi, nie rób niczego pochopnie! Proszę, prześpij się z tym chociaż. Jutro o tym porozmawiamy.

Nie. Decyzję podjął już w trakcie meczu. Nie ma o czym rozmawiać.

– Rozumiem, jak się czujesz. Każdy ma ochotę rzucić wszystko, gdy coś nie idzie po jego myśli. Jednak później robi się tylko gorzej. Wytrzymaj tydzień lub dwa. Wytrzymaj kilka meczów, a sobie z tym poradzisz. Jestem tego pewna. Wyjdziemy z tego. Kocham cię.

Obawiała się, że jeśli się podda, to całkowicie się załamie. A tego nigdy by sobie nie wybaczył.

„Jej słowa bardzo mi pomogły”, napisał w swoim pamiętniku. Podczas tamtej rozmowy powiedział jednak, że sprawa jest zamknięta: jego kariera dobiegła końca.

Wykonał jeszcze jeden telefon, a następnie wyłączył komórkę, aby nikt nie mógł się do niego dodzwonić.

Marco jak zawsze zareagował entuzjastycznie, gdy usłyszał głos przyjaciela. Później przez pewien czas milczał.

– Wykończę się tu. Muszę stąd odejść. Nie dam już rady.

Słowa te zadudniły Marco w głowie, aż zrobiło mu się słabo.

– Robbi, weź się najpierw w garść. A jeśli to nie pomoże, to dopiero wtedy odejść.

– Ale wtedy będę bezrobotny.

– Co to jest pół roku? W zimowym okienku transferowym znajdziesz inny klub.

Dla Marco wizja szybkiej rezygnacji przyjaciela wydawała się druzgocąca. Mniej straszne wydawało się półroczne bezrobocie. On sam właśnie przeszedł z 1 FC Nürnberg do AC Arezzo – dobrowolnie przeniósł się do trzeciej ligi. Myślał, że jeśli przejdzie do klubu o wyraźnie niższym poziomie, do kraju, w którym nikt go nie zna i nie pamięta jego trzech goli w siedmiu meczach, w końcu poczuje ulgę i nie będzie się zmagał z nieustanną presją. Trzy dni przed jego pierwszym meczem we Włoszech trener jego drużyny powiedział w telewizji: „To jest taki piłkarz, że aż ślinka cieknie”. I Marco znów momentalnie się spał. W pierwszym meczu zagrał sztywno, bez energii i nieprzytomnie. „Jeśli masz tylko piłkę nożną i ten świat zaczyna się walić – mówi – to pozostają ci jedynie wątpliwości”.

Następnego ranka Robert Enke obudził się z tą samą myślą, z którą zasnął na kilka godzin dzień wcześniej. Musiał odejść.

Najpierw jednak poszukał kartki papieru.

11.08.2003. To już koniec. Przegraliśmy mecz 0:3. Przy pierwszym голу źle wyglądałem. Później byłem bardzo zdenerwowany, szczególnie w drugiej połowie. Wygwizdany zostałem przez własnych kibiców.

Dziś rozmawiałem już z tatą, Jörgiem i Terri. Chcę wyjechać ze Stambułu i wreszcie rozpocząć prawdziwą terapię. Nie ma mowy o dalszej grze. Wczoraj musiałem zrozumieć, że nie sprostim wymaganiom. Jörg stara się mnie przekonać, chce, żeby ktoś do mnie przyleciał, żebym zaczął zażywać leki. Nie chcę i nie mogę tego tu zrobić. Terri właśnie zadzwoniła, ale musiała odłożyć słuchawkę, bo płakała. Czuję się bezradny i bojaźliwy. Nie wychodzę z pokoju hotelowego, bo boję się spojrzeń innych ludzi. Chciałbym po prostu żyć bez strachu i nerwów. Wiem, że rozwiązanie kontraktu niesłoby ze sobą daleko idące konsekwencje, jednak nie mogę myśleć o niczym innym. Nie wiem, co robić dalej.

Chcę jeszcze porozmawiać z Daumem, ale nie wiem, jak to zrobić. Boję się jego reakcji. Wiem, że już wcześniej powinienem rozpocząć terapię.

Ze względu na porażkę trener dał drużynie dwa dni wolnego. Uważał, że najlepiej będzie, jeśli on i zawodnicy od siebie odpoczną.

Nie było zatem treningu, więc Robert musiał zadzwonić do Dauma. Pałący strach z meczu powrócił. Jak miał to powiedzieć Daumowi? W tym momencie zadzwoniła

jego komórka.

– Słucham?

– Robert, z tej strony Eike.

– Eike!

– Jestem pewien, że po tym meczu spałeś równie mało co ja. Chciałem ci tylko powiedzieć, że jeśli masz ochotę na kawę, to wpadnę do ciebie. Możemy też przepłynąć się łódką po Bosforze. Zobacysz wtedy, jak piękne jest to miasto. Chyba że wolisz, żebyśmy zrobili to co Olli Kahn po takich meczach: zaczniemy trenować, aż się porzygasz i pozbędziesz się frustracji.

– Eike, jak dobrze, że dzwonisz. Właśnie chciałem się do ciebie odezwać. Mam wielki problem, o którym nie możemy rozmawiać przez telefon.

– Już jadę do ciebie.

Eike Immel przestraszył się głosu Roberta. Czy zostawiła go Teresa? Czy umarł ktoś z jego rodziny? To wytłumaczyłoby jego nadzwyczajną nerwowość podczas meczu. „W dalszym ciągu mam przed oczami samego siebie, gdy stoję przed jego drzwiami pokoju hotelowego i myślę sobie: »Cholera, co teraz będzie?«. To, co się wtedy stało... nawet nie brałem tego pod uwagę”.

Robert cieszył się, że jest przy nim Eike Immel. Był dobrym człowiekiem. Buzia mu się nie zamykała i do wszystkiego nastawiony był pozytywnie, mimo że po 20 latach profesjonalnej kariery nękały go problemy z biodrem. Każdy strzał wywoływał ból, co dla trenera bramkarzy nie było korzystne.

Światło słoneczne wpadało przez szerokie okna i dosłownie zalewało pokój. Bosfor lśnił w słońcu. Na drugim brzegu widać było Azję.

Robert poczekał, aż Eike zajmie miejsce na fotelu obitym materiałem w brązową kratkę.

– Muszę zakończyć karierę.

– Robert, co się dzieje?

– Nie wytrzymam dłużej. Odczuwam tylko strach. Boję się wyjść z pokoju, otworzyć gazetę. Boję się założyć rękawice bramkarskie.

Eike Immel przeniósł się w myślach 10–20 lat wstecz, do czasów, gdy był bramkarzem reprezentacji i półfinalistą mistrzostw Europy. W 1988 roku zbyt pochopnie ogłosił swoje odejście z reprezentacji, gdy wydawało mu się, że selekcjoner postawi na Bodo Illgnera. „Przed każdym sezonem bałem się – wspomina Immel. – Bałem się nowych rywali w walce o miejsce w bramce. Bałem się nowych trenerów. Podczas niektórych meczów zauważałem dziurę w murawie. Zastanawiałem się wtedy: »Boże Świąty, czy piłka akurat nie uderzy w tę nierówność, stając się nie do obrony?«”.

Eike Immel myślał, że zna strach Roberta Enke. Wydawało mu się, że wie, jak szybko potrafi minąć. Rozgrywał jeden czy dwa dobre mecze i myślał: „Oby moi

obrońcy zagrali dziś naprawdę słabo, bo wtedy będę mógł obronić 10 czy 15 trudnych strzałów – wybronię wszystkie”.

– Robert, przy tych golach, przy wszystkich trzech, nic nie mogłeś zrobić. – Immel naprawdę w to wierzył. – A to, że byłeś zdenerwowany... Jak myślisz, jak ja się czułem, gdy pierwszy raz bronilem w bramce Manchesteru City w obcym kraju? W pierwszej połowie nie wyłapałem dwóch dośrodkowań, zupełnie jak amator. Oni wtedy powinni mnie od razu zwolnić. Ale później grałem już naprawdę dobrze. Z tobą będzie tu tak samo. Uwierz mi.

– To nie ma sensu. Strach towarzyszy mi nieustannie. Nie mogę i nie chcę tak dłużej.

Rozmawiali dwie godziny, a do Eike Immela w końcu dotarło, że stracił swojego bramkarza. Zadzwoił do Dauma. Robert siedział obok. Niedługo później do drzwi pokoju 1296 zapukał trener. Robert powiedział, że kończy karierę i udaje się na terapię. Nigdy nie padło słowo „depresja”, zawsze mówiono o strachu. Daum przysłuchiwał się, przytaknął i powiedział, że go rozumie. Pomoże mu rozwiązać umowę.

W tym samym czasie Jörg Neblung za pośrednictwem niemieckiej wyższej szkoły sportowej w Kolonii znalazł uznaną panią psycholog.

Miał nadzieję, że poleci z nim do Stambułu zbadać Roberta, podczas gdy ten grał dla Fenerbahçe, jakby nigdy nic mu nie dolegało. Był zdania, że jest tym doradcą, który powinien – gdzie tylko się da – torować drogę swojemu podopiecznemu i zawsze go wspierać.

Zostawił na automatycznej sekretarce pani psycholog wiadomość. Wkrótce zadzwonił jego telefon – to był Daum. Jörg Neblung musiał następnego ranka pojawić się w Stambule. Mieli rozwiązać kontrakt.

Nastał wtorek, drugi dzień po meczu z Istanbulsporem. Robert Enke nie miał nic do roboty, poza czekaniem na Jörga. Z okna pokoju hotelowego obserwował statki, liczne promy, tankowce oraz widokowe parowce pływające po Bosforze. Woda nigdzie nie posiada takiej mocy jak w Stambule – na Bosfor można patrzeć nieustannie, a jednostajne ruchy statków krążą w głowie, prowokują wyobraźnię, powracają i wywołują nostalgiczne wspomnienia. Ale Robert co najwyżej patrzył przez Bosfor. Jego Stambuł składał się wyłącznie z pokoju w hotelu.

Wziął do ręki niebieski długopis z cienkim wkładem.

12.08.2003. W końcu muszę się nauczyć słuchać tego, co podpowiada mi moje wnętrze czy też rozum. Jeszcze nie wiem, dlaczego związałem się z Fenerbahçe. Zapewne dlatego, że myślałem, że wystarczy mi świadomość, że jestem potrzebny i wszystko będzie dobrze. Niestety nie jest tak prosto. Rok w Barcelonie bardzo mnie zmienił. Pozwoliłem, aby cała pewność siebie, jaką

zdobyłem podczas trzyletniego pobytu w Lizbonie, po prostu uleciała. W moim obecnym stanie nie nadaję się do biznesu piłkarskiego. Przez długi czas nie chciałem się do tego przyznać, mimo że powinienem to zauważyć: zawsze byłem szczęśliwy, gdy nie musiałem grać, nieważne, czy były to pojedynki o stawkę, czy też zwykłe mecze treningowe. Mówiłem o tym wówczas jako o wielkiej niesprawiedliwości (czasami słusznie), jednak zawsze byłem w dobrym nastroju i czułem się najbardziej zrelaksowany, gdy nie grałem. Boję się też zdania opinii publicznej, prasy i spojrzeń ludzi. Strach mnie paraliżuje. Nie wiem, ile czasu minęło od chwili, gdy rozpoczyznałem mecz co prawda zdenerwowany, ale nie sparaliżowany lękiem. W przyszłości postaram się spisywać myśli na kartkach, aby było mi lżej. Mam nadzieję, że to mi pomoże.

– Czy jesteś już w Stambule? – spytała Teresa Jörga przez telefon.

– W zasadzie tak.

– Co to ma znaczyć?

– Wylądowałem, ale nie wiem, czy kiedykolwiek dotrę do hotelu. Taksówkarz uważa, że należy przez miasto gnać 120 kilometrów na godzinę. Jeśli mnie słabo słyszysz, to dlatego, że ma przy tym otwarte okna.

Teresa roześmiała się. Od soboty, tak jakby się umówili, Teresa i Jörg co rusz żartowali. Rozpacz w jakiś sposób należało przełamać.

Przed hotelem czekał na Jörga kolejny kierowca, który – co nie uszło jego uwadze – miał zamknięte szyby. Jörg szybko przywitał się z Robertem i wspólnie wyruszyli z podstawionym przez Fenerbahçe kierowcą. Neblung nie wiedział, dokąd jadą, przez co miał odczucie, jakby zdążali do najciemniejszego zaułka w mieście. W końcu zaparkowali. Po chwili znaleźli się w mieszkaniu wyłożonym tureckimi dywanami. Zasiedli naprzeciw pięciu członków zarządu klubu. Nie było wśród nich prezydenta. Aziz Yildirim od razu wiedział, że pozwolenie na grę w Fener takiemu bramkarzowi jak Enke jest poniżej jego godności. Obok Dauma i jego osobistego asystenta Murata Kuşa zajęło miejsce trzech mężczyzn ze złowrogimi minami. Neblung nie znał ich i z automatu uznał, że są wiceprezydentami. Nie przedstawiono ich. Kuş wyraził swoje oburzenie: Co też Jörg Neblung sobie wyobraża! Co on sobie myśli! Wciskać Fenerbahçe takiego bramkarza!

Jörg znał historie o zwalnianiu trenerów i piłkarzy w Turcji. W 2000 roku prezydent Bursasporu wyciągnął na stół pistolet, gdy niemiecki trener Jörg Berger domagał się odprawy zgodnej z warunkami umowy... Mimo to Neblung zachowywał się, jakby nic o tym nie słyszał.

– Robert potrzebuje terapii i dlatego niestety musi wrócić do Niemiec – powiedział. – Trener wyraził na to zgodę. Proszę, niech klub zwolni go na kilka

tygodni.

– Co? Mamy mu dalej płacić, gdy będzie się wylegiwać w Niemczech? – odparli oburzeni.

– Terapię może przejść też tu. W Stambule z pewnością są spore możliwości.

Do pomieszczenia wszedł ktoś ze służby domowej, niosąc srebrną kanwę. W milczeniu nalał eleganckim mężczyznom herbatę.

– Jeśli Enke chce odejść, to niech odejdzie, ale wówczas rozwiążemy kontrakt i koniec!

Jörg Neblung powiedział, że nie jest to tak proste. Jeśli kontrakt będzie rozwiązany, to Robert przez pięć miesięcy, do przyszłego okienka transferowego, pozostanie bezrobotny. Klub musiałby wypłacić mu rekompensatę.

– W żadnym wypadku nie otrzyma od nas żadnych pieniędzy!

– Po co chce pan te pieniądze? Przecież nie dojedzie pan z nimi nawet do lotniska!

Christoph Daum zauważył, że w obecnej sytuacji, kiedy zebrani są pod wpływem emocji, najlepiej byłoby, gdyby Enke i Neblung po prostu wyszli. Mogliby rozmawiać i godzinę i nie osiągnęliby konsensusu. Służba ponownie nalała herbaty.

– Porozmawiam z Robertem i jutro dam państwu znać. Myślę jednak, że nie rozwiąże kontraktu ot tak, rezygnując ze swojej pensji.

Wiceprezydenci, czy kimkolwiek ci panowie byli, wstali i pożegnali się, nawet nie podając gościom dłoni. Głośno rozmawiali po turecku i wytykali Jörga Neblunga palcami.

Kazali mu czekać na kierowcę. Była już północ, a Daum został jeszcze w mieszkaniu. Najwyraźniej nie miał już nic do powiedzenia. Niczego nie tłumacząc, wziął do ręki komórkę i zadzwonił do brazylijskiego pośrednika piłkarskiego Juana Figera. Głośno i bez zahamowania negocjował transfery nowych piłkarzy. Jörg stał w mieszkaniu i nawet nie wiedział, do kogo ono należy i gdzie się znajduje. Zadawał sobie pytanie, czy jego życie nie jest po prostu operą mydlaną.

Następnego dnia Robert musiał się zachowywać, jakby był normalnym piłkarzem Fenerbahçe. Pojechał na trening, podczas którego Daum poprosił go na bok.

Jaką głupotę robi jego doradca, żądając teraz pieniędzy? Turcy mają gorącą krew i potrafią być w takich sytuacjach bardzo niebezpieczni.

Robert dopiero niedawno wyrobił sobie przyjazny obraz swojego trenera. Teraz jednak widział, że się co do niego pomylił. W swoim pamiętniku starał się sobie to wszystko poukładać.

14.08.2003. Fenerbahçe zagroziło Jörgowi użyciem siły, jeśli nie zgodzimy się na

rozwiązanie kontraktu bez ubiegania się o korzyści. Daum brał udział w tym spotkaniu i w żaden sposób nie pomógł. Myślę, że błędem było otworzenie się wobec tego człowieka.

– Jak się czujesz? – zapytała Teresa, gdy rozmawiała przez telefon z Jörgiem.

– Dobrze, zważywszy, że chwycono mnie za nogi i wystawiono przez okno z 12. piętra – odparł.

Przez chwilę Robert śmiał się razem z nimi.

Jörg zamieszkał z nim w hotelu. Robert sądził, że we dwóch będą bezpieczniejsi, a unikanie samotności dobrze mu robi. Gdy wychodzili z pokoju, Jörg przyklejał do framugi drzwi włos, aby po powrocie sprawdzić, czy nikt nie wtargnął do pomieszczenia pod ich nieobecność. Z jednej strony był to tylko żart służący rozładowaniu napięcia, z drugiej jednak sprawa wyglądała naprawdę poważnie. „Musieliśmy się liczyć ze wszystkim, nawet z tym, że ukradną nam paszporty, podrzucą do walizek narkotyki czy coś w tym stylu”.

Po powrocie z treningu Robert powiedział Jörgowi, że nie musi już się starać podczas negocjacji. Miał tylko jedno życzenie: czym prędzej wyjechać ze Stambułu.

Umowę rozwiązali jeszcze tego samego dnia. Fenerbahçe zobowiązało się pokryć rachunek Roberta za hotel i opłacić lot. On z kolei zrezygnował z jakichkolwiek dalszych roszczeń.

15 dni po tym, jak w letniej koszulce przyleciał do Stambułu, Robert udał się w drogę powrotną. Fenerbahçe wydało oświadczenie prasowe, według którego za porozumieniem stron rozwiązano kontrakt. Robert Enke opowiadał dziennikarzom o swoim „odczuciu”, nie odważył się jednak wypowiadać w pierwszej osobie:

– Jeśli w nowym otoczeniu coś ci nie pasuje i nie czujesz się dobrze, niemożliwością staje się ukazanie 100-procentowej jakości gry. Zanim dojdzie do sytuacji, w której człowiek staje się jeszcze bardziej nieszczęśliwy, lepiej jest, aby wszystko zakończyć.

Daum powiedział:

– Miał problemy, ale przed meczem o nich nic nie mówił.

Dziennikarze poszli tym tropem. Myśleli, że Enke doznał kontuzji i przez swą „przesadną ambicję” sam sobie zaszkodził.

Przyznanie się do strachu nie wchodziło w grę. W świecie piłki nożnej i tak wszyscy się dziwili: przecież profesjonalny piłkarz nie rozwiązuje umowy ot tak! W końcu tłumaczyło to samo słowo: „profesjonalny”. Bycie profesjonalistą oznaczało, że należy tłumić uczucia i twardo przeć do przodu. Jeśli nie wiecie się na boisku, to należy po prostu usiąść na ławce, po cichu szukać nowego klubu i dyskretnie inkasować wypłatę.

– Wielu mówiło, że Enke ma nierówno pod sufitem. Jasne, patrząc na to trzeźwo,

można odnieść takie wrażenie – stwierdził Robert.

Tylko Jupp Heynckes, jego trener z Lizbony, widział już podobną sytuację. „Pierwszy raz od czterech lat przypomniało mi się, że wtedy też chciałem szybko odejść z Benfiki. Przeszło mi przez myśl, że zapewne ma poważny problem”.

Według regulaminu FIFA piłkarz nie może dwa razy w trakcie jednego okienka transferowego zmienić klubu. Teraz Robert przez co najmniej pięć miesięcy skazany był na bezrobocie.

Był zgubiony czy wolny? Gdy myślał o tym na lotnisku imienia Atatürka, czuł, że jedno i drugie, mógł być przecież wolny i zagubiony. Mógł czuć się załamany i odczuwać ulgę.

Miał czas na przemyślenia. Żeby zapomnieć o Stambule, wyjechał na lotnisko pięć godzin przed planowanym lotem do Barcelony.

Brak światełka w lodówce, brak światełka w tunelu

W nocy, gdy myśli stawały się zbyt nieznośne, udawał się do łazienki. Siadał na sedesie i daremnie czekał, aż powróci senność. Po pewnym czasie prześlizgnął się przez ciemny dom w nadziei, że psy nie zaczną szczekać. Z sypialni dochodził równomierny oddech Teresy. Położył się obok niej, a następnie zamknął oczy, licząc, że tak właśnie przywoła sen. Jednak rozterki nie dawały o sobie zapomnieć.

Dlaczego podpisałem z Fenerbahçe kontrakt wbrew mojemu rozumowi? Co by było, gdybym, tak jak wszyscy mówili, wytrzymał w Stambule dwa–trzy tygodnie dłużej? Nigdy nie wyjdę z tego dołka.

Gdy godzinę lub dwie później obudził się, czuł, jakby nie zasnął nawet na minutę.

O ile gorzej może jeszcze być? W Stambule podkuiliłem ogon i teraz za to płacę. Jednak przepraszam: co to za kara? Jak to ma się zakończyć?

Za dziesięć ósma obudził się z płytkiego snu. Pocałował Teresę na dzień dobry, a następnie powiedział, że przejdzie się z psami na dłuższy spacer. Jednak nawet gdy mówił, między nimi panowała ciężka cisza. Sam słyszał, jak wymawiając te słowa, chciałby powiedzieć jej więcej, opowiedzieć, jak się czuje. W nocy, próbując uciec od własnych myśli, cztery razy szedł do łazienki i za każdym razem, na przekór sobie, notował w swoim pamiętniku. *To najgorsza noc, jaką mogę sobie przypomnieć* – pisał. Jednak ilekroć zaczynał mówić, jego słowa brzmiały fałszywie, a zdania wydawały się pozbawione sensu.

Ubrał się w milczeniu i aby przełamać ciszę, powtórzył, że idzie z psami. Chciał jeszcze coś dodać. W głowie krążyły mu różne myśli, ale jednocześnie nie mógł wypowiedzieć jednej konkretnej. Był jak zablokowany. Jak Teresa miała wciąż kochać tego mężczyznę, w którego się zmienił po powrocie ze Stambułu?

Potrafił składać zdania w głowie. „Terri, wiem, że zachowuję się inaczej niż zwykle. Proszę, nie chcę cię stracić, ale słowa zatrzymują się w moim gardle i nie mogą wyjść”. Wiedział dokładnie, jak powinien się zachować, jednak myślał, że jest sparaliżowany i za każdym razem robił coś nie tak.

Wszedł na dwór. Zaraz za domem zaczynał się las Collserola, będący obszarem chronionym. Łagodna, sierpniowa pogoda sprawiła, że Roberta gryzło sumienie – przecież w tak piękne dni trzeba być szczęśliwym! W taki dzień, w poniedziałek normalnego tygodnia roboczego, nie powinno się mieć czasu na spacer po Collseroli.

Wiedział, że jest chory. Doktor Geldschläger dokładnie mu to wytłumaczył. I nie chodziło o to, że powinien wziąć w garść i nad sobą zapanować. W chwili obecnej jego mózg nie był w stanie poradzić sobie ze stresem. Jego system nerwowy filtrował emocje i przepuszczał tylko te negatywne – strach, złość, rozpacz. Gdyby lekarze rozcięli mu czaszkę na pół, zauważyliby zmniejszoną aktywność kory przedczołowej, która kieruje ludzkim działaniem. Dlatego czuł się taki słaby. Każdy element niewytłumaczalnego dla niego zachowania miał swoje uzasadnienie medyczne.

Miał depresję.

Osoby w depresji nie potrafią realistycznie postrzegać świata. Wszystko widzą w czarnych barwach, rzeczywistość z założenia odbierają negatywnie.

Jednak na co mu tłumaczenia, na co mu świadomość, że ta choroba ludzi na całym świecie zmienia we wraki, bez względu na to, ile wiedzą i jakie mają doświadczenie życiowe? To, czego mu zabrakło, to wytłumaczenie, jak kiedykolwiek ma znów wyjść z ciemności.

Nie wytrzymam tego długo. Jutro po prostu zostanę w łóżku.

Siedząc obok niego przy stole i jedząc śniadanie, Teresa w całkiem inny sposób myślała o tym samym: dłużej tego nie wytrzymam.

Stany lękowe i melancholia, które w ostatnich latach co rusz dawały o sobie znać, stanowiły jasny dowód na to, że jest podatny na depresję. Jednak strach przed zawiedzeniem siebie samego i otoczenia odczuwali też inni. Tacy bramkarze jak Immel czy Valdés nawet wykorzystywali strach, aby utrzymać koncentrację i wymusić reakcje organizmu, do których człowiek jest zdolny jedynie w sytuacji wywołującej stres. Druzgocące odczucia, jakie towarzyszyły Robertowi choćby po meczu w Noveldzie, nie miały z depresją nic wspólnego – były po prostu ludzką reakcją. Nic nie było w stanie przygotować jego i Teresy na prawdziwy atak depresji.

Co rano wstawał przed 8.00. Każdy dzień musiał posiadać swój schemat. Musiał załatwiać określone sprawy, które nie pozostawiały miejsca na krążące w głowie myśli. Takie podejście po raz kolejny zalecił mu doktor Geldschläger, myśli nieustannie tłukły się w jego głowie. Dlaczego wtedy, po Noveldzie, nie wziął na poważnie tych sesji z doktorem Geldschlägerem? Czy wtedy mógł jeszcze zatrzymać rozwój choroby? Co by się stało, gdyby w Noveldzie nie dał się tak zwariować?

Chciał przeciwstawić się depresji w sposób, w jaki inni walczą z rakiem. Każdego ranka zabierał psy na spacer i ruszał załatwiać różne sprawy, aby podtrzymać schemat i nadać czasowi określony rytm. Jednak osoby chore na raka mają przynajmniej zdrowy rozsądek oraz w najlepszym wypadku odwagę i silną wolę. On w głowie nie miał niczego poza przytłaczającym ciężarem.

W swoim pamiętniku opis praktycznie każdego dnia rozpoczynał tak samo: *Mam*

wrażenie, że codziennie jest coraz gorzej.

Nie chodziło o to, aby robił coś szczególnego, ale o to, aby robił cokolwiek. Teresa pytała go:

– Idziesz ze mną do stajni?

Robert siedział na tarasie z przekrzywioną głową i ta poza sprawiała, że denerwowała się jeszcze bardziej. Bił się z myślami: jest przecież tyle różnych za i przeciw. Co powinien zdecydować?

– Nie wiem – odpowiedział.

Codziennie zadawała mu to samo pytanie, jednak tygodnie mijały, a on wciąż siedział z przekrzywioną głową. Teresa czuła, że opuszczają ją siły. Najwyraźniej jej próby namówienia go do działania były daremne. Może lepiej byłoby zostawić go na kilka godzin samego? Jeśli zostałby sam, to może byłby w stanie podejmować samodzielnie chociażby drobne decyzje...

Doktor Geldschläger poprosił, aby Teresa też brała udział w terapii. Dla członków rodziny chorych na depresję cierpienie jest prawie tak bolesne jak dla ich bliskich. Odbijają się jak od ściany, gdy próbują przekonać chorego za pomocą optymistycznych i racjonalnych wypowiedzi. Ludzie z depresją zawsze wiedzą dokładnie, co może się nie udać, jeśli przystaną na składaną im propozycję. Doktor Geldschläger mówił Teresie, żeby to wytrzymała.

Teresa powtarzała sobie, że mężczyzna przy jej boku nie jest jej Robbim, a chorym: za wszystkie te niewiarygodne rzeczy odpowiedzialna była choroba. „Musisz mu pomóc. Jednak cierpliwość ma swoje granice, jeśli twój mąż staje się przepełnionym strachem, pozbawionym sił człowiekiem, którego wszystko denerwuje.

– Psy doprowadzają mnie do szału!

– Gdy wróciłeś ze Stambułu, wspominałeś, że strasznie tęskniłeś za mną i za psami.

– Ale one cały czas dziko biegają po mieszkaniu!

Potrzebował antydepresantów – sama terapia polegająca na rozmowach i ćwiczeniach rozluźniających mięśnie nie pomagała. Zaprzyjaźniony lekarz, internista z Bundesligi, żaden specjalista w tej dziedzinie, przepisał mu leki. Robert w dalszym ciągu myślał, że powinien zataić swoją chorobę, nawet nie zastanawiając się czemu. Był jednak pewien, że w swoim życiu popełnił zbyt wiele błędów, aby móc je jeszcze naprawić i ponownie żyć tak, jak słowo „żyć” na to zasługuje.

Po długiej przepychance FC Barcelona pozwoliła mu rozpocząć treningi z pozostałą dwójką odsuniętych piłkarzy – Robertem Bonano oraz Danim Garcíą. Musiał podpisać umowę, w świetle której za trening na kompleksie klubu nie otrzyma zapłaty. Zobowiązał się używać boiska treningowego jedynie w chwilach, gdy nie jest

ono zajęte przez pierwszą drużynę i gdy nikt go nie widzi. Może zrozumie, że nigdy nie będzie już częścią zespołu i za rok przyjdzie mu do głowy rościć sobie praw do obowiązującego jeszcze przez sezon kontraktu.

Pewnego razu pomieszały mu się godziny treningów. Nagle w podziemiach stadionu stanął naprzeciw Victora Valdésa, który szedł na trening pierwszej drużyny.

Victor kiwnął głową i nie mógł poznać, czy Robert odpowiedział mu tym samym, bo obaj wpatrywali się w podłogę. „Nie miałem odwagi się do niego odezwać – wspomina Victor – pomyślałem, że zwykle »jak leci« może być dla niego bolesne”.

Robert Enke wpadł w panikę. Przecież nie mógł trenować w obecności pierwszej drużyny! Uciekł do pokoju fizjoterapeutów, gdzie poddał się badaniu. Mówił, że boli go stopa.

Potem udał się do domu. Powinien jechać tunelem i zapłacić myto, czy lepiej przejechać boczną drogą? Cały czas się zastanawiał, co powinien zrobić, aż w końcu znalazł się przed roгатką i nie miał innego wyjścia, niż przejechać tunelem.

Gdy dotarł do domu, nie chciał wysiąść z auta. „Nie mogę teraz wejść, bo w środku czeka na mnie Terri, a ja nie potrafię wziąć się w garść”.

Zaczął zażywać antydepresanty. Pojawiła się suchość w ustach, mimo że pił bardzo dużo wody. Powtarzał sobie, że to dobrze, że nie pojawiają się inne skutki uboczne. Nie wiedział też, jakim cudem na nowo pojawiło się u niego dawne ironiczne podejście do świata i niegdyś charakterystyczne dyskretne poczucie humoru.

Wieczorem Teresa zmusiła go, by poszli na lody do klasztoru w Sant Cugat. Przed budynkiem, liczącym sobie prawie tysiąc lat, biegało pełno dzieci. Pensjonariusze siedzieli zadowoleni na ławkach i podjadali słonecznik. Plac pięknie prezentował się w promieniach zachodzącego słońca. Razem z nimi wybrali się Susanne oraz Alex, przyjaciele z niemieckiej społeczności. Przez te trzy kwadransy ich obecność wydawała się wybawieniem – pozwoliła uniknąć milczenia.

Robert też nagle zaczął się odzywać. Opowiadał o smaku lodów morelowych, o Dickensie, nawet o FC Barcelonie. Był jednak jakby nieobecny, jakby jego rozluźnienie było tylko pozorne. Wewnątrz niego znajdowała się podwójna szyba, która oddzielała go od otaczającego świata: rozmów, wieczornego słońca, biegających dzieci. To wszystko było jakby obok.

Razem z Teresą położyli się o 21.00.

Jedynym pytaniem było: czemu? Czemu miał depresję? Prawdopodobne wydawało się, że przyczyną było odrzucenie go przez Barcelonę. Czuł, że nie jest już nic wart. Uczucie to mieszało się z rozpaczą związaną z brakiem możliwości przejścia gdziekolwiek indziej niż do Stambułu – klubu, w którym nie chcieli go kibice i którego on sam też nie chciał. Czy gdyby z depresją borykali się jego przodkowie, to też by na nią zachorował? A co jeśli zostałby nauczycielem, dziennikarzem

sportowym bądź handlowcem? Może do tego stanu doprowadziły go skrajne doświadczenia w życiu profesjonalnego sportowca?

Dirk Enke w dalszym ciągu zadaje sobie te pytania. Myślał o tym również tego dnia, gdy podjeżdżał pod górę do Cospeda swoim volkswagenem i słuchał dźwięku silnika. Po obu stronach drogi ciągnął się gęsty las. Dopiero po pewnym czasie pojawiła się polana, skąd można było dostrzec podnóże góry, na którym widoczny jest mały punkt – to Jena. Kiedyś, jako rodzina, jeździli często na tę polanę w dni wolne od pracy. Dirk chce odwiedzić miejsca, które przypominają mu o Robercie – także jego gimnazjum i ulicę Breite, gdzie mieszkała jego „trzecia babcia”, Käthe. Teraz zatrzymuje się obok dachy i wyłącza silnik.

„Robert myślał, że jeśli nie będzie najlepszy, to będzie znaczyło, że jest najgorszy. To wręcz fundamentalnie złe podejście: to jest myśl człowieka, który nauczył się, że będzie kochany tylko za osiągniętą jakość, a nie za to, jaki jest naprawdę”.

Szyby w aucie zostały obklejone od środka. Przez mlecznie zabarwioną przednią szybę oddalone łąki prezentują się jak zielono-brązowe tło. Cisza wydaje się absolutna.

„Tak to właśnie wyglądało u Roberta: jeśli nie jestem dobry, to mnie nie kochają”.

Gdy jako młody bramkarz rzeczywiście popełnił jakiś błąd, to nie potrafił sobie z tym poradzić. Czarne myśli, rozmyślenia oraz zarzuty wobec siebie samego wymykały mu się spod kontroli. Czy właśnie wtedy w jego mózgu zaszedł nieodwracalny proces i czy to właśnie wówczas stał się podatny na depresję?

Dirk kiwa głową, ale myślami jest gdzie indziej, gdzieś dalej, i może rozmawia też z kimś innym. „Myślę: Robert, przecież musiałeś zauważyć, że cię kochamy za to, że jesteś, a nie za to, że byłeś dobrym bramkarzem”.

Przed oczami stają rozmaite obrazy: ojca, który opuścił rodzinę i stara się być na każdym meczu syna, aby nie utracić więzi. Syna, który ze strachem pyta tatę, czy dalej będzie go lubił, gdy przestanie grać w piłkę.

„Jestem gotowy podejść do tego krytycznie, zastanowić się: co zrobiliśmy źle? W sporcie oczywiście go wspieraliśmy, ale w żadnym wypadku nie wywieraliśmy na nim presji, jak czynią to co niektórzy zbyt ambitni rodzice. Pamiętam jednak, że po meczach ostrożnie go pytałem, czy mógłby zdziałać w bramce więcej”.

Dirk zdaje się oczekiwać odpowiedzi. Czy rzeczywiście w tym tkwił problem? „Nadszedł czas, aby panu powiedzieć coś innego – mówi w końcu. – Gdy osoba cierpiąca na depresję popełnia samobójstwo, to winy za to nie ponosi nikt inny”.

Dirk chce włączyć silnik. Pochyla się, jakby przekręcenie kluczyka wymagało maksymalnej koncentracji.

Pewnego popołudnia, gdy Robert wrócił do domu po treningu, zauważył, że jeden

z ich kotów wpatruje się w niego z balkonu. Robert spojrzął na zwierzaka i widział jedynie swoje niepowodzenie. Rano zapomniał zamknąć okno. Narzekał sam na siebie, że nawet tego nie potrafił uczynić.

– Jeśli kot uciekł – powiedziała Teresa, tłumiąc swoje zniecierpliwienie – to po prostu wpuść go z powrotem.

Dalej wpatrywał się w balkon.

Miał wrażenie, że ktoś wystawia go na próbę. Lodówka działa jedynie w dolnej części. Telewizor w sypialni zastrajkował. Cztery dni później zepsuła się zmywarka. Gdzie nie spojrzął, tam czekały go zadania, które musiał wykonać, które go przerastały i którym nie mógł podołać. Cały dzień myślał o lodówkach, telewizorach i zmywarkach, które trzeba naprawić, jednak nie był w stanie zawołać fachowca.

Swoje życie traktował podobnie jak sprzęty domowe: całymi dniami zastanawiał się, jak ma je naprawić, ale nie potrafił odnaleźć odpowiedzi, bo wszędzie widział negatywne konsekwencje: czy na kilka miesięcy powinien udać się do Niemiec i iść tam do kliniki? Jeśli zostawiłby Teresę samą, toby ją stracił. Czy miał zostać w Barcelonie i liczyć na doktora Geldschlägera oraz tabletki? Działałby wtedy na nerwy Teresie i również by ją stracił. Czy podczas zimowego okienka transferowego powinien się starać znaleźć nowy klub? Wtedy znów by ją zawiódł. Czy miał zawiesić korki na kołku? Co miałyby wtedy począć?

Zawsze po obiedzie robię się zmęczony. Chcę tylko do łóżka, ale gdy się kładę, wszystko się pogarsza.

Myśląc w ten sposób – w swoim mniemaniu logicznie – jakby osuwał się w głąb czarnego szybu, wpadał w błędne koło: przez cały dzień nie miał ochoty zrobić czegokolwiek, a wieczorem nienawidził się za to, że nic nie zrobił.

Gdy pewnego ranka jechał na trening, pomyślał, że nikt na niego nie czeka, nikt nie interesuje się tym, co robi. Wtedy po prostu zawrócił. Około południa Teresa wróciła z pracy w schronisku. Rolety w domu były opuszczone.

Robert wpełzł pod kołdrę, by schować się przed całym światem.

– Wyłaż – powiedziała Teresa. – Robbi, wstawaj!

Nauczyła się, że leżenie jest zarówno największą tęsknotą, jak i największym złem osób cierpiących na depresję. Wiedziała, jak ważne jest, żeby zmusić go do wstania. Mimo to nie mogła znieść, że na niego krzyczy i tak go traktuje.

Usiadł w salonie i zaczął oglądać zdjęcia z przeszłości, z Lizbony, na których oboje byli szczęśliwi. Znalazł jedno, na którym razem z Teresą, Jörgiem i jego nową dziewczyną Tanją z uśmiechem na twarzach wznoszą toast szampanem. Świątowali jego odejście z Benfiki. Wierzyli wtedy, że będzie wolny, będzie mógł iść dalej i coraz wyżej. Zatrzymał się przy tym zdjęciu i wpatrując się w nie, zastanawiał się, jak mógł wówczas uważać, że odejście z Lizbony będzie dla niego pozytywne.

Gdy widzę to zdjęcie, to najchętniej strzeliłbym sobie w pysk.

14 października 2003 roku, dwa miesiące po odlocie ze Stambułu, zapisał w swoim pamiętniku tylko cztery i pół linijki. Rozpoczął słowami: *Niedługo oszaleję, a zakończył: myślę o...*

Nie był w stanie dopisać słowa samobójstwo.

Następnego dnia Teresa i Jörg zdecydowali, że trzeba coś zmienić. Postanowili, że przeprowadzi się, prawdopodobnie na kilka miesięcy, do Kolonii, aby zacząć tam terapię.

Myśli samobójcze stanowią dla osób z depresją swego rodzaju ulgę. Myśl, że pozostaje jeszcze jakieś inne wyjście, na krótko im pomaga. Zagrożeniem jest to, że sama myśl, że coś jest możliwe, pewnego dnia nie zapewni wystarczającego pocieszenia. Skrajnie negatywne, ograniczone i irracjonalne postrzeganie skłania chorych, aby zdecydowali się na to pozorne wyjście z ciemności.

Robert Enke pakował walizki. Co miał ze sobą zabrać? Było tak wiele rzeczy, których prawdopodobnie będzie potrzebować w Kolonii. Od czego ma zacząć i jak w ogóle należy pakować walizki?

Cały czas czuję, że jest tak wiele do zrobienia, jednak gdy chcę się do czegoś konkretnie zabrać, to nie wiem, jak to uczynić.

Przeprowadził się do mieszkania Jörga i Tanji mieszczącego się przy Krefelder 29. Przygotowali mu pokój gościnny, ale on pomyślał: „Czy to pokój dziecięcy? Czy skurczyłem się do roli bezbronnego dziecka?”. Nie ustawiał na rano budzika, a jedynie czekał, aż Jörg go obudzi.

Pewnego dnia Jörg wszedł do pokoju. Robert czekał i nie ruszał się.

– Robbi? – Ostrożnie dotknął go w ramię, aż po chwili podniósł rolety. Jego przyjaciel miał otwarte oczy i tępo wpatrywał się w sufit.

Począwszy od następnego poranka, Jörg zaczął go wysyłać po bułki i gazety. Siedząc przy stole i jedząc śniadanie, Robert słyszał dochodzący jakby z oddali głos Neblunga:

– O, spójrz, FC wywaliło Funkela.

Z chęcią by odpowiedział, ale co go to obchodziło? FC, Funkel, piłka nożna, życie. Jörg mówił dalej, jakby prowadził normalną rozmowę z kimś, kogo chce się wciągnąć do dyskusji, a kto wyraźnie nie ma na to ochoty.

Działamy dalej, mówił Jörg, nawet jeśli wydawało się, że już dalej tak być nie może. Czy Robert w ogóle zauważył, że podczas śniadania głowa niemal zupełnie mu opadła? Odwiedzili panią psycholog, którą polecono im na uniwersytecie. Była spokojną kobietą, która pomogła już wielu osobom. Problemem nie była ona, a on. Nie mógł sobie wyobrazić, jak ma jej wytłumaczyć, czym jest strach, gdy napastnik dośrodkowuje. Zawsze to cholerne dośrodkowanie, jak w Noveldzie. Trzy gole po

dośrodkowaniach.

Jörg był uparty i obstawał przy swoim: działamy dalej.

Polecono im doktor Sun-Hee Lee, ordynator szpitala uniwersyteckiego w Kolonii, wybitną specjalistkę w dziedzinie psychiatrii.

Robert usiadł w szpitalu naprzeciwko niej i czuł się tak obco, że nie wiedział, co ma powiedzieć.

– W końcu znajdziemy dla ciebie kogoś odpowiedniego – zapewniał Jörg, gdy wychodzili ze szpitala – na pewno.

Robert milczał. Było mu wszystko jedno, czy znajdą dobrego psychiatrę. Było mu wszystko jedno, jeśli tylko w końcu mógłby przestać wracać myślami do wszystkich błędów, jakie popełnił w zeszłym roku. Jak mógł tak wiele razy źle postąpić? Barcelona, Sambuł – dlaczego nie został w Lizbonie? Brał po cichu przepisane antydepresanty i nawet nie odczuwał skutków ubocznych i suchości w ustach.

Miał trenować. Nie dla osiągnięć, ale dla samego faktu, że coś robi. Jörg postarał się, aby mógł za darmo odwiedzać siłownię w kolońskim kompleksie Neptunbad.

Przy wejściu do spa stały siedmioramienne świeczniki. Pomieszczenia 100-letniej łaźni były wysokie i świeżo pomalowane na biało. Położył się na ławeczce i gdy zaczął wyciskać, wydawało mu się, że traci masę mięśniową. Musiał opracować plan, przypomnieć sobie, według jakich założeń kilka tygodni temu trenował w Barcelonie z Paco. Jednak brakowało mu cierpliwości i chaotycznie wykonał kilka ćwiczeń. Mógł myśleć jedynie o jednym: inni są na treningu, a ja tkwię tutaj. Oprócz niego na siłowni było tylko kilka kobiet i gwiazd z telewizji.

Musiał coś zjeść. Jörg był w biurze, a Tanja w szpitalu, gdzie pracowała jako internistka. Wrócił na Krefelder. Domy pochodzące sprzed dwóch stuleci stały ciasno obok siebie na osiedlu Agnesviertel. Obok francuskiej restauracji znajdował się salon gier, pośrodku drogi biegła trasa kolejowa, a jeżdżące nią pociągi wydawały pięknie rozchodzący się dźwięk. Na rogu ulicy Maybach zauważył małą pizzerię. Właścicielem był najwyraźniej Arab, prawdopodobnie z Maroka. Robert był jedynym klientem. Zamówił pizzę. Ser na cieście był tłusty i łykowaty, ale nie zwracał na to uwagi – smak nie miał znaczenia.

– Jadłeś tam? – zdziwił się Jörg. – Ja bym nie odważył się tam wejść.

Co rano Jörg wyznaczał Robertowi zadania na dany dzień – zakupy, znaleźć dla siebie coś na obiad. Wieczorami pytał go, co zrobił. Osobę z depresją trzeba wspierać, ale nie wolno jej wyręczać, bo w przeciwnym razie wmówi sobie, że nie będzie w stanie niczego zrobić.

W kolejnych dniach nieraz wracał do tej pizzerii. Szkoda było mu właściciela. Jeśli on by nie przyszedł, to nie zajrzałyby tam zupełnie nikt.

Wieczorami było lepiej. Paraliżujący strach z rana przed wszystkim, co go czeka w trakcie dnia, obawa przed tym, że nie będzie mógł spać tyle, ile chce, ustępowały:

dzień praktycznie minął. Nikt już niczego od niego nie chciał.

Wieczorami oglądał z Jörgiem filmy, na przykład *Poznaj mojego tatę*. Jeździli też na mecze do Leverkusen, a raz poszli na przyjęcie Vereny i Waltera, przyjaciół Jörga. Robert nie znał tam nikogo, ale mimo to siedział do trzeciej, nawet nie czując się szczególnie źle. Złe myśli powróciły dopiero nad ranem.

Mam wrażenie, że nigdy nie nauczyłem się naprawdę żyć. Dlaczego na przykład nigdy nie chciałem się bawić? Dlaczego najchętniej siedziałem w domu? Dlaczego nigdy nie zajmowałem się innymi rzeczami?

Jörg powtarzał, że nadchodzi nowa próba. Właśnie dobiegał końca październik. W Klinice Nadreńskiej polecono mu doktora Marksera. Jego gabinet znajdował się niedaleko ich domu, na drugiej stronie placu Eberta. Jörg czekał na Roberta przed budynkiem, gdy ten był na wizycie. Minęło pół godziny, 45 minut...

– No i? – spytał Jörg, gdy Robert zamknął za sobą drzwi.

– Możemy to zrobić.

Dla człowieka takiego jak doktor Valentin Markser, psychiatry i psychoterapeuty, błogosławieństwem było, że po 35 latach spędzonych w Niemczech wciąż mówił z chorwackim akcentem, który zmiękczał twardy niemiecki. Słowa, które wymawiane przez innych psychoterapeutów brzmią sztywno i obco, w jego ustach nabierają przyjemnej dla ucha melodii.

Nie można było nie zauważyć, że doktor lubi dobrze zjeść, jednak miał szczęście, bo należał do tej grupy osób, którym okrągły brzusek pasuje do misiowatej postury. Wystarczy, że doktor Markser spojrzy na osobę, by ta zyskała pewność, że słucha z całym skupieniem, na jakie stać człowieka.

W przeszłości był zawodowym graczem piłki ręcznej, a dopiero później został psychiatrą. W latach 70. grał dla VfL Gummersbach. Zdobył mistrzostwo Niemiec i tytuł mistrza Europy. Był bramkarzem.

Dni przebiegały według określonego schematu, sprawy były kolejno załatwiane. Co rano Robert chodził na siłownię, ale nie do Neptunbad, a do centrum rehabilitacji. Ćwiczył pod okiem profesjonalnych trenerów, wśród kontuzjowanych graczy koszykówki i hokeja. Znów przynależał do grupy. Pozostałym sportowcom mówił, że też ma kontuzję, że uszkodził stopę. Po pewnym czasie naprawdę zaczęła go boleć.

Doktora Marksera odwiedzał codziennie. Psychiatra powiedział mu, czego nigdy się nie nauczył, a czego nauczyć się musiał: przyznawania się do błędów.

Najlepszym bramkarzem i możliwe, że najszcześniejszym człowiekiem na świecie jest ten, kto radzi sobie ze swoimi błędami. Robert musiał się nauczyć, że jeden błąd nie oznacza końca meczu, jeden mecz nie oznacza końca sezonu, a jeden sezon nie oznacza końca kariery. Kariera nie jest życiem.

Niekiedy popołudniami mógł gościnnie brać udział w treningu bramkarskim

drużyny 1 FC Köln. To, że potrafi grać w piłkę nawet z depresją, udowodnił, gdy był wygnańcem na treningu Barcelony. Jego przez lata szkolone ciało przejęło funkcję sparaliżowanej głowy i podejmowało za nią decyzje. Robert latał, błyskawicznie reagował na strzały, mimo że częstym objawem choroby jest spowolnienie reakcji. Bronił, ale nie czuł wówczas niczego prócz pustki.

Peter Grieber, trener bramkarzy 1 FC Köln, powiedział mu, że tego dnia spisał się dobrze. Czy oznaczało to, że niedługo będzie mógł wrócić do profesjonalnego sportu i znów będzie można na nim polegać?

Rozmowy przez telefon z Teresą bolały go. Musiał jej przecież mówić, że czuje się lepiej, tego po nim oczekiwali. Wyjazd do Kolonii musiał się opłacać. Jednak jak miał to jej powiedzieć, żeby nie odebrała tego jako afrontu? Czuję się lepiej bez ciebie? Jak mógł powiedzieć, że jest lepiej, skoro nie było?

Przyjechała do niego na tydzień w odwiedziny. Ponownie miała się pojawić z końcem listopada. Doktor Markser tłumaczył Robertowi, że powinien się kłócić z Teresą, gdy coś mu nie pasuje – na przykład bieganie psów.

Powiedziałem mu, że najchętniej unikam konfliktów. Doktor wątpi, czy biorę siebie samego, innymi słowy, moje myśli i uczucia, na poważnie.

– Słyszałeś już? – spytał Jörg Neblung, dzwoniąc ze swojego biura.

Był 23 listopada 2003 roku, a Teresa właśnie po raz drugi przyleciała do Kolonii w odwiedziny. Mimo to Jörg nawet nie spytał Roberta, gdzie jest. Miał do przekazania ważniejszą nowinę: do szpitala zgłosił się Sebastian Deisler – także cierpiał na depresję!

„Największy talent piłkarski od czasów Güntera Netzera!”, pisali dziennikarze, gdy pięć lat wcześniej zawodnik ten jak objawienie wdarł się do Bundesligi. Wówczas w bramce Borussii bronił jeszcze Robert Enke. Tak samo jak w przypadku pozostałych piłkarzy – nie licząc Marco Villi – Robert i z Sebastianem Deislerem nie miał większego kontaktu.

Z rana w gazetach przyniesionych przez Roberta mogli znaleźć długie artykuły na temat depresji.

Depresja nie była oznaką słabego charakteru, a chorobą. Chorobą demokratyczną: atakowała ludzi bez względu na status społeczny, sukcesy, siłę i fakt, czy ludzie ci mieli wszystko, co w oczach innych potrzebne jest do szczęśliwego życia. Jeden z najbardziej statecznych polityków XX wieku, premier Winston Churchill, cierpiał na depresję tak samo jak anonimowa sekretarka. Teraz okazało się, że chory jest również Sebastian Deisler, który w minionych tygodniach wyśmienicie grał w barwach Bayernu Monachium. Depresja, podobnie jak rak, może mieć różne objawy i przybierać różne formy. Florian Holsboer, lekarz opiekujący się

Sebastianem Deislerem, powiedział, że w jego przypadku mówimy o „typowej depresji”. Deisler ma „predyspozycje” do rozwoju choroby, a jej objawy dają o sobie znać, gdy jest pod ekstremalną presją. Ogromne oczekiwania kibiców, którzy chcieli oglądać „Basti Fantasti” – nowego Netzera – w połączeniu z oczekiwaniami stawianymi samemu sobie okazały się przytłaczające. W ciągu pięciu lat gry Sebastian Deisler doznał 15 kontuzji i przeszedł pięć operacji.

Robert nie był pewien, co myśleć o tych doniesieniach. Poczł się dobrze, gdy uświadomił sobie, że nie jest jedynym piłkarzem z depresją i że nie jest potworem. Z drugiej strony poczuł zazdrość. Deisler był na ustach wszystkich i zewsząd otrzymywał słowa wsparcia.

Gazeta „Kicker” insynuowała coś w sprawie mojej osoby, ale dotychczas moje nazwisko nie pojawiło się w prasie. Nie wiem, czy to źle, czy dobrze.

Udzielał kolejnych wywiadów. Nie otrzymywał jednak tylu pytań co kiedyś, bo dziennikarstwo sportowe posiada tylko pamięć krótkotrwałą, a on sam nie miał ochoty rozmawiać. Co miał powiedzieć? Że boli go stopa i że w Stambule po prostu źle się czuł? Jörg zwrócił mu uwagę: miał nie unikać udzielania wywiadów. Miał też załatwiać swoje codzienne sprawy oraz pracować nad powrotem do piłki, który w przeciwnym razie mógł nigdy nie nastąpić.

Siedząc naprzeciw doktora Marksera, był pewien, że znów chce stanąć w bramce. Strach, który odczuwał w minionym czasie, nie był fundamentalny i niezmienny, stanowił jedynie objaw choroby. Jeśli poddałby się terapii w sprawie obawy przed porażką, razem z chorobą minąłby strach. Problemy i myśli zaczynały się, gdy wychodził z gabinetu.

Co rusz myślę o sprawach, które miały miejsce dwa lata temu. Kiedy w końcu coś się u mnie zmieni i podniosę tyłek? Nie wierzę, że to kiedykolwiek nastąpi.

Tymczasem sporo osób już od tygodni chciało, żeby wyjechał do Manchesteru: chciało go zatrudnić tamtejsze City.

– Zrób sobie listę za i przeciw: zapisz w punktach, co przemawia za twoim transferem do Anglii, a co przemawia przeciwko – powiedziała Teresa.

– Możemy się tam przejechać i wszystko obejrzeć – dodał Jörg.

– Spójrz na ofertę z City jak na szansę albo jak na ćwiczenie. Nie patrz na nią z myślą: wszystko albo nic. Nie myśl jak w przypadku Stambułu czy meczu z Noveldą – powtarzał doktor Markser.

– No dobrze. Jedźmy tam – zdecydował Robert, zastanawiając się, co może mu to dać.

Gdy dotarli na miejsce, partnerzy biznesowi Jörga Neblunga z Anglii pokazali im miasto, stadion oraz kompleks treningowy The Citizens.

Do ostatniej niedzieli miałem podjąć decyzję, czy godzę się na negocjacje, czy też

nie. Powiedziałem „tak”. Tego, że mam wielkie wątpliwości, nie muszę chyba pisać.

Poprawę stanu zdrowia, której sam nie mógł dostrzec, zauważał od kilku dni Jörg. Nigdy nie nadejdzie moment, w którym nagle coś w głowie się przestawi. To fakt bycia piłkarzem przyzwyczyił go, że jeden moment, jedna sytuacja mogą wszystko zmienić. Jednak od końca listopada, od rozpoczęcia treningu, spotkań z Markserem, ćwiczeń w ustalonym rytmie, pojawiła się nadzieja. Przy śniadaniu tylko okazyjnie odpowiadał na pytania. Wieczorem bez sprzeciwów dał się wyciągnąć do baru na piwo. Kamienna maska na jego twarzy po raz pierwszy zaczęła kruszeć. Od trzech miesięcy brał antydepresanty.

W weekend Jörg wybrał się razem z nim na jogging wzdłuż Renu. Bieganie jest dobrym sposobem na depresję – rozluźnia mięśnie, pomaga obniżyć poziom hormonów stresu. Nienawidził biegać. Było to dowodem jego upadku: był przecież bramkarzem, tymczasem biegał.

Minęli stare lodowisko, na boisku kilku chłopaków grało w piłkę. Dzieciaki poczekały, aż przebiegną.

– Ej, to Enke. Słaby bramkarz, słaby bramkarz!

Robert po prostu biegł dalej. Jörg potrzebował kilku kroków, aby dotarło do niego, co właśnie usłyszał. Obrócił się.

– Co ty właśnie powiedziałaś? Mam ci wytłumaczyć, jakim klubem jest Fenerbahçe? Ostatnim! Już nigdy nie ujrzą takiego bramkarza jak Robert!

– Jörg – powiedział spokojnie Robert oddalony o jakieś pięć kroków. – Daj im spokój, to są przecież dzieci.

Pobiegli dalej, w milczeniu, ale Jörg aż gotował się ze złości. Dopiero po chwili dotarło do niego, że znów zachowują się jak starzy przyjaciele. Nie był opiekunem swojego podopiecznego, a doradcą, który zamienił się rolami ze swoim klientem. Jak to często bywało, to Robert uczył Jörga roztropności.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Na ulicach płonęły światełka świec adwentowych, a ludzie zbierali się ciasno wokół drewnianych budek ozdobionych świerkowymi gałązkami. W dłoniach trzymali gorące grzane wino, a z ust uchodziła im para. Robert miał wrażenie, że inni oczekują, iż udzieli mu się ten nastrój. Dlaczego tak się nie działo?

Jörg przygotował dla Tanji kalendarz adwentowy, w którym każdego dnia znajdowała niespodziankę. Szczęście wszystkich wokół przypominało Teresie, jak bardzo jest zagubiona. Powiedziała Robertowi, że chętnie sama dostałaby taki kalendarz. Wydawało mu się, że słyszy w jej głosie smutek: wszyscy dostawali kalendarze, a ona nawet nie miała w Barcelonie obok siebie swojego męża.

Nagle wpadł na pomysł: podaruje jej kalendarz adwentowy w postaci SMS-ów. I każdego dnia wysyłał jej czterowersowy wierszyk.

*Serce nie sługa, droga doń jest długa.
Nim je poskromisz, górę ci się zdobyć uda.
Jednak trudno zdobywać szczyty,
Jeśliś w ciele krasnala zaszyty.*

Podobał mu się ten obraz. Był krasnałem. Nawet nie czuł, jak każdy rym sprawia, że staje się pewniejszy.

*Krasnal powtarza – nie dam rady.
Jestem za mały na takie wypadki.
Myślę sobie, że jestem drobnym skrzatem.
Ale powinienem być wielkim chwatem.*

Doktor Markser mówi, że błędem jest czekać, aż coś się stanie. Robert zanotował z wykrzyknikiem, że nie powinien sobie pozwolić na pasywność. Wkrótce wyjechał do Gierath – chciał zrobić niespodziankę Hubertowi Roßkampowi.

Stary przyjaciel walczył, aby „uciec śmierci”. Hubert, mówiąc to ze swym nadreńskim dialektem, brzmiał dość wesoło. W tym czasie z trudem dochodził do siebie po operacji: cierpiał na raka.

Roßkamp ubrany był w szary dres, który wcale nie sprawiał, że jego posiwiata twarz wyglądała młodziej.

– Na litość boską, Robert – krzyknął na widok starego druha – nie mam w domu ciasta truskawkowego!

Poszli na spacer wzdłuż drogi, którą mijali z psami, gdy Robert i Teresa mieszkali jeszcze w Mönchengladbach. Pod podszwami chlupało błoto. Hubert powiedział, że znajdzie jeszcze po ciasto truskawkowe. Obok nich szedł Almo, pies myśliwski, którego siedem lat temu przygarnęła Teresa i który w efekcie został u Huberta. Robert wypytywał przyjaciela o operację, dolegliwości oraz postępy w leczeniu. Nie przyznał się, że sam też jest chory. Przecież przyjechał, aby mu pomóc.

– Czy mimo wszystko każdego dnia będziesz mi przysyłać kalendarz adwentowy? – upewniła się Teresa, zanim 20 grudnia wyleciała do Kolonii. Na święta mieli wspólnie wrócić do Barcelony.

Robert nie uważał się za zdrowego – po prostu nie myślał o swojej chorobie tak często jak przedtem. W radiu leciała *Billy Jean* Michaela Jacksona, więc razem z Teresą zaczęli tańczyć moonwalk w salonie Jörga. Przyjaciele Neblunga zaprosili ich na indyka. Robert nie znał nikogo z tego towarzystwa, ale to akurat uważał za plus: mógł poznać nowych ludzi. Z jednego z barów zabrał ze sobą pęczek reklamowych pocztówek, z których jedna, czarno-biała, przedstawiała koktajlbar.

Zaczął pisać na odwrocie, a z obiecanych czterech linijek z dnia 20 grudnia zrobiło się osiem:

*Dziś jest sobota, czas na zabawę.
Zaplanowaliśmy fajną wyprawę.
Indykiem zagryź, co w kieliszku masz.
Po wszystkim do łóżka, wieczór będzie nasz.
Tanja, Terri, Jörg i Robbi –
Ten, co postępy wolno robi.
Nie ma się nad czym zastanawiać:
Przed nami naprawdę szampańska zabawa!*

Trzy dni później wylądowali w Barcelonie. Z lotniska wyruszyli wzdłuż ulicy Ring, mijając pełne wysokich bloków osiedla na obrzeżach miasta. Ohyda nabrała tu ostatecznego wymiaru. Jednak już po chwili Robert mógł zobaczyć zieleń Collseroli. Gdy w Sant Cugat skręcili w ulicę Trzech Placów i zauważył swoją posiadłość, był pewien: wrócił do domu.

W Boże Narodzenie zadzwonił do nich Marco Villa. Przyznał, że korzysta z pomocy psychologa. Nie wiedział jednak, jak miało mu to pomóc. Terapeutka radziła mu na przykład wykonywać ćwiczenia oddechowe oraz wpatrywać się w jeden punkt. To nie była jednak najważniejsza nowina, jaką chciał przekazać. Oddał słuchawkę Christine: jego żona była w ciąży.

Teresa ucieszyła się i pomyślała, że fajnie byłoby mieć dziecko. Nawet bardzo fajnie, ale nie w najbliższym czasie. Na razie musieli odpocząć po niedawnych przeżyciach.

Gdy Robert i Teresa odwiedzili w Sant Cugat Alexa i Susannę, czwórka ich dzieci już czekała niecierpliwie na Świętego Mikołaja. Trzon niemieckiej społeczności został zaproszony do wspólnego świętowania. Ustalili między sobą, że prezenty dla dorosłych nie będą drogie, a jedynie wesołe. Jedynie przypadek zadecyduje, kto jaki prezent otrzyma. Teresa wylosowała turkusowe bokserki z nadrukiem Snoopy'ego w rozmiarze męskim. Od razu założyła je na swoje dzinsy. Robert nagle usiadł na skraju sofy. W rękach miał plik kartek, które z wielką koncentracją przeglądał. Po chwili wstał.

– Na Boże Narodzenie wręczyłem Teresie wiersz i teraz chciałbym go wam przeczytać, bo wiem, co musieliście przy mnie przejść w ostatnich miesiącach – powiedział. – Chciałbym wam za to podziękować.

Opowiedział im o krasnalu, po czym wyrecytował:

Czeka nas wszystkich coś pięknego,

*Wspaniały nastrój święta Bożego!
I nawet krasnal jest radosny,
Chociaż ma pojedyncze troski.
Bo co podaruje Terri? Szczeniaka?
Wtedy pod sufit będzie skakać.
Jeśli jej da grubego kotka,
To uśmiechnięta będzie i słodka.
Jeśli nie będą to cztery łapki,
Może nie straci na prezent chrapki?
Lecz co, gdy się zeźli i zdenerwuje?
Zła będzie na mnie – coś tak czuję.*

Gdy skończył, zapadła cisza. W pewnym momencie jeden z przyjaciół otrząsnął się z oszołomienia. Zaczął klaskać, a reszta szybko do niego dołączyła. Zgromadzeni bili brawo coraz mocniej, aby dźwięk ten nie pozwolił popłynąć zbierającym się w oczach łzom.

Była 2.00, Teresa leżała w łóżku. Pole golfowe za oknem spowijała nieprzenikniona czerń nocy. Robert siedzi przy biurku i toną w zapiskach. Przed nim leżało mnóstwo kartek, a koślawe, pochylone w lewo pismo nie pozostawiało żadnych wątpliwości – on to wszystko napisał, nikt inny.

Dziś trudno było uwierzyć, że to on był tym człowiekiem, który przez ostatnie pięć miesięcy prowadził te zapiski.

Właśnie przeczytał je po raz pierwszy. Był styczeń 2004 roku, rozpoczął się nowy rok. Czy to naprawdę tak działa – czy wystarczy ściągnąć ze ściany stary kalendarz i tym samym postawić kreskę oraz rozpocząć od nowa?

Tak mu się wydawało.

Większość osób cierpiących na depresję najgorszy jej atak przechodzi tylko raz w życiu i z reguły trwa on od dwóch do sześciu miesięcy. Robert nie mógł jednak powiedzieć, że ma już wszystko za sobą. Ostatnie miesiące wydawały mu się nieskończenie odległe. Nie poznawał człowieka, którym rzekomo był, który z nieznanых powodów jakby wdarł się w jego ciało.

Wypełniała go cicha chęć działania. Znów chciał grać w piłkę, choć nie wiedział gdzie. Oferta Manchesteru City przestała być aktualna. Robert Enke miał bardzo konkretne wyobrażenie szczęścia: stanie w jakiegokolwiek bramce, obroni jakiegokolwiek strzał i poczuje, jak dzięki temu uszczęśliwia innych ludzi – fanów i kolegów z drużyny. Pójdzie na spacer z Teresą i psami. Na środku drogi leśnej spuści je ze smyczy, a one zaczną biegać. Obejmie Teresę i nie patrząc jej w oczy, będzie wiedział, że się uśmiecha.

Teresa była w ciąży. Dowiedzieli się dziewięć dni wcześniej. Musiało się to stać w euforii kolońskiego adwentu.

Wiadomość ta zszokowała Teresę. Po depresji Roberta chciałyby chociaż trochę spokoju, jednak on się cieszył i ta radość jej się udzieliła.

Wybrali imię dla dziewczynki: Lara.

Pod biurkiem szukał mazaka i kartki papieru. Musi jeszcze coś dokończyć.

*16.01.2013, godzina 02.00. W chwili obecnej jestem szczęśliwy i zadowolony.
W Café Delgado mieliśmy fajnego sylwestra. Śmiałem się i tańczyłem –
niesamowite!*

Szukał segregatora, aby włożyć do niego wszystkie kartki wypełnione podczas ostatnich miesięcy. „Notatki depresyjne”, „segregator depresyjny” – tak je właśnie określał. Odszukał krwistoczerwoną teczkę, włożył do niej ostatnie zapiski wraz z wierszem o krasnalu, a następnie ją zamknął.

Wyspa wakacyjna

Popołudniami miał czas, by poobserwować życie. Spacerował w stronę portu Santa Cruz. Postać chwilę beczynną, zauważył mur i postanowił się na niego wspiąć. Z tego miejsca objął wzrokiem obszar od nabrzeża aż po żurawie i kontenery stacji przeładunkowej. Za plecami miał wyszczerbione góry, niczym wylaniające się wprost z Atlantyku.

Robert Enke usiadł na murku i nie poruszał się. Przyglądał się ludziom zebranych w porcie. „Jaki oni mają dobry humor”, pomyślał i poczuł, że znów jest jednym z nich.

Ostatniego dnia okienka transferowego przeniósł się do Club Deportivo Tenerife. Oferty, spośród których mógł wybierać, wiele mu mówiły o opinii, jaką cieszył się teraz w świecie piłki. O jego pozyskanie starały się AC Ancona, ostatni klub włoskiej Serie A, FC Kärnten, ostatni klub ligi austriackiej, oraz ADO Den Haag, przedostatnia ekipa ligi holenderskiej. Już wolał przenieść się do grającej w drugiej lidze Teneryfy.

Na niemieckiej scenie piłkarskiej z kolei przestał istnieć. W opublikowanych przez magazyn „Kicker” wynikach meczów zagranicznych drużyn z Niemcami w składzie tylko ludzie, którzy znali go osobiście, szukali jego nazwiska. Peter Greiber, trener bramkarzy z Kolonii, wysłał mu SMS-a, gdy przeczytał o zwycięstwie Teneryfy 1:0. „Gratuluję, wygraliście do zera”. Robert odpisał: „Dziękuję. Niestety to nie ja broniłem”.

Nawet w drugiej lidze był jedynie bramkarzem rezerwowym. Nikt nie ufał piłkarzowi, który zaledwie po jednym meczu w Stambule zrezygnował, a następnie przez pół roku nie grał wcale.

W Kolonii Jörg Neblung zadawał sobie pytanie: rezerwowy bramkarz w drużynie drugoligowca? Co to ma być? Koniec? Zadzwoił do Roberta.

– Człowieku, musisz naciskać!

Robert odpowiedział ze spokojem, że wszystko znów się ułoży.

Prawie codziennie przesiadywał w porcie. Wszystko, co działo się wokół niego, postrzegał inaczej niż Jörg i cała scena piłkarska. „Piłka nożna prowadzi do tego, że chcesz coraz więcej, że nigdy nie jesteś zadowolony – powtarzał. – W ostatnich miesiącach nauczyłem się, że należy być wdzięcznym za to, co się ma”.

Z portu często przechodził na deptak, aby napić się shake’a. Twierdził, że zna najlepszą budkę z lodami w mieście. Nie można było nie zauważyć, że mówi o tym z dumą. Poznał już Santa Cruz i teraz pokazywał miastu gościom.

Teresa została w Barcelonie – była w ciąży, poza tym musiała się zajmować

psami. Uznali, że jej przeprowadzka nie będzie im się opłacała, bo na Teneryfie Robert zostanie tylko pół roku i znajdzie, jak mieli nadzieję, coś lepszego. Sytuacja była podobna do tej sprzed sześciu miesięcy w Turcji. Jednak w Stambule bez Teresy Robert czuł się zagubiony. W Santa Cruz jakby wyrosły mu skrzydła.

Mieszkał w wynajętym czteropokojowym mieszkaniu niedaleko García--Sanabria-Park. Apartament był kompletnie urządzone, ale mimo to sprawiał wrażenie pustego. Oprócz nierozpakowanej anteny satelitarnej, która teraz leżała na podłodze, Enke nie zabrał ze sobą absolutnie nic. W swoim nowym lokum nie zmienił niczego, nie zdjął nawet obrazów, przedstawiających klasyczną martwą naturę z pomarańczami i bananami. Jak sam mówił, nie opłacało się na te kilka miesięcy, które miał tam zostać. Na jego łóżku leżał kryminał Henninga Menkella. Na suszarce w kuchni znajdowały się umyte ręcznie talerz i szklanka.

„To był dla niego czas studencki”, wspomina Teresa. Każdego ranka kupował sobie w kiosku nieopodal mieszkania dwie gazety sportowe. Przelatywał wzrokiem zawartość obydwu. Pewnego dnia od razu zauważył zdjęcie na stronie tytułowej jednej z nich. Zastanawiał się, dlaczego wybrali fotografię, która miała pół roku. Ledwo sam siebie rozpoznał.

Zdjęcie to pochodziło z archiwum i zrobione zostało podczas jego prezentacji w Fenerbahçe – miał czerwoną twarz, otwarte usta i zaszczute spojrzenie.

– Popatrz tylko – powiedział do mnie. – Przecież to nie jestem ja.

Wyrwał tę stronę, aby zachować sobie na pamiątkę. Chciał sobie przypomnieć, jak się czuł, gdy miał depresję.

Gazetę odłożył na siedzenie pasażera. Był w drodze na trening. W kontrakcie z klubem zawarł klauzulę, zgodnie z którą otrzymał do swojej dyspozycji sportowe auto.

Pierwszego dnia pobytu w zespole podszedł do niego dyrektor sportowy Francisco Carrasco i wręczył mu kluczyki. Koledzy z drużyny roześmiali się.

– Co tu się dzieje? – spytał Robert.

Carrasco oddał mu swoje auto służbowe, bo w klubie nie było innego. Dotarło do niego, że w hiszpańskiej drugiej lidze tylko pozornie będzie wykonywać ten sam zawód, jakim parął się dotychczas. Jego zarobek na Teneryfie stanowił jedynie dziesięć procent dochodu gwarantowanego w Barsie. A i tak należał do najlepiej opłacanych graczy klubu.

Gdy na jego konto wpłynęła pierwsza wypłata, przez długi czas wpatrywał się w wyciąg. Pierwszy raz od siedmiu miesięcy znów miał wpływy.

– Świadomość, że z konta jedynie schodzą pieniądze, była przerażająca. – Zawahał się. – Jako piłkarz nie odważasz się tego mówić, bo innych dotyka to bardziej, jednak bycie bezrobotnym jest dla profesjonalnego sportowca nie mniej straszne niż dla elektryka. Czujesz się bezwartościowy.

Klauzula w kontrakcie przewidywała, że klub zwracał Teresie koszt za trzy loty z Barcelony. Zawstydził się, gdy zobaczył, jak tani to był lot: 160 euro w obydwie strony, a i tak Jörg musiał się o to wykłócać. Co musieli sobie o nim myśleć w klubie? CD Tenerife od wielu lat walczyło, aby wypłacić pensje swoim zawodnikom, tymczasem on, który i tak nieźle zarabiał, kłócił się o trzy razy 160 euro. Po treningu, gdy któryś z piłkarzy musiał coś szybko załatwić, Robert mówił: „Bierz” i rzucał kluczyki do swojego auta.

Luty 2004 roku minął, a on dalej był rezerwowym. Minął marzec i wciąż nic się nie zmieniło,

– Tak się nie da – powiedział Neblung przez telefon. – Porozmawiaj z dyrektorem sportowym. On ściągnął cię jako numer jeden!

– Cierpliwości – odparł Robert. – W końcu kiedyś zagram.

Nigdy głośno tego nie przyznał, bo jego zdaniem to nie wypada, ale był zdania, że jest lepszym bramkarzem niż ówczesny numer jeden Álvaro Iglesias. Istniało kilka obiektywnych argumentów przemawiających na jego korzyść – pewność w łapaniu piłek, siła wyskoku, przewidywanie. Te drobne różnice były widoczne w codziennym treningu. Widział jednak również, że we wszystkich meczach Álvaro bronił bezbłędnie. Działo się tak być może dlatego, że za jego plecami czaił się silny konkurent. Zdaniem Roberta Enke bramkarz, który wykonuje swoją pracę bez zarzutu, zasługuje na grę. Zasadę tę stosował również, gdy sam był poszkodowanym.

Żeby wypełnić swój obowiązek i móc z czystym sumieniem powiedzieć Jörgowi, że to uczynił, poszedł do dyrektora sportowego.

Dla Francisco Carrasco sytuacja ta była bardziej kłopotliwa niż dla niego samego. Dyrektor ściągnął go na Teneryfę („Robert był moim osobistym zakładem”, wspomina), a teraz trener na niego nie stawiał. 45-letni Carrasco wygląda raczej jak biegacz długodystansowy, a nie były piłkarz: szczupły, wysoki, umięśniony. Przyznał Robertowi rację i szczerze powiedział, że niewiele może zdziałać.

– Powiedziałeś mi, że zatrudnisz mnie jako numer jeden.

– Wiem, ale nie mogę trenerowi narzucać, kogo ma wybierać.

Zadowolony, że ma to już za sobą, zajął się innymi sprawami.

„Przede wszystkim zauważyłem, jak bardzo jest zakochany w Teresie”, powiedział Carrasco sześć lat później, gdy rozmawialiśmy w Aravaca na przedmieściach Madrytu, gdzie mieszka. Dziś ma 51 lat, jest dalej szczupły i elegancki. Siedzimy przy porannej kawie, a Francesco ma na sobie garnitur. Zauważam, że miłość to nie jest pierwszy temat, jaki porusza piłkarz podczas rozmowy kryzysowej z dyrektorem sportowym. „No tak”, przyznaje Carrasco.

Niegdyś przez 11 lat grał dla Barcy. Był szpakowaty i dlatego nazywano go „Lobo”, wilkiem. Trzykrotnie wygrał Puchar Europy, w 1984 roku doszedł do finału

mistrzostw Europy z Hiszpanią, a później zajął się dziennikarstwem. Po 1:0 Barcelony z FC Brügge napisał dla „El Mundo Deportivo”: „Gra Enke była wiadomością dla van Gaala”.

„Przyjemnie było spędzać czas z Robertem – mówi. – Rozmawiając z nim, automatycznie zbaczałeś z tematów związanych z piłką. Wtedy akurat miał zostać ojcem, ja byłem po czterdziestce, sam byłem już ojcem i wiedziałem, jak to jest. Bez trudu mogłem zauważyć, że wciąż jest zakochany”.

Tym, co Carrasco zapamiętał ze spotkań z Robertem, jeśli chodzi o sport, była „elegancja, z jaką sobie radził z niewdzięczną rolą rezerwowego. Zawsze rozmawiał ze mną rzeczowo i nie skarżył się dziennikarzom”.

Álvaro Iglesiasowi, bramkarzowi, na którym miał wywierać presję i którego miał wygryźć ze składu, podarował osiem par rękawic bramkarskich. Od sponsora dostał szyte na miarę modele, których grający całe życie w niższych ligach Álvaro nigdy nie miał szans otrzymać. „Absolutgrip oraz aquasoft, najlepsza okładzina lateksowa od Uhlsportu”, wspomina jeszcze dziś Álvaro Iglesias. Jego głos drży od emocji, jakby wymawiał imiona swoich dzieci. Trzeciemu bramkarzowi, Adolfo Bainesowi, Robert też sprezentował osiem par. Ten nie zakładał ich jednak podczas treningu. Powiedział Robertowi, że rękawice te mają dla niego tak szczególne znaczenie, że odłoży je na specjalną okazję.

Na stadionie Heliodoro-Rodrígueza można było więc podziwiać dwóch Robertów Enke, jako że na zapięciu rękawic obydwu bramkarzy widniało jego nazwisko. Jednak wciąż łatwo było odróżnić oryginał od kopii...

Pewnego dnia trener zorganizował małą grę – atak kontra obrona. Napastnik przedarł się przez defensorów, tak że stanął na wprost przyczajonego Roberta. Enke złączył nogi, aby piłka nie mogła przelecieć między nimi. Tułów wyprostował jak świecę, a ręce wystawił przed siebie, by sprawić wrażenie szerszego. Atakujący uderzył piłkę wewnętrzną częścią stopy, chcąc, by pomknęła obok bramkarza. Gdy wydawało się, że padł gol, Robert Enke w ostatniej chwili wybił na słupek.

– To mi się najbardziej podobało – powiedział, gdy rozmawialiśmy. – Uczucie, że to, co robisz, jest dla kogoś ważne.

Gdy po południu popijał najlepszy shake czekoladowy w mieście, dręczyły go wątpliwości. Co by się stało, gdyby nie odszedł z Benfiki? Czego ktoś jego pokroju szukał na ławce?

– Wtedy myślałem sobie: kiedyś okaże się, że nie bez powodu Enke dostał po łbie.

Robert już wiedział, czemu miało to służyć: też znów umiał się cieszyć najprostszymi rzeczami.

– To dla mnie ogromnie ważne: znów należeć do drużyny, znów mieć świadomość, że o 10.00 jest trening. Znów czuć, że ktoś mnie potrzebuje.

Do następnego treningu pozostało tylko dziewięć i pół godziny. Siedział w salonie, a euforia nie pozwalała mu usnąć. Na regałach wokół niego zamiast książek i porcelany znajdowały się rękawice bramkarskie i ochraniacze na piszczele. Miał na sobie dzinsy i koszulkę, a na każdej dłoni inną rękawicę – na jednej absolutgrip, a na drugiej aquasoft.

Zacisnął pięści, a następnie rozłożył palce, potarł dłonie i w pełni skoncentrowany stanął na środku pomieszczenia. Sprawiał wrażenie, jakby dzięki rękawicom zyskiwał szósty zmysł.

Dla bramkarza nie ma nic piękniejszego niż założenie i zapięcie rękawic. To sprawia, że czuje się bezpiecznie i pewnie, nie do pokonania. Dlatego większość bramkarzy preferuje sztywne rękawice, będące zbroją dla ich duszy. Robert jednak wybierał takie rzadko, tak by zachować maksymalną swobodę ruchów. Łapiąc piłkę, chciał ją czuć opuszkami palców.

Jego sponsorowi zależało, aby w każdym sezonie miał do dyspozycji najnowszy model. „W przypadku Roberta niezbędnych było około ośmiu prób każdego roku, aby znaleźć dla niego odpowiednią parę”, mówi Lothar Bisinger z firmy Uhlsport, która dostarcza sprzęt profesjonalnym bramkarzom. Gdy Robert przymierzał pierwszą parę, jego kciuk w prawej dłoni miał za mało swobody. Oznaczało to konieczność poszerzenia kieszonki na palec o jeden milimetr. Gdy jednak przymierzył poprawiony egzemplarz, reszta palców okazała się zbyt ciasna w stosunku do kciuka, więc krawcowa także i je poprawiła. „W ten sposób milimetr po milimetrze szliśmy do przodu”, mówi Bisinger. Na Teneryfie, tamtego dnia gdy stał w salonie, Robert poruszał nadgarstkiem i czuł, że ma za mało luzu na wysokości zapięcia.

W jego rękawicach szew przy kciuku zawsze biegł od zewnętrznej strony, a przy reszcie palców – od wewnętrznej, dzięki czemu piłka lepiej układała się w dłoni. Irytowało go natomiast, gdy cały czas czuł szycie przy kciuku. „Wnętrze rękawicy także miał wyłożone lateksem – wspomina Moreira, który oczywiście sprawdzał sprzęt Roberta podczas wspólnej gry. – Wcześniej tego nie znałem, przed przyjściem Roberta do Benfiki takich rękawic nie było. Od razu zamówiłem takie same u mojego producenta”.

Pianka na dłoniach rękawic Enke miała grubość siedmiu milimetrów, łącznie były cztery pianki i trzy kaszerowania. Takich rękawic nigdzie nie można kupić. W tych produkowanych masowo pianka jest gruba na sześć milimetrów. Gdy Robert Enke zakładał rękawice, które były cieńsze od tych jego choćby o milimetr, od razu zauważał, że tłumienie siły uderzenia jest inne.

Na czym dokładnie polegała różnica pomiędzy naturalnym kauczukiem w absolutgrip i aquasoft, nie mógł mu wytłumaczyć nawet Bisinger. Na całym świecie istnieje jedynie trzech dostawców kauczuku do rękawic bramkarskich. „Ich receptury są tak tajne jak te Coca-Coli – opowiada Bisinger. – Tylko producenci

wiedzą, czy dla polepszenia chwytu została zwiększona o trzy stopnie temperatura wypieku kauczuku, czy też został dodany inny środek chemiczny”.

Różnicę pomiędzy aquasoft i absolutgrip Robert musiał poznać poprzez grę.

Dotychczas w swojej karierze zawsze używał absolutgrip, jednak w swoim salonie testował aquasoft. Była północ. Ja rzucałem mu piłkę, a on ją łapał. Zanosił się śmiechem. Czuł się lekko i dobrze.

Gdy spoważniał, powiedział, że jeszcze nie zdecydował, w których rękawiczkach zagra podczas swojego pierwszego meczu w Teneryfie. W jego słowach pobrzmiwała niewytłumaczalna pewność: już niedługo zagra swój pierwszy mecz.

Jego dobre samopoczucie sprawiało Teresie radość, mimo to nie było jej łatwo – była w ciąży i została w Barcelonie całkiem sama.

Pewnej nocy wstała, drżąc z zimna. Zrobiło jej się niedobrze, poszła do łazienki napić się wody i nagle zakręciło jej się w głowie. Nie odważyła się wrócić do sypialni po schodach. Okryła się ręcznikiem, położyła na podłodze w łazience i czekała, aż jej przejdzie. Tak leżąc, miała dużo czasu na przemyślenia. Dotarło do niej, że w chwilach takich jak ta powinna mieć przy sobie męża.

– Przecież to tylko na parę miesięcy – przekonywał, gdy rozmawiali przez telefon.

Dało się poznać, że Robert jest głęboko zrelaksowany. „Jak to wspaniale – pomyślała Teresa. – I jak to smutno, że nie możemy tej chwili spędzać wspólnie”.

Mimo osłabienia postanowiła skosić trawnik. Ogrodnik został zwolniony, gdy Robert przechodził depresję. Nie wynikało to z braku pieniędzy, a z poczucia, że nic już nie zarabiają.

Wieczorem, zmęczona, usiadła przed telewizorem. Nagle coś uderzyło w okienną szybę. Ze strachu wstrzymała oddech. Przypomniała sobie, że na początku, gdy przeprowadzili się do Sant Cugat, w ich dzielnicy doszło do strzelaniny. Po chwili nastąpiło kolejne uderzenie. Pomyślała wtedy: „To chyba kamyk”.

Ostrożnie podeszła do okna. Przed drzwiami stał Robert i szeroko się uśmiechał.

Chciał zrobić jej niespodziankę. Wyruszył w południe, zaraz po treningu, ale już następnego dnia rano musiał wracać. Dopiero dochodziła 21.00, ale Teresa była tak padnięta po zmaganiach z kosiarką, że musiała położyć się spać. Było jej przykro.

– Przecież nic się nie dzieje – powiedział miękko Robert.

Przyglądał się jej, jak spała.

Robił rzeczy, o których nawet nie myślał od czasu, gdy w wieku 18 lat zajął się profesjonalnym sportem: chodził sam do kina, godzinami czytał książki. Razem z kolegami z drużyną brał udział w różnych imprezach karnawałowych. Na jedną z nich, przebieraną, postanowił włożyć koszulkę w paski, na którą nakleił kartkę A4 z numerem więziennym. Gdy zobaczył swoich kolegów z drużyny, miał ochotę

zapaść się pod ziemię – inni postarali się znacznie bardziej: Álvaro Iglesias był pielęgniarką, w prawdziwym stroju i z pomalowanymi ustami, Adolfo Baines przebrał się za Rambo. Wszyscy oprócz niego bardzo się przyłożyli, kompletując swój strój. Robert, w wieku 26 lat, dopiero uczył się prawideł rządzących światem imprez.

Gdy po północy trzon drużyny opuścił restaurację i udał się do klubu nocnego, on sam, szczęśliwy, wrócił do domu. Nigdy nie był tak pewny, jakim człowiekiem chciał być.

Przez całe swoje życie był w stosunku do innych spokojny, rzeczowy i uprzejmy. „Nie był ekstrawertykiem, ale pozostawał bardzo otwarty”, wspomina Álvaro Iglesias. Pierwszy raz od dawien dawna czuł się wewnątrz tak samo, jak odbierali go inni. Umiał się zdobyć na wyrozumiałość wobec samego siebie. Ograniczony zapał młodości ustąpił miejsca zdrowej ambicji. Nowy luz zajął miejsce głodu zwycięstw, który odczuwał kilka lat temu, gdy całkowicie i euforycznie skupiał się na tym, aby stać się najlepszym.

Wielokrotnie zastanawiał się, jakby to było, gdyby przez życie szedł jak z klapkami na oczach, skupiając się całkowicie na swoich możliwościach i słuszności swojej pracy. Możliwe, że byłby wówczas lepszym bramkarzem. Teraz jednak powtarzał sobie, że nie zostanie najlepszym golkipierem i musi się z tym pogodzić.

Piłka wpadła na pole karne i bramkarz musiał błyskawicznie rzucić się w jej kierunku. Álvaro Iglesias złapał ją szybko i pewnie. Teneryfa przegrywała w Vallecano 0:1. Jeden z napastników Rayo wyskoczył w stronę bramkarza, mimo że nie wydawało się prawdopodobne, aby mógł jeszcze przejąć piłkę. Dla atakujących nie chodzi jednak w takich sytuacjach o kolejną okazję strzelecką: chcą nastraszyć przeciwnika, sprawić, że będzie niepewny i w następnym momencie krytycznym zawaha się o sekundę dłużej. Na czole Álvaro pojawiła się krew. Lekarz powiedział, że ma ranę ciętą i potrzebne są trzy szwy. Po ich założeniu Iglesias wrócił na bramkę i rozegrał pozostałe 48 minut meczu, który zakończył się remisem 1:1. Następnego dnia udał się na prześwietlenie – okazało się, że złamał sobie kość jarzmową w dwóch miejscach. Nie obyło się bez założenia aż czterech śrub.

– Dotknij – powiedział Álvaro do Roberta, gdy pierwszy raz po operacji pojawił się w szatni.

Roberta przeszły ciarki: pod skórą kolegi wyraźnie czuł metal.

Miejsce w bramce stało się wolne. Enke pomyślał o Álvaro i o tym, jak musiał się czuć, oddając miejsce między słupkami. Iglesias za cztery miesiące miał skończyć 32 lata. Ten sezon był pierwszym profesjonalnym w jego karierze. Dotychczas grał w klubach trzecio- i czwartoligowych, pracując jak profesjonalista, ale zarabiając jak amator. Gdy Robert zauważył go na stadionie, od razu podszedł do niego, aby spytać o zdrowie. W świecie piłki nożnej był to rzadko spotykany akt dobroci. „W czasie

mojej kontuzji Robert był mi bardzo bliski”, mówi Álvaro, który mimo tamtych problemów grał do 36. roku życia i utrzymał się w drugiej lidze.

W dziewiątym sezonie kariery piłkarskiej Roberta sytuacja wyglądała poniekąd tak jak w poprzednich: wobec jego drużyny stawiano wysokie oczekiwania, których jednak nie potrafiła spełnić. Mönchengladbach, Benfica, Barça, Fenerbahçe... gdzie by nie poszedł, tam jego zespół borykał się z problemami. Nie inaczej było w Teneryfie. Przed rozpoczęciem rozgrywek celowali w czoło tabeli, ale przed meczem z Elche znajdowali się w strefie spadkowej.

Enke poniekąd powrócił tam, gdzie zaczynał: cofnął się do listopada 1995 roku, gdy na w połowie tylko zapełnionym stadionie drugoligowa Jena grała z Hannoverem 96. Francisco Carrasco nie uważa, by porównanie to było negatywne, wręcz przeciwnie: „Robert odczuwał zachwyt typowy dla debiutanta”.

Zapiął rękawiczki. Nie grał już od dziewięciu miesięcy.

Elche przedarło się przez skrzydło, mecz trwał od niespełna minuty, a Robert nawet nie zdążył jeszcze dotknąć piłki. Ktoś dograł dośrodkowanie, wysoko, nie za ostro. Środkowy obrońca Teneryfy Miroslav Djukić nie wyskoczył do niej, a jedynie czekał, aż Enke wybiegnie z bramki i ją złapie. Robert jednak nie wybiegł. Tym razem miał szczęście, bo piłka nie trafiła do nikogo i spokojnie wytoczyła się poza boisko.

Robert przeprosił Djukicia, podnosząc rękę i lekko się uśmiechając. Kibice mogli odnieść wrażenie, że bagatelizuje sytuację. Uznali jednak, że bramkarza z takim doświadczeniem, grającego już w Barcelonie i Lizbonie, takie momenty nie są w stanie wyprowadzić z równowagi.

To był jeden z tych meczów, podczas których bramkarz przekonuje się o własnej bezsilności: nie może zrobić nic poza czekaniem. W 53. minucie w końcu przedarł się w jego kierunku Nono z Elche. Oddał finezyjny strzał środkową częścią stopy. Enke obronił wprost majestatycznie. Teneryfa w bólach wygrała 2:1, a bramkę przeciwników na sumieniu miał obrońca César Belli. Po tym jak Robert zawahał się przy pierwszym dośrodkowaniu, ze swoich pozostałych zadań wywiązał się wzorowo. Wyłapał kilka pozornie niebezpiecznych strzałów, wybijał piłkę daleko i z wyczuciem. Poza tym nie miał zbyt wiele pracy.

Reporterzy sportowi z Santa Cruz musieli się wysilać, aby ujrzeć wielkiego bramkarza, którego w końcu chcieli wszyscy w Teneryfie oglądać. „Główka Zárate przeleciała nad bramką, jakby Enke samym wzrokiem mógł zmienić tor lotu”, pisała „El Día”.

Następnego dnia Robert Enke po raz pierwszy w swoim życiu kupił aż pięć gazet naraz – w każdej z nich chociaż pobieżnie wspomniano o jego powrocie.

W nagrodę udał się do Barcelony. Wyruszył rano, a wracać miał wieczorem. Tego dnia miało się odbyć drugie badanie USG, przypadające na 20. tydzień ciąży.

– Będziecie mogli ujrzeć rączki i główkę dziecka – ekscytował się przyjaciel Roberta i Teresy. – Jeśli będziecie mieli szczęście, dowiecie się nawet, czy to chłopiec, czy dziewczynka.

Pielęgniarka jeździła po brzuchu Teresy główką sondy, a na ekranie pojawił się obraz z białymi szlaczkami na czarnym jak noc tle. Dziewczynka! Tak jak postanowili, miała nazywać się Lara.

Zajęli miejsce w poczekalni. Pani doktor Onbargi miała omówić z nimi wyniki badań. Teresie wydawało się, że czekają wyjątkowo długo.

– Señora – powiedziała hiszpańska asystentka lekarza. Po chwili niepewnie wymówiła obce nazwisko: – Enke?

Doktor Leila Catherine Onbargi-Hunter, która skończyła Northwestern University w Chicago z dyplomem amerykańskiego wydziału położnictwa i ginekologii, była jednym z lekarzy, którzy mieli nadawać barcelońskiej klinice prestiż. Niektóre kwestie były jednak dla niej równie trudne co dla innych lekarzy: jak bowiem przekazać pacjentom złe wieści?

Teresa wybiegła z gabinetu z płaczem. Robert starał się ją wspierać, mimo że sam ledwo trzymał się na nogach.

Lara miała wadę serca.

– Istnieje duże prawdopodobieństwo, że dziecko umrze w łonie matki – zawyrokowała doktor Onbargi. Zaleciła odczekać tydzień i powtórzyć badanie.

Gdy jeszcze byli w klinice, zadzwonił telefon Teresy. Asystentka doktor Onbargi przekazała, że czeka na nich kardiolog. Tymczasem Robert za 80 minut miał lot powrotny – musiał nim lecieć, inaczej nie zdążyłby na jutrzejszy trening.

– Leć, Robbi, jakoś sobie poradzę – powiedziała Teresa.

– Przecież nie zostawię cię teraz samej.

– Proszę, mamy teraz wystarczająco dużo problemów. Chcę, żebyś poleciał.

Zadzwonił z lotniska, by dowiedzieć się o wynik wizyty.

Kardiolog stwierdził, że dziecko należy najszybciej jak się da wyciągnąć z łona matki i operować.

Następnego dnia Teresa udała się do doktor Onbargi, aby ta na spokojnie wyjaśniła jej szczegóły diagnozy. Bała się jednak, że w nerwach pewne rzeczy źle zrozumie, więc o rozmowę z lekarką poprosiła koleżankę.

Okazało się, że dziecko ma problemy nie tylko z sercem, ale również z chromosomami. Diagnoza brzmiała: syndrom Turnera. Koleżanka dowiedziała się, że ludzie cierpiący na to schorzenie są niskiego wzrostu, mogą mieć zniekształcone uszy i zazwyczaj szybko umierają.

Teresa udała się do Monachium, aby w niemieckim centrum chorób serca

zasięgnąć kolejnej opinii kardiologa oraz aby się dowiedzieć u ginekolog o szczegóły aborcji.

Kardiolog orzekł, że dziecko cierpi na tak zwany zespół hipoplazji lewego serca. W żadnym wypadku nie może dojść do wczesnego porodu, jak twierdziła specjalistka z Barcelony, bo oznaczałoby to pewną śmierć. W pierwszym roku życia niezbędne będą trzy operacje, po których dziecko będzie mogło żyć. Teresa miała wrażenie, że lekarz mówi, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie.

Jej koleżanka dowiedziała się, że inteligencja dzieci z syndromem Turnera nie jest obniżona, a za pomocą terapii hormonalnej od 12. roku życia można regulować wzrost. O problemach wspomnianych na początku jest mowa jedynie w przypadkach wyjątkowych, które występują rzadko.

Rodzice oraz bracia powtarzali Teresie, że nie ma pojęcia, co oznacza wychowywanie tak chorego dziecka! Rodzice Roberta powiedzieli, że rozumieją każdą decyzję, bez względu na to, czy zechcą usunąć płód, czy też urodzić dziecko mimo znacznego ryzyka.

Decyzja została podjęta i wszystko nagle stało się proste. Teresa wiedziała dokładnie, że życie z chorym dzieckiem będzie trudne, jednak czuła, że sobie poradzą.

Wypowiedziane niegdyś zdanie znów nabrało nowej mocy. Półtora roku wcześniej, gdy Robert podpisywał kontrakt z FC Barceloną i gdy nie chciało go Kaiserslautern, powiedział: „U mnie chyba nic nie może być dobrze”. Wtedy się z tego śmialiśmy.

Podczas gdy martwił się o życie swojego dziecka, w Teneryfie, jak wspomina Lobo Carrasco, „narodził się ponownie jako bramkarz”. Klub Deportivo Numancia z małego miasta Soria – nazwanego na cześć słynnego mieszkańca Numancji, który 150 lat przed naszą erą przeciwstawił się Rzymianom – przyjechał do Santa Cruz jako lider drugiej ligi i wrócił jako pokonany. Robert zaliczył trzy tak spektakularne obrony, że 11 tysięcy fanów na trybunach oszalało z radości. „Ludzie zakochali się w nim od pierwszego wejrzenia – wspomina Carrasco. – Rozpoznali w nim bramkarza, którego zatrudniła Barcelona. Wtedy, po wszystkich przejściach, był silniejszy niż kiedykolwiek. Kibice czuli się podbudowani faktem, że ktoś taki jak on gra dla Teneryfy”.

Roberta rozpierało szczęście, że ponownie może stanąć w bramce. Możliwe, że już nigdy nie zagra dla tak wielkiego klubu jak Barça czy Benfica. Możliwe, że utknie w klubie z drugiej ligi. Wiedział jednak, jakim chce być bramkarzem. Gdy satysfakcjonowała go jego własna gra, czuł się szczęśliwy – i nie miało znaczenia, w której gra lidze. W połowie swojej kariery odnalazł własny styl.

Zawsze na kogoś się wzorował. W Mönchengladbach był to Uwe Kamps, bramkarz, który zdawał się zrosnięty z linią bramkową. W Barcelonie pozwalał, żeby

Hoek wyprowadzał go z równowagi swoim: „Dalej do przodu! Twoje nogi! Van der Sar!”. „To, że dałem sobie wmówić, że nic nie potrafię, boli mnie najbardziej”. Zawsze dokładnie obserwował swoich kolegów z bramki: Kampsę, Bossio, Bonano. Od każdego z nich mógł się czegoś nauczyć, nawet od Álvaro Iglesiasa, który dotychczas grał tylko w trzeciej lidze, ale pierwszorzędnie opanował grę pozycyjną podczas rzutów różnych i dośrodkowań. Zagranica go wzbogaciła. Robert Enke zauważył, że w latach 90. w Niemczech – samozwańczej ojczyźnie bramkarzy – popełniał masę błędów: przyczajenie się na linii bramkowej, przesadne piąstkowanie, łapanie piłki na bliższym słupku podczas dośrodkowań, wybieganie i teatralne rzucanie na piłkę, gdy pojawiał się napastnik, oraz wymagający fizycznie trening. Tymczasem bramkarze, których poznał, inspirowali się raczej szkołą argentyńską: ustawiali się nieruchomo przed napastnikami. Bramkarz reprezentacji Albicelestes Germán Burgos wymyślił nawet ćwiczenie, które polegało na tłumieniu ludzkiego odruchu odwracania twarzy przy strzałach skierowanych w głowę: trener związywał mu dłonie za plecami, a następnie nieustannie uderzał piłką z bardzo bliska. Burgos musiał bronić dostępu do bramki twarzą. Czynił to raz po raz i niejednokrotnie łamał sobie przy tym nos. Robert Enke nauczył się więcej niż od kogokolwiek właśnie od Argentyńczyka – od Roberto Bonano. Optymizował nawet jego najlepszy trick – ustawianie ciała podczas wybiegania naprzeciw napastników. Już nie wykonywał szpagatu, a wzorem Bonano utrzymywał wyprostowaną postawę. Stawał jak skamieniały przed atakującym, ustawiając jedynie kolano do środka, co zapobiegało przepuszczeniu piłki między nogami. Stało się to jego znakiem rozpoznawczym. Inni bramkarze, przyjmując taką postawę, nie byli w stanie wybijać się tak dynamicznie jak on. Na Teneryfie Robert Enke stał się królem pojedynków z napastnikami. Od pasa w dół był wciąż sobą, jednak wzwyż – stał się niczym Roberto Bonano.

Mimo to nie chciał już nikogo naśladować. Po raz pierwszy jasno widział, co jest dla niego dobre, a co nie. W ten sposób, łącząc ze sobą różne szczegóły z minionych lat, stał się bramkarzem, na którym mogli wzorować się inni.

U podstaw jego gry leżały spokój oraz pewność siebie. Ustawiał się widocznie dalej przed bramką niż spektakularnie broniący Oliver Kahn, ale wciąż bliżej niż van der Sar, będący 11. piłkarzem z pola. Nie wybiegał z bramki przy każdym dośrodkowaniu, jak oczekiwał tego Hoek i jak robiło kolejne pokolenie niemieckich bramkarzy. Nawet Álvaro grał odważniej podczas wrzutek. Ustawiał się w połowie bramki, trzy–cztery metry od linii bramkowej. Robert Enke stawał jednak bliżej krótkiego słupka i linii bramkowej.

– Robert, stamtąd jest za daleko do tylnej części pola karnego. Jeśli tam polecisz dośrodkowanie, to nie uda ci się interweniować.

Enke wiedział, że Álvaro ma rację, jednak od lat wybierał tę konserwatywną grę pozycyjną, bo dzięki niej czuł się pewniej. Chciał pozostać przy swoim i część

dośrodkowań, te, które dogrywane były dalej, wolał pozostawiać obrońcom. Gdy wybiegał do dogrywanej piłki, zawsze ją wyłapywał ze spokojem.

Robert Enke był w połowie drogi między Kahnem a van der Sarem, między reakcją a antycypacją, między konserwatywną grą a ryzykiem. Kompromisy wydają się nudne, ale najczęściej są najrozsądniejszym rozwiązaniem.

Od debiutu Roberta Enke CD Tenerife, znajdująca się na miejscu spadkowym, już nie przegrała. „Istnieje wielu piłkarzy o znaczeniu indywidualnym, ale niewielu o znaczeniu dla całego kolektywu – mówi Lobo Carrasco. – Robert należał do tych drugich. Wcześniej byliśmy drużyną typu *light*, natomiast z nim w składzie zyskaliśmy inną mentalność, a piłkarze zaczęli wierzyć w siebie”.

W Madrycie jest zimno, tylko dwa stopnie powyżej zera. Carrasco ma na sobie jasnoniebieską koszulę, marynarkę, a pomiędzy nimi coś w rodzaju bluzy treningowej z poliestru. W jego przypadku nawet takie połączenie wygląda modnie.

– Chwileczkę – mówi i wyciąga z torby laptopa. Chce mi coś pokazać.

Tak jak ja właśnie pisze książkę. Opowiada ona o młodym piłkarzu, który wkracza w świat zawodowej piłki nożnej. Carrasco podkreśla, że czuje wielki szacunek do pisarzy. Nadmienia też, że mnóstwo czyta, bo wie, że jego styl wymaga szlifów.

– Jedną z postaci jest właśnie Robert, ponieważ pokazywał nam, jaki powinien być piłkarz.

Przejeżdża palcem po monitorze i nie jestem pewien, czy opowiada, czy też czyta mi to, co do tej pory napisał:

– Robert, uprzejmy, wrażliwy i poważny, na Teneryfie udowodnił, że wszystko będzie szło ku dobremu, jeśli człowiek przeciwstawi się niepowodzeniu i niesprawiedliwości. Tak jak on buntował się przeciwko temu, co wyrządzono mu w FC Barcelonie.

Carrasco jest poruszony własnymi słowami.

– Jeśli wówczas w Barsie miałby trenera, który po Noveldzie podszedłby do niego i mu powiedział: „Chwila, w dalszym ciągu pozostaniesz numerem jeden, ufam ci”, to już wówczas stałby się tym bramkarzem, jakim okazał się na Teneryfie.

Carrasco, który od wielu lat obraca się w świecie profesjonalnej piłki, splata ręce za głową i duma przez chwilę.

– W całym moim życiu nie widziałem nawet dziesięciu bramkarzy z potencjałem Roberta. On był jak byk. Wszystko jednak zależy od tego, kogo spotykamy w życiu. Jeśli bramkarz napotka trenera, który wykluczy go z gry już po pierwszym błędzie, to zostanie mu wyrządzona olbrzymia szkoda. Z psychologicznego punktu widzenia jest to okrutne.

Carrasco nie zamówił kawy, którą mógłby teraz mieszać, by zająć czymś ręce. Nie poprosił o szklanek wody, którą mógłby ująć w dłoni. Tylko ja piję kawę, on

obywa się bez napoju.

– Myślę o tym, jak innym bramkarzom ofiarowywał rękawice. Cóż za wielki gest! Jakby chciał powiedzieć przeciwnikom: „Daję wam tę samą broń, którą sam dysponuję”.

Ekran komputera Carrasco w dalszym ciągu świeci.

– Ostatnie zdanie napisałem w czwartek po śmierci Roberta – mówi Lobo. – Od tamtej chwili nie byłem w stanie dalej pisać.

Na Teneryfie Robert Enke wyrobił sobie nowe wyczucie dystansu. Nie tylko pod względem odległości znajdował się daleko od domu. Teneryfa leżała 2236 kilometrów na południe od Barcelony i odległość ta wydawała się rzeczywiście duża.

Wiadomości w gazecie sportowej czytał tak samo jak pracownik portu obok niego w kawiarni. Stał się kimś stojącym obok. Raz, przypadkowo, zauważył, że bramkarz Timo Hildebrand w wywiadzie wspomina jego nazwisko. W 2004 roku Hildebrand był uznawany za wschodzącą gwiazdę niemieckiej piłki. Właśnie ustanowił nowy rekord w lidze, nie puszczając gola przez 884 minuty. Hildebrand wspominał w tym artykule, że odejście do zagranicznego klubu musi bardzo dokładnie przemyśleć, bo w przeciwnym razie spotka go los podobny do tego, jaki stał się udziałem Roberta Enke, który zdecydowanie za szybko wyruszył za granicę.

Robert powinien się zdenerwować na taki uproszczony sposób postrzegania jego sytuacji. A jednak z drugiej strony cieszył się, że Timo wciąż o nim pamięta.

Gdy grała Barça, wychodził do restauracji w hotelu, aby móc obejrzeć mecz w płatnej telewizji. Jego telewizor w mieszkaniu odbierał jedynie garstkę ogólnodostępnych hiszpańskich stacji. Kiedy odwiedzał Teresę w Barcelonie, ta z radością zauważyła, że jej mąż prawie nie ogląda w domu meczów. Był dumny z siebie, że odkrył bar hotelowy jako swoje miejsce do oglądania piłki. Wpadł na to samodzielnie. Słowo „rutyna” nie brzmiało zbyt dobrze, jednak dla niego było ono niezmiernie ważne. Oznaczało coś, czego mógł się trzymać.

Oglądał zmagania FC Barcelony w Pucharze UEFA. Jego dawny zespół szybko wyszedł na prowadzenie 2:0, co sprawiło, że mecz stał się nudny. Spytałem, co czuł, oglądając na ekranie grę Barcy.

– Nic. W Barcelonie nigdy nie czułem, że jestem częścią zespołu.

Odległość pomiędzy nim a tym, co nazywał „prawdziwą piłką”, w czerwcu 2004 roku zyskała nowy wymiar. Wszyscy dookoła oglądali piłkę i wszyscy o piłce rozmawiali. On sam grał w piłkę, ale nikt poza Teneryfą tego nie dostrzegał. W Portugalii rozpoczęły się mistrzostwa Europy. Dwa lata temu, w poprzednim życiu, udział w tej imprezie był jego największym celem. Teraz równolegle z rozgrywanymi mistrzostwami martwił się zakończeniem sezonu w drugiej lidze.

Nikt nie wpadł na pomysł, aby porównać ze sobą Kahna, Buffona i Casillasa biorących udział w mistrzostwach z Enke grającym przeciwko Eibar, Kadyksowi i Gijón. Zabrzmiałoby to żałośnie. Prawdą jest jednak, że na mistrzostwach tych nie można było podziwiać prawdziwie wielkich bramkarzy cieszących publiczność wspaniałymi obronami, takimi jak te, jakie pokazywał Robert Enke przy strzałach Saizara, Cuevasa z Eibar bądź Bilica z Gijón.

Dla Roberta jakiegokolwiek porównania były ostatnim, o czym myślał. Podczas mistrzostw Europy siedział na Teneryfie przed telewizorem i po prostu dobrze się bawił.

Lobo Carrasco poprosił go do swojego biura. Chciał go zatrzymać na kolejny sezon. „Z Robertem cały projekt nabrałby innego kierunku: do góry”, wspomina. Oprócz tego chciały go zakontraktować dwie drużyny z pierwszej ligi: Hannover 96 oraz Albacete Balompié.

Z Carrasco o piłce rozmawiał mniej niż dziesięć minut. Zeszli na temat Lary. Teresa była właśnie w siódmym miesiącu ciąży.

Nie byli już w stanie rozmawiać z Christiną, żoną Marco. Często dzwoniła, jednak Teresa nie potrafiła się przemóc, by odebrać. Nie mogła znieść, gdy jej koleżanka opowiadała, jak wspaniale rozwija się jej ciąża.

Robert postanowił, że wybór przyszłego pracodawcy w jakimś stopniu uzależni od Lary. Powinni zamieszkać w miejscu, w pobliżu którego działa jakiś renomowany specjalista chorób dziecięcych. Do porodu pozostało jeszcze tylko sześć czy siedem tygodni, ale dla niego wydawało się to odległą perspektywą. Miał dziwne przeczucie, że wszystko jakoś się ułoży.

Podczas mistrzostw Europy rozgrywanych w Portugalii naprzeciw siebie stanęły Czechy i Holandia. Był to pierwszy poważny mecz podczas tego turnieju, w którym zmierzyć mieli się dwaj wybitni bramkarze – Petr Čech oraz Edwin van der Sar. Robert jednak nie mógł go obejrzyć, bo sam grał o pietruszkę. Na stadionie Heliodoro-Rodrígueza trwał ostatni mecz sezonu – przeciwko Getafe. Teneryfa grała bez ciśnienia. Gdy Robert zadebiutował w połowie kwietnia, jego zespół był na pozycji spadkowej, a obecnie zajmował ósme miejsce. Nie poniósł porażki w ośmiu kolejnych meczach.

W poniedziałek, pięć dni przed pojedynkiem z Getafe, zadzwonił jego telefon. Człowiek po drugiej stronie linii zastanawiał się, czy Robert jeszcze go pozna. Był on wiceprezydentem Alavés, klubu, z którym Enke negocjował, zanim podpisał kontrakt z FC Barceloną. OK, można to jakoś zrozumieć – każdy wybrałby Barcę zamiast Alavés.

Robert Enke był przekonany, że wiceprezydent zaproponuje mu grę w swoim

klubie, który w międzyczasie spadł do drugiej ligi, ale z odrobiną szczęścia zdoła ponownie awansować. Starał się sobie przypomnieć szczegóły. Pamiętał, że Vitoria, miasto, w którym mieścił się klub, nawet mu się podobała.

Wiceprezydent złożył mu jednak propozycję: zapłaci drużynie Teneryfy 100 tysięcy euro, jeśli ta pokona Getafe. Alavés miało szanse na awans tylko wówczas, gdy Getafe przegra.

„Godzina walizki z pieniędzmi” – tak nazywano ostatnią kolejkę w hiszpańskich ligach. Niektóre drużyny rozpaczliwie walczą o awans, a inne znajdują się w komfortowej pozycji. Tym ostatnim walizki z pieniędzmi mają pomóc w zdobyciu motywacji.

100 tysięcy euro. To blisko pięć tysięcy na piłkarza, *limpo*, na czysto, bo tak mówi się w Hiszpanii na wartość netto.

We wtorek, na cztery dni przed rozpoczęciem meczu z Getafe, Robert Enke poprosił drużynę przed treningiem, aby go wysłuchała. Przekazał kolegom, że otrzymał ciekawy telefon.

„Pozytywna walizka z pieniędzmi”, „premie dla piłkarzy” – tymi właśnie słowami określił swoją ofertę wiceprezydent Alavés. W Hiszpanii takie transakcje były tolerowane.

Jeszcze tego samego dnia po treningu dyrektor sportowy zawołał do siebie kapitana drużyny Antonia Hidalgo.

– Nie wiem, o co chodzi – powiedział Carrasco. – Jeśli Alavés oferowało wam premię za zwycięstwo, to OK, ale krążą plotki, że sprzedaliśmy mecz dla Getafe. Teraz nie macie wyjścia: musicie wygrać.

Hidalgo obiecał, że jeśli cokolwiek usłyszy, od razu zainterweniuje.

Wielu piłkarzy z niższych hiszpańskich lig permanentnie nie otrzymuje pensji na czas. Kto od takich piłkarzy może oczekiwać, aby w ostatniej kolejce nie ulegli *maletas de dinero*, walizkom z pieniędzmi? Nawet Robert Enke czekał na zaległą połowę swojego wynagrodzenia i był pewien, że nie jest w tej kwestii osamotniony.

Poszedł na deptak wypić shake’a czekoladowego. W końcu był to jego jeden z ostatnich dni na wyspie. Spotkał się z Ewaldem Lienenem, trenerem Hannoveru 96. Nabrał przekonania, że ten ciepły i wrażliwy człowiek sam w sobie stanowi dobry powód, aby wrócić do Niemiec. Popijał shake’a i myślał, że jest on dla niego nagrodą za zasługi.

W środę przed treningiem jeden z bliższych Robertowi piłkarzy z drużyny także zabrał głos. „Jeśli nie podasz mojego nazwiska – powiedział mi sześć lat później – to opowiem ci, jak to było”.

We wtorek zadzwonił jego telefon. Ze słów rozmówcy (nie chciał zdradzić jego tożsamości) wynikało jednoznacznie: jeśli w sobotę uda mu się popełnić kilka nierzucających się w oczy błędów, otrzyma 25 milionów peset. Gdy piłkarz odmówił,

kolejnego dnia znów otrzymał telefon. Tym razem proponowano mu 40 milionów peset.

Robert Enke musiał najpierw przeliczyć to sobie na euro. Od zmiany waluty minęły trzy lata, a Hiszpanie w dalszym ciągu mówili o pesetach. W przeliczeniu było to 25 tysięcy euro.

A dokładniej 24 400 euro.

„Powiedziałem, że nie ze mną takie numery, że ja tego nie zrobię – mówi mój rozmówca. – Drużynie zakomunikowałem, że jeśli jeszcze komuś złożył taką propozycję, to właśnie jest odpowiedni moment, żeby powiedział o tym głośno”.

Nikt się nie odezwał.

Przed ostatnim treningiem w sezonie do szatni zszedł Lobo Carrasco. Ściany w podziemiach stadionu były pomalowane na biało-niebiesko, a spod farby przebijały cegły.

– Jeśli otrzymacie od Alavés premię za zwycięstwo, to nie ma problemu – zaczął Carrasco spokojnie. – Jednak premia za przegraną pozostawiłaby na waszych życiorysach i sumieniach ciemną plamę. Nigdy nie zdołalibyście jej wywabić. Jeśli coś usłyszę lub kogoś złapię, to go wywalę. I postaram się, by już nigdzie nie otrzymał szansy na grę. Zawiadomię policję. Zrozumieliście?

Kilku piłkarzy kiwnęło głowami, kilku tępo spoglądało w podłogę, ale nikt nie odważył się odezwać.

Gdy piłkarze wybiegają na murawę stadionu Heliodoro-Rodrígueza, ich oczom ukazują się góry – zielone, urocze, naturalne przedłużenie trybun. Właśnie ze strony trybun bezpośrednio przed rozpoczęciem meczu Roberta dobiegło buczenie, które nie wiedział czemu przypisać. Z radia tranzystorowego kibice usłyszeli, że po 19 minutach Holandia prowadzi z Czechami 2:0, co znaczyło, że omija ich porywający mecz. Ciekawe, jakie emocje czekają na nich w tym spotkaniu... „Na stadionie panował nastrój wręcz wakacyjny”, wspomina Carrasco.

Robert Enke chciał koniecznie wygrać. Wyjeżdżając z Teneryfy, pragnął móc powiedzieć, że nie przegrał tam ani jednego spotkania.

Po 30 minutach gry zapomniał, jak się mówi po hiszpańsku, i zaczął drzeć się na środkowych obrońców Coronę oraz Césara Bellego w swojej ojczyściej mowie.

– Byłem tak zdenerwowany, że potrafiłem krzyczeć tylko po niemiecku – powiedział mi później.

Álvaro Iglesias wspomina, że przekleństwa Roberta Enke w obcym języku można było usłyszeć i zrozumieć nawet na ławce rezerwowych. Do dziś jest w stanie bezbłędnie powtórzyć te słowa: „Scheiße” („cholera”) i „Arschloch” („dupek”). Było 0:3.

Getafe co rusz dogrywało piłkę bezpośrednio do Pachóna, swego ruchliwego

napastnika.

– Wydawało mi się, że nasi obrońcy zwalniają mu miejsce – opowiadał Robert. – W jednej chwili znalazło się przede mną aż dwóch przeciwników. Darłem się na nich: „Jesteście przecież całkowicie nienormalni!”.

Mecz stał się bardzo intensywny. 11 tysięcy widzów na trybunach było przekonanych, że oglądają najlepszy pojedynek tego lata. Teneryfa, pozbawiona presji zwycięstwa, zaczęła grać entuzjastycznie, ale i tracić koncentrację. Jeśliby przegrała, nie stałoby się nic strasznego. Kibice Getafe uważali, że ich klub zasługuje na awans. Klub ten pochodził z przedmieść Madrytu i jeszcze dwa lata wcześniej grał w trzeciej lidze, jako typowy outsider. Robert Enke czuł się, jakby grał w dwóch stojących naprzeciw siebie drużynach. Dziewięciu piłkarzy usilnie próbowało w legalny sposób zdobyć pieniądze oferowane przez Alavés, a jeden czy dwóch starało się przegrać, aby napełnić sobie kieszenie. Carrasco zasiadł na trybunie i uważnie obserwował swoich zawodników.

– Nic dziwnego nie rzuciło mi się w oczy – wspomina. – Jednak co to właściwie znaczy „dziwnego”? Pachón latał po murawie jak szalony, rozpierała go energia, a moi chłopcy myślami byli już na plaży.

W Aveiro, na północy Portugalii, Czesi zmienili oblicze meczu, który na długo zostanie w pamięci kibiców. Początkowo przegrywali 2:0, udało im się jednak wygrać z Holandią 3:2. W Santa Cruz Pachón strzelił pięć goli. Getafe wygrało 5:3 i awansowało do pierwszej ligi. Mecz opisano nawet w hiszpańskiej prasie, na 39. stronie jednej z gazet, poświęcając mu 15 linijek tekstu. Tylko lokalna kanaryjska gazeta, „La Opinión”, między wierszami wyraziła swoje powątpiewanie: „Wyjątkowa niezdarność piłkarzy w jeszcze do wczoraj idealnie zorganizowanej obronie była czymś dziwnym”.

Zrzaszacz murawy uruchomiono już w chwili, gdy piłkarze Getafe jeszcze świętowali awans. Teneryfie spieszyło się, żeby zamknąć sezon.

W szatni zawodnicy nie okazali radości po ogólnie przyzwoitym sezonie. „Oczywiście, że byliśmy źli – wspomina Álvaro Iglesias. – Nigdy tego nie udowodnimy, jednak odnieśliśmy wrażenie, że ktoś z naszej drużyny pozbawił nas premii od Alavés. Ktoś wzbogacił się naszym kosztem”.

W grudniu 2008 roku wypłynęły jednoznaczne dowody na to, że ostatnimi czasy w profesjonalnych ligach doszło do zmanipulowania wielu meczów. Większość gazet wspominała o tym jednak jedynie przez jeden dzień. Królewski Hiszpański Związek Piłki Nożnej ogłosił, że nie jest za to, podobnie jak wydział sprawiedliwości, odpowiedzialny. Piłka toczyła się dalej.

Na Teneryfie Robert otworzył dach swojego samochodu sportowego. Zbliżał się czas jego odlotu. Niebo nad wyspą miało kolor mleka, było mgliste, a południowy wiatr

przywiewał afrykańskie piaski. Dla niemieckich dziennikarzy Robert Enke był piłkarzem z marginesu – grał w drugoligowym zespole na wyspie kojarzonej wyłącznie z wakacyjnym wypoczynkiem. On jednak czuł się wspaniale, a jego dobrego samopoczucia nie mąciła nawet porażka w ostatnim meczu.

– Wydaje mi się, że pójdę dziś na hamburgera – powiedział do siebie i podkręcił głośniej radio. Zanucił jakąś piosenkę, której wcześniej nawet nie słyszał.

Tam jest Robert, tam nie ma bramki

Jak na człowieka, który koniecznie chciał sprzedać dom, Jacques Gassmann stawiał zadziwiające warunki: przez kilka pierwszych miesięcy po sprzedaży nieruchomości chciał w niej jeszcze pomieszkać. Potrzebował czasu, aby znaleźć nowe miejsce, bo wcześniej nawet nie zaczął szukać.

Był artystą.

Robert Enke pomyślał, że artyści właśnie tacy są. Postrzegali świat inaczej, a później przekuwali to w dzieła sztuki i kuriozalne żądania podczas sprzedaży domów.

Zwiedzając wiejskie gospodarstwo Jacques'a Gassmanna, nie zastanawiali się nad tym, kim był właściciel domostwa, analizowali chyba własne potrzeby.

– Jezu, chyba tak się nie kupuje domu? – zastanawiała się Teresa. No bo jak to: obejrzyć jeden dom i od razu kupować?

– Czemu nie? – zapytał Robert i poczekał, aż na jej twarzy pojawi się uśmiech.

Zawsze do tej pory coś wynajmowali. Teraz od tygodnia byli z powrotem w Niemczech. Dzień przed podpisaniem kontraktu Robert rozegrał swój pierwszy mecz dla Hannoveru 96. Znow zaczął żyć w rytmie dyktowanym przez profesjonalny futbol – trening przed południem, mecze testowe, trening po południu. Teresa była w zaawansowanej ciąży. Musieli czym prędzej znaleźć dom.

Jacques Gassmann urządził gospodarstwo ze smakiem i umiłowaniem do szczegółów. Stajnię przerobił na kuchnię, w której na podłodze położył francuskie płytki. W sieni nad długim wiejskim stołem powiesił żyrandol. Podczas przebudowy nie zwracał szczególnej uwagi na koszt: uważał, że artyści nie powinni myśleć takimi kategoriami. Teraz jednak zmuszony był sprzedać swoją posiadłość. I nie miał pojęcia, gdzie się podzieje z wszystkimi swoimi obrazami.

Mimo że był bardzo osobliwy, człowiek ten wydawał się bardzo sympatyczny. Teresa i Robert kupili gospodarstwo razem z artystą. Gassmann miał z nimi mieszkać jeszcze przez trzy miesiące, podczas których na spokojnie planował znaleźć nowe lokum.

Przez wielkie okno w salonie Robert mógł obserwować mężczyznę, gdy ten malował. Pewnego razu wyszedł na zewnątrz i zakradł się do niego ukradkiem, ponieważ nie chciał przeszkadzać artyście w pracy. Po cichu stanął za jego plecami. Gdy Jacques zorientował się, że nie jest sam, porządnie się wystraszył.

Bramkarz chciał mu zadać kilka pytań. Skąd w obrazach Jacques'a tyle mroku? Dlaczego wszystko jest czarne, rozmyte i wytuszone? Jak jednak on, prosty

piłkarz, mógł zadawać takie pytania artyście? Uznał, że najpierw powinien poruszyć jakiś neutralny temat. Zapytał Jacques'a, jak to jest z dostawą oleju opałowego i czy nie mógłby mu polecić jakiegoś weterynarza, bo ma przecież kota. Zainteresował się też, jakim cudem Jacques, jako artysta, zdołał miesięcznie zarobić sześć tysięcy euro na pożyczkę i koszty pośrednie. Liczył, że Jacques, pociągnięty za język, rozgada się i zacznie opowiadać o swojej sztuce.

Cykl *Apokalypse* Gassmanna w latach 90. wywołał niemałe poruszenie. Dzieło to prezentowano na wystawach w całej Europie. Kilku krytyków zauważyło trend: w podobnej estetyce tworzyli Max Beckmann czy Lukas Kramer.

Później, w serii *Supersonic*, Gassmann postanowił poruszyć temat drugiej wojny w Zatoce Perskiej: namalował amerykańskich pilotów, którzy byli rozdarci wewnątrz i których dusze wręcz eksplodowały. Nie był w stanie przestać. W amoku stworzył aż 160 obrazów.

– Jeśli nie miałbym sztuki, tobym eksplodował. Robert, ja się muszę wyrzygać pędzlem, rozumiesz?

Enke patrzył na niego w milczeniu. Czy tak wypowiadają się wszyscy artyści? Gassmann nie był jednak w stanie udzielić Robertowi właściwych odpowiedzi. Nie odnalazł ich jeszcze dla samego siebie.

Zaczął je odkrywać dopiero po śmierci Roberta. „Co ja malowałem? Przepaści, ludzi, którzy są rozdarci wewnątrz – powiedział trzy miesiące po tragedii. – Temat czasów ostatecznych popularny był w latach 90., a ja malowałem te swoje przepaści, również gdy rozpoczęło się nowe tysiąclecie. Nigdy nie udało mi się przedstawić mojego duchowego stanu”.

Gdy Jacques skończył malować, zostawił swój nowy obraz do wyschnięcia. Wokół panowała cisza. Wieś Empede, położona nad jeziorem Steinhuder Meer, liczy 400 mieszkańców.

– Zaczekaj, Jacques, zamknę Balu, żeby niczego nie zniszczył – powiedziała Teresa.

– Nie – odparł malarz. – Niech zostanie ze mną na dworze. To pies artysta!

Balu cierpiał na nosówkę, która powodowała degradację mózgu, przez co psu zdarzały się niekontrolowane zachowania.

– Czuję się lepiej, jeśli nie byłoby go obok ciebie – nalegała Teresa.

– E tam. My się rozumiemy. No nie, Balu, mój pies artysto?

Dziesięć minut później Teresa usłyszała dobiegający z ogrodu krzyk.

– Zapłacicie za ten obraz, niech koszt pokryje wasz ubezpieczyciel! Wasz pies przebiegł po moim obrazie!

Na trening, do Hanoweru, Robert zawsze wyjeżdżał z poczuciem, jakby właśnie udawał się do domu. Był w mieście, w którym nigdy nie chciał mieszkać, w klubie,

o jakim nigdy nie marzył. Jednak fakt, że po pięciu latach wreszcie wrócił do Niemiec, sprawiał, że wszystko nagle wskoczyło na swoje miejsce. Przez ostatnie lata tułał się po świecie. Miał świadomość, że z Hannoverem zapewne wyląduje w trzeciej części tabeli, jednak to mu nie przeszkadzało. Rosło w nim przekonanie, że będzie się tam dobrze czuł.

Stadion Dolnej Saksonii przechodził przebudowę w związku z mistrzostwami świata, które miały się odbyć w Niemczech w 2006 roku, przez co drużyna musiała trenować w zamkniętym pomieszczeniu, w hali. Była tam co prawda szatnia, jednak trener zmuszony był urządzić swoje biuro w pomieszczeniu przeznaczonym dla dozorczy. Zawodnicy byli nieco zdziwieni, że pierwszego dnia Robert Enke przeszedł się po szatni i przedstawił się każdemu z nich. Znał imiona prawie wszystkich!



Robert z rodziną Teresy

– Ty musisz być Frankie, cześć. Aha, ty jesteś Per.

Często oglądał zdjęcie drużyny w internecie. Za to o nim w Niemczech nie każdy pamiętał.

– Jaki mam mu dać numer na koszulce? 25 czy 30? – spytał jeden z pracowników sztabu trenerskiego.

– Jedynekę – odparł Ewald Lienen.

W młodości Lienen należał do ruchu wolnościowego, który walczył o usunięcie rakiet typu Pershing oraz o likwidację elektrowni atomowych. Dziś, w wieku 50 lat, wciąż pozostaje niezależny i chętnie wyraża swoje zdanie. Podczas gdy scena piłkarska postrzegała odejście Roberta ze Stambułu jako porażkę, on widział w tym znak siły odważnego i wrażliwego mężczyzny. Nikt nie znał przecież prawdy.

Robert Enke nauczył się opowiadać publicznie o swojej depresji, jednak nikt nie zauważał, o czym tak naprawdę mówił. „Było to negatywnym doświadczeniem, które nie miało niczego wspólnego z piłką nożną, a jedynie moim samopoczuciem”, mówił podczas swego pierwszego od dawna wywiadu, udzielonego „Neue Presse” z Hanoweru, gdy zapytano go o Stambuł.

Gdy myślał o swojej depresji, był w stanie odnieść się do problemu z dystansem i autoironią. Samego siebie nazywał „Robbim z zepsutą głową”. „Wiem, że wszystko mogło się ułożyć zupełnie inaczej. Zniknąłem z pola widzenia. Oprócz Lienena chyba nikt nie wpadłby na pomysł, aby ponownie ściągnąć mnie do Bundesligi. Jestem mu za to bardzo wdzięczny”.

Jego koledzy z drużyny mieli trudne do nazwania odczucie: Robert był otwarty i bezpośredni, wręcz emanował naturalnością. Sprawiał wrażenie, jakby było dla niego oczywiste, że sport wymaga od niego pewnych poświęceń. Na zdjęciu drużynowym, wykonanym jeszcze przed sezonem, jako pierwszy bramkarz zajął miejsce w pierwszym rzędzie, na samym środku, otoczony swoimi zmiennikami. Wyglądał niczym tronujący władca, po którego prawicy i lewicy zasiadali podwładni. Zanim fotograf nacisnął spust migawki, wraz ze swoim zmiennikiem Frankiem Juricem zdecydowali, że pośrodku zasiądzie jednak trzeci bramkarz drużyny, 21-letni Daniel Haas. Gest ten był wielce symboliczny i odnosił się do całej kariery Roberta Enke w Hannoverze.

Gdy sędzia oficjalnym gwizdkiem ogłosił rozpoczęcie nowego sezonu, cały luz i cała radość nie potrafiły oddalić od niego jednej myśli: czy jest wystarczająco dobry na ten poziom? W końcu od czasu, gdy grał regularnie w pierwszej lidze, minęło dwa i pół roku.

Hannover 96 miał zagrać z Bayerem. Fani Leverkusen wiedzieli dokładnie, kim jest nowy bramkarz rywali – sześć lat wcześniej to właśnie jemu, gdy grał w Mönchengladbach, wpakowali osiem goli. Na melodię *Panie Janie* zaśpiewali mu:

– Panie Enke, Panie Enke, w bramce stań, w bramce stań. Sobie przypominaj, sobie przypominaj – 8:2, 8:2.

Nie zdołał powstrzymać śmiechu. Aż zaczął bić brawo.

Wyłapywał dośrodkowania, jakby było to czymś oczywistym. Kibice wiwatowali, gdy obronił dwa soczyste strzały Dimityra Berbatowa. W drugiej z tych sytuacji znalazł się z Berbatowem sam na sam. Przyjął jednak swoją charakterystyczną pozycję: rozstawił ramiona, wyprostował tułów, kolano skierował do środka. Sprawiał wrażenie giganta. Hannover 96 przegrał 1:2, tracąc gola w ostatniej minucie, ale mimo to „Kicker” wybrał Roberta Enke graczem kolejki. Dziennikarze sportowi, którzy zdecydowanymi słowami obwieścili jego koniec po meczu w Stambule, teraz zastanawiali się, czy nie rozważy gry w reprezentacji.

Po meczu trener poprosił swoich piłkarzy, którzy pozostali jeszcze na stadionie, aby wspólnie zjedli. Jeden z kucharzy obsługujących gości z łóż nakrył do stołu. Z widelcem i nożem w dłoni trener przez 15 minut analizował mecz: dziesięć minut po niemiecku, trzy po hiszpańsku i dwie po angielsku, po czym życzył wszystkim smacznego. Lienen zorganizował również odwiedziny w zoo, podczas których piłkarzom miały towarzyszyć żony i dzieci. Był przekonany, że drużyna, w której panuje rodzinna atmosfera, lepiej funkcjonuje. Robert Enke od razu zaprzyjaźnił się z jednym z pracowników klubu, Tommym Westphalem. Do jego obowiązków należało między innymi dopilnowanie, aby ankiety pomeczowe zostały poprawnie wypełnione, a następnie trafiły do sędziego; aby podczas obiadu koniecznie podano zupę bez selera; aby nowi piłkarze otrzymali komórki, a ich dzieci miejsce w przedszkolu; po prostu aby wszystko grało jak należy. W ciągu jednego dnia był w stanie załatwić 100 drobnych spraw, nie umykał mu żaden szczegół. Do tego w półtorej godziny wypijał pięć kaw – możliwe, że jedno było zależne od drugiego. „Od razu znaleźliśmy wspólny język, bo obaj pochodzimy ze wschodu – wspomina Tommy z przesadną wesołością. – W piłce nożnej jest z nami tak samo jak z Jugolami czy Afrykańczykami: od razu tworzymy klan, aby się wzajemnie bronić”. Tommy zauważył, że przed pierwszym meczem Robert wyróżnia się na tle drużyny. Jego koleżeński styl bycia kształtował klimat w szatni. Tylko sam Robert miał przecucie, że nie wdraża się wystarczająco w drużynę i nie spełnia wszystkich pokładanych w nim przez Lienena nadziei. Miał błędne wyobrażenie o swojej roli w zespole, bo sam zawsze wolał trzymać się z boku, gdy pozostali piłkarze spotykali się na obiedzie. Zauważył, że nie żyją profesjonalną piłką tak intensywnie jak inne zespoły.

31 sierpnia na świat przyszła Lara. Zanim się pojawiła, Robert często wyobrażał sobie, jak to będzie. Początkowo wymagałaby dużej pomocy medycznej, więc on i Teresa często nosiliby ją na rękach i szukaliby z nią kontaktu wzrokowego, wymieniając z nią tysiące uśmiechów. Teraz przyszło mu się zmierzyć z rzeczywistością.

Bezpośrednio po narodzinach Lara przeszła operację na otwartym sercu. Aby jej małe ciało miało szansę na przeżycie zabiegu, wprowadzono ją w stan śpiączki farmakologicznej. Jej klatka piersiowa pozostała otwarta, aby ze zoperowanego serca zeszła opuchlizna. Z odchylonymi do tyłu rączkami leżała na oddziale intensywnej terapii. Teresa i Robert mogli jedynie trzymać ją za rączkę i przyglądać się, jak jej serduszko bije w otwartej klatce piersiowej. Puls Lary wynosił 210 uderzeń na minutę.

Teresa i Robert chcieli koniecznie pomóc swojej małej córeczce, ale równocześnie odczuwali ogromny strach przed jej utratą, przez co nieustannie żyli w ogromnym stresie. „Gdy podjęliśmy decyzję, że chcemy, aby Lara się urodziła, byliśmy przekonani, że wiemy, co nas czeka. Żeby nikt mnie źle nie zrozumiał: dziś też bym zdecydowała się na urodzenie Lary, tego jestem pewna. Wiem jednak też jedno: nikt nie jest gotowy na życie z chorym dzieckiem – mówi Teresa. – Strach jest absolutnie obezwładniający”.

Po czterech dniach zamknięto klatkę piersiową Lary. Lekarze orzekli, że nastąpiła wyraźna poprawa jej stanu zdrowia. Jednak już następnego dnia pielęgniarka przekazała im smutną wiadomość: klatka piersiowa musi zostać ponownie otwarta.

Dni nabrały stałego rytmu: rano Teresa udawała się do szpitala uniwersyteckiego, a Robert jechał na trening. Gdy ćwiczył, swój telefon przekazywał Tommy’emu Westphalowi, który miał mu dać znać, gdyby Teresa próbowała się z nim skontaktować. Po treningu jechał bezpośrednio do kliniki. Z Teresą jadł obiad w stołówce, po czym oboje szli do córki. Siedzieli przy niej aż do wieczora. Czas odwiedzin kończył się o 20.00.

Często drzwi do oddziału intensywnej terapii pozostawały zamknięte i wraz z innymi rodzicami musieli cierpliwie czekać w poczekalni. Nie wiedzieli, które z czwórki leżących tam maluchów walczy właśnie o życie. Nie mieli pewności, czy to nie ich córka.

Robert myślał: „Teresa ma naprawdę ciężko. Nie gra w piłkę i nie może się ot tak wyłączyć na 90 minut”. Zauważył, że nawet najbardziej uciążliwy aspekt uprawiania tego sportu, wielogodzinne podróże autobusem na mecz, stawały się dla niego okazją do oddalenia uporczywych myśli. W dalszym ciągu nie miał discmana ani laptopa, aby oglądać filmy. Był jedyną osobą w autobusie, która słuchała radia. Na antenie stacji 1Live można wysłuchać takich programów jak *Czas i przestrzeń* czy *Kompleks kulturalny*. Grana tam muzyka była dla Roberta jakaś inna niż ta, którą puszczano gdzie indziej, i nawet nie był w stanie określić dlaczego. Kierowca autobusu przeklinał go, gdy co 60–70 kilometrów musiał zmieniać częstotliwość.

Teresa nauczyła się, czym jest saturacja. Czujnik mierzył poziom saturacji w krwi Lary, który nigdy nie mógł spaść poniżej 60 procent. Jeśli do tego by doszło, sytuacja stałaby się krytyczna i czujnik zacząłby piszczeć. Teresa nie potrafiła nie myśleć

o tym dźwięku. Słyszała go nawet, gdy była już poza szpitalem, nawet gdy wieczorem leżała już w łóżku. Saturacja stała się jej fiksacją, punktem granicznym strachu o życie córki. W środku nocy, gdy odciągała dla córeczki mleko, nie wytrzymała i dzwoniła do szpitala, aby spytać, jaki jest jej poziom nasycenia tlenem.

Stała u boku męża, gdy ten przez pięć miesięcy przechodził depresję, a teraz całymi dniami siedziała na oddziale intensywnej terapii przy łóżku swojej córeczki, której do tej pory ani razu nie mogła wziąć na ręce.

– Proszę, idź chociaż raz do domu i odpocznij. Ja zostanę przy Larze – przekonywał Robert.

Ona jednak nie potrafiła odejść. Musiała zostać przy córce i patrzeć na poziom saturacji.

Każdego ranka powtarzali sobie, że nie mogą pozwolić, by tragiczna sytuacja pozbawiała ich szczęścia: mieli córeczkę, tylko to się liczyło. Nierzadko zdarzało się, że udawało im się śmiać, nawet w poczekalni oddziału. Odkrywali radość tam, gdzie jej nie było. Nawet gdy Robert naśladował ton lekarzy, gdy na ich pytanie o stan Lary odpowiadali: „Nie możemy być całkiem niezadowoleni”, oboje w końcu zaczęli się śmiać. Oczywiście w te same dni pytali się siebie samych, dlaczego nawet jeden jedyny raz lekarze nie mogą powiedzieć o stanie zdrowia ich córki czegoś pozytywnego.

Ich współlokator, zatopiony we własnym świecie, miał problemy ze zrozumieniem siły przygniatającego ich ciężaru. Codziennie o 8.30 pojawiał się jego praktykant. Przychodził punktualnie, jednak Jacques wciąż w najlepsze wylegiwał się w łóżku. Pół godziny spędzone z Robertem podczas śniadania było dla Teresy skarbem – był to praktycznie jedyny moment w ciągu dnia, który mieli wyłącznie dla siebie. „Nie jestem jednak typem człowieka, który potrafi ignorować gościa. Pytałam go więc, czy nie ma też ochoty na kawę”, wspomina. W ten sposób przypadło wyczekane sam na sam z mężem.



Robert i Teresa podczas chrztu Lary

Jacques pojawiał się koło 9.00.

– Ten hałas! Wasz ekspres do kawy mnie wykończy! Teresa, co mnie tak stresujesz?

Umówili się, że zamieszka na poddaszu, a oni na dole. Jednak wspólne pomieszczenia – kuchnia, sieni, salon i przejście do ogrodu – znajdowały się na parterze. W rzeczywistości więc na parterze regularnie przebywały co najmniej trzy osoby. We wrześniu do Jacques'a przybył w odwiedziny przyjaciel, poeta. zaproponował, że zajmie salon. Pewnego razu, gdy Robert i Teresa wrócili z kliniki, w sieni stały cztery skrzypaczki. Zamierzały wykonać interpretację muzyczną jednego z wierszy gościa...

Robert starał się myśleć, że na tym właśnie polega urok Jacques'a. Gdy sobie to przyswoił, zaczął uważać, że jest on nawet zabawny. Wieczorami jednak najczęściej uciekał przed telewizor, aby obejrzeć mecz. Tym sposobem nikt go nie zaczepiał, a on miał szansę na odrobinę spokoju.

Teresa siedziała wówczas w kuchni z Jacques'em i czytała biografie artystów – Moneta, Picassa, Michała Anioła – dzięki czemu ich wspólne rozmowy często schodziły właśnie na wielkich mistrzów. Nierzadko dyskusje kończyły się na światopoglądzie Jacques'a. Był on dwukrotnie żonaty, a w wieku 25 lat został ojcem. Jego pierwsza żona uprawiała jeździectwo. To ona wprowadziła go w artystyczny światek – zapewniła dojście do innych artystów i do organizatorów wystaw. Myślał,

że ma wszystko: żonę, córkę, konie, dom, sukces... Jednak pewnego dnia nie odważył się już wejść do restauracji, do samolotu: wszystko zaczęło go dusić. Jacques zakończył opowieść, mówiąc, że teraz nie ma niczego i jest szczęśliwy. Zapalił z Teresą papierosa.

Jacques postrzegał swoich gospodarzy poprzez pryzmat własnej historii. „Byli zżytą, dobrą parą. W ich życiu brakowało jednak delikatności życia codziennego”. Pytam, czy nie jest to aż nadto zrozumiałe, jeśli twoje dziecko leży na oddziale intensywnej terapii. Jacques z zażenowaniem przyznaje, że w ten sposób na to nie patrzył. „Tak czy owak, uważam, że to dobrze, że wtedy z nimi byłem. Dzięki mnie nie pogrzebała ich ta codzienność, wiesz, »pięć kilo ziemniaków, dwa kilogramy ryżu, czego jeszcze nam brakuje?«”.

Gdy Jacques Gassmann poznał Roberta Enke, nie interesował się piłką. Jednak później razem z Teresą regularnie chodził na mecze.

„Interesowałem się Robertem. Miał taką trzeźwość myślenia, był bystry i ciekawy świata”. Artysta chciał go oglądać na boisku i dostrzec, czy mecz nie przeobraża go w innego człowieka. „Stojąc w bramce, zyskiwał coś nie do opisania, miał wtedy w sobie coś ze Schwarzeneggera. Pozostawał opanowany, a napastników odstraszał swoim luzem. Jednak gdy obejmował mnie na powitanie, wyczuwałem w jego ukształtowanym codziennym treningiem masywnym ciele niesamowite ciepło i delikatność”.

Jacques podarował Robertowi na jego urodziny portret. Głowę namalował szybkimi, zamaszystymi ruchami, a w silnych dłoniach umieścił coś okrągłego i różowego, co na pierwszy rzut oka wygląda jak wyrwane z klatki piersiowej serce, a w rzeczywistości jest piłką. Obraz nosił tytuł *Tam jest Robert, tam nie ma bramki*. Czy chodziło mu o to, że ich przyjaźń nie dotyczyła piłki nożnej? Z biegiem czasu tytuł ten stał się dwuznaczny: wraz z pojawieniem się Roberta Hannover 96 tracił wyjątkowo mało bramek.

Na tle swojej średniej drużyny Robert Enke sprawiał wyjątkowo dobre wrażenie. Jego nazwisko było rozpoznawalne w świecie międzynarodowej piłki i ponownie stał się bramkarzem, którego sposób gry pasował do specyfiki jakiegokolwiek topowej drużyny. Ludzie, którzy uporali się z depresją, często wypracowują sobie pewność siebie i niezależność i traktują je jako coś oczywistego.

W odwiedzinie przyjechał Jörg Neblung. Teresa i Robert wykorzystali tę okazję, aby po raz pierwszy od narodzin Lary wspólnie wyjść. Wybrali lokal o nazwie Heimweh. Kilku piłkarzy z 96 często wspominało o tamtejszej łoży. Był 20 września 2004 roku, a Lara miała prawie trzy tygodnie. Chcieli przekazać Jörgowi coś ważnego: ich życzeniem było, aby został on ojcem chrzestnym dziewczynki. Nie byli jedynie w stanie powiedzieć, kiedy odbędzie się chrzest.

Do Empede wrócili koło 23.00. Odzwyczajili się od długich wypadów na miasto. Gdy właśnie zasypiali, zadzwonił telefon Teresy. Na komórce wyświetlił się numer kliniki. Serce Lary na chwilę stanęło.

Rzucili się do wyjścia. W salonie leżał właśnie kolega Jacques'a.

– Co się tutaj dzieje?! – krzyknął poeta.

Gdy dotarli do kliniki, lekarze już od ponad godziny próbowali reanimować dziewczynkę

– Jeśli umrze, wyjeżdżamy z Hanoweru – powiedziała Teresa. Robert kiwnął głową.

Zostali na oddziale do 5.00 nad ranem. Dopiero wtedy, po wielogodzinnej reanimacji, Lara wróciła do żywych.

Robert położył się na krzesłach poczekalni, po czym powiedział bez życia:

– Co my tu właściwie robimy?

Następnego dnia miał jechać z drużyną do Cottbus na mecz w ramach Pucharu Niemiec.

– Jedź, Robbi. Po co chcesz tu zostać? Lara przeżyła. Strach nie może determinować naszego życia.

W Cottbus mecz zakończył się remisem 2:2. O losach spotkania zdecydować miały rzuty karne, odwieczny pojedynek piłkarski. Na wypchanym po brzegi stadionie liczyło się teraz tylko dwóch piłkarzy – bramkarz i strzelec.

I podczas bronienia jedenastek Robert Enke stracił swój niezawodny instykt. W Lizbonie gazeta „Record” ochrzciła go super-Enke, ponieważ w pierwszych miesiącach gry obronił cztery z siedmiu rzutów karnych. W Cottbus pierwsza czwórka strzelców trafiła do siatki. Gdy do pola środkowego zbliżał się piąty strzelec – Laurentiu Reghecampf – wiedział, że tym razem obroni. Każdy bramkarz jest świadomy, że wybronienie karnego nie jest jego umiejętnością, a niepowodzeniem strzelającego. Jednak obrona rzutu karnego jest jedyną okazją dla bramkarza, aby stał się takim bohaterem, jakimi co sobotę mogą być napastnicy. Jedna gra może zmienić wszystko, co wydarzyło się na boisku do tej pory. Robert rzeczywiście wybroniał strzał Reghecampfa. Gdy Thomas Christiansen strzelił następnego gola i Hannover wygrał, Robert podbiegł do kolegi i podniósł go do góry. Tylko w ten sposób mógł zapobiec temu, aby koledzy zaczęli z radości podrzucać jego.

Jacques Gassmann, który zdecydował, że musi tchnąć trochę życia w codzienność nowych gospodarzy, nie przestawał ich zaskakiwać. Robert i Teresa mieli pójść z nim na festyn strzelecki w Empede. Jacques powiedział, że nie chce, by spotkał ich jego los, gdyż nigdy nie udało mu się zintegrować z wioską.

W Empede nie ma sklepu, a jedynie gospoda Ole Deelee, która podczas wyborów

do Bundestagu służy jako lokal wyborczy. Nieliczne domy obłożone zostały cegłą klinkierową. Wiejskie uliczki przypominały alejki. Wiosną na polach kwitnie rzepak. Gdy w jednym z wywiadów Robert mimochodem wspomniał o swoich psach, urząd wysłał im znaczki do przypięcia zwierzętom – wraz z rachunkiem.

Jacques, zaraz po tym, jak przeprowadził się do Empede, wywieszał na słupach ogłoszenia: „Otwarte *atelier*, kieliszek wina”, „jednak żadna łajza nie przyszła”. Poczł się urażony.

Podczas festynu artysta nie bez satysfakcji stwierdził:

– Teraz wszyscy się gapią: co, dziwaczny Gassmann przyszedł z tą gwiazdą piłki nożnej?

Na bratanie się z mieszkańcami wioski było już za późno. Dochodziła 21.00. Wszyscy troje odnieśli wrażenie, że impreza trwa w najlepsze od dawna, a w ciągu dnia alkohol musiał się łać strumieniami. Ludzie, z którymi można było rozmawiać, czyli trzeźwi, należeli do zdecydowanej mniejszości. Trzeźwy pomiędzy pijanymi przekonuje się, czym jest samotność. Stanęli przed wyborem – upić się jak reszta lub iść do domu. Usiedli więc pomiędzy innymi mieszkańcami i z przyzwyczajenia odczekali godzinę, a następnie wrócili. Teresa powiedziała, że w przyszłym roku wyjdą z domu wcześniej.

Jacques, który za punkt honoru powziął sobie nauczenie swoich gospodarzy życia z fantazją, dziwił się, że wcale nie przeszkadzała im rubaszna atmosfera na festynie strzeleckim. „Zawsze gloryfikowali Empede. Mówili: »Przecież tu jest miło« – wspomina Jacques, udając oburzenie. – Jednak w Empede wszystko było do bólu nudne i przewidywalne. Gdy stamtąd wyjeżdżałem, miałem ochotę wywiesić tabliczkę: »Życie przynosi tylko niepokój«”.

Nadeszła jesień. Robert i Teresa przekonali się, że nawet sytuacje ekstremalne, jeśli trwają wystarczająco długo, potrafią przerodzić się w codzienność. W teorii Lara miała spędzić na oddziale intensywnej terapii tylko trzy tygodnie, jednak w praktyce w śpiączce pozostała półtora miesiąca. Tyle czasu minęło, zanim rodzice mogli wziąć ją na ręce i ujrzeć, jak porusza oczkami czy jak się uśmiecha. Wciąż żyli w strachu – mimo że saturacja od dłuższego czasu była wysoka i mimo że lekarze powtarzali, że powinni być dobrej myśli. Na oddziale co rusz pojawiała się dzieciątka, które przypominało im, jak kruche jest życie. Pewnego ranka zauważyli, że łóżeczko obok Lary jest puste.

– Gdzie jest Sandra? – spytała Teresa.

Nie doczekała się odpowiedzi. Dziś nie jest w stanie sobie przypomnieć, ile razy widziała śmierć dziecka – trzy, może cztery? Mimo to jej i Robertowi udawało się w całym tym piekle doceniać piękne chwile. Po blisko trzech miesiącach po raz pierwszy wyruszyli z córeczką na spacer – pchając wózek na balkonie.

Gondola wypełniona była zbiornikami z tlenem i aparaturą do mierzenia pulsu. Z noska Lary wystawał wężyk, przez który przyjmowała pokarm. Nagle urządzenie do mierzenia zawartości tlenu we krwi zaczęło piszczeć. Wyświetlacz wskazywał 64 procent.

– Da radę? – spytała pielęgniarkę. Mogła przejść się z wózkiem jeszcze tylko raz. Wspomina, że było to szczęściem, najczystszy szczęściem.

Kilka tygodni później Lara mogła trafić na oddział kardiologii – Teresa pamięta jak dziś: oddział 68b. Na drzwiach przyklejono narysowany przez dziecko obrazek przedstawiający kaczkę.

Robert zauważył, jak córeczka zmienia go jako bramkarza. Obserwował siebie samego.

– W dalszym ciągu – powiedział – denerwują mnie słabsze mecze. Nie mam jednak czasu, aby głowić się nad tym całym tygodniami.

Po meczu z Bochum, zakończonym wynikiem 3:0, pojechał bezpośrednio do kliniki. Po 0:1 z Herthą pędził do szpitala na oddział 68b. „Zadawał zawsze to samo pytanie – nieważne, czy danego dnia wygrał, czy przegrał, interesowało go tylko jedno: jaka jest zawartość tlenu, jak wysoki jest puls?” Najcenniejszych rzeczy w swoim życiu nauczył się dzięki depresji, Markserowi, Teneryfie i Larze.

– Teraz wiem, że błędy to część tego zawodu. Długo nie byłem w stanie tego zaakceptować.

Kiedy tylko udało mu się pogodzić z faktem, że jest niedoskonały, praktycznie przestał popełniać jakiegokolwiek błędy.

Hannover 96 zakończył rundę jesienną na zadziwiająco wysokim siódmym miejscu, a w 16. kolejce był nawet na czwartym miejscu. Trenerowi udało się stworzyć drużynę, której zawodnicy swoje dobre samopoczucie potrafili przekuć na efektywną grę. Przodował w tym zwłaszcza bramkarz. Piłkarze Bundesligi okrzyknęli Roberta Enke najlepszym bramkarzem rundy jesiennej, stawiając go przed Oliverem Kahnem. Przekaz był jasny: na Robercie można polegać. I nieważne, że tego rodzaju plebiscyty nie zawsze są rzetelne. Enke, który nie robił szumu wokół swoich zalet, stanowił dla kolegów z ligi bardziej oczywisty wybór niż wiecznie spięty i zdystansowany Oliver Kahn.

Pewnego dnia do Roberta zgłosił się trener reprezentacji Niemiec, Jürgen Klinsmann. Zaprosił go na podróż po Azji, jednak Robert odmówił. Nie konsultował tej decyzji z nikim, nawet z Teresą. W rozmowie telefonicznej od razu grzecznie odrzucił propozycję, tłumacząc, że nie może wyjechać aż na dziesięć dni. Musi zostać z córeczką. „Wzruszyło mnie, że nawet mnie nie spytał – wspomina Teresa – że opieka nad Larą była dla niego taką oczywistością”.

Robert Enke czuł, że jest kochany i cieszy się uznaniem. Tak było mu łatwiej, odpłacał się miłością i potrafił nawet przyznać się do błędu.

Jednak wielka wyrozumiałość nie na każdym polu była tak oczywista. W przypadku Jacques'a coraz trudniej jemu i Teresie przychodziło okazywanie zrozumienia. Odczucie, że są gośćmi we własnym domu, stawało się coraz silniejsze. Nie mogli nawet wnieść tam własnych mebli. W umowie kupna widniał zapis, według którego Jacques miał się wyprowadzić najpóźniej 1 października. Właśnie mijała połowa grudnia, a on nawet nie zaczął się rozglądać za nowym lokum.

– Po co zawracacie mi głowę umową, myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi! – krzyknął artysta, gdy pewnego dnia usiedli wieczorem w salonie i stwierdzili, że czas na wyprowadzkę. Przyjaciel Jacques'a co prawda już wyjechał, za to wpadła go odwiedzić córka z pierwszego małżeństwa.

– Jacques, czy ty nie rozumiesz, że nie możesz tu zostać na stałe? Przecież ty nawet nie zacząłeś myśleć o wyprowadzce.

– OK, to zaczynam szukać! – Poderwał się, pobiegł do kuchni i czym prędzej zaczął pakować swoje naczynia. – Widzicie, jak się pakuję?!

– Jacques, proszę...

– Ja tu daję z siebie wszystko, żeby mieszkać z wami w tym kurniku, z tym byłem, a wy mnie tak załatwiacie. Gdybym tylko o tym wiedział!

Teresie puściły nerwy. Robert, który zazwyczaj zachowywał spokój, gdy inni go tracili, nadaremnie walczył ze złością. Też nie był w stanie załagodzić sytuacji. Pałeczkę przejęła córka Jacques'a.

16-latką, wykazując się rozsądkiem i opanowaniem, odegrała pomiędzy dorosłymi rolę mediatora.

– On taki już jest, nie macie o co się denerwować – powiedziała Teresie i Robertowi. – Tato, chodź, pójdziemy na górę i spakujemy twoje rzeczy.

Jacques Gassmann rzeczywiście się wyprowadził. Początkowo poszedł mieszkać do przyjaciół, bo nie miał gdzie się podziać. Na odchodnym przygotował swoim gospodarzom niespodziankę.

Zadzwoiła matka Teresy z Bad Windsheim:

– To wspaniale, że organizujecie u siebie wernisaż! Sama przygotowujesz zakąski?

Jacques urządził wernisaż bożonarodzeniowy. Jeśli sprzedałby więcej swoich obrazów, to nie musiałby ich tak wiele zabierać z Empede. Zaproszenie otrzymała też matka Teresy, którą Jacques zdążył poznać. Była oczarowana jego pracami. Gassmann nie powiedział Teresie i Robertowi o swoim przedsięwzięciu. Przecież wernisaż miał się odbyć nie w samym domu, a w jego *atelier*...

Następnego dnia Teresa i Robert w milczeniu siedzieli w kuchni i przyglądali się, jak obcy ludzie buszują po ich domu i szukają łazienki.

– Co to ma być? – Teresa zwróciła się do męża. – Kiepski film? Czy nasze

zwyczajne, codzienne szaleństwo?

Mogli się już tylko śmiać.

Teresa tak podsumowała początki ich pobytu w Hanowerze: „To był piękny, ale i naprawdę trudny czas”.

Lara

Byli jedynymi gośćmi w sali mogącej pomieścić 200 osób. Przy prostych drewnianych stołach stały czerwone plastikowe krzesła, a pomiędzy nimi rozstawiono kwiaty, które w założeniu miały ożywić pomieszczenie. Robert i Teresa Enke spędzili Boże Narodzenie w stołówce szpitalnej. Pewnych szczegółów nie da się zapomnieć: podawano łososia z zielonym tagliatelle.

W ostatnich dniach ich znajomi, zupełnie bezwiednie, prostymi pytaniami sprawiali im ból.

– Gdzie spędzacie święta?

– W szpitalu.

Na dworze padał deszcz. Samotność i konieczność przebywania w tym miejscu, które przez cały ten czas powodowały przygnębienie, równocześnie pozwoliły im odczuć, że to Boże Narodzenie jest wyjątkowe. Mieli Larę, która właśnie spokojnie spała w swoim łóżeczku na oddziale 68b. Mieli siebie nawzajem. Teresa zrobiła zdjęcie posiłku – ich tegorocznej wigilii.

Robert Enke rozmawiał z Marco przez telefon, dzięki czemu czuł się, jakby był na urlopie. Rozmowy te pozwalały mu choć na krótką chwilę złapać oddech. Od chwili narodzin Lary również Teresa rozpoczęła regularnie dzwonić do Villów, których córeczka, Chiara, także niedawno przysłała na świat. Gdy Marco rozmawiał ze swoim przyjacielem o najróżniejszych sprawach związanych z ich pociechami, zrozumiał, dlaczego Robertowi tak dobrze idzie w Hannoverze 96. „Czuł, że jest wart jeszcze więcej, ponieważ troszczył się o Larę. Z tego poczucia własnej wartości czerpał niesamowicie dużo siły i dumy”.

Siłą, z jaką Robert walczył każdego dnia, napawała Marco dumą, ale i zmuszała do myślenia. Automatycznie zadał sobie pytanie, dlaczego sam w podobny sposób nie poradził sobie z presją obecną w profesjonalnym sporcie. W Arezzo grał rzadko, a w zimowym okienku transferowym miał odejść do Ferrary, czyli powrócić do trzeciej ligi. Czyżby teraz to jego czekały lata chude?

Gdy Marco przyjechał do Empede w odwiedziny, Robert zaprowadził przyjaciela do swojego biura. Regały sięgały aż po sam sufit; obok podręczników do nauki hiszpańskiego leżała skrzynia pełna zdjęć oraz segregatory podpisane: „Podatki”. Robert chwycił za jeden z nich.

– Zobacz, to mój depresyjny segregator.

Pokazał Marco swój pamiętnik, wiersz o krasnalu. Myślał, że ten czas może wspominać z uśmiechem.

W walentynki 2005 roku Lara wróciła do domu. Właśnie kończyła pięć i pół miesiąca. Rodzice urządzili dla niej pokój dziecienny. Trzymali ją na rękach, patrząc na jej sine usta. Musieli nieustannie być obok niej. Co trzy godziny podawali jej sondą przez nos pokarm w płynie. Gdy zaczynała pisać aparatura od saturacji, musieli się czym prędzej upewnić, czy poziom nasycenia tlenem nie spadł poniżej 60 procent. Jeśli tak by się stało, Lara natychmiast musiałaby wrócić do szpitala.

Przez pierwsze cztery dni Robert spał niewiele, a Teresa wcale. „Robbi cieszył się, że Lara jest w domu, ale ja straciłam nerwy – wspomina Teresa. – Odpowiedzialność i strach, że coś zrobię nie tak, wykańczały mnie”. Larę czekała jeszcze ostatnia z trzech operacji.

– Znowu zwymiotowała! – krzyknęła Teresa w rozpacz.

Właśnie źle podała pokarm Larze i zmuszona była karmić ją od nowa, co trwało w sumie półtorej godziny. Gdy wreszcie usiadła w kuchni, usłyszała buczenie aparatury. Jednak czy mogła być pewna, że naprawdę coś słyszy? Może to tylko jej wyobraźnia? Bezustannie biegała do pokoju Lary, aby sprawdzać, czy wszystko w porządku. Była urodzonym śpiochem, jak sama mówi, „wieczorne kładzenie się do łóżka, wtulanie się w poduszki i czytanie książki to najpiękniejsza chwila na świecie”. Od czasu narodzin Lary aż do dziś Teresa nie przespaa prawie żadnej nocy. „To zakorzeniło się we mnie tak głęboko, że inaczej nie potrafię”.

Po śmierci Roberta powszechne stało się przekonanie, że był on człowiekiem skazanym na pomoc i miłość Teresy. W rzeczywistości częściej pomagał innym, w tym Teresie, niż tej pomocy wymagał.

– Nie musisz podawać jej znów całej porcji. Na pewno nie zwróciła wszystkiego – powiedział i delikatnie odprowadził żonę od łóżeczka córki. – Wyświetlacz pokazuje 70 procent – dodał.

W rzeczywistości pokazywał jedynie 67 procent.

Gdy minęła czwarta doba Lary w domu, Robert powiedział, że to dobrze, że dziecko tak poważnie chore mogło trafić do dobrze sytuowanej pary. Zasugerował, żeby zatrudnić na noc pielęgniarkę, nawet jeśli ubezpieczenie nie zwróci za nią kosztów.

Pierwszy raz pielęgniarka pojawiła się 18 lutego, w dzień urodzin Teresy.

– Co będziesz dziś robić? – spytał Jörg po tym, jak złożył jej życzenia.

– Wyśpię się. W końcu się wyśpię – odparła. – Oto moje przyjęcie urodzinowe.

Z Larą w domu, dziewięć miesięcy po przeprowadzce, zaczęła patrzeć na ojczyznę z innej perspektywy. Przy kasie w supermarkecie Robert praktycznie nie nadążał z pakowaniem zakupów. Kobieta stojąca za nim myślała sobie, że powinien robić to szybciej, i nie rozumiała, dlaczego on się uśmiecha. Uśmiech nie był jednak skierowany do niej, a do jego własnych myśli. Przypomniało mu się, jak robił zakupy

w Lizbonie. Tam wszyscy ze stoickim spokojem czekali w kolejce, aż klient będący przy kasie spokojnie skończy rozmawiać z ekspedientką o nowym przepisie na tort malinowy.

Nie zwiedzali świata, bo mieli taką potrzebę, jedynie przypadek sprawił, że przez pięć lat wędrowali po południowej Europie. Mimo wszystko wracając do ojczyzny, odczuwali rozdarcie. Tęsknili za światłem Lizbony, za odgłosem fal uderzających o brzeg oraz uczuciem, że są w domu tak, jak miało to miejsce w Sant Cugat, gdy byli pośród przyjaciół. Robert często czytał w internecie nowinki dotyczące Benfiki oraz, co niechętnie przyznawał, „El Mundo Deportivo”, by dowiedzieć się czegoś o poczynaniach Barcy. Wspomnienia nie przytłaczały jednak ich spokojnej codzienności w Empede. Było tu ładnie – bezkres pól oraz spokój lasu. Można było wyprawiać się z Larą na dalekie spacer, można było zapukać do zaufanych sąsiadów, można było robić to, na co miało się ochotę... robić to, co zapewne robią normalni rodzice.

Żyjąc w nieustannym biegu, pomiędzy boiskiem treningowym a oddziałem intensywnej terapii, nie znaleźli czasu na poznawanie nowych ludzi. Pewnego razu do kliniki zajrzeli Thomas Christiansen oraz jego żona Nuria. Już po chwili Thomas czuł, że musi wyjść. Nie był w stanie znieść drastycznego widoku chorych, cierpiących dzieci.

Christiansen był w połowie Duńczykiem, a jego matka pochodziła z Hiszpanii. Robert Enke bardzo często z nim rozmawiał, dla samej radości używania hiszpańskiego. W środy, gdy drużyna miała dwa treningi, grupka zawodników zawsze zostawała na stadionie. W końcu odzyskali swój obiekt. Mogli się przebierać w szatni, jak na zawodowych piłkarzy przystało, jednak sąsiadujące z nią pomieszczenie nie wyglądało zbyt przytulnie. Po kątach porozstawiane były puste skrzynki po napojach, a w powietrzu unosił się zapach pasty do butów. To było królestwo Mille. W żargonie piłkarskim osoba zajmująca się tym, czym Michael Gorgas, czyli Mille, nazywana jest dozorcą sprzętu. Do jego zakresu obowiązków należy dbanie o buty i stroje piłkarskie. W środę po treningu Mille odgrzewał piłkarzom parówki i częstował piwem o smaku cytrynowym, które składował w lodówce. Piłkarze nazywali jego królestwo szatnią dwa. To tu rodził się sukces.

Po pierwszym sezonie Roberta Hannover 96 plasował się w tabeli na dziesiątym miejscu. Dla klubu, który odzwyczaił się od sukcesów, wynik ten był wyśmienity. Trener, człowiek niezwykle przenikliwy, prędko dostrzegł zawodników – Pera Mertesackera, Roberta Enke oraz Michaela Tarnata – którzy mogli sprawić, że drużyna stanie się jeszcze lepsza. Poukładał obronę i stworzył choreografię dla ataku. Styl, jaki prezentował Hannover, nie był wyjątkowy, wyróżniał się jednak przejrzystością. Wysiłki Lienena poszłyby jednak na marne, gdyby nie organizował wspólnych posiłków czy wypadów do zoo. W szatni dwa siedział tron drużyny.

Piłkarze szli tam tuż po wizycie w saunie, owinięci jedynie ręcznikami. Michael Tarnat, Frank Jurić, Vinícius, Robert Enke oraz kilku innych, w sumie około dziesięciu piłkarzy, do których później dołączyli Hanno Balitsch, Szabolcs Huszti oraz Arnold Bruggink, spędzali czas na żartowaniu i psoceniu. To sprawiło, że wytworzyła się między nimi silna więź.

– Mille, założę się, że nie zjesz w pół godziny 15 hot dogów – rzucił jeden z zawodników.

Mille połknął haczyk. Piłkarze chwycili po piwie. Mille wmusił w siebie 13 bułek.

– Chodź, zrobimy wyścig siedmiodniowy – zaproponował ktoś inny.

Ustawili przeszkody: wiadra, skrzynki z wodą oraz piłki, a Mille jeździł pomiędzy nimi na rowerku.

– Szybciej, Mille, szybciej! – kibicowali.

Za koszem na śmieci Mille wziął ostry zakręt i stracił równowagę, jednak śmiał się razem z pozostałymi. Uważał, że bycie błaznem to najważniejsze zadanie dozorcy.

– Odnoszenie sukcesu jest wspaniałe. Jednak gdy odnosisz go z przyjaciółmi, to jest jeszcze wspanialsze – mówił o tamtych chwilach Robert Enke. – Tak zżyte drużyny to w piłce nożnej prawdziwa rzadkość.

W szatni zajmował miejsce obok Michaela Tarnata, 36-latek, który miał na koncie grę podczas mistrzostw świata w 1998 roku, a zanim związał się z Hannoverem, występował w Bayernie Monachium. Jego wizja odnośnie do prawidłowego funkcjonowania drużyny pochodziła jeszcze z czasów Stefana Effenberga. Gdy podczas treningu 20-letni Jan Rosenthal nieudanie wykonał kiwnięcie piętą, Tarnat sfaulował go przy najbliższej okazji, chcąc, by młody piłkarz szybko dostosował się do tego stylu gry. Po nieudanym meczu Robert Enke położył dłoń na ramieniu Jana, by dodać mu otuchy, gdy zauważył, że stoi przygnębiony w toalecie i opiera się o umywalkę.

Nie zgadzał się z bezwzględny podejściem pokolenia Effenberga, jednak teraz, inaczej niż w czasach Mönchengladbach, nie był ofiarą, a oprawcą. Michael Tarnat był jednym z jego najlepszych kolegów w drużynie. Robert miał pewność, że jego bezkompromisowy sposób bycia często pomagał drużynie. Dobrze pamiętał pytanie, jakie stawiał sobie osiem lat wcześniej, w Mönchengladbach: czy musiał taki być? Nie musiał i nie chciał.

W szatni numer dwa na swój sposób odkrył piłkę nożną. Wcześniej ograniczał się tylko do specyficznych zadań bramkarza. Teraz zaczął przysłuchiwać się, jak ze sobą dyskutują Tarnat i Balitsch. Zaczął myśleć o grze jak trener: czy defensywny pomocnik powinien częściej włączać się do ataku? Czemu prawy obrońca nie dogrywał więcej poprzecznych podań do oddalonego od siebie stopera, aby obejść pressing przeciwnika? Jak prawie wszyscy, którzy w pewnym momencie zaczęli traktować piłkę jako strategię, Robert nagle poczuł, że otwiera się przed nim nowy,

fascynujący świat. Równocześnie zorientował się, ile stracił, postrzegając futbol w dotychczasowy, powierzchowny sposób.

Piłka nożna, która w każdy weekend pozornie jednoznacznie dzieli świat na zwycięzców i przegranych, często nawet najbardziej przenikliwych obserwatorów skłania do swego rodzaju generalizowania. Robert musiał to przyznać w 2005 roku, zaraz na początku swego drugiego sezonu w Hannoverze. Drużyna z trudem utrzymywała się w połowie ligowej stawki. Biorąc pod uwagę możliwości klubu, wynik ten był zadowolający. Jednak nikt prócz zawodników zgromadzonych w szatni numer dwa nie zadawał sobie trudu, by postrzegać piłkarzy przez pryzmat ich możliwości, a jedynie przez pryzmat świetnego dziesiątego miejsca z poprzedniego sezonu. Do drużyny dołączyli członkowie reprezentacji, Hanno Balitsch oraz Thomas Brdarić – czy z nimi gra nie powinna wyglądać jeszcze lepiej? Zamiast tego pod koniec października, w Bielefeld, zespół przegrał 1:4, a tydzień później było jeszcze gorzej: po upływie 65 minut drużyna przegrywała z Mainz 0:2. Kibice krzyczeli:

– Mamy dość! Lienen musi odejść!

Zawodnicy skupieni wokół szatni numer dwa wiedzieli, że ich zespół przechodzi jedną z tych faz, w której niewiele się udaje i które są typowe dla drużyn średniej klasy. Zauważyli jednak również, że menedżer zespołu, Ilja Kaenzig, nie traktuje tego w ten sposób. Pod presją kibiców liczących na coraz lepsze wyniki Kaenzig postanowił, że przy przegranej 0:2 zwolni trenera. Ich trenera!

Ewald Lienen dla swoich zawodników był wyrozumiały niczym ojciec. Nie poprawił szczególnie swojej sytuacji, prezentując się w mediach dość nieporadnie.

Cztery minuty przed końcem meczu Brdarić trafił na 1:2, strzelając karnego, a w ostatniej minucie spotkania piłkę do siatki na 2:2 wbił Michael Tarnat. Wszyscy piłkarze w euforii rzucili się na trenera. Robert Enke miał co prawda do pokonania najdłuższą drogę, ale dzięki temu mógł wskoczyć na sam szczyt.

Kaenzig zawahał się.

Jedynie silny psychicznie i przede wszystkim kompetentny menedżer nie podda się presji okrzyków”: „Trener musi odejść!”. Niewielu waha się w chwili, gdy stawką jest walka o utrzymanie. Jednak w zespole pewne schematy gry wciąż działają, a w drużynie niezmiennie panuje dobra atmosfera. Klub pokona te trudności, a trener pozostanie.

Dwa dni po remisie 2:2 Kaenzig rozmawiał z trenerem przez trzy godziny. Doszedł do wniosku, że należy podjąć jeszcze jedną próbę.

Gdy następnego dnia Lienen przebierał się w strój treningowy, w progu stanął Kaenzig. Powiedział, że jest mu przykro, ale jednak zdecydował się go zwolnić.

Drużynę wezwano do sali obrad. Zawodnicy byli wściekli.

– Nie mamy sytuacji kryzysowej, ale poddaliśmy się stagnacji – argumentował menedżer. Piłkarze siedzieli przed nim ze skrzyżowanymi rękoma. Profesjonalista jest

zobligowany do tego, aby bez dyskusji przyjąć decyzje swojego przełożonego. Jeśli wymaga tego sytuacja, musi również działać wbrew własnemu rozsądkowi. Jest to niepisana zasada w piłce nożnej. Nagle Robert Enke wstał i przemówił spokojnym, wyraźnym głosem:

– Jako pracownicy klubu musimy uszanować tę decyzję. Jednak sposób, w jaki trener został wyrzucony, jest nie do przyjęcia. To naprawdę było w bardzo złym stylu.

Konflikty w dalszym ciągu były dla niego nieprzyjemne. Wzmocniony po przebytej depresji wiedział, że może się nimi zanadto emocjonować. Mimo to czuł się w obowiązku wziąć stronę trenera.

W lutym 2006 roku, w wieku 16 miesięcy, Lara miała za sobą trzecią operację serca. Lekarze orzekli, że faza zagrożenia życia minęła. Rodzice z dumą obserwowali swoją córeczkę. Lara miała blond włosy jak ojciec, jednak oczy odziedziczyła po matce. Kilka miesięcy później niż inne dzieci wreszcie nauczyła się siedzieć. Pewnego dnia oparła się o stołek i starała się ustać na swoich chwiejnych nóżkach. Gdy rodzice z nią rozmawiali, zaczynała otwierać buźkę, jakby chciała coś powiedzieć, nie wypowiadała jednak żadnych słów.

– Lara nigdy nie będzie w pełni zdrowa – powiedział mi Robert. Jego głos był rzeczowy i spokojny, jednak dało się w nim wyczuć, na przekór wypowiedzianym słowom, pewność, że jego dziecko może osiągnąć wszystko.

Lara często się śmiała – gdy widziała psa, gdy Robert stroił miny, gdy Teresa zakładała czapkę... Dla Eli, gospodyni, Lara była po prostu dzieckiem, które nie karmi się łyżeczką, a sztucznie, przez sondę. Była dzieckiem, które jeszcze nie potrafi chodzić. Ela opiekowała się Larą bez oporów przed dotykaniem jej i bez strachu, że zrobi jej krzywdę. Zabierała małą na zakupy, pozwalała się jej bawić z innymi dziećmi. Pokazała Robertowi i Teresie coś wyjątkowego: że nawet Lara może prowadzić swego rodzaju normalne życie.

W marcu Hannover 96 pokonał 1. FC Köln 1:0 i wspiął się na siódme miejsce w tabeli. 37 tysięcy kibiców na trybunach szalało z radości. Robert Enke, nie zdejmując rękawic, zabrał Larę z ramion Teresy i przebiegł z nią rundę honorową.

– Ten widok był dla mnie spełnieniem – wspomina Teresa. – Udało nam się: przetrwaliśmy zarówno depresję, jak i operacje serca, sportowo znów szło lepiej, a jako para pozostaliśmy szczęśliwi. W tamtej chwili najchętniej zatrzymałabym czas.

Nadeszło upragnione lato roku 2006. Świeciło piękne słońce, a w Niemczech miały się odbyć mistrzostwa świata. Robert Enke został nominowany do kadry jako czwarty bramkarz na wezwanie. W żargonie określa się to stanem gotowości. Jeśli stałoby się coś dwóm z trzech bramkarzy, musiałyby on dołączyć do drużyny. Było to bardzo mało prawdopodobne. Inni uważali, że gdy nie możesz być częścią zespołu, a powinieneś być w gotowości, jesteś wręcz poniżany. Napastnik Schalke 04 Kevin

Kurányi powiedział nawet, że nikt nie musi go wzywać, bo jedzie na urlop. Robert Enke stał w ogrodzie, dumny z pozornej nominacji, i mocował się z parasolem.

Na moich kolanach siedziała Lara. Podczas gdy Teresa poszła na chwilę do domu, Robert zwrócił się do mnie:

– Jeśli poczujesz, że ręce Lary są zimne, to proszę, nie mów nic Teresie, bo się strasznie zmartwi. Tak się boi o te zimne rączki.

Larze wszczepiono sondę PEG – od tej pory mogła być już karmiona bezpośrednio przez ścianę brzuszną, a nie przez nosek. Po podaniu jej mleka rodzice nie musieli już za pomocą stetoskopu każdorazowo sprawdzać po karmieniu mlekiem, czy rzeczywiście dotarło ono do żołądka, a nie do płuc.

Bez węzyka w nosku Lara od razu wyglądała na zdrowszą. Idąc na spacer, pakowali do torby mleko, strzykawki, tabletki, pulsoksymetr – na wszelki wypadek. Wsadzali córeczkę do nosidełka, zabierali psy i wspólnie szli na łąkę. Na chwilę zapominali o wiecznym zegarze w głowie, który podpowiadał, że za godzinę jest sondowanie, a za półtorej spanie. Pewnego wieczoru pozwolili pospać Larze dłużej, niż mieli to ustalone. Było to tylko pół godziny, jednak dla nich trwało to wieczność.

Odezwał się telefon Roberta – a na wyświetlaczu pojawił się numer Jörga Neblunga. Przyjaciel chciał z nim porozmawiać o przedłużeniu kontraktu w Hannoverze, który za rok dobiegał końca. Klub chciał jak najszybciej podpisać nową umowę, jednak istniały również inne kuszące propozycje – interesował się nim na przykład Hamburger SV. Norbert Ziegler, szef skautów Bayeru Leverkusen, został wysłany przez klub, by przyjrzał się grze Roberta. W Bayerze między słupkami stał Hans-Jörg Butt, który miał już 32 lata. Włodarze klubu zaczęli się rozglądać za jego następcą, mimo że w ich szeregach znajdował się młody, obiecujący bramkarz młodzieżowej reprezentacji Niemiec, René Adler. Nigdy jednak nie wiadomo, czy młody talent w przyszłości spełni pokładane w nim nadzieje.

– Oczywiście mógłbym przejść do większego klubu, jeślibym tego chciał – powiedział Robert Enke, stojąc w swoim ogrodzie. – Jednak jeśli w Hannoverze zgromadziliby odpowiednie fundusze na moją pensję, to myślę, że mógłbym zostać.

Lara siedziała na trawie i przyglądała się psu.

Przy ogrodzeniu stanął, jak niemal codziennie, upośledzony mężczyzna z wioski, który liczył na to, że usłyszy słowo bądź uchwyci gest swojego idola. Robert stwierdził, że musi poważnie porozmawiać z tym dobrym człowiekiem. Przecież nie może codziennie przez wiele godzin stać pod jego drzwiami! Podszedł więc i spytał:

– Jak się czujesz?

Następnie zaczął z nim spokojnie rozmawiać.

Później wspólnie weszliśmy do domu, bo za chwilę miał zacząć się mecz: Włochy przeciwko USA. Robert chciał podpatrzeć grę wielkiego Buffona.

– Niestety rzadko można mu się przyjrzeć, bo praktycznie wcale nie ma pracy –

stwierdził.

– Oczywiście ogląda wszystkie mecze mistrzostw – utyskiwała Teresa, gdy szliśmy do domu.

– No co? Nie oglądałem, jak Korea Południowa grała z Togo.

W domu, obok wielu kolorowych i żywych zdjęć, leżało wiele czarno-białych obrazów autorstwa Jacques'a Gassmanna. Od chwili, gdy Jacques się wyprowadził, Robert zauważył, że ma coraz lepszy stosunek do artysty, który w pewnym sensie był jego artystą.

„Musiałem zweryfikować moje zdanie o nim”, powiedział Jacques Gassmann. Gdy mieszkał jeszcze u swoich gospodarzy, wieczorami przesiadywał przy stole w kuchni z Teresą, bo najwyraźniej Robert miał go dość. Teraz Robert Enke odbierał pocztę dla Jacques'a. Wielokrotnie trafiały do nich powiadomienia z policji – raz dotyczyły bójki w myjni samochodowej, innym razem mandatu za przekroczenie prędkości. Od czasu do czasu urząd skarbowy musiał mu przypominać, że istnieje takie coś jak deklaracja podatkowa. Jacques kursował między Hanowerem a Polską, jednak poczta do niego w dalszym ciągu przychodziła do Empede.

– Jeśli będziesz taszczył za nim listy, to nigdy się nie nauczy, że w życiu należy się troszczyć o pewne sprawy – upominała męża Teresa.

On jednak był zdecydowany, aby pomóc „swojemu” artyście w poukładaniu własnego życia. Czasami dzwonił do niego i próbował się umawiać na przekazanie korespondencji. Pewnego razu wysłał mu bardzo długi SMS z Arabii Saudyjskiej, gdzie akurat grał. Chciał mu tylko przypomnieć, że w następnym tygodniu mija termin zapłaty mandatu w wysokości 60 euro, przypomniał też numer referencyjny... SMS-y do Jacques'a zawsze zaczynał tymi samymi słowami: „Wielki Mistrzu!”.

„Czasami zaangażowanie Roberta wydawało mi się dziwne – wspomina Jacques. – Czy nie łatwiej by mu było zapłacić te 60 euro za złe parkowanie, zamiast wysłać ten długi SMS z Arabii Saudyjskiej?”



Lato 2006 roku. Robert i Teresa z Larą

Robert nie zważał, że Jacques sądził, że mimo iż przyjaciel chce dobrze, tak naprawdę nie powinien się troszczyć o jego pocztę.

– Jacques, jesteś taki roztrzepany, że nawet jeśli sam postarasz się tym zająć, to i tak ci to nie wyjdzie – przekonywał.

Jacques zrozumiał wówczas, o co tak naprawdę chodziło Robertowi: „Te mandaty były pępowiną łączącą go ze mną. Potrzebował nieustannych pretekstów, żeby móc do mnie się odezwać. Gdy dzwonił, rozgadywaliśmy się”.

Nie istniało nic, co by ich łączyło, nie licząc tych pięciu miesięcy spędzonych pod jednym dachem. Gdy spotykali się na przekazanie poczty, Jacques zaczynał mówić o bramkarzach, mimo że nie miał na ten temat zielonego pojęcia, a Robert Enke wypytywał go o sztukę, na której kompletnie się nie znał. Jacques specjalnie kupił sobie telewizor, aby móc oglądać mecze. Robert poszedł do kościoła St. Johannis w Bemerode, aby obejrzeć wystawę *Apokalypse*. Właśnie dlatego, że artysta był całkowicie inny niż on sam, lubił się z nim spotykać. Może to właśnie jest powód, dla którego Jacques Gassmann denerwuje się, że nigdy nie opowiedział Robertowi Enke najważniejszego – swojej historii.

Otrzymał stypendium muzeum Sprengel, a media donosiły, że oto na artystycznym firmamencie wschodzi nowa gwiazda. „Ludzie mówili, że teraz mam wszystko. Ja uważałem, że mam tylko presję”. Pewnego dnia poczuł ból w klatce piersiowej i od razu pomyślał, że ma raka płuc. Tak naprawdę były to jedynie

zakwasy po windsurfingu... „Szczęście nie polega na tym, by znaleźć się na samym szczycie”, mówi dzisiaj. Więc na czym polega? „Szczęściem jest umiejętność rozpoznania, ile presji jest się w stanie znieść. Szczęściem jest odcięcie się od ludzi, którzy ubóstwiają w tobie kogoś, kim nie jesteś. Nie należy starać się przypodobać się tym ludziom. Nie wolno bezustannie przejmować się tym, aby wyglądać pewnie”.

Jacques Gassmann mieszka teraz w Würzburgu. Jego głównym zleceniodawcą został proboszcz Kościoła Katolickiego. „On daje czadu!”, mówi Jacques. Na jego niebieskich džinsach widnieje mała biała plamka. Każdy, kto nie zna jego zawodu, mógłby pomyśleć, że to drogi, supermodny model. „To właśnie uważałem w Robercie za interesujące: wyglądem coraz bardziej upodabniał się do klasycznego piłkarza. W Hannoverze zaczął nosić mocno rozpiętą koszulę, spodnie spinał paskiem z tłoczonymi wzorami i po raz pierwszy jeździł autem na pokaz – wielkim mercedesem. Jednak w głębi serca pozostał sobą”. Pewnego razu Jacques dostał „bardzo wzruszający list”, podpisany przez Teresę i Roberta.

– Dziękuję za piękny list – powiedział Teresie podczas następnej rozmowy telefonicznej.

– Co? Jaki list? O czym ty mówisz? – zdziwiła się.

Okazało się, że Robert napisał go sam.

Latem 2006 roku upał był niemożliwy. Mimo to Teresa i Robert wyruszyli tam, gdzie słońce grzało jeszcze mocniej: do Lizbony. Instytut Goethego, z okazji mistrzostw świata, zaprosił ich na organizowaną przez siebie wystawę. Po raz pierwszy od czterech lat udali się do Portugalii. Gdy jeszcze w samolocie z lotu ptaka ujrzeli miasto, Teresa się rozpląkała.

– Co się stało? – zaniepokoił się Robert.

– Jestem tak szczęśliwa – powiedziała, po czym zacytowała zdanie, o którym zapomnieli na całe lata: – *É bom estar aqui*. – „Dobrze jest tu być”. Pierwsze słowa, jakie Robert wypowiedział po portugalsku.

Robert chciał od razu wyruszyć do Cascais, nad morze, do Estoril, do La Villi, do Pálacio Fronteira, do *Blues Café*. „Wspaniale było móc iść przy jego boku i poznać: tu jest w domu”, powiedział Paulo Azevedo, organizator wystawy. Często musieli się zatrzymywać, ponieważ przechodnie zaczepiali Roberta. Przekonywali go, że musi wrócić. „Co ciekawe, byli to zarówno kibice Benfiki, jak i Sportingu i Porto. Wszyscy jak jeden mąż powtarzali: »Człowieku, wracaj« – opowiada Azevedo. – Kibice Sportingu dodawali: »Tylko tym razem graj u nas«”. To dowodzi, jak uwielbiany był w Portugalii”. Rzadko zdarza się, aby w imprezach organizowanych przez Instytut Goethego brało udział więcej niż 50 osób, jednak na spotkaniu dyskusyjnym z Robertem Enke pojawiło się aż 800 słuchaczy! Jedna z portugalskich stacji telewizyjnych transmitowała na żywo.

Robert bez bólu mógł wspominać, że czas w Lizbonie był niesamowity. Życie w Hanowerze pomogło mu pogodzić się z jego drogą.



Robert Enke ze swoim nowym przyjacielem Paulo Azevedo podczas oglądania meczu mistrzostw świata

Mimo że Lara była z nimi w Empede już od półtora roku, w klinice wciąż czuła się jak u siebie w domu, ponieważ regularnie jeździli tam na badania. Pewnego dnia lekarze mieli dla nich zaskakujące wieści: Lara nie słyszała. Wszystko wskazywało jednak na to, że nerw słuchowy nie został uszkodzony, dzięki czemu należało pomyśleć nad wstawieniem implantu ślimakowego. Nawet z aparatem słuchowym minęłyby dwa, a nawet może trzy lata, zanim Lara nauczyłaby się słyszeć, najważniejsze jednak, że było to możliwe. Teresa i Robert przesunęli operację na wrzesień, aby 31 sierpnia mogła świętować swoje urodziny w domu.

Sezon ligowy 2006/07 trwał już w najlepsze, a dla Roberta rozpoczynał się trzeci rok gry w Hannoverze. W minionych rozgrywkach jego zespół zajął, po zwolnieniu Lienena, 12. miejsce w tabeli. Było to solidnym osiągnięciem, jednak w Robercie Enke zwolnienie jego mentora coś poruszyło. W rozmowach przyznawał wprost:

– Z Lienenem wyszliśmy na prostą.

Co do jego następcy, Petera Neururera, Robert pozostawał sceptyczny:

– Fajnie byłoby, gdybyśmy trenowali coś innego niż rzuty różne...

Z wytrenowanymi rzutami różnymi i średnio uporządkowaną obroną Neururer od lat osiągał w lidze jedynie krótkotrwałe efekty. Nie inaczej było w 96: po zaledwie

trzech kolejkach, gdy drużyna znajdowała się na ostatnim miejscu w tabeli, pozbawiono go stanowiska. Jego następcą został Dieter Hecking.

Pierwszy mecz pod wodzą nowego szkoleniowca przypadł akurat na dzień operacji uszu Lary. Robert Enke po raz kolejny musiał być myślami w dwóch miejscach: na boisku oraz na sali operacyjnej. Lekarze przekonywali, że w porównaniu z zabiegiem na otwartym sercu ta operacja nie będzie tak przerażająca. Na stadionie czekał go trudny test: jeśli nie udałoby im się wygrać pierwszego spotkania pod wodzą nowego trenera, z VfL Wolfsburgiem, to na dobre mogliby utknąć w walce o utrzymanie.

Wraz z drużyną przebywał w hotelu. Teresa była w tym czasie przy córce, w szpitalu. Lara leżała już na stole operacyjnym. Lekarze sprawdzili parametry – puls, ciśnienie, natężenie tlenu we krwi. Stan Lary był stabilny, więc mogli rozpocząć zabieg. Po umieszczeniu pierwszego implantu ślimakowego uznali, że Lara wytrzyma również zabieg na drugim uchu.

W Wolfsburgu trener podał ustawienie meczowe. Thomas Brdarić, ośmiokrotny reprezentant kraju, oraz Altin Lala, aktualny kapitan, powrócili do składu. Z powodu typowego piłkarskiego konfliktu, którego przyczyn nikt nie był w stanie pojąć, Neururer tydzień wcześniej odsunął tę dwójkę od kadry.

Wczesnym wieczorem lekarze przekazali Teresie, że wszystko jest w porządku. Obydwie operacje przebiegły bez komplikacji, a układ krążenia małej był stabilny. Głowa Lary była owinięta bandażem. O 20.00 zakończył się czas odwiedzin, więc Teresa udała się do domu. Robert rozpoczął mecz przeciwko Wolfsburgowi.

Szybko przekonali się, że trener o odpowiednich zdolnościach komunikacyjnych może zmienić oblicze drużyny w zaledwie tydzień. Nic w piłce nożnej nie jest trudniejsze do pojęcia niż jasne wskazówki. Jednak gdy Dieter Hecking tłumaczył mechanizmy w obronie, nagle wszystko, co przez całe tygodnie stanowiło problem, stało się jasne. Z porządkiem w defensywie 96 kontrolowało przebieg meczu w Wolfsburgu, a piłka nie opuszczała środka pola.

Brdarić strzelił na 1:0. W odpowiedzi szybko padła bramka na 1:1. Teresa włączyła telewizor, a gdy Robert trafił gola, odruchowo wstrzymała oddech. Podczas oglądania powtórki przekonała się, że nic nie mógł zrobić – Brdarić strzelił na 2:1 dla Hannoveru i drużyna Roberta po raz pierwszy w tym sezonie wygrała. Teresa położyła się do łóżka i niemal natychmiast zasnęła.

Następnego ranka, o 8.00, w klinice pojawił się Robert. Lara w nocy wymiotowała, ale pielęgniarka zapewniała, że wszystko jest w porządku. Postanowili czuwać nad Larą na zmiany – Robert w nocy, a Teresa w ciągu dnia. Dziewczynka w dalszym ciągu spała, osłabiona narkozą. Robert zaczął przeglądać prasę. „Neururer nikogo już w Hannoverze nie interesuje”, powiedział dwukrotny strzelec bramki Thomas Brdarić w rozmowie z „Hannoverische Allgemeine”. O Robertcie Enke nikt

nie wspominał – jak zawsze, gdy solidnie wykonywał swoją pracę. Napisano jedynie: „Enke nie musiał się przemęczać”.

Teresa poszła pobiegać po polach. Po południu wymieniła Roberta, który wrócił do Empede, by obejrzyć mecze Bundesligi. Bayern tego dnia naprawdę był bliski przegrania z Bielefeld, a Dortmund poległ z Hamburgiem i widać było, że brakuje im wybitnego bramkarza. Najpóźniej podczas przerwy zimowej miało się okazać, czy Robert Enke zostanie w Hannoverze, czy też odejdzie.

– Wszystko w porządku – powiedziała Teresa, gdy wrócił, aby czuwać nad Larą w nocy. – Postaraj się jednak ją nakarmić. Nie udało mi się dać jej za dużo.

Niewielkie ilości jedzenia, na przykład łyżeczkę kaszki, Lara przyjmowała już normalnie, nie przez sondę. Stały pokarm, jak kawałek chleba, brała jednak do ust, a następnie wypluwała – nie wiedziała, jak należy łykać. Czasami rodzice dawali jej czerwony lizaczek, który mogła possać. Tym razem polizała go dwa razy i oddała Teresie. Czy był to znak, że źle się czuje po operacji, czy po prostu zwyczajny dziecięcy humor?

Wieczorem, w Empede, Teresa przygotowywała sobie pizzę. Pomyślała, że fajnie jest, że sprawę z implantem mają już za sobą. Jak to będzie, gdy Lara w końcu będzie mogła z nimi rozmawiać? W klinice Robert w dalszym ciągu starał się podawać jej pokarm sondą, jednak Lara nie przyjmowała zbyt dużych ilości. Nie widział w tym niczego niepokojącego – w końcu coś zjadła. Około 22.00 zadzwoniła Teresa. Robert powiedział, że wszystko jest w porządku, a Lara śpi.

Pozwolono mu zostać na noc w pokoju córki. Po godzinie czy dwóch zauważył, że Lara jest niespokojna i przewraca się na boki. Położył dłonie na jej ciałku, próbując ją uspokoić. Jej ciało było zimne. Aby czymś się zająć, aby robić cokolwiek, zaczął jej podawać pokarm przez sondę. O północy zawołał opiekę ze zmiany nocnej.

Lekarz podał dziewczynce leki przeciwbólowe, ponieważ był przekonany, że odczuwa ból po operacji. Lara zasnęła razem z Robertem.

Wstał koło 5.00. Obok łóżeczka stała pielęgniarka, która coś kręciła koło pulsoksymetru. Miernik pokazywał zerową linię. Pielęgniarka powiedziała, że zapewne nie działa czujnik. Jej ruchy były spokojne i opanowane.

Wymieniła czujnik na nowy, jednak i tym razem miernik nie wyczuwał bicia serca. Pielęgniarka nerwowo zaczęła reanimować dziewczynkę. Zawołała lekarza, który wezwał ordynatorkę oddziału intensywnej terapii.

– O kogo chodzi? – spytała lekarka.

– O Larę Enke.

Lekarka osłupiała. Przecież po południu stan dziewczynki był stabilny.

Pielęgniarka poprosiła Roberta, by wyszedł na balkon. Próbował dodzwonić się do Teresy, ona jednak zostawiła komórkę w kuchni i nie słyszała dzwonka, śpiąc

w sypialni. Zadzwoił więc szybko do gospodyni i poprosił ją, aby czym prędzej obudziła jego żonę. Była 5.15, 17 września 2006 roku. W końcu Teresa odebrała.

– Nie ma Lary – powtarzał Robert. Tylko tyle był w stanie powiedzieć. – Nie ma Lary.

Później zrobiło się ciemno.

Gdy o 6.00 Teresa wchodziła tylnymi drzwiami do szpitala – bo właśnie idąc tamtędy, mogła najszybciej dostać się do swojej córki – zorientowała, że nieprzytomnym mężczyzną leżącym na krawężniku obok wejścia jest jej mąż.

„Jeszcze w drodze powrotnej ze szpitala powtarzaliśmy sobie: »Życie toczy się dalej«. To stało się naszym mottem”, opowiada Teresa. W porannych radiowych wiadomościach podano informację: „Umarła córka Roberta Enke. Przyczyną śmierci była prawdopodobnie niewydolność serca”.

Zadzwonili do rodziny i przyjaciół. Wszyscy zgodnie wspominają, że byli nadzwyczaj opanowani. Prosimi bliskich, żeby nie przyjeżdżali do Empede. Przez pierwsze dni po śmierci córki chcieli być tylko we dwoje.

Trumnę Lary trzymali w domu. Dzieci ze wsi przyszły pożegnać się z ich córką. Jedna z dziewczynek w wieku wczesnoszkolnym spytała:

– Co się teraz stanie z tymi pięknymi zabawkami?

Teresę z jednej strony to dotknęło, lecz z drugiej sprawiło, że uśmiechnęła się do siebie. U dzieci wszystko jest takie proste, a wypełnione zabawą życie po prostu toczy się dalej. Robert stał obok jak głuchy, jakby myślami był gdzieś daleko.

Podczas mszy dzień po pogrzebie Lary Teresa zauważyła, że coś w nim się dzieje.

– To co, jutro trening czy raczej nie? – zapytał łamiącym się głosem.

– Oczywiście, Robbi! Idź na trening.

– Tak uważasz?

– Pewnie. Jeśli ci to pomoże... Piłka nożna jest częścią naszego życia. Postaraj się wrócić do codzienności.

– A co z weekendem?

– Graj.

– Tak...?

– Robbi, to, czy zagrasz w ten, czy w następny weekend, niczego nie zmieni. Oprócz tego, że im dłużej będziesz czekał, tym trudniej ci będzie wrócić.

Dwa dni później, we wtorek, Robert pojawił się na treningu. Wokół niego panowała cisza – gdziekolwiek się nie pojawił, ludzie wokół milkli. W szatni stanął pośród kolegów i zakomunikował, że ma wszystkim coś do przekazania. Większość piłkarzy wpatrywała się w podłogę.

– Jak wszyscy wiecie, zmarła Lara. Proszę, nie bójcie się kontaktu ze mną,

otwarcie ze mną rozmawiajcie, pytajcie, jeśli chcecie. Obchodźcie się z jej śmiercią w sposób naturalny.

Sprawa miała wrażenie silnego i pewnego siebie.

„To przemówienie było poruszające – wspomina Tommy Westphal. – Później nikt go jednak o Larę nie pytał. Nikt z drużyny nie był w stanie do niego przemówić w inny sposób, niż wyrażając swoje współczucie. Miałem wrażenie, że piłkarzom było pod pewnymi względami trudniej niż jemu”. Jak mieli ze sobą rozmawiać, jeśli wśród nich był Robert? Czy mogli się w ogóle śmiać?

Rodzicom i przyjaciołom wcale nie było łatwiej. Jak mieli wyrazić swoje wsparcie, skoro Robert i Teresa nie chcieli nikogo widzieć?

Matka Roberta wybrała się w góry. Dzień po śmierci Lary był piękny i słoneczny, jakby trwała pełnia lata. Gisela Enke dopilnowała, żeby wypić dużo wody, zanim wyszła na szlak. Bardziej maszerowała, niż spacerowała – jakby chciała uciec przed straszną wiadomością. W pewnym momencie przewróciła się. Lecz nawet nie próbowała wstać. „Leż spokojnie – powiedziała sobie w myślach – i tak nikt tędy nie przejdzie”.

W domu napisała list do Teresy i Roberta – w imieniu Lary: „Tato, czy pamiętasz, jak oplułam cię jedzeniem od stóp do głów? Wtedy nie było ci do śmiechu”. Robert i Teresa, czytając ten list, płakali, jednak dzięki temu poczuli się lepiej.

W następną sobotę w Hanowerze niespodziewanie pojawił się Dirk Enke. Robert stał właśnie w tunelu i za chwilę miał wybiec na murawę, by zagrać przeciwko Bayerowi Leverkusen. Gdy ojciec rzucił mu się na szyję, Robert osłupiał. Jednocześnie wzruszył się i zawstydził. Wyobraził sobie swojego ojca, jak przepycha się pomiędzy porządkowymi i krzyczy: „Jestem ojcem Roberta Enke, przepuście mnie, muszę iść do syna”, i poczuł się niekomfortowo. Zadziwiające – a więc wciąż potrafił odczuwać wstyd. Czyli jednak był zdolny do odczuwania, mimo że miała wrażenie, jakby wypełniała go pustka.

Sędzia rozpoczął mecz. Sześć dni po śmierci córki Robert Enke powrócił do gry w Bundeslidze. Podczas tego spotkania, zakończonego remisem 1:1, kibice mogli podziwiać silnego bramkarza. Jedynie on sam zauważył, że popełnił kilka błędów.

Nikommu z bliskich nie przyszło do głowy, że śmierć córki spowoduje u niego nawrót depresji. Podczas żałoby nie było miejsca na takie myśli. Poza tym Robert sprawiał wrażenie opanowanego.

Wraz z Teresą poprosili wszystkich żałobników, aby na pogrzeb przyszli ubrani na biało.

Marco Villa nie mógł przyjechać – był profesjonalnym piłkarzem i musiał grać. Grać w piłkę, na przedmieściach Neapolu, w piątej lidze, gdzie otrzymywał zadziwiająco wysokie zarobki.

W dniu pogrzebu Marco grał bez wycucia. Myślał o Larze i strzelił gola, nawet

nie zdając sobie z tego sprawy. Trzy tysiące kibiców klaskały mu na trybunach, koledzy z drużyny rzucili się na niego, okazując radość. On jednak był jakby gdzieś obok. Jeszcze przed przerwą strzelił drugiego gola. Udawał, że coś sobie naciągnął, i poprosił trenera, by go zmienił. Usiadł w ciemnej szatni. Był napastnikiem i po raz pierwszy od siedmiu lat zdobył bramkę.

Potem

Na aparacie fotograficznym Teresy zapisanych było kilka zdjęć, których jeszcze nie zdążyła wydrukować. Miały zaledwie kilka tygodni i ukazywały Roberta i Larę nad jeziorem Maschsee podczas ich ostatniego wypadu. Co mieli zrobić z tymi zdjęciami? Wydrukować? Usunąć?

– Powiesimy je – zdecydowała Teresa.

Robert kiwnął głową, dzięki czemu nie musiał nic mówić.

Nie chcieli unikać tematu córki. Chcieli wspominać piękne, spędzone wspólnie chwile. Oczywiście nie zawsze im to wychodziło.

Teresa straciła apetyt. Bezsilnie przyglądała się, jak jej ciało staje się coraz chudsze. Nie miała ani apetytu, ani siły, aby cokolwiek jeść. Roberta prześladowało pytanie: czy można było uniknąć śmierci Lary? Co by się stało, gdyby tego dnia lekarze zoperowali tylko jedno ucho? Czy wówczas jej serduszko wytrzymałoby to obciążenie?

– Wszyscy przeceniliśmy jej siłę – powiedział mi Robert, nie zdając sobie sprawy, że podniósł głos.

Przy stole kuchennym w dalszym ciągu stało jej krzeselko. Przecież nie mogli go ot tak, lekką ręką, odstawić. Z drugiej strony jak, patrząc na nie, mieli nie myśleć o pustce?

Po jakimś czasie odkryli piękną i straszną prawdę: ból ich jednoczył. „W życiu są chwile, gdy czujesz całą mocą: z tym człowiekiem chcę się zestarzeć. Tak było z Robbim i Terri po śmierci Lary”, wspomina Marco Villa.

Wspólnie poszli do pokoiku Lary, na drzwiach którego w dalszym ciągu wisiły kolorowe literki przytwierdzone magnesami do tablicy. Na dywanie wciąż leżały zabawki. Usiedli na podłodze. Zaczęli wspominać czas wspólnie spędzony z córeczką: gdy chciała, żeby pielęgniarka koniecznie założyła taką samą czapkę jak Teresa. Gdy po raz pierwszy zjadła cały słoiczek obiadku.

Nie chcieli wcale unikać tematu córki. Pragnęli wspominać piękne chwile. I rzeczywiście czasami im to wychodziło.

Od śmierci Lary nie minęły nawet dwa tygodnie, gdy dotarła do nich zaskakująca wiadomość: po raz pierwszy od siedmiu lat Robert Enke został powołany do reprezentacji Niemiec. Czy smutek i radość istniały dla nich jedynie w ekstremalnym wydaniu? Wmawiał sobie, że powinien być dumny z nominacji, że nie powinien się wstydzić, jeśli odczuwa coś na zasadzie radości. Czuł się niczym robot, który sam

sobie musi wydawać polecenie: ciesz się.

Na początku października 2006 roku członkowie reprezentacji zebrali się na obozie treningowym w Berlinie. Pod koniec tygodnia w planach był mecz towarzyski przeciwko Gruzji, podczas którego Robert miał być drugim bramkarzem. Dyrektor reprezentacji Niemiec do spraw związanych z mediami spytał go delikatnie, czy mógłby wziąć udział w konferencji prasowej. Jego powołanie po tak długiej przerwie było przecież czymś wyjątkowym. Robert powiedział, że oczywiście jest do dyspozycji. Wiedział, że musi się liczyć również z pytaniami dotyczącymi Lary, ale czuł, że sobie poradzi.

Od śmierci córki nie rozmawiał z prasą. Nie musiał jej specjalnie unikać – nawet dziennikarze gazet brukowych zachowali odpowiednio dużo taktu i wyczucia.

W Berlinie, siedząc na podium przed setką ludzi, poprosił, aby przed pierwszym pytaniem pozwolono mu zabrać głos.

– Na początku chciałbym skorzystać z okazji i podziękować w imieniu swoim oraz mojej żony za słowa wsparcia, jakie otrzymaliśmy w ostatnich dniach. Bardzo nas ucieszyły i nam pomogły. Proszę to koniecznie opublikować! To niezmiernie ważne dla mnie i dla mojej żony.

Pytania, jakie zadawano później, wymawiano cichym głosem. Swoje odpowiedzi Robert od czasu do czasu przerywał, kaszląc i pochrzäkując.

– Gdy Lara żyła, cały czas byłem konfrontowany z życiem i śmiercią – powiedział. Dlatego jeszcze za jej życia zastanawiał się, co się stanie, gdy ona odejdzie. – Teraz muszę żyć dalej. Nie można dać się pokonać temu smutkowi.

Dziennikarze pisali po konferencji, że była ona jedną z najbardziej niezwykłych, w jakich kiedykolwiek brali udział. Robert Enke dał świadectwo swojej niesamowitej siły.

On sam wcale nie czuł się silny. Wciąż próbował się pozbierać.

– Po prostu się bałem – powiedział mi – że ludzie będą mnie unikać, bo nie będą wiedzieli, jak się ze mną obchodzić. Dlatego od początku starałem się zachowywać tak naturalnie, jak to tylko możliwe.

Po upływie dwóch czy trzech miesięcy zdarzało się, że sam zaczynał mówić o Larze. Wczoraj dopiero co oglądał jej zdjęcia.

– Na co drugim zdjęciu się śmiała.

Jednak gdy pewnego razu rozmawialiśmy o niej, że tak powiem, oficjalnie, na potrzeby reportażu, na którym mu zależało, powiedział:

– Włączmy telewizor, niech sobie gra w tle. – Właśnie leciał jakiś mecz. To sprawiło, że nie słyszał zbyt dokładnie własnych słów. – Nie mogę uciec przed jej śmiercią – wyznał. – Wiem, że muszę się z tym pogodzić.

Później przyznał, że słowo „pogodzić” brzmi fałszywie, ale nie był w stanie wymyślić lepszego. Wiedziałem, o co mu chodzi. Kiwnąłem głową i wpatrywaliśmy

się w telewizor.

Tuż przed Bożym Narodzeniem 2006 roku śmierć ich córki ponownie zaczęła zaprzętać myśli Roberta i Teresy. Zaczęli się wspólnie zastanawiać: czy mieli dalej mieszkać w Empede, aby być blisko jej grobu? Może powinni się wyprowadzić, ponieważ tylko odległość pomogłaby im zostawić za sobą całe to cierpienie? Umowa Roberta z Hannoverem obowiązywała jeszcze przez pół roku. Nadszedł czas na podjęcie decyzji. Mają zostać czy odejść? Propozycje z Hamburga oraz Leverkusen były już nieaktualne – HSV zdołało zatrudnić Franka Rosta, wyśmienitego bramkarza, Leverkusen postawiło na duet Butt–Adler. „Jeśli mój trener bramkarzy nie miałby mnie, to zapewne ściągnąłby Roberta – wspomina René Adler. – Zawsze się nim zachwycił”. W ten oto sposób alternatywą pozostawał VfB Stuttgart, który zmierzał po tytuł mistrzowski.

– Wyjedźmy stąd – powiedziała któregoś dnia Teresa. – Zaczniemy w Stuttgarcie od nowa.

– Nie wiem... Hannoverowi tyle zawdzięczam... Jeśli nie uratowaliby mnie wtedy, gdy kończył mi się kontrakt z Teneryfą, to kto wie, czy w dalszym ciągu nie grałbym w drugiej lidze.

– Dobrze, podpisz więc kontrakt z Hannoverem. Chociaż o tym nie będziemy musieli już myśleć – odparła Teresa.

Jednak nie było to tak łatwe. Robert zastanawiał się dalej. Stuttgart byłby fajny... Mógłby się zaprezentować w Lidze Mistrzów i w końcu coś wygrać. W przerwie zimowej postanowił skontaktować się z trenerem Stuttgartu, Arminem Vehem, jednak ten nie zgodził się nawet na niewiążące rozmowy.

Bardzo prawdopodobne było, że za pół roku VfB straci swojego bramkarza. Kiedy Timo Hildebrand ogłosił, że chce odejść do jakiegoś zagranicznego klubu, Veh zainteresował się Enke. Trener 96 postanowił jednak twardo o niego walczyć. To sprawiło, że Jörg Neblung podjął negocjacje z Hannoverem.

Na dzień przed Bożym Narodzeniem spotkał się z Martinem Kindem w siedzibie jego firmy w Großburgwedel. Kind zatrudniał blisko dwa tysiące ludzi i zajmował się produkcją eksportowanych na cały świat aparatów słuchowych. Piłka nożna nie była jego specjalnością, dlatego wiele ludzi do dziś zastanawia się, co skłoniło go do podjęcia decyzji o zainwestowaniu w klub z Hanoweru grubych milionów, tak by ponownie wprowadzić go do pierwszej ligi. Wy tłumaczenie było proste: z jednej strony chodziło oczywiście o reklamę, z drugiej – Kind był typowym pracoholikiem. Krążą słuchy, że kiedy podczas urlopu odwiedził w La Coruñi byłego dyrektora sportowego Hannoveru, Ricardo Moara, ze zdenerwowaniem spoglądał na obydwie komórki i z niecierpliwością czekał, aż któraś... zadzwoni. Moar postanowił wysłać go na zwiedzanie centrali firmy Zara. Tam Kind znów poczuł się szczęśliwy.

Robert Enke był jednym z nielicznych piłkarzy w klubie, z którymi Kind stworzył

namiastkę osobistych stosunków. Podobał mu się analityczny, bezstronny sposób postrzegania piłki przez Roberta. Wiedział, że jeśli Enke, świetny piłkarz w średnim klubie, odejdzie, to razem z nim z drużyny zniknie też optymizm. Robert w innych zawodnikach wzbudzał tęsknotę za tym, aby Hannover stał się czymś więcej niż tylko regionalnym ulubieńcem.

Aby zatrzymać Enke, Kind przekazał Hannoverowi 96 fundusze opiewające na ponad sześć milionów euro. Jednak podczas negocjacji szybko wyszło na jaw, że istnieje pewien problem. Kind myślał, że te sześć czy siedem milionów wystarczy na kontrakt czteroletni. Jörg Neblung argumentował, że taką kwotę Robert Enke powinien otrzymać jedynie za trzy lata gry. Jeśli nawet tak się stanie, to mimo wszystko otrzyma mniej, niż dostałby w Stuttgarcie.

Ostrzejszy ton nadawał rozmowom członek rady nadzorczej Gregor Baum, który handlował nieruchomościami i końmi wyścigowymi. Postarał się on, aby negocjacje nie tylko zakończyły się szybciej, ale i bez osiągnięcia konsensusu.

Robert i Teresa czekali na Neblunga w hotelu Kokenhof, znajdującym się bezpośrednio obok fabryki produkującej aparaty słuchowe. W recepcji wisiały ozdoby świąteczne. Po krótkim streszczeniu przebiegu rozmów Jörg powiedział, że jest za tym, aby jednak wstępnie odmówić Hannoverowi. Nie oznaczało to przecież, że za kilka tygodni ten temat nie powróci. „Wtedy, w Kokenhof – wspomina Jörg – opowiedzieliśmy się przeciwko Hannoverowi 96”.

Robert zastanawiał się głośno, czy działacze w jego klubie zdają sobie sprawę, ile gdzie indziej zarabiają bramkarze tej klasy co on. Był gotów zostać w Hannoverze, mimo że perspektywy sportowe były tam gorsze niż w Stuttgarcie, a pensja niższa. Jednak jeśli klub traktuje kwestie finansowe tak niepoważnie, może rzeczywiście powinien odejść.

Zadzwoił telefon Jörga.

– Panie Neblung – powiedział Martin Kind – przedyskutowaliśmy jeszcze ten temat. Jesteśmy gotowi zmienić naszą ofertę, tak żeby państwu odpowiadała. Zależy nam, aby Robert został w 96. Czy nie zechciałby pan wrócić na rozmowy?

Jeszcze tego samego dnia poproszono do Kokenhofu fotografa, aby zrobił zdjęcie, jak Robert Enke i Martin Kind podają sobie dłonie. Robert Enke podpisał trzyletnią umowę, która miała obowiązywać do końca czerwca 2010 roku.

Dwa miesiące później ujawniono, że Timo Hildebrand przechodzi do Valencii. Armin Veh, trener VfB, żałował, że nie spotkał się wcześniej z Robertem.

W Hanowerze kibice i lokalne media świętowali, jakby przedłużając umowę, Robert Enke zrobił im prezent świąteczny. Sam jednak trochę się przestraszył. Czytał na swój temat opinie, głoszące, że zrezygnował z własnego rozwoju jedynie z wdzięczności dla klubu. Co by się jednak stało, jeśli za dwa lata jednak zechciałby opuścić

Hannover? Czy wtedy wszyscy określiliby go hipokrytą?

– Zostałem również dlatego, że H96 stanęło na wysokości zadania pod względem finansowym – powiedział. – Teraz oczekuję, że sportowo również pójdziemy do przodu.

Koniec końców, był profesjonalistą, nie idealistą. Jednocześnie czerpał z oddania hanowerczyków nową radość z życia. Otrzymując liczne brawa i podziękowania, nie wątpił już w słuszność swojej decyzji. Razem z Teresą siedział przy grobie Lary i uświadomił sobie, że nie mógłby odejść.

Powoli zaczynał wierzyć w to, co od 17 września 2006 roku powtarzali sobie jak mantrę: „Nie możesz bezustannie rozpaczać. Nie zrobisz niczego złego, jeśli znów przejdziesz się do restauracji, jeśli znów zaczniesz się śmiać”.

Podczas zimowego obozu przygotowawczego w styczniu 2007 roku w Jerez de la Frontera frakcja drużyny z szatni numer dwa nie zeszła po treningu z boiska.

Pomocnik Hanno Balitsch założył rękawice Roberta Enke i ustawił się w bramce. Michael Tarnat wykonywał rzuty wolne, Robert czał się w polu karnym. Tarnat często specjalnie zamiast na bramkę, bił piłkę wprost w tyłek Roberta.

– W takich warunkach nie mogę pracować! – krzyknął Enke i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Najwyraźniej w głowie Roberta istniało miejsce nietknięte przez radość, pewien obszar, do którego nie docierał już uśmiech. Jednak co rusz udawało mu się od niego odseparowywać. W jednej chwili z rozpaczą potrafił myśleć o Larze, a w kolejnej z radością śmiać się z Tarnata.

Robert przyznał, że nawet podczas meczów Bundesligi jego „myśli wędrowały w stronę Lary”. Zaznaczył jednak z uśmiechem:

– Ale dla bramkarza nie jest to aż takie straszne.

Teresa nie miała drużyny. Zaczęła biegać po polach wokół Empede. W pewnym momencie robiła to codziennie, co najmniej dziesięć kilometrów, do chwili, aż uniemożliwił jej to ból stóp. Lekarze zdiagnozowali załamanie nerwowe.

– Może tym razem to ja powinnam iść do psychologa? – powiedziała pewnego wieczoru Robertowi.

– Ty? – zdziwił się.

– Myślę, że to by mi pomogło.

– Ty przecież nie potrzebujesz psychologa.

Robert powiedział to, aby dodać jej otuchy. Był przekonany, że jakoś się wspólnie odnajdą w życiu bez Lary. Lecz czy powiedział tak także dlatego, że zniszczyłoby to jego obraz świata? W jego oczach Teresa była silną, niezniszczalną kobietą, jak więc miała iść do psychologa?

W ciągu kolejnych tygodni myśl ta wielokrotnie wracała do Teresy: może

rzeczywiście potrzebna jest profesjonalna pomoc? Robert jednak tym mocniej odradzał ten krok, im częściej o nim wspominała. Pewnego dnia ona sama też uwierzyła, że poradzi sobie bez pomocy specjalisty. Nie mogła tylko zrozumieć, dlaczego Robert tak zdecydowanie protestuje przeciwko temu pomysłowi.

Nagle okazało się, że mają czas. Popołudnia, które były podporządkowane ścisłemu rytmowi potrzeb Lary, stały się dla nich wyzwaniem. Czy uda im się coś zdziałać, cieszyć się drobiazgami i nie mieć przy tym wyrzutów sumienia?

Pewnego dnia pojechali do Hamburga i przeszli się nad jezioro Steinhuder. Zadzwoił do nich sąsiad: nie miał dostępu do internetu i chciał sprawdzić coś u nich na komputerze. Uli Wilke był najlepszym piłkarzem w Empede, zanim sprowadził się tam Robert Enke. Grał w trzecioligowym TSV Havelse, miał ponad 40 lat i pracował jako sprzedawca samochodów. Po tym, jak skorzystał z komputera Roberta, zamienili parę słów. Tak rozpoczęła się ich znajomość.

Uli wpadał do nich, aby obejrzeć mecze Pucharu Europy. Teresa i Robert pomagali jego rodzinie podczas budowania murku w ogrodzie. Państwo Wilke mieli dwie córki. Dla Teresy i Roberta był to swego rodzaju, niezrozumiały dla otoczenia, test: musieli znieść, że inne małżeństwa mają wspiane dzieci.

Czy kiedykolwiek będą znów mieli dzieci? Robert powtarzał sobie, że jest za wcześnie na to pytanie. Mimo to co rusz do niego wracało.

Lekarka, którą poznali w klinice, zapytała ich, czy nie mogliby pewnego razu zaopiekować się ich małą córeczką Laurą. Teresa i Robert nie odważyli się odmówić. Laura odwiedzała ich coraz częściej. W pewnej chwili dotarło do nich, dlaczego pani lekarz zostawia u nich swoje dziecko. Nie chodziło tu wcale o dziewczynkę. Oni mieli na nowo nauczyć się obchodzenia z dziećmi. Mieli przestać w każdym dziecku szukać Lary.

Teresa nie jest w stanie powiedzieć, czy ten moment nastąpił po czterech, czy po pięciu miesiącach, jednak pewnego dnia zaczęli się cieszyć, gdy przed ich drzwiami stawał ktoś, kto mówił wysokim głosem: „Dzień dobry?”. Dzieci z wioski zaglądały do nich bez zapowiedzi. A brama ich ogrodu zawsze była otwarta dla małych mieszkańców Empede.

W tym czasie do siedziby Hannoveru 96 wpłynął zaadresowany do Roberta ośmiostronicowy faks: otrzymał powołanie od selekcyjera reprezentacji Niemiec na mecz rozgrywany 27 marca 2007 roku w Duisburgu przeciwko Danii (w którym przypomniano mu, że sędziemu należy przedłożyć ważny paszport bądź dowód osobisty).

Nie dało się nie zauważyć, że trener Joachim Löw myśli o Enke poważnie. Będąc w wieku, w którym kariera w kadrze narodowej co najwyżej może się kończyć, on

miał rozegrać swój pierwszy mecz dla seniorskiej reprezentacji kraju.

– Nie pomyślałbym nawet, że kiedyś zagram dla Niemiec. Przecież mam już prawie 30 lat! – powiedział trenerowi bramkarzy.

– Nie postarżaj się. Nie masz jeszcze nawet 29 – odparł Andreas Köpke.

Po mistrzostwach świata w 2006 roku z kariery reprezentacyjnej zrezygnował Oliver Kahn, a 37-letni Jens Lehmann był u kresu swej gry jako numer jeden. Droga do bramki stanęła dla Roberta Enke otworem, a jego najpoważniejszym kontrkandydatem był Timo Hildebrand.

Gdy Morten Olsen, trener reprezentacji Danii, przed meczem poznał skład Niemców, zaczął kręcić nosem – przecież ten przeciwnik był dla nich zbyt słaby. To był mecz towarzyski, a Olsen chciał dla swojej drużyny groźnego rywala. Löw zamierzał przetestować potencjalnych reprezentantów kraju. Siedmiu piłkarzy – począwszy od Roberta Enke, a skończywszy na Janie Schlaudraffie – wspólnie nie miało na koncie więcej niż dziesięć meczów w reprezentacji seniorskiej. Tymczasem to do nich miała należeć przyszłość. Największą karierę wśród wszystkich nowicjuszy tego wieczoru zrobił jednak sędzia. Howard Webb, który również debiutował na arenie międzynarodowej, w 2010 roku poprowadził finałowy mecz mistrzostw świata.

Przed wyjściem na murawę, w tunelu, Robertowi Enke włosy stanęły dęba. Pocierał głowę rękawiczkami. Zacisnął wargi. W jego oczach odczytać można było zdenerwowanie, ale nie strach.

Mecz nie pozostawiał mu czasu do rozmyślenia. Minęło właśnie kilka minut gry, gdy z lewej strony mknęła piłka uderzona po rzucie wolnym. Siedem metrów od linii bramkowej Duńczyk Daniel Agger podskoczył i uderzył futbolówkę głową, kierując ją wprost w prawy róg bramki. Do tej pory Robert Enke nawet nie tknął piłki. Leciał w powietrzu równolegle do poprzeczki, napiął mięśnie, a jego plecy wygięły się. Jedną ręką skierował piłkę za słupek. Takie parady wszyscy, nawet ci, którzy średnio znali się na bronieniu, uważali za największy wyczyn w bramce.

Na chwilę przed zejściem do szatni w stronę Roberta wybiegł samotnie Thomas Kahlenberg. Robert Enke po prostu stanął w miejscu. Niewyćwiczone oko obserwatora mogłoby podpowiadać, że nie robi niczego. Nie dotknął nawet piłki, gdy Kahlenberg go wyminął. „Kahlenberg przedryblował Enke”, pisała prasa. W rzeczywistości Robert wykonał swój największy wyczyn tego dnia. Duńskiemu napastnikowi tak bardzo zawężył linię strzału i tak długo ją blokował, że Kahlenberg mógł jedynie uciec na lewo i nieuchronnie wybiec poza linię końcową. „Silna postawa i wyśmienite reakcje”, tak po meczu podsumował grę Roberta trener reprezentacji Niemiec. Robert Enke określił swój debiut jako „całkiem przyzwoity”.

Niemcy przegrali 0:1. Mimo to w przejściu pod stadionem chcieli zrobić z Enke zwycięzcę wieczoru. Teraz mógł rościć sobie prawo do bycia numerem jeden w niemieckiej bramce, prawda?

– Wie pan przecież doskonale, że nie odpowiem panu na to pytanie – rzekł dziennikarzowi.

– Czy po tym meczu nie postrzega pan siebie samego jako faworyta przed Timo Hildebrandem w walce o bycie numerem dwa?

– Nie może pan zapominać, że było to moje trzecie powołanie. Timo ma ich na koncie więcej.

Niemcy uchodziły za kraj bramkarzy, były ojczyzną Seppa Maiera, Toniego Schumachera, Olivera Kahna. W takim wypadku nawet nudne pytanie wywoływało żywą dyskusję: kto zostanie nowym numerem dwa?

– Nigdy publicznie bym nie powiedział, że ten bądź tamten kolega jest ode mnie gorszy i jestem przed nim. Wiem, czym jest szacunek.

Reporterzy byli rozczarowani. Co się stało z niemieckimi bramkarzami? Czy nie było ich stać na odrobinę zamieszania? Ostatnia nadzieja w Lehmannie, „szalonym Jensie”.

Mieszkanie w Niemczech miało dla Roberta swoje plusy. Na przykład on i Teresa w końcu mogli pojechać na prawdziwy letni urlop. Podczas pobytu za granicą byli przekonani, że są zobowiązani do spędzenia urlopu w ojczyźnie. To sprawiło, że przez pierwsze dziesięć lat swego związku, do czasu, aż ukończyli 28 lat, tylko dwa razy pojechali na prawdziwe wakacje – raz na Kos i raz do Szkocji.

Gdy latem 2007 roku sezon dobiegł końca (H96 wylądowało na 11. miejscu w tabeli), Robert mógł, jak przed rokiem, udać się do Lizbony.

Nie obyło się bez porównań: jeszcze rok temu dniom spędzonym w Portugalii towarzyszyła euforia, ponieważ Lara, wracając do zdrowia, robiła olbrzymie postępy. A teraz? Czy też czuli entuzjazm, nawet jeśli nie mogli popaść w pełni w zachwyty? „Strata dziecka zawsze pozostanie straszna – wspomina Teresa. – Jednak czas z Larą był swego rodzaju stanem wyjątkowym. Ciągłe się baliśmy, że umrze. Podczas urlopu w Lizbonie po raz pierwszy zorientowałam się: tak jak jej śmierć była nie do zniesienia, tak też przyniosła ulgę. Znow mogliśmy żyć bez strachu”.

Siedzieli w La Villi, w Estoril. Dochodziła 21.30, a na dworze wciąż było jasno jak za dnia. Morze kołysało się delikatnie.

– Chętnie zamieszkałabym tu na zawsze – rozmarzyła się Teresa.

– Po zakończeniu przeze mnie kariery moglibyśmy się tu przeprowadzić.

– A jeśli kupilibyśmy tu dom? Wtedy moglibyśmy przyjeżdżać z Hanoweru na kilka dni nie tylko podczas urlopu.

Następnego dnia fantazja zaczęła rozkwitać.

Robert spotkał się z Paulo Azevedo. Byli w kontakcie od zeszłego roku, gdy Instytut Goethego zaprosił Roberta na organizowaną przez siebie wystawę. Znali się już wcześniej, Azevedo strzelił mu nawet kiedyś dwie bramki. Paulo wychował się

we Freiburgu, a od 1999 roku grał jako profesjonalny piłkarz w drużynie Carl Zeiss Jena. Pewnego razu podczas urlopu Robert Enke postanowił spontanicznie wziąć udział w treningu swojego starego klubu i to właśnie wówczas Paulo strzelił mu te gole.

Teraz znów dyskutowali o piłce.

– Co sądzisz o tym, abym przed zakończeniem kariery, gdy będę miał jakieś 34 lata, znów zagrał dla Benfiki? – spytał Robert. – Fajnie by było.

– Niech policzę: 34 lata skończysz w sierpniu 2012 roku. Pasuje idealnie: w 2010 zostaniesz z Niemcami mistrzem świata, a w 2012 mistrzem Europy. Później w wielkim stylu zakończysz karierę w Lizbonie.

– Czy wokół Lizbony są jakieś mniejsze kluby?

– Belenenses.

– Pewnie, Belenenses! Tam mógłbym grać między 37. a 38. rokiem życia. Chyba dałbym sobie radę.

Z pozoru żartował, choć nie do końca. Oto znów miał marzenia.

Towarzyszył Paulo w ambasadzie niemieckiej, gdzie ten był obecnie zatrudniony. W ocienionym ogrodzie trwało przyjęcie dla reprezentacji niesłyszących, którzy brali udział w organizowanych w Lizbonie mistrzostwach Europy. Robert Enke miał być gościem niespodzianką.

Niesłyszący piłkarze wykrzyczeli swoją radość, gdy rozpoznali Roberta. Ten wyraźnie próbował zatuszować swoją niepewność. Czy mógł z nimi rozmawiać? Czy odczytają jego słowa z ruchu warg? Trzymał się blisko trenera Franka Zürna, który co prawda sam nie był niesłyszący, ale nauczył się języka migowego od rodziców, którzy mieli wadę słuchu.

Zürn był mile zaskoczony faktem, że Robert zadaje mu mnóstwo pytań. Jak niesłyszący radzą sobie w życiu zawodowym? Jak porozumiewali się na boisku? Czy mogli również grać w normalnej drużynie? W pewnym momencie powiedział:

– Wie pan przecież, że miałem niesłyszącą córeczkę.

Zürn nie chciał niczego dać po sobie poznać, był jednak oszołomiony naturalnością, z jaką Robert wspomina o swoim dziecku. Zachęcony przez trenera, który mówił, że niesłyszący go rozumieją, gdy mówi powoli, wszedł pomiędzy nich. Wymieniali się zwyczajowymi żartami piłkarskimi. Przecież nie jest tak muskularnie zbudowany jak Oliver Kahn. Dlaczego nie przejdzie do Werderu Brema? Powinien raz potrenować z nimi. Dwa dni później niesłyszący osłupieli: Robert Enke stanął na boisku w Cascais i zaczął się przebierać.

– No co – powiedział. – Też będę trenował. W końcu tego właśnie chcieliście, prawda?

Kilka miesięcy po urlopie Robert zadzwonił do trenera drużyny niesłyszących.

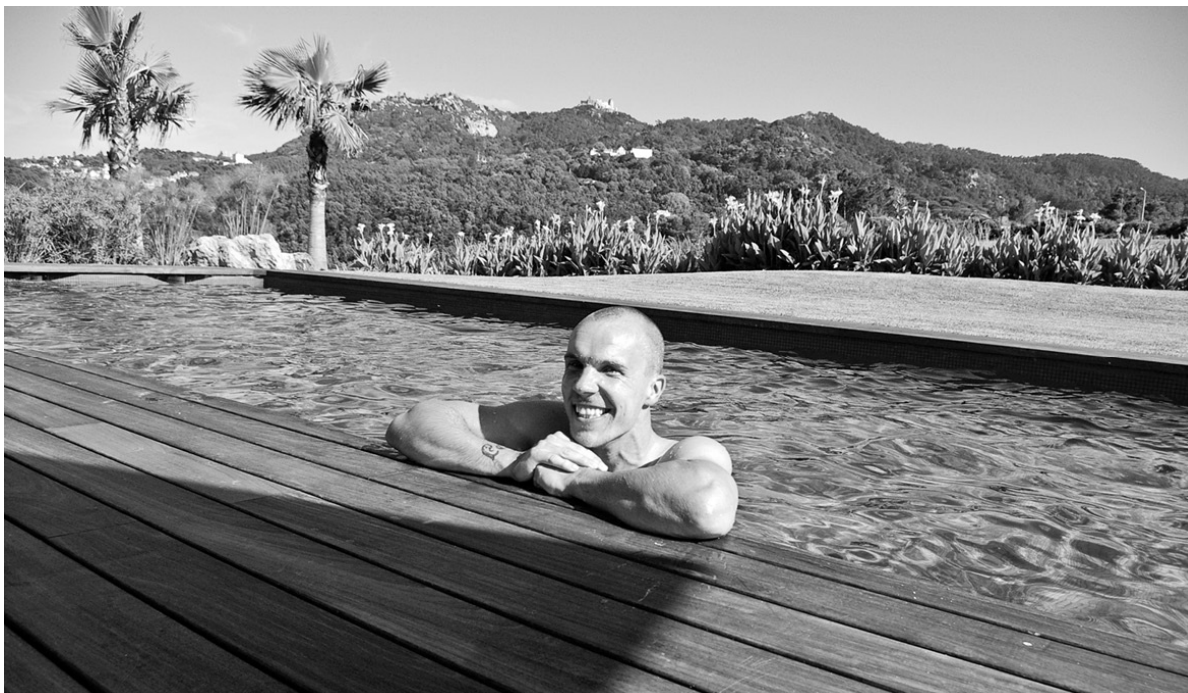
Jeszcze raz zastanowił się nad tym, co w ambasadzie w Lizbonie powiedział mu Zürn. Niesłyszający mieli problemy ze zbiórką funduszy na funkcjonowanie drużyny, postanowił więc porozmawiać o tym ze swoim producentem rękawic bramkarskich. Frank Zürn mógł u niego zamówić po kosztach wyposażenie dla całego zespołu.

Śmierć Lary obudziła w Robercie pewną rzecz: głębszą wrażliwość na potrzeby innych osób i pragnienie, by innym sprawiać radość.

Siedział w ogrodzie w Empede i słyszał, jak szwagier Uliego Wilke, pracujący jako dekarz, narzeka na uporczywe bóle pleców. Zabrał go więc ze sobą na trening drużyny. Przeszli wspólnie przez szatnię.

– Postaraj się go doprowadzić do porządku, to moja złota rączka – powiedział Robert do fizjoterapeuty.

Na jego prośbę w klinice, w której leczyli Larę, na oddziale intensywnej terapii urządzono pokój pośmiertny. Dzięki temu rodzice w najgorszych



Robert Enke w basenie obok swojego domku letniskowego w Lizbonie

chwilach mogli być ze swymi zmarłymi dziećmi sam na sam. Osobiście zbierał datki na przebudowę oddziału.

Innym razem pojechał do Göttingen, aby pograć w piłkę z dziećmi chorymi na serce, które po pojedynczym strzale musiały być podłączane do aparatury tlenowej.

– Strzelajcie płasko i nisko – powiedział małym sportowcom. – Jestem stary i takiej piłki nie złapię.

Nie chciał jednak pomagać wszystkim. Nie chciał czynić dobra tylko po to, by móc się tym chwalić. W jego nekrologach często pojawiała się stwierdzenie, że

nikomu nie odmówił autografu – tak jakby we współczesnej piłce była to najwyższa forma uprzejmości, jakby ukazywało to wielkość człowieka. W rzeczywistości miał opory przed dawaniem autografów osobom nieuprzejmym.

– Przecież tego nikt nie rozczyta – narzekała pewna kobieta po otrzymaniu podpisu Roberta.

Robert wziął od niej kartkę i podpisał się znowu, tym razem drukowanymi literami.

– Czy teraz jest lepiej?

– Hej, Enke, dasz mi autograf? – wydarł się innym razem chłopak.

– Komuś, kto zwróciłby się do mnie „Robert” bądź „panie Enke” i dodałby „proszę”, na pewno bym dał – odparł i odszedł w swoją stronę.

Poza tym wciąż miał opory, aby powiedzieć komuś coś niemiłego. W styczniu 2008 roku musiał porozmawiać z pracownikiem Hannoveru 96. W szatni podeszła do niego sprzątaczką. Pracownik kierownictwa, który zawsze był bardzo miły wobec niego, traktował kobietę bardzo z góry. Robert postanowił więc wytłumaczyć mu zasady dobrego wychowania. Mówił bardzo spokojnie i zarazem doniośle – nauczył się tego, kierując obronę na boisku oraz wydając polecenia psom. Jednak gdy skończył ustawiać kierownika, czuł jedynie ulgę, a nie satysfakcję.

Wszelkie kłótnie w drużynie kończyły się na jego interwencji. Od sierpnia 2007 roku był kapitanem, a jego status nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do tego, że funkcja ta mu się w pełni należała. Był swego rodzaju ikoną.

„Uważam też, że w Hannoverze urósł: z piłkarza, który dopiero co powrócił i jest wdzięczny za możliwość ponownej gry w Bundeslidze, stał się piłkarzem, który interesował się klubem jako całością – mówi Tommy Westphal. – Jednak mianowanie Roba kapitanem... no nie wiem. W moim odczuciu nie była to jego naturalna rola. Z natury nie był człowiekiem, który wypowiadał się na wszystkie tematy, który chciałby się konfrontować z wszystkimi możliwymi konfliktami”.

Robert był już kapitanem w ostatnim sezonie spędzonym w Lizbonie. Wówczas Brazylijczyk Roger Flores spontanicznie, według własnego widzi mi się, wykonał rzut wolny, mimo że było to zadaniem Pierre’a van Hooijdonka. Piłka poszybowała wysoko nad bramką. Po meczu Robert Enke podszedł z wyprostowanym palcem do Rogera i powiedział mu:

– Więcej tego nie zrobisz! Słyszysz? Nigdy więcej!

Gdy ogarniała go złość, bez zastanowienia angażował się w sytuacje konfliktowe. Jednak gdy w Hannoverze trener Hecking i Michael Tarnat prowadzili cichą wojnę, a on rozumiał racje obydwu stron, wolał się trzymać z boku.

„W szatni zdarzały się sytuacje, kiedy cała drużyna głośno dyskutowała – na przykład o tym, czy w pomocy powinniśmy grać diamentem. Wówczas siedzący w kącie Robert Enke wypowiadał jedno zdanie i zapadała cisza. Mimo to wierzę, że

lepiej czuł się, gdy kapitanem był Altin Lala”, wspomina Hanno Balitsch.

Podczas adwentu w roku 2007 Robert Enke odkrył, że w Hannoverze kapitan ma naprawdę niezliczone obowiązki – musiał nawet pisać kartki świąteczne do trenerów...

Gdy zadzwonił Marco Villa, Robert pomyślał, że przyjaciel chce mu po prostu życzyć wesołych świąt. Zamiast tego dowiedział się, że Marco chce iść na terapię do doktora Marksera.

Robert był zdziwiony. Zdaniem Marco – niemal zły. Przecież Marco był taki beztrojski, sypał żartami, zawsze znajdował się w centrum uwagi. Ten jego dobry nastrój często udzielał się Robertowi. Dlaczego Marco sądzi, że może mieć podobne problemy do jego?

– No tak, przecież też często miałeś kłopoty z kontuzjami – powiedział ostrożnie na zakończenie rozmowy, jakby wciąż się zastanawiał, co powinien sądzić o tym kroku przyjaciela.

Marco nie cierpiał na depresję. Nie miał pojęcia, co mu dolega, wiedział jedynie, że musi coś ze sobą zrobić. W tym czasie zaczął grać w piątej lidze. Na tym poziomie bez wątplenia był wyróżniającym się piłkarzem, jednak nawet ta świadomość nie uwalniała go od presji, którą nakładał sam na siebie – wręcz przeciwnie. Teraz odczuwał nowy rodzaj presji: czy oczekuje się od niego, aby co tydzień był najlepszym piłkarzem na boisku?

Często wspominał te momenty swojej kariery, w których wiele spraw mogło się potoczyć inaczej: gdy miał 20 lat, wciąż był nowo odkrytym talentem z trzema bramkami zdobytymi w pierwszych siedmiu meczach w Bundeslidze. Chciała go wówczas zatrudnić Hertha Berlin. W hotelu w Essen uściskiem dłoni dogadał się z menedżerem Dieterem Hoeneßem w sprawie transferu. Dziesięć dni później jego doradca Norbert Pflippen nieoczekiwanie poradził mu, aby został w Gladbach. Marco nie rozumiał Pflippena. Przecież w Hercie zarabiałby więcej, a trener widział go w pierwszym składzie. Nie odważył się jednak sprzeciwić swojemu doradcy. Flippi na pewno wiedział, co robi. Jakiś czas później jeden z starszych kolegów powiedział mu:

– Nie wiesz, czemu Flippi nie puścił cię do Herthy? Gladbach mu zagroziło: „Jeśli Villa odejdzie, to nie zarobisz tu przy żadnym transferze”.

Poniżenie w niekończącym się dniu świstaka: zupełnie jak z Liberopoulosem. Jego partner w napadzie w Panathinaikosie dogrywał mu piłkę zbyt mocno i zbyt niedokładnie, żeby Marco nie mógł strzelić na bramkę, bo postrzegał go jako konkurenta. Podobnie było, kiedy w Norymberdze prasa okrzyknęła go nieudacznikiem, którego należy się pozbyć. Są to wspomnienia, które rodzą wieczne pytania: czy profesjonalny piłkarz musi się mierzyć z takim okrucieństwem? Czy

profesjonalista powinien przeciwstawić się Flippiemu i czy powinien nalegać na transfer? Czy profesjonalista następnego dnia powinien podczas treningu zmiażdżyć Liberopoulosowi stopę? Nieszczęśliwy pojedynek na boisku, nawet nie faul – przecież to można upozorować. Czy profesjonalista powinien wyrazić swoją dezaprobatę, jeśli w Norymberdze traktuje się go jak śmiecia? Jego rodzice i nauczyciele zawsze wpajali mu, że do najważniejszych rzeczy w życiu należą dobre maniery. Czy nie chodziło jednak o to, aby być po prostu silnym? Jeśli tak, to czy doktor Markser może uczynić go silnym? Marco wspomina: „Poszedłem do Valentina Marksera, aby oczyścił moje myśli”.

Początkowo rozmowy z doktorem narodziły jedynie nowe i jeszcze trudniejsze pytania. Czym był dla niego sukces? Czy w ogóle wie, co chce osiągnąć? Co porusza go najbardziej? Pół żartem terapeuta spytał go, czy smakuje mu w ogóle kawa, którą pije. Marco Villa potrzebował czasu, by odnaleźć odpowiedzi, jednak powoli coraz lepiej umiał określić swoje priorytety. Myślał o Robercie i wydawało mu się, jakby przyjaciel dokładnie wiedział, czego chce. Zachowywał dystans, nie dawał się ponosić nerwom. Jednak Marco zauważał, że przychodzi mu to coraz trudniej.

Na mecze 96 regularnie przychodziło po 30–40 tysięcy widzów i Robert zaczynał odczuwać coraz większą presję. Oto cały naród chciał się przekonać, czy rzeczywiście nadaje się do reprezentacji. Zbliżały się mistrzostwa Europy w 2008 roku, a pytanie o odpowiedniego bramkarza nie schodziło Niemcom z ust. Czy Jens Lehmann mógł w dalszym ciągu być numerem jeden, skoro od tygodni grał ławkę w Arsenalu? Czy w miejsce Roberta Enke oraz Timo Hildebranda powinien zostać nominowany chociaż jeden z młodych utalentowanych bramkarzy – René Adler bądź Manuel Neuer? Pojawiły się niezliczone ankiety w internecie, wywiady z ekspertami, kampanie prasowe i akcje lobbingowe.

– Możecie zapomnieć o Enke, czy jak tam oni się wszyscy zwą – mówił menedżer Bayernu Monachium Uli Hoeneß. – Szybciej nowym bramkarzem reprezentacji Niemiec zostanie Michael Rensing.

Hoeneß był w tym przekonaniu odosobniony, Robert Enke uważał więc, że tego rodzaju wypowiedziami nie należy się przejmować, a najważniejsza pozostaje rzeczowa ocena trenera.

– Hoeneß może forsować swojego piłkarza, ale powinien zachować przy tym przyzwoitość. Niestety nie zrobił tego tym razem – odciął się. Chciał być ponad tym i nie dać się zwariować. Mimo to krytyka budziła w nim prawdziwe wzburzenie.

Trener Hannoveru Dieter Hecking skrytykował go publicznie jeden raz. Podczas meczu towarzyskiego przeciwko Grasshopper Club Zürich Robert Enke przeleciał obok piłki bitej z rzutu różnego, a następnie potknął się podczas wybiecia.

– Nie był wystarczająco skoncentrowany – powiedział Hecking dziennikarzom.

Wydarzyło się to podczas meczu testowego i było tylko jedno niegroźne zdanie, o którym po dwóch dniach nikt nie pamiętał. Jedynie Robert Enke wspominał je nawet trzy tygodnie później, z nerwów zaciskając dłoń na kierownicy. Jakim cudem Hecking mógł pomyśleć, że nie był wystarczająco skoncentrowany? Jak mógł publicznie podważać jego autorytet?

W kwietniu 2008 roku Hannover wygrał z Frankfurtem 2:1. Robert Enke obejrzał skrót spotkania w wiadomościach sportowych. Oglądał dalej, gdy zaczęto pokazywać mecz Leverkusen przeciwko Stuttgartowi. W zwolnionym tempie pokazywano, jak bramkarz VfB Sven Ulreich wypiąstkował z pola karnego piłkę, a Simon Rolfes z Bayeru z daleka wpakował ją do siatki. Kilka minut później Ulreich nie złapał piłki strzelonej z dystansu, a następnie Stefan Kießling dobił ją na 2:0. Po zakończeniu spotkania na ekranie pojawił się Armin Veh. „Piłka nożna czasami jest całkowicie prosta. Przegraliśmy przez dwa błędy bramkarza. Wszyscy to widzieliśmy. Nie ma sensu usprawiedliwiać Svena Ulreicha”, powiedział trener. Roberta Enke ogarnęła złość. Jak trener mógł powiedzieć tak o swoim piłkarzu?! Szczególnie jeśli pierwsza bramka nie padła po błędzie bramkarza, bo po przyzwoitym wybiciu pięścią przypadkowo trafiła później do przeciwnika. To, że eksperci w telewizji tego nie dostrzegają, nie było dla niego nowością, jednak trener? Robert Enke wydarł się na telewizor:

– To niemożliwe!

Następnego dnia Sven Ulreich udał się do swojej matki. Miał 19 lat i jedyne, czego chciał, to zaszyć się w domu. Do tej pory w Bundeslidze rozegrał jedynie dziesięć spotkań i czuł się jak zbity pies. Czy to już koniec, czy zmarnował swoją szansę? Gdy zadzwonił telefon, zauważył na wyświetlaczu numer, którego nie znał. Zastanowił się chwilę, a następnie odebrał.

„Gdy usłyszałem ten głos, odebrało mi mowę”, opowiada Sven Ulreich. Po drugiej stronie słuchawki był Robert Enke.

Tak naprawdę nie znał Ulreicha. Dwa tygodnie wcześniej, po meczu Hannoveru ze Stuttgartem, zamienili ze sobą parę słów i trwało to może trzy minuty. Robert jego numer otrzymał od producenta rękawic. Wydawało mu się, że zna sytuację, w jakiej znajduje się Sven.

Rozmawiali dobre pół godziny. Robert analizował stracone przez niego bramki. Powtarzał mu, że jego decyzje były niezwykle istotne: dobrze zrobił, piąstkując pierwszą piłkę, przy drugiej bramce też w sumie zrobił dobrze, kucając, jednak miał pecha. Nie powinien rozpaczać, nawet jeśli trener odsunie go od drużyny. Publiczna krytyka Veho była okropna, jednak on sam w Barcelonie przeżył to samo. Rozegrał jedno słabe spotkanie i na tym był koniec. Powiedział, że trafił na samo dno i – co najważniejsze – wyszedł na prostą. Był przekonany, że młodszemu koledze też to się uda. Ma przecież wielki talent.

„Gdy odłożyłem słuchawkę – mówi Sven Ulreich – przeszły mnie ciarki”.

Zwrócił się do swojej matki.

– To był Robert Enke.

Matka czekała na jakieś wyjaśnienie, ale Sven Ulreich mógł powiedzieć tylko jedno:

– Czegoś takiego w piłce nożnej chyba jeszcze nie było: bramkarz reprezentacji dzwoni do nieznanego 19-latka, żeby mu pomóc.

Popołudniami zawsze chodził na cmentarz. Wraz z Teresą i psami szli długo pod górę i przez pola, wprost do Lary. Gdy razem ze swoją watahą wracali do domu, Roberta ogarnęło niezwykle uczucie. Był w stanie sobie wyobrazić, jak stoi obok nagrobka ze swoim dzieckiem i tłumaczy mu: „To była twoja siostra”.

Decyzja o drugim dziecku nie wynikałaby z potrzeby zastąpienia Lary. To byłoby po prostu drugie dziecko. Nie widział już przeciwwskazań, dlaczego nie mieliby znów zostać rodzicami.

Teresa nie potrafiła jednak pogodzić się z myślą, że mogłaby znów zajść w ciążę. Nie wytrzymałaby ryzyka i strachu przed urodzeniem kolejnego dziecka.

Znali jedną parę z Hanoweru, która zdecydowała się na adopcję. Dopytywali, jak wygląda sama procedura, jak przebiegają kontrole urzędu do spraw nieletnich, jak jest z listą oczekujących. Czy mogli się zdecydować na adopcję już wczesną jesienią?

Wciąż było jednak lato i nie mogli podjąć żadnej decyzji. Pytanie, czy zostanie powołany na mistrzostwa Europy w przyszłym roku, blokowało wszelkie plany. Jörg i Teresa niezwykle się emocjonowali, gdy dziennikarze bez zażenowania żądali powołania młodego René Adlera, miłego, zdolnego zawodnika słynącego z niesamowitych parad bramkarskich. Robert Enke czuł się lepiej, gdy Jörg i Teresa się denerwowali. Gdy się unosili, on sam uważał, że powinien pozostać spokojny. Wtedy musiał ich poskramiać: bez paniki, trener bramkarzy z reprezentacji wysoko go ceni, poza tym na mistrzostwa ma jechać trzech golkeeperów. Patrząc dodatkowo na grę w ostatnich latach, a nie tylko momenty z ostatniego czasu, szczerze widział siebie samego jako drugiego w kolejce do bramki. Gdy tak spokojnie rozmawiał z bliskimi, sam również się uspokajał.

Półtora roku po śmierci Lary zaczął go dręczyć dawny niepokój.

– Wszystko wraca – mówiła Teresa. – Złość po straconej bramce. Wściekłość, że nie ma dżinsów w rozmiarze 36, zdenerwowanie drobiazgami. Nie irytuje się jednak tak bardzo jak kiedyś.

Wybrali się na dwa dni do Hamburga, aby choć na chwilę odpocząć od codziennych problemów. W jednym z butików Teresa postanowiła kupić spodnie. Podczas gdy ona przymierzała ubrania, Robert czytał magazyn „Kicker”.

– Jak w tym wyglądam?

– Dobrze. – Ledwo podniósł wzrok znad gazety.

Teresa przymierzyła pięć różnych par. Za każdym razem wychodziła z przymierzalni, aby pokazać się mężowi. I za każdym razem ledwo unosił wzrok znad gazety i powtarzał: „Dobrze”. Po raz kolejny poszła zmienić spodnie.

– Może wezmę te?

– Tak, też mogą być.

– Robbi, spójrz chociaż raz.

Teresa miała na sobie starą parę.

W kraju bramkarzy

Joachim Löw udał się na Königsallee. W miejscu, gdzie inni podziwiają najnowszą modę, trener reprezentacji Niemiec szukał odosobnienia. 5 maja 2008 roku na trzy dni zajął pokój w hotelu Boulevard w Dusseldorfie. Wraz ze swoimi najbliższymi współpracownikami postanowił spokojnie przedyskutować skład kadry na mistrzostwa Europy. Obsada bramki nie była tematem najpilniejszym, ale najbardziej drażliwym. Były trzy miejsca i czterech kandydatów.

Jens Lehmann musiał być numerem jeden. Tę decyzję Löw podjął wiele miesięcy wcześniej, gdy zdecydował się stawiać na niego jako numer jeden, mimo że ten nie grał regularnie w swoim klubie, Arsenalu. Wspomnienia gry Lehmana podczas mistrzostw świata w 2006 roku okazały się ważniejsze niż przewidywania, ile będzie w stanie pokazać którykolwiek z trzech pozostałych piłkarzy.

Do wyboru pozostali Timo Hildebrand, Robert Enke oraz René Adler. Hildebrand oraz Enke w minionym roku należeli do kadry narodowej. Adler był po prostu wybijającym się bramkarzem w lidze.

Łatwiej było w pierwszej kolejności wybrać trzeciego bramkarza. Jeszcze nigdy w historii występów reprezentacji Niemiec podczas mistrzostw świata lub Europy trzeci bramkarz – zastępca zastępcy pierwszego bramkarza – nie wybiegł na murawę. Tradycją stało się więc, że na turniej zabiera się młodego bramkarza, który przez czas mistrzostw miał się aklimatyzować w drużynie. Pewnego dnia to on stanie w bramce. 23-letni René Adler, który stał się objawieniem ligi, idealnie pasował do tej roli.

„Pytanie brzmiało: na kogo trafi – Timo czy Roberta?”, wspomina trener bramkarzy w reprezentacji, Andreas Köpke.

Hildebrand od pięciu lat szkolony był na naturalnego następcę Lehmana. Podczas dwóch ostatnich turniejów był trzecim bramkarzem, chłopakiem, do którego należy przyszłość. Robert Enke wszedł do kadry w wieku 29 lat i do tej pory rozegrał jeden mecz. Timo Hildebrand miał za sobą z kolei trudny rok. W pierwszym sezonie gry w FC Walencji jego konkurentem był Santiago Cañizares, który nie oddał swojego miejsca w bramce bez walki. W ogóle z nim nie rozmawiał i traktował go z zimną pogardą. Jak sam Cañizares przyznaje, nie było w tym nic osobistego, tak po prostu wyglądała rywalizacja. W Walencji w ciągu roku dwukrotnie zmieniano trenera, co również nie pomogło uspokoić sytuacji.

– Tu cały czas coś się dzieje – mówił Hildebrand.

Po jego grze widać napięcie. Jeśli na zimno przeanalizujemy sezon w Hiszpanii, to zauważymy, „że Timo w prawie każdym meczu popełniał błędy”. Czasami po

strzale Hildebrand musiał ponownie chwytać piłkę, aby ją dobrze złapać. Innym razem, gdy próbował złapać dośrodkowanie, zderzył się z obrońcą. Jego błędy rzadko przynosiły stratę bramki, jednak nie można było w jego przypadku mówić o niezawodności. Również w reprezentacji, w swoim jedynym meczu o stawkę w starciu kwalifikacyjnym z Cyprem, nie prezentował się solidnie. Robert Enke z kolei od czterech lat robił wrażenie pewnego siebie i zdecydowanego.

– Przy takim bramkarzu piłkarze dobrze wiedzą: on jest na swoim miejscu. To pomaga zbudować pewność drużyny – mówił Andreas Köpke.

Jednak Hildebrand w Walencji miał też niesamowite momenty. Pewnego razu kibice zobaczyli *una mano de milagro*, cudowną rękę, gdy obronił strzeloną przez napastnika głową piłkę. Hildebrand od pięciu lat regularnie był zapraszany do reprezentacji, bo widziano w nim możliwy numer jeden. Czy nie powinni spojrzeć na niego łaskawszym okiem, mimo że zaliczył jeden gorszy sezon?

Może jednak właśnie o to chodziło: jak radzi sobie bramkarz w sytuacjach ekstremalnych? Czy podstawowym kryterium podczas szukania rezerwowego bramkarza nie było: „Co się stanie, jeśli Jens Lehmann rzeczywiście odpadnie w półfinale mistrzostw? – spytał Andreas Köpke, a następnie sam sobie odpowiedział: – Wtedy bez problemu możesz postawić w bramce Roberta. On ma tak silne nerwy, że nawet w takim meczu będzie bronił niezłe. Po śmierci córki wie, że na świecie są jeszcze ważniejsze sprawy”. Pozostali uczestnicy spotkania – selekcjoner, jego asystent Hansi Flick, szef skautów Urs Siegenthaler – też byli tego zdania: zrównoważenie Roberta Enke było imponujące. Jednak finalną decyzję musiał podjąć sam trener.

16 maja 2008 roku, trzy tygodnie przed mistrzostwami Europy, Köpke miał podać skład. Siedem stacji telewizyjnych transmitowało ogłoszenie przez niego decyzji. Niewiele wcześniej trener zadzwonił do całej czwórki kandydatów, aby smutna wiadomość nie dotarła do nich z mediów.

Tego dnia Timo Hildebrand przebywał na przedmieściach w Paternie, skąd miał się udać na ostatni w tym sezonie trening. Miał zwichnięte biodro i w najbliższym meczu przeciwko Atlético Madryt nie mógł zagrać. Nie chciał ryzykować i pragnął oszczędzać się przed mistrzostwami. Przez pięć lat cierpliwie czekał na swoją kolej, stojąc w cieniu Olivera Kahna i Jensa Lehmana. To miał być jego ostatni turniej w roli rezerwowego. Po mistrzostwach Lehmann miał zrezygnować z kadry. Droga stałaby otworem. Oczekiwany telefon Timo otrzymał, gdy jechał autem.

Timo Hildebrand potrzebował 15 minut, aby chociaż częściowo się pozbierać. Zaparkował przed ośrodkiem treningowym i zadzwonił do Köpke.

– Andy, dlaczego? – zapytał: – Dlaczego?

Trójce powołanych bramkarzy Köpke przekazał wiadomość już poprzedniego

wieczoru. Po oficjalnym ogłoszeniu składu Robert Enke zadzwonił do przyjaciela.

– Jacques, gdzie jesteś?

– Robert, człowieku niesamowite! Niesamowite! Właśnie usłyszałem w radiu, strasznie się cieszę. Niewiarygodne, jedziesz na mistrzostwa Europy!

– Tak, dziękuję.

– Trzeba to oblać! Robert, musisz chyba wariować ze szczęścia!

– Przecież ja wiem o tym od wczorajszego wieczoru. Słuchaj, Jacques, chciałem tylko wiedzieć, gdzie jesteś. Podrzucę ci pocztę.

Przejechał do ośrodka treningowego objazdem, aby przekazać przebywającemu na drugim końcu Hanoweru Jacques'owi pocztę i chwilę poplotkować. Potem zadzwonił do Timo Hildebranda.

Ich wzajemny stosunek był profesjonalny i powściągliwy. W reprezentacji Robert bardziej obserwował Hildebranda, niż z nim rozmawiał, jednak przy tym zawsze rzucało się w oczy jedno: przejście do Walencji, będące niezbyt korzystnym krokiem, jeśli chodzi o rozwój kariery w pewnym sensie pomogło Timo.

– Wydaje mi się, że stał się bardziej wyrozumiały i łatwiejszy w obyciu – mówił Robert, gdy rozmawialiśmy o Timo.

Hildebrand poczuł obezwładniającą niemoc, gdy trafił samotnie do obcej drużyny w obcym kraju. To sprawiło, że stał się bardziej podatny na ciosy. Tym ważniejsze wydawało się dla Roberta, aby do niego zadzwonić i wyrazić swoje zrozumienie. Bez znaczenia, jak trudny miał być dla niego ten telefon.

Właściwie nie wiedział, co ma powiedzieć swojemu konkurentowi, któremu odebrał miejsce w kadrze.

– Nie wiem nawet, czy w takiej sytuacji w ogóle istnieją odpowiednie słowa – wyznał, gdy później o tym rozmawialiśmy.

Po prostu zaczął rozmowę. Powiedział, że jest mu przykro, że jest w stanie zrozumieć, co czuje Timo. Za trzy miesiące rozpoczyna się nowy sezon, a w piłce nożnej jest wiele do wygrania, również dla Timo. Rozmowa była krótka. Relacjonując swoje wrażenia, Robert powiedział mi:

– Mimo wszystko odniosłem wrażenie, że Timo ucieszył się z mojego telefonu.

Mistrzostwa Europy rozpoczęły się jako przyjemna podróż łodzią – reprezentacja wyruszyła jachtem na otwarte morze wokół Majorki. Mogli nurkować, pływać i przez jedno popołudnie poczuć się, jakby rzeczywiście udali się na obóz regeneracyjny, o którym mówił trener, gdy opisywał pierwszą część przygotowań w Palma de Mallorca.

Robert Enke wraz z Perem Mertesackerem i Christophem Metzelderem – stoperami reprezentacji narodowej – od dawna tworzył osobną grupkę. Uważał, że do swoich naturalnych przyjaciół bramkarzy nie może się tak łatwo zbliżyć. Gdy

zagadnąłem go o Jensa Lehmana, wzruszył ramionami i odparł:

– On nic nie mówi.

Lehmann jako bramkarz był niczym samotny, gniewny kowboj, który rozgniewany na cały świat, uparcie podążał własną drogą. Gdy w końcu się otwierał, najchętniej pouczał ludzi. Jego ulubionym ostatnio tematem było wyliczanie, co jest lepsze w Arsenalu, i ogólnie angielskiej piłce, niż wszędzie indziej. Najbardziej zadziwiające było jednak, że przez pięć lat spędzonych na wyspach nie nauczył się najważniejszych angielskich wartości – uprzejmości i autoironii.

Jeśli mowa o trzecim bramkarzu, to Robert miał swoje zastrzeżenia. Myśl, że po mistrzostwach Europy i po odejściu Jensa Lehmana nadejdzie czas rywalizacji, uparcie go nachodziła: wówczas on i René Adler mieli walczyć o koszulkę z numerem jeden. Taki był wydzźwięk ich powołania do kadry – stali się rywalami jutra. Młodego chłopaka zbytnio to nie interesowało. Robert Enke ze zdziwieniem zauważył, że René Adler szuka z nim kontaktu. Pewnego dnia na treningu, podczas gdy Lehmann w milczeniu wykonywał ćwiczenia, René krzyknął po paradzie do Roberta:

– Super, Robert!

Innym razem spytał go, czy nie powinien stać przy dośrodkowaniu nieco z tyłu. Po kilku dniach René Adler zaproponował Robertowi Enke odprawienie ostatecznego rytuału braterskiego bramkarzy: spytał, czy może wypróbować rękawice Roberta. „On miał naprawdę szeroką dłoń – wspomina Adler. – W jego rękawiczkach moje palce się ślizgały”.

Robert Enke nie wiedział, co o tym sądzić – przecież prasa wyraźnie wołała Adlera niż jego. Przed mistrzostwami Europy nieświadomie zaczął żywić wobec rywala urazę. Teraz jednak dostrzegł, że jego konkurent jest niezwykle miłym młodym człowiekiem.

René Adler był siedem lat młodszy od Roberta Enke. Siedem lat w piłce nożnej to całe pokolenie. Gdy w roku 1999 Robert debiutował w Bundeslidze, 14-letni Adler siedział przed telewizorem w domu swoich rodziców w Lipsku i przyglądał się drodze Enke – drodze, którą sam miał podążać pewnego dnia. Podobnie jak Robert, René wyruszył ze wschodu Niemiec na zachód, aby tam święcić piłkarskie triumfy. Mając 15 lat, trafił samotnie do Bayeru Leverkusen. Rüdiger Vollborn, trener bramkarzy, oraz jego żona przyjęli go do siebie i zapewnili opiekę. René dostał pokój na poddaszu. Było to niepowtarzalnym połączeniem: trener nie tylko szkolił swojego bramkarza, ale i go wychowywał! Z dala od rodziców, poniekąd pozbawiony dzieciństwa, pod dachem byłego profesjonalnego bramkarza, którego w żadnym wypadku nie chciał rozczarować, Adler umacniał swój charakter. Praktycznie wszyscy, którzy go poznawali, byli poruszeni jego wyczuciem taktu i otwartością.

Wyróżniał się na wszystkich szczeblach reprezentacji Niemiec i określano go jako wielki talent. „Po tak niesamowitym sezonie on musiał jechać na mistrzostwa”, powiedział Andreas Köpke. René Adler nie był jednak w stanie w to uwierzyć: „Jako profesjonalista grałem dopiero od półtora roku i myślałem sobie: »Musisz pokazać więcej, aby załapać się na mistrzostwa Europy«”. Wtedy właśnie zapadła ta kuriozalna decyzja, żeby powołać mnie na turniej”.

Nie wiedziałyby nawet, jak ma zachowywać się inaczej w stosunku do Roberta Enke, niż być uprzejmym i ukazywać mu szacunek. „Nie widziałem siebie jako bramkarza na tym samym poziomie co Robbi”, przyznaje. Przed mistrzostwami powiedział sobie, że będzie się uczył od Lehmana i Enke. Poza tym kierował się mottem: „Najważniejsza jest zabawa”.

Sprawa z zabawą nie była jednak taka prosta. Po obozie regeneracyjnym drużyna szybko zauważyła, że miłe zajęcia tak naprawdę są zakamuflowanym ciężkim treningiem fitness. René Adler musiał wykonywać ćwiczenia, jakich w życiu jeszcze nie robił: biegać z oporem czy ciągnąć za sobą metalowe sanki. Pierwszego wieczoru miał ciężkie nogi, a kolejnego zeszywniały mu plecy. Musiał zrezygnować z treningów i poddać się zabiegom fizjoterapeutów. Robert nie mógł się wyzbyć urazy wobec ulubieńca mediów i z zaciekawieniem wychwytywał jego słabości: czy jego przyszły rywal fizycznie nie był jeszcze w stanie podjąć walki?

Żony piłkarzy również udały się na mistrzostwa Europy. Niemiecki Związek Piłki Nożnej zarezerwował im hotel w Asconie, w tej samej miejscowości przy jeziorze Maggiore, gdzie podczas turnieju przebywała również kadra Niemiec. Podczas wolnych wieczorów Teresa spotykała się z Robertem. Powiedziała mu, że poznała wśród kobiet miłą dziewczynę. Może pewnego razu mogliby wspólnie we czworo wyjść.

– Co? – zapytał Robert. – Ma jeszcze spotykać się z René Adlerem?

René wspomina, że wieczorami dużo się śmiali z kobietami. „Przede wszystkim z nas, facetów. Obydwaj byliśmy niezdarami pod względem manualnym, więc było o czym rozmawiać”.

Po pewnym czasie René Adler zaczął przesiadywać przy stole wraz z Robertem, Perem Mertesackerem i Christophem Metzelderem. Gdy Teresa i Robert w wolnym czasie wspólnie coś organizowali, to zawsze w towarzystwie René i jego dziewczyny. Poznali dodatkowo miłą kobietę, z którą Teresa pozostała w późniejszym kontakcie: matkę René.

Gra w reprezentacji była dla Roberta Enke szczytem marzeń. Jednak czy czas, gdy był drugim bramkarzem, nie był najpiękniejszy? Cenili go inni zawodnicy i trener. W Szwajcarii przeżywał wszystkie nerwy, zwycięstwa, żarty tak samo jak wszyscy

inni, jednak w czasie meczów nie musiał się mierzyć z presją. „Podczas mistrzostw Europy był w wyśmienitym humorze”, wspomina Teresa.

Po wygranej 2:0 meczu z Polską zaczepił Roberta dawny znajomy. Frans Hoek, trener bramkarzy z czasów FC Barcelony, który w odczuciu Enke go wykańczał, przywitał go z uśmiechem. Okazało się, że objął posadę trenera bramkarzy w reprezentacji Polski.

– Widzisz, w ten sposób jednak dosięgła cię sprawiedliwość. Stałeś się bramkarzem, którego widziałem w tobie, gdy ściągałem cię do Barcy. Cieszę się twoim sukcesem.

Roberta zamurowało. Hoek mówił dalej, jakby za czasów Barcelony byli w dobrej komitywie. Rozmowa trwała dobre 45 minut. Na koniec Holender zapytał swojego dawnego podopiecznego, czy ten nie podaruje mu swojej koszulki meczowej. Robert był tak zdziwiony, że po prostu się zgodził.

Cztery dni później bajka dobiegła końca: Niemcy przegrały z Chorwacją 2:1 i pojawiło się ryzyko odpadnięcia z turnieju. W drużynie rozpętała się kłótnia, a informacja o niej bardzo szybko przedostała się do gazet brukowych. Chodziło między innymi o to, że starsi piłkarze byli zdania, iż młodszy dzień po meczu nie powinni siedzieć w basenie i popijać drinków. Jak to często bywało w tamtych czasach w Niemczech, szybko wybuchła dyskusja na temat roli liderów zespołu. Czy rację miał kapitan reprezentacji Michael Ballack, który sądził, że drużyna, przyzwyczajona do często szorstkiego, autorytarnego stylu pokolenia piłkarzy pokroju Stefana Effenberga, została zdominowana przez innych zawodników? Może odnoszący sukcesy zespół potrzebował płaskiej hierarchii z 11 piłkarzami, którzy zgodnie postrzegaliby siebie jako poddanych koncepcji gry, tak jak widzieli to przede wszystkim młodszy piłkarze? Robert Enke cieszył się, że jako rezerwowy bramkarz nie musiał uczestniczyć w tej dyskusji o hierarchii, grze obrony czy drinkach. Nie wiedziałby, po której stronie stanąć. Był zwolennikiem takiej koncepcji drużyny, w której wszyscy pomagają sobie nawzajem, zamiast podążać za liderem. Z drugiej strony dobiegał już trzydziestki i coraz częściej nachodziły go myśli, że starsi piłkarze w zespole powinni czasami twardą ręką zaprowadzić porządek.

Drużyna z najlepszymi elementami obydwu modeli – niesamowitym Michaeliem Ballackiem jako liderem oraz zawodnikami, którzy grają zgodnie ze skrupulatnie wypracowaną koncepcją – w ćwierćfinale pokonała, w najlepszym stylu od wielu lat, Portugalię 3:2. Niemcy dotarli do finału w Wiedniu, gdzie ulegli Hiszpanii 1:0.

Po porażce w finale Robert Enke leżał w rozkroku na murawie Ernst-Happel-Stadion. Miał na sobie jaskrawozieloną koszulkę, a na jego piersi wisiał srebrny medal. W świetle jupiterów nie można było nie zauważyć, jak bardzo zmienił się fizycznie w ostatnich latach. Jego twarz zyskała ostrych rysów. Po śmierci Lary wyraźnie posunął się w latach. Ostatnio zaczął golić głowę na łyso, aby ukryć

powiększające się zakola, co jedynie podkreśliło jego wyraz twarzy. Jego ciało stało się bardzo muskularne. Jeszcze dwa lata wcześniej mówił: „Nigdy nie byłem tak opętany pracą nad sobą jak Oliver Kahn. Nigdy nie musiałem tak trenować jak on, ponieważ miałem odpowiedni talent”. Jednak gdy do jego drzwi zapukała reprezentacja, zaczął zawzięcie ćwiczyć na siłowni, bo trening bramkarski w Hanowerze nie był zbyt innowatorski i jego zdaniem nieszczególnie mu pomagał. Gdy leżał samotnie na murawie pomiędzy innymi przegranymi, spojrzał przed siebie. Kilka minut temu czas Jensa Lehmana w reprezentacji dobiegł końca. Teraz zależało tylko od niego, czy zostanie nowym numerem jeden w niemieckiej bramce.

Poleciał z Teresą na urlop do Lizbony. Nieco wcześniej kupili tam dom.

– Czy dalej jesteś przekonany, że w wieku 34 lat wrócisz do Benfiki? – spytał Paulo Azevedo.

– Oczywiście – odparł Robert.

Przez ostatnią dekadę w bramce reprezentacji Niemiec stał bezwzględny samotny wojownik, najpierw w osobie Olivera Kahna, a później Jensa Lehmana. W sierpniu 2008 roku, po zakończeniu ery Kahn – Lehmann, cały naród żywił przekonanie, że bramkarz musi być taki jak ci dwaj – skrajnie zdeterminowany w swojej izolacji.

Zirytowany Robert Enke zauważył, że przeciwko niemu obracało się wszystko, co w Hanowerze uznawano za jego mocne strony: rzeczowość, zdecydowanie i nacechowaną szacunkiem publiczną powściągliwość. Teraz porównywano go z Kahnem, który raz podczas meczu ugryzł przeciwnika w szyję, bądź z Lehmannem, który starał się górować nad Kahnem w każdym udzielonym wywiadzie, no i oczywiście z René Adlerem, z zimną krwią wyłapującym dośrodkowania, do których Robert Enke nawet nie startował.

– Enke nie ma charyzmy. – Taki wniosek wysnuł Ottmar Hitzfeld, najwybitniejszy trener klubowy w Niemczech.

Robert wierzył, że jest gotowy na tę populistyczną krytykę. Nie miało przecież znaczenia, że dziennikarze pisali swoje – liczyło się, jak ocenia go trener bramkarzy. Andreas Köpke uważał spokój Roberta w bramce za przejaw elegancji: „Tym naprawdę mi imponował. Miał niesamowitą prezencję i cieszył się wielkim autorytetem, szczególnie dlatego, że nie robił z siebie, jak inni, głupiego Jasia, a zachowywał się rzeczowo i zdecydowanie wykonywał swoje akcje. Gdy któregoś razu świetnie obronił w sytuacji jeden na jednego, to od razu biegł do bramki, jakby taka obrona była najnormalniejszą sprawą na świecie. Nie robił z tego przedstawienia”.

Gdy w sierpniu 2008 roku Robert Enke stanął w bramce Niemiec podczas pierwszego meczu po mistrzostwach Europy, w Norymberdze, przeciwko Belgii,

odebrano to jako znak. Selekcjoner widział w nim pierwszego spośród trzech – czterech kandydatów na następcę Lehmana. Niemcy wygrali 2:0, a Robert miał niewiele pracy, lecz wykonał ją bardzo profesjonalnie. Gdy zadzwoniłem do niego, aby mu pogratulować, powiedział:

– Głupio wyszło, bo nie miałem okazji, by pokazać, na co mnie stać.

Śpieszyło się mu, aby zaprezentować swoją klasę. Mógł sobie dziesięć razy powtarzać, że nie interesują go sceptyczne głosy publiczności, jednak mimo wszystko czuł na sobie presję. Musiał jak najszybciej przekonać rodaków co do swoich umiejętności.

Jak miał jednak przekonać publikę, która myli popisy z charyzmą?

– No tak – powiedział Jörg Neblung podczas rozmowy telefonicznej – nie wolno uważać słów o braku charyzmy za czcze gadanie, jeśli padają z ust kogoś takiego jak Hitzfeld. W takiej sytuacji trzeba zadać sobie pytanie: jakim cudem Hitzfeld wysnuł takie wnioski?

Jörg Neblung doszedł do wniosku, że jest to również kwestią wizerunku. Styl bycia Roberta sprawiał, że nie zaliczał w bramce tylu spektakularnych akcji co inni, którzy albo widowiskowo piąstkowali piłki, albo w ostatniej chwili je wybijali. Po meczu udzielał wywiadu z chłodnym wyrazem twarzy, mówił zwięźle, reporterzy woleli więc rozmawiać z René Adlerem, który z młodzieńczym uśmiechem i z blond czupryną wydawał się im sympatyczniejszy.

Robert Enke słuchał słów Jörga i zaczął zrzędzić. Trener na pewno nawet bez udzielanych z uśmiechem wywiadów jest w stanie zauważyć, że jego bramkarz broni w sposób spokojny i opanowany. Wykonywał przecież wszystkie polecenia szkoleniowca, których nikt poza boiskiem nie słyszał.

– Jasne Robbi – powiedział Jörg. – Jednak gdyby twój wizerunek był nieco inny, nie musiałbyś się zmagać z presją, bo media przestałyby narzekać.

Podał przykład innego bramkarza, który cieszył się atrakcyjnym wizerunkiem. Starał się wytłumaczyć Robertowi, że jego imponujące parady polegają na tym, że bramkarz ten w ostatniej chwili spektakularnie rzucał się na piłkę. Nie ma w tym niczego niegodnego. Później w ferworze dyskusji Jörg Neblung wypowiedział zdanie, którego dziś żałuje.

– Postaraj się przynajmniej raz, w sytuacji największego zagrożenia, tak spektakularnie rzucić jak Tim Wiese.

Robert Enke nie był zły. Był obrażony.

Po mistrzostwach Europy Tim Wiese wszedł do drużyny jako trzeci bramkarz. Był dobrym piłkarzem z siłą wyskoku, o której nawet Jens Lehmann mógł jedynie marzyć. Dla pozostałych czołowych bramkarzy stanowił temat ze wszech miar drażliwy, ewidentnie grał bowiem pod publiczność. Rzucał się nawet na piłki, które

leżały oddalone od niego o pół metra i które bez problemu obroniłby, stojąc. Wówczas jednak widzowie nie mieliby się czym emocjonować. Gdy napastnik zostawał z Timem Wiese sam na sam, to bramkarz Werderu rzucał się na przeciwnika z wyprostowaną nogą niczym wojownik kung-fu. Dziennikarze byli zachwyceni: „Wiese idzie na całość!”, a inni bramkarze przed telewizorami aż kipieli ze złości: czy dziennikarze nie rozumieją, że takie pospieszne rzucanie się na atakującego jest błędem? Każdy, kto przyjrzał się dokładnie, mógł dostrzec, że w takich momentach Wiese dodatkowo przekręca głowę. Wtedy każdy napastnik z łatwością potrafił go minąć.

Po nieprzemyślanej sugestii, aby Robert zachowywał się czasem jak Tim Wiese, Jörg już więcej nie poruszył tematu wizerunku. Zauważył jednak, jak bardzo jego podopieczny starał się uśmiechać podczas wywiadów.

Z założenia jednak pozostał tym, kogo Brytyjczycy nazywają „bramkarzem bramkarzy”: piłkarzem, który jest tym bardziej uwielbiany przez swoich kolegów, im bardziej tłum nie docenia jego wartości. Sprzeciwiając się trendowi, by być bramkarzem „radykałnym”, który stara się wyłapać każde podanie i każde dośrodkowanie, Robert Enke twardo trzymał się swojego wizerunku bramkarza „rozsądnego”. Co zyskiwał bramkarz, który przy swoich zuchwałych interwencjach wyłapywał 18 z 20 dośrodkowań, a spóźnił się przy dwóch?

– Uważam, że przesadą jest, że nowoczesny bramkarz powinien wyłapywać wszystkie podania i dośrodkowania. Powinien mieć intuicję i wiedzieć, przy jakim dośrodkowaniu wybiec, a przy jakim podaniu pozostać w bramce.

Robert Enke był osamotniony w samym środku zmiany pokoleniowej bramkarzy. Z jednej strony René Adler oraz Manuel Neuer wprowadzali filozofię radykalnej gry w bramce, preferując interwencje daleko przed własną bramką. Z drugiej zaś Tim Wiese hołdował tradycyjnemu modelowi gry, polegającemu na bronieniu jednego strzału za drugim na samej linii bramkowej. Robertowi udało się znaleźć złoty środek.

Fakt, że w osobach Adlera, Enke oraz Wiese jesienią 2008 roku w kadrze reprezentacji Niemiec znajdowało się trzech zupełnie różnych bramkarzy, pokazuje, jak subiektywne jest wyobrażenie przewagi jednego stylu nad drugim. Kibicom przecież najnormalniejsze na świecie wydaje się, że istnieją różne typy napastników. Zarówno napastnicy szybcy, jak i silni fizycznie na swój własny sposób potrafią osiągać sukcesy. Nie inaczej ma się sprawa u bramkarzy. Najważniejsze, by bramkarz konsekwentnie działał według obranego przez siebie stylu. Jesienią 2008 roku Robert Enke był tym bramkarzem, który bardziej niż którykolwiek inny doprowadził swój styl do perfekcji.

„Nigdy nie popełniał błędów niosących za sobą negatywne skutki. To go wyróżniało”, mówi Andreas Köpke. Dlatego też we wrześniu 2008 roku to on zajął

miejsce między słupkami w meczach z Lichtensteinem i Finlandią w ramach kwalifikacji do mistrzostw świata. „Jeśli przeanalizujesz wszystkie mecze w jego wykonaniu w reprezentacji, to nie znajdziesz ani jednej bramki, przy której będziesz mógł powiedzieć: tę piłkę powinien był obronić – przekonuje Köpke – nawet tej na 3:3 w meczu z Finlandią”.

Najważniejszy test czekał go jednak po meczu kwalifikacyjnym w Helsinkach. Do Empede przyjechała urzędniczka z urzędu do spraw nieletnich, odpowiedzialna za przebieg procesu adopcyjnego. Nie dała odczuć Teresie i Robertowi, że wystawia ich na próbę. Wizyta u nich w domu była ostatnim etapem testu predyspozycji adopcyjnej.

Pokazali urzędniczce pokój dziecięcy. Na drewnianych drzwiach w dalszym ciągu wisiały literki przyczepione do tablicy magnesem, tworzące imię Lara. Teresa i Robert chcieli umieścić obok imię zaadoptowanego dziecka. Pragnęli, aby w naturalny sposób dowiedziało się, że kiedyś miało siostrę.

W październiku otrzymali informację, że ich podanie o adopcję zostało rozpatrzone pozytywnie. Teraz pozostało im czekać. Nie wiedzieli, czy dziecko trafi do nich za cztery czy czternaście miesięcy.

Robertowi wydawało się, że czas płynie szybko. Powołania do reprezentacji nadawały jego życiu nowego biegu. Wszystko wydawało się szybsze, nagłe i przede wszystkim ciekawsze. Pojechał na zgrupowanie w Dusseldorfie. Przed nim był najważniejszy mecz kwalifikacji, spotkanie z półfinalistą mistrzostw Europy – Rosją. Od odejścia Lehmana zagrał we wszystkich spotkaniach kadry narodowej i nie mógł czuć się winny przepuszczenia ani jednej bramki. Jednak w gazecie „Bild” cztery dni przed meczem pojawiło się coś w rodzaju groźby: „Enke: numer jeden Jogiego – do pierwszego błędu”.

Starał się nie brać tego do siebie. Uważał, że to kampania skierowana przeciwko niemu, jednak rzeczywistość wyglądała inaczej. Korespondent „Bild”, na co dzień odpowiedzialny był za Bayer Leverkusen oraz René Adlera. Lubił go, więc walczył o niego na wszystkie sposoby.

Niezależnie od przyczyny nie sposób było zachować spokoju: dlaczego dziennikarz „Bildu” posunął się tak daleko i uderzył w Roberta tylko dlatego, że był konkurentem René? Raz przegrał z Hannoverem 2:0 w meczu przeciwko Leverkusen. Był to normalny, ligowy wynik. Dziennikarz napisał: „Enke na strzelnicy”.

Robert starał się uspokoić i powtarzał sobie, że nie jest to istotne.

Również w innych mediach Robert Enke i René Adler byli prezentowani jako najwięksi konkurenci. Wczoraj na tapecie był pojedynek Lehmann – Kahn, a dziś w kolejnej odsłonie największego niemieckiego pojedynku w bramce rywalizowali Enke oraz Adler. W rzeczywistości ci dwaj stawali się sobie coraz bliżsi. Świadomość

walki o to samo miejsce blokowała ich i nie pozwalała o tym rozmawiać. Jednak już podczas mistrzostw Europy dokonali cichego porozumienia, że ich współzawodnictwo ma być nacechowane przyjazną ostrością. Podczas obozu treningowego w Dusseldorfie stali się serdecznymi kolegami. „Robert i René potrzebowali raczej harmonii – powiedział Andreas Köpke. – Byli inni niż Oliver Kahn czy Jen Lehmann. Nie potrzebowali tego kopa, którego daje wzajemna rywalizacja czy pozorowanie wrogości. Te czasy już minęły. Dziś życie w drużynie piekarskiej nacechowane jest większą wspólnotą”.

„Zawsze odnosiłem wrażenie, że pomiędzy nami nie było walki – mówi René Adler. – Wydaje mi się, że było to dobre dla nas obojga. Pomocne jest, gdy na treningu nie czujesz tej presji: jeśli ty obronisz tę piłkę, to ja będę musiał obronić jeszcze lepiej”.

W Dusseldorfie na trzy dni przed wielkim meczem trener kazał piłkarzom zagrać czterech przeciwko czterem. Philipp Lahm strzelił z bliska, a Robert Enke wyprostował ręce, zacisnął pięści i obronił. Po drugiej stronie René Adler koncentrował się na grze, ponieważ w każdej chwili mogła trafić do niego piłka. Na niewielkim boisku futbolówka latała tam i z powrotem. Piłkarze mieli się nauczyć podejmowania na małej przestrzeni szybkich decyzji.

Podczas przerwy Robert podszedł do Andreeasa Köpke.

– Gdy piąstkowałem, staw wygiął mi się w drugą stronę. Coś się stało, może zwichnąłem dłoń.

– Przyłóż lód i idź do doktora, niech cię zbada.

René stał kilka kroków dalej, a myślami wciąż był na boisku. Widział, że w miejsce Roberta wchodzi Tim Wiese. Nie miał czasu, aby się zastanowić nad tą sytuacją, ponieważ trener zarządził powrót do gry.

Doktor delikatnie poruszył ręką Roberta, a następnie powiedział:

– Musimy jechać do szpitala.

Robert złamał kość łódeczkowatą. Podczas gdy drużyna po raz ostatni trenowała rzuty różne, on siedział na oddziale chirurgicznym szpitala w Hamburgu.

Doktor Klaus-Dieter Rudolf zmuszony był wstawić śrubę, aby ustabilizować złamaną kość. Zapewnił Roberta, że zabieg odbył się bez komplikacji i wszystko wskazuje na to, że złamanie zrośnie się płasko, podczas operacji użyto metody stosowanej od 20 lat. Jednak lekarz chciał być z nim szczery. Robert był bramkarzem, a obciążenia stawu w jego przypadku są ekstremalne. Istniało ryzyko, że nigdy już nie będzie mógł w pełni rozprostować dłoni.

Teresa odebrała go z Hamburga. Na rękę miał czerwony gips zapinany na rzepy – w ciągu dnia miał go ściągać i trenować staw. Lekarz powiedział, że może już za trzy miesiące znów będzie mógł stanąć w bramce. Jednak patrzeć w przyszłość nie było takie proste. Dlaczego takie rzeczy zawsze przytrafiają się jemu?

– To był zwykły strzał – dziwił się. – Obroniłem takich tysiące.

W domu zadzwonił do swojego sąsiada Ulego i spytał, czy chciałby dwa bilety na mecz przeciwko Rosji rozgrywany w najbliższych dniach. Normalnie z tych biletów skorzystałoby Robert i Teresa.

Uli powiedział mu, że Jürgen, jego szwagier, też kiedyś złamał kość łódeczkowatą, i to w obydwu dłoniach. Spadł podczas pracy z dachu. „Spokojny” to przymiotnik, który Jürgen opisuje niewystarczająco – mówił tylko wtedy, gdy było to konieczne, a poza tym wymownie się uśmiechał.

– Czy dziś jesteś w stanie swobodnie zamykać i rozprostowywać dłonie? – spytał go później Robert.

– Prawie wcale nie mogę ich zgąć – odparł Jürgen, a następnie zademonstrował to Robertowi.

Robert wpatrywał się w niego i milczał.

Oglądał w telewizji mecz, który właściwie miał być jego meczem. Teresa usiadła obok niego. Niemcy grali energicznie, szybko, a po bramkach Lukasa Podolskiego i Michaela Ballacka po pół godzinie prowadzili 2:0. Chwilę przed zakończeniem pierwszej połowy może dziesięć metrów od własnej bramki Philipp Lahm stracił piłkę, którą przejął Aleksandr Aniurow. Rosjanin od razu pobiegł do środka niemieckiego pola karnego. René Adler wybiegł mu naprzeciw, kierując się stylem „radykalnych”, aby możliwie najbardziej skrócić mu kąt strzału. Uznał, że Rosjanin pobiegnie wzdłuż linii końcowej, a następnie poda na tył. Gdy jednak Aniurow podał

płasko, Adler zrobił wykrok w prawo. Wtedy Aniukow posłał piłkę prosto między nogi Niemca. W polu karnym czekał już Andriej Arszawin, który z zimną krwią trafił na 2:1. Nie był to błąd bramkarza, a raczej sytuacja, w której bramkarz praktycznie nic nie mógł zrobić. Jedynie Robert Enke pomyślał: „Można było postąpić inaczej”. Był pewien, że jeśli swoim zwyczajem skierowałby prawe kolano do wewnątrz, uratowałby sytuację. Do końca spotkania pozostało 40 minut, a bramka Arszawina nadała grze innej dynamiki. Nagle to Rosjanie zaczęli atakować. René Adler ładnie skierował piłkę nad poprzeczką, w ostatniej chwili rzucił się Siergiejowi Siemakowi pod nogi i wyłapał bajecznie dośrodkowanie, do którego Robert by nie wybiegł.

Enke siedział w salonie i słyszał, jak komentator telewizyjny krzyczy: „Świetnie, Adler!”, „Powtórzę komplement: Adler, to było niesamowite”, „Znów Adler!” Była 22.20, do końca zostało dziesięć minut. Napięcie było olbrzymie. Czy Niemcy obronią 2:1? Robert wstał i powiedział do Teresy:

– Idę do łóżka.

W kolejnych dniach nie miał ochoty przeglądać prasy, jednak koledzy zagadywali go podczas zajęć rehabilitacyjnych na stadionie Hannoveru. „No kto to słyszał, widziałeś to? Co te gazety piszą? Nawet te pozornie poważne: »Rozpoczęła się era Adlera, walka w bramce rozstrzygnięta«. Chyba wszyscy powariowali – napisał Jörg w SMS-ie. – Następny kwiatek: »Kicker« dał René Adlerowi notę 1,5...”

Zarówno koledzy Roberta, jak i jego doradca chcieli dobrze. Pragnęli dać mu do zrozumienia, że ich zdaniem były to absurdalne słowa zachwytu, którymi nie powinien się irytować. Jednak cytując wszystkie te artykuły, wyprowadzali go z równowagi.

Zadzwoił do mnie dwa dni po meczu z Rosją. Nie miałem nawet możliwości spytać o jego dłoń – od razu przeszedł do rzeczy:

– Przecież też jesteś dziennikarzem!

– Jestem. A o co chodzi?

– Co sądzisz o tym, co twoi koledzy zrobili z gry René Adlera?

– Pamiętaj, że był to pierwszy mecz René w reprezentacji. I poradził sobie naprawdę nieźle. W przypadku młodych zawodników dziennikarze sportowi mają tendencję, by już po jednym dobrym meczu przewidywać, że zrobią wielką karierę. To dla nas typowe. Gdy miałeś 19 lat i grałeś w Gladbach, to tak samo chwalono ciebie. Postaraj się to zignorować.

– Oczywiście – mnie to też nie przeszkadza! Chciałem tylko poznać twoje zdanie.

Po upływie miesiąca od meczu z Rosją, w listopadzie 2008 roku, Robert udzielił wywiadu gazecie „11 Freunde”. To był jego najszczęśliwszy wywiad, a czytelnicy nawet tego nie zauważyli. Opowiadał o czasie spędzonym w Stambule: „To był kryzys, jakiego doświadczyć może każdy bramkarz, który w Bundeslidze popełnia pięć czy sześć błędów. Było w tym coś głęboko egzystencjalnego”. Jedną z jego wypowiedzi

nigdy nie ujrzała światła dziennego. Na koniec poprosił bowiem, aby ją wykreślić, bo wydawała mu się zbyt szczerą i przykra. Zapytany, co sądzi o wychwalaniu w prasie René Adlera odparł: „Wrzawa wokół René Adlera nie powstała w ostatnich tygodniach. Ten temat przewijał się od dawna. Czasem się zastanawiam, co tu się właściwie dzieje. Jego mecz przeciwko Rosji był normalny, nie był niczym wyjątkowym! Nie jest mi z tym łatwo... W odbiorze publiki wypadam chyba gorzej od pokolenia Adlera oraz Neuera i muszę się z tym pogodzić”.

Od czasu powrotu do gry na Teneryfie bardzo dobrze radził sobie z presją, stresem i smutkiem. Po podwójnym ciosie – kontuzji oraz koronacji René Adlera – jego postrzeganie siebie i świata ponownie uległo jednak zachwianiu. Znow zaczął widzieć wszystko w czarnych barwach.

Jesienne dni w Dolnej Saksonii były monotonne i szare.

– To mnie wykończy – westchnął w rozmowie z Teresą.

Codziennie jeździł na rehabilitację. W dalszym ciągu nie mógł poruszać nadgarstkiem i nie wiedział, czy będzie mógł używać swojej dłoni na najwyższym poziomie. Co będzie, jeśli podzieli los swojego kolegi dekarza? Gdy zadał sobie to pytanie, pojawiły się kolejne. Czy w ogóle miał jeszcze szanse na grę w reprezentacji? Czy nie został całkiem sam, przeciwko René Adlerowi i wszystkim mediom? Te wątpliwości stały się pożywką dla strachu, zaczęły rosnać do irracjonalnych rozmiarów.

Pod koniec listopada jak co dzień siedział w hanowerskim gabinecie fizjoterapeuty Markusa Witkopa. Powiedział, że musi mu się do czegoś przyznać, a następnie rozplakał się. Kiedyś cierpiał już na depresję i obawiał się, że właśnie wraca. Przez pięć lat nie odczuwał znaczących problemów psychicznych, nawet po śmierci Lary.

Witkopowi nie łatwo było znieść widok płaczącego kapitana drużyny. Oto siedział przed nim Robert Enke, którego znał od czterech lat i który teraz wyglądał jak bezbronne dziecko. Fakt, że fizjoterapeuta został wtajemniczony, ciążył na nim okropnie. To najtrudniejszy element pracy trenera: musi zachować dla siebie wszelkie sekrety, jakie przekazują mu piłkarze. „Wiele spraw tkwi w tobie i pożera cię od środka, bo w żadnym wypadku nie możesz się wygadać”, mówi Tommy Westphal.

Jeden mężczyzna w Niemczech był tego samego zdania co Robert Enke: Sądził, że w porównaniu z nim René Adler wypada słabo. Tą osobą był sam René Adler.

„Jestem w stanie zrozumieć Roberta, że denerwowały go doniesienia po meczu z Rosją. To był dobry mecz w moim wykonaniu, ale nie wybitny. Media strasznie wszystko rozdmuchały. Nie było to dla mnie przyjemne”.

Po meczach René często zastanawiał się, czy nie powinien zadzwonić do Roberta albo wysłać mu SMS-a. Od czasu mistrzostw Europy w telefonie miał zapisany

numer Teresy. Ułożył nawet w głowie słowa, które chciał napisać Robertowi. „Nie chcę być źle zrozumiany, ale czułem się źle – mówi. – Bałem się, że zostanę odebrany jako obłudnik. Miałem odczucie, że coś mu odebrałem, że wyrządziłem mu krzywdę. Myślałem sobie: »To byłby jego mecz«”.

Robert Enke depresję postrzegał jak gigantycznego napastnika, który zaczyna go atakować na boisku. Mógł go jeszcze powstrzymać, musiał jednak działać rozważnie. Jeszcze nie nadeszła ogarniająca wszystko ciemność. Rankami bez problemów wstawał, nie brakowało mu siły do działania, czuł się jednak przybity. Wiedział, że to pierwsza oznaka choroby, był jednak przekonany, że opanował mechanizmy obronne: potrafił sprawić, by dzień miał określony rytm, załatwiał różne sprawy. Postanowił się udać na kilka tygodni do kliniki rehabilitacyjnej dla profesjonalnych sportowców w Dolnej Bawarii. Uznał, że gdy będzie wśród ludzi tak samo cierpiących jak on, strach może się zmniejszy, ustąpi. Po powrocie, w połowie grudnia, zamierzał iść do psychiatry w Hanowerze.

Plan został ustalony. Robert jednak nie nastawiał się optymistycznie.

– Powiniennem to zrobić tak samo jak ty – powiedział zrozpaczony, gdy rozmawiał przez telefon z Marco Villą. – Dlaczego po depresji w Barcelonie nie współpracowałem profilaktycznie z psychiatrą?

– Robbi, jeszcze nie jest za późno. Rób tak jak ja i regularnie rozmawiaj z Valentinem.

– A tam, przez telefon i tak nic nie da.

– Mnie to pomogło.

Od blisko roku Marco Villa w każdy poniedziałkowy wieczór dzwonił do Valentina Marksera. Wydawało mu się, jakby dyskutował z przyjacielem, ale na koniec miesiąca przychodził za to rachunek.

Marco zaczął podejmować świadome decyzje. Wraz z żoną i dwójką dzieci mieszkał teraz w Roseto degli Abruzzi, małym miasteczkiem nad Adriatykiem. Na razie tam właśnie chciał zostać. Nie musiał już, ze względu na sprawy zawodowe, przeprowadzać się co pięć miesięcy. Rozkoszował się życiem nad morzem, wraz z rodziną, nie narzekał też na finanse, ponieważ wybierał ten klub z ligi regionalnej, który w danym sezonie oferował mu najwyższe zarobki. Porankami eksternistycznie studiował zarządzanie. Nie fascynował go ten kierunek, jednak chciał sobie udowodnić, że jest dobry jeszcze w czymś poza piłką nożną. Rzeczywiście – po raz pierwszy miał marzenia zawodowe wykraczające poza futbol: po ukończeniu zarządzania chciał studiować homeopatię i pracować w zakresie akupresury. Fascynowało go, jak ludzie jedynie rękoma są w stanie uśmierzyć ból.

Sprawy szły ku dobremu nie tylko dlatego, że przestał się bezwzględnie podporządkowywać profesjonalnej piłce. Pojechał na trening L’Aquila Calcio,

drużyny z piątej ligi, na której boisku więcej miejsca zajmuje piasek niż trawa. W szatni ktoś z drużyny z ligi okręgowej, która trenowała po nim, ukradł jego buty. Wieczorem w telewizji leciała pierwsza włoska liga, Genua grała przeciwko Udinesie. Marco w dalszym ciągu czuł się przywiązany do świata profesjonalnej piłki. Cały czas nachodziło go wciąż bolesne pytanie: jakim cudem wyłądownął w piątej lidze? Nauczył się jednak z nim żyć.

– Są tacy, którzy w wieku trzydziestu dwóch lat grają w piątej lidze – żartował z takim samym wdziękiem jak za czasów Mönchengladbach.

Na swoje urodziny zrobił kolegom z drużyny kulki z płatków owsianych, w których zamiast nadzienia waniliowego znalazło się nadzienie z szamponu.

Życie dawało mu powody do zadowolenia.

– Robbi – tłumaczył przez telefon przyjacielowi – wiem, że jest ci ciężko, i mnie też nie zawsze się to udaje, ale postaraj się nie skupiać wyłącznie na piłce.

– Ale znam się tylko na tym. Zawsze postrzegałem siebie samego jedynie jako piłkarza.

– To ci powiem, że jesteś kimś więcej niż tylko piłkarzem: jesteś moim przyjacielem.

– Ale ja cały czas zaniebrywałem przyjaciół i rodzinę. Wciąż zapominam nawet o urodzinach rodziców.

– No i? Co to znaczy, że zapominasz o urodzinach? Nic! Przecież to tylko formalność. To, co się liczy, to również fakt, że masz życie poza piłką, że otaczasz się ludźmi, którzy cię doceniają – że świat się nie kończy, gdy przez trzy miesiące nie zagrasz.

– Oczywiście, panie Markser – powiedział Robert.

Marco się roześmiał. Jego przyjaciel najwyraźniej poczuł się już trochę lepiej.

W klinice rehabilitacyjnej w Donaustauf Robert Enke nauczył się w całkiem nowy sposób odnajdywać ducha drużyny. W pomieszczeniach do fitnessu pracowało dobre kilkanaście osób: Vinícius, jego miły kolega z Hannoveru 96, starał się wzmocnić swoje plecy po wypadnięciu dysku; Roland Benschneider, piłkarz drugoligowego FC Augsburga, wracał do siebie po zerwaniu więzadeł krzyżowych. Na pierwszy rzut oka nic ich nie łączyło. Wykonywali ćwiczenia osobno, jednak poczucie, że mają wspólny cel, sprawiło, że wytworzyła się między nimi szczególna więź. Robert mógł się poczuć niczym kapitan klubu FC Kontuzjowani. Był reprezentantem kraju pomiędzy piłkarzami z Bundesligi, gwiazdami drugiej ligi oraz rezerwowymi z trzeciej ligi. W tonie, w jakim się do niego zwracali, wyczuwał szacunek, tak samo jak w sposobie, w jakim szukali jego towarzystwa. W obliczu uznania – w końcu uznania! – zrelaksował się. Niewytłumaczalny smutek, pierwsza oznaka depresji, jeśli się pojawiał, to na krótko.

„W takiej klinice rehabilitacyjnej czujesz się jak Rocky – mówi Marco Villa. –

Harujesz tygodniami, przygotowując się na jeden wielki dzień: dzień powrotu”.

Robert wrócił do Hanoweru w połowie grudnia. Z trudem mógł utrzymać w ryzach własną ambicję. Po obozie przygotowawczym, już w nowym roku, znów miał stanąć między słupkami. Postanowił sobie, że będzie bronił na rozpoczęciu rundy rewanżowej, 31 stycznia 2009 roku.

Strach już nie obezwładniał, ale wciąż był obecny.

Robert siedział przy stole kuchennym i bez przerwy odginał dłoń do tyłu, by sprawdzić zakres ruchu. Jedli kolację i w tym czasie wygiął ją 20 razy. Wydawało się, że robi to nieświadomie.

On i Teresa wybrali się wraz z Ulem i jego żoną do restauracji Pius w Neustadt, by spędzić wieczór przy lampce wina. Przy stole przyjaciele przyłapali go. Co wciąż robi tą ręką? Kilka minut później wszyscy byli zajęci oglądaniem, jak bardzo Robert może wygiąć do tyłu swoją lewą dłoń. Robił to już lepiej niż żona Jürgena, Ines, której nadgarstek był zdrowy.

Fizjoterapeuci udostępnili mu specjalną maszynę: wkładał do niej swoją dłoń, a maszyna wyginała ją do tyłu. Miał jej używać przez maksymalnie dziesięć minut. Gdy kończył ćwiczenie, od razu próbował, czy udaje mu się wygiąć nadgarstek jeszcze bardziej.

Chciał mieć pewność, że niczego nie zaniedba. W styczniu 2009 roku poszedł więc do doktora Johannes Stroschera, którego jeden z zaprzyjaźnionych lekarzy polecił mu jako dobrego psychiatrę i psychoterapeutę. Postanowił wypróbować wszystkie środki, aby zapobiec najgorszemu, mimo że na chwilę obecną cierpiał co najwyżej na zaburzenie depresyjne. Nie chciał już, aby kiedykolwiek sprawy wyglądały tak jak w Stambule.

Gabinet doktora Stroschera mieścił się niedaleko zoo. Robert Enke głęboko nasunął czapkę na twarz, żeby nikt go nie rozpoznał, gdy wchodził do budynku. Powtarzał sobie, że czapkę tę powinien zawsze mieć pod ręką.

Dobrze na niego podziałałoby w tej sytuacji dawne zgranie w ekipie Hannoveru 96. Jednak szatnia numer dwa zmieniła się w pomieszczenie do odpoczynku z leżakami i ławami do masażu. Po wizycie u fizjoterapeuty Robert udał się do wyremontowanej szatni. Ich stara jaskinia w pełni zasługiwała na nową nazwę: pomieszczenie do odpoczynku służyło tylko do tego. Nie był w stanie przestać myśleć o tym, jak wszystko zmieniło się w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

W minionym sezonie Hannover 96 zajął ósme miejsce, najlepsze od 23 lat. Było to w tym samym dniu, gdy Robert otrzymał powołanie na mistrzostwa Europy, 17 maja 2008 roku. Pokonali wówczas Energie Cottbus 4:0. Wówczas trener w ferworze krzyknął do mikrofonu:

– Drodzy kibice! Obiecuję wam, że w przyszłym sezonie zdobędziemy te pięć punktów więcej, których tym razem zabrakło nam do gry w europejskich pucharach!

27 tysięcy kibiców wiwatowało. Robert Enke i Hanno Balitsch spojrzeli po sobie ze zdumieniem.

Drużyna zajmująca ósme miejsce w tabeli jest pierwszą wśród średniaków. Przed nią znajduje się tylko czołówka. Jednak żaden przeskok nie jest tak wymagający jak ten z miejsca ósmego na szóste. Ósmym, najlepszym zespołem reszty stawki, może zostać przyzwoita drużyna, która dobrze wykonuje wszelkie proste rzeczy, gra systematycznie w defensywie i sukcesywnie kontruje. Jednak aby zostać szóstym, ostatnim w czołówce zespołem, drużyna musi umieć coś wyjątkowego, musi aktywnie grać, posiadać piłkę i atakować w zróżnicowany sposób.

Jesienią 2008 roku Hannover przecenił swoje ambicje.

Trener Dieter Hecking chciał od tej pory „zawsze grać ofensywnie i dominująco”, z dwoma napastnikami, a nie, jak dotychczas, z jednym. I drużyna, która miała za zadanie atakować, traciła bramki jak nigdy dotąd.

Pomieszczenie do odpoczynku stało się symbolem dobrych chęci, którymi jest piekło wybrukowane. Jens Rasiejewski, asystent dyrektora sportowego, wyruszył do najlepszych klubów świata – Manchesteru United, FC Chelsea oraz Baltimore Ravens – aby podpatrzeć, jak u nich wyglądają kompleksy treningowe. To sprawiło, że szatnia numer dwa przeobraziła się w pomieszczenie do odpoczynku, takie samo, jakie można znaleźć w Manchesterze, Chelsea czy Baltimore. Nikt w klubie nawet nie pomyślał, że pokój w swej dotychczasowej postaci pomagał zawodnikom w budowaniu więzi. A teraz? Kto niby miał iść do pomieszczenia do odpoczynku, żeby się pośmiać?

Robert cierpiał, ponieważ piłkarze wokół niego coraz mniej byli jego drużyną. Chłopaki, z którymi spotykał się w szatni numer dwa na parówkach czy spontanicznym goleniu głowy Mille na łyso, powoli znikali. Frank Juric, Silvio Schröter, Dariusz Żuraw – w minionych trzech sezonach Hannover odsprzedał ponad połowę zawodników z jego paczki. Władze klubu, które miały ambicję, by awansować, były przekonane, że muszą sukcesywnie kupować lepszych piłkarzy. Hannover 96 zatrudniał teraz takich graczy, jak Valerién Ismaël czy Jan Schlaudraff, którzy zostali oddani przez lepsze zespoły. Nie chcieli oni jednak integrować się z drużyną.

Do tego doszli Bułgarzy i Duńczycy, którzy nie mieli w zwyczaju zapuszczać korzeni, ponieważ po upływie roku bądź dwóch kluby wysyłały ich dalej, jak towar eksportowy. Robert Enke i reszta chłopaków z szatni numer dwa byli zdania, że nowi nie chcą się zintegrować. „Mówi się, że ściągamy nowych piłkarzy z indywidualnymi umiejętnościami. W rzeczywistości zatrudniliśmy indywidualizm”, powiedział Hanno Balitsch, który stał się jednym z najbliższych i najbardziej zaufanych ludzi wokół

Roberta Enke. Nowi z kolei byli zdania, że starsi piłkarze budują zamknięty krąg władzy. Nie istniała już szatnia numer dwa, w której jedni mogliby dostrzec, że drudzy wcale nie są tacy źli.

Trener starał się, aby w drużynie wytworzyło się profesjonalne poczucie przynależności do grupy. Po środowym treningu, zakończonym o 16.30, Hecking wydał polecenie: każdy zostaje w szatni co najmniej do 17.00. Jeszcze przed dwoma laty w środę w szatni zostawało na kilka godzin kilkunastu piłkarzy. Teraz zawodnicy brali pięciominutowy prysznic, siadali na ławce lub wychodzili na korytarz i tępo wpatrywali się w telewizor, spoglądając jedynie od czasu do czasu na zegarek i wyczekując 17.00. Enke pozostawał na boisku i trenował dodatkowe pół godziny. Piłkarzy połączyła wówczas jedynie wspólna myśl o tym, jaką bezsensowną akcję wymyślił trener.

Napięcie, jakie powstało po wyznaczeniu sobie przez klub tak wysokich celów, jesienią 2008 roku stało się przytłaczające. Wielu piłkarzy, w tym Robert Enke, Hanno Balitsch i Steve Cherundolo, sceptycznie postrzegało plany trenera, przewidujące grę ofensywną. Podczas pierwszych 18 miesięcy pracy Dietera Heckinga drużyna stała się zespołem, który dokładnie wiedział, na co go stać. Bronił wyśmienicie i wyprowadzał proste ataki. Czemu trener zmieniał coś, co działało bez zarzutu? Hecking był jedynie rozdrażniony, ponieważ uważał, że piłkarze nie dokonują na boisku tego, czego od nich wymaga. Przecież zrezygnował z marzenia o wielkim skoku tylko po to, aby stworzyć atmosferę przełomu.

– No, to ja teraz namaluję na tablicy plecak – powiedział Hecking pewnego popołudnia po treningu – i każdy wrzuci do niego to, co mu w ostatnim czasie nie pasowało.

Był to gest oznaczający chęć pojednania i porozumienia się z zawodnikami, jednak pod koniec spotkania ton rozmów znów stał się ostrzejszy. Michael Tarnat, jeden z graczy o najdłuższym stażu w H96, spojrział na jednego z nowych. Jan Schlaudraff po raz kolejny stracił piłkę po lekkomyślnym dryblingu, co zagroziło drużynie.

– Będę cię gonił i kopał – powiedział mu Tarnat.

Robert Enke zbyt mocno zajął się powrotem do zdrowia, aby się przejmować napiętą atmosferą w klubie. Jednak podświadomie czuł presję i traktował ją jako kolejny dowód na to, że wszystko obraca się przeciwko niemu. Również dał się ponieść emocjom i skrytykował publicznie Schlaudraffa za nierozsądne straty piłki. Zaraz potem przestraszył się samego siebie. Jak mogło dojść do tego, że zapomniał o żelaznej i najważniejszej zasadzie niekrytykowania publicznie kolegów z zespołu? Pomyślał o tym, jaką wspaniałą byli niegdyś drużyną, i zauważył, że mówi w czasie przeszłym.

Był zdenerwowany, gdy po upływie trzech i pół miesiąca znów poczuł na dłoniach swą drugą skórę. Zapiął rękawic i czekał, aż trener bramkarzy po raz pierwszy strzeli piłkę w jego stronę. Gdy ją złapał, ścisnął ją mocno palcami, aby się przekonać, czy w dalszym ciągu są to jego dawne dłonie i czy jego nadgarstek nie wysłał najdrobniejszego nawet sygnału. Z wyczuciem odrzucił ją trenerowi, który od razu ponownie strzelił w jego stronę.

To, co po powrocie Roberta w styczniu 2009 roku się zmieniło, to nie jego dłoń, a jego rewir – 20 metrów przed bramką. Przecież dokładnie wiedział, gdzie w jakiej sytuacji powinien stać, mimo to czuł się, jakby przebywał na obcym terenie. Odległość do napastników i obrońców raz wydawała mu się mała, raz duża. Nawet bramka za jego plecami raz się rozszerzała, a raz zwężała.

– Brak mi poczucia przestrzeni.

Gdy 31 stycznia, po przerwie zimowej, powróciła liga, Robert Enke w dalszym ciągu był zajęty odnajdywaniem swojego miejsca w polu karnym. Po trzyipółmiesięcznej przerwie miał za sobą jedynie dwa tygodnie treningów.

Przed meczem po raz kolejny założył swoją czapkę niewidkę i udał się do psychiatry. Doktor Stroscher wydawał mu się sympatyczny. Po każdej rozmowie z nim czuł się lepiej.

Przed meczem z Schalke 04 odbył wszelkie swoje rytuały, aby po raz kolejny wrócić do poczucia, że mecz ten jest taki sam jak setki wcześniejszych. Wieczorem poprzedniego dnia zjadł ryż na mleku z musem jabłkowym i cynamonem. Wraz z kilkoma kolegami obejrzał w hotelu piątkowy mecz w lidze. Złożył w protokole pomeczowym swój podpis jako kapitan zespołu. Kartkę tę wsunął mu pod drzwiami Tommy Westphal, gdy Robert był w toalecie.

Przypomniał sobie, że dzień po meczu Teresa miała wyjechać z przyjaciółkami na narty. Wówczas zostanie sam. Wysłał żonie SMS-a: „Przepraszam za moje zachowanie w ostatnich dniach. Jestem teraz taki spięty”.

Schalke rozpoczęło mecz, jakby jego piłkarzami targała furia. Dosłownie staranowali Hanower. Po dwóch minutach gry Jefferson Farfán wyszedł na sytuację sam na sam z Robertem. Bramkarz w dalszym ciągu czuł się niegotowy do starcia, jednak jego ciało automatycznie odtworzyło dawne ruchy. Sprawić wrażenie wielkiego, wyprostować się. Farfán obiegł go, jednak Robert zagroził mu drogę i mógł jedynie trafić słupek. Robert Enke wciąż leżał na ziemi, gdy w jego stronę leciała dobitka, która minęła bramkę nad poprzeczką. Następny strzał przeleciał nieznacznie ponad bramką, a silne uderzenie głową Heiko Westermanna wybronił on sam. W tej chwili nie minęło nawet sześć minut meczu. Zaledwie dwie minuty później padł pierwszy gol dla jego drużyny.

Hannover w końcu przejął piłkę w środku pola. Pinto zauważył, że Manuel Neuer zgodnie z filozofią „radikalnych” stoi daleko od bramki, więc przelobował go

strzałem z 25 metrów.

Do samego gwizdka końcowego Robert praktycznie nie miał spokoju. Tysiące pięści uniosło się do góry, gdy z niesamowitym refleksem skierował nad poprzeczkę strzał Halila Altintopa. Minutę później miał szczęście – piłka trafiła w słupek. Hannover wygrał 1:0. Robert Enke rozegrał jeden z najlepszych meczów w barwach H96.

Gdy Teresa odebrała go ze stadionu, od razu zauważyła czerwone plamy na jego twarzy.

– Robbi, wszystko w porządku?

– Jest mi tak gorąco.

Miał gorączkę. Jego ciało musiało odreagować stres.

– Może wolisz, żebym nie pojechała na narty? – Teresa powiedziała to tylko dlatego, żeby go uspokoić.

– Naprawdę? Zrobiłabyś to?

Wieczorem, około 23.00, Robert zadzwonił do Sabine Wilke. „Gdy działo się coś niedobrego, to Robert zawsze dzwonił, nie Teresa – wspomina Sabine – nawet jeśli nie było u nich ciepłej wody i Teresa chciała się zapytać, czy może się u nas wykąpać”.

Robert powiedział jej, że nie może jechać na urlop. Stwierdził, że ma grypę i jeśli Teresa wyjedzie, nie będzie komu zająć się psami.

Dwa dni później znów zadzwonił do Sabine, która w Kufstein odpoczywała właśnie po jeździe na nartach przed domkiem górskim.

– Czuję się już dużo lepiej. Powiedziałem Terri, żeby dojechała do was, ale ona już nie ma ochoty. Możesz z nią porozmawiać?

Podał słuchawkę żonie.

– Teresa, nie chcesz do nas dołączyć? Przecież cieszyłaś się na ten wyjazd od miesięcy.

– Nie wiem, Robbi nie czuje się za dobrze.

– Przecież mówiłem ci, że masz jechać! – krzyknął z oddali.

– Czy naprawdę chcesz zrezygnować z urlopu, ponieważ twój mąż jest przeziębiony? – zapytała Sabine.

– Muszę ci to kiedyś na spokojnie wytłumaczyć – odpowiedziała Teresa.

Robert, który stał za jej plecami, po prostu zabukował dla niej bilet.

Następnego popołudnia Teresa była już w Austrii. Tam wyznała Sabine, że Robert cierpi na depresję.

– Co dokładnie się dzieje? – spytała Sabine, która od prawie 20 lat pracowała jako asystentka neurologów i psychiatrów. W tym czasie odmalowała sobie w głowie określony obraz ludzi cierpiących na depresję, który nie miał nic wspólnego z zachowaniem poznanego przed kilkoma laty wyważonego bramkarza.

Teresa tłumaczyła, że Robert od lat nie miał już napadów, jednak złamanie spowodowało, że znów powróciły, chociaż nie przerodziły się jeszcze w prawdziwą chorobę.

Oboje postanowili, że wtajemniczą przyjaciół z Empede. Męczyło go, że musiał bez przerwy udawać człowieka, za którego wszyscy go uważali.

Powoli zapominał o śrubie w nadgarstku. W nieprzerwanym rytmie pomiędzy treningami a meczami Bundesligi jego myśli wróciły na stare tory – nie padać zbyt szybko na ziemię, powiedzieć obrońcom, żeby przeszli dwa kroki do przodu, sprawdzić notę w „Kickerze” własną i René Adlera.

Często robił notatki na kartkach, zarówno będąc w hotelu, jak i w domu, w biurze. Był w trakcie pisania wiersza na 33. urodziny Teresy. Mimochodem wspomniała mu, że chciałyby go dostać. Zdziwiłaby się, jeśli uczyniłby to naprawdę.

Wiosną, siedem miesięcy po złamaniu, doktor Stroscher powiedział, że jego zdaniem terapia została zakończona. Robert Enke odbierał znów życie z cichym optymizmem.

Pomyślał o tym, co radzili mu Marco oraz Jörg. Czy nie powinni kontynuować terapii w formie rozmowy, tak samo jak profilaktycznie codziennie wykonuje ćwiczenia gimnastyczne? Powiedział Teresie, że doktor Stroscher stwierdził, że nie ma sensu spotykać się tylko po to, aby rozmawiać. Powinien kontynuować terapię, jedynie jeśli ma odczucie, że pozostały w nim stare, głębokie rany. Uznał, że nic takiego nie ma. Jego ręka jest już zdrowa, a razem z nią – jego głowa.

Jemu samemu wiodło się lepiej niż klubowi. Dla Hannoveru wygrana z Schalke była jedynie zmyłką – drużyna tułała się po dolnej części tabeli, ocierając się o miejsca spadkowe. Zastraszająco często traciła bramki, po trzy w meczach z Cottbus, Stuttgartem i Mönchengladbach, pięć przeciwko Bayernowi i cztery w starciu z Borussią Dortmund. Podczas meczu wyjazdowego przeciwko Wolfsburgowi trener wpadł w szał podczas przerwy, ponieważ znów przegrywali 0:1. Hecking wydarł się na Hanno Balitscha, oczekując od wszystkich pozytywnego zachowania.

– Pan też jest nastawiony pozytywnie? – spytał Balitsch.

Większa część zespołu pomyślała, że Hanno przemawia w imieniu wszystkich. Trener ściągnął go z boiska i zawiesił na tydzień w treningu.

„Hecking był naprawdę niezłym trenerem – wspomina Balitsch. – Jednak po latach współpracy stosunki między nim a drużyną pogorszyły się. Nie mogliśmy już patrzeć na te treningi, słuchać tych tekstów... On czuł prawdopodobnie to samo”.

Piłkarze swojego trenera nazywali teraz „Kot”, ponieważ wydawało im się, że ma dziewięć żyć. Nawet największe porażki nie doprowadzały do jego dymisji. „Miau, miau”, szeptałi niektórzy w szatni, a asystent Heckinga Dirk Bremser mimowolnie,

lecz z entuzjazmem przyłączył się do miauczenia.

Dziennikarze sportowi zliczali stracone bramki – nazbierało się ich ponad 50. W obliczu tego ogromu puszczonej goli wszyscy zastanawiali się, czy bramkarz reprezentacji Niemiec może bronić w takim klubie jak Hannover 96. Czyż numer jeden kraju nie powinien bronić lepiej? Czy nie powinien walczyć na poziomie Ligi Mistrzów? „Bez przerwy konfrontowano go z tymi samymi argumentami, codziennie podważano go jako reprezentanta, ponieważ jego drużyna grała słabo – mówi Jörg Neblung. – Nie dało się w takiej sytuacji uniknąć pytania: czy rzeczywiście powinien zmienić klub?”

Była jednak osoba, która przyglądała się straconym bramkom, a nie tylko ich liczbie. Dla trenera bramkarzy w reprezentacji Niemiec, Andreasa Köpke, cierpienie Roberta nie wydawało się niezwykłe – było mu wręcz dobrze znane. Jako bramkarz w reprezentacji w latach 90. na co dzień występował w drużynach 1 FC Nürnberg oraz Eintracht Frankfurt, z którymi spadł do drugiej ligi. „Zobaczyłem w nim odrobinę siebie, więc potrafiłem wczuć się w jego sytuację”. Köpke przestudiował bramki – zobaczył, jak Rangelov z Cottbus niekryty wyskakuje do główki i jak dwóch piłkarzy BVB samotnie pojawia się przed Robertem Enke. Widział bramkarza, którzy bronili wszystko, co tylko mógł. Robert Enke został więc po raz kolejny powołany do kadry, tym razem na marcowe mecze kwalifikacyjne przeciwko Walii oraz Liechtensteinowi.

Obsada bramki nie miała być głównym tematem, jednak reporterzy postanowili zwietrzyć kolejną sensację. Kto był numerem jeden? René Adler, który porywał swoją grą w meczu z Rosją, a następnie bronił bardzo solidnie w starciu z Norwegią? Może jednak Robert Enke, który nie bronił tylko i wyłącznie z powodu kontuzji? Nie padła jednoznaczna odpowiedź.

W tym czasie René Adler nie mógł nawet trenować, ponieważ nabawił się kontuzji łokcia. On oraz Robert siedzieli razem przy barze w hotelu w Lipsku, gdzie zatrzymała się reprezentacja. Robert mógł tylko przeczuwać, jak bardzo cierpi jego młody kolega. Mecz rozgrywany miał być w jego rodzinnym mieście, a on, z powodu kontuzji, nie mógł w nim zagrać. René mimo wszystko rozmawiał z nim na spokojnie i przyjaźnie, nie ukazując ani smutku, ani zazdrości. Robert Enke zawstydził się. Jak niesprawiedliwa była jego początkowa niechęć do młodego bramkarza!

Czasami zastanawiał się, kim staje się za sprawą piłki. Dlaczego profesjonalny sport budzi w nim coś, czego wcześniej nie znał: zawiść? Nawet dziś, po upływie siedmiu lat, Robert nie był w stanie przyznać Victorowi Valdésowi miejsca w bramce Barcy, o które wspólnie walczyli. Nie chciał słyszeć, że Valdés stał się wyśmienitym bramkarzem.

– Nie jestem w stanie być obiektywnym w stosunku do Victora – przyznał.

Doceniał to, że René Adler wychodził mu naprzeciw. Może gdyby ich stosunki byłyby lepsze, ochroniliby się przed gorzkim smakiem ich pięknego zawodu.

Niemcy prowadziły przeciwko Lichtensteinowi 4:0. Robert dopiero w 90. minucie musiał bronić strzału.

Cztery dni później w Cadriff, po zakończeniu meczu, Robert Enke jako jedyny w geście radości uniósł dłonie. Piłkarze z pola, tacy jak Michael Ballack czy Mario Gómez, z chłodną obojętnością przyjęli do wiadomości, że w chaotycznym meczu wygrali 2:0. Robert jednak przez chwilę wierzył, że coś udowodnił. Wykazał się świetnym refleksem i dwukrotnie udaremnił strzał. Przecież teraz każdy widział, że mógłby być numerem jeden w bramce reprezentacji Niemiec, prawda?

Rzeczywiście, od kilku tygodni pytania odnośnie do obsady bramki Niemiec piłkarzem z Hannoveru 96 padały coraz rzadziej. Spowodowane mogło to być z jednej strony zmęczeniem dziennikarzy, a z drugiej – jego przekonującą grą, choćby podczas meczu w Cadriff. Jednak w jego głowie pytanie w dalszym ciągu tkwiło. Miał za złe dziennikarzom, że podważali jego klasę, aż w końcu sam zaczął w nią powątpiewać: Czy w dalszym ciągu był na właściwym miejscu? Zaledwie trzy dni po meczu reprezentacji w Cadriff drużyna z Hanoweru, jak co roku, poniosła wstydliwą porażkę w starciu z Werderem Brema. Robert Enke w barwach H96 bronił przeciwko Werderowi dziewięć razy i w sumie wpuścił im 40 goli.

– Następnym razem tam nie jadę – powiedział pewnego razu, po porażce 4:2.

Tym razem mecz zakończył się 1:4. *Same procedure as every year, James!*, napisał w swoim pamiętniku. Jednak szybko zauważył, że nie może puścić tej porażki w niepamięć, jak gdyby była zwykłym dorocznym festiwalem strzeleckim w Bremie.

Konflikt między trenerem a drużyną eskalował. Przy stanie 1:1, na 16 minut przed ostatnim gwizdkiem, Hecking postanowił ściągnąć z boiska napastnika Mikaela Forssella, w którego miejsce wpuścił defensywnego pomocnika Altina Lalę. Tę taktyczną zmianę na jego miejscu wykonałoby wielu trenerów, jednak tym razem poskutkowało ona stratą trzech goli. Piłkarze grzmieli. Jak trener mógł w tak krytycznym momencie meczu wpuścić Altina Lalę? Przecież dopiero wracał do gry po długiej przerwie spowodowanej kontuzją!

Nie chodziło już o to, czy trener zrobił wszystko dobrze, czy też popełnił mały błąd. Nie miało znaczenia, że ogólnie rzecz biorąc, Hecking był dobrym trenerem. Doszło do sytuacji, w której drużyna za wszelkie niepowodzenia obwiniała trenera.

Prezydent klubu Martin Kind nie mógł nie zauważyć, że w zespole coś nie gra. Jednak chwilę wcześniej zwolnił dyrektora sportowego Christiana Hochstättera, ponieważ ten dokonał słabych wzmocnień. Nie było mu na rękę, aby w krótkim czasie zdymisjonować również trenera. Przecież Hecking obronił się w zeszłym sezonie osiągniętymi wynikami, a pomysł, by podnieść poprzeczkę, podrzucił mu właśnie prezydent. Kind zadzwonił do Roberta Enke.

– Prezydent wezwał mnie do siebie – powiedział Robert jednemu z kolegów w szatni. – Będzie chciał poznać naszą wersję. Co mam mu powiedzieć?

Siedmiu, może ośmiu piłkarzy, którzy w jakikolwiek sposób mieli coś do powiedzenia w drużynie, zebrało się we włoskiej restauracji, do której nigdy nie zaglądali podczas obiadu. Już w trakcie serwowania przystawki stało się jasne, że właściwie należy porozmawiać o jednym zdaniu: czy Robert Enke powinien przekazać prezydentowi w imieniu drużyny, że trener nie powinien zostać zwolniony? Robert uważnie słuchał kolegów i prawie się nie odzywał. Gdy na stół wjechało danie główne, wszelkie wątpliwości zostały rozwiane.

Miał przekazać Kindowi, że drużyna byłaby zadowolona ze zmiany szkoleniowca. Wciąż milczał. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

„Trudno mu było przekazać prezydentowi taką wiadomość – mówi Hanno Balitsch. – Rob nie był typem osoby, która odmawiałaby trenerowi. Czuł jednak, że tak daleko być nie może. Rozumiał też jednak racje trenera”.

Na pożegnanie Robert powiedział, że zamierza pojechać do klubu.

– No i? – zapytał Hanno Balitsch, gdy Robert zadzwonił do niego tego samego dnia.

– Nie poszedłem do Kinda.

– Jak to? Miałeś wypadek?

„Wypadek” to chyba dobre określenie, aby opisać całe zajście.

W drodze z Hanoweru do Burgwedel zadzwonił do niego Jörg Neblung.

– Gdzie jesteś?

– W drodze do Kinda.

– No to zawracaj.

– Słucham?

– Zawracaj. Właśnie zadzwonił do mnie mój informator. Gazety dowiedziały się o waszym spotkaniu i przed siedzibą Kinda czai się już fotograf. Jeśli tam pojedziesz, to jutro pojawisz się w gazetach jako ten, który chce obalić trenera.

Robert Enke skręcił na najbliższym zjeździe. Zadzwonił do prezydenta i powiedział mu jedynie część prawdy. Przekazał mu, że niestety nie może się pojawić. Dodał, że o ich spotkaniu dowiedziała się prasa brukowa, a on sam obawia się, że w obliczu napiętej sytuacji pojawią się jakieś spekulacje dotyczące ich spotkania.

Informacji, że drużyna nie chce już tego trenera u siebie, nie przekazał prezydentowi już nigdy, jednak któryś z wtajemniczonych ósemki piłkarzy musiał sprzedać go gazetom. Podejrzany był praktycznie każdy. Robert Enke zamknął się w sobie podczas treningu.

Dieter Hecking pozostał na swoim stanowisku.

Gazety podały, że po sezonie Robert Enke prawdopodobnie przejdzie do Bayernu Monachium. Było to jedynie plotką, jednak dziennikarze powtarzali ją tak często, że uznano to za fakt. Robert wiedział, że szefowie bawarskiego klubu, Karl-Heinz Rummenigge oraz Uli Hoeneß, w rzeczywistości nie są nim zainteresowani. Mimo że znał prawdę, ubzdurał sobie, że Bayern chce go zatrudnić.

Nie chciał za wszelką cenę opuszczać Hannoveru. Wykluczał odejście do zagranicznego klubu. Nie potrzebował przygód. Podjął decyzję, że jeśli zechce go zatrudnić którykolwiek z czołowych klubów Bundesligi, to po prostu odejdzie.

Tommy Westphal myślał o tym, o co trzy lata wcześniej zapytał go Robert: „Jak myślisz Tommy – mam odejść czy zostać?”. „Musisz zostać!”, powiedział mu wówczas z wielkim przekonaniem. Teraz, w kwietniu 2009 roku, Tommy pomyślał o wszystkich argumentach, które wyliczył trzy lata wcześniej Robertowi – niesamowite zgranie zespołu, poczucie, że jest się w domu, myśl, że klub idzie do przodu. Westphal zastanowił się, co z tego zostało, i doszedł do wniosku, że tym razem Robert nawet go nie spyta o radę.

We wtorek 28 kwietnia Roberta i Teresę odwiedziła urzędniczka z urzędu do spraw nieletnich, aby przekazać im nowinę: właśnie po raz kolejny zostali rodzicami.

Kobieta wytłumaczyła im wszystko, co wiedziała o dziewczynce i jej rodzonej matce.

– Kiedy możemy ją zobaczyć?

– Jutro.

– Jutro!

Robert poczuł, jak jego twarz zmienia się w jeden wielki wykrzyknik.

Odwiedzili córkę u rodziny zastępczej, a następnie zostali tam na dwa dni, aby dać jej odrobinę czasu na oswojenie się z nimi. Robert był oszołomiony i podekscytowany. W dzienniku zapisał:

29 kwietnia 2009: około 16.30 do naszego życia wraca Leila! Jest promyczkiem. Od razu wytworzyła się między nami nić porozumienia.

30 kwietnia 2009: Leila jest w domu! Lara ma siostrzyczkę! Znow jesteśmy rodziną!

Obowiązki wzywały. Jeszcze tego samego dnia, gdy przywieźli Leilę, Robert musiał wyruszyć do Bochum, gdzie kolejnego dnia miał rozegrać mecz. Zadzwoił do Teresy co najmniej dziesięć razy. Co robi teraz Leila? Otworzyła te swoje intensywnie niebieskie oczy? Czy już coś piła?



Robert i Teresa z adoptowaną córką Leilą

Nie znali tego szczęścia. Nie widzieli nigdy, jak ich córka po prostu pije z butelki.

Robert zadziwił widzów w Bochum. Rzucił się na piłkę, wybronił strzał głową Wahida Haschemiana, strzały Mimouna Azaouagha i wiele więcej. Hannover wygrał 2:0. Był to 15. mecz wyjazdowy w tym sezonie i dopiero pierwszy komplet punktów. „Kicker” pisał z zachwytem, podkreślał, że Enke był „w wyśmienitym nastroju”. Reporterzy nawet nie mieli pojęcia, jak trafili z tym określeniem.

Do domu wrócił około 2.30. Jego serce wciąż mocno biło po wysiłku. Usiadł na łóżku koło Teresy i Leili. Czuł, że mógłby się im przyglądać w nieskończoność. W terminarzu zanotował:

Później jeszcze spałem!

W następnych tygodniach Hannover najpierw zremisował z Eintrachtem Frankfurt 1:1, a następnie wygrał z Karlsruhe 3:2.

Robert obdzwaniał przyjaciół, aby opowiedzieć im, że ponownie został ojcem. Nieubłaganie zbliżał się moment dyskusji o jego przyszłości.

– Rynek bramkarski w Bundeslidze jest zamknięty, nic już się nie wydarzy – powiedział, gdy rozmawialiśmy. – Możliwe, że zwolni się miejsce w bramce VfL Wolfsburg. To byłoby idealnym rozwiązaniem. Wówczas mógłbym dalej mieszkać w Empede i dojeżdżać. Jeśli to się nie uda, to zostaną w Hannoverze i też będę szczęśliwy.

Leila zmieniła jego sposób postrzegania. Nagle uświadomił sobie, że zamieszanie

w klubie nie było przecież takie straszne. Nowym dyrektorem sportowym został Jörg Schmadtke.

– Mam nadzieję, że stanie się łącznikiem między drużyną a trenerem – stwierdził.

Ludzie doceniali go w klubie, a on czuł się tam jak w domu. Wylądują na 8. czy na 11. miejscu – a jakie to ma znaczenie? Przecież to tylko piłka nożna.

Po powrocie po kontuzji rozegrał jedną z najlepszych rund w swojej karierze, a w maju wystąpił w barwach Niemiec przeciwko Chinom i pokazał prawdziwą klasę.

Sezon dobiegł końca, a żaden z czołowych klubów w lidze nie szukał bramkarza. Marzenia o grze w Bayernie Monachium zakończyły się w najdziwniejszy sposób. Bawarczycy zatrudnili nowego trenera – Louisa van Gaala, jego dawnego dręczyciela z czasów gry w Barcelonie. On na pewno nie będzie chciał go ściągnąć. Jediną osobą, która złożyła Robertowi propozycję, był Tim Wiese.

– Może przejdziesz do Werderu? – rzucił podczas zgrupowania kadry. Robert spojrział na niego i czekał na jego puentę.

– Gdy mnie ściągnie Manchester United.

Robert Enke uśmiechnął się i zdumiał, gdy zobaczył twarz Tima: on chyba naprawdę wierzył w to, że chce go ściągnąć wielki Manchester United!

Nadeszły wakacje. Minęła presja, która ciążyła na nim nawet podczas dni wolnych od treningów. Urlop rozpoczął od plotkowania z nieznaną mu osobą w samolocie, która zajęła miejsce obok, następnie pozował do zdjęcia w centrum handlowym, gdzie przybrał zabawną pozę obok kartonowej figury przedstawiającej piłkarza Benfiki.

Znów wyruszyli do Lizbony. Przedtem zahaczyli o Nadrenię, by spotkać się z Marco, oraz wybrali się na ślub Simona Rolfesa, kolegi z reprezentacji. Na uroczystości weselnej w Eschweiler niedaleko Aachen Robert wypatrzył René Adlera. Od razu zaczęli rozmawiać i nawet nie zauważyli, kiedy oddalili się o kilka metrów od pozostałych gości. Gawędzili o kontuzjach, presji oraz Timie Wiese. Następnie poruszyli temat bezpośrednio dotyczący ich obu: konieczności odgrywania przed sobą określonych ról. René wyznał, że wszyscy jego bliscy nieustannie powtarzają, że powinien przejść do wielkiego klubu zagranicą. On jednak nie był pewien, czy rzeczywiście powinien odejść, nie wiedział, czy jest na to wystarczająco dojrzały. Robert zaczął mu więc opowiadać o Franku de Boerze, Fransie Hoeku, o Noveldzie i jego wielkich upokorzeniach. Starał się wesprzeć René i podpowiedział mu, aby nie dał się omamić agentom, innym piłkarzom czy prasie i nie pozwolił sobie wmówić, że cały czas musi osiągać więcej. Żądza kolejnego kroku w karierze powoduje jedynie, że większość piłkarzy nie docenia, jak dobrze w danej chwili im się wiedzie. Może pewnego dnia dojdzie do sytuacji, w której René sam zauważy, że jego czas w danym klubie się skończył. Zanim jednak to nastąpi, lepiej będzie, jeśli skupi się na tym, co

ma, zamiast rozglądać się za czymś większym, co może nigdy nie nadejść.

Dla René Adlera była to najbardziej szczerą rozmową, jaką kiedykolwiek przeprowadził z kolegą po fachu. „Pośród piłkarzy Bundesligi zawsze udaje się, jakim to jest się silnym. Dobrze mi zrobiło, że mogłem z kimś porozmawiać o strachu, o trudnościach obchodzenia się z presją, która dręczy przecież każdego”.

René jeszcze przez długi czas myślał o tej rozmowie. Dojrzała w nim świadomość, że powinien w pełni ustabilizować się przed przejściem do czołowego klubu. I tak jak doradził mu Robert, myślał o tym, jak wiele już osiągnął: miał 24 lata i był reprezentantem Niemiec.

René Adler chciał oczywiście więcej, chciał być numerem jeden w kraju. Zamierzał ze wszystkich sił starać się, aby podczas mistrzostw świata w 2010 roku stanąć między słupkami. Jednak coś innego było dla niego równie ważne: nie pozwolić się zadreńczyć marzeniom. Swojemu trenerowi bramkarskiemu i mentorowi powiedział:

– Jeśli Robbi stanie w bramce podczas mistrzostw, to ja z tym problemów mieć nie będę. Świat się nie skończy. Usiądę wówczas na ławce i zobaczę, co będzie się działo dalej.

Uroczystość weselna w Haus Kampach trwała dalej. Robert Enke udał się na salę bankietową, a następnie wciągnął głęboko powietrze – tak samo jak zawsze, zanim miał powiedzieć coś ważnego – i szepnął Teresie:

– René jest naprawdę w porządku.

Po kilku dniach spędzonych w Portugalii z entuzjazmem rozpoczął treningi przed nowym sezonem. Miał to być jego najważniejszy rok, podczas którego w przyjazny sposób będzie rywalizował z René Adlerem o miejsce w bramce Niemiec podczas mistrzostw świata w Republice Południowej Afryki. Był przekonany, że poradzi sobie bez względu na wynik i na to, czy wybiegnie na murawę, czy usiądzie na ławce. Przede wszystkim jednak w niezrozumiały sposób był pewien, że to jemu przypadnie rola bramkarza numer jeden.

Portugalskie słońce opaliło jego skórę na brązowo. Leila leżała na kocyku na tarasie. Pólnagi, wykonał nowe ćwiczenia. Robił pompki nad Leilą i za każdym razem, gdy schodził na dół, całował córeczkę.

Czarny pies

Robert Enke wynalazł maszynę do całowania. Siedział na wyłożonej parkietem podłodze w mieszkaniu Jörga Neblunga i rytmicznymi ruchami podnosił jego córeczkę Millę, a następnie opuszczał powoli, etapami, jakby był robotem.

– Jestem maszyną do całowania – powiedział swojej chrześniaczce i dalej wykonywał te same ruchy, aż główka dziewczynki zbliżyła się do jego twarzy. Wtedy maszyna kończyła swoje zadanie, dając soczystego cmoka.

Jörg spoglądał na córkę i przyjaciela, myśląc, jak kwitnąco ten wygląda. Miał na sobie białą letnią koszulkę, spod której wзираła jego opalona skóra. Robert przerwał urlop w Portugalii, aby rozegrać w Niemczech mecz charytatywny.

– Jeszcze raz? – spytał Millę, a następnie po raz kolejny włączył maszynę do całowania.

Jörg spotkał Roberta po raz kolejny miesiąc później w Kärnten, gdzie w lipcu 2009 roku Hannover 96 rozpoczęło przygotowania do nowego sezonu. W dalszym ciągu miał w głowie obraz Roberta przedstawiający maszynę do całowania. Tym razem kogoś, kogo nie widział od lat.

– Nie wiem, co się dzieje – rzekł Enke. – Całymi dniami czuję się wykończony.

– To normalne, Robbi starzejesz się.

Za kilka tygodni przypadały jego 32. urodziny.

Jörg starał się, jak mógł, jednak nie doszło między nimi do szczerzej rozmowy. Utknęli przy zwyczajowych tematach krążących wokół pracy, ubezpieczenia od wypadków, René Adlera oraz nieskończonej dyskusji, czy Hannover ma grać jednym czy dwoma napastnikami.

– W tym sezonie stawką jest utrzymanie – prorokował Robert Enke. W minionych latach klub wydawał na nowych piłkarzy miliony euro, a ci wcale nie poprawili ani jakości gry, ani nastroju w drużynie. Teraz zabrakło pieniędzy na wzmocnienia, a swoją karierę zakończył Michael Tarnat, jeden z założycieli szatni numer dwa.

Jörg doszedł do wniosku, że przyczyną nastroju Roberta jest sytuacja w klubie.

– Jestem cały czas zmęczony – powiedział Robert Teresie przez telefon.

– Podczas obozów zawsze byłeś zmęczony.

Hanno Balitsch zauważył, że Robert Enke popołudniami często zostawał w pokoju hotelowym, podczas gdy wszyscy opowiadali sobie na tarasie różne historie, taką jak tę, gdy Mille został wysmarowany smołą, a następnie obsypany piórami i obrzucony jajkami. Wcześniej żarty i przekomarzanie się z resztą chłopaków z drużyny były ulubionym zajęciem Roberta. Często specjalnie dla nich

udawał bohatera serialu *Stromberg*.

Również w trakcie treningu zdawało się, że Robert jakby nie w pełni należy do drużyny. Bardzo dużo ćwiczył samotnie z trenerem bramkarzy, Jörgiem Sieversem. Zaczął się rok mistrzostw świata, rozpoczął więc intensywne treningi nad swoją formą. Mimo wszystko nie był w stanie pojąć, dlaczego co rano jest mu tak trudno wstać z łóżka.

– Urlop też był dość stresujący – powiedział, gdy zadzwonił z hotelu do Marco.

Marco zastanowił się chwilę: dlaczego stresujący? Przecież podczas ich spotkania w Nadrenii Robert opowiadał mu, że wszystko idzie wprost wspaniale.

– Podczas dwóch ostatnich tygodni w Lizbonie nie mogłem tak naprawdę odpocząć. Przyjechał mój brat i się pokłóciliśmy. Na podwórko wbiegały chore bezdomne psy, które musieliśmy wywozić do weterynarza. W ten sposób przepadł nam kiedyś cały dzień. Po domu chodzili bez przerwy jacyś fachowcy, którzy coś naprawiali. Wszystko ci opowiem przy okazji.

Gdy wrócił z Austrii, zmęczenie nie minęło, lecz starał się je ignorować.

Andreas Köpke odwiedził go w Hanowerze podczas treningu. Dzień wcześniej był w Bremie u Tima Wiese. Rok przed mistrzostwami chciał dać swoim piłkarzom kilka wskazówek, jak mogliby polepszyć swoją grę. Wręczył im płyty DVD z kompilacją sytuacji, w których bramkarz zachował się modelowo. Dla Roberta interesująca wydawała się szczególnie jedna scena, z udziałem Petra Cecha: przy dośrodkowaniach z zewnętrznej części boiska Cech stawał pośrodku bramki, często trzy metry przed linią.

– Jeśli stoisz pośrodku, to możesz wyłapać dośrodkowania skierowane na plecy bramkarza bądź te uderzane w głębię pola, do których w normalnych warunkach nie dojdiesz – tłumaczył mu Köpke.

To samo przed pięcioma laty mówił Robertowi bramkarz Teneryfy Álvaro Iglesias. Skoro tym razem tłumaczył mu to Köpke, postanowił spróbować metr po metrze wychodzić bliżej do pozycji Petra Cecha.

Sezon rozpoczął się 2 sierpnia, meczem pucharowym przeciwko Eintrachtowi Trier. Robert był zdenerwowany, jednak uważał, że to normalne. Machina znów ruszyła.

Niskie, wykończone niebieską blachą falistą trybuny Moselstadion nawet nie wypełniły się w całości. Do przerwy Hannover prowadził 1:0, jednak miał sposobność zdobycia dwóch – trzech bramek więcej. Trier nabrał siły za sprawą niskiej przewagi bramkowej gości. Wszystko było możliwe. Drużynę z ligi regionalnej zelektryzowały światła jupiterów. Po dośrodkowaniu piłka leciała na piąty metr. Robert zauważył, że Martin Wagner z Trieru wyskakuje naprzeciw piłce, więc wybiegł z bramki i rozpostarł ręce, jednak piłkarz gospodarzy strzelił na 1:1. Nikt nie obarczał winą za takiego gola bramkarza, nie licząc jego samego. Wyszedł z bramki

za późno. Po pięciu minutach było już 2:1. Obrona H96 zaskoczona straconą bramką pozostawiła go samego przeciwko dwóm przeciwnikom.

Po głowie kołatała mu się nieznośna myśl: Trier był Noveldą.

Przebieg meczu był dokładnie taki sam. Nawet minuty, w których drużyna Roberta traciła pierwsze dwa gole, praktycznie pokrywały się z tymi w Noveldzie. To, że Trier wygrał 3:1, a nie 3:2, jak Novelda, pozostawało bez znaczenia.

Sezon trwał zaledwie jeden mecz, a w drużynie z Dolnej Saksonii nikt nie wierzył już, że może się on zakończyć sukcesem. Przez całe lato piłkarze i trener Dieter Hecking wmawiali sobie, że wszystko ułoży się dobrze, jednak ta jedna porażka pozbawiła ich optymizmu: system gry z defensywną pomocą i dwoma napastnikami nie funkcjonował należycie, nie byli już prawdziwą drużyną. Kiedy klub w końcu da sobie spokój z trenerem, dla którego taka gra z pewnością również jest męką?

Robert zastanawiał się nad tym nieustannie i co rusz dochodził do jednego wniosku: nic z tego już nie będzie. Czarne myśli mnożyły się, a ich ciężar sprawiał, że głowa ciążyła mu, jakby była z ołowiu. Nagle stało się dla niego jasne, co rodziło się w nim od lipca – jaką chorobę obudziła w nim porażka w Trierze.

Miał kieszonkowy kalendarz firmy Moleskine, w którym notował informacje o planowanych spotkaniach. Przy dacie 5 sierpnia 2009 roku napisał:

Obecnie cholernie trudno jest być nastawionym pozytywnie. Tym razem uderzyło to we mnie dość szybko i niespodziewanie. Rozmawiałem z Terri i mówiłem jej o moich potrzebach, o tym, że muszę jej to powiedzieć. Wiem jednak, że tak nie da rady.

Zastanawiał się, czemu akurat teraz. Cierpiał na kliniczną depresję, gdy w 2003 roku w Barcelonie jako bramkarz czuł się niepotrzebny i znieważony. Jednak tym razem nie widział tak jasnej przyczyny swojego stanu.

Nie znalazł odpowiedzi na pytanie, dlaczego latem 2009 roku powróciły do niego czarne myśli – nikt mu też już na nie nie odpowie.

W tamtym czasie borykał się z wieloma sprawami. Czuł presję, którą sam w sobie wytworzył i którą zwielokrotniły media. Miał to być sezon jego życia, w którym nie mógł sobie pozwolić na jakiegokolwiek błędy, jeśli chciał zostać pierwszym bramkarzem w reprezentacji Niemiec. Napięta sytuacja w klubie, w którym jako kapitan znalazł się na styku przeciwstawnych frontów, potwornie go stresowała. W dalszym ciągu prześladowała go śmierć Lary. Nie miało znaczenia, że upłynęły już dwa lata i w tym czasie on i Teresa względnie doszli do siebie. Śmierci dziecka nie można zapomnieć. Możliwe, że to właśnie ten ciężar spowodował, że mrok powrócił. Jedną tak samo prawdopodobną jest, że jego drugą kliniczną depresję wywołało coś

całkiem innego. Możliwe, że decydująca okazała się jakaś drobnostka, która stawała się przyczyną stresu, a na którą nie zwrócił uwagi ani Robert Enke, ani jego psychiatrzy. Depresja nie powstaje według schematu. Jeśli człowiek jest podatny na tę chorobę, to może regularnie radzić sobie z sytuacjami skrajnie problematycznymi, a w określonej chwili najmniejszy drobiazg może wytrącić go z równowagi.

Wydawało mu się, że wie, co ma robić. Rano musi punktualnie wstawać, a najlepiej od razu po tym przebrać Leilę. Podczas śniadania powinien niezbyt długo siedzieć przy stole, a następnie jechać na trening. Gdy dzień rozpoczynał w określonym porządku, gdy dopilnowywał poszczególnych spraw, istniała szansa, że strach nie zdoła się wdrzeć do jego głowy. Decydujący był poranek: budził się ze strachem przed nadchodzącym dniem, a jeśli by się nie podniósł, to obawy uwięziłyby go w łóżku.

Hanno Balitscha dziwiło zachowanie kolegi z boiska. Robert bez przerwy przygryzał wargi i prawie się nie odzywał. Nawet gdy wracał z treningu pomiędzy innymi piłkarzami, sprawiał wrażenie nieobecnego. Jego wzrok na niczym się nie skupiał. Patrzył jakby poprzez kolegów z drużyny.

Piłkarze z pola nie ściągnęli po treningu butów i przeszli w nich 200 metrów do szatni. Bramkarze zmienili swoje buty treningowe z aluminiowymi korkami na trampki, ponieważ byłoby im niewygodnie iść przez parking obok stadionu. Hanno spostrzegł, że Robert samotnie kuca na trawie, i postanowił skorzystać z okazji:

– Robbi, czy ty opuszczasz ten tonący statek?

– Co masz na myśli?

Hanno zastanawiał się, co mogło ciążyć jego koledze. Wówczas przypomniało mu się to, o czym dawno mu w zaufaniu powiedział: przed sezonem mógłby odejść do Schalke 04, jeśli Bayern Monachium skusiłby jeszcze przed zamknięciem okienka transferowego Manuela Neuera. Felix Magath, trener Schalke, dzwonił do Roberta w tej sprawie.

– Nie, nie dojdzie do tego – odpowiedział w końcu Enke.

– Jednak coś cię gryzie.

– Tak, ale teraz nie mogę ci o tym opowiedzieć.

– OK.

Hanno Balitsch nie zadawał więcej pytań. Łączyła go z Robertem relacja o jasno określonych granicach i o prywatnych troskach po prostu nie rozmawiali. Hanno wydawało się, że „Rob nie był osobą, która mogłaby sobie poradzić z osobistymi problemami drugiej osoby. Byłoby to dla niego nieprzyjemne”.

Przeszli ostatnie metry do szatni. Korki Hanno Balitscha rytmicznie stuknęły o asfalt na parkingu.

W domu Robert powiedział Teresie:

– Cholera, Hanno coś zauważył.

Po południu Robert szukał czegoś, co mógłby zrobić i czym mógłby udowodnić samemu sobie, że jeszcze sobie radzi. Postanowił wyczyścić wannę z hydromasażem. Zrobił to, lecz nie poczuł się lepiej. Zdenerwował się: Jak niby mam cokolwiek zmienić, czyszcząc wannę? Jakim cudem cokolwiek ma się jeszcze polepszyć?

Podczas kolacji Teresa zaczęła głośno myśleć. Może powinni kogoś wtajemniczyć? Przynajmniej najbliższych znajomych. Tak by nie musieć wciąż udawać.

Następnego dnia przed treningiem Robert wziął Hanno na stronę.

– Miałeś styczność z depresją?

– Nie – odpowiedział Hanno ostrożnie i pomyślał, że choroba ta musiała dotknąć kogoś z rodziny Roberta.

– Właśnie na tym polega mój problem.

Dla Hanno Balitscha pojęcie depresji znaczyło tyle samo co dla większości społeczeństwa. Gdy wracając do domu, myślał o tym, co usłyszał, doszedł do wniosku, że nie może sobie wyobrazić na ten temat niczego konkretnego.

Hanno kupił sobie *Mojego czarnego psa*, ilustrowaną książkę Matthew Johnstone'a. Jej bohatera, młodego mężczyznę z bujną czupryną, prześladowuje czarny pies. Gdy się pojawia, mężczyźni nic już nie sprawia radości. Nie potrafi się skoncentrować, nie może jeść. Odczuwa jedynie strach przed czarnym psem. Bardzo się wstydzi, tego, że się boi i że nikomu nie może o tym powiedzieć – to sprawia, że czuje się coraz gorzej: „Wytrzymanie emocjonalnego kłamstwa sprawia ogromny ból”, opowiada chłopak z książeczki. Podtytuł bajki brzmi: „Jak założyłem smycz mojej depresji”.

– Teraz w jakimś stopniu jestem w stanie zrozumieć, przez co przechodził Robert – przyznał Hanno w rozmowie z Teresą. Poprosiła go, aby uważał na jej męża. Ważne było, aby nie unikał treningu i nie pozwolił się opętać czarnym myślom.

– Jeśli zauważysz, że odpuszcza, to kopnij go w tyłek!

– Teresa, z całym szacunkiem, ale nie mogę rugać naszego kapitana przed całą drużyną!

– Dobrze, więc po prostu nakręcaj go pozytywnie.

Hanno Balitsch patrzy na świat jasno i przejrzyście. Jest przekonany, że w życiu najlepiej jest rozwiązywać problemy w prosty sposób, nawet jeśli wydaje się to sprawiać wiele kłopotów. Sam nie rozmawiał już, na przykład, z reporterką gazety „Bild” z Hanoweru, ponieważ ta potraktowała go niesprawiedliwie, przy czym po rozegraniu meczu poniżej średniego poziomu potrafił przyjąć druzgocącą krytykę. Robert Enke podziwiał prostolinijność Hanno i równocześnie był nią przerażony.

– Hanno potrafi być dla kolegów z drużyny, dla trenera, ale i dla przeciwnika, naprawdę nieprzyjemny – powiedział pewnego razu.

W Hannoverze od razu znaleźli wspólny język. „W kwestiach piłkarskich często mieliśmy z Robem to samo zdanie. – Hanno milknie na chwilę, ostrożnie się uśmiechając. – Przy czym zazwyczaj wypowiadaliśmy je na różne sposoby. Możliwe, że często byłem aż nazbyt bezpośredni. Mówiłem wobec trenera i menedżera rzeczy, których jako piłkarz nie powinienem był mówić. Rob mówił to samo, ale w jego ustach brzmiało to bardziej dyplomatycznie i bardziej przyjemnie”.

Hanno czuł się trochę dziwnie, gdy podczas treningu chwalił Roberta za parady bramkarskie, które w ostatnich czterech latach uważał za normalność. Wiedział jednak, że postępuje słusznie, i pomoc przyjacielowi była dla niego najoczywistszą rzeczą pod słońcem. Doprowadził do tego, że po treningu Robert poszedł z nim zagrać w ping-ponga. W przerwach między treningami zabierał go na obiad. Raz, gdy wspólnie jechali do restauracji, Robert odebrał telefon od Teresy.

- Jadę na obiad – powiedział.
- Jesteś sam?
- Bez obaw, pilnuje mnie twój pitbul.

Tydzień po porażce z Trierem Robert wyruszył wraz z drużyną pociągiem ICE do Berlina, na pierwszy mecz tego sezonu Bundesligi. Jak zawsze podczas takich podróży zajął miejsce obok Timmy’ego Westphala i zaczął składać autografy. „To dla niego codzienność”, pomyślał Tommy. Robertowi wydawało się, że długopis zaraz wypadnie mu z dłoni. Odczuwał niewiarygodne zmęczenie.

W Berlinie Hannover przegrał 0:1. Robert przewidział to już wcześniej, wiedział, że dłużej tak się nie da. Jörg Neblung siedział w Kolonii przed telewizorem i był innego zdania. „Niesamowite, jak on w tym stanie jeszcze gra!” Na kwadrans przed końcem meczu obrońcy całkowicie zasłonili Robertowi widok. Strzał Raffaela de Araújo zauważył dopiero, gdy piłka przelatowała nad obrońcami, mimo to końcówkami palców wybił piłkę poza słupek. Jörg powtarzał sobie, że skoro broni takie piłki, to depresja nie może być zaawansowana.

Chciał powiedzieć Robertowi, że jego obrona była niesamowita, ale przyjaciel go uprzedził:

– Nie czuję już niczego – stwierdził bez emocji. – Nie czuję nerwowości, radości, niczego. Stałem na boisku i wszystko było mi jedno.

Robert Enke czuł, że czarny pies staje się coraz większy. Po raz kolejny założył czapkę i udał się do doktora Stroschera. Po raz drugi w swoim życiu potrzebował leków antydepresyjnych. Koniecznie chciał dostać te same, które pomogły mu w 2003 roku. Obecnie tabletki te istniały tylko w nowej, ulepszonej wersji. To jednak

oznaczało jego zdaniem, że powinny działać lepiej. Czuł, że nie może już dłużej zwlekać.

Wraz z Teresą otrzymali zaproszenie na szóste urodziny najmłodszej córki Ulego. Pogoda była na tyle dobra, że przyjęcie odbyło się na dworze. Był 16 sierpnia. Robert czuł się osaczony. Zapewne wszyscy czekali, aż zacznie z nimi rozmawiać. Jednak jak miało mu się to udać? Nie wierzył, że jest w stanie odbyć normalną rozmowę. Położył się na leżaku i udawał, że śpi. Uli Wilke pomyślał: „Jak fajnie! Czuje się tu prawie jak w domu, skoro postanowił uciąć sobie drzemkę”.

Teresa zrobiła się niecierpliwa. Wiedziała, że po przyjęciu znów zacznie się zadręczać, że nawet na urodzinach dziecka nie był w stanie zachować się normalnie. To było pułapką depresji: ograbiła go z sił, przez co nie mógł robić zwyczajnych rzeczy, a później świadomość, że nic nie zrobił, wpędzała go w chorobę jeszcze głębiej.

Teresa położyła dłoń na jego ramieniu. Wykręcił się na leżaku i zachowywał się, jakby spał.

– Choć, zagramy w tenisa.

Wcisnęła mu do ręki raketę. Robert miał uderzyć piłkę, a ona miała ją łapać. Trzymała na rękach Leilę. Nie chciała, żeby dziecko zaczęło płakać, jeśli odłożyłaby je do wózka.

Sabine Wilke dziwiła się, dlaczego Teresa bezustannie odpowiadała na pytania za Roberta i nakazywała mu jak małemu dziecku: „Robbi, zjedz kawałek ciasta, przecież tak je lubisz”.

Podjęcie decyzji, czy zje sernik czy też ciasto ze śliwkami, wiązało się dla niego z wielkim wysiłkiem. Normalne, codzienne sprawy całkowicie go przerastały. Brnął jednak poprzez kolejne dni, trenował, śmiał się podczas urodzin, odgrywał swoją rolę. Robienie czegokolwiek, nieważne, ile go kosztowało, było lepsze niż poddanie się zmęczeniu i nierobienie niczego. Wtedy właśnie pojawiały się myśli. W swoim biurze zauważył trzy nieotwarte jeszcze listy, co utwierdziło go w przekonaniu, że całe biuro tonie w chaosie, że nie poradzi sobie z uporządkowaniem go. Myślał: „Nie dam rady. I tak jest już za późno, wszystko zrobiłem źle”.

Istniała cienka granica pomiędzy koniecznością bycia potrzebnym a zagrożeniem, że ta potrzeba okaże się zbyt wielka. Dodatkowo praca w klubie z Hanoweru stała się na początku sierpnia wyjątkowym obciążeniem psychicznym nawet dla zdrowych piłkarzy. Prezydent Martin Kind oraz dyrektor sportowy Jörg Schmadtke przekonali wspólnie trenera, że najlepszym wyjściem dla wszystkich byłoby, gdyby podał się do dymisji. Pobożne życzenie, aby po napięciach z zeszłego sezonu zacząć od nowa pracę z Dieterem Heckingiem, po ledwie dwóch kolejkach okazały się iluzoryczne.

Informacja o dymisji wypłynęła 19 sierpnia, w tym samym tygodniu, w którym Robert Enke rozpoczął kurację antydepresantami i brał udział w przyjęciu urodzinowym. Teraz miał przed kamerami wypowiedzieć się na temat odejścia Heckinga. Oczekiwano też od niego, że stanie się prawą ręką nowego trenera, Andreasa Bergmanna. Tymczasem trawiły go wyrzuty sumienia: przecież jego drużyna także ponosiła część winy za dymisję Heckinga.

Gdy podczas następnej kolejki Hannover wygrał z Norymbergą 2:0, piłkarze w szatni cieszyli się, jakby było to dla nich największym zbawieniem. Nie było pośród nich Roberta – musiał porozmawiać z dziennikarzami. Do szatni wszedł po 25 minutach, gdy radość już ucichła. Hanno Balitsch wiedział, jak trudne było dla niego obecnie odpowiadanie na pytania.

– Panie Kuhnt – powiedział Hanno jeszcze w szatni do rzecznika prasowego – nie może być tak, że wszystkich wywiadów udziela Rob, przez co nie ma go z nami w szatni, gdy cała drużyna świętuje zwycięstwo. Musimy się podzielić wywiadami: na przykład jednego udzieli Brug, drugiego Steini, a trzeciego ja.

Nikt niczego nie podejrzewał, a rzecznik prasowy uznał uwagę Hanno za uzasadnioną. Dla ducha drużyny ważne było, aby każdy mógł uczestniczyć w świętowaniu.

Dziwne zachowanie Roberta Enke zawsze zdawało mieć swoje wytłumaczenie. Tommy’emu Westphalowi rzuciło się oczy, że Robert nagle zaczął odwoływać wszystkie spotkania charytatywne, chociaż wcześniej rezerwował na to wyjątkowo dużo czasu. „No tak, chce zostać w domu ze swoją malutką córeczką”, pomyślał.

Podczas długich podróży autobusem na mecze wyjazdowe Robert krok po kroku opowiadał Hanno coraz więcej o swoim czarnym psie. Co najmniej trzy czwarte piłkarzy miało słuchawki – słuchali muzyki, oglądali filmy lub grali w gry. Dzięki temu Robert i Hanno mogli spokojnie rozmawiać i nikt ich nie podsłuchiwał.

Robert opowiedział o swojej ucieczce z Lizbony, o Noveldzie, Franku de Boerze, Stambule. Depresja zabija wszelkie pozytywne uczucia, nagle, jak mówił potem Hanno, „wszystko wydaje się tracić sens i cel”. Wydawało się, jak gdyby do jego mózgu skurczyło się do małej szczeliny, przez którą przeciskały się jedynie negatywne bodźce – strach, stres, smutek, złość, zbyt duże wymagania, zmęczenie. Osoby niepodatne na depresję rzadko są w stanie zrozumieć ludzi borykających się z nią, ponieważ nie rozumieją, że jest ona chorobą. Zastanawiają się, dlaczego chory wszystko postrzegał tak negatywnie, dlaczego nie weźmie się w garść. Nie zdają sobie sprawy, że jest bezsilny w obliczu czarnych myśli i nie jest w stanie ich kontrolować. Procesy w jego mózgu uległy zmianie, prawdopodobnie doszło do przerwania synaps. Robertowi trudno się było koncentrować na życiu codziennym, jednak o chorobie potrafił opowiadać uważnie i w zrozumiałym sposób.

Nie było lepiej. 24 sierpnia, podczas swoich 32. urodzin, rozplakał się, gdy zadzwoniła do niego jego siostra Anja. Przed innymi dzwoniącymi osobami, na przykład kolegą z dzieciństwa, Torstenem Ziegnerem, odgrywał wyluzowanego twardziela.

– Muszę po prostu dalej grać swoje, to podczas mistrzostw świata będę numerem jeden – mówił lekko.

Gdy życzenia składała mu matka, zapytał:

– Mamo, czy ty miałaś kiedyś depresję?

– Nie, nie miałam. Byłam kiedyś skrajnie smutna, jednak nigdy nie popadłam w depresję.

Dziś matka Roberta zastanawia się, czy jej syn nie czekał na pytanie zwrotne, czy nie chciał jej opowiedzieć o swoich problemach. Może jednak chciał się dowiedzieć, czy jest genetycznie obciążony?

Gisela Enke nie odważyła się podjąć tego tematu. Później kontaktowała się już tylko z Teresą. Robert kazał jej przekazać, że nie chce z nikim rozmawiać, że potrzebuje spokoju i swojej rutyny, aby znów odnaleźć równowagę. Rodzina uszanowała jego prośbę. Chciała mu wszak pomóc.

Uli i jego żona mieli dla Roberta farelkę. Był to prezent na jego urodziny. Wieczorami przecież tak chętnie spędzał czas w ogrodzie. Teresa powiedziała, że lepiej będzie, jeśli nie przyniosą mu prezentu od razu.

– Nie chcę, żeby gdzieś to zalegało. Robert już wystarczająco dużo się denerwuje, jeśli gdziekolwiek coś stoi...

Teresa postanowiła wtajemniczyć przyjaciół.

– Zachowujcie się całkowicie normalnie – powiedziała.

„Mnie się to jednak nie udało – wspomina Uli. – Nie miałem pojęcia, jak mam się z nim obchodzić. Byłam całkowicie spięty”.

W urodziny Lary, tydzień po swoich urodzinach, Robert poszedł z Teresą na grób i wypuścił w powietrze biały balon. Pocił się ze zdenerwowania. O 15.31 wyruszał pociągiem ICE do Kolonii – wraz z reprezentacją udawał się na dziesięciodniowe zgrupowanie. Jak miał je przetrwać? Jakim cudem, będąc przez dziesięć dni na małej powierzchni z całą drużyną, miał się nie zdradzić? Jeśli jego depresja by się wydała, wszystko byłoby skończone.

A może właśnie wtedy wszystko udałoby się naprawić?

„Robbi otoczył się murem – wspomina Marco Villa. – Miał dwa wielkie marzenia: zagrać na mistrzostwach świata i się ujawnić. Wiedział, że nie może zrobić dwóch rzeczy jednocześnie, ponieważ jedno zdecydowanie wykluczało drugie. Czuł, że niezależnie od tego, co uczyni, i tak nie przebije stworzonego przez siebie muru”.

Zaprzyjaźniony lekarz przepisał mu na czas zgrupowania leki podnoszące nastrój.

Robert zapisał w swoim kalendarzu:

31 sierpnia 2009. Walczyliśmy, ale Terri w końcu przekonała mnie, żebym pojechał do Kolonii.

Reprezentacja zbierała się w poniedziałek. Piłkarze siedzieli wspólnie w hotelu, byli wyluzowani. Dla Roberta jednak wieczór ten już stał się pierwszym sprawdzianem. Związek zawodowych piłkarzy VdV wybrał go do najlepszej jedenastki sezonu 2008/09. Aby przetrwać uroczystość, zażył przepisany lek.

Wraz z trzema kolegami z reprezentacji pojechał małym autobusikiem do Brauhaus, znajdującego się nieopodal dworca głównego. Na wejściu przywitał ich Tim Jürgens, zastępca redaktora naczelnego magazynu „11 Freunde”, który we współpracy ze związkiem organizował przyjęcie. Jürgens wiedział, że Robert lubi jego gazetę – Enke udzielił jej kiedyś dwóch szczerych wywiadów – zastanawiał się więc, dlaczego tak chłodno zareagował na przywitanie. Wydawało się, że wcale go nie zauważa.

Wysoko osadzony sufit w Brauhaus sprawił, że głosy gości powracały echem do sali. Ludzie powiązani ze sceną piłkarską byli w swoim gronie. Kilku piłkarzy z Bochum i Kolonii plotkowało z byłymi doradcami. Jörg Neblung wielokrotnie wyłączał się podczas rozmowy, aby sprawdzić, gdzie są reprezentanci i czy Robert w dalszym ciągu jest obecny.

Na szczęście, jako bramkarzowi, wręczono mu odznaczenie jako pierwszemu. Miał na sobie brązową zamszową marynarkę oraz dżinsy. Jego twarz wydawała się bardziej pociągła niż zwykle – wiele osób na sali pomyślało, że wygląda na zabiedzonego.

Rozmowy w tylnej części sali trwały w najlepsze. Gdy Robert wszedł na scenę, wokół rozbrzmiewał dźwięk podobny do bzyczenia. Szef niemieckiej ligi piłkarskiej DFL wygłosił suchą mowę pochwalną. Gdy przekazał Robertowi mikrofon, Jörg Neblung w napięciu czekał na to, co za sekundę nastąpi.

Publiczność odniosła wrażenie, że jest zawstydzony. Niektóre osoby pomyślały, że podziękował tak chłodno, ponieważ sama laudacja nie była wyszukana. Jörg Neblung wiedział natomiast, że jego przyjaciel właśnie odegrał rolę wartą Oscara. Nawet się uśmiechał! Szybko zrobił zdjęcie komórką i wysłał je Teresie. „Nawet byś nie uwierzyła, jak twój mąż się tu prezentuje”, napisał w komentarzu.

Po godzinie autobus znów odebrał reprezentantów. Bufetu jeszcze nie otwarto. Tim Jürgens z „11 Freunde” szybko pobiegł do wyjścia.

– Jeszcze raz dziękuję za wasze przybycie. Bez was uroczystość ta byłaby smutna – powiedział do Roberta. Bramkarz uściśnął mu dłoń, nawet na niego nie spojrzął i nie powiedział ani słowa.

„Jezu, gdy tylko zaczną grać w reprezentacji, sodówka zaraz uderza im do głowy – pomyślał Jürgens. – Skoro nawet ktoś tak uprzejmy jak Robert Enke zachowuje się w taki sposób, to chyba nie ma na to rady”.

W chwili gdy Robert zszedł ze sceny, opuściły go siły. Nie był już w stanie zareagować na nieprzewidziane sytuacje.

Później położył się do łóżka w pokoju hotelowym. Leki na poprawę nastroju nie pozwoliły mu zasnąć. Kręcił się w ciemnościach, zmęczony, całkowicie rozbudzony i samotny. Dla myśli stał się łatwym łupem. Jak mógł rano trenować? W planach był test skoczności, z którego wyników trener czarno na białym mógł odczytać, że Robert jest tylko wrakiem. Jak jednak miał kiedykolwiek wrócić do formy, skoro jutro nie będzie trenował?

Gdy następnego ranka wstał, miał za sobą ledwo dwie godziny snu. Nie chciał wychodzić z łóżka. Mimo to musiał, bo wstawanie było najważniejsze. Robert czuł się jednak bezpieczny tylko tam, w pokoju odgrodzonym od świata roletami i zasłonami.

Zadzwoniła jego komórka. Na wyświetlaczu pojawił się numer Teresy.

– Nie spałem nawet minuty. Teraz leżę, gapię się na budzik i nie mogę się zmusić do wstania.

– Robbi, wstań w tej chwili. Zadzwonię znów za pięć minut. Do tego czasu masz wstać, podnieść rolety i się wykapać.

Zgodnie z zapowiedzią zadzwoniła pięć minut później.

– No i?

– Udało mi się. Dziękuję!

Teresa poinformowała Jörga, co się dzieje.

– O Boże! To wszystko podczas zgrupowania kadry! – wykrzyknął.

Pojechał bezpośrednio do hotelu.

Gdy zapukał do drzwi, Robert mu nie otworzył. Nie mógł krzyżeć: „Robbi otwórz!”, ponieważ wzdłuż korytarza znajdowały się pokoje innych reprezentantów. Zjechał na dół, podszedł do recepcjonistki i poprosił o połączenie telefoniczne z pokojem przyjaciela. Robert odebrał, bo zapewne bał się, że dzwoni do niego ktoś z Niemieckiego Związku Piłki Nożnej. Obiecał, że zejdzie na dół.

Jörg czekał, lecz nadaremnie. Zadzwonił ponownie.

– Nie mogę dziś wziąć udziału w teście skoczności. Wszyscy poznają, że moje nogi wyglądają teraz jak zapalki.

Jörg wiedział, że Robert jest w dobrej kondycji fizycznej. Zorientował się jednak, że nie jest to ani czas, ani miejsce na walkę z czarną ścianą w głowie przyjaciela.

– OK – stwierdził w końcu. – Idź więc do lekarza drużynowego i powiedz mu, że w nocy nie mogłeś spać, trząśłeś się z zimna i strasznie się pocieś. Teraz jesteś

okropnie zmęczony.

Robert nawet nie musiał kłamać.

Lekarz powiedział, że lepiej byłoby, jeśli zrezygnowałby z treningu. Pobierze próbkę jego krwi, aby sprawdzić, czy nie ma jakiegoś wirusa.

Robert znów położył się do łóżka.

Tak samo jak przy pierwszym ataku depresji i tym razem prowadził pamiętnik. Zapisywanie myśli pomagało w porządkowaniu ich. Nie był jednak w stanie pisać więcej niż dwa – trzy zdania.

1 września 2009. Pół dnia przeleżałem w łóżku. Dopiero gdy Terri zadzwoniła, zmusiła mnie do wstania. Nie poddawaj się!

Trener reprezentacji dalej wychodził z założenia, że Robert Enke będzie mógł zagrać mecz na zakończenie zgrupowania przeciwko Azerbejdżanowi.

Latem Joachim Löw niespodziewanie stwierdził, że pozostałe mecze kwalifikacyjne rozegra w bramce Robert Enke. „W chwili gdy nikt się tego nie spodziewał, powiedzieliśmy: »On jest naszym numerem jeden w decydujących meczach jesieni«. Bramkarz nie może otrzymać większych wyrazów uznania”, powiedział Andreas Köpke. Robert Enke nie zaliczył spadku formy i wydawał się najpewniejszym obecnie kandydatem. Löw oraz Köpke nie obserwowali przez miniony rok jedynie gry Roberta Enke oraz René Adlera, ale również ich zachowanie w kadrze. Selekcjoner uznał, że korzystne dla jednego i drugiego będzie, jeśli jasną deklaracją zgasi ogień dyskusji o posadę pierwszego bramkarza w kadrze. Tęsknota obydwu za życiem bez nieustannych konfliktów była najważniejszą przyczyną szybkiego zakończenia tej dyskusji.

Lekarz przekazał Robertowi, że test krwi dał rezultat negatywny – z medycznego punktu widzenia nie było więc przeciwwskazań do gry w następnym meczu reprezentacji. Dodatkowo mecz rozegrany miał być w jego mieście – Hanowerze. Przecież Robert nie pozwoliłby, aby taka okazja uciekła mu sprzed nosa.

Robert Enke w dalszym ciągu powtarzał, że jest zmęczony. Podczas trzeciego dnia zgrupowania odbył tylko dwa indywidualne treningi. W trakcie zajęć spotkał na stadionie w Kolonii piłkarzy młodzieżowej reprezentacji Niemiec, którzy brali udział w teście sprawnościowym. Od razu rozpoznał bramkarza z długimi, spiętymi wysoko włosami. Podbiegł do niego.

Niemieccy piłkarze witają się zazwyczaj uściskiem dłoni, podczas którego słychać głośne klaśnięcie. Będąc w Portugalii, Robert przyzwyczał się, że ludzi, których się lubi, wita się uściskiem. Odruchowo przytulił na stadionie Svena Ulreicha. Na chwilę zapomniał, że ma depresję – takie chwile też się zdarzały. Od chwili gdy pocieszał tego młodego bramkarza, minęło półtora roku. W tym czasie Ulreich stał się

młodzieżowym reprezentantem Niemiec, a w 2010 roku miał zastąpić w bramce VfB Stuttgart Jensa Lehmana. Znow wrócił na właściwy tor. Rozmawiali ze sobą kilka minut i Ulreich powiedział:

– Jeśli do tego czasu się nie zobaczymy, to życzę ci wszystkiego najlepszego podczas mistrzostw świata.

Nagle Robert zaczął sprawiać wrażenie, jakby zatonął we własnych myślach.

– Tak – powiedział nieswoim głosem. – Zobaczymy, czy jeszcze się spotkamy.

Svenowi Ulreichowi przemknęło przez głowę, że pożegnali się w naprawdę dziwny sposób.

3 sierpnia 2009. Nie spałem. Wszystko wydaje się tracić sens. Trudno jest mi się skoncentrować. Myślę o s.

Robert nie kontrolował już czarnego psa. Przysiadł się do stołu do Pera Mertesackera i René Adlera. Zabrakło czwartego z paczki – Christopha Metzeldera, który już wypadł z kadry. René i Per zaczęli rozmowę.

– Robbi, to jak, musiałeś się zmusić do przemowy? – zagadnął René.

„Jadł, jakby był maszyną – wspomina. – To nie był nasz Robbi”. Nie dysponował już koncentracją, aby płynnie uczestniczyć w rozmowie. Czym prędzej chciał wrócić do pokoju hotelowego – do swojego schronu.

To nie był jednak koniec sprawdzianów. Kadra miała się udać na spotkanie reklamowe z Mercedesem. Robertowi przydzielono kabriolet, w którym miał pozować do zdjęć. Nie mógł się wziąć w garść.

– Ile to jeszcze potrwa? – spytał René. – Co to za cyrk?

René Adler odczekał jakiś czas, po czym wziął Pera Mertesackera na stronę.

– Co się dzieje z Robbim? – zagadnął. – Zachowuje się obco i nieprzyjemnie.

Jednak zawsze znajdowało się jakieś wytłumaczenie.

– Zdaje się, że jest przeziębiony i naprawdę źle się czuje.

W podobny sposób przetrwał kolejne sprawdziany. Jednak każdy następny dzień coraz bardziej przybliżał go do nieuchronnej klęski: nadchodził mecz przeciwko Azerbejdżanowi i jego występ w pierwszym składzie.

W sobotę, cztery dni przed spotkaniem, kadrowicze mieli wolny wieczór. Jörg umówił Roberta z Valentinem Merkserem.

Długo się nie widzieli. Gdy po śmierci Lary Enke odwiedził Jörga w Kolonii, zajrzał także do Valentina, ale poza tym nie mieli kontaktu. Tym razem miała to być wizyta w typowym tego słowa znaczeniu. Valentin Markser miał go przygotować do podjęcia decyzji: w najbliższych dniach Robert musiał powiedzieć selekcjonerowi, czy zostaje, czy też wyjeżdża.

Psychiatra przedstawił plan A, według którego Enke miał opowiedzieć o swoich problemach, zalewaniu się potem, bezsenności. W Hanowerze miał iść na badania do swojego lekarza i w ten sposób przerwać zgrupowanie. Markser starał się uświadomić

Robertowi, czym byłoby dla niego odwołanie meczu. Później omówili plan B.

Jak Robert miał się dalej zachowywać na zgrupowaniu i jak miał przetrwać mecz?
6 września 2009. Wieczorem wizyta u Valentina. Nie jestem wobec niego szczerzy.

Starał się umniejszyć swoje cierpienia u lekarza. Nie potrafił się uwolnić z odgrywanej przez siebie roli. Podświadomie sądził, że nawet przed człowiekiem, który ma mu pomóc, powinien podtrzymywać kłamstwa, udawać, że jakoś to będzie. Sam jednak nie rozumiał, czemu tak postępuje.

Za pośrednictwem DFB wypożyczył auto, a po spotkaniu z Valentinem Markserem pojechał w ciemną noc. Teresa wielokrotnie i daremnie próbowała się do niego dodzwonić. O północy w końcu odebrał słuchawkę.

- Właśnie wjeżdżam do garażu hotelowego.
- Aha, to fajnie. Rozmowa z Valentinem trwała tak długo?
- Nie, wcale nie trwała długo.
- To gdzie byłeś przez ten czas?
- Jeździłem po mieście.
- Robbi, czemu to zrobiłeś?
- Tak po prostu.
- Powiedz mi: czemu jeździłeś po mieście!?
- Szukałem miejsca, w którym mógłbym się zabić.
- Oszalałeś!

Udało mu się uspokoić. To tkwiło w nim krótko i szybko odeszło. Wjechał windą na swoje piętro, wszedł do pokoju, otworzył balkon, podszedł do barierki i pomyślał, jakby to było, gdyby skoczył.

W niedzielę rano poszedł do Tima Meyera, lekarza drużyny, aby wprowadzić w życie plan A. Selekcjoner przekazał dziennikarzom, że „ze względu na ogólną infekcję” Robert Enke nie zagra w meczu z Azerbejdżanem. Lekarz nie był w stanie sprecyzować diagnozy. Tim Meyer nie stwierdził ani choroby na tle wirusowym, ani bakteryjnym. Niejasne oświadczenie pozostawiło reporterom pole do spekulacji. Modnym tematem w tamtej chwili była świńska grypa – czyżby to na nią zachorował Enke? Poza tym pojawiły się nagłówki w rodzaju: *Dramat Roberta Enke*. Zawsze gdy wydawał się przebić jako numer jeden, coś go powstrzymywało.

Zauważyli to również trenerzy reprezentacji.

„Dyskutowaliśmy: wtedy nadgarstek, teraz wirus. Nie do wiary. Zawsze gdy Roberta Enke czeka jakiś ważny mecz, dopada go nieszczęście – tłumaczył Andreas Köpke. – Gdy wówczas Tim Meyer powiedział, że rozmaz krwi jest w porządku, zadaliśmy sobie pytanie: może ma problem psychiczny?” Sam Köpke podczas swojej aktywnej kariery praktycznie nie łapał kontuzji, jednak pewnego razu przed meczem reprezentacji w swej rodzinnej Norymberdze zerwał sobie włókno mięśniowe

w udzie. Uważa, że stało się to ze względu na duże obciążenie. „Jednak złamanie kości łódeczkowatej? To nie może tkwić w głowie – mówi. – Nie mogliśmy sobie tego wyobrazić”. Wirus jednak był czymś dziwnym. Trenerzy skonsultowali się z Hansem-Dieterem Hermannem, psychologiem sportowym reprezentacji, i poprosili, by porozmawiał z Robertem. Hermann powiedział bramkarzowi, że w obliczu takich objawów jak bezsenność i chroniczne zmęczenie należy zadać sobie pytanie, czy nie cierpi na depresję. Depresja? Na litość boską! Przecież dopiero co został ojcem i jest szczęśliwy. Tak właśnie odpowiedział Robert. Hermann przekazał trenerom, że nie zauważył niczego niezwykłego. To sprawiło, że na chwilę obecną sztab uznał temat za zamknięty. Robert Enke miał po prostu pecha.

Szofer reprezentacji odwiózł go do Empede. Nie ogolił się. Nie miał na to ani ochoty, ani siły. Patrzył na siebie z pogardą. Znow zawiódł.

– Robbi musisz mi coś obiecać – powiedziała Teresa, gdy wszedł do domu. Robert spojrzał na nią wbrew sobie samemu. – Wiem, że depresja sprawia, że wszystko postrzegasz w czarnych barwach. Musisz z tym walczyć. Nie może być tak, że po prostu wchodzisz na balkon i skaczesz!

– Przecież i tak wszystko traci sens.

Teresa spojrzała mu w oczy, a on nie odwrócił głowy.

– Gdybyś choć raz, na pół godziny, zamieniła się ze mną głowami, wiedziałabyś, jak się czuję.

Jego słowa brzmiały jak propozycja ugody. Jednak myśli samobójcze nachodziły go mniej lub bardziej intensywnie. Były częścią choroby. I nigdy nie były tak wykrystalizowane jak wtedy, w tamto sobotnie popołudnie w Kolonii. Objawy depresji były znacznie silniejsze niż w 2003 roku. Miał wrażenie, że jeśli nie zagra meczu w Hanowerze, uwolni się od presji. To jednak spowodowało, że presja stała się większa: znow poległ przed sobą samym.

Jörg Neblung przerwał swój urlop na Majorce, aby być razem z Robertem i Teresą. Usiedli wspólnie na kuchennych pomarańczowych krzesłach, tak jak czynili to wielokrotnie. Omówili wszystkie drogi, jakie mógł obrać Robert. Miał ogłosić, że ma kontuzję i potajemnie rozpocząć terapię? Miał upublicznić swoją chorobę i dopiero wówczas udać się do kliniki?

Przy każdej opcji wyboru od razu widział powody, dla których plan miałby się nie powieść. Wyjście nie istniało – i to właśnie było siłą tej choroby. Jednak Teresa i Jörg z trudem mogli odmówić mu racji. Każde wyjście z tej sytuacji zdawało się powodować nowe problemy.

Gdy sześć lat temu zwolnił się z Fenerbahçe, był młodym, zapomnianym przez wielu talentem. Mógł się zaszyć na cztery miesiące i nikt się nawet nie zastanawiał, co z nim się dzieje. Teraz był numerem jeden w ojczyźnie bramkarzy. Jeśli zawiesiłby

aktywność zawodową na kilka miesięcy, z pewnością nie zdołałby tego ukryć. O mistrzostwach świata mógłby zapomnieć. Co stałoby się po terapii, po pobycie w klinice? Czy byłby wystarczająco silny, aby pod obserwacją mediów powrócić do kadry jako „ten z depresją”? Czy potrafiłby całkowicie zrezygnować z piłki?

– Nie idę do żadnej kliniki! – krzyknął.

Gdy rozmowa dobiegała końca, wydawało się, że zatoczy koło i powróci na start: nie widzieli innego wyjścia niż gra w chowanego i potajemne wizyty u doktora Stoschera. W końcu antydepresanty musiały zadziałać!

Gdy Robert udał się do łóżka, Jörg i Teresa postali chwilę w korytarzu.

– Co ty robisz? – spytała Teresa, widząc, że Jörg stawia świecznik pod drzwiami.

– To na wypadek, gdyby dziś chciał uciec i sobie coś zrobić. Świecznik się przewróci, a ty to usłyszysz.

Od Valantina Marksera dowiedziała się, że same myśli samobójcze nie są powodem do paniki. Musiała być ostrożna, ale i uważać, aby poprzez zbyt ostrą kontrolę go nie zniechęcić. Jeśli tak by się stało, to jeszcze głębiej wpędziłaby Roberta w depresję.

Następnego dnia świecznik pękł. Teresa zapomniała, że tam stał, i przewróciła go.

Valentin Markser przyzwyczaił się, że jest okłamywany. Osoby cierpiące na depresję mają tendencję do ukrywania przed swoimi psychiatrami prawdy, aby stworzyć wokół siebie fałszywą barierę ochronną. Robert Enke podczas swojej sobotniej wizyty w Kolonii przyjął właśnie taką postawę. To sprawiło, że Markser zdał sobie sprawę z zaawansowania choroby. Jednak Robert był pod opieką kolegi po fachu, więc nie wypadało mu się mieszać. Mógł tylko ostrzegać.

Gdy w poniedziałkowy wieczór Marco Villa jak co tydzień zadzwonił do doktora Marksera, odczytał między wierszami, że należy koniecznie pomóc Robertowi. Zadzwonił do Jörga Neblunga.

– Jörg, nie możemy pozwolić, aby było tak dalej. Jeśli piłka jest dla Roberta zbyt dużym obciążeniem, to musimy sprawić, by się od niej uwolnił.

– Rozmawiałem o tym wielokrotnie, razem z nim i Teresą. W żadnym wypadku nie chce się udać do kliniki. Nie chce stracić piłki.

– Jeśli przestanie grać, jakoś to przetrawi. Znajdzie sobie coś innego. Zacznie pracować w hotelu czy coś. Teraz stawką nie jest jego kariera, a wyjście ze szponów depresji.

– Jednak jeśli zrezygnuje z piłki, to dopiero wtedy naprawdę się rozchoruje.

Najlepsi przyjaciele Roberta po raz pierwszy się pokłócili.

Marco siedział we Włoszech i nie mógł zadzwonić do Roberta, bo tylko by go zdenerwował. Jörg zostawił w Kolonii swoją żonę i malutką córkę, aby wprowadzić się do Empede i pomóc Teresie. Jednak zarówno Marco, jak i Jörg czuli tę samą bezsilność i rozpacz. Nie mieli ani odpowiednich kompetencji, ani pozwolenia, aby

decydować o życiu Roberta. Z kolei sytuacja właśnie tego wydawała się od nich oczekiwać.

Robert siedział w ogrodzie i płakał. Teresa podbiegła do niego.

– Robbi, co się dzieje?

– Nie chcę umierać. Chcę jeszcze raz zagrać w Lizbonie.

LIZBOA!

Było to jedyne słowo, jakie zapisał w swoim czarnym pamiętniku.

Po południu Jörg poprosił Roberta, aby przyszedł do pralni. Przyjaciel bramkarza wyłączył światło. W pomieszczeniu nie było okien, panowała absolutna ciemność.

– To jest stan, w którym się obecnie znajdujesz – powiedział Jörg. – Spróbuj teraz, dotykając ścian, podejść do drzwi. To twoja droga. Ściany ci zbudujemy, jednak drogę musisz znaleźć sam.

Jeśli Robert otworzyłby drzwi, ujrzałby światło, i to właśnie było celem Jörga. Gdy agent opowiedział o swoim pomysle doktorowi Stocherowi, ten stwierdził, że był naprawdę znakomity.

Robert jednak zamiast złapać za klamkę, dotknął włącznik, nacisnął go i krzyknął jak duch: „Buu!”. Podszedł do drzwi, otworzył je i powiedział:

– Co widzę za drzwiami? Moje biuro. Tam depresja ogarnie mnie do reszty.

Zdarzały się momenty, a czasem nawet całe wieczory, kiedy sprawiał wrażenie, jakby uwolnił się od choroby. Jednak równie szybko popadał w ciemność.

Reprezentacja wyjechała z Hanoweru. Azerbejdżan uległ Niemcom 0:4, a stojący w bramce René Adler wyśmienie poradził sobie z nielicznymi zagrożeniami stworzonymi przez gości. Powróciła Bundesliga. Codziennie obok boiska zbierali się dziennikarze, którzy skrupulatnie odnotowywali, kto nie pojawił się na treningu. Każdy nieobecny piłkarz musiał mieć naprawdę dobre usprawiedliwienie – zerwane więzadła krzyżowe, zapalenie ścięgna. Robert Enke wziął udział w lekkim treningu indywidualnym, jednak na jego absencję podczas treningów z drużyną nie było wytłumaczenia. „Ogólna infekcja” w kilka dni zamieniła się w „zagadkowe schorzenie wirusowe”, a następnie stała się „tajemniczym wirusem”. Na Robercie Enke ciążyła kolejna presja. Kiedy w końcu złoży wyjaśnienie?

Lekarza reprezentacji zapewnił, że zbada się u specjalisty w Hanowerze. Teraz musiał przedłożyć jakiegokolwiek wyniki badań, w przeciwnym razie straciłby swoją wiarygodność. Nie dało się wykluczyć, czy nie jest nosicielem jakiegoś wirusa. Chroniczne zmęczenie dosięgnęło go latem, gdy jeszcze nie cierpiał na depresję. Może jedno było zależne od drugiego? Może dlatego, że fizyczne zmęczenie mocno go osłabiło, powróciły dolegliwości psychiczne?

Lekarz klubowy H96 wysłał go na badania serca do krajowego centrum treningowego, znajdującego się obok stadionu. Doktor badający Roberta oniemiał –

serce bramkarza reagowało na obciążenia z opóźnieniem. Nie było to normalne. Lekarz nie wiedział przecież, że Robert zażywa leki psychotropowe, które opóźniały jego czas reakcji. Skierował go do kardiologa w szpitalu Agnes-Karll, nieopodal terenu targów. Gdy udał się na wizytę, Jörg Neblung czekał na niego w poczekalni. Nagle Robert zawołał go z gabinetu. Lekarz chciał pobrać mu krew i mocz, aby sprecyzować jego dolegliwości. Piłkarz spocił się ze zdenerwowania. Co się stanie, jeśli w moczu wykryje ślady leków? Lekarz na chwilę udał się do innego pacjenta, więc mieli zaledwie kilka minut na wymyślenie planu. Robert chciał skorzystać z najprostszego wyjścia:

– Musimy stąd uciec.

Gdy wrócił lekarz, Jörg Neblung powiedział, że Robert rezygnuje z badań. W każdym szpitalu pobiera się jego krew. Nie może tak być, w końcu jest sportowcem i nie powinien jej tyle tracić.

Wyszli. Lekarz spojrzął na nich, a jego wzrok wydawał się mówić: „Nie wiedzą, co czynią”.

Dziennikarze sportowi pisali: „Zagadka Enke. W dalszym ciągu nie ma wyjaśnienia dziwnej infekcji wirusowej bramkarza”.

To było błędne koło: teraz koniecznie musiał wskazać wirusa, który prawdopodobnie nie istniał.

– Nie chcę brać w tym udziału! – krzyknął w domu. Gdy Teresa spytała go, czy nie byłoby lepiej, jeśli jednak upubliczniłby swoją chorobę i udał się na terapię, odpowiedział: – Nie idę do żadnej kliniki!

Zamiast tego udał się do specjalisty zajmującego się powikłaniami po ukąszeniach kleszcza, stacjonującego w instytucie chorób tropikalnych w Hamburgu.

Po raz czwarty w ciągu dziesięciu dni pobrano mu krew. Lekarze rzeczywiście na coś natrafili: jego jelito zaatakowała bakteria o nazwie *Camphylobacter*. Powoduje ona przede wszystkim zmęczenie oraz biegunkę. Nie były to jednak dolegliwości, na skutek których piłkarz musiałby pauzować tygodniami. Mieli nadzieję, że nikt tego tak dokładnie nie sprawdzi.

Jörg Neblung ucieszył się na wieść o tej bakterii, jakby Hannover wygrał w lidze. Robert w końcu miał powód, dzięki któremu mógł chociaż na chwilę zniknąć z pola widzenia, nie tracąc nadziei na udział w mistrzostwach świata.

18 września, dziesięć dni po meczu kwalifikacyjnym przeciwko Azerbejdżanowi, dziennikarze ogłosili: „Koniec kwalifikacji dla Enke!”. Bramkarz, który zawsze miał wielkiego pecha, wypadł na dwa tygodnie z gry za sprawą zakażenia bakteryjnego jelita. W pozostałych meczach kwalifikacyjnych między słupkami stanąć miał René Adler, dzięki czemu stałby się niekwestionowanym faworytem w walce o pozycję pierwszego bramkarza podczas przyszłorocznych mistrzostw.

Zamieszanie ostatnich tygodni przerosło Roberta – odwołany mecz, rocznica

śmierci Lary. Jörg Neblung powiedział Jörgowi Schmadtke, że Robert musi odpocząć.

– Jeśli mu to pomoże, to może wyjechać do Portugalii nawet na cztery tygodnie – odparł Schmadtke. – Robert ma tu całkowicie wolną rękę.

Jeszcze tego samego dnia Jörg wyruszył z Robertem do Kolonii, gdzie ponownie terapię miał przejąć Valentin Markser. Mieli nadzieję, że znów będzie jak w 2003 roku.

Wieczorem Robert wspólnie z Valentinem i Jörgiem oglądali piątkowy mecz w Bundeslidze pomiędzy Wolfsburgiem i Schalke. Jedli pizzę i pili piwo. Robert zanotował w pamiętniku:

Nie umiałem się tym cieszyć.

Znów było jak przed sześcioma laty. Codziennie chodził do Valentina, a ten mówił mu, że powinien biegać, ponieważ jest to dobre dla umysłu. Robert zaczął biegać i powtarzał sobie, że tego nienawidzi. Jörg wymyślił dla niego nowy program zajęć: rano miał kupować gazetę i bułki, a w południe spacerować z Millą po lesie. Gdyby codziennie pchał wózek pod górkę, trochę by się zmęczył i dzięki temu odniósł wrażenie, że coś udało mu się osiągnąć.

W tamte dni dostałem od niego niespodziewanego SMS-a. Robert na wiadomości tekstowe odpowiadał raczej z przymusu, jednak w ostatnich tygodniach nawet tego już nie robił. Teraz przeprosił mnie za swoje milczenie i wyjawiał mi, że jest chory: „Powie tak: następny rozdział naszej książki. Pozdrawiam, Robinho”.

Ronninho i Robinho – tak się żartobliwie nazywaliśmy wzajemnie, gdy dopisywał nam humor. Wspominaliśmy w ten sposób nasz wspólnie spędzony czas w Barcelonie i inspirowaliśmy się idolem Barcy – Ronaldinho Gaúcho. Jakim cudem w najcięższym stadium depresji Robert zdobył się na taką autoironię i zdołał określić swoją chorobę jako dobry materiał na książkę?

W dniu, w którym Robert razem z Jörgiem przycinał w ogrodzie żywopłot, napisał w swoim czarnym notesie:

Po tym czułem się trochę lepiej.

Nie dało się nie zauważyć, że ta depresja dysponuje inną mocą niż ta z roku 2003. Po tygodniu spędzonym w Kolonii chciał koniecznie wrócić do Empede, do Teresy.

– W Kolonii bez przerwy muszę chodzić w czapce, nie mam już ochoty się ukrywać.

Po jednym dniu w Empede myślał o tym samym co w Kolonii: nie chciał tam być. Tak właściwie nie chciał być nigdzie.

24 września 2009. Zdecydowałem, że wrócę do Kolonii. Szaleństwo!

Jednak cztery dni później znów udał się do Empede. Chciał zacząć treningi, znów grać w piłkę. Takie wahania zdarzały się coraz częściej. Nagle powrócił jego duch walki. Chciał w sekundę odzyskać wszystko to, co jego zdaniem stracił w minionych

miesiącach. Tym razem jednak zapał nie minął, jak zazwyczaj, już po kilku minutach. Valentin Markser zmienił mu leki antydepresyjne.

Ustalili, że rozmowy będą kontynuować telefonicznie, a Robert będzie dzwonił z Empede. Mieli zwiększyć częstotliwość sesji do trzech dziennie.

We wtorek 29 sierpnia wznowił treningi w Hannoverze. Hanno Balitsch przytulił go, a Tommy Westphal powiedział:

– Fajnie, że jesteś.

Już nie czuł strachu. Strachu przed ujawnieniem, strachu przed byciem zbyt kiepskim bramkarzem, strachu przed koniecznością normalnych rozmów z kolegami z drużyny.

– Wydaje mi się, że jest trochę lepiej – powiedział w domu Teresie.

Następnego ranka, gdy wstał, zaczął się zastanawiać: Czy naprawdę tak po prostu wyszedł z pościeli? Jak mu się to udało?

Gdy po treningu wrócił do domu, zadzwonił do trenera reprezentacji i zameldował się Andreasowi Köpke. Chciał tylko przekazać, że znów trenuje na pełnych obrotach, choć jeszcze nie czuje się w pełni zdrowy, a do powrotu do bramki minie jeszcze pewien czas, trudno określić jaki. Gdy odłożył słuchawkę, udał się do pokoju Leili, by z nią się pobawić. Następnego ranka przyniósł Teresie kawę do łóżka.

30 września 2009. Znów zrobiło się jakby trochę jaśniej. Znów biorę udział w życiu.

Udało mu się. Udało im się. Teresa nie chciała jeszcze w to uwierzyć, ale odczuwała euforię.

Przez dwa miesiące musiała żyć z nim w mroku, z jego humorami i niesprawiedliwością depresji. Teresa starała się zachować cierpliwość wobec nieustannego narzekania Roberta, nawet wówczas, gdy wydawało się jej, że cierpliwość już dawno się skończyła. Według badań naukowych odsetek rozwodów pomiędzy partnerami, z których jedno cierpiało na depresję, było dziewięciokrotnie wyższe niż u zdrowych małżonków. Robert i Teresa byli o krok od wyjścia na prostą.

Trzeciego dnia treningów wciąż czuł się dobrze, a czwartego wrócił do domu z bukietem róż.

Zanim wręczył jej kwiaty, wyrecytował wiersz, który sam napisał i który opowiadał o dwóch Robertach: jeden Robbi ją kochał nad życie, drugi ukazywał to skrycie.

Zakup róż przypomniał mu jednak, że depresja w dalszym ciągu w nim tkwi. Gdy sprzedawczyni spytała go, ile kwiatów chce kupić, Robert nie wiedział, co jej odpowiedzieć. „Trzy czy siedem? – zastanawiał się. – Trzy czy siedem?” Nie wiedział, jak długo kwiaciarka się w niego wpatrywała, w końcu w panice wycedził:

– Poproszę trzy.

Piątego dnia nie miał ochoty na trening. Był umówiony na siłowni z trenerem

przygotowania fizycznego. Drużyna zebrała się w hotelu, ponieważ po południu w planach był mecz z SC Freiburg.

Robert zadzwonił do Edwarda Kowalczuka, aby mu przekazać, że ze względu na złe samopoczucie nie może dziś trenować. Trener powiedział, że nie ma problemu. W końcu w Hannoverze kapitanowi się nie odmawia.

Robert pomyślał, że testem dla niego będzie, gdy pewnego razu nie zastosuje żadnego schematu przebiegu dnia.

Rano, gdy był w drodze na stadion, zadał sobie pytanie: „Dlaczego nie trenowałem? Jakim cudem pewnego dnia mam się ponownie stać dobrym bramkarzem, jeśli nie będę trenował? Teraz jest już za późno, nie trenowałem i już nigdy tego nie nadrobię”.

Zajrzał do szatni, aby życzyć kolegom wszystkiego najlepszego podczas najbliższego meczu. Zahaczył też o salę zabiegową. Coś się zmieniło: ze ściany zniknęło jego zdjęcie. Jeden z fizjoterapeutów nakleił na nie plakat drugiego bramkarza, Floriana Fromlowitza. Był to drobny gest, mający dodać otuchy młodemu bramkarzowi, którego czekało ciężkie zadanie zastąpienia reprezentanta kraju. Robert Enke nie odezwał się i w milczeniu wyszedł z pomieszczenia.

Zasiadł na trybunie. Do pierwszego gwizdka pozostało jeszcze trochę czasu, a drużyny odbywały właśnie rozgrzewkę. Nie miał ochoty na rozmowę z kimkolwiek, więc chwycił gazetę stadionową, która miała działać jak ekran ochronny. Wertował strony, aż zatrzymał się przy karykaturach. Fromlowitza przedstawiono jako ścianę stojącą przed bramką.

Co to miało znaczyć? Czyżby już go skreślili? Czy wszyscy nagle uwierzyli, że Fromlowitz jest tym niesamowitym bramkarzem?

Hanower wygrał z Freiburgiem 5:2. Fromlowitz zagrał przyzwoity mecz. Robert aplauz wobec młodego bramkarza odebrał jako afront względem swojej osoby. Nikt go już tu nie potrzebował? Czy o nim zapomniano? Czy był tylko starym zdjęciem, na które naklejono nową twarz?

W Empede Teresa próbowała dotrzeć do niego za pomocą logiki. Przecież zrozumiałe było, że fizjoterapeuci starali się podbudować młodego chłopaka. Przecież nie była to kampania przeciwko niemu. Poza tym nikt nawet nie wpadł na pomysł, aby Fromlowitza postrzegać jako jego konkurenta. W chwili powrotu Robert znów będzie numerem jeden.

– W sumie masz rację – stwierdził, a następnie, odwracając się, wykonał serię gestów, które Teresie uświadomiły, że z logiką jego myślenie niewiele ma wspólnego.

Miała nadzieję, że rano będzie lepiej. Może miał po prostu kiepski dzień?

Gdy Teresa budziła się w niedzielne poranki, przez jej głowę w ułamku sekundy przemykały rozmaite myśli, wśród których najważniejsza była obawa: „Jak to było wczoraj? Wygrali, czy przegrali?” Wiedziała, że odpowiedź determinowała, czy

ostatni dzień danego tygodnia będzie miły, czy też nie. Teraz ponownie opętał ją strach, który tym razem jednak przybrał inną postać: „W jakim humorze obudzi się Robert?”.

Jej mąż nie czuł się źle, ale nie czuł się też dobrze.

Podczas kolejnych dni wciąż miał trudności z porannym wstawaniem. Teresa pozwoliła sobie na kłamstwo:

– Tak mnie boli brzuch. Czy możesz przez dziesięć minut popilnować Leili?

Tak właśnie wypędzała go z łóżka i zaganiała do codziennej rutyny. Tak oto walczył z dnia na dzień, ale jego strach powrócił – pierwotny strach: strach, że powróci strach przed wszystkim.

W weekend, jak w prawie każdy wolny dzień, udał się do Valentina Marksera. W sobotę obejrzał w telewizji mecz – Rosja grała z Niemcami. Był to rewanż w ramach kwalifikacji, rozgrywany prawie rok po tym, jak Robert złamał sobie kość łódeczkowatą. René Adler znów doskonale bronił, a komentator znów piał z zachwytem. Wygrywając 1:0, Niemcy zapewniły sobie start podczas mistrzostw świata w Republice Południowej Afryki. Turniej ten miał być szczytowym momentem w karierze Roberta Enke. W telewizji pokazano ujęcia, gdy drużyna Niemiec cieszy się z wygranej. W geście triumfu wszyscy unieśli do góry pięści, a jemu wydawało się, że koledzy z reprezentacji biją go po ryju.

Cztery dni później przerwał trening.

Znów utonął w przeszłości. Nie potrafił przestać myśleć o tych czterech – pięciu pozytywnych dniach, jakie przydarzyły mu się pod koniec sierpnia. Dlaczego wówczas znów zaczął żyć? A przede wszystkim – dlaczego choroba wróciła? Co zrobił źle, że mrok na nowo go ogarnął?

– To koniec, Terri. Miałem szansę, by wrócić, ale jej nie wykorzystałem.

– Robbi, wyobraź sobie, na przykład, że przeprowadzasz się do Lizbony, a przedtem nie chodzisz na kurs językowy. Wówczas nie powiesz przecież, że jest za późno, że nie nauczysz się już portugalskiego.

– Super przykład.

– To jeszcze nie koniec! Przez pewien czas czułeś się lepiej. To przemawia za tym, że niedługo naprawdę możesz wyzdrowieć.

Od tej pory ona i Neblung często towarzyszyli mu podczas treningów – nie chcieli, by czuł się osamotniony. Przede wszystkim jednak wiedzieli, że powinien jak najmniej czasu spędzać bez opieki.

Trener bramkarzy spośród wszystkich swoich trzech podopiecznych wziął jednego po drugim w obroty. Teresa stała za linią boczną, na wysokości bramki. Odwiedzający zazwyczaj zajmowali miejsca bliżej środka pola, bardziej w centrum. Trener bramkarzy uderzał piłkę wolejem na lewy róg, a broniący bramkarz, w tym

przypadku Robert, łapał ją, a następnie szybko wstawał, aby wyłapać kolejny strzał skierowany w prawy róg. Trzy powtórzenia i przychodziła kolej na następnego zawodnika, tym razem Fromlowitza. Gdy Teresa zauważała, że podczas krótkich przerw Robert traci koncentrację, spuszczała głowę, podchodziła do band, a następnie w nią uderzała. Robert nie tyle słyszał uderzenie, co je czuł. Spojrzał w jej stronę i ujrzał, jak ściskając pięści, próbuje mu podpowiedzieć: „Koncentruj się, walcz”.

Po drugim treningu obecność Teresy zwróciła uwagę dziennikarzy. Jörg Neblung otrzymał telefon: „Dlaczego za każdym razem na stadionie obecna jest pani Enke?”.

Kolejnego dnia nie odważyła się pojechać z mężem. Nie chciała jednak, aby samotnie jechał przez pół godziny, więc towarzyszyła mu w drodze do Hanoweru. Podczas gdy on trenował, udała się do Muzeum Narodowego; innym razem przeczekala ten czas w aucie.

Na tym jej wysiłki się nie kończyły – po południu czekały ją kolejne wyzwania. Robert musiał być nieustannie zajęty, nie mógł mieć czasu na rozmyślanie. Przekonała go, aby wraz z Leilą udali się do zoo. Wieczorem wręczyła mu album o regionie wokół Hanoweru.

– Wybierz miejsce, do którego wspólnie moglibyśmy się wybrać – powiedziała.

W zoo zauważył, jak dziesięcioletnie dziecko kłóci się z rodzicami. Widok ten spowodował, że zaczął się zamartwiać przyszłością: „Jak my sobie poradzimy z domem, psami i podrośniętą wówczas Leilą?”. Album pogryzł pies, chociaż Robert trzymał go obok siebie przez kilka dni.

16 października 2009. Drużyna wyjeżdża do Frankfurtu. Nie wydaje mi się, żebym jeszcze kiedykolwiek mógł się z nią zabrać.

Będąc w takim nastroju, otrzymał od Teresy wiadomość, że jego matka przyjeżdża w odwiedziny.

Gisela, podobnie jak reszta jego bliskich, uszanowała prośbę syna, aby nie interesować się jego chorobą. Powściągliwość w rodzinie Enke traktowana była jako element dobrego wychowania. Jednak matka uznała, że ma dość. Przez dwa miesiące ani nie widziała swojego dziecka, ani z nim nie rozmawiała. Uznała, że powie, że do Empede przyjedzie dla Leili, a nie dla Roberta. Przez telefon oznajmiła:

– Chcę zobaczyć moją wnuczkę.

Gdy następnego dnia wieczorem Robert wrócił z treningu, matka już siedziała w kuchni. Zdziwiła go własna reakcja – w obecności matki potrafił się zrelaksować jak za dawnych czasów. Otworzyli butelkę czerwonego wina, a on skusił się nawet na lampkę. Prowadzili rozmowę w tonie uprzejmej formalności, ponieważ matka czuła, że w powietrzu wisi temat, którego nie wolno poruszać. Robert starał się jednak podtrzymać konwersację – była to rzecz w ostatnim czasie zupełnie u niego niespotykana. Zaczął nawet opowiadać o swojej chorobie. Gdy odeszli od stołu, na

zegarze wybiła 22.30. Minęło wiele tygodni od dnia, gdy kładł się tak późno.

Następnego ranka objął matkę.

– Fajnie, że przyjechałaś.

Udał się na trening, a wieczorem, gdy wrócił, po niedawnym rozluźnieniu nie było śladu.

– Masz ochotę na espresso? – spytała Teresa po obiedzie.

– Nie.

– Przecież zawsze piłeś espresso.

– Teraz nie chcę.

Sam chciał wymierzyć sobie karę. Nie zasługiwał na miłe chwile, a wczoraj wypił przecież kieliszek wina, co tym bardziej podlegało karze.

Gisela powiedziała o wizycie Dirkowi.

– Nie mogę do niego dotrzeć – westchnął.

– To zrób tak jak ja i po prostu jedź do niego.

– Nie chcę mu się narzucać. Jest dorosły. Jeśli nie chce mnie widzieć, to muszę to zaakceptować.

Jednak z czasem udało mu się znaleźć sposób na oszukanie własnej powściągliwości. Jego zięć kupił nowe auto, które trzeba było odebrać z fabryki Volkswagena w Hanowerze. Dirk Enke wmówił sobie, że to akurat może zrobić. Teresie powiedział przez telefon, że będzie w pobliżu, więc po prostu wpadnie. Odebrała go z dworca. W Empede drzwi otworzył mu Robert. Na przywitanie powiedział:

– Ale masz szczęście, że widzisz mnie jeszcze żywego.



Gisela Enke z synem Robertem na plecach

Robert nawet nie starał się ukrywać, że wizyta ojca go drażni. Agresja aż w nim buzowała.

– Czy naprawdę czytałeś *Czarnego psa*? – zapytał Dirk przy kuchennym stole.

– Oczywiście.

– Ile razy? – zripostował.

– Nie podoba mi się ta rozmowa. Idę spać – powiedział Robert, po czym wstał. Dochodziła 21.30.

– Porozmawiamy jutro?

– Jutro nie będziemy rozmawiać – rzucił, wychodząc z kuchni.

Dirk Enke wcale nie musiałby być psychoterapeutą, aby zauważyć, że za sprawą depresji syn przestał być sobą.

Koledzy z drużyny dziwili się zachowaniem Roberta. Tommy Westphal otrzymywał od niego dziwne SMS-y: „O której jutro jest trening?”, „Kiedy rozpoczyna się przed meczem cisza nocna?”. Dlaczego zadawał takie pytania? Przecież Robert o wszystkim pamiętał, ktoś taki jak on nie zapomina tak łatwo.

Arnold Bruggink, który grał z nim w klubie od trzech lat, zauważył, że Robert podczas treningu nie ukazuje już żadnych emocji.

– Robert, wszystko w porządku?

– No pewnie. Jakoś leci.

Odpowiedzi, jakich Robert im nie udzielał, Tommy Westphal i Arnold Bruggink udzieliли sobie sami. Może Robert mało spał, bo nocami córka nie pozwalała im zasnąć? Na pewno dokuczało mu, że w dalszym ciągu nie może grać i że stracił miejsce w bramce reprezentacji Niemiec.

Jesienny deszcz zmoczył murawę. Do twarzy Roberta przykleiły się źdźbła trawy. Po treningu trener bramkarzy Jörg Sievers powiedział do niego:

– Dziś nieźle ci poszło, jeszcze trochę i wrócisz do formy.

Chciał dobrze. Robert jednak spanikował. Mając taki mętlik w głowie, nie mógł grać, nawet ciało mu na to nie pozwalało. Czy oprócz niego nikt nie zauważył, jak zanikają jego mięśnie?

„Fizycznie nie był w najwyższej formie, ale wciąż pozostawał na poziomie Bundesligi – mówi Jörg Neblung. – On jednak już tego nie zauważał”.

Wieczorem siedział przy kuchennym stole, a przed nim rosła góra papierków po cukierkach i czekoladkach: jego podwieczorku. Przedtem zjadł porcję pizzy dla dwóch osób i opakowanie lodów. Nowy lek psychotropowy przepisany przez doktora Marksera wywoływał u niego napady głodu.

Jörg usiadł naprzeciwko. Przyjechał z Kolonii specjalnie dla Roberta. Nie wiedział, który to już raz – ostatnio więcej czasu spędzał z nim niż z własną rodziną.

– Z sobotniego meczu ze Stuttgartem jeszcze jakoś się wykręcisz – powiedział. – Jednak wówczas minie pięć tygodni od chwili wykrycia bakterii. Dziennikarze widzą, jak co dzień bronisz na treningu.

Jörg nie powiedział tego wprost, ale było to oczywiste: w następnym tygodniu Robert musiał albo zacząć grać, albo wyjawic informacje o swojej chorobie.

Milknąca wesołość ksylofonów

Po przekręceniu kluczyka w stacyjce samochodu radio włącza się automatycznie. Robert nie wyłączył muzyki, bo i tak jej nie słyszał. Na drodze B6 nie było ruchu. Była niedziela rano. Jak wzrokiem sięgnąć – ani żywej duszy, nikogo, kto mógłby zapobiec temu, co miało się stać. Dzień wcześniej Hannover wygrał ze Stuttgartem 1:0. Minął okres, w którym Robert Enke miał wiarygodną przerwę w grze.

Był w drodze na stadion. Najchętniej zrobiłby z siebie na treningu głupka, przez co wszyscy zauważyliby, że jest za wcześnie na jego powrót. Jednak jeśli nie będzie trenował solidnie, wszyscy zaczną zadawać sobie pytania, co się z nim dzieje, i na pewno ktoś go przejrzy.

Co zyskałby, jeśli wykręciłby się z sobotniego meczu? W następnym tygodniu czekałby go kolejny. Jak daleko nie patrzyłby w przyszłość, to i tak czekały go sprawdziany, którym nie podoła, które musi oblać.

W poniedziałek nie było treningu, odpadł więc jeden sprawdzian – Robert zyskał jeden dzień, podczas którego miał czas na myślenie. Teresa podeszła do łóżka, aby pomóc mu wstać. Czasami musiała kilkukrotnie podejmować próby postawienia go na nogi. Jörg, kiedy u nich był, po prostu otwierał okno, zabierał Robertowi poduszkę i krzyczał: „Dawaj, Robbi, nie ma mowy o leżeniu, musisz wstać, to tylko twoja głowa, a nie ty!”. Robert najczęściej leżał w bezruchu, milcząc. Tego ranka nie było inaczej. Teresa wyszła z sypialni i co kilka minut krzyczała ze schodów: „Wstawaj Robbi!”. Do jakich szaleństw człowiek jest w stanie się przyzwyczaić... Pewnego dnia była tak zrozpaczona, że kopnęła w łóżko. Znowu poszła do niego do pokoju, który miał tylko dwa wąskie okna – gdyby ich dom był tylko trochę jaśniejszy, nie mógłby się tak łatwo ukrywać przed dniem. Leżał i zachowywał się, jakby wcale jej nie widział. Nagle z rozpaczą w głosie powiedział:

– Nie chcę w sobotę grać!

Spędził w łóżku całe przedpołudnie.

W kolejnych dniach znalazł się w spirali strachu. Obawiał się, że musi grać, co z kolei wywoływało lęk przed zdemaskowaniem, odkryciem jego sekretu. W takim stanie codziennie jeździł na trening.

Tam dziennikarze pytali go, czy będzie grał przeciwko 1 FC Köln.

– Muszę to omówić z trenerem – powiedział w czwartek.

Reporterzy przyglądali się grze Roberta podczas zajęć, a następnie napisali, że należy się spodziewać jego powrotu do kadry.

W piątek po porannym treningu drużyna miała wyruszyć do Kolonii. Teresa

bawiła się z Leilą w pokoju dziecięcym. Usłyszała, że Robert wchodzi po schodach.

– Jak się dziś czujesz?

– Nie mogę grać! Spójrz tylko na moje uda. Na nich nic nie ma, moje mięśnie zniknęły.

Teresa słyszała to zdanie już jakieś 30 razy i 30 razy odpowiadała tak samo: „Robbi, przecież cały czas trenowałeś, twoje nogi są silne jak zawsze!”.

Tym razem jednak odparła:

– Zobacz, to już nie ma żadnego sensu. Chodź, pojedziemy do kliniki.

Przez chwilę milczał, a następnie powiedział po prostu:

– OK.

Chciał być przyjęty do prywatnej kliniki w Bad Zwischenahn, którą kilka tygodni wcześniej polecił mu Valentin Markser. Omawiali wówczas scenariusz – co by było, gdyby Robert tam trafił. Usiadł obok Leili na pluszowym dywanie. Teresa wyciągnęła ulotkę informacyjną placówki i idąc w stronę męża i córki, dzwoniła do Valentina.

– Robimy to – powiedziała. – Jedziemy do kliniki.

Markser zapytał o samopoczucie Roberta, po czym obiecał, że zadzwoni do ordynatora Friedricha Ingwersena, aby ich zapowiedzieć. Miał się potem odezwać.

Zadzwonili do Jörga.

– Jedziemy do kliniki.

Jörga zdziwiła jego własna reakcja – poczuł ulgę.

– Dobrze, tylko pamiętajcie, żebyście byli już poza domem, gdy stanie się to oficjalne – powiedział.

Teresa poszła na chwilę do łazienki. Udało się jej powstrzymać łzy do chwili zamknięcia za sobą drzwi. Prysło jej marzenie o powrocie do starego miłego życia. Teraz było już po wszystkim. Chwilę później – a może i w tym samym czasie? – pomyślała: „Nareszcie koniec”.

Valentin Markser oddzwonił i powiedział, że doktora Ingwersena nie ma już w klinice. Zapewnił jednak, że przyjmie ich inny lekarz. Wystarczy zadzwonić. Teresa zanotowała nazwisko doktora.

Pomyślała głośno:

– Powinniśmy też zadzwonić do urzędu do spraw nieletnich, zanim dowiedzą się z gazet.

Co by powiedzieli urzędnicy, jeśli dowiedzieliby się, że adopcyjny ojciec Leili trafił do szpitala ze względu na depresję? Czy wówczas mogli im odebrać dziecko? Roberta ogarniał inny strach, więc o tym nie myślał. Bez wahania wybrał numer urzędu.

Teresa nalegała, aby zadzwonił, bo wiedziała, że w chwili wtajemniczenia urzędników nie będzie już odwrotu. Wówczas nie byłoby mowy, aby zawracać

w połowie drogi do Bad Zwischenahn.

Obcy głos w słuchawce powiedział, że nie ma koleżanki, i zapytał, czy coś przekazać.

– Nie, dziękuję. Nie trzeba.

Gdy odkładał słuchawkę, w dłoni w dalszym ciągu trzymał ulotkę. Teresa poczuła ostry zapach.

– Co to jest?

– Spociłem się.

– No to ja teraz tam zadzwonię, dobrze? – spytała, a następnie czekała, aż przekaże jej ulotkę z numerem kliniki.

– Zaraz. – Robert chciał szybko iść do łazienki, żeby się wykąpać.

Dwie minuty później wbiegł z gołą klatką piersiową do pokoju córeczki.

– Jadę na stadion! Jutro zagram.

– Robbi, spójrz na siebie. Przecież nie możesz grać!

– Zagram!

– Zadzwonię chociaż do Valentina i Jörga.

Doktor Marksen chciał z nim porozmawiać. Głos Roberta momentalnie stał się spokojny, a użyte przez niego argumenty nabrały sensu. Chciał jeszcze raz spróbować. Chciał pozostawić sobie na później możliwość udania się do kliniki.

– Robbi w dalszym ciągu ma możliwość zrezygnowania z gry przed samym meczem – powiedział Jörg. – Niech się rozgrzeje i udaje, że naderwał mięsień.

Robert ubrał się.

– To jadę.

– Jak to? Sam?

– Tak, sam.

– Nie da rady, Robbi.

Teresa znów zadzwoniła do doktora Marksera.

Robert nie mógł jechać sam i w żadnym wypadku nie powinien zostawać sam. Doktor Merkser tak powiedział i nawet nie musiał tłumaczyć dlaczego. Zostawili Leilę z gospodynią i udali się w drogę. Z auta Teresa zadzwoniła do fizjoterapeuty Markusa Witkopa.

– Dla mnie Robert może naderwać sobie mięsień, kiedy tylko zechce: podczas ostatniego treningu, podczas rozgrzewki, podczas meczu albo nawet w hotelu – powiedział Witkop. – Już ja się postaram, żeby nikt nie poznał prawdy.

Na czas treningu Teresa została w samochodzie, aby dziennikarze nie nabrali podejrzeń. Nie odważyła się pójść na miasto. Co by zrobiła, gdyby Robert przerwał trening w połowie i nagle wyszedł, a jej nie było w pobliżu?

Hannover 96 ćwiczył kilka wariantów rzutów różnych i wolnych, a na zakończenie piłkarze mieli rozegrać krótki mecz z dziesięciminutowymi połowami,

aby móc się wyszaleć. Schodząc z boiska, Robert Enke z Hanno Balitschem szli kilkanaście metrów za resztą drużyny.

– Hanno, nie mogę jutro zagrać.

– Jak to nie możesz jutro zagrać?

– Nie mam siły w nogach, nie mogę się w ogóle poderwać do góry.

– Robs, dopiero co wyłapałeś trzy piłki, których nikt inny w Niemczech by nie obronił, i ty chcesz mi powiedzieć, że nie masz siły w nogach?

– Nie czuję już, jak skaczę. Nie czuję niczego.

– Zagrasz więc jutro w Kolonii przed 50 tysiącami kibiców bez czucia. Musi ci to wystarczyć, ale mogę powiedzieć jedno: będziesz bronił wybitnie.

Teresa siedziała w samochodzie i widziała, jak Robert idzie w jej stronę.

– Jadę z drużyną – powiedział.

Zespół pojechał pociągiem ICE do Kolonii. Piłkarze swoim zwyczajem założyli słuchawki. Robert szybko zajął pojedyncze miejsce przy oknie.

Tommy Westphal zdziwił się.

– Zapomniałeś o mnie?

Robert Enke zawsze siadał w autobusie obok Hanno Balitscha, a w pociągu obok Tommy’ego Westphala.

– Oczywiście, że nie zapomniałem – odparł Robert i zaczął szukać podwójnego miejsca.

Tommy Westphal pomyślał, że Robert jest zmęczony i chce odrobinę spokoju. Przypomniał sobie wszystkie sytuacje, które dziwiły go podczas ostatniego tygodnia. W samym środku sezonu Robert wysłał fanom 15 czy nawet 20 par swoich rękawic. Zazwyczaj robił to dopiero podczas przerwy zimowej lub letniej, gdy wiedział, że nadejdzie nowa partia. Podczas podróży pociągiem Tommy zamierzał spytać Roberta, jaki był podtekst tej akcji, jednak najpierw musieli znaleźć nowe miejsca. „Może – pomyślał – z jakiegoś powodu Robert w tym roku dostanie nowe rękawiczki już na początku listopada?”

Po tym, jak Robert wyruszył w drogę z drużyną, Teresa zastanawiała się, co ma właściwie uczynić.

– Nie musisz jechać do Kolonii – powiedział Jörg, który obiecał, że wpadnie do hotelu wieczorem. Poza tym na miejscu byli Hanno i Witt.

– Wiem, ale wydaje mi się, że dla mnie będzie gorzej, jeśli mnie tam nie będzie.

Wieczorem w hotelu Tommy Westphal zobaczył, jak Robert siedzi z Teresą, Jörgiem i Markusem Witkopem w lobby. Pomyślał, że to normalne, w końcu Jörg był z Kolonii, a Teresa wykorzystała okazję, by odwiedzić jego i jego rodzinę. Jeśli dobrze pamięta, doradca Roberta został niedawno ojcem. Tommy próbował nawiązać

kontakt wzrokowy z kimkolwiek z tej grupki, lecz nadaremno, więc poszedł dalej. Wydawało mu się, że prowadzą poważną rozmowę.

– Człowieku, tak mi przykro, że ciebie też w to wciągają – powiedział Robert do Markusa.

– Nie ma problemu.

– Ale przecież też będziesz miał problemy, jeśli wyjdzie to na jaw.

– Chcę to dla ciebie zrobić.

Każda osoba w biznesie piłkarskim, która posiada choć odrobinę wrażliwości, ma wyrzuty sumienia, że tak często wieczorami i w weekendy zostawia swoich bliskich. Dla Jörga Neblunga sobota była dniem, podczas którego nie chciał w żadnym wypadku zostawiać Tiny samej. Na ten weekend planowali przeprowadzkę.

Podczas gdy Jörg wypakowywał skrzynie w nowym domu, z Teresą na mecz udał się Sebastian Schmidt, współpracownik z agencji. Godzinę przed pierwszym gwizdkiem zasiedli na stadionie. Nie wiedzieli, czy Robert tego dnia zagra, czy też w szatni ogarnie go strach.

– Potrzebuję najpierw szampana – powiedziała Teresa.

Robert pojawił się na murawie podczas rozgrzewki, ubrany w obcisły czarny strój. Sprawiał wrażenie skoncentrowanego i silnego. Jego twarz znów stała się pełniejsza, przede wszystkim dzięki pizzy i słodyczom. Każdy, kto go znał, dziwił się, dlaczego niektóre strzały trenera bramkarzy apatycznie przepuszczał.

Na kwadrans przed meczem drużyna wróciła do szatni, żeby się przebrać. Trener powiedział jeszcze kilka słów, wspomniał o spokojnym podawaniu piłki przez obrońców i o tym, że lepiej jest ją przetrzymać, niż ryzykownie atakować. Pod wodzą nowego szkoleniowca Andreasa Bergmanna Hannover awansował na 11. lokatę w tabeli. Klub powrócił na zarezerwowane dla niego miejsce.

Piłkarze ustawili się na korytarzu przed szatnią. Na murawie już czekała grupka ubranych na czerwono cheerleaderek. Speaker puścił hymn klubowy, „En Rio, en Rom, Jläbbisch, Prüm un Habbelrath” („W Rio, w Rzymie, w Bergisch Gladbach, Prüm i Habbelrath”), fani FC tak śpiewali *De Höhner*. Kibice gospodarzy machali przy tym swoimi czerwono-białymi szalikami, a gdy zrobiło się cicho, sędzia wyszedł na płytę. Robert jako kapitan, ustawił się bezpośrednio za nim. W prawej dłoni trzymał rękawice bramkarskie, a lewą ścisnął dłoń ciemnowłosego chłopca, który został wybrany „maskotką” tego meczu. W chwili gdy sędzia postawił swój pierwszy krok, Robert instynktownie przechylił głowę w prawą stronę, jakby chciał ją położyć na ramieniu. Był to ten sam odruch, po którym Teresa dziesięć lat temu w centrum handlowym w Lizbonie poznała, że Roberta ogarnia strach.

Kapitanowie musieli przejść na środek boiska, by wybrać strony.

– Białe czy żółte, panie Enke? – spytał sędzia.

– Biały.

Sędzia podrzucił monetę, a następnie złapał.

– Biały!

Rzut miał zdecydować, na której połowie jego drużyna rozpocznie mecz. Niektóre drużyny wolą, gdy w pierwszej połowie za bramką mają własną publiczność. Kapitanowie myślą nad tym długo przed meczem. Robert Enke ze zdenerwowaniem zerknął za siebie na jedną bramkę, przed siebie na drugą, złapał się za nos i powiedział:

– Hmmm.

Zastanawiał się już przez pięć sekund. Sędzia Helmut Fleischer, mężczyzna z filuternym wyrazem twarzy, spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Zostajemy – powiedział w końcu. W żargonie piłkarskim znaczy to, że drużyna zacznie mecz na połowie, na której obecnie stoi.

– Jasne! – krzyknął wesoło sędzia.

Helmut Fleischer, ortopeda pracujący dla wojska w Fürstenfeldbruck, rozpoczął spotkanie, które okazało się dwoma różnymi meczami. Z jednej strony 45 tysięcy widzów oglądało w bramce Roberta Enke, który wrócił do gry po jakiejś infekcji. Z drugiej strony Teresa i Sebastian oglądali Roberta, który rozgrywał najbardziej ryzykowny mecz w swojej karierze.

Do skutków ubocznych zażywanych przez niego antydepresantów należało spowolnienie reakcji. Jak bramkarz będący pod wpływem tego leku może rozegrać normalny mecz w Bundeslidze? Czy człowiek, który w kwaciarni ma dylemat, czy kupić trzy, czy siedem róż, poradzi sobie z błyskawicznym podejmowaniem decyzji – czy do danego dośrodkowania ma wybiec czy też pozostać w bramce? Czy ktoś mający trudności ze zbudowaniem prostego zdania może przez 90 minut pozostawać w najwyższej gotowości?

Po pierwszym wybiciu piłka powędrowała daleko w środek pola graczy z Kolonii, przez co żaden z piłkarzy Hannoveru nie mógł do niej dobiec. Nie minęło nawet pół minuty, gdy Lukas Podolski dograł strone 40-metrowe podanie w pole karne. Robert Enke wybiegł do niego.

45 tysięcy widzów westchnęło z rozczarowania, ponieważ Robert przechwycił piłkę, zanim jakikolwiek napastnik zdążył do niej wybiec. Teresa i Sebastian krzyczeli z zachwytem.

Dla bramkarza przechwyt ten był czymś zwyczajnym. Nie dało się jednak przeoczyć, jak szybko odczytał to zagranie i jak zdecydowanie do niego wybiegł. Na boisku nie miał czasu na myślenie i to było jego szczęściem. Instynkt bramkarski, szlifowany przez 20 lat, decydował za niego.

Jednak czy ta koncentracja mogła się utrzymać?

Drużyna z Hanoweru rozgrywała piłkę powoli i ostrożnie we własnej obronie, a jeśli przejmowali ją gospodarze, to robili dokładnie to samo. Gdy gra nabierała dynamiki w pomocy, obydwie drużyny popełniały wielkie błędy. Jedynie okazjonalnie w poczynaniach H96 widać było polot. Kolonia prezentowała się jako drużyna, która nawet w załączku nie posiadała konceptu gry w ataku. W najbardziej banalny sposób próbowała co rusz dogrywać głębokimi podaniami w wolne pole za plecami obrońców gości. Robert Enke kilkakrotnie zmuszony był wyłapywać niegroźne podania.

Teresa i Sebastian cieszyli się za każdym razem, gdy wyłapywał najprostsze piłki.

W końcu na lewym skrzydle energicznie wybiegł Podolski, podał, ale Robert Enke spokojnie wyłapał. 45 tysięcy widzów oglądało nieskazitelną grę bramkarza. Każdy, kto wiedział o jego chorobie, mógł zauważyć, że nie był na swojej wysokości: stał przy bliższym słupku, a nie jak chciał ostatnio, bliżej środka. Ruchy wykonywał instynktownie, jednak na bardziej skomplikowane zagrania zabrakło mu koncentracji i siły.

Teresa zauważyła, jak spina ciało, gdy piłka jest na drugiej połowie boiska, daleko od niego. Poświęcał wiele energii, aby zachowywać skupienie.

Po 37 minutach Jan Rosenthal wyprowadził Hannover na prowadzenie 1:0. Bramka ta niczego nie zmieniła – Kolonia w dalszym ciągu dogrywała głęboko i słabo. Padł jeszcze rzut różny i sędzia odgwizdał koniec pierwszej połowy.

Lukas Podolski ustawił się. Piłka poleciała na piąty metr, a na środku stał Robert Enke, który bezproblemowo miał ją wyłapać. Podczas gdy piłka była już w powietrzu, popchnął Jana Rosenthala do przodu, aby zrobić sobie miejsce na wyskok. Ten ruch na ułamek sekundy wytrącił go z równowagi. Wskoczył zbyt wysoko, aby złapać piłkę dokładnie.

Tym razem 45 tysięcy widzów krzyczało wraz z Teresą i Sebastianem.

Robert upuścił piłkę, a Pedro Geromel dobił ją z trzech metrów.

Geromel strzelił jedynie czubkiem palców, a piłka zamiast do bramki poleciała wysoko w powietrze. Robert złapał ją i szybko podał koledze, aby rozpocząć akcję.

Komentatorzy dziwili się, bo takie zagrania nie przytrafiały mu się nigdy. Tłumaczyli sobie, że jest to winą przerwy spowodowanej infekcją.

Kamera uchwyciła jego twarz. Była jak skamieniała, jak się wydawało, z powodu maksymalnej koncentracji. Nie było mowy o strachu, o nerwach. Przez całe 90 minut wglądał tak samo. Dziwiło jedno – jak na bramkarza bardzo ciężko oddychał.

Teresa obgryzała paznokcie. Była przerwa. Do końca pozostało 45 minut, podczas których Roberta mógł dopaść atak strachu.

Jednak jego drużyna chroniła go. Pressingiem zawodnicy Hannoveru bronili się już w połowie boiska, a ich kontry wyglądały ciekawie. Kolonia prawie nie atakowała. Z porywającym refleksem Robert wypiął strzał Petita, który miał

być jego ostatnim sprawdzianem w tym meczu. Rzeczywiście imponująca, a może nawet niewiarygodna, wydawała się jego przytomność. Grał bardzo ofensywnie. Od razu korzystał z okazji, gdy mógł tylko wyłapać dośrodkowanie, nawet jeśli było poza polem karnym. Gdy sędzia Fleischer odgwizdał zakończenie meczu, Hanno Balitsch pobiegł do Roberta.

– To był pierwszy krok do mojego powrotu – powiedział, gdy przyjaciel go obejmował.

Na trybunach jedna z kobiet zapytała Teresę:

– Co się z tobą dzieje?

Teresa płakała.

Piłkarze Hannoveru powyciągali ze spodenek koszulki i wymaszerowali w stronę swoich fanów. Robert Enke szedł pomiędzy kolegami z drużyny i przybijał piątkę z fanami. Wracając do szatni, triumfalnie zderzyli się z Hanno Balitschem torsami.

Robert zauważył Teresę stojącą za bandami reklamowymi na głównej trybunie. Objęła go, a po jej policzkach w dalszym ciągu płynęły łzy.

– Jestem z ciebie taka dumna, Robbi.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Znów coś poczułem – powiedział do Markusa Witkopa.

Drużyna wracała do Hanoweru autobusem. Hanno Balitsch włączył na laptopie film. Specjalnie z myślą o Robercie kupił rozgałęziacz na słuchawki, aby mogli oglądać wspólnie. W tym czasie Robert wysyłał Teresie SMS-y: „Nie jedź za szybko” oraz „Już jesteś pijana?”.

Empatia oraz humor, dwa czynniki, które zabijały depresję, znów w nim się odezwały.

Gdy późnym wieczorem autobus zajechał pod stadion w Hanowerze, Teresa już czekała na męża. Miała nadzieję, że może wybiorą się na wspólną kolację lub – to określenie wydawało się w tej chwili odpowiednie – pójdą świętować.

– No i jak się czujesz? – spytała, gdy wszedł do auta i zapinał pasy.

– Źle.

To słowo ścisnęło jej żołądek.

– Nie czujesz się chociaż trochę lepiej? – zagadnęła łagodnym głosem, jakby prosiła o pozytywną odpowiedź.

– Nie.

Robert chciał wrócić do domu. W łazience odłożył rękawice do wyschnięcia, wziął tabletki nasenne i położył się spać.

Teresa usiadła w kuchni i wspominała wspaniałe chwile minionego dnia: wyłapanie dośrodkowanie w pierwszej minucie, wspólną radość z Hanno oraz uśmiech Robbiego, gdy podszedł do niej po meczu. Gdy zobaczyła wówczas jego wyraz

twarzy, nabrała przekonania, że mecz mu pomógł.

„Dziś przychodzą mi do głowy jego słowa z listu pożegnalnego – powiedział Hanno Balitsch. – Pisał, że w ostatnich tygodniach wszystkich nas zmylił, że tylko tak się zachowywał, jakby czuł się lepiej. Dlatego też obawiam się, że gdy podszedł do nas po meczu i powiedział: »To był pierwszy krok«, mówił tylko to, co chcieliśmy usłyszeć”.

Niedziela czekała na nich jak pustynia. Robert czuł się sparaliżowany świadomością, że mecz nie zmienił jego nastroju. Teresa przez chwilę pomyślała, że sama sobie nie poradzi.

Zadzwoiła do Ulego i Sabine.

– Potrzebujemy jakiegoś planu, musimy cokolwiek zrobić. Czy możemy się spotkać?

Sabine Wilke porozmawiała z mężem, zadzwoniła do swojej siostry Ines i nagle poczuła niesamowitą presję. Co miała zrobić?

Ines wpadła na pomysł, żeby zaprosić wszystkich na sernik. Przecież Robert zawsze lubił to ciasto. Zabrała się do pieczenia.

Po południu wszyscy wspólnie – Robert z Teresą oraz Uli z Sabine i dziećmi – zasiedli przy stole. Zanim Ines zdążyła postawić ciasto, Robert wstał i powiedział, że musi iść do łazienki.

– Gdzie on się podziewa? – dziwili się goście, gdy jego nieobecność zaczęła się przedłużać.

– Idę po niego! – zdecydowała Teresa. Poszła do łazienki, zapukała do drzwi i nie odeszła, póki nie wyszedł.

Zasiadł przy stole, pochwalił ciasto, ale po kilku minutach znów zdenerwowany wstał.

– Potrzebujesz czegoś, Robbi?

– Wezmę sobie tylko piwo z lodówki.

– Poczekaj, sama ci przyniosę.

– Nie, nie trzeba.

Siedział sam w kuchni, dopóki nie przyszedł po niego Jürgen.

Chwilę później znów poszedł do łazienki. Gdy wrócił, praktycznie od razu powiedział, że chce się rozejrzeć po mieszkaniu. Wędrował po pokojach przez blisko kwadrans, mimo że dom Ines i Jürgena znał doskonale.

Nie był w stanie siedzieć przy stole i rozmawiać, ponieważ w tym samym czasie krążyły mu po głowie myśli. Dlaczego jego powrót na boisko nie zapewnił mu satysfakcji? Jakim cudem cokolwiek miało się poprawić, skoro nawet po meczu nie czuł się lepiej? Dlaczego po prostu nie zakończy tego szaleństwa?

Spacerował po mieszkaniu, ponieważ aby się pozbyć myśli, jego ciało wymagało

od niego ruchu.

Pozostali siedzieli w salonie i z trudem ukrywali, jak bardzo jego zachowanie ich niepokoi. Była to normalna reakcja w stosunku do osób z depresją. Przyjaciele myśleli, że dla jego dobra powinni się zachowywać, jakby nic się nie stało. Nie chcieli mu przypominać o jego cierpieniu. W ten sposób człowiek chory na depresję nie tylko samemu staje się aktorem, ale równocześnie zamienia wszystkich wokół w statystów.

W swoim czarnym notesie od dawna przestał zapisywać pełne zdania.

2 listopada 2009. Tylko zarzuty wobec siebie samego.

Był chory już od trzech miesięcy. Podczas poprzedniego ataku depresji w tym samym czasie oglądał z Jörgiem komedie i zauważył, że okazjnie odczuwał radość. Minęło pięć lat i teraz nieustannie czuł to samo: że robi się coraz gorzej.

Jeden dźwięk od dawna już nie rozbrzmiewał w ich gospodarstwie w Empede: wesołość ksylofonów, entuzjastyczny marsz bębenków, gdy dzwoniła jego komórka, a donośny żeński głos śpiewał: „Como la rabia de amar, comounasalto de felicidad”. W dobrych czasach Robert ustawił na dzwonek piosenkę *Alegría* Cirque du Soleil ze zwrotką: „Jak wściekłość miłości, jak napad szczęścia”. Teraz jego komórka bezustannie była wyciszona.

W kuchni znów zaświecił się telefon. Robert praktycznie już go nie odbierał. Miganie wyświetlacza wywoływało w nim strach. Co miał powiedzieć? Czego znów ktoś od niego chciał?

– Kto to? – zapytała Teresa. Jeśli udałoby się jej zmusić go do odebrania słuchawki, ponownie mógłby się ucieszyć, że coś mu się udało. Zerknął na ekran.

– Alex Bade.

– On już pięć razy próbował się do ciebie dodzwonić. Odbierz, Robbi.

Przemógł się.

Alex Bade, trener bramkarzy drużyny 1 FC Köln, chciał się dowiedzieć, czy istnieje możliwość ściągnięcia Roberta na przyszły sezon do Kolonii. Jego kontrakt wygasł za osiem miesięcy, z początkiem lipca 2010 roku.

– Nie mogę jeszcze powiedzieć, co będę wtedy robił – stwierdził. Rozmowa zakończyła się, zanim na dobre się rozpoczęła, ponieważ praktycznie cały czas milczał.

Wieczorem wpatrywał się w leżącą przed nim komórkę. Postanowił zebrać się na odwagę.

– Muszę zadzwonić do Lothara Bisingera.

W jego rękawiczkach przeszkadzała mu pewna drobnostka: gdy zapinał je na nadgarstku, na pasku pojawiała się maleńkie odgniecenie.

– Tak, zadzwoń koniecznie – zachęcała go Teresa.

Opowiedział Bisingerowi o problemie, a ten jak zawsze zapewnił go, że usterka zostanie naprawiona. Rozmowa nie trwała nawet minuty.

– Dobrze, że to załatwiłem – powiedział Robert w kuchni. – Od tygodni mi to przeszkadzało.

Takie chwile dawały Teresie siłę i odwagę na całe dni. Jednak zdarzały się pozytywne sytuacje. Należało ich jednak szukać w najmniejszych szczegółach.

Przekonała go, aby obejrzeliklinikę w Bad Zwischenahn.

– Po prostu zobaczymy, jak tam jest – powiedziała.

Doktor Ingwersen wyznaczył im termin na czwartkowe popołudnie, 6 listopada.

Robert od razu powiedział Teresie, że wtedy akurat nie może, bo ma do południa trening i nie ma możliwości, aby pojawili się w Bad Zwischenahn na czas. Ammerland był oddalony o 150 kilometrów, a tamtejsze drogi były bardziej odpowiednie dla rowerzystów niż kierowców samochodów.

– Robbi, powiedz trenerowi, że musisz wyjść trochę wcześniej, bo idziemy z Leilą do lekarza, a twoja żona nie chce iść sama.

Klinika psychiatryczna w Bad Zwischenahn, podobnie jak ich własny dom, była przebudowanym gospodarstwem wiejskim obłożonym cegłą klinkierową. Była tam w pełni wyposażona kuchnia, internet bezprzewodowy oraz prywatna droga do jeziora Zwischenahner Meer. Dla osób postronnych klinika wyglądała jak wysokiej klasy hotel. Robert wszystko dokładnie obejrzał, wysłuchał oprowadzającego bez zadawania mu pytań i na pożegnanie powiedział doktorowi Ingwersenowi, że się zastanowi.

Wsiedli do samochodu i zanim zapięli pasy, oznajmił:

– Nie idę tam!

– Poczekaj. Pozwól sobie to przetrwać.

– Jestem bramkarzem w reprezentacji. Nie mogę tak po prostu iść do kliniki.

– Robbi, w tej klinice przebywają adwokaci, profesorowie uniwersyteccy, przedsiębiorcy! Myślisz, że im było łatwo? Mimo to zdecydowali się na ten krok, bo dla nich było to jedyne wyjście.

– To coś innego niż mój przypadek. Jeśli wyjdzie na jaw prawda o nich, to nie będzie to tak katastrofalne w skutkach.

– Jeśli w mieście, w którym mieszka dany adwokat czy lekarz, rozejdzie się wieść: „On ma depresję”, to jego sytuacja będzie równie poważna co twoja. Mimo to nawet im udaje się odnaleźć życie po depresji.

Ich dyskusja zakończyła się milczeniem. Jak zawsze, gdy w powietrzu wisała kłótnia, przestali rozmawiać i próbowali zapomnieć o starciu. Robert po prostu zasnął.

Był listopad, wcześniej robiło się ciemno. Teresę rozbolewały oczy, ponieważ nieustannie musiała się koncentrować na prowadzeniu. Nagle ogarnęła ją złość. Spojrzała na męża. Wyglądał spokojnie, niewinnie śpiąc na siedzeniu obok. „Jak

możesz się denerwować – zrugala się w myślach. – Przecież on jest chory”.

Robert po raz kolejny stał się tematem dyskusji w świecie piłki. Tego dnia selekcjoner reprezentacji Niemiec ogłosił kadrę na dwa mecze przeciwko Chile oraz Wybrzeżu Kości Słoniowej, zaplanowane na połowę listopada, i tym razem pominął Roberta Enke. Löw zauważył, że zarówno Robert, jak i René Adler coraz częściej ze względu na kontuzje odwołują mecze kadry, tak więc postanowił jako ewentualną alternatywę sprawdzić Tima Wiese oraz Manuela Neuera. W świecie piłki nożnej, który dzieli się zdecydowanie na zwycięzców i przegranych, tylko nieliczni mogli uznać, że powołanie Wiese i Neuera jest jedynie zwykłym testem. Wielu zarzucało selekcjonerowi, że zadał Enke niesprawiedliwy cios.

Robertowi krążyły po głowie rozmaite myśli – klinika nie jest rozwiązaniem, nie dam również rady tak dalej żyć, pozostało tylko jedno wyjście – równocześnie jednak miał w piątek po treningu spotkać się z dziennikarzami i ze zwyczajową powagą poświęcić się zagadnieniom profesjonalnej piłki. Powiedział, że sam ustalił z trenerem kadry, że nie zagra w kolejnym meczu. Lepiej byłoby dla niego, gdyby został w Hanowerze i trenował, tak by nadrobić zaległości w treningu.

– Nie zagram, ale mogę z tym żyć.

Ze względu na oschłość w jego głosie wielu pomyślało, że z całą pewnością jest smutny, a może nawet i zły z powodu braku powołania, jednak nie chce tego okazać. Jedynie Teresa wiedziała, jaką ulgą dla niego było zwolnienie ze zgrupowania.

Po tym, jak zagrał w Kolonii, stało się oczywiste, że jego występy powinny znów być regularne. Jörg Neblung przyjechał dzień przed meczem z Hamburger SV do Hanoweru, aby być blisko Roberta. Zawiózł go na trening. W przeciwieństwie do zeszłego tygodnia, tym razem nikt nawet nie wspominał o symulowaniu naderwania mięśnia. Wszyscy wtajemniczeni chcieli wywołać w Robertcie poczucie, że jego ponowna gra jest czymś oczywistym.

W niedzielę już o 15.00 rozbłysły jupitery. Przejście z szatni, przebudowane z okazji mistrzostw świata w 2006 roku, przywodziło na myśl bardziej centrum konferencyjne niż typowy ośrodek sportowy. Ściany były pomalowane na białą, a podłoga z tworzywa sztucznego odbijała światło rzucane z góry przez lampki halogenowe. Gdy Robert wyszedł z szatni, większość piłkarzy już ustawiła się w szeregu. Przechodząc na przód, przybił piątkę ze Steve'em Cherundolo oraz Sérgio Pinto i kątem oka zauważył po drugiej stronie Piotra Trochowskiego, kolegę z reprezentacji. Trochowski też chciał przybić mu piątkę, jednak Robert zaskoczył go, obejmując go. Wyglądało to tak, jakby nie widział go od dawna bądź też długo miał go nie widzieć. Położył swoją głowę na jego ramieniu i trwał tak chwilę. Podobnie jak w swoim pierwszym meczu przed dziesięcioma laty i tym razem założył koszulkę w kolorze czarnym – ulubionym wielkich bramkarzy.

Dryżyny wybiegły na murawę. Na trybunach wypełnionych po brzegi rozpostarło

się morze flag. Podczas tych derby na stadionie zasiadło 49 tysięcy widzów. Teresę opanował strach. Zauważyła, że Robert ściął sobie włosy bardzo krótko – musiał to zrobić w szatni. Wyglądał teraz jak żołnierz.

– Białe czy żółte? – spytał sędzie.

Robert po raz kolejny mógł wybrać stronę i po raz kolejny w popłochu rozejrzał się wokół. Przez sekundę zapatrzył się na trybunę zajętą przez kibiców HSV, tak jakby musiał ocenić, ilu jest tam przeciwników. Później przypomniał sobie, co musi uczynić. Jak zawsze, gdy mógł wybierać, zdecydował, że zagra tak, aby jego kibice zajęli za nim miejsce w drugiej połowie.

Mecz był innej jakości niż ten rozegrany w Kolonii. Hamburg grał szybko i kombinacyjną piłkę, a pierwszy gol dla gości padł już w 15. minucie. W polu karnym gracze Hamburga dokonali podwójnego podania, a gdy celny strzał oddał Marcell Jansen, wszyscy zdali sobie sprawę, że był nie do obrony.

Hannover starał się dopasować do porywającej gry przeciwników. Hanno Balitsch niczym falochron wielokrotnie przechwytywał podania HSV.

W swoim domu w Norymberdze przed telewizorem siedział trener bramkarzy reprezentacji Niemiec, Andreas Köpke. Wydawało mu się, że Robert w ogóle nie bierze udziału w meczu. Odnosił wrażenie, że pomiędzy nim a obrońcami nie ma żadnego dialogu. Nieważne, co by się działo na boisku, jego twarz pozbawiona była emocji – nawet gdy Hannover strzelił na 1:1.

Wieczorem przed meczem znów wziął leki psychotropowe, które miały go wyciszyć.

Sędzia odgwizdał rzut wolny dla Hamburga. Piłkę ustawiono 25 metrów przed bramką, bliżej lewej strony. Zawodnicy Hannoveru wiedzieli, że zaczyna się robić gorąco. Trochowski, wykonując stałe fragmenty gry, nadawał piłce trudny do oceny tor lotu. Robert Enke stanął cztery metry przez linią końcową, w optymalnym dla siebie miejscu. Obrońcy ustawili się klasycznie, osiem metrów przed bramką. Trochowski zdołał posłać piłkę dokładnie w ziemię niczyją, pomiędzy bramkarzem a defensywą. Robert miał wybiec dwa kroki do przodu, a przeciwnicy już ruszyli w jego kierunku. Na reakcję bramkarz ma tylko jedną czwartą sekundy, a ten rzut wolny był jednym z najtrudniejszych do obrony. Robert przegapił te ćwierć sekundy i nawet się nie ruszył z miejsca. Piłka uderzona głową przez Eljero Elię wpadła w światło bramki.

Robert zdenerwowany machnął ręką, lecz jego twarz wciąż pozostawała kamienna. Hanno Balitsch pomyślał: „Mam nadzieję, że ta bramka nie wytrąci go całkiem z równowagi”.

Teresa starała się zachować resztki spokoju, jednak po 55 minutach nie wytrzymała.

– Wychodzę stąd – powiedziała Jörgowi.

Przed stadionem chodziła tam i z powrotem. Dym z papierosa wydychała tak mocno, jakby kłęбки musiały odlecieć możliwie najdalej. Wokół nie było ani żywej duszy. Chłoneła ciszę, okrzyki dobiegające z trybun stały się odległe. Nie udało się jej jednak wmówić samej sobie, że nie mają z nią nic wspólnego.

Będąc poza stadionem, można się domyślić, co dzieje się na boisku – wystarczy wsłuchać się w okrzyki publiczności. Słysząc gwizdy, gdy przeciwnik w defensywie przez dłuższy czas podaje piłkę. Słysząc rosnące oburzenie, gdy ktoś z gospodarzy został sfaulowany. Słysząc wiwat, gdy bramkarz jednak wybroni piłkę. Słysząc ciszę, gdy strzelec ustawia się przed rzutem karnym. Teresa nie słyszała długiego, przytłaczającego dźwięku. Dzięki temu wiedziała przynajmniej, że Robert nie stracił kolejnej bramki.

Gdy według jej obliczeń mecz dobiegał końca, wróciła na stadion. Jedna z hostess uśmiechnęła się do niej, jakby dokładnie rozumiała, co właśnie teraz przechodzi.

Przybyła za wcześnie. Mecz w dalszym ciągu trwał, a na trybunach znów rozbrzmiał krzyk. Oburzenie oraz radość wymieszały się w dziki odgłos. Hannoverowi podyktowano rzut karny.

Jiří Štajner wyrównał na 2:2.

Jörg objął Teresę i trzymał ją długo w ramionach. Robert w drugiej połowie jeszcze dwa razy wykazał się świetnym refleksem.

– Rzut wolny, z którego padł gol na 1:2, był najtrudniejszym z możliwych dla bramkarza. Nie zaprzataj sobie tym głowy – powiedział Jörg, gdy spotkał się później z Robertem w jednej z łóż na stadionie.

– Tak, tak. – Robert spojrzał w drugą stronę.

Pożegnał się z Jörgiem na parkingu. Krótко się objęli, a twarz Roberta nie ukazała żadnej szczególnej reakcji. Odchodząc, powiedział: „Trzymaj się!”.

Podczas dwugodzinnego powrotu do domu autostradą Jörg pomyślał: „To był kolejny krok do przodu”. Jednak ta myśl przyszła raczej automatycznie i nie była efektem rozbudzonej nadziei. Ostatnie miesiące wyczerpały nie tylko samego Roberta, ale i wszystkich wokół.

Robert wsiadł do samochodu Ulego, w którym czekała już także Teresa. Wszyscy czuli się wykończeni minionym dniem.

– Chodźcie, kupimy pizzę, po co mamy gotować?

Gdy wjechali przez bramę, podbiegły do nich psy. Paliły się żyrandole w sieni, a w domu były Sabine i Ines, które opiekowały się Leilą. Dzieci tej pierwszej odrabiały przy stole pracę domową. Otworzyli kartony, a w powietrzu uniósł się zapach ciepłego sera. Nie było ważniejszego tematu do dyskusji niż sam mecz. Trudno było jednak o nim rozmawiać, ponieważ musieli uważać, żeby nie wspomnieć

o drugiej bramce HSV. Robert nawet nie starał się ukrywać, że nie interesuje go ta rozmowa.

– Co? – pytał za każdym razem, gdy ktoś coś do niego mówił.

Sabine powiedziała, że ze względu na dzieci nie chce zostawać zbyt długo. Gdy rodzina Wilke opuszczała dom, Robert przytulił kobiety, a dzieciom dał po całusie w czoło.

W telewizji leciał *Titanic*.

– Nie idziesz do łóżka? – spytała zdziwiona Teresa.

– Chcę jeszcze trochę pooglądać – odparł, leżąc na sofie z poduszką pod głową. Wyglądał na zrelaksowanego. Kiedyś często tak robił, gdy wracał z wyczerpujących treningów – był ociężały, ale przepełniony błogim szczęściem.

Gdy goście znaleźli się za bramą, Sabine powiedziała do Ulego:

– Też widziałeś, jak Robert pocałował dzieci? Przecież nigdy tego nie robił! No i jak mnie przytulił, dużo mocniej niż zawsze.

– Może chciał podziękować za pomoc?

Titanic trwał ponad trzy godziny i Robert wytrwał do końca. Od wielu miesięcy nie zdołał obejrzeć żadnego filmu w całości. Gdy w końcu położył się spać, zegar wybił 00.30.

Następnego dnia Teresa zdecydowała, że Robert sam pojedzie na trening.

Nie istniała żadna reguła podczas balansowania pomiędzy kontrolą a samodzielnością. Teresa musiała zaufać własnemu instynktowi. W minionym tygodniu praktycznie codziennie jeździła z nim na treningi, a wczoraj przetrwali mecz. Dziś wydawało się więc, że jest dobry dzień, aby Robert pojechał sam. By odzyskał kolejną część normalności.

Podczas treningu, gdy biegli wokół jeziora Maschsee, on i Hanno pozwolili reszcie drużyny znacznie się oddalić. Hanno wspominał wczorajszy mecz. Robert odpowiadał chłodno, więc Baltisch odczytał to jako jasny sygnał: jego przyjaciel nie miał ochoty na rozmowę. Pomyślał, że ta obojętność jest możliwym znakiem poprawy. Od meczu z Kolonią Robert nie powątpiewał w samego siebie.

Wychodząc z szatni, Robert, pożegnał się z resztą chłodno i bezosobowo – nikt z resztą nie oczekiwał niczego innego. Constant Djakpa, gracz z Wybrzeża Kości Słoniowej, był w klubie od pół roku. W szatni zajął miejsce obok Roberta, które pozostawił Michael Tarnat. Wszedł z założenia, że bramkarz nigdy się nie odzywał. Nie miał okazji poznać innego Roberta Enke.

Gdy Robert wrócił do domu, zaczęło padać. Krople rozbijały się o szyby, a Teresę ogarnęło zniecierpliwienie. Jak miała wytrzymać z nim całe popołudnie, jeśli panowała taka pogoda?

– Chodź pojedziemy do miasta – zaproponowała. Myślała o zakupach w IKEA.

Zabrali ze sobą Leilę. Na początku Teresa rzeczywiście kierowała się do IKEA,

jednak właściwie nie wiedzieli, dokąd mają się udać. Wycieraczki chodziły nieustannie. Gdy prawie dotarli na miejsce, Teresa zauważyła plakaty w pobliżu budynków dawnej wystawy EXPO.

– Może jednak pójdziemy na wystawę?

Na plakatach widniała nazwa *Echte Körper* („Prawdziwe ciała”) i dopisek: „Tylko kilka dni” – oraz odwzorowane obok statku zwłoki. Teresa czytała o tej wystawie. Można było na niej obejrzyć zabalsamowane ciała.

Zanim Teresa zdołała zaparkować przed budynkiem, Robert powiedział:

– Zamknięte.

– Przecież nawet nie wiesz, czy tak jest.

– Muzea są w poniedziałki zamknięte.

– Idź, proszę, i zobacz.

W deszczu pobiegł do drzwi i wrócił.

– Otwarte, ale ja nie mam przy sobie gotówki.

– To skoczmy do bankomatu.

Nie zdziwiło jej, że wszelkimi sposobami bronił się przed wejściem na wystawę. Choroba sprawiała, że starał się blokować wszelkie inicjatywy.

Jeden z odwiedzających rozpoznał Roberta i podarował mu bilet wstępu.

Wewnątrz muzeum było zimno, ściany i okna pokryto czarną tkaniną. Jedynie witryny były podświetlane. Teresa chciała zrobić cokolwiek i wydawało się jej, że wizyta w muzeum będzie ciekawsza niż zakupy w IKEA. Nie liczyła, że widok zwłok odciągnie jej męża od myśli samobójczych. W ciągu ostatnich dwóch – trzech dni i tak wydawał się względnie stabilny: w jego zachowaniu dominowała obojętność, ale nie rozpacz.

Robert przechadzał się wzdłuż gablot, pomieszczenia dla palaczy, spojrzał na głowę z odkrytymi tętnicami szyjnymi. Teresa szybko poczuła, że ma dość. Nie chciała jednak wracać do domu jedynie ze wspomnieniami z wystawy.

– Zajrzyjmy jeszcze do Café Kreipe.

Wszędzie, gdzie przyszło im mieszkać, mieli swoje ulubione miejsca – La Villa w Estoril, Blues Café w Lizbonie, stadnina koni w Sang Cugat. Miały one magiczną moc – gdy tylko do nich wchodzili, czuli się, jakby otulali się pierzyną w ciepłym łóżku. Café Kreipe było takim właśnie miejscem w Hanowerze. W międzyczasie nazwę zmieniono na Café Time, jednak dla nich wciąż było to Café Kreipe. Na piętrze znajdowały się proste drewniane stoły ustawione na szarym dywanie, a okno wychodziło na operę.

Robert zamówił sobie śliwkową struclę z sosem waniliowym, co bardzo ucieszyło Teresę. Znowu pozwalał sobie na drobne przyjemności i nie karał samego siebie. Obsesyjnie zwracała uwagę na takie drobiazgi. Jeśli dalej wszystko będzie szło tak samo jak dziś, to uda im się pokonać chorobę.

Zrobiła zdjęcie jemu i Leili. Uśmiechnął się, jakby nic go to nie kosztowało.

– Tak właściwie to od jak dawna tu zaglądamy? – spytał i rozejrzał się, jakby chciał przywołać wszystkie wspomnienia.

Do domu wrócili przed 19.00. W rozświetlonym wnętrzu dźwięk stukających o szyby kropel deszczu był przyjemny i działał kojąco. Robert zaproponował, że położy Leilę spać. Teresa włączyła telewizor i natrafiła na *Rolnik szuka żony*. Dosiadł się do niej. „Tylko nie mów nigdy nikomu, że lubię ten program”, powiedział jej kiedyś. Teresa wtuliła się w niego, a on nie protestował. O 21.00, jak co dzień, po raz drugi zadzwonił do Valentina Marksera.

– Kocham cię, Terri – powiedział przed snem.

– Też cię kocham. Wyjdziemy z tego.

Następnego dnia, we wtorek – 10 listopada 2009 roku – Teresa poszła po południu z Leilą do lekarza. W drodze powrotnej kupiła wołowinę i figi, które tak bardzo lubił. Z treningu miał wrócić koło 18.30. Pojechał z własnej inicjatywy, mimo że drużyna miała wolne. Chciał nadrobić braki. Czy nie było to znakiem tego, że znów było lepiej? Zadzwoniła do niego, aby się przekonać, czy już wrócił. Jego komórka była wyłączona.

– Cholera, Robbi, nie rób mi tego! – krzyknęła, gdy dotarła do domu.

„Nie denerwuj się – powtarzała sobie w myślach – przecież zaraz wróci”.

Zadzwonił telefon. Szybko odebrała.

To był tylko Jörg. Chciał coś omówić z Robertem, ale nie mógł się do niego dodzwonić.

– Nie ma go jeszcze w domu. Rozmawiałam z nim w południe, ale teraz zaczynam się martwić.

– Nie mogę wytrzymać świadomości, że jeździ gdzieś sam. Terri, nie możemy go nigdzie puszczać samego!

– Teraz to musi najpierw wrócić do domu.

Zdenerwowanie Jörga udzieliło się Teresie. Chwilę po tym, jak odłożyła słuchawkę, znów do niego zadzwoniła.

– Jörg, daj mi, proszę, numer do Colta, chcę go spytać, co się dzieje.

Zadzwoniła do trenera bramkarzy. Zegar pokazywał chwilę po 19.00. Jörg Sievers, którego nazywano Coltem, spytał zdziwiony:

– Teresa?

– Robbiego nie ma w domu, dlatego chciałam spytać, o której skończyliście trening. Chcę wiedzieć, o której może wrócić do domu.

Zapadła cisza. W końcu Jörg Sievers powiedział bardzo ostrożnie:

– Dziś nie było treningu.

Po odłożeniu słuchawki trener od razu wybrał numer Roberta. Po 20 latach pracy w tym biznesie Jörg Sievers znajdował tylko jedno wytłumaczenie zachowania Roberta Enke: miał kochankę. Trudno mu jednak było w to uwierzyć. Odezwała się poczta głosowa Roberta.

Teresa znów zadzwoniła do Jörga Neblunga.

– Szybko, przeszukaj jego pokój i sprawdź, czy nie zostawił listu pożegnalnego!

Pobiegła do sypialni. Na szafce nocnej w dalszym ciągu leżał album nadgryziony przez psa i jakiś kryminał. To było pierwsze miejsce, w którym zaczęła szukać. Ściągnęła z szafki kolejne gazety, a z jednej wypadła kartka. „Droga Terri, bardzo mi przykro, że...”, nie czytała nawet dalej, Jörg wciąż był przy słuchawce i krzyknął:

– Dzwonię na policję!

Często osoby cierpiące na depresję dzień przed samobójstwem mają lepszy humor. Czują ulgę, że w końcu decydują się na wybór ostatniego, w ich zniekształconym postrzeganiu, wyjścia. Równocześnie dobry humor staje się fasadą, za którą ukrywają przed swoimi najbliższymi chęć odebrania sobie życia.

10 listopada 2009 roku Robert Enke przez osiem godzin krążył po okolicach Empede. Po południu przypomniało mu się, że musi jeszcze coś załatwić: wymienił na stacji paliw olej w samochodzie. Później udał się do najbliższego przejazdu kolejowego w Eilvese. Okazyjnie na treningi jeździł też pociągiem i znał rozkład jazdy. Wiedział, że o 18.15 przejedzie przez Eilvese, bez zatrzymywania się, regionalny pociąg pośpieszny do Bremy.

Widok na pałac

W kuchni w Empede obok lodówki wisi nowe zdjęcie. Barwy widoczne w tle są lekko rozmyte, przez co odnosi się wrażenie, że bohatera portretu otula przyjemne tło. Robert Enke uśmiecha się delikatnie, wydaje się w dobrym humorze, a na jego kolanach siedzi Leila.

Jest to jego ostatnie zdjęcie.

To piękne ujęcie staje się niepokojącym dowodem na to, jaką siłę posiada depresja. Potrafi przybrać maskę spokoju i oszukać wszystkich dookoła. Gdy 9 listopada 2009 roku w Café Kreipe uśmiechnięty Robert pozował Teresie do zdjęć, najwyraźniej zdecydował już, że następnego dnia odbierze sobie życie.

Bramkarz nieustannie szkoli się w powściągliwości: wie, że nie może okazać rozpaczy, rozczarowania i strachu. Ta umiejętność pozwoliła Robertowi ukrywać depresję. Dar stał się jego przekleństwem, gdy choroba popchnęła go do samobójstwa: swoje zamiary ukrył tak skutecznie, że nikt nie był w stanie mu pomóc.

W późniejszym czasie wiele gazet błędnie pisało, że świadomie popełnił samobójstwo. Śmierć osoby cierpiącej na depresję nigdy nie jest decyzją człowieka wolnego. Choroba tak bardzo zawęży postrzeganie, że chory nie rozumie, czym jest utrata życia. Jest zdania, że to jedyny sposób, aby pozbyć się choroby.

Do dnia dzisiejszego nie zbadano w pełni mechanizmów powstawania depresji. Choroba ta rzadko wywoływana jest jednym czynnikiem i czasami nie można wyjaśnić, dlaczego się pojawiła. Są ludzie, którzy popadają w depresję każdej zimy, oraz osoby, które – zupełnie jak Robert Enke – cierpią na nią na krótko w szczególnych okolicznościach.

Trener Ewald Lienen, który był Robertowi bliższy niż większość ludzi w piłkarskim biznesie, zadzwonił po jego samobójstwie do Jörga Neblunga i spytał:

– Dlaczego nigdy niczego nie zauważyłem?

Odpowiedź jest prosta: stało się tak, ponieważ podczas ich wspólnego czasu w Hannoverze choroba przebiegała bezobjawowo dla otoczenia. Robert Enke w swoim życiu na depresję cierpiał dwukrotnie – w roku 2003 oraz 2009. W pozostałym czasie był takim człowiekiem, jakim go odbieraliśmy: ciepłym, serdecznym i głęboko przekonanym, że pokora ma swoją wartość, zwłaszcza w zawodzie bramkarza.

Jego śmierć poruszyła wielu ludzi również dlatego, że czuli, iż wartości, takie jak solidarność i współczucie, w które wierzył, często nie były mile widziane w świecie piłki nożnej. Robert Enke cierpiał z tego powodu podobnie jak inni piłkarze, którzy

zauważają, że ich empatia jest przez niektórych trenerów oraz opinię publiczną postrzegana jako słabość.

– Nie jestem taki i nie chcę taki się stać – powiedział Robert Enke, gdy po raz kolejny pomyślał o tym, że jego gra nie cieszy się większym uznaniem, ponieważ nie jest typem gniewnego, bezkompromisowego bramkarza.

Zbyt mało osób chciało chyba zrozumieć, że Robert był kimś lepszym: bramkarzem z niesamowitym wyskokiem i refleksem, który z własnych cnót nie robił szopki i mocno wierzył, że ambicję można okazywać również uprzejmie i z szacunkiem.

Tego listopadowego dnia, podczas jego pogrzebu, w Empede kolory wyblakły. Brązowe pola oraz nagie drzewa pod szarym niebem wyglądały mętnie i buro. Gdy msza żałobna w malutkim kościele klasztornym w Mariensee dobiegła końca, zaczął padać deszcz. Bez kurtki, bez parasola, ubrany jedynie w koszulkę Benfiki, na cmentarzu stanął José Moreira. Po jego czarnych włosach ściekały krople deszczu, a jego strój stał się ciemnoszary. Ten widok wszystkim nam przypominał, jak słabo byliśmy przygotowani na śmierć Roberta Enke.

Ludzie zaznajomieni z tematem depresji zauważyli, jak co najwyżej niejasne mają wyobrażenia o tej chorobie. Pojawiły się głosy, że tragiczny los Roberta Enke musi posłużyć do tego, aby depresja przestała być tematem tabu. Jednak w dalszym ciągu wielka część społeczeństwa cierpiąca na depresję nie wie, że jest chora. Objawy, takie jak brak woli działania czy bezsenność, często błędnie odczytywane są jako dolegliwości fizyczne. Po śmierci Roberta chyba na wyrost oczekiwano, że depresja nagle stanie się zrozumiała. Może jednak ta książka w jakimś stopniu przysłuży się temu, że mechanizmy rządzące tą straszną chorobą staną się choć odrobinę bardziej zrozumiałe.

Przed oczami rozmywa mi się ostatnie zdjęcie Roberta Enke, a w głowie ukazują się inne obrazy.

Na przykład Robert siedzący na tarasie swojego domu w Portugalii. Uwielbiał siedzieć wieczorami na zewnątrz, oczekiwać nocy oraz chwili, gdy powietrze przyniesie przyjemne ochłodzenie. Na wzgórzu naprzeciwko znajdował się pięknie podświetlony Pálacio da Pena.

– To jest takie piękne. Można w to uwierzyć, dopiero gdy co chwilę sam sobie powtarzasz: „Siedzę na tarasie naprzeciwko Pálacio da Pena”.

Teresa, która słyszała to zdanie dziesiątki razy, nie mogła zareagować inaczej niż wybuchem:

– Cały czas mówisz o tym wspaniałym Pálacio, a od dziesięciu lat nie udało ci się go obejrzeć!

Był lipiec 2009 roku. Robert do tego stopnia napawał się szczęściem tej chwili, że nawet złość Teresy go rozbawiła. Wziął ją za rękę.

– Pewnego dnia go zwiedzimy – powiedział. – Mamy na to całe życie.

PODZIĘKOWANIA

Obok cytowanych w książce rozmówców chciałbym serdecznie podziękować szeregowi osób, które pomogły mi w pracach nad biografią Roberta Enke. Są to: Rüdiger Barth, Barbara Baumgartner, Matthias Cleef, Jan Döhling, Lotfi El Bousidi, Christoph Fischer, Max Geis, Rui Gomes, Thomas Häberlein, Karsten Kellermann, Christof Kneer, Birk Meinhardt, Jörg Nabert, Peter Penders, Cordula Reinhardt, Harald Stenger, Josep Miguel Terés, Daniel Valdivieso i Tino Zippel.

Po jednym cytacie Roberta Enke zaczerpnałem z wywiadów przeprowadzonych przez Roberta Mucha („11 Freunde”), Michaela Richtera („Kicker”), Matthiasa Sonnenbergera („Sport-Bild”) oraz Kathariny Wolf i Gregora Ruhmöllera („Bild”). Dwa cytaty Victora Valdésa pochodzą z wywiadu przeprowadzonego przez Michaela Robinsona („Informe Robinson”).

Na literaturę przedmiotu składają się następujące książki: Josef Giger-Bütler, *Sie haben es doch gut gemeint. Depression und Familie*, Beltz, 2010; Piet C. Kuiper, *Seelenfinsternis: Die Depression eines Psychiaters*, Fischer, 1995; *Psychologie Heute-compact: »Depression. Die Krankheit unserer Zeit verstehen«*; Thomas Müller-Rörich, między innymi *Schattendasein. Das unverstandene Leiden Depression*, Springer, 2007; Ursula Nuber, *Depression. Die verkaufte Krankheit*, dtv, 2006.

Problematyczną kwestią było dla mnie potraktowanie pamiętników Roberta Enke. Z jednej strony stanowią one niepowtarzalny obraz życia osoby cierpiącej na depresję, co sprawiło, że zrozumiałem, czym naprawdę jest ta choroba. Chęć podzielenia się tą wiedzą zaowocowała napisaniem tej książki. Z drugiej zaś strony znajdują się tam zapiski bardzo osobiste. Jako punkt zaczepienia potraktowałem życzenie Roberta Enke, aby o swojej chorobie mógł opowiedzieć sam, jak również wypowiedziane przez niego w lutym 2004 roku w Santa Cruz zdanie: „Zacząłem sporządzać notatki do naszej książki”.

Staralem się wyciągnąć z jego pamiętnika pojedyncze fragmenty, które moim zdaniem dobrze oddają postrzeganie osób cierpiących na depresję. Te, które uważałem za zbyt intymne lub traktujące o innych osobach (z kilkoma uzasadnionymi wyjątkami), świadomie pominąłem. Nigdy nie dowiem się, które fragmenty chciał upublicznić, a które wolał zachować tylko dla siebie.

Ronald Reng
Barcelona, sierpień 2010

Wywiad z Dariuszem Żurawiem specjalnie do polskiego wydania książki

Nigdy nie zapomnę tej przejmującej ciszy

Ronald Reng określa pana w książce jako piłkarza „z paczki Roberta Enke”. Jak blisko byliście związani?

W szatni Hannoveru był taki kąt, w którym siedzieliśmy we czterech: ja, Steven Cherundolo, Michael Tarnat i właśnie Robert. Dużo przebywaliśmy razem w szatni, długo – przez cztery sezony – graliśmy ze sobą na boisku. Może nie byliśmy z Robertem tak wielkimi przyjaciółmi, żeby wychodzić gdzieś z rodzinami, ale nasza sportowa więź była bardzo silna.

Wpływ na umocnienie tej więzi miał fakt, że występował pan jako środkowy obrońca, a więc musiał mieć pan dobry kontakt z bramkarzem.

Bez wątplenia. Wiele razy debatowaliśmy, co można zrobić lepiej, jak się ustawić, by zapobiec utracie bramki. Wiadomo, że współpraca i komunikacja między środkowym obrońcą a bramkarzem musi być na dobrym poziomie, żeby to wszystko poprawnie funkcjonowało, i tak właśnie było ze mną i Robertem. Mieliśmy podobne charaktery, byliśmy typami walczaków, którzy wolą pomagać kolegom na boisku niż ich strofować, więc świetnie się dogadywaliśmy i dobrze nam się razem grało.

Kiedy Robert Enke dołączył do drużyny Hannoveru 96 w lipcu 2004 roku, pan miał już za sobą trzy lata występów w zespole. Pamięta pan pierwszy dzień Roberta w klubie?

Pamiętam, że przyszedł do nas bramkarz, którego bardzo chwalono. Trener Ewald Lienen, odpowiedzialny za ściągnięcie Roberta, dobrze go znał i przedstawił go jako świetnego zawodnika. Nie były to puste słowa, bo już na pierwszym treningu Robert pokazał, że jest klasowym piłkarzem. Z każdym dniem przekonywaliśmy się, że jest również wspaniałym człowiekiem poza boiskiem. Zawsze można było na niego liczyć, więc mogę się o nim wypowiadać tylko w samych superlatywach. Wkrótce przejął opaskę kapitana i to nie trener wyznaczył go do tej roli, ale wybraliśmy go my, piłkarze. To świadczy o tym, jaką pozycję miał w zespole i jaką wartość sobą prezentował.

Był bez wątplenia świetnym bramkarzem, ale jak można przeczytać w książce, często obwiniał się za pущzone gole, nawet jeśli nie miał szans na obronę.

Być może tak było, ale Robert trzymał to w sobie, nie okazywał tego na zewnątrz. Po słabszym meczu czy jakimś złym zagranium nigdy nie miałem poczucia, że ktoś ma do mnie pretensje. Podobnie było z Robertem. Wiadomo, że pozycja bramkarza lub środkowego obrońcy jest taka, że kiedy się pomylimy, najczęściej kończy się to bramką, ale w Hannoverze nikt nie obwiniął nas o stracone gole. Po tym, jak skończyła się jego historia, można przypuszczać, że te negatywne emocje Robert po prostu tłumił w sobie.

Przyszedł do klubu w trudnym dla siebie momencie – jego żona była w zaawansowanej ciąży i wkrótce urodziła się ich chora córeczka. Rozmawialiście z nim o jego życiu prywatnym czy nie chciał o tym mówić?

Rozmawialiśmy o tym. Może nie cały czas, ale nie był to temat tabu. Wiedzieliśmy, jakie mają problemy, i staraliśmy się im pomagać, wspierać ich duchowo. To był bardzo trudny okres dla Roberta i jego żony.

Paradoksalnie w tym samym czasie Robert Enke zaliczył jeden z najlepszych momentów w swojej karierze i został wybrany bramkarzem rundy w Bundeslidze. Jak to się stało, że problemy w życiu prywatnym nie przekładały się na spadek formy sportowej?

Myślę, że Robert z treningu, z gry i spotkań z zespołem czerpał siłę do tego, żeby w tej sytuacji jakoś dawać sobie radę. Wiedział, że nie można się tym wszystkim całkowicie zadręczać. Dobra atmosfera w drużynie przekładała się na to, że jakoś sobie radził z problemami. Wiadomo, że to odbijało się na jego psychice, ale starał się, aby jego gra wyglądała jak najlepiej. Można go za to tylko podziwiać.

Po śmierci Lary było widać zmianę w jego zachowaniu?

Jeżeli rodzic traci swoje dziecko, nie da się nie zauważyć zmiany. Nie wiedzieliśmy za bardzo, jak się zachować, ale staraliśmy się go przytulić, dodać mu otuchy. Robert zresztą mówił, żeby nie traktować go jak kogoś, komu zawalił się świat – życie toczy się przecież dalej. Mieliśmy normalnie z nim rozmawiać. Pamiętam nawet, że nie chciał, abyśmy na pogrzeb Lary przychodzili ubrani na czarno. Wszyscy wzięliśmy udział w pożegnaniu, później byliśmy też na stypie. To wszystko musiało się w jakimś stopniu odbić na jego psychice, wpłynąć na to, co wydarzyło się potem.

Bardzo szybko wrócił jednak do gry, wychodząc na mecz w pierwszym składzie kilka dni po śmierci Lary.

Jego żona przekonywała go, żeby to zrobił. Nie chciała, żeby się zadręczał. Robert zdecydował więc, że zagra w najbliższy weekend. Do dzisiaj mam przed oczami obrazki z tamtego meczu. Wyszedł na boisko razem z nami, a kilkadziesiąt tysięcy

kibiców zaczęło skandować jego nazwisko. Miał za swoją bramką sektor naszych fanów i w pewnym momencie odwrócił się do nich, przykładając palec do ust. Na stadionie zrobiło się cicho jak makiem zasiał... Nigdy nie zapomnę tej przejmującej ciszy. To pokazuje, jak kibice się z nim zżyli i jak bardzo go szanowali.

W 2008 roku odszedł pan z klubu. Utrzymywał pan później kontakt z Robertem?
Niestety nie. Byłem jeszcze kilka razy w Hanowerze, ale to było już po jego śmierci...

Jak zareagował pan na wiadomość o samobójstwie?

Byłem wtedy w domu, zadzwonił do mnie najpierw znajomy, następnie kierownik Hannoveru, Tommy Westphal, później odebrałem jeszcze kilka innych telefonów. Każdy dzwonił z tą samą tragiczną wiadomością, która błyskawicznie się rozeszła. Nie mogłem w to uwierzyć, to był totalny szok.

Pierwsza myśl, jak mogło do czegoś takiego dojść?

Nie miałem siły, żeby zebrać myśli, nie zastanawiałem się, co mogło być przyczyną. Miałem kontakt ze znajomymi z Hannoveru, wiedziałem, jak to wszystko tam funkcjonuje, i nie wyglądało to źle. Nagle doszło do sytuacji, której nikt się nie spodziewał. Trudno było się pozbierać po usłyszeniu takiej wiadomości. Później pojawiło się mnóstwo hipotez: co, jak, dlaczego... Myślę, że tak na dobrą sprawę tylko Robert wiedział, co siedziało w jego głowie.

Uważa pan, że tragiczna historia Roberta Enke, a także książka napisana przez jego przyjaciela, pozwolą zwrócić większą uwagę na problem depresji wśród sportowców?

Mam nadzieję, że tak. Pracuję teraz w sztabie szkoleniowym Lecha Poznań, moją rolą jest praca nad mentalnością zawodników, dotarcie do nich, poznanie ich mocnych i słabych stron. Nie mam tutaj na myśli umiejętności piłkarskich, ale predyspozycje psychiczne – to, jak piłkarz reaguje na porażkę, błąd, czy potrafi sobie z tym radzić, czy nie. Przeprowadzaliśmy niedawno testy psychologiczne i okazało się, że ich wyniki były zbieżne z naszymi wcześniejszymi obserwacjami. Myślę, że po tym, co wydarzyło się z Robertem, w wielu klubach na zawodników patrzy się inaczej. Obyśmy wyciągnęli jak najwięcej wniosków z tej tragicznej lekcji.

Rozmawiał Piotr Stokłosa

Dariusz Żuraw – ur. 14 listopada 1972 roku w Wieluniu; polski piłkarz, w latach

2001–2008 występował w drużynie Hannoveru 96, gdzie przez cztery sezony grał z Robertem Enke; obecnie pełni funkcję asystenta trenera w Lechu Poznań.

* W 2011 roku Moreira przeszedł do Swansea City, a w 2013 do Omonii Nikozja – przyp. red.

** Latem 2015 roku kontrakt z Barceloną podpisał kolejny Niemiec, Marc-André ter Stegen, również bramkarz. Na początku XX wieku w Barcelonie występowali także Emil Walter oraz Udo Steinberg, a także dwóch innych Niemców, o nazwiskach Muller i Berger – przyp. red.

*** Swoją historię zmagania z presją Victor Valdés opisał w książce *Samotność bramkarza*, Kraków 2014.



ROBERT ENKE
EIN ALLZU KURZES LEBEN

Copyright © 2010 by Piper Verlag GmbH, München
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2015
Copyright © for the Polish translation Michał Jeziorny 2015

Redakcja – Joanna Mika-Orządala

Korekta – Kamil Misiak, Aneta Wieczorek / Editor.net.pl

Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Fotografia na okładce – Friedemann Vogel / DFL / Getty Images

Fotografia na stronie 395: Stuart Franklin / Bongarts / Getty Images; pozostałe fotografie w książce pochodzą z prywatnego archiwum rodziny Enke.

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2015
ISBN EPUB: 978-83-7924-317-4
ISBN MOBI: 978-83-7924-316-7



www.wydawnictwosqn.pl

Szukaj naszych książek również w formie elektronicznej 

 DYSKUTUJ O KSIĄŻCE

 /WydawnictwoSQN

 /SQNPublishing

 /WydawnictwoSQN

 NASZA KSIĘGARNIA www.labotiga.pl

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Prolog. Ulotna siła poezji

1 Dziecko szczęścia – tak jakby

2 Huk

3 Porażki to jego zwycięstwo

4 Strach

5 Miasto światła

6 Szczęście

7 Coraz wyżej, coraz dalej

8 Stopy

9 Novelda

10 Myśli nad basenem

11 W zwolnionym tempie

12 Brak światełka w lodówce, brak światełka w tunelu

13 Wyspa wakacyjna

14 Tam jest Robert, tam nie ma bramki

15 Lara

16 Potem

17 W kraju bramkarzy

18 Leila

19 Czarny pies

20 Milknąca wesołość ksylofonów

Epilog. Widok na pałac

Podziękowania

Wywiad z Dariuszem Żurawiem

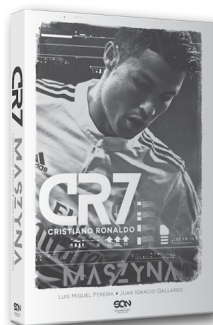
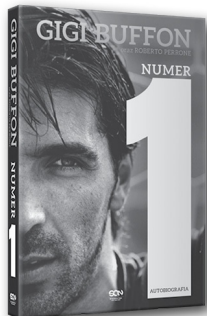
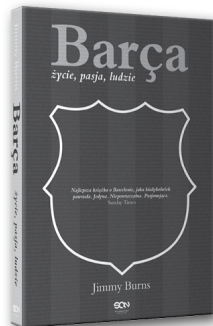
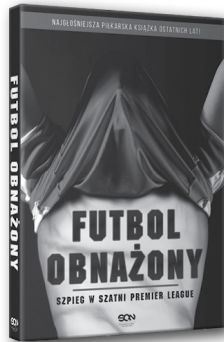
Strona redakcyjna

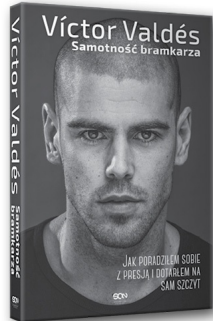
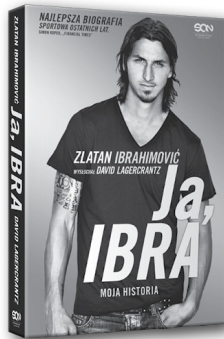
Szukaj w dobrych księgarniach i na

www.labotiga.pl

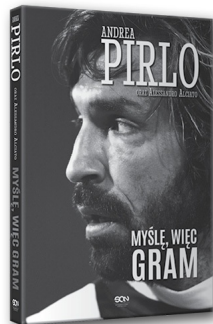
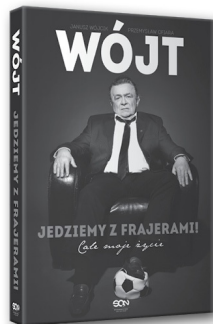
www.wsqn.pl

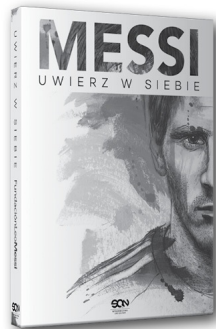
Galeria sportowych książek





WYDAWNICTWO
SINE QUA NON



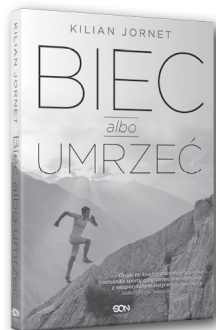
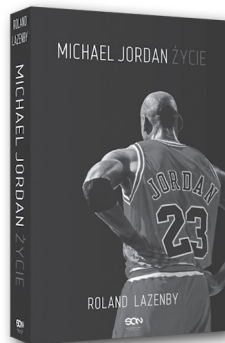


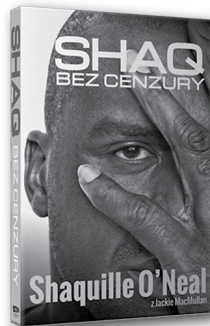
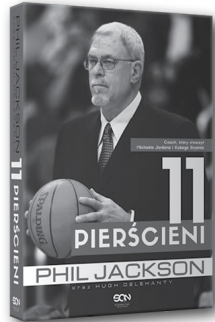
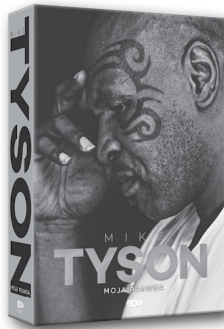
Szukaj w dobrych księgarniach i na

www.labotiga.pl

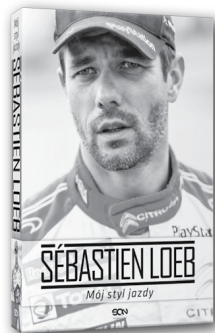
www.wsqn.pl

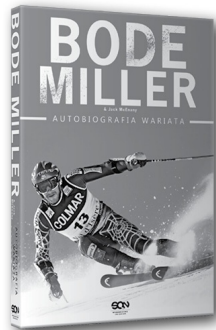
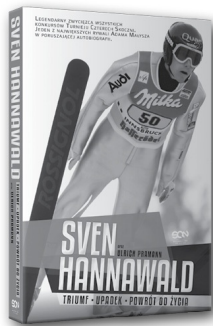
Wydawnictwa SQN





WYDAWNICTWO
SINE QUA NON







WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:

[f/WydawnictwoSQN](#)

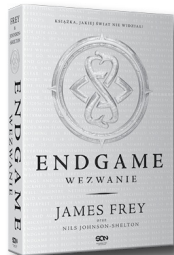
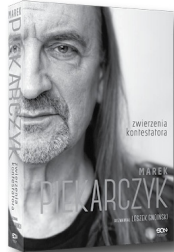
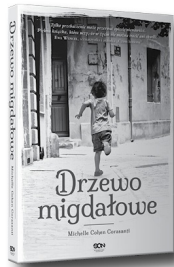
[t/SQNPublishing](#)

www.wsqn.pl

Nasza księgarnia internetowa:

www.labetiga.pl





Poruszająca książka, która wykracza daleko poza piłkę nożną.
The Guardian

ROBERT ENKE

*Życie wypuszczone
z rąk*

RONALD RENG

*Utrata córeczki.
Paralizująca presja.
Samobójstwo, które wstrząsnęło światem.*

